



SPIS ROZDZIAŁÓW

WSTĘP	str. 2
1. WOJNA I KILKA LAT PO WOJNIE	4
2. POLA, LASY, JEZIORO I RADOŚĆ	28
3. ZDESPEROWANY TRZECIOKLASISTA	44
4. UCIECZKA DO KWADRATU	65
5. W DZIWNYM, ALE RZECZYWISTYM ŚWIECIE	89
6. W KRAINIE, W KTÓREJ SŁOŃCE NIGDY NIE ŚWIECI	119
7. PRÓBA ZMIANY TRADYCYJNEGO MYŚLENIA	134
8. WZLOTY I UPADKI	145
9. GROŻNA, CZY NIEGROŻNA APOKALIPSA?	175
10. ZAKOŃCZENIE	201

WSTĘP

Niniejsza książka jest moją biografią, przy przeglądaniu której Czytelnicy, mam nadzieję, nie będą się bardzo nudzili, choć dokładność i obiektywność relacji wymaga wiernego opisu wszelkich scen i epizodów życia, które wszak nie zawsze bywa tylko pasmem szczęścia, radości i atrakcji. Niemniej zapewniam, iż czytający znajdą tu wiele stron bardzo wartkich akcji i ciekawych sytuacji.

Są to wspomnienia z mojego życia, w szczególności z lat dziecięcych i młodzieńczych obejmujących okres od 1941 do 1963 roku, ale także i czasy późniejsze do lat 2000. Znajdują się w nich niezwykle opisy, niezwykłe przeżycia, sytuacje, wydarzenia i przygody. Staralem się, aby było to żywe i ciekawe opowiadanie akcji i zdarzeń, z których na pewno wiele zainteresuje każdego czytelnika. Opisuję tu okres dzieciństwa i wojny, lata szkolne i pracę zawodową, dążenie do szczęścia i polepszenia sobie w życiu. Ponadto w opowieści tej zawarte są takie tematy, jak psychologia (dogłębnie, niekonwencjonalnie i optymistycznie), relacje interpersonalne, zdrowie, kryminalistyka, podróże, sport, natura, życie na wsi, obyczaje, rozrywka, fotografowanie, astronomia, języki obce, maklerstwo okrętowe i polityka.

Prezentuję autobiografię, w której jest dużo humoru, a czasem tragedii, wiele marzeń oraz różnych trudności i problemów, a także nieoczekiwanych przeżyć, przygód i zdarzeń pojawiających się w czasie realizacji tych marzeń i celów.

O charakterze niniejszej biografii może poniekąd świadczyć poniżej załączony alfabetyczny spis nazw geograficznych i różnych miejsc wymienionych w tej opowieści. Skorowidz ten pomoże również przybliżyć i jeszcze bardziej zorientować co do treści tej książki. Podaję go jednak tylko dla zainteresowanych, bo jest to dość długa lektura, choć może każdy w niej coś ciekawego znaleźć.

A oto ów wykaz: Afryka, Afryka Południowa, Agrigento, Alaska, Almeria, Alta, Amazonka, Ameryka Południowa, Ameryka Północna, Anglia, Antwerpia, Argentyna, Augustów, Australia, Bajkał, Bałtyk, Bańska Bystrzyca, Baranowicze, Barcelona, Bazylika św. Piotra, Belgia, Belgrad, Berlewag, Berlin Wschodni, Berlin Zachodni, Biała Podlaska, Białoruś, Białowieża, Białystok, Biedaszki, „biełtyje niedźwiedzi”, Bierzajka, Bieszczady, Bolesławiec, Borsuki, Brama Słońca, Brda - hotel, British Museum, Budapeszt, Bug, Bukareszt, Bułgaria, Bydgoszcz, Chamonix, Casanova - hotel, Castel Gandolfo, Chełm, Chojnów, Chwaszczyno, City Road - Londyn, Czechosłowacja, Czerniki, Częstochowa, Dar es-Salaam, Dolny Śląsk, Dunaj, Dzików, Ealing Broadway - Londyn, El Arenal, Ermitaż, Etna, Europa Wschodnia, Europa Zachodnia, Finlandia, Francja, francuskie kolonie, francuski protektorat, Frydlant, Gdańsk, Gdynia, Genua, Gierłoż, Giżycko, Gniewino, Goeteborg, Górny Śląsk, Góry Izerskie, Grand Hotel - Sopot, Grecja, Guber - rzeka, Gujana Francuska, Hajnówka, Hammerfest, Hanower, Hel, Helsinki, Hiszpania, Hoegeness, Holandia, Hołowczyce, Hyde Park, Inari - miasto i jezioro, Irkuck, Ivalo, Jasna Góra, Jastarnia, Jelenia Góra, Jezioro Solińskie, Jezioro Wiktorii, Jezioro Żarnowieckie, Jugosławia, Kalisz, Kanada, Karaiby, Karolewo, Katania, Katowice, Kemijarvi, Kensington Gardens - Londyn, Kętrzyn, Kielce, Kilimandżaro, Kilonia, Kiruna, Kłodzko, Konstantynów nad Bugiem, kopalnia węgla „Pokój” w Bytomiu, kopalnia węgla „Wesoła II” w Wesołej, kopalnia uranu „Wolność” w Kowarach, kopalnia złota w Tankavaara, Kopenhaga, Kórnik, korrida - Madryt, Kraków, Kreml, Kruszwiec, Kwida, kwatera Hitlera, La Manche, Las Vegas, Legnica, Leningrad, Leśna - Dolny Śląsk, Liberec, Lisewo Kaszubskie, Londyn, Lubań, Lublin, Luwr, Luzino, Lwów,

Lwówek Śląski, Łaba, Łosice, Łowin, Łódź, Madryt, Majorka, Malaga, Malmoe, Mamaia, Mazury, Melilla, Messyna, Miedziane, Mikołajki, Montjuich - Barcelona, Morze Barentsa, Morze Czarne, Morze Karaibskie, Morze Śródziemne, Moskwa, Nakomiady, Narewka, Neapol, Neschwitz, Niagara, Niemcy, Nitra, Nordkapp, Nordreisa, Norwegia, Nowa Zelandia, Nowy Bytom, Nowy Jork, Nowy Port - Gdańsk, NRD, NRF, Nysa Kłodzka, Oceania, Ocean Indyjski, Olecko, Olsztyn, Orłowo - Gdynia, Oświęcim, Otok, Pacyfik, Palma de Mallorca, Palma Nova, Palermo, Pałac Kultury i Nauki, Paryż, plac Byków, plac Hiszpanii, Plac św. Piotra, Pojezierze Kaszubskie, Police, Pompei, Powązki, Poznań, Pożarki, Prado - muzeum, Przylądek Północny, Puszcza Białowieska, Radocha, Radom, Redłowo - Gdynia, Regent's Park, Rosja, Rotterdam, Rovaniemi, Rumunia, Rzym, Sarnaki, Sciacca, Sekwana, Serengeti, Serpelice, Serpentine - jezioro, Skibotn, Sobieszów, Sodankyla, Sofia, Sopot, Sosnowiec, Sterławki, Szklarska Poręba, Szwajcaria, Szwecja, Syberia, Sycylia, Tahiti, Tankavaara, Tanzania, Taormina, Tarnobrzeg, Tarnów, Torremolinos, Trójmiasto, Trynidad, Turyngia, Ukraina, USA, Ustrzyki Górne, Utsjoki, Vadso, Vardo, Wajsznury, Walencja, Wałbrzych, Warmia, Warszawa, Wejherowo, Wesoła - Górny Śląsk, Wersal, Wezuwiusz, Węgry, Wielka Brytania, Wileńszczyzna, Włochy, Wodzisław Śląski, Wrocław, Wyspy Alandzkie, Zakalinki, Zakopane, Zatoka Biskajska, Zawidów, ZSRR, Żoliborz.

Nie jest to jednak książka w pełni podręcznicza, jakby to po przeczytaniu tego skorowidzu mogło się wydawać, i należy raczej do opowieści psychologicznych. Nie we wszystkich wypisanych tu miejscach byłem, bowiem wymienienie niektórych z nich w treści książki dotyczyło innych okoliczności. Za to byłem w wielu jeszcze bardzo szczególnych i interesujących miejscach, o jakich w tym wykazie nie wspomniałem, a którym bardzo dużo uwagi poświęciłem w niniejszej biografii. Ponadto skorowidz ten obejmuje tylko nazwy i miejsca, które zostały wspomniane w książce, a nie w jakich ja w ogóle byłem, bo tych, oczywiście, było dużo więcej.

W pierwszych trzech rozdziałach opisuję moje dzieciństwo i wczesną młodość. Zachowałem w pamięci dużo najróżniejszych scen i wspomnień z tych lat. Wielu spraw jednak nie pamiętam. Jeśli więc o czymś piszę za dużo, to żaden kłopot: na ewentualny nadmiar szczegółów można przymrużyć oko. Natomiast bardzo żałuję, jeżeli jakichś opisów, które mogłyby lub powinny tu być, może trochę brakuje.

1. WOJNA I KILKA LAT PO WOJNIE

Przebywając zimą i wiosną 1986 roku w Londynie, nie miałem wiele zajęć i poza godzinami pracy w biurze maklerskim przy City Road czas spędzałem na zwiedzaniu miasta spacerem, autobusami lub metrem. Odwiedzałem po kolei wszystkie londyńskie muzea i oglądałem zabytki. Mieszkałem na Amhurst Avenue, dokąd dojeżdżałem zazwyczaj metrem, wysiadając na stacji Ealing Broadway. Po kilku tak spędzonych tygodniach powziąłem myśl, by wreszcie zacząć sporządzać notatki do napisania w przyszłości autobiografii, z jakim to zamiarem nosiłem się już od dłuższego czasu. Począłem więc spisywać różne wspomnienia i czyniłem to chętnie, zwłaszcza że byłem z dala od swojego kraju i tęskniłem już za rodzinnymi stronami. Pisałem przeważnie w wynajętym przeze mnie pokoju, między oglądanymi programami telewizyjnymi i kiedy nie gościłem u siebie nikogo. Czasami przysiadłem na ławkach muzeów, szczególnie British Museum, i zapisywałem w notatniku dawne wydarzenia, epizody i inne przeżycia, które nasuwały mi się na myśl. Pisanie w muzeach, zwłaszcza w niektórych salach, przychodziło mi łatwiej, z większym zapalem i natchnieniem niż w wynajmowanym pokoju, gdzie w dodatku często miewałem ciagoty, aby obejrzeć kolejny program telewizyjny. Od marca, kiedy było już na dworze cieplej, dużo czasu spędzałem na spacerach i pisaniu w Hyde Parku oraz Regent's Parku – w ich unikatowej scenerii.

Ale może ktoś teraz powie: – Jedną chwileczkę! Skąd ten pomysł na pisanie swojej biografii? Przecież widniejące na okładce nazwisko autora pewnie mało kto zna.

Otóż tak. Ani nie jestem sławny, ani znany, choć – jak to potem napiszę – poznałem w życiu dziesiątki tysięcy ludzi chyba z wszystkich państw świata, lecz mimo to także uważam, iż wcale nie jestem taki znany. Jednakże mam dość ciekawy życiorys, a niektórych moich przygód i akcji – jak mi nieraz mówiono – ponoć sam James Bond mógłby mi pozazdrościć. Lecz Jamesem Bondem również nie byłem. Niemniej miałem chyba w życiu sporo różnych marzeń i celów, ambicji i pomysłów, jakich niejeden młodzieżowy bohater może by się nie powstydział, i sądzę, że wiele z nich udało mi się zrealizować – ale to następowało już trochę później. Najpierw było dzieciństwo na wsi, wojna i lata szkolne, które to okresy uważam również za nietuzinkowe i bardzo interesujące, a jeszcze przedtem musiałem się przecież urodzić. A więc –

Urodziłem się w noc świętojańską, podobno dokładnie o północy, 24 czerwca 1937 roku w Serpelicach, pięknie położonej wsi nad Bugiem w powiecie podlaskobialskim.

Według wierzeń ludowych raz w roku, o tej właśnie porze, zakwita paproć, a jej kwiat może przynieść szczęście temu, kto go odnajdzie. Sądzę jednak, że w Polsce ta noc jest tak cudowna, iż może uszczęśliwić każdego, jeśli nawet kwiatu paproci nie znajdzie. Dla mnie była ona zarówno piękną porą urodzin, jak i szczęśliwym początkiem mojego istnienia, a jeżeli później zdarzały się w życiu okresy mniej pomyślne, to przecież nie można w pełni doznać uczucia szczęścia, nigdy nie zaznając chwil, które nazywamy nieszczęściem.

Uważam, iż miałem duże szczęście, że urodziłem się w tej wsi nad Bugiem, i czasami zadaję sobie pytanie, jak wyglądałoby moje dzieciństwo, gdyby nie ta wspianiała rzeka, nad którą spędziłem tak wiele czasu, i położone przy niej zielone łąki, pola i lasy, które przemierzałem od najmłodszych lat. Było to miejsce i czasy nie skażonej jeszcze i prawie dziewiczej przyrody. Powietrze było czyste, a woda przezroczysta jak kryształ. Lasy były zielone, a w nich pełno zdrowych grzybów i

jagód oraz śpiewającego ptactwa i naziemnych zwierząt, podobnie jak ryb w tamtejszych rzekach i jeziorach. Również pola oraz łąki tonęły w nieskazitelnej, soczystej zieleni i barwnym kwieciu, a jako że nie było jeszcze na nich hłaśliwego sprzętu, wyglądały bardzo spokojnie i romantycznie. Na miedzach pól rosły wyniosłe grusze, na których jesienią dojrzewały apetyczne owoce, smaczne szczególnie wtedy, gdy już trochę poleżały. Na zagonach, gdzie różne choroby i występujące obecnie plagi zwalczała wówczas sama natura, szkodników było niewiele. Niedużo ich również było na pachnących i ukwieconych łąkach, za to znajdowało się na nich mnóstwo kumkających żab i pięknych bocianów.

Byłem piątym dzieckiem w rodzinie. Wszyscy czuliśmy się zdrowi i szczęśliwi. Chociaż w niewielkim domu było nam trochę ciasno, to jednak mieliśmy co jeść, zwłaszcza że matka była znakomitą kucharką.

*

Niestety, ten szczęśliwy obraz wiejskiej sielanki wkrótce został na wiele lat zmieniony koszmarem wojny.

Pierwsze moje wspomnienia sięgają właśnie ofensywy niemieckiej przeciwko Związkowi Radzieckiemu w czerwcu 1941 roku, która między innymi rozpoczęła się u nas, jako że za Bugiem rozciągała się już sowiecka strefa okupacyjna. Siedzieliśmy wtedy stłoczeni w ziemiance, ale to co zapamiętałem to nie wybuchy bomb, kanonada dział, lecz to, że wylałem atrament na zeszyt mojego starszego brata, Stacha, który akurat kończył drugi rok nauki w szkole. Bardzo się na mnie gniewał i krzyczał. Przypominam sobie jeszcze i to, że razem z nami w schronie przebywała ciocia Stasia wraz z córeczką Reginką, która, tak jak i ja, miała wtedy cztery lata.

Inne wspomnienie dotyczy chyba również lata tego samego roku. Pamiętam, jak byłem z matką na jakimś placu, gdzie dużo kobiet strzygło swoje owce, a wełnę zabierali niemieccy żołnierze, czy też byli to jacyś niemieccy administratorzy ubrani w wojskowe mundury. Przypominam sobie, iż zwierzęta miały na uszach założone przez Niemców kolczyki z numerami, że siedziałem blisko mamy i patrzyłem, jak strzyże owcę leżącą na płachcie.

Zapewne było to też tego samego lata lub jesieni, kiedy uderzyłem różgą starszą ode mnie o trzy lata Wiesię, córeczkę naszej sąsiadki. Wiesia przyszła na skargę do mojej matki, wkładającej akurat chleb do pieca. Pamiętam, jak po wysłuchaniu dziewczynki matka zaczęła mnie upominać.

Jednego zimowego wieczoru w końcu 1941 roku rozeszła się wiadomość, że Niemcy urządzili we wsi łapankę. Ojciec, matka i najstarszy brat, Kazik, skryli się szybko w stodole. Około północy przyszli do domu okupanci i nie znajdując nikogo ze starszych domowników, zabrali siostrę Czeškę, która miała wtedy piętnaście lat. Na drugi dzień doszło jakoś do wymiany Czeški na Kazika, gdyż rodzice uważali, że on szybciej da sobie radę w niewoli. Noc, w którą urządzono łapankę, była bardzo mroźna. Matka przeziębila się i zachorowała na zapalenie płuc. 15 stycznia 1942 roku mama zmarła. Miała wtedy czterdzieści lat. W wirze wojny nie pozostało po niej żadne zdjęcie ani u nas, ani u znajomych. Nawet to od dowodu osobistego też gdzieś zaginęło. Jedynym wyraźniejszym wspomnieniem jej obrazu pozostała mi scena, kiedy Wiesia przyszła ze skargą na mnie i matka poczęła mnie upominać. Dość dokładnie przypominam sobie, jak wkłada chleb do pieca i coś do mnie mówi. Dobrze odtwarzam w pamięci jej postać, a nawet jak była ubrana, lecz twarzy nie pamiętam. Przypominam sobie wiele innych chwil z matką, ale jej osoby nie mogę sobie wyraźnie wyodrębnić.

Długo opłakiwaliśmy jej śmierć, zwłaszcza wieczorami, gdy leżeliśmy już w łóżkach po zgaszeniu lampy i kiedy ojca nie było w domu. Często bowiem ukrywał

się on przed Niemcami lub, zajęty swoimi sprawami, długo nie wracał albo przez całe noce przebywał gdzieś poza domem.

W chwili, gdy mama zmarła, Kazik – przebywający w niewoli – miał osiemnaście lat, Czeska liczyła lat piętnaście, Frania dwanaście, Stach dziewięć, ja cztery i pół, a Zbyszek półtora roku. Miejsce matki zajęła Czesia, pomagała jej Frania. Latem ojciec i obie siostry pracowały w polu, Stach pasł krowy, a mnie przypadła opieka nad Zbyszkciem.

*

Chyba w tym czasie właśnie, wiosną albo latem 1942 roku, przyjechała nasza dobra znajoma z Białej, którą nazywaliśmy ciocią Heleną. Przybyła zapewne po to, aby nas małych chłopców czymś pocieszyć, i przepowiedziała nam wówczas całkiem niezgorsze perspektywy na przyszłość, co nam później Czesia wielokrotnie powtarzała. Ciocia Helcia znała się trochę na wróżbiarstwie i na horoskopach, toteż jej wróżby były dość serio przez nas traktowane. Najbardziej pamiętam to, co miała o mnie powiedzieć, ale przypominam sobie również, iż Zbyszek, chyba z powodu jego dużej odwagi, miał wyrosnąć na dzielnego żołnierza, a później marynarza i pływac po wszystkich morzach i oceanach. Stach miał w przyszłości zostać kolejarzem i jeździć pociągami po całej Polsce. Ja natomiast miałem być dobrym uczniem, a gdy dorosnę, wyszkolić się na pilota i latać samolotami po całym świecie. Miałem też poznać piękną dziewczynę, ożenić się i zbudować duży dom w mieście. Wszystkim nam przepowiedziała dostatek w życiu, który każdy z nas miał osiągnąć przez jakiś szczęśliwy, losowy traf. Nie wiem, czy tę ostatnią przepowiednię traktowała zupełnie serio, czy też innej szansy na spełnienie się tego dostatku biedulka nie widziała.

Choć miały to być wróżby wypowiedziane najwyraźniej po to, aby w nieszczęśliwej sytuacji nas czymś pocieszyć, to wiele z tych przepowiedni później się sprawdziło.

Powracając wszak do tamtych czasów, to pierwszego lata po śmierci matki, jeśli na dłużej wychodzono do pracy, Frania pozostawała jednak ze Zbyszkciem i ze mną w domu, lecz w lata następne również i ona wychodziła w pole, a my z braciszkiem sami przebywaliśmy w chacie. Pamiętam, jak już pod koniec dnia, gdy nadchodził zmrok, wystawialiśmy obaj przed oknem na ławie i z utęsknieniem wyglądaliśmy na powrót naszych opiekunów. Bardzo cieszyliśmy się, kiedy ich zobaczyliśmy, a oni uśmiechali się do nas już z daleka.

W dzień, jak byli jeszcze w polu, często kołysałem brata w kołysce uwieszanej na sznurku zaczepionym na belce sufitu, a kiedy usnął, sam huštałem się na sznurkowej lub łańcuchowej huśtawce zainstalowanej w ościeżnicy drzwi między izbami. Gdy Zbyszek nie spał, zabawiałem się wraz z nim puszczeniem lusterkiem zajaczków lub malowaniem kredkami na papierze albo wydmuchiowaniem słomką baniek mydlanych, czy też radziliśmy sobie w inny sposób.

W ładną pogodę wychodziliśmy z domu i bawiliśmy się na podwórku. Nigdy nie kupowano nam żadnych zabawek, ale nie przypominam sobie również, abym widywał takowe u moich kolegów. Kiedyś Stach zrobił nam drewniany wózek, więc bawiliśmy się nim albo puszczaaliśmy po ziemi krążki, jakich brat dodatkowo naciął z kłody przy okazji robienia kół do wózka. Z dwóch krążków zrobił nam także dwie „taczki”, które wykonywał, przybijając takie koło przy końcu kija, tak aby mogło na gwoździu luźno się obracać, i biegaliśmy popychając swoje taczki przed sobą.

Na podwórku zbieraliśmy kolorowe szkiełka z potłuczonych talerzy, kubków oraz butelek i układaliśmy z nich na ziemi różne mozaiki, bardzo się tym zachwycając. Często przychodziły do nas inne dzieci i pokazywały nam swoje podobne zdobycze. Bawiliśmy się też w żółtym piasku, który leżał u nas na podwórku obok wykopanej na kartofle jamy. Bardzo lubiliśmy bawić się w zaprzęg konny. Polegało to na tym, że

braliśmy długi sznurek i jeden z nas, przekładając go w połowie przez brzuch, jednocześnie podtrzymując rękami, biegł z przodu jako koń, a drugi, chwytając oba końce sznurka, podążał z tyłu jako woźnica. Woźnica ciągle pokrzykiwał na konia i pociągał za jeden lub drugi koniec postronka, w ten sposób nim kierując. Bawiliśmy się również w chowanego, choć robiliśmy to dużo częściej, gdy byliśmy już trochę starsi.

Zwykle bawiłem się tylko ze Zbyszkiem, lecz kiedy był jeszcze bardzo mały, czasami zabawiałem się ze swoimi rówieśnikami, a brata sadzałem na trawie, dając mu do ręki jakąś zabawkę, albo biegał on razem z nami. Nie musiałem go bardzo pilnować, bowiem wokoło było raczej bezpiecznie. Nie było wydarzeniem codziennym, aby samochód przejeżdżał przez wieś i zdarzało się to bardzo rzadko. Poza tym samochody nie rozwijały dużej szybkości na piaszczystej, wiejskiej drodze; przeciwnie, często grzęzły w piasku i trzeba je było jeszcze popychać. Nie były więc utrapieniem, lecz raczej dużą atrakcją dla dzieci.

Pewnego rodzaju zagrożeniem były dla nas gęsi, które czasem bezpardonowo wkraczały na teren naszej zabawy i z opuszczonymi, wyciągniętymi głowami, sycząc, atakowały nas. U jednego z dalszych sąsiadów biegały po podwórku jeszcze groźniejsze indyki, dlatego też nigdy nie zbliżaliśmy się do tego domu. Najbardziej jednak baliśmy się Zenka, chłopca dużo od nas starszego, który straszył nas swoim psem Burkiem. Przy okazji muszę wspomnieć, że zdarzało się i starszym ludziom straszyć nas kominiarzem lub wsadzeniem do worka, czego baliśmy się okropnie.

*

Zimą przeważnie siedziałem w domu lub niekiedy pozwolono mi pójść do sąsiadów, którzy mieli córeczkę w moim wieku, o imieniu Agnieszka. Mieszkał tam również jej dziadek, liczący już ponad osiemdziesiąt lat. Lubił z nami rozmawiać, a ja z wielką ciekawością słuchałem, jak opowiada różne zdarzenia z dawnych czasów i ze swojego życia od najmłodszych lat. Zwłaszcza dużo mówił o wilkach, a szczególnie o jednym przypadku, o którym wspominał wiele razy, kiedy to paść kozy, a z lasu przybiegł wilk i porwał mu jedną młodą sztukę.

O wilkach słyszałem mnóstwo różnych historii nie tylko od dziadka Agnieszki, gdyż lubili o nich opowiadać także inni starsi ludzie, którzy przychodzili do nas wieczorami po pracy. Niektóre z tych opowiadań były tak straszne, że wydawały się wprost nieprawdopodobne, jednakże słuchałem ich wszystkich z największą uwagą. Kiedyś podczas takich pogaduszek pewien starszy gospodarz opowiadał, jak jego ojciec jechał raz późnym wieczorem przez las i spostrzegł, że gonią go wilki. Właściwie to wilków nie widział, tylko z daleka dostrzegał ich świecące oczy i słyszał głośnie wycie. Gdy jęły coraz bliżej do niego się zbliżać, próbował je odstraszyć. Co chwila wyciągał więc spod siedzenia garść słomy, którą zwił w pęczek, podpalał i rzucał przed nadbiegające zwierzęta. Kiedy jednak niewiele to pomagało, a słoma w dodatku kończyła się i wilki już były bardzo blisko, zrobił z reszty wielki pęk, zapalił i cisnął przed drapieżniki. Następnie wyprzągł prędko konia z wozu, szybko wsiadł na niego i co sił popędził do domu. Wtedy wilki pobiegły za nim, jednakże zdołał dojechać do stajni, a jako że jej drzwi były otwarte, wpuścił konia do środka, a sam prosto z niego skoczył na strzechę, zamykając jeszcze nogą drzwi stajni. Wilki, które prawie już go dogoniły, były tak rozwścieczone, iż próbowały podkopać się do stajni, ale że podmurówka była mocna i głęboka, więc nie dały rady i po kilku godzinach obłączenia pobiegły z powrotem do lasu.

Innym razem, zimą, wilki były tak wygłodniałe, że przyszły nocą do wsi i zjadły kilka psów, które swoim ujadaniem miały drapieżniki odstraszać od wsi.

Kiedys nie wrócił jakiś człowiek do domu, który zimą poszedł do lasu po drewno. Gdy na drugi dzień wszczęto poszukiwania, znaleziono tylko jego nogi w butach i siekierę.

Mówiono, że wilki najgroźniejsze są zimą, a szczególnie w lutym, kiedy przypadają ich gody i są bardzo agresywne.

Innym uosobieniem lęku i trwogi była mara. Głęboko wierzono w jej istnienie, ale nikt jej chyba nie widział. Z opowiadań trudno było wywnioskować, jak ona wygląda. Mówiono o niej jakby o duchu, lecz ja na podstawie tych opowieści często kojarzyłem ją sobie z jakąś zjawą cielesną, lub wręcz kosmatym stworzeniem podobnym do małpy. Ulubionym jej zajęciem było dręczenie ludzi, ale niekiedy i zwierząt. Najczęściej siadała na piersiach śpiącego człowieka, nie pozwalała mu swobodnie oddychać i tak obezwładniała, że śpiący nie mógł jej z siebie przegonić, choć usiłował to czynić. Ze zwierząt domowych najbardziej męczyła konie, ujeżdżając je nocą po stajni. Gdy gospodarz rano przychodził, aby dać obrok swojemu zwierzęciu, zauważał czasami w oborniku głęboko wydeptaną ścieżkę wokół (dużej) stajni, a koń był zmęczony, zlany potem i zdarzało się, że miał splecioną grzywę.

W rozmowach na podobne tematy najwięcej jednak mówiono o duchach, które ukazywały się w różnych postaciach. Tym razem wśród rozmawiających nie było nikogo, kto by ducha nie widział. Najbardziej znanym miejscem, gdzie można było ową zjawę zobaczyć, prócz cmentarza była Maćkowa Dolina. Raz w biały dzień gospodarz zwożący z pola zboże do stodoły, w momencie przejeżdżania przez tę dolinę nagle zauważył, że zboże się pali i całą furę ogarniają płomienie. Skoczył więc z wozu i, jako że nie było czasu na wyprzęganie konia, szybko poprzecinał uprzężę, odprowadził zwierzę na bok i zabrał się do gaszenia pożaru. Wtedy jednak ku wielkiemu zdumieniu spostrzegł, że nic się nie pali i że sprawcą całego zamieszania widocznie był duch, który ukazał się pod postacią płomieni. Ktoś inny, będąc w lesie na grzybach w pobliżu Maćkowej Doliny, widział, jak idzie nią człowiek, który od dawna już nie żył.

Niekiedy też we wsi przy blasku księżyca widywano przesuwany się po ziemi lub budynku cień człowieka, przypominający kształtem postać osoby, która niedawno zmarła. Najczęściej jednak widywano duchy na cmentarzach lub w ich pobliżu, przeważnie w postaci białych, świetlistych tumanów. Tym razem próbowano je nawet naukowo interpretować mówiąc, że to fosfor tak świeci, który wydobywa się z kości człowieka.

Po śmierci pewnej bardzo już starej kobiety, znanej ze skąpstwa, zauważono, że jeden zeschnięty listek na drzewie, które rosło przy oknie jej pokoju, drugą już zimą nie opada. Gdy ksiądz przyszedł po kolędzie, powiedziano mu to, a on, wiele nie zastanawiając się, pokroił drzewo kropidłem i listek od razu uleciał z wiatrem. Mówiono, że była to dusza staruszki, która, przemieniona w listek, pokutowała na drzewie za jej wielkie skąpstwo.

Prócz gawęd o duchach opowiadano jeszcze o innych budzących lęk zdarzeniach, gdzie sprawcami grozy były różne upiory i strachy.

*

Chociaż wieczory, w które przychodzili do nas sąsiedzi na pogaduszki, upływały szybko i ciekawie, to jednak zima, zwłaszcza w jej drugiej połowie, trochę się dłużyła. Mimo że ojciec od południa do późnego wieczoru palił w piecu, rano, gdy wstawaliśmy, w mieszkaniu było tak zimno, że woda była zamrznięta w wiadrach. Dopiero kiedy rozpalano w piecu kuchennym, przygotowując śniadanie, w domu robiło się znowu trochę cieplej.

Niewiele pozwalano mi zimą wychodzić na podwórko, zwykle w obawie, abym się nie przeziębził, choć również dlatego, żebym nie moczył i nie niszczył obuwia. Ale nie

pilnowano mnie aż tak, by od czasu do czasu nie udało mi się niepostrzeżenie czmychnąć z domu, nieraz nawet boso po śniegu, gdy buty schowano albo suszyły się na piecu. Przeważnie jednak siedziałem w chałupie i patrzyłem przez okno na padający śnieg lub starsze dzieci bawiące się w śnieżki czy lepiące bałwana. Niekiedy ojciec łagodniał i pozwalał mi do nich dołączyć.

Na wiosnę już więcej wychodziłem na podwórko, gdzie często bawiłem się wydłubaną z sosnowej kory łożeczką, puszczając ją w potokach wody z topniejącego śniegu.

Najciekawszym i najpiękniejszym okresem było lato. W ładną pogodę czasami brano Zbyszka i mnie w pole, jednakże nie było to tak dobre wyjście, jakby się mogło wydawać, i było uciążliwe zarówno dla nas, jak i dla ojca i sióstr. Po początkowym zachwycie malowniczymi widokami zaczynaliśmy wkrótce się nudzić, i to głównie dlatego, że do chwili sprzątnięcia przynajmniej części zboża z pola nie było tam... miejsca do biegania. Prócz długiej, ale wąskiej miedzy nigdzie nie wolno było nam wejść i jedna z sióstr musiała często odrywać się od pracy, żeby nas czymś zabawić.

O wiele lepiej przedstawiała się sprawa na łące w czasie koszenia trawy. Można było pobiegać na skraju łąki, jak i po przecinającej ją grobli. Nie robiliśmy też dużej szkody, jeśli weszliśmy na skoszoną trawę, gdyż starsi również chodzili po niej w czasie jej suszenia i grabienia. Wyjątkowo dobrze czuliśmy się na łące. Także ludzie, którzy na niej pracowali, mieli nadzwyczaj wesoły nastrój, który dodatkowo nam się udzielał. Na łące napawaliśmy się zapachem siana, obserwowaliśmy skaczące żaby i patrzyliśmy na krążące w górze bociany. Największą jednak frajdą była jazda z powrotem do domu na furze siana tak wielkiej, że siedząc wysoko na jej środku, konia nie było z niej widać. Czułem się wtedy bohaterem, na którego wszyscy patrzą i podziwiają, a ja podziwiałem z góry wolno przesuwające się korony przydrożnych drzew i otaczające krajobrazy.

Gdy nie wyjeżdżaliśmy w pole ani na łąkę i pozostawaliśmy w domu, dużą atrakcją była wielka czeremcha rosnąca obok naszego płotu. Miała ona, jak na ten gatunek drzewa, bardzo duże i smaczne owoce, rosnące na dorodnych kiściach w ilościach tak obfitych, iż mimo naszych wielkich apetytów nigdy nie zdołaliśmy ich przejeść. Już od wczesnego rana – często jeszcze w nocnych, długich po łydki, białych lnianych koszulach – Zbyszek i ja oraz dzieci z pobliskich domów siedzieliśmy na niej, wyglądając niczym duchy na drzewie.

Na naszym podwórku rośla jeszcze jabłoń i dwie wysokie grusze, na których rodziły się znakomite owoce. Nasz sąsiad Hipolit miał wzdłuż naszego podwórka niewielki sad. Rosły tam wspaniałe wiśnie, potem dojrzewały nadzwyczaj smaczne śliwki. Często mieliśmy na nie wielką ochotę, lecz ojciec kategorycznie zabronił nam je zrywać. Ale zakazany owoc smakuje najbardziej, więc nie mogliśmy powstrzymać się, aby od czasu do czasu nie skusić się na nie. Zdarzało się, że sąsiad nas na tym przyłapał, lecz poza powiedzeniem kilku żartobliwych, czasem trochę ostrzejszych słów nie robił większej sprawy. Nie przypominam sobie, żeby kiedyś poskarżył się naszemu tacie, bo bym to zapamiętał, gdyż ojciec na pewno lekko by nam tego nie przepuścił.

Rosnące owoce były nie tylko smaczne, ale także bardzo zdrowe. Nikt ich niczym nie przyskał i zazwyczaj nie nawoził. Najwyżej raz na kilka lat przekopywano pod drzewami ziemię, dodając do niej trochę obornika albo kompostu. Bywało jednak, że zjadałem owoce niedojrzałe lub nawet zielone, po jakich to potem bolał mnie brzuch.

Pamiętam, iż żołądek bolał mnie dość często, nawet jeśli owoców nie jadłem. Czesia zwykle leczyła mnie wywarem z piołunu lub zaparzała herbatę z rumianku. Tylko w bardzo poważnych przypadkach, jak w chorobie mojej mamy, udawano się do Konstątnowa, Sarnak czy Białej Podlaskiej do lekarza. Większość ludzi, którzy zwykle dożywali sędziwej starości, nigdy chyba u lekarza nie była. Wszelkie choroby,

dolegliwości lub rany leczono przy pomocy baniek, ziół i rozmaitych roślin oraz innych sposobów. W leczeniu wykorzystywano też różne cechy i właściwości zwierząt. Pamiętam jednak, jak z pewnym lękiem i odrazą patrzyliśmy na przystawianie pijawek, co wysysały chorą krew z obolałych miejsc i którą to krew z nich potem wyciskano. Wielką atrakcją, natomiast, były dla nas świnki morskie, hodowane przez pewien czas w naszym domu. Biegały po mieszkaniu lub kryły się pod łózkami, sprawiając nam dużą uciechę. Świnki morskie miały leczyć reumatyzm, na który ojciec często się uskarżał.

*

Nie pamiętam dobrze Niemców w tym okresie. Kilku z nich kwaterowało u naszego sąsiada, Tadeusza. Widywałem ich także przechodzących przez wieś lub przychodzących czasami w jakiejś sprawie do naszego domu. Kilka razy dwóch lub trzech, chyba tych samych żołnierzy niemieckich wpadało do nas na jajecnicę na kiełbasie, kiedy to, jedząc, z humorem zachwalali niebywały jej smak i świetną znajomość sztuki kulinarnej ojca.

Raz, gdy byłem nad Bugiem, obserwowałem duży oddział Niemców i obok nich poustawiane w kozły karabiny. Byłem niedaleko tych karabinów, z dużym zaciekawieniem przyglądałem się im, ale jak chciałem podejść jeszcze bliżej, żołnierze jęli krzyczeć i musiałem się cofnąć.

Kiedy miałem siedem lat, chyba na krótko przed wycofywaniem się Niemców, wędrując raz z Cześcią i którąś z jej koleżanek dróżką między naszymi ogrodami a łąką, zauważyliśmy niemieckiego żołnierza. Siedział w kucki na łące przy sadzawce (czy też było to jakieś bajoro) i – jak dziewczyny mówiły – czyścił pistolet. Gdy nas spostrzegł, zaczął strzelać z pistoletu w ziemię. Mocno się wtedy wystraszyłem, ale dziewczyny, traktując to strzelanie jako umizgi do nich, przystanęły i zaczęły się tej scenie z ciekawością przyglądać. Żołnierz wówczas zaprzestał strzelania i jał kiwać do nas ręką, żebyśmy do niego podeszli. Trochę wystraszeni, zbliżyliśmy się do niego. Niemiec, śmiejąc się, zapytał, czy któraś z dziewczyn chciałaby sobie postrzelać. Jednak żadna z nich nie wyraziła na to ochoty. Wtedy chwycił on moją lewą dłoń, wcisnął w nią pistolet, przytrzymał swoją ręką i pokazał mi, abym palcem prawej ręki pociągnął za spust. Bałem się i nie przypominam już sobie, czy uczyniłem to sam, czy przy jego pomocy, w każdym razie pistolet wystrzelił. Ujrzałem błysk, a w uszach zagrzmiało jak od spadającego u moich stóp pioruna, aż mi się nogi w kolanach ugięły, i w ten oto sposób przeszedłem mój chrzest bojowy w strzelaniu z pistoletu. Z wrażenia szybko pożegnaliśmy się i poszliśmy dalej w swoim kierunku, a ja czułem się tego dnia jak największy bohater.

Lepiej pamiętam Niemców z czasu, kiedy się wycofywali. Było to latem 1944 roku. Stałem jednego dnia przed domem i patrzyłem, jak drogą przez wieś jadą na koniach niemieccy żołnierze. Jechali po czterech w jednym szeregu i podążali tak przez wiele godzin. Na plecach mieli karabiny, a koło pasa długie okrągłe puszkę na amunicję. Jechali spokojnie w zorganizowanym szyku. Słyszeć było tylko tętent idących miarowym stępem koni.

Przed nadchodzącym frontem ojciec wraz z sąsiadem Józefem wykopali w ogrodzie wspólny schron, do którego wkrótce przenieśliśmy się. We wsi było wówczas pełno Niemców. Na niebie latały samoloty. Z daleka dochodziły do nas wybuchy bomb, kanonada dział i terkot karabinów maszynowych. Jednakże, kiedy front był jeszcze za Bugiem, rodzice obu rodzin w dzień przebywali zwykle poza ziemianką, wykonując swoje obowiązki w gospodarstwie i na polu, pozostawiając nas dzieci same w schronie.

Gdy tak sami byliśmy w ziemiance, dochodziły do nas różne złowrogie wieści. Raz ktoś powiedział, że na polach spaliło się bardzo dużo dojrzałego już zboża;

innym razem, że gdzieś zapalił się las. Najbardziej zatrwożyła nas wiadomość, jaką przyniosła Wanda, wychodząc na krótko ze schronu. Powiedziała nam, że Niemcy mają rozstrzelać wszystkie dzieci we wsi, gdyż zginęła im susząca się na płocie menażka. Ludzie mówili, że na pewno wzięła ją babcia Kalinka, ale Niemcy posadzili o to dzieci i zagrozili, że jeśli owo naczynie się wkrótce nie znajdzie, to cała serpelicka dziatwa zostanie rozstrzelana. Było nas wtedy w ziemiance pięcioro. Usłyszawszy to, przeżywaliśmy potworny strach i baliśmy się nawet wyrzeć ze schronu. Wszelako Wandę zastanowiło to, czemu miałyby wziąć menażkę ta pocziwa staruszka, która czasami rozdawała dzieciom cukierki lub częstowała swoimi smakowitymi ciastkami. – Może źle policzyli albo sami ją gdzieś zapodziali! – powiedziała rozsierdzona Wanda. W końcu menażka chyba się znalazła, bo pozostawiono nas w spokoju.

Pewnej nocy, kiedy na chwilę musiałem wyjść na zewnątrz, zauważyłem pochylonego mężczyznę – był to jakiś cywil – który zjadał resztki jedzenia z naszych garnków wystawionych na noc z ziemianki.

W inną noc, w czasie przechodzącego już frontu, w schronie nikt nie spał. W związku z forsowaniem Bugu dochodziła do nas strzelanina tak straszna, że jeszcze do dzisiaj każde strzelanie z nią mi się kojarzy. Słyszeliśmy, jak obok nas z przeraźliwym świstem i hukiem spadają i rozrywają się pociski i wielkie bomby.

Gdy przeszedł front i wyszliśmy z ziemianki, zobaczyłem we wsi wiele domów poważnie uszkodzonych, a w każdym dziury od kul i odłamków, oraz dużo ściętych drzew, pełno dołów od bomb i pocisków. Nasz dom na szczęście niewiele ucierpiało.

Kiedy tylko przenieśliśmy się z powrotem do mieszkań, ja wraz z trzema kolegami w moim wieku (miałem trochę ponad siedem lat) wybraliśmy się do lasu, aby znaleźć tam... jakieś resztki uzbrojenia lub inne pozostałości po wojsku i przechodzącym froncie. Gdy tak w lesie chodziliśmy od okopu do okopu, nagle ujrzeliśmy pozostałego jeszcze niemieckiego żołnierza, który, z karabinem w ręku, nerwowo biegał, zaglądając do każdego okopu. Był on od nas w odległości może siedemdziesięciu metrów, może bliżej. Skoczyliśmy do jednego z tych dołów i jęliśmy mówić pacierze, modląc się, oby nas nie spostrzegł i do nas nie przyszedł. Po kilku minutach któryś z kolegów ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Niemca już nie było. Wyszliśmy więc uważnie z okopu i z tym, co znaleźliśmy, niczego więcej nie szukając, wystraszeni, ruszyliśmy w powrotną drogę do domu. Po drodze spotkaliśmy w lesie jadących na koniach radzieckich żołnierzy. Baliśmy się ich również, ale żeby jakoś rozładować sytuację, z daleka wołamy: „do swidanija”, sądząc, iż mówimy „dzień dobry”, a nie wiedząc, że po rosyjsku oznacza to „do widzenia”. Żołnierze, śmiejąc się i patrząc z zaciekawieniem na nasze torby i wiszący na plecach Jurka karabin, odpowiadają nam „do swidanija”. Jurek rzeczywiście wyglądał komicznie, bo chociaż był trochę starszy od nas, to karabin był chyba dłuższy od niego.

Wychodząc już prawie z lasu, spostrzegliśmy idących naprzeciw nam największych i najgroźniejszych naszych wrogów: chłopców z drugiego końca wsi. Było to pięciu lub sześciu o kilka lat starszych od nas chłopaków, którzy także szli do lasu szukać wojskowego uzbrojenia. Zeszliśmy więc szybko z drogi i wskoczyliśmy do jakiegoś schronu na krańcu lasu, gdzie raczej nie byłoby sensu, aby oni czegoś szukali. Gdyby nas dorwali, już na sam początek nieźle by się obłowili. Zdołaliśmy wszak znaleźć kilka granatów i pistoletów, jeden karabin – bo więcej nie braliśmy – oraz sporo do niego amunicji i trochę naboju do krótkiej broni. Znajdowaliśmy je przy zabitych żołnierzach niemieckich, czasami straszliwie zmasakrowanych, lub w lesie – szczególnie w krzakach i innych gęstych zaroślach, jakby je ktoś tam poukrywał – oraz w okopach i różnych bunkrach.

Gdy przeciwnicy byli już w głębi lasu, wyszliśmy ze schronu i doszliśmy do wiejskich zabudowań i naszych schowków, nie będąc przez starszych zauważeni. Wieczorem zbieramy się jeszcze i spieramy na temat podziału zdobyczy. Oglądamy pistolety, dopasowujemy naboje, zastanawiamy się nad próbą strzelania, ale odkładamy to na później. Dochodzimy jednak do wniosku, że nie mamy zbyt wielkich powodów do zadowolenia z naszej wyprawy. – To wszystko przez tego Niemca! Czemu on się nie zabrał razem ze swoimi? – dyskutujemy. Postanawiamy nazajutrz znowu wybrać się do lasu, i byliśmy w nim jeszcze kilka razy, lecz łup już niewielki.

*

Przed nadchodzącym frontem powynoszono z budynków gospodarskich wszelkie maszyny rolnicze, aby się nie spaliły w przypadku pożaru. Jedną maszynę do młócenia zboża, zwaną targanką, sąsiad Hipol postawił pod naszą gruszą. Bardzo nas ta maszyna intrygowała i ciekawiła. Ja ze Zbyszkiem i jeszcze dwoma moimi kolegami jęliśmy kręcić wielkim kołem zębatym. Udało się nawet je mocno rozpędzić, ale wtedy moja prawa ręka dostała się w tryby i opuściła je w okolicy łokcia. Kciuk i palec wskazujący zostały zmiażdżone. Cała ręka do łokcia mocno krwawiła. Uczułem wielki ból. Zacząłem krzyczeć i płakać. Przybiegli starsi ludzie i czym mogli opatryli mi rękę. Były akurat żniwa: tata i siostry pracowali w polu. Przywołano ojca, który zaraz poprowadził mnie do Konstątnowa do doktora. Odszukany tam radziecki lekarz wojskowy oczyścił mi rękę ze smarów, odkaził ranę wodą utlenioną, a gdy mnie bardzo bolało, od czasu do czasu polewał okaleczone miejsca wodą Burowa, co przynosiło mi znaczną ulgę. Następnie rękę wymoczył w kalii, a bandażując przyłożył siatkę drucianą, żeby ją unieruchomić. Potem uwiesił mi rękę na temblaku i do dalszego leczenia polecił nam pójść rano do wojskowego punktu sanitarnego, który znajdował się w Konstątnowie przy lotnisku.

Ojciec pozostawił mnie na noc u znajomych w tym miasteczku, a gdy rano wrócił, poszliśmy do punktu sanitarnego. Tam pani doktor orzekła, iż palec wskazujący będzie można wyleczyć, ale kciuk trzeba amputować. Na prośbę taty, żeby kciuk również próbować leczyć, rosyjska lekarka powiedziała, iż należy w takim razie pojechać do szpitala do Łosic, być może oni będą mogli tego dokonać.

Samochodami wojskowymi, z kilkoma przesiadkami, po południu dotarliśmy do Łosic. Z godzinę lub dwie musieliśmy przed szpitalem poczekać, bo akurat duży samochód sanitarny przywiózł rannych żołnierzy z frontu i wszyscy lekarze byli bardzo zajęci. Po południowej i zachodniej stronie budynku, który zdaje mi się był szkołą zamienioną w szpital, stały wielkie brezentowe namioty. Nie przypominam sobie, czy ich ściany boczne były poodstawiane, czy może ich wcale nie było, ale widziałem, jak pod tymi brezentowymi dachami leżeli na żelaznych pryczach ranni żołnierze radzieccy. Namiotów tych było chyba cztery, a żołnierzy kilkuset. Między szpitalem a namiotami chodziły po ziemi i fruwały w powietrzu gołębie, których było bardzo dużo i których żołnierze rzucali pożywienie.

Gdy wezwano nas na wielką salę opatrunkową, gdzie również dokonywano różnych zabiegów chirurgicznych, zobaczyłem widok, którego nigdy nie zapomnę. Na około dziesięciu stołach leżeli lub siedzieli ranni żołnierze, mający okaleczenia tak potworne, iż potem powiedziałem ojcu, że moja rana w stosunku do tamtych jest prawie niczym. Wszelako lekarz kazał ojcu wyjść z sali, gdy chciał obejrzeć ranę, ale ja się wtedy głośno rozplakałem, więc założono tacie biały fartuch i pozwolono przy mnie pozostać. Po oględzinach rany chirurg, niestety, potwierdził opinię, że kciuk trzeba amputować, i to jak najszybciej. W rozmowie z ojcem uzgodniono, że operacja odbędzie się w Konstątnowie w poprzednim punkcie sanitarnym, bo będzie nam tam wygodniej, a ponadto akurat przywieziono tu wielu ciężko rannych żołnierzy, których należało szybko operować, a do wieczora było już niedaleko.

Popatrzyliśmy jeszcze przez chwilę na tę wielką salę, w której tak niezwykle sceny się działy, wiedząc, że tego widoku nigdy nie zapomnimy i będziemy do niego w myślach nieraz powracać. Wyszliśmy na drogę, wypatrując jakiegoś samochodu, ale tylko wojskowe jeździły i dwoma lub trzema z przesiadkami do Konstantynowa wieczorem przyjechaliśmy.

W tym miasteczku obaj z ojcem pozostaliśmy u naszej znajomej na noc, a rano poszliśmy do wojskowego ambulatorium znajdującego się przy lotnisku. Tam pani doktor przykryła mi oczy kawałkiem białego płótna, znieczuliła ranę przez zamrożenie i dokonała amputacji kciuka.

Co trzeci dzień przyjeżdżaliśmy do niej na zmianę opatrunku, a ja za każdym razem prosiłem, żeby więcej polewała ranę wodą Burowa, a pewnego dnia spytałem, czy mi palec odrośnie. Dużo było kłopotów z dojazdami. Do Konstantynowa było ponad siedem kilometrów, a ojciec nie miał wówczas swojego konia. Chodziliśmy więc piechotą, czasami ktoś po drodze, chociaż kawałek, ile pasowało, podrzucił nas wozem konnym. Niejednokrotnie podwozili nas samochodem radzieccy żołnierze, częstując przy okazji wojskową kiełbasą, a kiedyś nawet podwieźli wozem zaprzężonym w wielbłądy. Tacie to chodzenie ze mną pochłaniało bardzo dużo czasu, tak potrzebnego na polu w czasie żniw. Ale wracając raz piechotą z Konstantynowa powiedział mi, że dopiero teraz zobaczył i poznał, co to jest wojna, jeżdżąc po wojennych szpitalach tuż na tyłach linii frontu.

Potem ojciec sam robił opatrunki w domu. Po dwóch miesiącach rana zagoiła się i z niewielkim opóźnieniem, we wrześniu 1944 roku, zacząłem chodzić do szkoły.

*

Mimo że wojna jeszcze trwała, dla nas już się skończyła i nikt nie miał wątpliwości, że Niemcy zostaną pokonani. Ludzie z wielką chęcią i zapałem zabrali się do usuwania szkód i nadrabiania powstałych zaległości. Znany we wsi przepowiadacz, Szymon, którego nazywaliśmy prorokiem, powiedział nawet, że trzeciej takiej wojny już nigdy nie będzie. Twierdził, że gdyby następna wojna miała być za dwadzieścia lat, podobnie jak ta druga wybuchła po pierwszej wojnie światowej, to technika będzie już tak wysoko rozwinięta, że wszyscy ludzie nawzajem by się pozabijali i nie byłoby sensu wojować.

Szymon był niezwykle ciekawym człowiekiem, ale we wsi nie cieszył się największym poważaniem. Mimo to każde jego słowo było traktowane jak przepowiednia. Wówczas jednak, zarówno w Serpelicach, jak i w okolicy było wielu takich wróżbiarzy, zwykle przepowiadających szczęśliwe nowiny, chociaż nie zawsze. Być może przez tę wojnę, w tym ciężkim okresie, kiedy trudno było coś pocieszającego zrobić czy wymyślić, wszelkie dobre wróżby były bardzo na czasie i chętnie słuchane. Szymon twierdził, że z naszej wsi w przyszłości powstanie miasto, ze względu na jej dobre położenie nad Bugiem. Mówił też, że na Suprunowej Górze będą kiedyś kopać jakieś kopaliny.

Raz naszej dobrej znajomej, Marii, przyśniło się, że stały u niej w oknie trzy kwiaty, a jeden z nich spadł na podłogę i rozbił się. Gdy spotkała Szymona i opowiedziała mu ten sen, ów prorok zastanowił się chwilę, po czym rzekł, by uważała, bo te trzy ozdobne rośliny mogą oznaczać jej troje dzieci, a upadek jednego kwiatka w tym śnie może być znakiem, że jedno z nich umrze. Za kilka dni jej syn zachorował na dur brzuszny, a po kilkunastu następnych dniach zmarł. Przepowiednię tę Maria wspominała później często i sam to kilkakrotnie od niej słyszałem.

Pewnego dnia, kiedy rana moja już się zagoiła, Szymon przyszedł do nas. Może pragnął mnie pocieszyć. Wziął moją rękę, popatrzył na nią i powiedział, żebym się nie martwił, bo mimo że nie mam już tego palca, to będę jeszcze w życiu szczęśliwy i

będzie mi się dobrze powodziło. Powiedział ponadto dużo innych dobrych i ciekawych rzeczy, które wszystkim słuchającym go w domu wydały się jednak zbyt optymistyczne i mało prawdopodobne. Gdy wyszedł, zaczęto z niego trochę pokpiwać, co mi się wcale nie podobało, a ktoś nawet powiedział, że może wywróżył to wszystko z mojego palca, którego już nie miałem.

Jeśli jednak miała to być prawda, to najwidoczniej trzeba było na nią jeszcze długo poczekać, a teraz pilnie chodzić do szkoły i, jak mawiał ojciec, dobrze się uczyć.

*

Wszelako niewiele przypominam sobie tę właściwą naukę w pierwszych miesiącach chodzenia do szkoły, gdyż byliśmy wówczas ogarnięci i zaślepieni jakimś szalem minionej wojny i, o wiele bardziej od nauki, interesowaliśmy się jej pozostałościami. Tak więc z tego, co ze szkołą było związane, najbardziej pamiętam drogę, która prowadziła przez las. Nie szliśmy jednak tą właściwą drogą, wiodącą wąwozem, tylko maszerowaliśmy zygzakowatym szlakiem wyznaczonym przez trupy leżące w lesie, które kolejno oglądaliśmy, nim je później pozakopywano.

Trzeba tu wspomnieć, iż sam wąwóz wyglądał już wystarczająco tragicznie i intrygująco, gdyż przebiegał przez jakieś stare cmentarzysko. W czasie większej ulewy potoki wody zmywały ze zboczy wąwozu piasek i odsłaniały różne kości, które my, idąc do szkoły, z zaciekawieniem wypatrywaliśmy i oglądali. Kości te potem chyba ktoś zakopywał, bo gdzieś one znikaly, a może my sami wyrzucaliśmy je z wąwozu do lasu, gdzie następnie zarastały trawą.

Teraz woleliśmy trupy od kości, a chodząc po lesie, znajdowaliśmy jeszcze różne naboje, pociski lub inne pozostałości przechodzącego frontu, które skrzętnie zbieraliśmy i wkładaliśmy do naszych tornistrów i kieszeni. Niekiedy przynosiliśmy jeszcze do szkoły z domu co ciekawsze „zdobycze”, aby pochwalić się nimi swoim kolegom z klasy. Z czasem jednak przynoszenie tych znalezisk do szkoły zostało ukrócone. Nauczyciel spostrzegłszy raz, iż jeden uczeń w ogóle nie interesuje się lekcją, tylko pod ławką coś manipuluje, niepostrzeżenie zaszedł go od tyłu i zauważył, że jest zajęty rozbieraniem niewypału. Od tego czasu wyrывkowo kontrolował nam tornistry, a w czasie lekcji kazał trzymać ręce na ławce.

W domu wszystkie nasze zabawki składały się teraz z różnych detali wojskowego uzbrojenia. Były to naboje, pociski, moździerz, granaty i miny. Wszystko to było w całości lub porozbierane na części. Szczególnie popularne były lotki od pocisków moździerzowych i zapalniki min, które nazywaliśmy armatkami. Były transportery puste i z wielkimi nabojami, był proch luzem jak mak i w jedwabnych woreczkach, wydobyty z pocisków przeciwlotniczych, i proch w kształcie patyczków albo posiekanego makaronu, w krążkach z dziurką i bez dziurki, w kwadracikach czy też w kwadratowych cienkich listeczkach oraz w różnych innych formach i postaciach. Były lonty, druty i kable, szpule i szpuleczki, koła i kółeczka, części zestrzelonych samolotów i naziemnych pojazdów, mniej lub więcej rozkalibrowane pistolety, jak i całkiem dobre karabiny. Zabawialiśmy się owymi znaleziskami, handlowaliśmy ewentualnie wymienialiśmy się nimi. Rodzice zabierali nam bardziej niebezpieczne rzeczy, ale w budynkach gospodarskich było tyle rozmaitych kątów i zakamarków, że łatwo było wszystko ukryć.

Z trwogą przypominam sobie, jak któregoś roku po wojnie wystrzeliłem raz za stodołami z jakiegoś zdezelowanego pistoletu sądząc, że w pobliżu nikogo nie ma. Lecz jeden z sąsiadów pracował w przymkniętej stodole, a słysząc wystrzał, wybiegł, odebrał mi pistolet i oddał później mojemu ojcu. Otrzymałem za to porządne lanie. Wszelako nie tylko ja próbowałem strzelać, gdyż w tych czasach we wsi często było słychać różne wystrzały.

Niektórzy starsi chłopcy byli już tak wytrenowani w rozbieraniu wszelkich pocisków, granatów, min i innych niewypałów, iż mówiono, że nawet najwytrawniejsi saperzy mogliby się od nich jeszcze wiele nauczyć. Niestety, nie wszystko zawsze się udawało. Kilku chłopców zostało rannych, a czternastoletni Roman poniósł śmierć w czasie rozbierania miny na polu minowym koło Bugu. Byłem na jego pogrzebie, na który przybyło bardzo dużo ludzi.

*

Pamiętam dzień, w którym skończyła się wojna. Dowiedziałem się o tym od mojego bardzo dobrego kolegi, Stacha, posiadającego w domu radio na słuchawkę. Starsi ludzie we wsi niezwykle cieszyli się i słyszałem, jak w niektórych domach w ów dzień rozlegały się wiwatujące śpiewy.

Mimo że walki już się skończyły, my młodzi, niepomińcie niebezpieczeństw i nieszczęśliwych wypadków, dalej nie mieliśmy zamiaru kapitulować. Latem, podczas wakacji, ja i trzech moich kolegów uprzątnęliśmy i doprowadziliśmy do porządku jeden z frontowych ziemnych bunkrów, jakich było wiele w lesie za stodołami, i przenieśliśmy do niego część posiadanej przez nas „oręża”. Uczyniwszy to, schron zamaskowaliśmy i jeśli nie przebywaliśmy w nim, to pilnowaliśmy bunkra, często go odwiedzając, żeby nam ktoś czegoś nie zabrał.

Urządzając schron, przygotowaliśmy się do wojny z Kończanami. Od dawien dawna bowiem chłopcy z obu przeciwległych końców wsi dzielili się na dwa przeciwstawne obozy, przezywające się nawzajem Kończanami. O przynależności do jednego lub drugiego obozu decydowało to, na którym krańcu wsi dany chłopak mieszka. Nas czterech ośmiolatków, władców owego schronu, mieszkało akurat w środku wsi, ale zgłosiliśmy swój akces do obozu od strony Bugu, gdyż tędy chodziliśmy do szkoły, więc można już było chodzić samemu, nie obawiając się tamtejszych chłopaków.

Pewnego dnia, nim rozgorzała nasza największa bitwa, przyszedł do naszego bunkra Heniek, chłopak z przeciwnego obozu, i kazał nam z niego wyjść. Gdy to uczyniliśmy, powiedział, żebyśmy przyłączyli się do jego obozu, bo inaczej zabierze nas do niewoli. Był chyba z pięć lat od nas starszy i w dodatku wysokiego wzrostu. Ubrany był w niemiecki mundur, a na głowie nosił rosyjski hełm. Przez ramiona miał przerzucone dwie taśmy amunicji, krzyżujące się w okolicy pasa, i niemiecki karabin, a przy pasie wiszące dwa pistolety. Spytał krótko, czy z nim pójdziemy sami, czy ma nas siłą zabrać ze sobą? Nie było co się sprzeciwiać, więc w szyku gęsiego poszliśmy za nim, chyba do tej niewoli, jako że nie wyraziliśmy przecież chęci przystąpienia do jego obozu. Całe szczęście, że dokładnie nie zajrzał do naszego bunkra. Wprawdzie to, co było w nim najcenniejsze, zakopaliśmy głęboko na dnie, ale gdyby kazał nam zabrać ze sobą to, co jeszcze było widoczne, to i tak dużo byśmy stracili.

Gdy przybyliśmy na ich teren, Heniek kazał nam wejść do wyjątkowo dużego schronu. Oczywiście wyszły nam na wierzch na widok tego, co w nim zobaczyliśmy. Był to prawdziwy arsenał, który wystarczyłby do uzbrojenia sporego oddziału wojska. Jednakże zorientowaliśmy się niebawem, że doprowadzenie nas tu ma tylko na celu zastraszenie przeciwnika i pochwalenie się swoim orężem, bowiem wkrótce z niewoli nas wypuszczono. Chłopaki z drugiego końca wsi, do których my przyłączyliśmy się, mieli także podobne schrony, lecz nigdy takiego wielkiego jak ten, z tak dużą ilością uzbrojenia, u nich nie widzieliśmy.

Wreszcie, pewnego upalnego dnia, w czasie południowej przerwy w pasieniu krów, rozpoczęła się bitwa między dwoma obozami, wobec której wszystkie poprzednie i następne walki były tylko małymi potyczkami. Nasi przeciwnicy, z Heńkiem na czele, wyszli pierwsi z lasu i jęli na nas nacierać. Nastąpiła strzelanina,

choć tylko w powietrze lub ponad naszymi głowami, i posypały się kamienie, lecz te już prosto na nas. My odpowiadaliśmy im z nie mniejszą zaciekłością. Potem doszło do walki wręcz. Wprawdzie bagnietami tylko straszono, ale kolbą karabinu niejednego oberwał. Młodzi chłopcy przez cały czas czynili wielki harmider drewnianymi terkotkami. Kręcąc nimi, naśladowali strzelaninę z karabinów maszynowych.

Bitwa trwała kilka godzin. Byli pobici i ranni. W końcu rodzice pracujący na polach, słysząc jakąś zbyt dużą liczbę wystrzałów we wsi, przybiegli ze swoich niw i nas porozganiali. Gwoli prawdy i ścisłości muszę dodać, iż rozpędzały nas głównie kobiety, gdyż wielu mężczyzn stanęło tylko z boku i podziwiała, jakich to dzielnych mają synów i przyszłych żołnierzy we wsi, za co zirytowane kobiety przepędzały ich razem z nami.

*

Pewnej nocy, jesienią 1945 roku, obudziło nas stukanie do drzwi i wołanie: „Czesiu otwórz!” Poznaliśmy po głosie, że był to Kazik. Niemcy wywieźli go na roboty do Francji, ale przez ostatnie dwa lata nie było od niego żadnych wiadomości i bardzo martwiliśmy się o niego, tym bardziej iż wielu innych ludzi, których Niemcy razem z nim zabrali, dawno już powróciło do domu. Było to około godziny trzeciej w nocy, więc po krótkim tylko przywitaniu z bratem poszliśmy znowu spać, lecz ja nie mogłem doczekać rana, żeby mu się lepiej przyjrzeć i z nim porozmawiać.

Rano Kazik też wstał wcześniej, był w dobrym humorze i bardzo się cieszył, że znowu jest z nami. Wręczył nam wszystkim drobne prezenty. Pamiętam, iż były to między innymi wieczne pióra i automatyczne ołówki. Wyglądał mizernie, ale mówił, że jest bardzo zmęczony, gdyż, wskutek źle jeszcze funkcjonującego transportu, połowę drogi z Francji przeszedł piechotą. Lubiałem słuchać jego opowiadań i z nim rozmawiać, jednakże pobyt z nami niedługo, może miesiąc, po czym pojechał szukać swojej szansy życiowej na odzyskanych ziemiach zachodnich. Osiadł koło Bolesławca i tam się ożenił.

Być może nie przypadły mu do gustu obecne zwyczaje jego rówieśników w naszej wsi. Chłopcy teraz, szczególnie na wiejskich zabawach, często bili się, używając do bójek noży i broni palnej. Czasami walczyli o którąś dziewczynę, innym razem powodem sporu były odmienne poglądy polityczne. Często jednak bili się nie wiadomo o co, jedynie po to, aby się bić, i tylko przywołujące do bratniej zgody kazania, wygłaszane przez księdza z ambony naszej kaplicy, na jakiś czas ich uspokajały.

Starsi ludzie we wsi mówili, i na pewno mieli rację, iż młodzież zepsuła się tak przez tę wojnę. Niektórzy z młodych chłopców przesiedzieli bowiem długi czas w lasach lub gdzie się tylko dało, walcząc w partyzantce albo ukrywając się przed Niemcami, a ci, co pozostawali w domu, mogli pić i bić się do woli – okupantom to nie przeszkadzało.

Przypominam sobie tych dorosłych chłopców szczególnie z okresu, kiedy już po wojnie przychodzili do nas do domu, gdy były u nas „prządki”. Zimą, w długie wieczory, dziewczyny zbierały się u którejś z nich w domu i wspólnie spędzały czas, przędąc na kołowrotkach lub wykonując robótki ręczne szydełkiem albo na drutach. Takie wieczorki nazywano właśnie „prządkami”. Co pewien czas „prządki” odbywały się i u nas. Siostry przygotowując się do nich, dokładnie sprzątały mieszkanie, a ojciec palił w piecu i szykował karbidówkę, żeby dobrze świeciła. Wkładał wtedy do niej pełną miarkę karbidu i zalewał wodą, a powstały z tej reakcji gaz wydobywał się regulowanym palnikiem, nad którym go zapalano. Karbidówka świeciła o wiele jaśniej niż lampa naftowa, tylko że trochę czuć było od niej zapachem karbidu.

Gdy wszystkie dziewczyny już przyszły i każda zajęła swoje miejsce, najpierw ze sobą rozmawiały, później pięknie śpiewały – od czasu do czasu dyskretnie

nasłuchując, czy jacyś chłopcy nie kręcą się pod oknami. Jakoż chłopcy o nich nie zapomnieli. Po zrobieniu gospodarskich obrządków i pokrzepieniu się czymś „mocniejszym”, zwykle swojego wyrobu, rychło odnajdywali dom, w którym odbywały się „prządki” i poczynali ku niemu różne podchody. Wpierw nieśmiało zaglądali przez okna (zasłon nie było), a potem ktoś krzyknął, ktoś gwizdnął i już było wiadomo, że są koło domu. Niektórzy z nich posiadali kieszonkowe latarki, więc świecili nimi przez okna. Lubili straszyć dziewczyny, przeto naklejali na szybach trupie czaszki wycięte z białego papieru lub pokazywali jakieś inne straszdyła. Potrafili też w taki sposób przesuwając dłonią po ramie okiennej, że szyby dudniły niczym rozlegający się grzmot. Czasami ktoś jeszcze z czegoś za oknem wystrzelił. Gdy ta zabawa już im się znudziła, podchodzili do zaryglowanych drzwi i zaczynali się z nimi mocować. Kiedy zamknięcia puściły albo dla ich ocalenia Czeška je otworzyła, kawalerka wpadała do środka. Na początku był zawsze pewien moment onieśmienia, ale gdy młodzieńcy ochłonęli z pierwszego wrażenia, coraz bardziej dawali znać o sobie. Wypowiadali wtedy różne dowcipy lub śpiewali piosenki, dodając własne „słówka” do rymu.

Niektórzy chłopcy zachowywali się nawet całkiem grzecznie i spokojnie. Pamiętam, że jeden z nich często przynosił i dawał mi jakieś wymyślne, nietypowe guziki, które ja z kolei pokazywałem dziewczynom. Dziewczyny, podziwiając je, uśmiechały się szczerze, darząc niejako swoim uśmiechem również i kawalera, który dawał mi te guziki.

Kiedy opowiadanie dowcipów i śpiewy już się znudziły, wówczas któryś chłopak rzucał nagle czapkę swojego kamrata w karbidówkę tak, że gasła, a czasem nawet spadała. W mieszkaniu powstawał wielki zamęt, krzyk, śmiechy i piskliwe wołania dziewczyn o pomoc. Jednakże karbidówkę ktoś za chwilę zapalał i znowu wszystko wracało „do normy”. Najczęściej karbidówkę gaszono kilka razy przez wieczór, zresztą za każdym razem przebieg „prządek” wyglądał trochę inaczej. Niekiedy zdarzało się, że podpalono kądziel którejś dziewczynie, a gdy płomień stawał się niebezpieczny, wszyscy bohatercko gasili ogień, po czym dom wyglądał jak po potopie. Był to zazwyczaj ostatni akt „prządek”, albowiem obrażona dziewczyna zwykle opuszczała wtedy towarzystwo, a za nią solidarnie wychodziły następne.

Bardzo bałem się tych chłopców, którzy przychodzili wówczas do nas, ale gdy „prządek” już długo nie było, z utęsknieniem i wielką emocją czekałem na nie. Nie wiem dlaczego, lecz ojciec zawsze wychodził w czasie ich trwania gdzieś do sąsiadów. Być może dlatego, że jego pobyt w mieszkaniu jeszcze pogorszyłby sytuację. Nie było łatwo uspokoić lub wyrzucić z domu dziesięciu młodzieńców, żadnych ubawu, przygody i dystrykcji, której na co dzień nie mieli za wiele. Jeśli chodzi o dziewczyny, one to wszystko jakoś tolerowały i przychodziły na następne „prządki”. Uważały zapewne, że po ich ciężkiej codziennej pracy trochę rozrywki też nie zaszkodzi.

*

O ile młodsza młodzież mogła sobie trochę poswawolić – gdyż bez ważnej przyczyny na ogół nie zatrudniano dzieci przy bardziej uciążliwych pracach w gospodarstwie, pozostawiając im w zasadzie tylko naukę w szkole i pasienie krów – to starsi mieszkańcy wsi prawie bez przerwy pracowali. Przypominam sobie, jak mój ojciec albo rodzice moich kolegów często mówili, że nie mają czasu, bo właśnie coś robią lub mają jeszcze coś pilnego do wykonania. Zawsze byli czymś zajęci od wczesnego rana do późnego wieczoru, latem i zimą, w dni zwykle, jak i w święta, w które również w gospodarstwie było wiele do zrobienia. Jednakże w dni świąteczne znajdowali trochę wolnego czasu, aby po przyjściu z kościoła i zrobieniu obrządków gospodarskich dłużej z nami porozmawiać w domu, gdzieś pójść albo pograć w jakąś grę.

Niezwykle dbali o gospodarstwa i bardzo lubili swoją pracę. Może właśnie dlatego, że tak dużo pracowali, mieli w sobie dużo werwy i chęci do życia, niewiele chorowali i nigdy w owych latach nie słyszałem, żeby we wsi ktoś nagle zmarł na zawał serca.

Mieli też życie piękne i interesujące, pełne pasji i zachwytu. Bowiem nic w życiu nie daje tyle radości, co własna twórcza praca oraz przyjemność oglądania jej efektów i podziwiania swojego dzieła w postaci udanie wykonanej półki, ładnie pomalowanego płotu czy dobrze zasianego łąnu zboża.

*

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Bug, ale już od najmłodszych lat nad nim bywałem. Bug był dla nas rzeką niezwykle atrakcyjną i dużo czasu nad nim spędzaliśmy. Od końca wsi do samego Bugu rozpościerały się pastwiska, które były także dobrym miejscem do zabaw i biegania. Między pastwiskami a rzeką ciągnął się miejscami dość szeroki pas plaży o czystym ładnym piasku, gdzie można było leżeć, siedzieć i bawić się całymi godzinami.

Na Bugu znajdowały się długie piaszczyste łachy, a kilka z nich, które utworzyły się dawniej, było już porośniętych wysoką trawą i zaroślami. Łachy te nazywaliśmy wyspami, a na niektóre z nich można było dostać się przechodząc brodami rzeki. Na pozostałe ławice jak również na drugi brzeg Bugu przeprawialiśmy się stojąc, siedząc lub leżąc na długich balach, które, z braku innego miejsca, składowano tu blisko plaży. Płynąc na nich, wiosłowaliśmy kijami.

Na leśnych polanach nad Bugiem oglądaliśmy różne występy i pokazy przy ognisku, organizowane przez obozujących tu harcerzy przybyłych z Warszawy, Siedlec, Białej Podlaskiej oraz innych miast. Zamieszkiwali oni w dużych namiotach w lesie, ustawionych przy ładnie wykonanych alejkach wijących się wśród drzew. Spośród rozmaitych ozdób i ornamentów, jakie przy nich robili, przypominam sobie piękne, wielkie i mniejsze lilijki harcerskie ułożone z szyszek sosnowych na ziemi.

My wielokrotnie w tych lasach bawiliśmy się w różne ciekawe gry i zabawy, jak np. w Indian, organizowane przez brata Bartłomieja z naszego kościoła Braci Mniejszych Kapucynów Zakonu Franciszkańskiego. Te bardzo atrakcyjne leśne zabawy zwykle trwały przez wiele godzin i często kończyły się przyjemną pogawędką i śpiewem przy rozpalonym ognisku.

Wiosną Bug wylewał bardzo szeroko, a niosąc piętzącą się i głośno trzaskającą krę, był wielkim żywiołem i sprawiał niezwykle wrażenie.

W latach, kiedy nabawiliśmy się już wojennymi „zabawkami” – zresztą coraz bardziej ich gdzieś ubywało – najwięcej wolnego czasu spędzałem właśnie nad Bugiem. Tu z kolegami bawiłem się, kąpałem oraz łowiłem ryby wędką, kołyską i różnymi siatkami.

Bawiliśmy się też we wsi na drogach i przydomowych podwórkach. Niewiele graliśmy w piłkę nożną, bo zresztą szmacianka nie bardzo się do tego celu nadawała, za to często grywaliśmy w dwa ognie i inne gry polegające na celnym nią rzucaniu i sprytnym chwytaniu. Niekiedy zabawialiśmy się strzelaniem kamieniami z procy gumowej na widelkach albo procy na dwóch sznurkach, jednakże w obrębie zabudowań było to przez rodziców zabronione, jako że czasami zabawa ta kończyła się wybiciem szyby w którymś oknie.

W tym czasie często bawiliśmy się w chowanego lub w ładną pogodę siadaliśmy na trawie i bawiliśmy się nożem, rzucając nim z różnych pozycji i w rozmaity sposób tak, aby ostrzem wbił się w ziemię i nie przewrócił się. Na trawie również grywaliśmy sporządzonymi przez siebie kartami, zwykle w wojnę, durnia czy świnkę.

Młodsze dzieci rysowały patykami na ziemi prostokąty albo inne figury, które dzieliły na mniejsze pola i rzucały na nie szkiełkiem tak, żeby kolejno trafić w każde

pole. Następnie skakały po nich do przodu i do tyłu, na jednej lub dwóch nogach, z jednego pola na drugie tak, żeby nie nadepnąć na linię.

Dużo też biegaliśmy po wiejskiej drodze, urządzając różne wyścigi. Często bawiliśmy się w berka. Niekiedy goniliśmy za obręczą koła rowerowego, wkładając w jego wyżłobienie patyk i popychając nim obręcz przed sobą. Jeśli ktoś nie miał obręczy, brał z domu kuchenną fajerkę i biegł za nią, pędząc ją przed sobą drutem zagiętym w kształcie ręcznie pisanej litery „Y”.

Czasami opuszczaliśmy nasze podwórka i szliśmy do lasu na jagody, grzyby lub orzechy. Wychodziliśmy też na pola, gdzie napawaliśmy się ich pięknymi widokami i zbieraliśmy gruszki pod gruszami, których wiele rośnie przy polnych drogach i na miedzach. Nieraz dochodziliśmy do innych wsi, skąd wracaliśmy dopiero wieczorem. Bardzo lubiłem takie wycieczki, na które latem, podobnie jak do szkoły i na podwórko, chodziliśmy boso. Udawałem się na nie z największą radością, jakiej można doświadczyć chyba tylko w tym wieku. Byłem dumny, gdy zaszliśmy gdzieś bardzo daleko, i z wielką ciekawością przyglądałem się nowym widokom oraz nieznany mi miejscom i okolicom. Często miewaliśmy różne przygody, które zazwyczaj wprawiały nas w dobry nastrój, wesołość i śmiechy. Bywało też, że przeżywaliśmy lęk, gdy na przykład zbłądziliśmy w lesie i baliśmy się, czy z powrotem dojdziemy do domu. Ale do domu zawsze wracaliśmy szczęśliwie, nieraz już o zachodzie słońca, i mieliśmy co opowiadać podczas kolacji, które w ciepłe letnie wieczory odbywały się zwykle na podwórku przed domem.

Jak miałem już dziewięć i dziesięć lat, chodziłem z kolegami do dalszych wsi i miasteczek na misje i odpusty, kiedy to dużą przyjemnością było jeszcze to, że po skończonej mszy mogłem sobie coś kupić lub spróbować szczęścia w fantowej loterii na poustawianych przed kościołem straganach, albo pokręcić się na karuzeli.

*

Kiedy skończyły się wakacje, szliśmy do szkoły. Nie przypominam sobie dokładnie, ile klas i ilu nauczycieli było w naszej szkole w pierwszych latach po wojnie. Pamiętam, że kierownikiem był nauczyciel w średnim wieku, który przybył z Krakowa, mieszkał w szkole i uczył naszą klasę większości przedmiotów. Potrafił utrzymać w klasie dyscyplinę i porządek. Miał duży autorytet, trochę baliśmy się go, ale był przez nas bardzo lubiany. Prowadził sklepik przyborów szkolnych, który mieścił się w jednej z szaf stojących przy drzwiach wejściowych w naszej klasie. Przypominam sobie również nauczycielkę, która uczyła śpiewu. Na jej lekcjach zwykle było więcej krzyku niż śpiewania i w ogóle wielki rozgardiasz, tak że czasami kierownik przychodził nas uspokoić.

Jeśli chodzi o naukę, to lubiłem matematykę, ale jeszcze bardziej język polski, szczególnie w drugiej klasie, gdy w podręczniku do tego przedmiotu były kolorowe rysunki i bardzo interesujące czytanki na temat egzotycznych zwierząt. Jednego razu znalazłem w zaroślach koło szkoły podręcznik do historii dla starszej klasy. Pewnie ktoś go wyrzucił, bo był mocno zniszczony, lecz ja go ukryłem głęboko w tornistrze, przyniosłem do domu i schowałem za krokwią pod strzechą. Zimą często wchodziłem na strych, wyciągałem z ukrycia podręcznik i czytałem. Były w nim ciekawe obrazki bitew wojennych, żołnierzy, legionów, kawalerii na koniach, armat i innej broni. Najpierw czytałem objaśnienia pod tymi ilustracjami, a potem całe stronicę, na których były zamieszczone najciekawsze ryciny. Chyba najlepiej nauczyłem się czytać, studiując właśnie tę książkę, o której w domu nic nie mówiłem w obawie, żeby ojciec nie kazał mi jej odnieść do szkoły. Prócz czytania bardzo lubiłem lekcje rysunków i dużo rysowałem oraz malowałem w domu.

Do domu zadawano nam niewiele, ale jeśli ktoś się tego nie nauczył, czy też nie napisał, to zostawał po lekcjach w szkole tak długo, aż wszystko odrobił. Zdarzało

się, że uczniowie uciekali wtedy przez okno, ale nie było to opłacalne, gdyż na drugi dzień zaległości i tak musieli wyrównać, a do tego otrzymywali karę w postaci razów linijką po dłoni lub różgą w najodpowiedniejsze po temu miejsce.

Na marginesie tego tematu przypominam sobie pewną historię związaną z hałasowaniem w czasie lekcji śpiewu. Otóż na jednej z tych lekcji zrobiliśmy taką wrzawę, że aż nauczycielka poszła do kierownika ze skargą i prośbą, aby nas uspokoił. Kierownik wnet przybył do naszej sali.

– Kto tu najwięcej krzyczał? – zawołał, ledwie przekroczywszy próg klasy.

Kilku chłopców siedzących z przodu powiedziało, że najbardziej hałasowałem ja i Franek. Obaj siedzieliśmy daleko z tyłu, ale każdy w innej ławce.

Wcale nie wydawało mi się, że zachowywaliśmy się najgłośniejszy, bo na przykład Franek miał z natury tak cichy głos, że jak mówił, to prawie nie było go słychać. Ale kierownik na to nie zważał, tylko powiedział, żeby w czasie przerwy wszyscy opuścili salę, a my obaj pozostaliśmy w klasie.

Gdy nadeszła pauza, przyszedł kierownik i pouczył nas, żebyśmy więcej na lekcji nie hałasowali. Następnie, nie tracąc wiele czasu, wyciągnął z szafy niewielką różgę i po dżentelmeńsku spytał, ile razy ma nas nią za karę wychłostać. Najpierw zwrócił się do Franka, a ten jak zwykle cicho, prawie szeptem powiedział: – siedem.

Nie wiem, czy kierownik nie usłyszał czy nie dowierzał temu, co słyszał, bo spytał go jeszcze raz.

– Siedem – trochę głośniejszy powtórzył Franek.

Kiedy już nie było wątpliwości, jaką karę wymierzył sobie kolega, nauczyciel zapytał o to samo mnie.

– Raz – odpowiedziałem chytrze.

Jednakże kierownik, każąc nam kolejno przechylić się przez nauczycielskie krzesło, każdemu wtrząsał po trzy razy, nie usiłując wszak uczynić nam wielkiej krzywdy.

Długo zastanawiałem się potem, dlaczego Franek wymyślił tę liczbę. Gdyby powiedział raz, tak jak ja rzekłem, to kierownik nie miałby innego wyjścia, jak dać nam po razie, ale i tak dobrze się skończyło, że przestał tylko na trzech, chociaż średnia wynosiła cztery.

*

Prócz nauki w szkole chodziliśmy jeszcze na lekcje katechizmu, odbywające się zwykle w starej kaplicy i przygotowujące do Pierwszej Komunii św. Niedługo po wojnie wybudowano kościół drewniany, w którym byłem ministrantem i wraz z wieloma innymi kolegami służyłem do mszy. Mieszkańcy wsi byli bardzo religijni i skrupulatnie celebrowali różne obrzędy katolickie, a młodzież szczególnie pasjonowała się wszelkimi zwyczajami świątecznymi. Większość z tych zwyczajów spotykałem później w innych regionach kraju, ale były i takie, jakich gdzie indziej nie obserwowałem. Wszystkie obyczaje, również i te, które może były nie najistotniejsze, mocno utrwaliły mi się w pamięci. Pamiętam, jak chłopcy pasąc krowy w Zielone Świątki, maili im rogi zielonymi gałązkami, a gdy przed południem zapędzali je do obór, goniąc specjalnie drogą przez wieś, wszyscy podziwialiśmy niezwykłą paradę tych przystrojonych zwierząt.

Najwięcej różnych obyczajów przypadało na okres świąt Bożego Narodzenia. Bardzo uroczyście, przy oświetlonej świeczkami choince, była obchodzona Wigilia. Począwszy od pierwszego, a zwłaszcza od drugiego dnia świąt aż do Nowego Roku przychodzili do domów kołędnicy. Szczególnie podobały mi się herody i szopka, ale piękny również był żłóbek, betlejek i gwiazda.

W święto Trzech Króli inicjały ich imion: K+M+B wypisywano kredą na drzwiach. Jednakże dzieci przy okazji stworzyły swój własny obyczaj i pisały kredą wszędzie i wszystko, cokolwiek im przyszło do głowy.

Z całego okresu świąt Bożego Narodzenia największą atrakcją była choinka, i to nie tylko jej oglądanie, ale również, a może nawet najbardziej – jej ubieranie. Prawie wszystkie zabawki sporządzaliśmy sami i tylko niewiele ozdób dokupowaliśmy.

Wielką przyjemnością było także szukanie choinki w ośnieżonym lesie. Raz wybrałem się z kolegami po to drzewko na drugą stronę zamrożonego Bugu, gdzie rosło więcej świerków i był duży wybór choinek. Przechodząc przez Bug, co chwilę sprawdzaliśmy obuchem siekiery grubość lodu na rzece. Będąc już na drugim brzegu, skierowaliśmy się do pięknego świerkowego gaju, w którym każdy z nas mógł znaleźć taką choinkę, jaką sobie tylko wymarzył. Wracając, już niedaleko naszych domów, Jurek, który był przewodnikiem całej grupy, podszedł do mnie i bezceremonialnie powiedział, żebym zamienił się z nim choinką, gdyż moja mu się bardziej podoba. Po trochę krzykliwej, lecz niedługiej dyskusji zgodziłem się na tę zamianę. Gdy przyszedłem do domu, wszyscy, bardzo ucieszeni, pytali mnie, skąd przyniosłem tak ślicznego świerczka. Ja jeszcze w czasie tej dyskusji zorientowałem się, że Jurek, niosąc swoją choinkę na ramieniu, widocznie nie przyjrzał się jej tak dobrze jak mojej, którą niosłem przed nim, i dlatego oddał mi swoje drzewko, nie wiedząc, że jest jeszcze ładniejsze od mojego.

Także niezwykle bogaty w zwyczaje był okres świąt Wielkanocnych. Przed świętami robiliśmy generalne porządki w domu, w ogródku, na podwórku i drogach. Zwyczajowo przed tymi świętami chłopcy budowali drewniane huśtawki i krętawki. Robiąc krętawkę, najpierw wkopywaliśmy w ziemię gruby pień, w którego wierzchołek wbijaliśmy następnie metalowy bolec. Na ten trzpień nakładaliśmy grubą deskę przez wywiercony w środku niej otwór. Na obu jej końcach mocowaliśmy proste siedzenia, na które wsiadały dzieci lub nastolatki, a inne, biegnąc, deskę przed sobą popychały i w ten sposób wokoło pnia nią kręcili.

W Wielki Piątek i Sobotę ministranci stali w kościele na warcie przy grobie Chrystusa. Staliśmy po dwóch, zmieniając się co kilkadziesiąt minut. Ubrani byliśmy w piękne strażackie mundury i hełmy, a w rękę trzymaliśmy halabardy.

W Wielki Tydzień malowaliśmy pisanki, które wraz z kawałkiem kiełbasy, chleba, ciasta i solą, przybrane zielenią w koszyczku, poświęciliśmy w Wielką Sobotę w kościele. W niedzielę po rezurekcji podczas uroczystego śniadania dzieliliśmy się święconym jajkiem, a po śniadaniu młodzież zabawiła się uderzaniem czubkiem swojej pisanki w czubek pisanki brata, siostry lub kolegi na podwórku i bardzo cieszył się ten, którego pisanka okazała się mocniejsza. Te zawody były niezmiernie popularne i trwały przez oba świąteczne dni. W drugi dzień świąt zawzięcie i obficie urządzano śmigusowe lanie. Jednak z całego okresu świąt Wielkiejnocy chyba najbardziej podobał mi się zwyczaj palmowania w Niedzielę Palmową.

Młodzi chłopcy wstawali w ten dzień wcześniej rano i przygotowanymi w przeddzień różgami, które nazywaliśmy palmami, palmowali tych, którzy jeszcze spali lub leżeli w łóżkach. Najpierw czynili to u siebie w domu, potem szli do sąsiadów, a później biegali po całej wsi i palmowali każdego, kogo w łóżku zastali. Palmowanie polegało na lekkim uderzaniu po kocu, kołdrze lub pierzynie, pod którą ktoś leżał, i wymawianiu słów: „Palma bije, nie zabije, niechaj człowiek sto lat żyje. Pamiętajcie chrześcijanie, że za tydzień Zmartwychwstanie”. Najwięcej palmowali ludzi starszych.

Pamiętam te niedziele, gdy uganiałem się po wsi z czeredą chłopców, żeby wypalmować jak najwięcej osób. Czasami tylko przystawaliśmy w biegu, aby poobserwować przez chwilę lecące na niebie bociany, klucz żurawi albo inne ptaki przylatujące wiosną do naszego kraju.

W owe palmy zwykle zaopatrywaliśmy się wracając ze szkoły w sobotę przed Niedzielą Palmową. Przechodziliśmy wtedy przez las i wychodziliśmy na pole, gdzie, może ze sto metrów dalej, rozpościerały się mokradła i łąki. Były tam gęste zarośla, a w nich rosły piękne i długie różgi, tak że trzeba je było jeszcze przycinać. Na łące tej musiało być bardzo dużo żab, bowiem latem wyjątkowo głośno skrzeczały. Za łąką znajdowała się następna wieś, której mieszkańców przezywaliśmy Żabokrzykami lub Rechetami, jako że głos żab skrzeczących na łące dochodził do nas jakby z tej wsi.

Któregoś roku, kiedy zima była długa, a Wielkanoc przypadła chyba wcześniej, albowiem w lesie nadal leżało dużo śniegu, wybraliśmy się w sobotę przed Niedzielą Palmową po rosnące w tych zaroślach różgi. Gdy przeszliśmy las i weszliśmy na pole zasiane jakąś oziminą, spostrzeżliśmy, że jest ono jeszcze bardzo mokre i grząskie. Idąc po nim z trudem, musieliśmy jednocześnie uważać, żeby nas ktoś nie zobaczył, ponieważ szliśmy po zasiewach.

Nie przeszliśmy nawet połowy dystansu przez pole dzielące nas od zarośli, gdy nagle wyskoczył z nich starszy mężczyzna i z długą różgą w ręku ruszył prosto na nas. Zawróciliśmy tak szybko, jak tylko błoto pod nogami pozwalało, i jęliśmy uciekać. Te kilkadziesiąt kroków do lasu wydawało nam się odległością tak daleką, jakiej nikt z nas nigdy nie przebył. Nie było chyba nikogo, kto by nie pozostawił przynajmniej jednego buta w grząskiej ziemi. Goniący nas Żabokrzyk nie pobiegł jednak daleko, może dlatego, aby dodatkowo nie niszczyć zasiewów albo, będąc cięższym, jeszcze bardziej od nas grzął w błocie. Słyszeliśmy tylko z daleka jego triumfalny głos, żebyśmy na niego poczekali, to on już da nam taką nauczkę, że więcej tam nie pójdziemy.

Więcej tam nie chodziliśmy, albowiem dużo równie dorodnych różg rosło także w innych miejscach, do których mogliśmy chodzić bez przeszkód.

*

Miałem wielu bardzo dobrych kolegów, ale najwięcej czasu spędzałem z Antkiem. Był moim niezawodnym druhem w każdej sytuacji, potrzebie i chwili. Od czasu, gdy zacząłem się z nim przyjaźnić, nie spędziłem chyba jednego dnia, szczególnie latem, żebym się z nim nie spotkał. Był uczynny i miał zgodny charakter. Nie pamiętam, abyśmy kiedyś się pogniewali. Dobrze się uczył i miał duży talent do wykonywania zabawek i różnych drobiazgów. Nigdy nie udało mi się wyrzeźbić nożem z drewna tak pięknego ptaszka, jak on to czynił, chociaż próbowałem go naśladować. Kiedy byliśmy młodszy, robiliśmy wiosną gwizdki z rurki kory wierzbowej, którą ściągaliśmy z kawałka równej i gładkiej gałązki, przedtem obstukując ją trzonkiem noża, żeby kora lepiej schodziła. Robiliśmy też fujarki i śmigusowe sikawki z łodygi dzikiego bzu, najpierw wypychając z niej gruby, ale bardzo miękki rdzeń. Budowaliśmy budki dla ptaszków, wydłubywaliśmy łódeczki z grubej kory sosnowej, wyplataliśmy koszyczki, a gdy byliśmy starsi, wykonywaliśmy drewniane wózki, ławki w ogródku, przedmioty sportowego użytku i wiele innych rzeczy.

Ponieważ Antoni jest imieniem chrześcijańskim, noszonym przez wielu świętych, przeto często je u nas nadawano dzieciom. Miałem więc jeszcze dwóch bardzo dobrych kolegów o tym imieniu, mieszkających trochę dalej ode mnie. Pierwszy z nich mieszkał niedaleko kościoła. Był zawsze w obyciu grzecznym i spokojnym, wzorowym kolegą, uczniem i ministrantem, przejawiającym już wówczas dużą mądrość, pracowitość i wytrwałość, by móc poświęcić się w całości służbie Kościołowi, a jako że nie będę miał sposobności, aby do opisu jego dalszych losów i życia powrócić, nadmienię więc teraz, że w przyszłości zostanie dostojnikiem kościelnym.

Również bardzo dobrym kolegą, zawsze spokojnym, stroniącym od wszelkich bijatyk, wesołym, pełnym poczucia humoru był Antek mieszkający za stodołami.

Wiele przyjemnie spędzonego czasu zawdzięczam także Stachowi, Mietkowi, Frankowi, Kazikowi, Zygmuntowi mieszkającemu w pobliżu byłej kaplicy i wielu innym kolegom. Było jednak kilku chłopców, trochę starszych ode mnie, z którymi koleżeństwo nie układało się najlepiej i stroniłem od nich. Mimo to najwięcej czasu spędzałem z kolegami, unikając ich tylko wtedy, kiedy wśród nich byli chłopcy, z którymi miewałem kłopoty.

*

Zimą, gdy dni były krótkie, prawie cały dzień byliśmy w szkole. Tylko w niedziele, święta i podczas dwutygodniowych ferii zimowych, które odbywały się w okresie świąt Bożego Narodzenia, w ciągu dnia przebywaliśmy w domu lub na dworze. W niedziele i święta, podobnie jak moi koledzy, chodziłem do kościoła, a po mszy częstokroć udawałem się z ojcem i rodzeństwem w odwiedziny do krewnych czy znajomych bądź gości przyjmowaliśmy u nas. W dni powszednie, zimą, kiedy nie szedłem do szkoły, dużo czasu spędzałem przy majsterkowaniu z braćmi w domu albo w szopie. Poza tym w takie dni chętnie czytałem w domu, rysowałem, wycinałem z różnych reklam i publikacji kolorowe obrazki, które następnie naklejałem w zeszytach, czasami na ścianach, meblach lub na okiennych szybach. Niekiedy robiłem z papieru rozmaite wycinanki albo zabawiałem się grą w karty w rodzinnym gronie, czy też z kolegami.

W ładną pogodę, gdy były ku temu warunki, wychodziłem z domu i bawiłem się ze swoimi rówieśnikami na śniegu albo jeździłem na sankach, nartach lub łyżwach. Dużą atrakcją było wskakiwanie na sanie ciągnięte przez konie, którymi chłopcy przejeżdżali przez wieś. Zwykle właściciel zaprzęgu nie protestował, a bywało nawet, że śmiał się i, chcąc zrobić nam większą przyjemność, popędywał jeszcze konia batem. Zdarzało się jednak, że musieliśmy z sań zeskakiwać szybciej, niż na nie wskoczyliśmy, widząc, jak gospodarz, ściskając bat w garści, ma zamiar nim smagnąć, lecz tym razem nie konia. Innym sposobem na podobną przejażdżkę było doczepianie się swoimi sankami do przejeżdżających sań konnych. Najczęściej jednak na sankach i nartach zjeżdżaliśmy z Suprunowej Góry i Makowicy.

Sanki, które wymagały mocniejszej konstrukcji, zazwyczaj wykonywali nam ojcowie, a narty i drewniane, podkuwane drutem łyżwy robiliśmy sami. Gdy ktoś nie miał łyżew, jeździł po lodzie na podszwach butów albo na żelaznych podkawkach, którymi zwykle podkuwano obcasy, aby się szybko nie zdarły. Jeżdżąc na podkawkach, unosiliśmy zelówki do góry i choć mogłoby to wydawać się mało wygodne, niektórzy chłopcy byli prawdziwymi mistrzami tej jazdy.

W zimowe wieczory najwięcej czasu poświęcałem na odrabianie lekcji, szczególnie gdy następnego dnia szedłem do szkoły. Często majsterkowałem w domu lub zajmowałem się czym innym, podobnie jak w dzień, jakkolwiek praca wieczorem była trochę utrudniona. Przy lampie naftowej bowiem widoczność była słaba, a poza tym ojciec albo siostry zwykle umiejscawiali lampę tak, aby przede wszystkim dobrze świeciła przy wykonywaniu ich czynności.

Gdy byłem trochę większy, pozwalano mi wieczorami wychodzić na dwór, może dlatego, żeby w domu było więcej miejsca i abym starszym nie przeszkadzał w pracy. Ja ze swej strony chętnie korzystałem z tego przyzwolenia, zwłaszcza kiedy nie miałem nic pilnego do roboty. Nie mogę jednak pochwalić się, by ten czas spędzany na dworze upływał bardzo użytecznie lub w sposób wart naśladowania. Zwykle chodziłem z innymi chłopcami bez celu po wsi, czasem świecąc, gdzie się tylko dało, kieszonkową latarką, jeśli któryś z nas nią rozporządzał. Były one wówczas wśród nas rzadkością i bardzo dumny i ważny był ten, kto taką posiadał. Niekiedy przychodziły nam do głowy inne głupie pomysły i gdy na przykład byli z nami mocni, szczególnie starsi już chłopcy, zdarzało się, że późnym wieczorem rozbieraliśmy

czyjś konny wóz, jeśli nie był zbyt wielki, po czym częściami wnosiliśmy na dach stodoły i tam go z powrotem składaliśmy. Po zejściu z dachu odstawialiśmy drabinę i szliśmy do domu na kilka godzin snu, a rano z zadowoleniem wysłuchiwalimy nadchodzących z całej wsi niesamowitych wieści na temat naszego wyczynu.

Czasami, kiedy na dworze była marna pogoda, szliśmy do któregoś z kolegów do domu i prowadziliśmy pogawędkę na różne tematy, ewentualnie graliśmy w jakieś gry.

W jesienno-zimowe wieczory często sam chodziłem do Antka, u którego spędzałem bardzo dużo czasu. Bywałem również u Stacha i odwiedzałem innych kolegów. Do mnie chłopcy rzadko przychodzili, gdyż u nas zwykle przebywali starsi ludzie, przeważnie mężczyźni.

*

Mój ojciec prócz gospodarowania na siedmiu hektarach do naszego utrzymania dorabiał jeszcze szewstwem. Zajęcie to wykonywał najczęściej zimą, zwłaszcza w długie zimowe wieczory. Z tego powodu przez nasz dom przewijało się dużo ludzi i często było w nim gwarno i wesoło. Jedni przynosili buty do naprawy, inni je odbierali, a każdy przy tym jeszcze trochę posiedział. Niektórzy ludzie przynosili buty i czekali na ich naprawę na miejscu. Byli też tacy, którzy nie wiedząc, co z wolnym czasem począć, przychodzili po prostu na pogawędkę, gdyż zawsze mogli spotkać u nas kogoś do towarzystwa.

Ojciec nigdy nie palił tytoniu. Pamiętam wielu innych mężczyzn, którzy także nie palili, ale nieraz było tyłu palących, że w mieszkaniu było bardziej ciemno od dymu niż z powodu słabo świecącej lampy. Palono papierosy z własnej krajanki, którą nazywano machorką, bowiem chłopcy często uprawiali tytoń na polach i w ogrodach, zarówno na sprzedaż do skupu, jak i na własny użytek. Machorkę zawijano najczęściej w skrawek gazety i przypominam sobie, że nie każde jednakowo dobrze do tego celu się nadawały. Zależało to najbardziej od grubości papieru – im cieńszy był papier, tym lepszy. Zwracano też uwagę na jego miękkość, a być może także na jego zapach i smak. Niektóre gazety były więc bardziej poszukiwane, innymi wręcz pogardzano. Niestety, tytułów owych dzienników i czasopism już nie pamiętam.

Rozmawiano na różne tematy. Niektóre opowiadania opisywałem już uprzednio. Najczęściej uczestnicy tych rozmów mówili o rolnictwie, gospodarowaniu, hodowli, suszach, deszczach, siewie, zbiorach, płodach rolnych i podatkach. Niektórzy opowiadali, jak budowali swój dom lub inny budynek. Chwalili się inwentarzem żywym, a szczególnie dumni byli ze swoich koni. Bardzo dużo rozmawiali na temat ostatniej wojny, a zwłaszcza ci, którzy na niej walczyli. Wspominali także o wojnie poprzedniej, jak i o międzywojennych czasach. Dyskutowali o polityce, o różnych partiach i o aresztowaniach AK-owców. Mówili o zniszczeniach wojennych i o mordach popełnionych w czasie wojny na Żydach. Rozprawiali o wysiedleniu w 1947 roku kilku ukraińskich rodzin z Serpelic i o polskich osiedleńcach ze wschodu, z terenów zajętych przez Związek Sowiecki, którzy zamieszkali na pozostawionych przez Ukraińców gospodarstwach. Mówiono również o rzeszach polskich uchodźców ze wschodu, przejeżdżających przez naszą wieś konnymi wozami z ich skromnym dobytkiem i ciągnących dalej na zachód, zapewne w większości docierających do ziem zachodnich i północnych, po wojnie do Polski dołączonych. Czasami rozmawiali o swoich przebytych chorobach lub wyliczali listę znajomych osób, które już zmarły. Opowiadali o odbywanej w czasach międzywojennych służbie wojskowej lub też wspominali, jak poznali swoje żony i jak odbył się ich ślub i wesele.

Ludzie ci mówili bardzo ciekawie i mądrze, często z humorem. Byli staranni i wielu z nich mogło pochwalić się pięknymi polami, domami i sporym dobytkiem, a nawet dużym młynem albo tartakiem.

Z osób często nas odwiedzających, przypominam sobie szczególnie jednego milicjanta, który zaraz po wojnie zjawił się u nas w celu drobnej naprawy butów na miejscu. Przyjechał na rowerze z Hołowczyc, bo tam był posterunek milicji, i wpadł do nas przy okazji, gdyż miał jakąś sprawę we wsi. Tak się wtedy z ojcem rozgadał, że nawet nie zauważył, jak mu wyciągnąłem wszystkie naboje do karabinu z małej skórzanej ładownicy przypiętej do pasa. Chyba potem nie zorientował się, gdzie je stracił, bo nigdy się o nie nie upomniał. Za to Cześka była bardzo zdumiona, gdy odkryła naboje w słomie mojego łóżka, a przy dokładniejszym jej przetrząsaniu jeszcze wiele innych podobnych drobiazgów.

Naszym dobrym znajomym, który nas często odwiedzał, był mężczyzna około czterdziestki, mający na imię Andrzej. Przyjechał do naszej wsi po wojnie jako przesiedleńca z terenów zajętych przez ZSRR. Pochodził z Baranowicz, ale mówił, że w czasie wojny był w Rosji i na Syberii i dużo o niej opowiadał. W chwilach relaksu lubił powtarzać pewne rymowane powiedzenie, które wymawiał w dwóch wersjach: „Stacja Bierzajka, komu nada wysiadajka” lub „Stacja Bierzajka, bystrieje wylezajka”, przez co nazywaliśmy go Stacją Bierzajką lub Bierzajką.

Niezmiernie cieszyłem się, gdy przychodził do nas Władzik. Zawsze chętnie rozmawiał ze mną, znajdując we mnie bardzo wdzięcznego słuchacza. Nie przypominam już sobie, czy jeździł on gdzieś po świecie, czy interesował się geografiami z książek. Opowiadał mi o dalekich, gorących krajach, gdzie rosną olbrzymie lasy, w których żyją wielkie dzikie zwierzęta i cudne kolorowe ptaki. Mówił o szerokich morzach i rzekach, których drugiego brzegu nie widać, gdzie miały pływać tak wielkie ryby jak wyspy na Bugu. Wspominał o bardzo wysokich górach i o krajach, w których zimą słońce nie wschodzi, a latem nie zachodzi. Szczególnie nie mogłem pojąć tego, że słońce może przez kilka miesięcy nie wschodzić lub nie zachodzić, a morze albo nawet rzeka mogą być tak szerokie, iż drugiego brzegu nie widać. Przecież ten brzeg – myślałem – jeśli jest nawet bardzo daleko, musi być jakoś widoczny, a jeżeli go nie widać, to jak tam jest i co tam widać?

Zapragnąłem to wszystko kiedyś zobaczyć – najpierw chociażby tylko morze, które, jak mówił Władzik, jest w Polsce i nie tak bardzo daleko, może z pięćset kilometrów od nas.

*

Gdy byłem starszy, zacząłem coraz bardziej interesować się otaczającym mnie światem i dostrzegać jego niezwykłość, oraz obserwować naturę i zachwycać się jej pięknem. Latem często zaglądałem do naszego ogródka i podziwiałem rosnące tam kwiaty oraz krzak bzu, którego woń w czasie kwitnienia przesycala nie tylko ogródek, ale i całe mieszkanie. Jeszcze chyba większym sentymentem darzyłem krzew jaśminu rosnący obok ogródka niedaleko domu. Miał on niezwykle białe kwiaty, dorodne i bardzo pachnące. Po drugiej stronie przebiegającej przez wieś drogi, naprzeciw naszego drewnianego i krytego strzechą domu, rosły białe, mające niezwykle ładną sylwetkę brzozy oraz inne drzewa, które przydawały posesji wiele uroku i spokoju. Zimą bardzo lubiłem siedzieć przy oknie i obserwować długie i prześliczne wschody oraz zachody słońca.

Pamiętam, jak pierwszego marca, chyba 1947 roku, w dniu uważanym u nas za początek wiosny, chociaż ta kalendarzowa przychodzi trzy tygodnie później, wyszedłem na dwór, aby tę wiosnę powitać i cieszyć się nią. Na dworze leżał jeszcze śnieg, ale słońce już mocniej przygrzewało. Przykucnąłem przy ścianie domu i zachwycałem się słońcem i wiosną. Ze strzechy spadały duże krople wody z topniejącego na dachu śniegu. Na drzewach głośno ćwierkały wróble. Nie wiem, dlaczego tak dobrze zapamiętałem ten dzień, ale bardzo utrwalił się on w mojej pamięci.

Jednego wiosennego wieczoru, kiedy Czeška krzątała się w kuchni, ja siedziałem w drugiej izbie i przy świetle księżycy tkiałem na krosnach. Tkiałem nie z obowiązku, lecz dla przyjemności. Siostra mi pozwoliła, gdyż tkiałem już nieraz i mówiła mi nawet, że dobrze to robię. Po pewnym czasie księżyc przysłoniły chmury i w pokoju zrobiło się ciemniej. Odwróciłem się do okna i patrzyłem na księżyc i przesuwane się pod nim obłoki. Zawsze bardzo lubiłem obserwować tego tajemniczego towarzysza na niebie i mogłem długo i z wielkim zainteresowaniem mu się przyglądać. Był jakiś czarujący i zagadkowy. Świat nader niezwykle i bardzo urzekająco wygląda w jego blasku. Księżyc był dla nas niemal drugim słońcem. Przy jego świetle kończono czasem prace w polu, robiono obrządki w gospodarstwie, rąbano drwa do pieca lub siadało się przed domem na trawie i przyjemnie gawędziło. Bardzo lubiłem takie księżycowe pogawędki pod gołym niebem, w gronie rodziny i często sąsiadów, kiedy to wszyscy byli jakby jacyś inni, bardziej szczęśliwi, a czas upływał miło i spokojnie.

*

W 1947 roku zaszły duże zmiany w naszym życiu rodzinnym. Latem młodsza siostra, Frania, wyjechała do Warszawy, gdzie podjęła pracę jako pomoc dentysty w prywatnym gabinecie stomatologicznym. Pracę tę załatwiła jej handlarka Stefa, która często przyjeżdżała z Warszawy do naszej wsi. Po wojnie przybywało do nas wielu takich handlarzy, przeważnie ze stolicy, choć również i z innych miast. Przywozili nowe lub używane ubrania, buty oraz inne rzeczy i sprzedawali je zarówno za pieniądze, jak i za masło, śmietanę i jaja, które następnie wywozili do swoich miast.

Jesienią Czeška wyszła za mąż, a jej małżonek zamieszkał razem z nami. Niedługo potem ojciec oświadczył, że na wiosnę ożeni się z naszą trochę dalszą sąsiadką, Marią Wiszniewską, i z nią oraz jej dwiema córkami wyjedziemy na północne ziemie odzyskane i osiedlimy się na wsi koło Kętrzyna. Czeška z mężem mieli pozostać w domu i przejąć tutejsze gospodarstwo.

Bardzo ucieszyłem się na tę wiadomość, bo chociaż żałowałem tego, że wyjadę z mojej wsi, to jednak ciekawość poznania nowego świata była o wiele większa. Później dowiedziałem się, że wieś, do której mamy wyjechać, nazywa się Kwida i jest oddalona od nas o ponad trzysta kilometrów.

Ledwie doczekałem się wiosny. Po weselu, które odbyło się na Wielkanoc, nastąpiło praktyczne przygotowanie do wyjazdu. Ojciec począł zbijać klatki dla kur i innych mniejszych zwierząt oraz budować skrzynie do zapakowania w nie różnych rzeczy na czas przejazdu. Wreszcie, 30 kwietnia 1948 roku, około godziny dziesiątej rano, wyruszyliśmy w tę daleką i prawie egzotyczną dla mnie podróż. Przejeżdżając przez wieś, żegnałem się z kolegami, których wielu przy drodze obserwowało nasz wyjazd. Bardzo mi było żal, że się z nimi rozstaję, zdając sobie w dodatku sprawę, iż być może niektórych z nich już nigdy więcej nie zobaczę.

Jechaliśmy do stacji kolejowej w Sarnakach, położonych dwanaście kilometrów od naszej wsi. Ja i Zbyszek przebywaliśmy tę drogę idąc pieszo lub jadąc na furmankach, których wiele ojciec wynajął do przewiezienia naszego dobytku. Starszy brat, Stach, ze starszą córką macochy, Regina, wyruszyli do Sarnak kilka godzin wcześniej, pędząc przed sobą krowy na stację.

Na miejsce dojechaliśmy około południa. Stach i Regina już tam byli. Na bocznicę kolejowej stały dwa zarezerwowane dla nas wagony towarowe i chociaż ojciec mówił, że są nieduże, dla mnie wydawały się wielkie. Krowy, owce i inne zwierzęta oraz paszę i niewielką część rzeczy umieściliśmy w jednym wagonie pod nadzorem ojca i czasami Stacha, a my pozostali pasażerowie z całą resztą naszego mienia i z workami kartofli, zbóż i innych produktów oraz z psem i kotem ulokowaliśmy się w

drugim. W czasie przeprowadzki do wagonów, przez stację z wielkim łoskotem przejechał pociąg towarowy. Był to pierwszy pociąg, jaki w moim życiu zobaczyłem.

Po przeprowadzce zjedliśmy nasz pierwszy wspólny obiad z macochą i jej córkami: dwunastoletnią Reginą i dziesięcioletnią Janką. Jej syn, Rysiek, który był starszy od dziewcząt, zmarł dwa lata przedtem na dur brzuszny, a mąż zginął w czasie wojny.

Posiłek nasz został przygotowany jeszcze przed wyjazdem z domu, a teraz tylko odgrzaliśmy go, rozpalając ognisko na skraju stacji. Choć był to nasz pierwszy wspólny obiad, nie czuliśmy się onieśmieleni i skrępowani, ponieważ z Marią i jej dziećmi znaliśmy się od dawna i często odwiedzaliśmy się.

Pod wieczór dołączono nas do pociągu towarowego i wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy dość szybko, ale potem często zatrzymywaliśmy się na stacjach, a na niektórych z nich po kilka, a nawet kilkanaście godzin. Po jednym z postojów dołączono nas do pociągu osobowego i wtedy jechaliśmy już dużo szybciej. W sumie jednak podróż trwała ponad dwa dni i dopiero trzeciego dnia rano przyjechaliśmy do Kętrzyna. Przy ładnej majowej pogodzie wyładowaliśmy się na rampę, po czym ojciec poszedł do Kwidy po furmanki. Do naszej przyszłej wsi było siedem kilometrów na wschód od tego pięknego, lecz mocno zgruzowanego w czasie wojny miasta. Może po trzech godzinach przyjechało sześć wozów, na które załadowaliśmy się i ruszyliśmy w drogę do Kwidy. Tym razem przez całą trasę siedziałem na wozie. Jechaliśmy ładną asfaltową szosą, która – zmoczona właśnie zaczynającym padać deszczem – wyglądała niczym rzeka wijąca się wśród rosnących obok niej drzew.

2. POLA, LASY, JEZIORO I RADOŚĆ

Do Kwidy przyjechaliśmy około godziny piątej po południu. Przelotny majowy deszcz przestał padać, ale niebo było w dalszym ciągu zachmurzone.

We wsi stały jeszcze dwa częściowo lub całkowicie wolne domy. Jako że była już późna pora, musieliśmy się śpieszyć z wyborem któregoś z nich. W jednym mieszkały już dwie rodziny, a pozostałe w nim trzecie mieszkanie było duże i dość nowoczesne, ale uszkodzone i wymagało remontu. Drugi dom był starszego typu niewielkim bliźniakiem, w którym nikt nie mieszkał. Wymagał on również zamurowania kilku wyrw i mniejszych dziur, lecz można było to uczynić we własnym zakresie. Ze względu na to, że był to mały bliźniak, należało go połączyć i zamieszkać w całości. Zdecydowaliśmy się właśnie na ten drugi dom, stojący przy drodze w środku wsi, trochę dalej od sąsiadów, ale za to bardzo blisko lasu i z pięknym ogródkiem przed domem. Przyszłość znakomicie potwierdziła trafność tej decyzji. Nim się ściemniło, zdążyliśmy z grubsza wysprzątać znajdujące się w nim pomieszczenia i przenieść się do wewnątrz. Obok stały dwie niewielkie obory, w których umieściliśmy nasz żywy dobytek.

Rano w dalszym ciągu pracowaliśmy przy naszej przeprowadzce, jednakże ja znalazłem trochę czasu, aby pobiec i obejrzeć wieś oraz najbliższe okolice. Przechadzając się po Kwidzie, zauważyłem, iż stanowi ją piętnaście murowanych z czerwonej cegły i krytych brązową dachówką domów wraz z zabudowaniami gospodarskimi. Prócz tego był jeszcze jeden duży dom za rzeką oraz pałac, ale oba prawie całkowicie w gruzach.

Cała wieś leżała po lewej stronie szosy wiodącej z Kętrzyna do Giżycka i rozpoczynała się od sąsiedztwa łąk, rozciągających się po prawej stronie asfaltowej drogi. Przeciwległy kraniec wsi przylegał do pól uprawnych, które pół kilometra dalej po lewej stronie i na wprost graniczyły z lasem, a po prawej z jeziorem o długości około dwóch kilometrów. Z jeziora wypływała niewielka rzeczka, która następnie płynęła przez pola, okalała z prawej strony wieś, przepływała przez łąki za szosą i wpływała do większej rzeki, nazywanej Gubrem. Po lewej i prawej stronie wsi rósł świerkowy las.

Przez wieś, poczynawszy od asfaltowej szosy, biegła brukowana droga, która potem wiodła przez pola i kryła się w lesie, gdzie dwa kilometry dalej kończyła się... w byłej kwaterze wojennej Hitlera. O tej kwaterze słyszałem dużo ciekawych rzeczy od gospodarza, na którego wozie jechałem do Kwidy z Kętrzyna. Wspomniał on również o jeziorze, mówiąc, że jeden z pozostałych tu Mazurów, pan Kosicki, mieszkający po drugiej stronie jeziora, widział, jak hitlerowcy przed opuszczeniem kwatery wywozili coś z niej samochodami i zatapiali w tym jeziorze. Po obejściu wsi pobiegłem więc tam w nadziei, że być może znajdę jakieś skarby albo przynajmniej coś zobaczę w wodzie. Ale w miejscu, gdzie droga do kwatery przebiegała przy samym jeziorze, ujrzałem tylko dwie wielkie bomby, może trzymetrowej długości, jakich jeszcze nigdy przedtem nie widziałem. Leżały w wodzie, tuż przy samym brzegu.

Niestety, podobnych rzeczy było w okolicy jeszcze bardzo dużo. Będąc poprzedniego dnia w lesie, niedaleko naszego domu, zauważyłem duże składowisko amunicji przeciwlotniczej, jakiej mnóstwo leżało także porozrzucanej po całym lesie, w postaci pełnych naboju lub łusek po wystrzelonych pociskach.

W czasie przechadzki po wsi dowiedziałem się, że prócz nas jeszcze trzy inne rodziny przyjechały tu z Serpelic, a pozostali osadnicy Kwidy pochodzą również z

naszych stron – z sąsiednich wsi. Wszyscy, którzy przyjechali tu przed nami, osiedlili się już wiosną lub jesienią poprzedniego roku.

Po uporaniu się z przeprowadzką rodzina zajęła się przebieraniem kartofli, aby wybrać te najodpowiedniejsze do zasadzenia, jako że była na to najwyższa już pora. Gdy wróciłem do domu, ojciec upomniął mnie, że wałęsam się, tracąc czas i zagonił mnie tak samo do tej roboty. Przypominam sobie też, iż tego dnia mierniczy wymierzał posesję naszego sąsiada i że w niedługim czasie miał przyjść i wyznaczyć ją dla nas.

Następne dni upływały już spokojniej i powoli przyzwyczajaliśmy się do nowej sytuacji.

W chwili przeniesienia się do Kwidy chodziłem do klasy czwartej. Niestety, w najbliższej szkole podstawowej, która znajdowała się w oddalonych o dwa kilometry Pożarkach, były tylko trzy klasy, a czwarta miała rozpocząć się dopiero na drugi rok. Na tej zasadzie każdego następnego roku miała powstawać następna, wyższa klasa, aż do siódmej, kończącej wtedy naukę w szkole podstawowej. Żeby nie chodzić do szkoły w Czernikach, gdzie były już wszystkie klasy, ale dokąd było sześć kilometrów, ojciec zdecydował, iż lepiej będzie, jeśli jeden rok stracę i od nowego roku szkolnego będę chodził od początku do klasy czwartej w Pożarkach i tam tę szkołę ukończę. To samo dotyczyło również Reginy. Janka do trzeciej klasy poszła zaraz po przyjeździe, a Zbyszek dopiero rozpoczynał naukę w szkole podstawowej od września tegoż roku. Niestety, do kościoła chodziliśmy lub jeździliśmy aż siedem kilometrów do Kętrzyna, co jednak ludziom niewiele przeszkadzało, aby w niedziele i święta do niego się udać.

Regina była o rok ode mnie starsza, a Janka o rok młodsza. Wspólne, rodzinne życie naszej trójki braci z nimi układało się różnie. Nie wiem, czy my, czy one były bardziej kłótlive, ale często dochodziło między nami do sprzeczek i niesnasek. Były jednak, jak na swój wiek, pracowite i nie brakowało im też dobrego humoru.

Nasza macocha nie była przysłowiową macochą. Miała charakter spokojny i łagodny i była dla nas dobra. Wyśmienicie gotowała, a także, przy pomocy nas wszystkich, utrzymywała dom w należytym porządku i czystości.

We wsi miałem tylko jednego kolegę w moim wieku, Zygmunta Waśkiewicza, z którym spędzałem dużo czasu. Miał on o trzy lata starszego brata, Genka, z którym również trochę się kolegowaliśmy. Było jeszcze dwóch chłopców w wieku Genka, ale oni wszyscy trzej przyjaźnili się już bardziej z moim starszym bratem, Stachem. Regina i Janka pod tym względem też nie były uprzywilejowane, bo miały tylko dwie koleżanki, za to Zbyszek bawił się z wieloma chłopakami w jego wieku, bowiem osiedleńcy byli przeważnie młodymi jeszcze ludźmi.

*

W kilka dni po przyjeździe ojciec poszedł do Kętrzyna na jarmark i kupił konia. Był białej maści, niezbyt wielki, ale jak tata zapewniał, był mocny i wytrzymały. Koń był bardzo potrzebny, gdyż prace wiosenne w polu były już dawno w pełni. Ojciec mówił, że niezbędny jest jeszcze drugi koń, bo ziemia tu ciężka, przeważnie gliniasta, ale na razie musiał się obyć jednym, ponieważ na następnego nie było pieniędzy. Często jednak myślał i mówił o tym drugim koniu, lecz jakoś nie mógł niczego wymyślić, aby go kupić.

Ja, mając teraz dużo wolnego czasu, lubiłem łązikować po okolicy. Przechodząc przez las, ciągle patrzyłem na porozrzucane po lesie naboje i coraz bardziej opanowywała mnie chęć na wydobywanie z nich prochu, ale przez dłuższy czas powstrzymywałem się, nie chcąc z tym znowu zaczynać. Jednakże przyniosłem raz kilka pełnych naboji na nasze podwórko i uderzając szyjką każdego z nich o krawędź kamienia, jałem wybijać pociski i z mosiężnych łusek wydobywać znajdujący się w

nich proch. Odbijając je, trzeba było uważać, aby nie uderzyć czubkiem, gdyż tam był wmontowany zapalnik, który mógł spowodować wybuch pocisku.

Tak byłem tym pochłonięty, że nawet nie zauważyłem, jak nadszedł ojciec i przyłapał mnie na tym zajęciu. Najpierw mnie pouczał, potem zdenerwował się i krzyczał, a w końcu zapytał, czy tam, skąd przyniosłem te naboje, są również puste, wystrzelone już łuski. Odpowiedziałem, że pustych łusek jest w tym lesie nawet więcej niż pełnych naboji i że znajduje się ich tam bardzo dużo. Ojciec spojrzął na mosiężne gilzy leżące na trawie, wziął kilka do ręki, począł im się dokładnie przyglądać i dojrzał w nich... drugiego konia. Po krótkiej dyskusji nad tym pomysłem pozbieraliśmy wybite z naboji pociski, zakopaliśmy je głęboko w ziemi, wzięliśmy worek i poszliśmy do lasu szukać pustych łusek. Może po godzinie nazbieraliśmy ich pełny worek. Następnego dnia ojciec, jadąc do Kętrzyna, zawiózł je do punktu skupu złomu i sprzedał jako mosiądz. Na złomowisku było już pełno takich mosiężnych łusek i trzeba było pośpieszyć się z ich zbieraniem, aby inni nas w tym nie wyprzedzili.

Za sprzedany złom tata otrzymał sporo pieniędzy i pomyślał nawet, że gdyby tak dobrze wybierać wszystkie mosiężne gilzy w lesie, to można byłoby kupić nie tylko drugiego konia, ale i zapłacić za wóz, którego wykonanie właśnie zlecił u stelmacha w Czernikach. A zamówiony wóz miał być duży i masywny, dlatego że w pole, a także na łąkę, nim się dojechało do szosy, trzeba było jeździć po bardzo nierównym bruku.

Tak więc we wszystkie wolne chwile ojciec, Stach i ja, a niekiedy tylko ja sam, chodziliśmy po lesie i zbieraliśmy te łuski, które czasem nazywaliśmy patronami. Pełnych naboji ojciec kategorycznie zabronił nam podnosić i wybijać z nich pociski, bo było to bardzo niebezpieczne. Nie wszystkie jednak łuski były mosiężne. Część ich, na szczęście mniejsza, była z żelaza. Przechodząc raz w miejscu, gdzie wcześniej było duże składowisko pełnych naboji, ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że już ich nie ma. Nie wiadomo, czy wywieźli je saperzy, czy zostały sprzątnięte przez naszych konkurentów. Byliśmy jednak zdania, że uczyniło to wojsko, ponieważ zabrano również naboje żelazne, których zbieranie na złom było mało opłacalne.

Gdy w lesie było już coraz trudniej znajdować mosiężne łuski, zaprzestaliśmy ich dalszego zbierania. Nie wiem, ile mogła ważyć gilza długości dwudziestu lub trzydziestu centymetrów i czy nazbieraliśmy ich tonę, czy dwie, lecz sprzedaliśmy ich bardzo dużo. Czy wystarczyło to na kupno konia i zapłacenie za wykonanie wozu, tego już sobie dzisiaj też nie przypominam, ale pamiętam, że ojciec kupił latem drugiego konia, a jesienią jeździliśmy najlepszym we wsi wozem.

*

Przy okazji zbierania tych łusek muszę jednak powiedzieć, że w tym czasie nie interesowały mnie już tak bardzo różne niewypały jak w pierwszych latach po wojnie, bo zdążyłem się już na nie napatrzeć i zaspokoić swoją ciekawość. Poza tym byłem też trochę starszy i chyba także mądrzejszy. O dwóch wielkich bombach, leżących na brzegu jeziora, prawie zupełnie zapomniałem. Trzeba tu wszelako zaznaczyć, że gdyby nawet ktoś chciał z nimi coś pokombinować, to pewnie nie wiedziałby, jak się do tego zabrać, ponieważ były bardzo duże, a w dodatku miały na sobie jakby betonową powłokę. Wyszadzili je później saperzy, powodując wielki wybuch oraz pogłębiając i poszerzając o kilka metrów jezioro w miejscu, w którym leżały.

Było jeszcze w okolicy wiele innych bomb i niewypałów, ale również nie zwracałem na nie większej uwagi. Jednakże miałem jedno zdarzenie z bombą.

Dwa kilometry od nas, za łąkami i torami kolejowymi, znajdowało się lotnisko, które zostało wybudowane dla potrzeb kwatery Hitlera. Po wojnie lotnisko to zajęło

polskie wojsko i często widywałem z daleka, jak startują i lądują na nim różne wojskowe samoloty, przeważnie ćwiczebne dwupłatowce, zwane kukuruźnikami.

Bardzo chciałem zobaczyć te samoloty z bliska, ale nie mogłem tam podejść, bo na brukowanej drodze, tuż przed samym lotniskiem, była roгатka, przy której stali żołnierze, a po drodze także często jeździło wojsko i nie pozwoliłoby mi podejść nawet do roгатki. Postanowiłem więc zbliżyć się do lotniska, schodząc z drogi i idąc zaroślami równoległe do niej. W ten sposób udało mi się dojść prawie do samego aerodromu i zobaczyć samoloty z niewielkiej odległości. Nim doszedłem do lotniska, napotkałem w pobliżu przepływającej tam rzeczki wielką bombę, blisko półorametrowej długości, a wokół niej dużo pełnych przeciwlotniczych naboji, pustych łusek i pocisków od nich oraz porozsypywanego prochu. Spostrzegłem, że wykręcony został z bomby zapalnik. Pomyślałem, że pewnie uczyniło to wojsko, aby ktoś w niego nie uderzył i nie spowodował wybuchu, choć mógł go także wykręcić jakiś amator dla zabawy lub kolekcjoner tego rodzaju mechanizmów i urządzeń. Przez okrągły otwór, skąd został wykręcony ów detonator, dostrzegłem trotyl, którym wypełniona była cała bomba.

O tym znalezisku powiadomiłem mojego kolegę Zygmunta i na drugi dzień udaliśmy się tam razem. Do otworu, z którego był wykręcony zapalnik, nasypaliśmy prochu wydobytego z leżących obok naboji. Następnie wysypaliśmy kilkumetrową wąską ścieżkę z prochu w kierunku tego otworu, co miało zastąpić lont. Na końcu tej strużki proch podpaliliśmy i chociaż sądziliśmy, że bomba bez detonatora nie eksploduje, na wszelki wypadek odbiegliśmy kilkanaście kroków i położyliśmy się na ziemi. Ledwie zdążyliśmy paść, powietrzem targnął ogromny wybuch, a nad nami z dużym świstem przeleciały odłamki i wielkie bryły ziemi. Trochę nas przysypało, ale zerwaliśmy się szybko i uciekliśmy, żeby nie zobaczyli nas żołnierze. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że w domu kolejarza pracującego i mieszkającego na przejeździe kolejowym, w odległości może stu pięćdziesięciu metrów, wyleciały wszystkie szyby z okien, a detonację było głośno słyszeć w Kętrzynie. Gdy przybyliśmy na miejsce eksplozji po kilku dniach, zobaczyliśmy wielki lej w ziemi, głębokości może dwóch metrów, a w odległości kilkadziesięciu kroków znaleźliśmy leżące odłamki, niektóre po około dziesięć kilogramów wagi. Długo nie przyznawaliśmy się nikomu, że byliśmy sprawcami tego wybuchu, a powstały dół, który ktoś kiedyś próbował zasypać, był tam jeszcze przez wiele lat i widoczny jest pewnie do dzisiaj.

Nie wszystko jednak kończyło się szczęśliwie. Genek, starszy brat Zygmunta, został mocno poraniony w czasie eksplozji pocisku, który wybijał z przeciwlotniczego naboju. Czynił to dla zdobycia prochu. Być może uderzył czubkiem pocisku albo też jego zapalnik był wadliwy, za bardzo czuły, i spowodował wybuch pod wpływem wstrząsu. Widziałem go leżącego i jęczącego na wozie, jak jego ojciec wiozł go do szpitala. Głowę, ręce i nogi miał pokaleczone, a ubranie podziurawione i całe we krwi. W szpitalu leżał ponad miesiąc. Wydobyto z niego kilkanaście odłamków, a podobno kilka w nim jeszcze pozostało.

Od tego czasu ani jednego niewypału nie wziąłem do ręki i zauważyłem, że inni chłopcy też ich unikają.

*

W dwa miesiące po osiedleniu się w Kwidzie, w końcu czerwca lub na początku lipca, wziąłem się do budowy przy domu szopy z desek, których pełno leżało w lesie i za stodołami stojącymi w pobliżu asfaltowej szosy. Szopa ta miała mi służyć do majsterkowania i trzymania narzędzi oraz różnych rzeczy, na które nigdzie nie mogłem znaleźć odpowiedniego miejsca. Gdy byłem zajęty kleceniem owej budowli, podszedł do mnie nieznajomy młody mężczyzna. Patrząc na moją pracę, począł

mnie podziwiać i co chwilę chwalić, że bardzo zdolny ze mnie chłopak, po czym wyjawiał, że taki chłopiec jak ja byłby mu potrzebny w Kętrzynie do pilnowania krów w zagrodzie. Powiedział następnie, że jeśli zechcę, to może zabrać mnie od razu, o ile tylko moi rodzice się zgodzą.

Chociaż to pilnowanie krów w zagrodzie niezbyt mi zaimponowało, to jednak myśl, że mógłbym zamieszkać w Kętrzynie, bardzo mnie zainteresowała. Już nieraz marzyłem o tym, żeby kiedyś zamieszkać w mieście, a teraz miałem ku temu wielką okazję. Pobiegłem więc szybko w pole i przywołałem ojca. Tata początkowo nie bardzo godził się na przedstawioną propozycję mówiąc, że jestem na to jeszcze za młody, ale w końcu na moją prośbę i jako że pieniądze były bardzo potrzebne, przystał na mój wyjazd do Kętrzyna. Uzgodniono, że pojedę tylko na dwa miesiące, czyli do końca wakacji.

Po niedługiej rozmowie wsiałem do konnego wozu pana Józefa – bo tak miał na imię mój przyszły gospodarz – i po pożegnaniu z ojcem ruszyliśmy w drogę do miasta. Kiedy dojeżdżaliśmy do Kętrzyna, byłem bardzo ciekawy, gdzie pan Józef mieszka, a rad byłbym najbardziej, gdyby mieszkał w śródmieściu. Jakoż okazało się, że posesja jest położona w pięknym i ciekawym miejscu, niedaleko śródmieścia, aczkolwiek ulica nazywa się Polna. Przy drodze stał piętrowy domek, a za nim rozciągał się sad i ogródek. W domu z miłym uśmiechem powitała mnie gospodyni wraz z dwuletnią córeczką, po czym pokazała mój pokój, mieszczący się na piętrze, na którym nikt więcej nie mieszkał.

Po obiedzie pan Józef zaprowadził mnie do zagrody, po prawej stronie ulicy Gdańskiej, w której krów pilnowała starsza kobieta, pani Zofia. Bardzo ucieszyła się, że wyręcę ją w tym zajęciu, użalając się, iż ma już zbyt słabe nogi i ciężko jej uganiać się za krowami.

Rozejrzałem się po polu, na którym pasło się siedem krów, i zauważyłem, że pastwisko to trudno było nazwać zagrodą, chociaż miało ogrodzenie z kolczastego drutu. Druty te bowiem były porozrywane, a podtrzymujące je słupki w wielu miejscach leżały powalone na ziemi. Gospodarz, dostrzegłszy moje baczne przyglądanie się ogrodzeniu, zaczął mnie szybko pocieszać, że za tym pastwiskiem, a następnie kawałkiem uprawnego pola, znajduje się druga zagroda, ciągnąca się po tej samej stronie szosy, gdzie ogrodzenie jest dobre i krowy przez nie nie przejdą. Tam już będę tylko czytał książkę lub się zabawiał, a jedynie od czasu do czasu spoglądał, czy mimo wszystko któremuś bydłociu nie udało się przedrzeć przez płot i pójść na pole sąsiada. Powiedział mi, że będę pasł krowy na zmianę na obu pastwiskach i już za kilka dni, kiedy trawa w tamtej zagrodzie odrośnie, będę mógł je tam pogonić. Następnie gospodarz oznajmił, że tylko dwie krowy są jego, jedna należy do pani Zofii, a pozostałe cztery wziął na wypas od swoich znajomych z ulicy Polnej i ulic sąsiednich.

Gdy pan Józef poszedł do domu, zająłem się pilnowaniem krów, a pani Zofia zrywaniem kminku, który – twierdziła – jest najlepszym lekarstwem na dobre trawienie i na wszelkie dolegliwości żołądkowe. Wieczorem razem przygoniliśmy nasze podopieczne do domu, kiedy to dowiedziałem się, gdzie mieszkają ich właściciele i która krowa do kogo należy.

Pani Zofia jeszcze przez kilka dni towarzyszyła mi w gonieniu i wypasie krów, a czasami przychodziła także później, aby popatrzeć, jak pasie się jej Krasula, nie zapominając o zerwaniu nowej porcji kminku, który tak ceniła.

Rano wyganiałem krowy na pastwisko o godzinie szóstej i przyganiałem do domu o dziesiątej lub jedenastej na południową przerwę. Wypędzałem je z powrotem na pole około godziny drugiej albo trzeciej i przyganiałem o siódmej lub wcześniej, zależnie od pogody i długości dnia, które potem stawały się coraz krótsze.

Przerwę obiadową początkowo spędzałem w sadzie, gdzie delektowałem się porzeczkami, agrestem, smacznymi wiśniami i innymi owocami lub, jak na prawdziwego mieszczucha przystało, chodziłem po mieście i zaglądałem kolejno do wszystkich sklepów. Później poznałem wielu chłopaków z ulicy Polnej oraz ulic pobliskich i dużo czasu spędzałem z nimi.

Byli to chyba najlepsi koledzy, jakich kiedykolwiek poznałem, którzy wraz z rodzinami przyjechali tu z terenów Białorusi, Ukrainy i Wileńszczyzny po ich zajęciu przez ZSRR. Gdy tylko miałem wolny czas, zawsze bawiłem się z nimi. Jeździliśmy na rowerach bez łańcucha i napędu, w których ramy były dla dorosłych, a koła od wózków dziecięcych. Jeden taki rower złożyłem również ja z części podarowanych mi przez moich kolegów. Jeździłem na nim przeważnie z góry albo po równej drodze, odpychając się wtedy jedną nogą od ziemi.

Z kolegami bawiłem się w chowanego w ruinach zniszczonych domów, których w Kętrzynie było jeszcze bardzo dużo, bo wiele całych ulic leżało powalonych w gruzach. Bawiliśmy się też w różne inne gry i zabawy. Paliliśmy ogniska i w piasku pod nimi piekliśmy kartofle lub w garnkach na ogniu gotowaliśmy jakieś stawy, chociaż w domu nie brakowało nam jedzenia. Z kolegami poszedłem jednego wieczoru po raz pierwszy do kina i byłem z nimi w bardzo pięknym i ciekawym cyrku, jaki na kilka dni zawitał do Kętrzyna. W niedzielę razem chodziliśmy do kościoła, gdzie często spotykałem się z kimś z domu, niekiedy z całą rodziną. Przy pierwszym spotkaniu to już rodzinka odprowadziła mnie na ulicę Polną, aby zobaczyć, gdzie mieszkam. Stacha raz zaprosił mnie do domu. Bardzo smakowały mu bliny, jakimi gospodyni nas poczęstowała, i spędził prawie całe popołudnie ze mną na pastwisku. Ojciec też był kiedyś u mnie na polu i czasami odwiedzał mnie w domu.

Poznałem również koleżankę, Jolę Kuriatę, w moim wieku, która niezmiernie współczuła mi z powodu mojej monotonnej samotności na polu i, kiedy pasłem krowy w pierwszej zagrodzie, często mnie odwiedzała. Przychodziła wtedy z talią kart i żeby szybciej mi czas upływał, grała ze mną w wojnę lub inne gry przez godzinę albo dwie, po czym biegła szybko do domu, gdyż mama nie pozwalała jej na dłuższe wychodzenie. Chociaż przychodziła dla mojego dobra, to pamiętam, jak czasami narzekała, iż oszukuję ją w grze. Nie przypominam sobie, na czym miało to polegać i czy rzeczywiście stosowałem jakieś triki, czy też mówiła to tylko po to, aby coś do mnie mówić i nie grać w milczeniu.

Kiedy pilnowałem krów w dalszej zagrodzie, gdzie ogrodzenie faktycznie było dobre, chodziłem do chłopca, który pasł krowy po drugiej stronie szosy. Był autochtonem i nazywał się Dieter Słomka. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłem i jako że mieliśmy dobrą widoczność jednocześnie na oba pola, niemal zawsze przebywaliśmy razem. Gdy była piękna pogoda, kąpaliśmy się i łowiliśmy siatką ryby w rzece płynącej na skraju jego pastwiska. Rzeką tą był Guber – ten sam, który płynął za łąką w Kwidzie, a potem przepływał przez teren cukrowni w Kętrzynie i teraz biegł tu przez pole, płynąc gdzieś w kierunku Biedaszek. Jeśli padał deszcz, kryliśmy się w wielkiej żelaznej beczce leżącej u góry przy szosie. Graliśmy w niej w karty albo opowiadaliśmy coś sobie w oczekiwaniu na lepszą pogodę lub porę gonienia krów do domu. Kiedy raz tak leżeliśmy w tej beczce, przybiegł do nas jakiś mężczyzna, który przejeżdżał konnym wozem szosą, i zaczął do nas wołać, żebyśmy z niej wyleźli, bo gdyby tak ktoś tę beczkę popchnął, to byśmy razem z nią z góry się potoczyli, wpadli do Gubra i potopili. – Zresztą – mówił nieznajomy – beczkę może popchnąć wiatr albo może potoczyć się sama. Wygramoliliśmy się więc z niej i podparliśmy ją kamieniami, o jakie to zabezpieczenie w przyszłości i tak nigdy nie dbaliśmy.

W pierwszą niedzielę września przyjechał po mnie ojciec. Chociaż gospodyni prosiła, żebym jeszcze pozostał, bo przecież czwartą klasę miałem zaliczoną do kwietnia w poprzedniej szkole, to jednak ojciec nie zgodził się i zabrał mnie do domu.

Ten wyjazd do Kętrzyna wyszedł mi poniekąd i na złe. Gospodyni bowiem naopowiadała ojcu, że bardzo dobrze pilnowałem krów, przez co tata uznał mnie prawie za specjalistę w tym fachu i kazał mi paść również nasze krowy w Kwidzie. Jesienią czyniłem to po powrocie ze szkoły, gdy była jakaś pilna robota w polu i Stach musiał pomagać w pracy. To kowbojskie zajęcie jeszcze bardziej przypadło mi w udziale od wakacji następnego roku, ale zmieniał mnie przy nim Stach, czasami Regina lub Janka, a później także Zbyszek.

*

Nie pamiętam, po ilu dniach czy tygodniach po naszym przyjeździe do Kwidy przyszedł do nas mierniczy, ale wiem, że wymierzanie przydomowych posesji oraz pól i łąk trwało dość długo, chyba do samej jesieni. Do tego czasu każdy orał pole i kosił łąkę tam, gdzie mu było wygodniej lub gdzie miał na to ochotę, chociaż w niektórych przypadkach chłopci czynili między sobą uzgodnienia.

Po wymierzeniu pól i podzieleniu ich na parcele odbyło się losowanie. Ojciec wylosował najlepsze pole, przy samym lesie i jeziorze, na które najwięcej było chętnych. Parcela ta oprócz dobrej ziemi miała jeszcze dużo innych zalet. Była stosunkowo blisko położona, bo wiele pól znajdowało się daleko za łąką i torami kolejowymi, i miała dobry dojazd po brukowanej drodze. Dużą zaletą było też to, że między polem a jeziorem pozostawiono dość szeroki pas nieużytków, które można było sobie ogrodzić i wykorzystać jako zagrodę, szczególnie dla koni. Do nieużytków tych inni nie mieli dostępu, ponieważ musieliby przechodzić przez nasze pole. Zagroda, którą potem zrobiliśmy, była bardzo dobra dla zwierząt, gdyż rosła tam bujna trawa oraz koniczyna i woda była na miejscu. My, natomiast, mieliśmy wspaniałą atrakcję, jaką było jezioro – dobre miejsce do wypoczynku i możliwość łowienia ryb.

Kto wylosował lepsze pole, temu przydzielono – tym razem już bez losowania – gorszy kawałek łąki. Całą łąkę za szosą podzielono na równej powierzchni prostokąty, a że wszędzie była ona tej samej jakości, przeto za gorsze odcinki uznano te, które były dalej położone. Nam przypadł ostatni jej pas, a ponieważ za nim był jeszcze resztkowy kawałek łąki, który pozostawiono jako nieużytki, więc ojciec kosił również i ten kawałek, i znowu okazało się, że skorzystaliśmy także najlepiej, otrzymując tę ostatnią łąkę.

Mając dobre pole, łąkę i przydomową działkę, nieźle nam się powodziło. Był duży pożytek z gospodarstwa, a czas spędzany przy pracy, chociaż często w wielkim trudzie, upływał przyjemnie i szczęśliwie.

*

Od samego początku zamieszkania w Kwidzie niezmiernie intrygowała mnie kwatera Hitlera. Ponieważ mówili o niej dużo również i mieszkańcy wsi, więc niedługo po przyjeździe udało się nam ojca namówić, by z Regimą, Stachem i ze mną poszedł ją zobaczyć. Wychodząc byłem bardzo ciekawy, co tam ujrzymy i czy coś znajdziemy, gdyż nasi sąsiedzi opowiadali, że przynieśli z niej dużo różnych rzeczy.

Kilka dni przedtem był u nas strażnik, który nadzorował kwaterę. Miał wolny dzień i przyjechał z Kętrzyna do tutejszego jeziora z wędką na ryby. Prosił, aby mógł pozostawić u nas rower, który sprawiałby mu nad jeziorem wiele kłopotu, gdyby chodził z nim wśród przybrzeżnych zarośli. W nawiązanej rozmowie powiedział nam dużo ciekawych rzeczy na temat kwatery. Wspomniał, że Hitler wraz ze swoim sztabem przebywał w niej od 1941 do końca 1944 roku.

Siedziba ta była od nas niedaleko, około dwa kilometry drogą przez las. Idąc zauważyliśmy, że w mieszanym lesie, szczególnie po lewej stronie, na bagnistym terenie, rosną niezmiernie wysokie świerki, a ziemia po obu stronach drogi jest

mocno zryta przez dziki. Niedaleko kwatery zobaczyliśmy zasieki z kolczastego drutu i ostrzegawcze napisy: „Uwaga miny!”

Jak się później okazało, wokół kwatery – w lasach i na okolicznych polach – było jeszcze ponad pięćdziesiąt tysięcy min. Pułapki te z ważniejszych przejść i głównych szlaków komunikacyjnych zostały już usunięte przez radzieckich żołnierzy, którzy pierwsi wkroczyli do siedziby po opuszczeniu jej i wysadzeniu bunkrów dynamitem przez Niemców. To prawdopodobnie wybuchy pozostałych tu jeszcze min budziły nas czasami w nocy, kiedy, być może, wchodziły na nie dziki.

Przed samą kwaterą doszliśmy do stojącej przy drodze, lecz uniesionej wysoko do góry rogatki. Gdy minęliśmy ją, kilkadziesiąt metrów dalej napotkaliśmy niewielki tunel w ziemi, który, zbliżając się do drogi, po obu jej stronach wychodził na powierzchnię. Na dole tego tunelu były zamocowane rolki, po których mógł się przesuwac pas, transportując skrzynki i inne rzeczy, albo skrzynie same mogły przesuwac się bezpośrednio na obracających się rolkach.

Niedaleko za tunelem droga rozchodziła się w trzech kierunkach. Wiedzieliśmy już, że w lewo prowadzi przez las w kierunku znajdującego się po tej stronie jeziora w Gierłoży i nie ma przy niej nic szczególnego. Zarówno droga na wprost, jak i na prawo prowadziła między całkowicie lub częściowo zburzonymi masywnymi budynkami, blokami i bunkrami. Łatwiejsza do przebycia i bardziej ciekawa była droga na prawo. Poszliśmy więc w tym kierunku.

Była to szosa o nawierzchni betonowej, na której leżało pełno różnej wielkości kawałków gruzu z wysadzonych bunkrów. W oddali, po obu jej stronach, upiornie sterczały porozsadzone budowle, a niekiedy ich olbrzymie elementy były poodrzucane na kilka lub kilkanaście metrów. W niektórych bunkrach grubość żelbetonowych ścian, a w szczególności górnych stropów łącznie ze znajdującą się na nich betonową poduszką przeciwbombową dochodziła do dziesięciu metrów. Spod kilku rumowisk wydobywał się żółto-szarawy dym. Wszystko to sprawiało ponure, a jednocześnie bardzo niezwykle wrażenie.

Jednakże tylko nieliczne budynki były zupełnie powalone. Wszystkie masywne bunkry, przynajmniej częściowo, ostały się. Wiele z nich stało z popękanyimi na wylot murami odsłaniającymi grube pourywane pręty żelazne, które je wzmacniały. Większość budowli miała wypchniętą tylko jedną ścianę, co pozwoliło gazom powstałym wewnątrz, w wyniku eksplozji ładunku wybuchowego, ujsć na zewnątrz, pozostawiając inne elementy na swoim miejscu, czasem nawet niewiele naruszone.

Dużo bunkrów miało podziemne kondygnacje, zatopione wodą, i nikt nie wiedział, ile poziomów w ziemi jeszcze jest i co się w nich znajduje.

U góry, nad betonową drogą, którą szliśmy, jak i nad innymi drogami i przejściami była rozciągnięta druciana siatka z poprzyczepianymi do niej skrawkami zielonego plastiku imitującymi liście drzew. Maskowała ona widoczność szosy z góry. Podobnie przykryte taką siatką były wszystkie obiekty kwatery i wiele jej znajdowało się jeszcze na dachach większości budowli. Duże, porozrywane fragmenty tej siatki znad szosy i innych obiektów wały się po całym terenie i pod nogami na drodze.

Idąc tak, doszliśmy do szerokiej asfaltowej szosy i torów kolejowych, po przekroczeniu których napotkaliśmy podobne widoki. Do kilku lepiej ocalałych bloków weszliśmy do środka. Mimo że okna i drzwi wyleciały z nich w czasie eksplozji, a ściany były popękane na wylot, do niektórych miejsc woda deszczowa nie dochodziła i było w nich sucho. W takich miejscach wśród gruzów, tynku oraz połamanych półek, regałów i mebli zaczęliśmy grzebac i szukać bliżej nie znanych nam rzeczy. Będąc w którymś bloku, nie orientowaliśmy się, czy znajdujemy się w bunkrze Hitlera, Bormana lub Keitla, czy też podrzędnej służby, lecz jak się później okazało, w bunkrze fuehrera bywaliśmy dość często. W sumie znaleźliśmy tego dnia sporo książek, kilka mniej lub więcej uszkodzonych obrazów i widoczków, parę dobrych

krzesel, jedną niezłą szafę i wiele różnych drobiazgów. Większość książek, w szczególności wydanych mniej okazale, pozostawiliśmy na miejscu. Zabraliśmy wszystkie krzesła i kilka mniej uszkodzonych obrazów, w tym jeden niewielki szkic ołówkiem w ramce za szkłem i wiele innych rzeczy. Po szafę zdecydowaliśmy się przyjść z naszym wózkiem następnego dnia.

Na drugi dzień szafę rzeczywiście przywieźliśmy i przynieśliśmy jeszcze kilka krzesel. Później przytargaliśmy dużo najróżniejszych rzeczy, które można było w domowym gospodarstwie albo do innych celów wykorzystać.

Przez kilka lat odwiedzaliśmy siedzibę, chociaż najczęściej chodziłem tylko ja sam. Byłem w każdym bunkrze i pomieszczeniu, a w niektórych, gdzie można było pogrzebać w gruzach i od czasu do czasu coś znaleźć, bywałem wiele razy.

Krzesel więcej nie brałem, bo mieliśmy ich już dosyć. W dalszym ciągu znajdowałem i przynosiłem rozmaite obrazy lub widoczki malowane na kartonach oraz dużo różnych rzeczy nadających się do domowego użytku.

Jeden budynek zainteresował mnie najbardziej, bowiem znajdowałem w nim części rowerowe. Było to duże pomieszczenie – zapewne warsztat naprawy rowerów. W owym czasie rowery były bardziej niż dzisiaj popularnymi i cenionymi pojazdami, a w kwaterze mogły mieć szczególną użyteczność i zalety. Były ciche, nie zanieczyszczały powietrza i terenu oraz świetnie nadawały się do jazdy na kilkukilometrowych dystansach i po drogach, które w większości nie były zbyt szerokie. Z powodzeniem więc mogły służyć na przykład żołnierzom albo strażnikom.

W środku wspomnianego budynku było pełno gruzu. Chodziłem tam i grzebałem w ruinach chyba z kilkadziesiąt razy i zawsze coś znajdowałem. Z części, które stamtąd przyniosłem, może z wyjątkiem pogiętych ram i obręczy kół, mógłbym złożyć kilka rowerów. Dużo ich jednak odstępowałem kolegom lub starszym ludziom, chociaż i tak najpierw jeden, a po roku drugi rower zmontowałem dla siebie. Brakujące części otrzymywałem w zamian albo znajdowałem gdzie indziej lub dokupowałem na jarmarku czy w sklepie rowerowym w Kętrzynie.

Bardzo lubiłem grzebać w gruzach tego budynku oraz w wielu innych barakach i bunkrach, w których zawsze coś znajdowałem i miałem nadzieję, iż może za chwilę znajdę coś jeszcze ciekawszego.

Niewielu ludzi spotykałem wtedy na terenie kwatery. Czasami widywałem kogoś w dni wolne od pracy, ale siedziba obejmowała wielki obszar i dużo osób mogło przebywać w niej jednocześnie, wcale się nie spotykając. Ponadto z początku byli tam strażnicy, których ja jednak również nie widywałem.

Często zaś słyszałem opowiadania o SS-manach, którzy mieli w dalszym ciągu mieszkać w kwaterze. Mówiono na przykład, iż zimą na śniegu widuje się ślady świadczące, że ktoś wychodzi z niektórych bunkrów i wchodzi do nich z powrotem, kryjąc się w podziemiach, do jakich prowadzą sekretne dojścia. Chociaż bardzo często przebywałem w kwaterze także zimą, nic takiego nie zauważyłem i wątpię, aby mógł ktoś jeszcze mieszkać i żyć w tej opuszczonej i wysadzonej twierdzy.

Z czasem przestałem odwiedzać siedzibę, gdyż gruzy i ruiny zaczęła pokrywać coraz grubsza warstwa kurzu, piasku i ziemi, na której jęła wyrastać trawa, krzewy i drzewa.

Jeśli chodzi o otaczające to miejsce miny, to rozminowanie przyległych pól i lasów trwało do 1955 roku, przy dochodzącej do naszej wsi kanonadzie czasami do stu wybuchów dziennie.

*

Bardzo cieszyliśmy się z naszego osiedlenia się w Kwidzie. Posiadaliśmy dobre pole i łąkę, z których uzyskiwaliśmy dużo różnych płodów rolnych i w miarę

wystarczającą ilość pieniędzy na osobiste, domowe i gospodarskie wydatki. Mieliśmy niedaleko do powiatowego miasta oraz dobry do niego dojazd asfaltową szosą.

Dla mnie był to na pewno jeden z najszcześniejszych okresów w życiu i wiele pięknych wspomnień zachowałem z tych lat. Jednak dla dokładniejszego opisu tych czasów muszę również napisać o naszych problemach, kłopotach, zmartwieniach i obawach, jakie wtedy przeżywaliśmy, a szczególnie dorośli ludzie. Były to bowiem czasy, w których sytuacja międzynarodowa znacznie się pogorszyła i była bardzo napięta. Ludzie we wsi często mówili o nowej, jeszcze straszniejszej od poprzedniej wojnie, w czasie której na szeroką skalę będzie użyta broń atomowa. Martwiliśmy się też, że Polska może znowu utracić ziemie zachodnie oraz północne i że z powrotem przyjdą tu Niemcy i nas wypędzą, a my będziemy musieli pójść, nie wiadomo teraz dokąd.

Ojciec początkowo sądził, że w tym robotniczo-chłopskim ustroju będzie chłopom dobrze się powodziło i dziarsko się zabrał do pracy, ale to dorabianie się było pełne rozmaitych przeszkód i szło bardzo powoli. Najgorsze, że trzeba było ciągle płacić różne wysokie podatki, które dodatkowo gospodarstwo osłabiały. Taka sytuacja coraz bardziej ojca denerwowała i wkrótce stał się on wielkim przeciwnikiem tego ustroju, a także zaprowadzonego przez niego porządku, i zaczął wypatrywać wszelkich znaków na niebie i ziemi, kiedy to wszystko się skończy. Począł, jak na owe czasy, zbyt swobodnie wypowiadać się na temat tego ustroju, przez co został zadenuncjowany i wezwany do Urzędu d/s (do spraw) Bezpieczeństwa Publicznego w Kętrzynie, gdzie przez kilka godzin przetrzymywano go, uświadamiano, straszono i grożono. Ojciec był pewny, że wyspał go właśnie urzędnik, który jednego dnia przybył z gminy z upomnieniem za niepłacenie podatku, a któremu tata zbyt ostro użalał się i mówił, co myśli na temat tego ustroju, gminy i podatku.

We wsi coraz częściej ludzie mówili o różnych podchodach i zmuszaniu chłopów do przystąpienia do popularnie u nas zwanego kołchozu, a urzędowo nazywanego spółdzielnią produkcyjną. Jedną z takich metod przymuszania do tej formy gospodarowania było nakładanie wysokich podatków. O tych kołchozach ludzie opowiadali straszne rzeczy, gdyż wiele słyszeli o nich od przesiedleńców, którzy po wojnie przybyli do Polski z ZSRR.

My, młodzież, mało się jeszcze tym wszystkim przejmowaliśmy, w dodatku mówiono nam w szkole, że owe spółdzielnie produkcyjne to najlepszy, najekonomiczniejszy i najwyższy poziom gospodarowania na wsi, a nowej wojny światowej, niczym jakiejś niegroźnej atrakcji, też tak bardzo nie obawialiśmy się. Żyliśmy niezmiennie naszym beztroskim i ciekawym życiem, najbardziej zauważając to, co zajmuje i cieszy.

*

Zimą w Kwidzie osłoniętej lasami było nader zacisznie, a jako że mieszkańców było niewielu, więc było również bardzo spokojnie. Dla mnie niekiedy bywało aż za spokojnie i czas się trochę dłużył. We wsi miałem tylko jednego kolegę, Zygmunta, chociaż, prócz naszego Stacha, było jeszcze trzech chłopców o kilka lat starszych ode mnie, ale z nimi niewiele przebywałem, podobnie jak z chłopcami o parę lat młodszymi, których we wsi było już dużo. Najczęściej przeto czas zimą spędzałem z braćmi oraz z Reginą i Janką. Mieliśmy różne zajęcia w domu lub w ładną pogodę wychodziliśmy na sanki albo bawiliśmy się w śnieżki, czy też wspólnie lepiliśmy bałwana. Zimą, może nawet więcej niż latem, majsterkowałem z braćmi w szopie, czasem na podwórku lub w domu.

Kiedy nie szedłem do szkoły, co pewien czas wychodziłem z ojcem do lasu, gdzie wyszukiwaliśmy uschnięte świerki na opał do pieca. Drzewa te piłą ścinałiśmy, potem rznęliśmy na kawałki i na sankach przywoziliśmy do domu. Bardzo lubiłem chodzić

zimą do lasu, patrzeć na ośnieżone drzewa i obserwować ślady zwierząt na śniegu. Potrafiłem rozpoznać tropy chyba wszystkich zwierząt, jakie przez nasz las przechodziły.

Czasami odwiedzałem kwaterę Hitlera lub szedłem na zamrożone jezioro i łowiłem ryby w przeręblach. Gdy nie było na lodzie śniegu, jeździłem na łyżwach, teraz już fabrycznych, kupionych na targu w Kętrzynie. Na nartach nie jeździłem, bo w pobliżu nie było odpowiedniej góry, a ta, z której zjeżdżaliśmy na sankach, była za mała do jazdy na nartach.

Wieczorami przeważnie odrabiałem lekcje lub czytałem książki. W jasne księżycowe wieczory zjeżdżałem w towarzystwie tutejszej młodzieży z góry na sankach albo chodziliśmy i biegaliśmy po skrzypiącym śniegu. Niekiedy wychodziłem do Zygmunta i czas spędzałem u niego w mieszkaniu na pogawędce, graniu w karty lub słuchaniu radia zasilanego prądem z akumulatora, który co kilka tygodni Zygmunt oddawał do naładowania w Kętrzynie.

Najprzyjemniej spędzonym czasem zimą był okres Bożego Narodzenia. W Kwidzie nie mieliśmy żadnego problemu ze znalezieniem choinki, bo lasy wokół były przeważnie świerkowe, toteż każdego roku piękna choinka stała w każdym domu.

Aby bardziej uatrakcyjnić święta, a jednocześnie urozmaicić zimową nudę, pomyślałem sobie, że moglibyśmy chodzić jako kolędnicy po wsi. Wprawdzie kolędnicy chodzą tylko przez kilka dni, ale przecież bardzo ciekawy jest okres przygotowań do tych występów, który rozpoczyna się już na wiele tygodni przed świętami. W tym czasie trzeba zbudować szopkę, żłóbek czy gwiazdę, sporządzić odpowiednie stroje, nauczyć się ról i kolęd, przeprowadzić próby i dokonać wielu innych czynności.

W pierwsze święta po przyjeździe do Kwidy chciałem chodzić z szopką. Zbudowałem już ją, wykonałem większość kukielek i nauczyłem się na pamięć ich ról, które miałem wypowiadać, siedząc za szopką w czasie przedstawienia, jednocześnie poruszając sporządzonymi lalkami. Jednakże starsi koledzy, którym może spodobał się mój pomysł, postanowili chodzić ze żłóbkiem i jako że było potrzeba do tego sześciu chłopców, jęli także namawiać mnie. Ponieważ oni mogli chodzić ewentualnie w piątkę, a ja sam chodzić z szopką nie mogłem, zatem przyłączyłem się do nich.

W tak powstałej grupie, przygotowującej się do chodzenia ze żłóbkiem, był także mój starszy brat Stach oraz Zygmunt z Genkiem i dwóch pozostałych starszych chłopców ze wsi: Edek Artysiewicz i Stach Gałecki. Powierzono mi rolę anioła. Zrobiłem więc wielkie skrzydła z kartonu i okleiłem je srebrnym papierem. Na siebie włożyłem białą komżę. Inni chłopcy też poubierali się odpowiednio do swoich ról, których już dokładnie sobie nie przypominam. Pamiętam jedynie, że byli tam trzej pastuszkowie.

Ze żłóbkiem chodziliśmy tylko przez dwa kolejne święta, gdyż na trzeci rok kilku starszych chłopców uważało się już za zbyt dorosłych i poważnych kawalerów, którzy raczej powinni chodzić z pannami niż ze żłóbkiem, i nie chcieli uczestniczyć w dalszych występach. Wtedy ja wykonałem gwiazdę i z moim młodszym bratem Zbyszkim oraz z Zygmuntem chodziliśmy z gwiazdą.

Zarówno ze żłóbkiem, jak i z gwiazdą przyjmowano nas wszędzie bardzo chętnie, a szczególnie we wsi Nakomiady, gdzie zapraszano niezwykle serdecznie i gościnnie prawie do każdego domu. Na szczęście była to duża wieś i starczało nam jej na kilka wieczorów. Czasami zatrzymywano nas przed domami, w których byliśmy poprzedniego dnia, i proszono o powtórzenie występu. W wielu mieszkaniach, zwłaszcza gdzie odbywały się wesela albo inne przyjęcia, częstowano nas czekoladą lub cukierkami, ciastem i ciastkami albo kanapką z szynką czy kawałkiem apetycznie

upieczonego kurczaka. W wypadkach, gdy uważaliśmy, że wypłacono nam aż nazbyt wysokie honorarium pieniężne, uznawaliśmy za stosowne powtórzyć przynajmniej część przedstawienia, co zawsze było przyjmowane z wielkim zadowoleniem. Bywało też, że do niektórych domów nas nie zapraszano, wówczas na drugi rok do nich nie zachodziliśmy.

Z gwiazdą chodziliśmy również przez dwa lata, po czym tradycja kolędników w naszej wsi zanikła, jako że młodszy chłopcy nie podjęli już tego zwyczaju.

*

Ponieważ nasze pole rozciągało się pod lasem, przeto czasami przychodziły na nie dziki i robiły szkody, zwłaszcza w kartoflach. Jednego roku, kiedy ziemniaki rosły przy samym lesie, dziki pojawiały się w nich prawie każdej nocy, aż ojciec zbudował na wzgórzu, w pobliżu zagonu kartofli, drewnianą szopę i jał w niej sypiać i odstraszać szkodniki. Szopa była niewielka, w kształcie namiotu, pokryta papą i miała podłogę, na której leżało siano. W szczycie, od strony kartofli, były solidne drzwi, a nad nimi małe okienko do obserwowania pola.

Bardzo mnie zaintrygowało to spanie nocą na polu w szopie i odstraszanie dzików, zatem poprosiłem ojca, aby mi pozwolił wybrać się kiedyś za niego. Gdy więc ojcu nie pasowało raz pójść spać do szopy, skorzystałem z okazji i poszedłem ja.

Przed udaniem się na pole przygotowałem kilka rakiet z prochu, jakie zwykle puszczałem w noc sylwestrową na przywitanie nowego roku. Były one bezpieczne, bo nie wybuchały, tylko świeciły smugą ognia, kiedy je wyrzucałem do góry. Jednakże dziki tej nocy nie przyszły, a może były, tylko ja – upojony zapachem świeżego siana, na którym leżałem – noc w większości przespałem. Po kilku dniach ojciec znowu pozwolił mi pójść na noc do szopy. Wtedy już postanowiłem nie kłaść się na sianie, tylko całą noc przesiedzieć, żeby nie usnąć i słyszeć, jak dziki będą się zbliżały. Jakoż mój trud został nagrodzony, bo około północy zwierzęta przyszły na pole. Słyszałem najpierw szelest łamanych gałęzi w lesie, a potem smaczne pochrząkiwanie w kartoflach. Poczekalem trochę, aż dziki bardziej się rozgoszczą i bliżej podejda do szopy. Zwierząt tych nie bałem się, ponieważ były one częstymi bywalcami w okolicy, nigdy nikogo nie atakowały i sam je kilka razy widziałem, czasami z niewielkiej odległości.

Gdy dziki podeszły bliżej i przez okienko wyraźnie już odróżniałem ich kształty, po cichu wyszedłem z szopy i puściłem kolejno trzy rakiety. Zwierzęta w wielkim popłochu uciekły do lasu, a ja szybko wskoczyłem do szopy i jałem obserwować pole przez okno. Kiedy przez dłuższy czas już nic się na nim nie działo i byłem pewny, że szkodniki tej nocy więcej nie przyjdą, położyłem się spać i usnąłem.

To moje postraszenie dzików okazało się bardzo skuteczne, gdyż ojciec mówił, że przez wiele następnych nocy nie pojawiły się. Faktem, że zwierzęta te bardziej wystraszyły się mnie niż jego, tata był nawet mocno zdumiony, bo o rakietach nic mu nie mówiłem i dowiedział się o nich dopiero potem od kogoś z domowników, którzy widzieli, jak je przygotowywałem.

Na drugi rok ojciec ogrodził całe pole od strony lasu siatką z kwatery i ogrodzenie to wzmocnił jeszcze drutem kolczastym. Chociaż kosztowało to dużo pracy, opłaciło się to zrobić, bo od tego czasu dziki na nasze pole więcej nie przychodziły.

*

Nasze pole, położone przy lesie i jeziorze, było bardzo ładne i wyglądało niezwykle malowniczo. Nie było ono równe, lecz znajdowało się na nim wiele wzgórz, górów i pagórków oraz zboczy i dolin. My, młodzi naszego domu, ponadawaliśmy tym miejscom piękne romantyczne nazwy, zaczerpnięte z książek lub wymyślone przez nas. Był więc Północny i Wschodni Brzeg jeziora, które od północno-wschodniej strony otaczało nasze pole. Była Ścieżka Węża, gdzie widzieliśmy raz sporego węża,

jako że ścieżka ta biegła blisko lasu. Drogą Słońca nazwaliśmy polną drogę, nad którą świeciło słońce przed nami, gdy w południe wracaliśmy do domu na obiad. Podobnie było też Wzgórze Zachodzącego Słońca, Gwiazdny Pagórek, Góra Wiatrów, Księżycowa Dolina, Dolina Zimnej Rosy, Wysokie Zbocze, Chabrowy Klin i inne nazwy. Kilka z nich przejęli nasi rodzice z braku własnych określeń lub dlatego, że im się spodobały. Wiele przyjęło się na stałe, a o innych wkrótce zapomnieliśmy. Chociaż niektóre nazwy były za bardzo cukierkowe, wymyślne i zbyt piękne, do jakich niestety nie jesteśmy przyzwyczajeni, to jednak były one chyba lepsze od tych, jakimi obdarzano nas w życiu codziennym. Otóż naszą wieś, którą nazywaliśmy Kwidą, ktoś przechrzcił na Klowie, a wieś sąsiednią nazwano Globie. Jednakże my tych nazw nie przestrzegaliśmy i w dalszym ciągu nazywaliśmy nasze wsie po dawnemu. Byliśmy jednak bardzo ciekawi, kto wymyśla takie miana, zmieniając nazwy już istniejące, mające jakieś uwarunkowania i do których ludzie się przyzwyczaili – na brzydsze, lub wręcz beznadziejne. Na szczęście kilku innym wsiom nadano ładniejsze nazwy.

*

Jeziro, przy którym leżało nasze pole, miało około dwa kilometry długości. Od północy było otoczone lasem, w środkowej części – po obu brzegach – polami uprawnymi, a od południa bagnami i trzęsawiskami porośniętymi olszyną, trzciną i inną błotnisto-wodną roślinnością. Był to dość duży obszar moczarów, niedostępny dla ludzi, na którym gnieździły się liczne kolonie wodnego ptactwa. Całe jezioro naokoło było również porośnięte wąskim pasmem olszyn, trzcin, sitowia, pałki i strzałki wodnej oraz innych gatunków przybrzeżnej roślinności.

Tylko w niektórych miejscach brzeg porastały wyłącznie trawy, a w wodzie nie było żadnych wodorostów i można było wygodnie się kąpać. Kilkanaście metrów takiego brzegu znajdowało się w zagrodzie przy naszym polu. Dno tam było piaszczyste, a woda przezroczysta, podobnie jak w całym jeziorze, gdyż wpadały do niego tylko niewielkie leśne, czyste strumyki. Bardzo lubiłem w tym miejscu się kąpać, a szczególnie pływać, i czasami przepływałem na drugą stronę jeziora, mającego kilkaset metrów szerokości.

Uwielbiałem też spacerować wokół jeziora, obserwować pluskające ryby oraz fruujące i pływające ptactwo, a zwłaszcza małe dzikie kacuszki lub maleństwa innych ptasich gatunków pływające gęsiego za swoją mamą i chowające się w sitowiu w chwilach, gdy mnie dostrzegały.

Ponieważ ojciec był także zapalonym rybakim, więc zbudował drewnianą łódkę, którą chował w przybrzeżnych zaroślach w naszej zagrodzie, czepiając na łańcuchu do drzewa i zabezpieczając kłódką. Wiedziałem, gdzie jest schowany klucz, i mogłem łódką pływać, ile chciałem, bowiem ojciec nie bronił mi do niej dostępu. Często więc z niej korzystałem i pływałem po całym jeziorze, łowiąc ryby na wędkę, lub wiosłowałem dla samej tylko przyjemności.

I była to dla mnie niezwykłą przyjemnością pływać tak po jeziorze i zachwycać się jego urokiem, szczególnie w ciepłą i piękną pogodę, kiedy przyroda wokół łśni barwami i kipi życiem. Wyjątkowo cudne i urzekające chwile przeżywałem o zachodzie słońca, wśród wspaniałych kolorów nieba i ślicznej, odbijającej się w wodzie smugi słońca. Jezioro stawało się wtedy bardzo ciche i spokojne i tylko słychać było pluskające ryby dokoła lub głos jakiegoś ptaka w oddali.

Płynąc łódką po jeziorze, mogłem z bliska podziwiać wspaniałe kwiaty wodne, a zwłaszcza białe grzybienie i żółte grążele, które były wyjątkowo wielkie, dorodne i intensywne w swej barwie, jakich gdzie indziej nie widywałem.

Niekiedy próbowałem szukać skarbów, które miały być zatopione w północnej części jeziora. Jednakże woda tam była głęboka i już kilka metrów od brzegu nie

można było dosięgnąć dna wiosłem. Na skraju jeziora dno było bardzo muliste i jeśli wszędzie było ono takie samo, to trudno byłoby znaleźć cokolwiek, nawet gdyby na nim leżało. Przy brzegu, gdzie sięgałem dna wiosłem, i trochę dalej, gdzie dosięgnąć je mogłem tylko przy pomocy dłuższego drążka, nigdy nie natrafiłem na jakiś przedmiot przypominający kształtem skrzynię, beczkę lub czymś wypchany worek. Czasami dotykałem czegoś twardego, ale było to przeważnie niewielkich rozmiarów, najprawdopodobniej kamienie. Niekiedy, jeśli nie było zbyt głęboko, zeskakiwałem z łódki do wody, aby stwierdzić, co kryje się na dnie. Jednak kilka razy wymacałem tylko pograżony w mule kamień, a w innych przypadkach, mając ograniczoną swobodę ruchów pod wodą, nie mogłem dosięgnąć tego, co w mule się znajdowało.

Rybacy łowiący ryby w jeziorze także mówili, że nigdy niczego w wodzie nie dostrzegli. Jednakże uważali za całkiem prawdopodobne, iż przed opuszczeniem kwatery powywożono z niej pewne rzeczy i być może część z nich zatopiono tu w tym jeziorze, może gdzieś dalej od brzegu. Należy jednak pamiętać, że jeszcze bliżej kwatery znajduje się jezioro w Gierłóży.

*

Nikt natomiast nie miał żadnych wątpliwości, że w jeziorze są ryby, i to w dużych ilościach. Łowiliśmy je o różnych porach dnia i roku i na rozmaite sposoby. Często łowiłem ryby wędką, siedząc w łódce albo stojąc na którymś z prowizorycznie zrobionych z żerdzi pomostów, jakich wiele zbudowali rybacy na brzegu jeziora.

Niekiedy ryby mocno brały i przyjemnie było patrzeć na zanurzający się co chwila pławik i wyciągać piękne okazy z wody. Ojciec łowił nawet ryby siecią, a z nim zazwyczaj ja chodziłem na te połowy. Z braku czasu w dzień najczęściej łowiliśmy wieczorami i czyniliśmy to tylko latem. Z wielkim sentymentem i żalem – że już przeminęły – przypominam sobie te ciepłe księżycowe wieczory, kiedy pływalismy łódką po jeziorze i za trzciniami zarzucaliśmy sieć do wody. Czasami dokuczały nam komary, ale ja nawet lubiłem ich żalosne brzęczenie i niewiele mi one przeszkadzały.

Często w towarzystwie Stacha lub Zbyszka – albo Zygmunta czy Genka – łapaliśmy ryby również w rzece, która wypływała z jeziora i płynęła za naszą wsią. Łowiliśmy przeważnie drucianymi siatkami, podobnymi do worków, które zaczepialiśmy na drążkach i zanurzaliśmy do rzeki, a gdy ryby do nich wpływały, podnosiliśmy je szybko do góry i wyciągaliśmy z wody wraz z rybami. W ten sposób łowiliśmy zwykle płotki, uklejkę i klenie.

Czasami brałem ze sobą sieć i wtedy połów był obfitszy, ale ojciec niechętnie godził się na używanie sieci bez niego w obawie, abym jej nie uszkodził. Gdy szedłem z siecią, wtedy najczęściej brałem do pomocy Zbyszka. Wówczas, łowiąc, szliśmy naszą rzeką aż do Gubra, który był szerszy i głębszy od kwidziańskiej rzeki, przez co bardziej nadawał się do zastawiania sieci. W Gubrze pływały też większe ryby i było ich tam więcej. Chyba nigdy nie zapomnę szczupaka, blisko metrowej długości, który wplątał się w naszą sieć, a kiedy ją wyciągaliśmy i szczupak był już ponad wodą, wtedy jakimś ostatnim susem ratunku zdołał wyskoczyć z sieci i wpaść z powrotem do rzeki. Cóż by to ojciec powiedział, gdybyśmy przynieśli do domu takiego szczupaka, jakiego być może on nigdy nie złowił. Może by nawet nie pogniewał się na nas, że wzięliśmy sieć bez jego zgody.

Na naszej rzece była niewielka zastawa, którą kiedyś zrobiono dla utworzenia zbiornika wodnego do hodowli ryb. Ryb tych teraz nikt nie hodował i żyły one tam same. Pewnej niedzieli kilka osób wpadło na pomysł, aby zaporę otworzyć i wylapać ryby, których dużo musiało pływać w powstałym zalewie, do czego ja w czasie południowej przerwy w pasieniu krów też się dołączyłem. Może po godzinie prób i manipulacji udało się unieść do góry wielką płytę żelazną, założoną w zaporowym murze i woda z niesamowitym hukiem popłynęła z zalewu w dół rzeki. Gdy po paru

godzinach woda opadła, ukazało się nam mnóstwo skaczących po mule i pluskających w błocie ryb. Były to karpie, liny, karasie, leszcze i wiele innych gatunków. Dużo ryb było całkowicie zanurzonych w głębokim mule.

Z wielkim zapałem zabraliśmy się do ich wyłapywania. Małe rybki wrzucaliśmy do płynącej środkiem rzeki, a większe okazy wkładaliśmy do przygotowanych siatek i koszyków. Jak były już pełne, ci, co mieli bliżej, odnosili ryby do domu, a pozostali układali je, gdzie tylko mogli.

Kiedy tak noszono ryby do domu, zauważyli to inni ludzie we wsi, a szczególnie ci, którzy akurat wracali z kościoła w Kętrzynie. Gdy dowiedzieli się, gdzie można takich ryb nałapać, wielu szybko pośpieszyło do zastawy, nie zachodząc nawet do domu, żeby zdążyć chociaż kilka sztuk chwycić, zanim je inni wyłowią. Drudzy szli z ciekawości, aby zobaczyć, co tam się dzieje, ale jak zobaczyli, nie wytrzymali i również ulegali gorączce połowów. Ponieważ nie byli przygotowani do wchodzenia do wody, bo nie mieli na sobie strojów kąpielowych, więc bardziej odważni, przeważnie mężczyźni, rozbierali się prawie do rosołu, pozostawiając na sobie tylko niektóre części bielizny. Inni, bardziej wstydliwi, w szczególności kobiety, pozdejmowali z siebie tylko płaszcze, buty oraz pończochy i wchodzili do błota w ubraniach. Niektórzy zbierali ryby do worków poczynionych z koszul lub podkoszulek, a inni wkładali je do kieszeni. W lepszej sytuacji były kobiety, zwłaszcza te, które miały większe torebki.

W byłym zalewie, mającym kilkanaście arów powierzchni, odbywała się teraz wielka zabawa. Słychać było żarty, dowcipy i śmiechy, a niekiedy kłótnie i odgłosy ostrej rywalizacji w wychwytywaniu ryb, albo też prośby wzywające o pomoc w wydostaniu się z głębokiego i grząskiego błota.

W końcu ryby wyłapaliśmy, żelazną płytę opuścili i udaliśmy się do domu. Ci, co zbierali je w ubraniach, byli tak umorusani, że wchodząc do mieszkań podobno powystraszali swoich domowników, tym bardziej że przecież wracali z kościoła.

Opuszczając żelazną płytę, podłożyliśmy u dołu dwie cegły i oparliśmy płytę na nich, żeby woda mogła dołem przepływać i aby rzeka w swym dolnym nurcie nie wyschła. Po kilku dniach, gdy woda przelewała się również ponad płytą, usunęliśmy cegły i zapora opadła na swoje dawne miejsce.

Bardzo byłem ciekawy, kiedy będzie można znowu zastawę otworzyć, spuścić wodę i wyłapać ryby, jednakże starsi ludzie mówili, że będzie można zrobić to dopiero po kilku latach, jak ryby rozmnożą się i urosną, a ryby rosą powoli. Ponieważ bardzo spodobały mi się te ryby, a jeszcze bardziej scena ich łowienia, więc żeby szybciej rosły, przychodziłem czasami do zastawy i wrzucałem do wody suchy chleb albo sypałem groch lub ziarno. Ale nie doczekałem się następnego otwarcia zapory i nie wiem, czy kiedykolwiek ją jeszcze otwierano.

*

Jak już wspominałem, do szkoły w Pożarkach poszedłem we wrześniu 1948 roku od początku do klasy czwartej, chociaż w tej klasie uczyłem się już do końca kwietnia w poprzedniej szkole. Razem ze mną chodziła do niej również Regina i Janka oraz mój kolega Zygmunt. W klasie było kilkunastu uczniów, w większości chłopców. Ponad połowa uczniów pochodziła z Wileńszczyzny, skąd po wojnie wyjechali i osiedlili się tu w Pożarkach lub okolicznych wsiach. Uczniowie klasy czwartej byli pod względem wieku bardzo zróżnicowani. Wielu z nich było starszych ode mnie nawet o cztery lata, ale kilku było również w moim wieku.

Mimo że pochodziliśmy z różnych stron i mieliśmy nie te same lata, byliśmy bardzo zżyli i tworzyliśmy zgraną całość. W czasie przerw, wolnych godzin i po lekcjach my, chłopcy, często urządzaliśmy różne gry i zabawy. Najczęściej bawiliśmy się w chowanego, kryjąc się w nie zamieszkanym domach, zwłaszcza na ich

strychach, albo w innych nie zagospodarowanych budynkach stojących w pobliżu szkoły. Miałem w szkole wielu bardzo dobrych kolegów i ze wszystkimi chłopcami, jak i dziewczynami koleżeństwo dobrze się układało.

Przez cały czas, do ukończenia szkoły, uczyły nas tylko nauczycielki, które nadzwyczaj dobrze znały i wykonywały swój zawód. Kierowniczką szkoły miała wśród nas szczególnie duży autorytet i w sposób niezwykle przystępny i interesujący uczyła swoich przedmiotów.

Czas spędzony w szkole w Pożarkach upływał przyjemnie i ciekawie i lata te jakoś bardzo szybko minęły. Tak naprawdę to z czasu przeżytego w tej szkole niewiele nawet pamiętam, co może świadczyć niejako, że wszystko w niej było normalnie, bez zbyt wielkich przygód i zdarzeń, jakich rzeczywiście sobie nie przypominam.

3. ZDESPEROWANY TRZECIOKLASISTA

Po ukończeniu szkoły podstawowej, w czerwcu 1952 roku, podjąłem starania o przyjęcie mnie do szkoły średniej. Najbardziej chciałem pójść do jakiegoś technikum. O jego wyborze częściowo zdecydował mój ojciec, który bardzo pragnął oddać mnie do Technikum Rolniczego w Karolewie. Technikum to miało tę zaletę, że było blisko Kwidy, w odległości tylko pięciu kilometrów, a po jego ukończeniu zostałemby agronomem lub umiałbym dobrze gospodarzyć u siebie na roli, co w obu przypadkach bardzo by ojca cieszyło.

W lipcu wybraliśmy się więc z tatą do tej szkoły, której pełna nazwa brzmiała: Zespół Państwowych Techników Rolniczych w Karolewie, gdzie dla uzyskania bliższych informacji na temat przyjęcia udaliśmy się prosto do dyrektora naczelnego. Dyrektor polecił mi złożyć podanie, dołączyć do niego świadectwo ukończenia siódmej klasy szkoły podstawowej oraz kilka innych załączników i powiadomił o terminie egzaminów wstępnych.

Po napisaniu podania i złożeniu niezbędnych zaświadczeń zgłosiłem się w ustalonym czasie na egzaminy. Wszystkie one odbyły się jednego dnia i w jednej sali, w której podchodziłem kolejno do kilku profesorów i odpowiadałem na pytania oraz rozwiązywałem podyktowane mi zadania z matematyki. Mimo że świadectwo z siódmej klasy przyniosłem słabe, to jednak egzaminy wstępne dobrze mi poszły. Chcę tu z przyjemnością dodać, że prócz piątek, które wtedy otrzymałem, usłyszałem jeszcze dużo miłych osobistych komplementów od egzaminujących mnie profesorów, choć może to nie tylko one wpłynęły na otrzymanie tak dobrych ocen. W parę dni po egzaminach rozmawiałem z dyrektorem o tym, w jakim technikum mam się uczyć. Właściwie to najbardziej chciałem uczęszczać do technikum rachunkowości rolnej, lecz dyrektor oznajmił, że nie ma już w nim wolnych miejsc i zaproponował mi technikum rolnicze. Powiedział nawet, że z takimi stopniami, jakie otrzymałem na egzaminie wstępnym, szkoda byłoby mnie dawać do rachunkowości i powinienem właśnie pójść do technikum rolniczego.

Wyszedłem z pokoju dyrektora trochę niezadowolony, ale pomyślałem sobie, że po ukończeniu tego technikum zostanę przecież agronomem, do której to specjalizacji ojciec mnie bardzo zachęcał, a i mnie samemu, po namowach dyrektora, kierunek ten także się spodobał.

Gdy na rozpoczęcie roku szkolnego zgłosiłem się do pierwszej klasy technikum rolniczego i opiekun klasy odczytał listę przyjętych do niej uczniów, ze zdziwieniem spostrzegłem, iż na tej liście mnie nie ma. Po moim stwierdzeniu, że powinienem znajdować się na niej, wychowawca wyszedł gdzieś, aby wyjaśnić sprawę. Po chwili jednak wrócił mówiąc, że wszystko w porządku, bo tylko ktoś omyłkowo umieścił mnie na liście nowo przyjętych uczniów do technikum rachunkowości rolnej. Zorientowałem się od razu, iż uczynił to dyrektor, gdyż o to się przecież starałem, lecz nim zdążyłem powiedzieć słowo, wychowawca dopisał mnie do listy uczniów pierwszej klasy technikum rolniczego, i tak oto zostałem uczniem w tym technikum. Potem tego żałowałem, bo miałem jednak większą chęć uczyć się w rachunkowości, a poza tym poznałem tam później paru bardzo dobrych kolegów, a właściwie poznałem wszystkich chłopców, których w pierwszej klasie rachunkowości było niewielu, ponieważ uczyło się w niej kilka razy więcej dziewcząt niż chłopaków.

Jednakże po paru dniach nauki i poznaniu wszystkich profesorów, którzy uczyli nas w technikum rolniczym, oraz koleżanek i kolegów w klasie byłem także zadowolony z technikum, w którym podjąłem naukę, tym bardziej że zamieszkaliśmy w lepszym internacie niż koledzy z rachunkowości.

Cały zespół szkół składał się z czterech techników: rolniczego, rachunkowości rolnej, mechaniki rolnej i zootechniki rolnej. Nauka we wszystkich była czteroletnia, a po jej ukończeniu otrzymywało się świadectwo maturalne z tytułem odpowiedniego technika. W niektórych technikach, a zwłaszcza mechaniki rolnej, było po kilka równorzędnych klas z dopiskiem tylko kolejnych liter alfabetu. W całym zespole uczyło się w sumie ponad tysiąc trzystu uczniów.

Wszyscy uczniowie, może z wyjątkiem mieszkańców Karolewa i okolicy, mieszkali w internatach. Pobyt w nich był odpłatny, ale mniej zamożni uczniowie i ci, którzy osiągnęli dobre wyniki w nauce, mieli zniżki lub byli nawet zwalniani z opłat. Każdy internat miał swoją nazwę. Chłopcy naszej klasy zostali skierowani do „Kościszewca”. Ja razem z czterema kolegami zamieszkałem w jednym, a pozostałych ośmiu chłopaków z klasy otrzymało lokum w dwóch innych pokojach na tym samym piętrze. Warunki w internacie mieliśmy dobre. Było czysto, ciepło i przytulnie. Na dole była łaźnia, gdzie myliśmy się pod prysznicami.

Mało kiedy uczyliśmy się w pokojach, ponieważ w tym celu zbieraliśmy się wieczorami na naukę własną w sali lekcyjnej w szkole. W czasie tej nauki obowiązywała na sali cisza, mieliśmy wszystkie pomoce naukowe i w ogóle były dobre warunki do uczenia się. Ponadto przyjemnie było odrabiać zadane lekcje, przebywając wspólnie z całą klasą, a w razie jakichś trudności mieć możliwość szybkiego zwrócenia się do kogoś o pomoc.

Niedaleko budynku, w którym uczyła się nasza klasa, znajdowała się stołówka. Była to wielka sala, gdzie stało kilka rzędów bardzo długich stołów z poustawianymi przy nich krzesłami bądź ławami. Śniadania, obiady i kolacje wydawano w dwóch turach, bo wszyscy uczniowie w niej się stołowali.

*

W naszej klasie było ponad dwadzieścia dziewcząt i trzynastu chłopaków. Pochodzili oni z różnych stron Polski jak również spoza granic naszego kraju. Najwięcej uczniów było z województwa olsztyńskiego, ale byli też z dalekich zakątków Bieszczad i innych odległych okolic. Przyjechali z małych wsi, jak i większych osiedli i miast, a jeden uczeń przybył nawet z Warszawy. Było też w klasie pięć dziewczyn oraz trzech chłopców – imigrantów z Grecji – którzy przez kilka lat pobytu w Polsce zdążyli nauczyć się naszego języka w specjalnej dla nich szkole w Policach koło Szczecina. Znaczna większość uczniów była pochodzenia chłopskiego, a tylko nieliczni robotniczego i inteligenckiego. Różnica wieku między najmłodszym a najstarszym uczniem wynosiła jakieś trzy lata. Była to młodzież różnego temperamentu, charakteru i poziomu wiedzy.

Wychowawcą klasy był młody profesor, który mimo naszego zróżnicowania dość dobrze sobie z nami radził. Uczył nas koronnego przedmiotu, jakim była ogólna uprawa roślin.

Prócz uprawy roślin mieliśmy jeszcze takie przedmioty zawodowe, jak ochrona roślin, ogrodnictwo, maszynoznawstwo, zajęcia praktyczne, hodowla zwierząt i inne, a ponadto uczyliśmy się kilkunastu przedmiotów ogólnych.

Ze wszystkich przedmiotów zawodowych najbardziej lubiłem ogrodnictwo – może dlatego, iż w domu przy uprawie warzyw niejednokrotnie już pracowałem. Nader znaczące było jednak to, że wszyscy bardzo lubiliśmy profesora tego przedmiotu, który zawsze miał dobry humor. Choć czasami lubił także i z nas pożartować, to pamiętam, jak raz my uśmialiśmy się z niego. Przepowiadał on bowiem, że na trzech ogrodników, to jest 12–13–14 maja, będzie na pewno, jak co roku w tych dniach, bardzo zimno i temperatura może nawet spadnie do zera lub tylko kilku stopni powyżej. Gdy te dni nadeszły, na dworze było bardzo pięknie i ponad dwadzieścia stopni ciepła.

Jeśli chodzi o pogodę, to przypomina mi się pewna mniej przyjemna historia. Otóż, ilekroć przypadło nam pójść w czasie lekcji ogólnej uprawy roślin na pole, aby zobaczyć i przestudiować wierzchnie warstwy gleby w wykopanej w tym celu odkrywce, podobnej do okopu, zawsze wtedy trafiała się tak brzydka pogoda, zimno i silny wiatr, że wolelibyśmy już chyba, żeby ten wiatr zdmuchnął nas do tego dołu, niż stać tak nad nim i z zimna prawie nie słyszeć, co mówi profesor.

Podobnie jak jest to w zwyczaju w innych szkołach średnich, wszystkich naszych nauczycieli nazywaliśmy profesorami, chociaż oni sami mówili, że nimi nie są i że profesorowie to uczą na wyższych uczelniach. Również uczniowie w klasie uczyli się chyba tak samo, jak we wszystkich innych szkołach, to znaczy: gorzej lub lepiej. Jedni byli bardzo zdolnymi uczniami i wszystko w mig pojmowali, inni po prostu całe lekcje wkuwali na pamięć. Dwójce wszakże zdarzały się rzadko, bo i jak mogły być często, skoro po zajęciach lekcyjnych mieliśmy jeszcze po południu i wieczorem cztery albo pięć godzin nauki własnej.

Była to nauka obowiązkowa, podczas której na sali musiał być spokój, a wszyscy uczniowie mieli zajmować się tylko uczeniem. W czasie jej trwania nierzadko przychodził na kontrolę nasz wychowawca, ewentualnie inni profesorowie, a niekiedy odwiedzał nas również dyrektor. Dla mnie tej nauki czasami było aż za dużo, więc wyciągałem kartkę papieru i coś na niej rysowałem lub malowałem, albo brałem książkę wypożyczoną z biblioteki szkolnej i czytałem, najczęściej powieści na tematy podróżnicze.

Mimo że na nauce własnej wszyscy długo uczyliśmy się, to jednak dwójce zdarzały się, choć niekiedy bywały one pewnego rodzaju wydarzeniem, które potem komentowaliśmy i długo pamiętaliśmy. Niektórzy uczniowie, będąc może mniej zdolni lub mniej pracowici, co chyba zdarza się częściej, doprowadzali czasami swoimi wypowiedziami profesorów do rozpacz. Pamiętam, jak raz geograf pytał jedną uczennicę na temat klimatu jakiegoś kraju w Afryce, a gdy ta nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, profesor zaczął ją podciągać, stawiając pomocnicze pytanie:

- No, a jak tam jest, zimno czy ciepło?

- Średnio – dyplomatycznie odpowiedziała dziewczyna, zapewne nie chcąc ryzykować strzału w obawie, iż mogłaby nie trafić.

- Może tam i średnio, ale u mnie nie będzie średnio – zareagował mocno zbulwersowany tą odpowiedzią profesor i dodał – u mnie będzie dwójka w dzienniku!

Kiedyś na jednej z pierwszych lekcji języka polskiego polonistka zwróciła uczennicy uwagę, że nie należy rozpoczynać zdania od słowa „to”, którego wyrazu uczennica w ogóle nadużywała, a następnie profesorka rzekła:

- A teraz powiedz to samo zdanie poprawnie, bez tego „to”.

Dziewczyna długo zastanawiała się, nie wiedząc, jak ma zdanie rozpocząć, aż w końcu zaczęła:

- Tamto... lecz zdania już nie dokończyła, bo cała klasa wybuchnęła śmiechem.

Z innych, bardziej wesołych wydarzeń szkolnych pamiętam, jak kilka razy profesorka z botaniki wręczyła swojemu zaufanemu i najbardziej lubianemu uczniowi klucze do pracowni botanicznej, aby podlał rośliny i dał jeść zwierzętom, gdyż pani profesor w tym dniu nie mogła tego uczynić. Wtedy nie tylko pupilek, ale cała trzynastka chłopców z naszej klasy zwała się do gabinetu, aby w nim trochę się popanoszyc i robić to, na co miała ochotę. Podlewaliśmy więc palmy, kwiaty i inne rośliny; karmiliśmy, a czasem i łowiliśmy ryby w akwarium; dawaliśmy jeść ptakom i innym zwierzętom, niekiedy je z klatek wypuszczając i goniąc za nimi po całym gabinecie. Manipulowaliśmy mikroskopami i patrzyliśmy przez nie na różne preparaty, które, podobnie jak z nauczycielką na ćwiczeniach, lecz tym razem już sami, według własnych pomysłów i fantazji sporządzaliśmy. Najczęściej robiliśmy je z

liści lub włosów, wyglądających w powiększeniu bardzo ciekawie, albo z brudnej wody, w której pod mikroskopem było widać pełno różnych bakterii.

Nie przypominam sobie w jakich okolicznościach, ale czasem udawało nam się posiąść klucze od pracowni fizykochemicznej i wtedy zabawa była jeszcze ciekawsza. Można było z dwóch przezroczystych płynów, trzeba tylko było wiedzieć jakich, zlewając je razem, otrzymać jeden roztwór o pięknym różowym kolorze. W znanych nam buteleczkach i słoikach znajdowały się ciecze i proszki, które po wylaniu lub wysypaniu w niewielkiej ilości na spodek i podpaleniu paliły się dużym, niezwykle intensywnym, czasem bardzo kolorowym płomieniem. Niektórzy chłopcy próbowali nawet sporządzić mieszaninę wybuchową, ale nie przypominam sobie, żebyśmy kiedyś spowodowali eksplozję. Zwykle jednak tak długo dokazywaliśmy w pracowni, aż zrobiliśmy jakąś szkodę. Wtedy oblatywał nas strach, szybko zacieraliśmy ślady i pośpiesznie opuszczaliśmy gabinet. Wszelako wielkiej szkody nigdy chyba nie zrobiliśmy, gdyż wszystko uchodziło nam na sucho.

*

Zespół Państwowych Techników Rolniczych w Karolewie był jedną z największych i najbardziej znanych średnich szkół rolniczych w Polsce. Często czytaliśmy na jej temat nie tylko w dzienniku lokalnym, ale również w prasie ogólnokrajowej. Była to szkoła znana z dyscypliny i wysokiego poziomu nauki. Pamiętam, jak raz dyrektor mówił, że wielu absolwentów naszej szkoły doszło do różnych wysokich stanowisk wojewódzkich i państwowych.

Była to jednak szkoła mocno upolityczniona. Wszyscy uczniowie należeli do Związku Młodzieży Polskiej i często uczestniczyli w różnych związkowych zebraniach, odczytach i apelach w obrębie klasy, jak i całej szkoły. W każdą niedzielę odbywały się w klasie prasówki, kiedy to w obecności profesora lub kogoś z aktywu szkolnego ZMP dyskutowaliśmy, zwłaszcza na polityczne i ekonomiczne tematy zaczerpnięte z prasy, którą należało przedtem przeczytać i do dyskusji się przygotować. Jednakże nikt nam nigdy nie mówił tego, jaka ta Polska wówczas rzeczywiście była, a jaka powinna być.

W marcu 1953 roku, gdy zmarł Stalin, niezwykle uroczysto obchodzono jego pogrzeb przy dobywających się przez cały dzień, również w czasie lekcji, fortepianowych dźwiękach marsza żałobnego Chopina z głośników radiowych, zainstalowanych w klasach i we wszystkich możliwych miejscach na terenie szkoły. Oczywiście, nie obyło się też bez długich apeli, akademii i politycznych przemówień.

Nasza stołówka po wyniesieniu stołów i odpowiednim ustawieniu ław i krzeseł stawała się również salą, w której odbywały się zebrania szkolne i związkowe, a także odczyty, spotkania i akademie z okazji świąt i uroczystości państwowych. Czasami miały w niej miejsce koncerty muzyczne, występy chórów, orkiestr (także naszej szkolnej), zespołów muzycznych i artystycznych oraz różne przedstawienia. Często śpiewali piosenkarze i śpiewacy. Występowali tam soliści i zespoły dobrze wówczas znane nie tylko u nas w kraju, ale i za granicą. W sali tej odbywały się też szkolne zabawy i potańcówki. Na terenie szkoły były również inne sale i świetlice, ale ta była najbardziej przydatna ze względu na jej wielkość. Tradycyjnie też w każdą sobotę lub niedzielę po kolacji w pomieszczeniu tym były wyświetlane filmy, kiedy to stoły pozostawały na swoim miejscu, a tylko krzesła z przodu przesuwano bardziej do tyłu. W ciepłe letnie wieczory filmy pokazywano również na wolnym powietrzu, na placu między internatami, podczas których staliśmy lub siedzieliśmy na trawie.

Pamiętam, jak raz przyjechało do nas Polskie Radio i nagrywało audycję o Zespole Państwowych Techników Rolniczych w Karolewie. Przed jego przyjazdem wszystkim uczniom kazano napisać wypracowanie na temat szkoły. Powiadomiono, że kto najlepiej napisze, ten pracę tę sam odczyta przed mikrofonem radiowym, a

potem w audycji o Karolewie usłyszemy ją wszyscy na antenie Polskiego Radia. Równocześnie z pisaniem pracy nauczyliśmy się śpiewać piosenkę o naszej szkole, której tekst i nuty przysłano nam chyba z Warszawy.

Gdy wóz i cała ekipa radiowa przyjechała, w wielkiej sali nagrano przemówienie dyrektora, potem kilka rozmów z profesorami i uczniami; następnie uczeń, który wygrał konkurs, odczytał przed mikrofonem swoje wypracowanie, a na końcu wszyscy zaśpiewaliśmy naszą piosenkę.

Może po miesiącu, o ustalonej godzinie, zebraliśmy się na placu przed głośnikiem radiowym i z wielką ciekawością i zadowoleniem wysłuchaliśmy nadanej w pierwszym programie audycji o naszej szkole.

*

We wszystkich technikach duży nacisk kładziono na sport. Lekcje wychowania fizycznego odbywały się kilka razy w tygodniu, niekiedy nawet dwie godziny dziennie. My też wielce lubiliśmy sport i bardzo się nim interesowaliśmy. Było w naszej klasie wielu chłopców, którzy potrafili wyliczyć z pamięci nazwiska ponad setki polskich i zagranicznych, aktualnych i nie występujących już sportowców.

Najbardziej pasjonowaliśmy się kolarskim Wyścigiem Pokoju. Naszym ulubionym kolarzem był Stanisław Królak. Raz trasa jakiegoś krajowego wyścigu kończyła się w Kętrzynie. Większość uczniów naszej szkoły wyległa na trasę lub oczekiwała kolarzy na mecie. Wyścig oczywiście wygrał Królak. Po zakończonym etapie zawodnicy nocowali w Karolewie w internatach, w których część pokoi była wolna, bowiem wielu uczniów w tym czasie przebywało w PGR-ach na praktyce. Nazajutrz wszyscy oblegliśmy naszego najlepszego kolarza i robiliśmy z nim zdjęcia. O jedną taką pamiątkę z panem Stanisławem postarałem się również i ja.

Bardzo interesowaliśmy się także Bokserskimi Mistrzostwami Europy, a szczególnie tymi, które odbywały się w Warszawie w 1953 roku, gdy pięciu polskich bokserów zostało mistrzami Europy.

Mocno przeżywaliśmy Hokejowe Mistrzostwa Świata, zwłaszcza kiedy przystąpiła do nich drużyna radziecka i rozpoczęły się niezwykle zacięte boje na lodzie między zespołem tego kraju a drużyną Kanady.

Emocjonowaliśmy się meczami i mistrzostwami piłkarskimi oraz ich rozgrywkami ligowymi, zarówno drużyn polskich, jak i zagranicznych. Interesowaliśmy się lekkoatletyką.

Ze względu na wielkość szkoły, wyposażenie sportowe i inne możliwości Karolewo często organizowało sportowe olimpiady techników rolniczych województwa olsztyńskiego, które wtedy obejmowało chyba całą Warmię i Mazury, i zawsze wygrywaliśmy te olimpiady na punkty.

Moje przeżycia sportowe w szkole najbardziej wiązały się z piłką nożną, siatkówką i lekkoatletyką, w której ćwiczyłem przeważnie biegi i skoki. Najczęściej jednak grałem z kolegami z klasy w piłkę nożną i zawsze, kiedy mieliśmy trochę czasu, a jakieś boisko było wolne, wybiegaliśmy na nie i strzelaliśmy sobie bramki.

W szkole urządzano nam różne wycieczki i wyjazdy, a także wczasy i kolonie. Często były to wycieczki sportowo-krajoznawcze, odbywające się marszem lub biegiem do Kętrzyna albo innych pobliskich okolic.

Będąc w pierwszej klasie, w maju lub czerwcu 1953 roku, uczestniczyłem w wycieczce po jeziorach mazurskich. Pojechaliśmy wtedy wcześniej rano pociągiem do Giżycka, a stamtąd jeziorami i kanałami popłynęliśmy statkiem do Mikołajek, oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów od portu wypłynięcia. Po zjedzeniu tam obiadu wróciliśmy z powrotem do Giżycka, płynąc trochę inną trasą. Była to bardzo piękna i ciekawa wycieczka.

W tym samym roku wyjechałem na dwutygodniowe wczasy zimowe do Sobieszowa koło Jeleniej Góry, w których brało udział bardzo dużo uczniów z całej szkoły. W lipcu następnego roku byłem na koloniach letnich w Dzikowie koło Tarnobrzega, gdzie przebywało kilkudziesięciu uczniów z Karolewa, przeważnie ze starszych klas, oraz wiele młodzieży z innych szkół rolniczych w kraju. Jesienią tego samego, to jest 1954 roku jeździliśmy pociągiem na wystawę rolniczą w Lublinie.

*

Uczestnicząc prawie we wszystkich wycieczkach, poznałem dość dobrze naszego dyrektora naczelnego, Edwarda Dubowika, który bardzo często brał w nich udział i był ich głównym inicjatorem. Dyrektor pamiętał mnie również z czasów, kiedy starałem się o przyjęcie do szkoły, i gdy teraz spotykałem go na ulicy, mówiąc mu dzień dobry, czasami zatrzymywał się, pytał, co u mnie nowego i jak mi idzie nauka.

Dyrektor mieszkał w jednym z internatów, w bardzo skromnie urządzonej sypialni. Kilka razy byłem u niego w sprawach osobistych, zazwyczaj w sprawie stypendium. Pamiętam, że kiedy raz już od niego wychodziłem, spostrzegłem, iż dawno nie byłem u fryzjera. Kazał mi więc usiąść na krześle, wziął maszynkę, nożyczki oraz grzebień i podstrzygł mi włosy. Uprzejmości tej doświadczyło od niego również wielu innych kolegów, którzy dawno u fryzjera nie byli. Podobno fachu tego nauczył się w wojsku, w którym przebywał przez wiele lat i dosłużył się rangi majora.

Dyrektora mieszkającego wśród nas w internacie często odwiedzali chyba wszyscy uczniowie. Przychodzili pojedynczo i grupowo, chłopcy i dziewczyny, w sprawach osobistych oraz szkolnych, a on nigdy nie odmówił nikomu pomocy, pocieszenia lub dobrej rady. Jednakże wymagał od nas dyscypliny i nie lubił nieuków.

Chociaż tak samo, jak pilnej nauki, wymagano od nas dużej dyscypliny, to jednak nie zawsze i nie wszędzie była ona ściśle przestrzegana. Jedynie w szkole i w miejscach, gdzie mógł dojrzeć nas jakiś profesor, byliśmy grzeczni i spokojni, ale już w internatach, gdzie nie przypominam sobie jakichś poważniejszych kontroli, zachowywaliśmy się dość swobodnie, a niekiedy mocno rozrabialiśmy. Tylko w internacie, w którym mieszkał dyrektor, utrzymywał się większy rygor, ale i tam był on może wyłącznie na korytarzach lub w pokojach sąsiadujących z jego mieszkaniem.

Mówiąc o dyscyplinie, muszę však przyznać, że przynajmniej chłopcy z naszej klasy, jak również i inni koledzy w szkole, których znałem, nigdy nie palili papierosów i nie pili alkoholu. Co do szkodliwości tych nałogów byliśmy dostatecznie uświadomieni i zapewne sami byśmy zaprotestowali, gdyby ktoś z nas wpadł na pomysł, aby to robić, zwłaszcza w internacie.

Dużą niesubordynacją było chodzenie do kościoła, co jednak wielu uczniów praktykowało i po cichu wymykało się w niedzielę na któreś nabożeństwo do Kętrzyna, rozkładając sobie tak czas, aby być również na śniadaniu, na prasówce i zdążyć na obiad.

Jednym z większych naszych wykroczeń regulaminowych było chyba wychodzenie wieczorami do Kętrzyna na zabawy taneczne, odbywające się w miejskich lokalach, lub chodzenie na późne seanse do kina, szczególnie na niedozwolone dla młodzieży w naszym wieku filmy. Osobiście brałem udział w takich eskapadach i pamiętam, jak – rozbawieni – wracaliśmy późną porą z Kętrzyna, a gdy zbliżaliśmy się do Karolewa, miny nam rzedły, brawura pryskała i szliśmy po cichutku, żeby nas ktoś nie zobaczył.

Wielkim także występkiem było granie w karty na pieniądze, zwłaszcza późnym wieczorem lub w nocy.

*

Pewnego zimowego wieczoru – gdy byłem już w drugiej klasie i mieszkałem na sali w starym internacie, w której poprzedniego roku mieszkali chłopcy z rachunkowości – graliśmy w karty do późnej nocy. Jedynie Stefan poszedł spać wcześniej, bo musiał na szóstą rano zdążyć do obory na praktykę z hodowli zwierząt.

Bardzo dobrze pamiętam te poranne praktyki przy karmieniu krów i innych obrządkach w oborze, choć byłem na nich tylko dwa razy. Kiedy pierwszy raz przyszedłem, oborowy był już na stanowisku i właśnie rozpoczynał dawać paszę bydłom. Był już przyzwyczajony do uczniów i zachowywał się wobec nich niczym nauczyciel na lekcjach. Gdy mnie zobaczył, zdawkowo odpowiedział na moje powitanie, patrząc na mnie z pretensją, że się spóźniłem. Nawykł bowiem do tego, aby wszystko, co robił, było pilnie i od samego początku przez uczniów obserwowane i podziwiane. Po moim przybyciu zabrał się zaraz do objaśniania wykonywanych czynności, a niektóre rzeczy szczególnie dokładnie tłumaczył. Jednak trzeba było mieć mocne nerwy, aby – przynajmniej pierwszy raz tam będąc – móc słuchać spokojnie tego, co mówi oborowy, i nie zwracać uwagi na szczury, wielkości kota, które co chwila przebiegały wysoko po belkach lub przemykały obok nas, prawie pod nogami. Tymczasem oborowy mówił dalej tylko o krowach, nie wspominając o szczurach, jakby ich wcale w oborze nie było. Wydało mi się to trochę dziwne, ale wytłumaczyłem sobie, że może ma rację, bo przecież mamy się uczyć o krowach, a nie o gryzoniach.

Gdy przyszedłem następnym razem, oborowego jeszcze nie było. Ponieważ nie miałem zegarka, nie wiedziałem nawet, czy za wcześnie przybyłem, czy oborowy się spóźnia. Po odczekaniu kilkunastu minut na dworze, a było to chyba w styczniu, zziębnięty wszedłem do obory i zapaliłem światło. Szczury w wielkim popłochu rozpiechły się po kątach, ale wnet przyzwyczały się do nowej sytuacji i jęły się znowu pojawiać. Kiedy jednak za bardzo się ośmieliły i zanadto się do mnie przybliżyły, chwyciłem leżące na słomie widły i uderzyłem nimi kilka razy o jakąś drewnianą przegrodę. Wszelako efekt tego uderzenia był nie taki, jakiego oczekiwałem, bo bardziej od szczurów wystraszyły się krowy. Na szczęście za chwilę przyszedł oborowy i dał mi coś do roboty, przez co na szczury nie zwracałem już większej uwagi.

Tego zimowego wieczoru, gdy graliśmy długo w karty, a tylko Stefan poszedł spać szybciej, mieliśmy dobry humor i byliśmy usposobieni do żartów. Przed położeniem się do łóżka Stefan poprosił, aby ten kto się przypadkowo wcześniej obudzi, spojrzął na zegarek Janusza (jedyne go posiadacza zegarka na sali, który on w takim przypadku wykładał na stole) i ze dwa lub trzy kwadransy przed szóstą obudził go na tę praktykę. Kiedy graliśmy tak dalej, do drugiej w nocy, ktoś wpadł na pomysł, aby obudzić Stefana i powiedzieć mu, że jest już dawno po piątej i żeby wybierał się do obory. Zgasiliśmy więc światło i weszliśmy do łóżek udając, że śpimy, a jeden z nas przestawił zegarek na pół do szóstej i obudził Stefana. Wstał szybko i po chwili poszedł na dół do łazienki, ale jak wrócił, długo szykował się w pokoju, ponieważ ubierał się bez zapalania światła. W końcu wyszedł, a gdy kroki jego ucichły na dole, wybuchnęliśmy śmiechem, będąc bardzo ciekawi, kiedy przyjdzie z powrotem. Cisza jednak trwała długo, więc niektórzy zaczęli się śmiać, że go już szczury zjadły, a inni niepokoić, czy z tego coś złego nie wyniknie. Po kilkudziesięciu minutach wszyscy usnęliśmy i nikt nie doczekał się jego powrotu. Rano z trudem obudził nas dzwonek na korytarzu, dzwoniący o siódmej na pobudkę. Gdy wstaliśmy, ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że Stefan śpi smacznie w swoim łóżku, nie słysząc nawet dzwonka ani naszego hałasu, i musieliśmy go mocno szarpać, aby się obudził. Na praktykę już nie poszedł, ale jakoś to załatwił i odbył ją innego dnia.

*

Mieszkając w internacie, nie zapomniałem o domu w Kwidzie i nie tylko w czasie wakacji i ferii, ale również bardzo często w niedziele odwiedzałem rodzinę. Niestety, w domu było teraz nieciekawie. Ojciec i macocha, jak i pozostali domownicy narzekali, że im się gorzej wiedzie. W 1953 roku bowiem różnymi metodami zmuszono wszystkich chłopów we wsi do rezygnacji z gospodarowania indywidualnego i nakłoniono do założenia spółdzielni produkcyjnej.

Wydawało mi się, że nie ma w tym przecież nic złego, i nawet cieszyłem się, że przeszli na bardziej nowoczesną gospodarkę. W szkole uczono nas, że jest to lepiej zorganizowana, bardziej ekonomiczna, a przede wszystkim „wyższa” forma gospodarowania na wsi. Podobnie jak wpojono nam, że socjalizm, a właściwie komunizm, jest najlepszym ustrojem społeczno-ekonomicznym, tak samo przekonano nas zupełnie, że spółdzielnie produkcyjne to najlepszy sposób gospodarowania na roli.

Wszelako w rozmowach z ojcem i macochą dowiadywałem się dużo nowych rzeczy na temat takiego gospodarzenia. Szczególnie macocha żaliła się, iż zapewniano ich, że w spółdzielni będzie lepiej, staną się bogatsi, będą mieli więcej zboża, że państwo pomoże, przydzielą maszyny i więcej nawozów, a okazało się potem inaczej. Faktycznie dano im kilka maszyn i trochę nawozów, ale na koniec roku każdy otrzymał mniej ziarna, niż miał przedtem, gdy sam gospodarował. W czasie rozliczeń bowiem najpierw oddano państwu, co mu się należało, a potem zapłacono zbożem za nawozy i maszyny – które częściej stały zepsute, niż pracowały, tak że wiele robót trzeba było wykonywać za nie rękoma – i dlatego też niewiele im tego zboża w końcu do podziału zostało. Teraz mieli im przysłać jeszcze agronoma, pewnie jakiegoś absolwenta z Karolewa, któremu też trzeba będzie zapłacić.

– A cóż to nowego on wymyśli – powiedziała raz macocha – i co nam doradzi taki chłopiec po szkole? Większość ludzi we wsi już po kilkanaście lub kilkadziesiąt lat gospodarzy, a tu przyjdzie jakiś młodzik i będzie nam mówił, co mamy robić, jak mamy siać albo orać.

Wówczas nie wytrzymałem i rzekłem:

– Dobry agronom na pewno na siebie zarobi, i to z wielką nadwyżką. Wy oczywiście dużo wiecie na temat gospodarowania, ale nawet nie przypuszczacie, co można jeszcze wiedzieć o uprawie i ile więcej można zrobić w rolnictwie.

Wtedy z kolei macocha zniecierpliwiła się i przerwała mi dalszą wypowiedź.

– Jeśli wy w Karolewie tak wszystko wiecie i jesteście tacy mądrzy, to teraz ci coś powiem. Jechaliśmy kiedyś z ojcem furmanką do Kętrzyna, a tu z karolewskiego pola wyjeżdża prawie wprost na nas traktor wiozący ziarno z kombajnu. Patrzymy, a z przyczepy zboże się sypie na szosę, i to jeszcze jak! Ciekawa jestem, ile on tego ziarna do magazynu czy suszarni dowiózł? Skoro was tam tak dobrze uczą, to czemu nie było takiego mądrego, żeby tę dziurę zatkał? Ale ja wiem dlaczego. Dlatego, że nikt o to nie dba, nikt nie pracuje dla siebie. Każdy patrzy, aby tylko swoje godziny odrobić i do domu pójść.

– Wypadek przy pracy zawsze się może zdarzyć – odpowiedziałem i dodałem: – Ale zboże w Karolewie ładnie rośnie? To widać nawet z szosy.

– To nie był żaden przypadek – odparła macocha – bo to nie było pierwszy raz. Tam już pełno ziarna na szosie leżało, które porozsypywano przedtem. A jeśli chodzi o zboże, to wszędzie ono pięknie rośnie, gdy się nawozów nasypie, ale nawozy sztuczne są niezdrowe.

– Nie wiem, czy aż tak bardzo niezdrowe? – zareplikowałem. – Trzeba wiedzieć gdzie, kiedy, jakie i ile ich sypać. Wiadomo, że dobry jest obornik, a jeszcze lepszy prawidłowo zrobiony kompost, lecz ile tego obornika i kompostu można wygospodarować? Poza tym, na wysokość plonów wpływają nie tylko nawozy, ale

mają tu znaczenie również inne czynniki i zabiegi. Trzeba, na przykład, siać lepsze, wydajniejsze, bardziej nadające się na nasze ziemie i warunki klimatyczne odmiany zbóż i innych roślin niż te, które rolnicy przywykli uprawiać. Można stosować lepsze płodozmiany, a poza tym należy systematycznie zwalczać chwasty, choroby i różne szkodniki roślin.

– No, no... Nie bądź już taki agronom. My to wszystko też wiemy – powiedziała macocha, a po chwili zadumy rzekła: – Kiedyś człowiek rano wstał i miał chęć pójść w pole do pracy, a teraz to wstać się nie chce i robić się nie chce. A bo to człowiek wie, ile będzie miał z tego, co robi. W spółdzielni pracujemy na dniówki. Ile kto dniówek wyrobi, tyle będzie miał zapłacone. Ale każdy patrzy, żeby cięższą pracę kto inny wykonał, a sam szuka lżejszego zajęcia. Ja już tam wolę pracować u siebie i robić to, na co mam ochotę, co uważam, że powinnam teraz zrobić, a nie że ktoś mi będzie rozkazywał i robotę mi dawał. Tak, to zupełnie co innego pracować u siebie. Ile człowiek robi, tyle ma, a w spółdzielni robotę wykona i nie wie, co z tego ma. Któż to wie, jak oni te dniówki piszą? Zresztą ta spółdzielnia jest może komuś i dobra, ale my do tego jesteśmy już za starzy i nie nadajemy się.

– Może właśnie dlatego, że jesteście przyzwyczajeni tylko do starego sposobu gospodarowania, jest wam teraz źle w spółdzielni. Ale pozwólcie młodym, żeby się przyzwyczajali do nowego systemu – powiedziałem.

– A to niech się przyzwyczajają! – odfuknęła macocha. – Ale ja już widzę, jak oni się przyzwyczajają i garną do pracy w spółdzielni. Na swoim to może by pracowali, a tu tylko dużo mędrkują. My to jeszcze jakoś pracujemy, bo pracować nauczyliśmy się na naszych gospodarstwach, a oni – jak tak dalej pójdzie – to w ogóle nie nauczą się pracować i nie wiem, jak będą żyli?

Widząc, iż moja przeciwniczka w tej dyskusji wygrywa, zacząłem szukać nowych argumentów.

– Ileż to miedz się zaoruje i ile pola uprawnego przez to uzyskuje więcej. Zaoszczędza się również na transporcie. Łatwiej jest zwieźć, a także zasiać i zebrać zboże uprawiane na wielkim areale, w jednym lub kilku miejscach, niż jak przedtem, indywidualnie, na dziesiątkach małych kawałeczków rozsianych po wszystkich polach wsi. Poza tym w spółdzielni, na większym obszarze, jest większa szansa właściwego dostosowania upraw do jakości i właściwości gleby. Na dużych arealach jest łatwiejsze, a przede wszystkim tańsze na jednostkę produktu nawożenie upraw oraz zwalczanie chwastów i szkodników.

– Widzę, że was w tej szkole już zupełnie przekonali – zwykle na zakończenie mówiła macocha – a teraz ty chcesz nas przekabacić. Może ta spółdzielnia jest wam i dobra, ale my jej nie chcemy. Ludzie – często dodawała – nie pracują w spółdzielni tak chętnie i wydajnie jak na swoim. Zresztą, do czego oni doszli w tych kołchozach w Rosji?

Po tych rozmowach zrozumiałem, że macocha ma jednak rację i że chęć oraz motywacja do pracy są rzeczą najważniejszą. Przyznałem, iż efektywniejsza jest gospodarka własnościowa, a ona z kolei zgodziła się, że bardziej ekonomiczne są gospodarstwa duże i średnie, a na małych potrzebna jest jakaś specjalizacja.

W niedługi czas potem, będąc w Kwidzie, dowiedziałem się, że chłopci napisali prośbę do prezydenta Bieruta, aby im pozwolono rozwiązać spółdzielnię i gospodarować jak przedtem, indywidualnie.

*

Po zakończeniu każdego roku szkolnego musieliśmy jeszcze odbywać praktykę w polu. W pierwszej klasie technikum rolniczego trwała ona dwa tygodnie, po ukończeniu drugiej klasy pracowaliśmy na polu przez miesiąc, a w trzeciej praktyka

ciągnęła się od rozpoczęcia prac polowych wiosną do ich zakończenia jesienią, czyli od marca do listopada. W innych technikach przebiegała ona nieco inaczej.

Pierwszą praktykę odbyliśmy na polach naszego karolewskiego PGR-u. Pamiętam, iż trwała ona od początku do połowy lipca i pracowaliśmy przeważnie przy okopywaniu buraków cukrowych.

Po ukończeniu drugiej klasy, w sierpniu 1954 roku, wyjechałem na miesięczną praktykę do jednego z państwowych gospodarstw rolnych, które było oddalone około dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Kętrzyna. Nie pojechaliśmy tam wszyscy całą klasą, gdyż uczniów podzielono na wiele grup i każda z nich udała się do innego PGR-u. W gospodarstwie, do którego ja zostałem przydzielony na praktykę, znalazło się jeszcze czterech kolegów z mojej klasy i kilku chłopców z innych szkół rolniczych województwa olsztyńskiego, a jeden uczeń przyjechał z Węgier.

Kierownikiem PGR-u był około czterdziestoletni mężczyzna, który chyba sam kierował i decydował o wszystkich sprawach gospodarstwa i jego też najlepiej pamiętam. Po przyjeździe, krótkiej rozmowie z nim oraz zakwaterowaniu się w jednej wielkiej sali i zjedzeniu obiadu skierował nas w pole do pracy. Był to okres żniw. Przez cały miesiąc była piękna pogoda i mimo że była to już druga połowa lata, na dworze było bardzo gorąco.

Po około dwóch tygodniach spędzonych przy koszeniu i sprzątaniu zboża kierownik zwrócił się do nas praktykantów z pytaniem, czy któryś nie chciałby pilnować w nocy kombajnów, przez co w dzień byłby zwolniony z pracy przy żniwach i mógłby sobie w tym czasie spać lub robić, co mu się będzie podobało. Z miejsca zgłosiło się dwóch moich kolegów, lecz kierownik nie zaakceptował ich propozycji, aby pilnowali kombajny we dwójkę, żartobliwie mówiąc, iż wówczas w dzień nie byłoby komu pracować na polu. Wtedy ja zgodziłem się na to stróżowanie samemu i moje zgłoszenie zostało przyjęte. Od razu kierownik wyjaśnił mi, na czym ma polegać moje zadanie i jednocześnie oznajmił, że nie muszę już iść tego dnia do pracy.

Zgłosiłem się do zaproponowanego zajęcia z kilku powodów. Jednym z nich było to, że przy żniwach pracowaliśmy około dwanaście godzin dziennie i była to ciężka praca. Nie bałem się stróżowania, bo kilka nocy spędziłem już na polu, kiedy w Kwidzie wystraszałem dziki z kartofli. Jednakże najbardziej decydującym powodem było chyba to, że wśród przebywających na praktyce chłopców z naszej klasy był jeden, który mi zawsze dokuczał, naprzykrzał się i z którym ciągle miewałem różne kłopoty. Ponieważ nie mogłem z nim sobie poradzić, postanowiłem jak najmniej go widywać. I rzeczywiście, od tego czasu spotykałem go właściwie tylko przy posiłkach, gdyż w dzień chodził on do pracy, a z kolei po jej zakończeniu ja udawałem się do pilnowania maszyn.

Wieczorami brałem więc koc i szedłem na pole, gdzie stały kombajny. Wchodziłem na któryś z nich, w najwygodniejszym miejscu siadałem, okręcałem się kocem i oddawałem się rozmyśleniom, usiłując, w późnych godzinach nocnych, stawić opór zniewalającej mnie drzemce. Gdy dłuższy czas siedziałem w niezbyt wygodnej pozycji, schodziłem z kombajnu, aby rozluźnić się i wyprostować zdrętwiałe nogi. Spacerowałem wówczas w pobliżu, nasłuchiwałem oraz patrzyłem, jak świat wygląda w nocy, i obserwowałem gwiazdziste niebo. Kiedy miałem już dość spaceru, wchodziłem z powrotem do kabiny kombajnu i jakoś tę noc do końca przetrwałem.

Czasami obok kombajnów leżały małe sterty słomy. Robiłem wtedy wglębie w którejs z nich, układałem się w nim w pozycji półsiedzącej, okrywałem się kocem i, podobnie jak w kabinie kombajnu, po długich godzinach czuwania doczekiwałem się rana i pory pójścia na śniadanie. W sumie było to lżejsze zajęcie niż praca przy żniwach, a w dzień miałem dużo wolnego czasu nie tylko na spanie, ale i na czytanie

książek lub zwiedzanie okolicy. Raz nawet zdążyłem autobusem do Kętrzyna, a dalej piechotą na kilka godzin dotrzeć do domu.

Niekiedy zdarzało się, że przy tym stróżowaniu miewałem przygody, a jedną z nich będę długo pamiętał.

Raz kombajny stały daleko od wsi, tak iż z trudem je odnalazłem i gdyby nie to, że jasno świecił księżyc, nie wiem, czy bym je w ogóle odszukał. Kiedy do nich dotarłem, zauważyłem, iż przy jednym z nich leży kupka słomy. Zrobiłem w niej odpowiednie legowisko, owinałem się kocem i usadowiłem w pozycji półleżącej. Noc była piękna, księżyc w pełni, ciepło. W dodatku świeżo skoszona, nie wysuszona i przygnieciona przeze mnie słoma bardzo się zagrzewała, tak że co pewien czas musiałem zmieniać miejsce leżenia.

Kombajny stały z pięćdziesiąt metrów od brukowanej drogi, obsadzonej drzewami, za którą, z kilometr dalej, rozciągała się jakaś wieś, skąd dochodziło dość głośne szczekanie psów. Do zabudowań naszego PGR-u było ze dwa kilometry.

W pewnym momencie, a było to już chyba grubo po północy, wydało mi się, że szosą ktoś idzie. Uniósłem się więc ponad słomę, ale tak, żeby nie było mnie z niej mocno widać, i patrzyłem w kierunku, skąd nadchodził cichy szmer kroków. Jakoż niedługo zauważyłem idącego człowieka, ale szedł on dość dziwnie, bo miałem wrażenie, że przy każdym przydrożnym drzewie chwilę przystaje, tak że go momentami traciłem z oczu. Będąc już naprzeciw kombajnów, osobnik ów nagle zeszedł z drogi i szedł prosto w moim kierunku. Przez chwilę nie wiedziałem, co mam robić, ale gdy był już blisko, wyszedłem ze słomy i stanąłem obok leżących na ziemi widel, które położyłem przy sobie wieczorem. Przybysz musiał mnie już wcześniej dojrzeć, bo nie był zaskoczony moim pojawieniem się i dalej szedł prosto na mnie. Kiedy był już bardzo blisko, z niemałym zdziwieniem poznałem, że jest to mężczyzna, którego w pegeerze nazywają Indykiem, ze względu na jego niewyraźną wymowę. Widywałem go czasami przy różnych podrzędnych zajęciach i nieraz miałem wrażenie, że jest to trochę dziwny facet. – Dlaczego przychodzi z tej strony, jak gdyby z pobliskiej wsi? – zastanawiałem się. – Czy może był u kogoś, a teraz wraca do domu? Ale wtedy przyjdzie tutaj byłoby mu zupełnie nie po drodze. A może kierownik przysłał go na kontrolę, czy jestem na miejscu i czy pilnuję kombajnów? Lecz dlaczego wysłałby takiego faceta? Czyżby nikt inny nie chciał iść w nocy? – rozmyślałem. Zdawało mi się, że nawet psy we wsi jęły głośniejszym ujadać, gdy do mnie się zbliżał.

– I co, lepiej pilnować niż pracować? – rzekł, nie mówiąc żadnego słowa na powitanie.

– A no lepiej – odpowiedziałem, starając się słowom moim nadać jak najwięcej pewności siebie, jednocześnie widząc, że przybysz zbyt blisko do mnie podchodzi, odstałem kilka kroków do tyłu.

On zauważył to i w końcu zatrzymał się. Pomyślałem: skąd on może wiedzieć, że ja tu pilnuję i że nie pracuję. Z jego zachowania nie mogło wynikać, iż kierownik przysłał go na kontrolę, bo był niezbyt pewny siebie. Przez chwilę stał w miejscu, niezdecydowany, po czym wykrztusił:

– Po drodze wlałem w jakieś łajno – i zaczął wycierać nogi o ściernisko, które po koszeniu kombajnem było bardzo wysokie.

– Tam przy szosie pewnie pełno tego leży, bo po jej drugiej stronie krowy pasą – powiedziałem, gdyż któregoś dnia przedtem z daleka je widziałem, a następnie, nie oddając inicjatywy, dodałem: – Chyba niedługo skończy się ta pogoda i będzie padać, bo to już późna noc, a tak jakoś parno.

– Żeby nie te żniwa, to deszcz już byłby dawno potrzebny – odpowiedział wcale niegłupio mój gość, ale nie kwapił się oznajmić, w jakim celu o tej porze tu przybył, a ja z kolei nie śmiałem go o to wprost zapytać. W końcu wymyśliłem coś pośredniego:

– Przy księżycu, nie było trudno panu mnie znaleźć? – zagadnąłem.

– Palisz? – zaskakująco zareagował przybysz na moje pytanie i wyciągnął paczkę papierosów w moim kierunku.

Pomyślałem, iż może to być manewr, by mnie chwycić za rękę, więc szybko cofnąłem się o krok, będąc w razie czego gotowy salwować się ucieczką, bo po widły najpierw musiałbym się schylać, a poza tym mężczyzna był w sile wieku i bynajmniej nie ułomek.

– Nie, dziękuję, nie palę – odrzekłem i chciałem mu nawet powiedzieć, iż tu nie wolno palić, żeby się szybciej zniechęcił i sobie poszedł, ale nie wiem, dlaczego nie powiedziałem. Może zabrakło mi trochę odwagi.

Przybysz sam zapalił papierosa, a ja skorzystałem z jego nieuwagi w czasie przypalania i odszedłem następnymi kilka kroków od niego. Teraz wydawało mi się, że przyszedł do mnie z jakąś propozycją. Może chciał coś wziąć z kombajnu, jakieś części lub narzędzia, próbując się ze mną dogadać. Bo przecież można było stąd coś wynieść, skoro mnie tu przysłano do pilnowania.

Mężczyzna postać jeszcze kilka minut, bacznie mnie obserwując, lecz gdy spacerowałem sobie po ściernisku, nic sobie z niego nie robiąc, powiedział jeszcze kilka mało interesujących słów, a na koniec coś mruknął i poszedł do domu.

Jego wizyta do rana nie dawała mi spokoju i leżąc w słomie, co chwila nasłuchiwałem, czy przypadkiem nie wraca. Długo zastanawiałem się, czy powiedzieć coś o nim kierownikowi, ale jako że więcej nie przyszedł, dałem temu spokój. Zresztą przypominałem sobie, iż widywałem go niekiedy przedtem chodzącego jakby bez celu po pegeerze lub wałęsającego się po okolicy.

Po kilku następnych dniach praktyka się skończyła. Gdy we wrześniu pojechałem ze szkoły do PGR-u, aby odebrać zarobione przez nas w czasie praktyki pieniądze, kierownik powitał mnie serdecznym uśmiechem i wręczył mi nie tylko pieniądze, ale również pismo pochwalne za naszą dobrą pracę. W piśmie tym prosił, aby dyrektor odczytał je na apelu szkolnym, gdyż byliśmy – jak napisał – naprawdę wspaniali i dobrze pracowaliśmy. Ponieważ w najbliższym czasie nie była przewidziana żadna zbiórka, więc dyrektorka technikum rolniczego zwołała specjalnie apel pierwszej, drugiej i naszej trzeciej już klasy (czwarta była jeszcze na praktyce), którego głównym punktem było odczytanie tej pochwały.

*

W 1950 roku moja siostra Frania wróciła na stałe z Warszawy, lecz nie zamieszkała wraz z ojcem i macochą, tylko wynajęła sobie pokój w Kętrzynie i podjęła pracę w jednej z restauracji w tym mieście. Jej zamieszkanie w Kętrzynie było teraz dla mnie dużym udogodnieniem, gdyż prócz rodziny w Kwidzie mogłem jeszcze ją odwiedzać, tym bardziej że do niej było o wiele bliżej niż do domu. Od Frani otrzymywałem także dużą pomoc w postaci różnych drobiazgów, jakie mi często kupowała, lub niewielkich sum pieniężnych, które mi czasem wręczała. Teraz też ona najczęściej prała moje koszule lub prasowała sfatygowane spodnie albo marynarkę, gdy ją odwiedzałem.

Byłem zadowolony ze szkoły, bowiem podobała mi się ona, jak i rodzaj technikum, do którego uczęszczałem. Uczyłem się nieźle i na koniec drugiego roku szkolnego otrzymałem dobre świadectwo. Polcia, która przyjechała do szkoły z Hołowczyc (miejscowości położonej zaledwie trzy kilometry od Serpelic) i która ze względu na piękny charakter pisma wypisywała nam świadectwa na koniec drugiego roku szkolnego, powiedziała nawet, że otrzymałem bardzo dobre świadectwo, choć była to promocja z czterema trójkami, jedenastoma czwórkami i trzema piątkami. Trzeba jednak powiedzieć, że nie rozpieszczano nas w szkole nazbyt dobrymi stopniami i chyba rzadko stawiano nam je na wyrost dla pokrzepienia lub

podciągnięcia ucznia. Jednakże kilka koleżanek oraz kolegów otrzymało lepsze świadectwa od mojego.

Ponieważ miałem dobre warunki do nauki i uczenie się nieźle mi szło, postanowiłem, że po ukończeniu technikum będę ubiegał się o przyjęcie mnie na studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, na tym samym kierunku. Zarówno ojciec, jak i Frania popierali mnie w tym zamiarze i obiecali niezbędną pomoc.

Był jednak pewien szkopał, który coraz bardziej mnie gnębił, a po ukończeniu drugiej klasy urósł do dużego problemu i nie wiedziałem, jak sobie z nim poradzić. Sprawą tą były nie najlepsze relacje koleżeńskie z kilkoma chłopcami z klasy. Omawiając dokładniej tę sprawę, muszę wszak dzisiaj powiedzieć, iż relacje te może nawet nie były tak złe, jak mi się wtedy wydawało, i na pewno wielu uczniów mieszkających w internatach przeżywa czasami dużo trudniejsze chwile z kolegami i jakoś sobie radzą i mniej się przejmują. Niemniej moje kontakty koleżeńskie w szkole nie były najlepsze i nie wiedziałem, co zrobić, żeby je poprawić. Wprawdzie uczniowie stanowili bardzo zróżnicowaną grupę młodzieży, pochodzącej ze wszystkich stron Polski i spoza jej granic oraz z różnych środowisk społecznych, i potrzebne tu były trochę większe umiejętności harmonijnego i zgodnego życia z kolegami, ale troszcząc się o to, z czasem można było się tego nauczyć. Ja chyba tę możliwość niewiele jednak dostrzegałem, bo miałem uczyć się owej sztuki, aby moje relacje układały się pomyślnie ze wszystkimi kolegami, począłem szukać wyjścia w różnego rodzaju ucieczkach od nich. Widocznym tego przykładem było unikanie trudniejszego charakterem ucznia na praktyce poprzez pójście na stróżowanie.

Nie przypominam sobie dokładnie mojego ówczesnego życia z kolegami w szkole, ale na wypadek, gdyby kogoś to zainteresowało, postaram się je – na ile jeszcze pamiętam – opisać.

W naszej klasie było początkowo trzynastu, a potem czternastu chłopców, wśród których miałem kilku bardzo dobrych kolegów i nigdy z nimi nie miałem kłopotów. Z jednym uczniem nieraz mocno posprzeczałem się, ale zwykle szybko godziliśmy się i nie mieliśmy do siebie pretensji, a nawet bardzo często ze sobą przebywaliśmy i rozmawialiśmy. Z niektórymi uczniami, zwłaszcza z tymi, którzy mieszkali w innych pokojach, mniej się kolegowałem, toteż nie miałem z nimi również problemów, w dodatku byli to spokojni i niekonfliktowi koledzy. Jednakże z kilkoma chłopcami miałem kłopoty, niekiedy dość uciążliwe, choć właściwie to tylko jeden z nich najwięcej dawał mi się we znaki. Ci drudzy tylko mu wtórowali, być może chcąc w ten sposób przypodobać mu się i odwrócić od siebie jego uwagę, co zresztą nie zawsze im się udawało, gdyż od czasu do czasu potrafił on dobrać się również i do nich. Jeden z tych chłopców nie żył w najlepszej zgodzie nie tylko ze mną, ale i z wieloma kolegami w klasie, i często przeżywał nieciekawe chwile w kontaktach z nimi.

Nie należy jednak przywiązywać większej wagi do tego podziału, ponieważ ja naszkicowałem go tylko z mojego punktu widzenia i tak na co dzień to nie było między nami żadnego podziału, a wręcz przeciwnie, wszyscy uczniowie stanowili zgraną całość i ogromną większość czasu spędzaliśmy ze sobą w przykładowej zgodzie.

Jeśli chodzi o utrapienia, których czasami koledzy mi przysparzali, to zwykle największą udrękę przeżywałem wówczas, gdy kładliśmy się spać i przed zaśnięciem rozpoczynała się jakaś rozmowa. Na początku była to przeważnie rzeczowa i ciekawa dyskusja, lecz w miarę zmęczenia i nadchodzącego sennego znużenia rozmowa obniżała swój poziom: słowa, zdania i wypowiedzi stawały się banalne, a dyskusja robiła się coraz mniej ciekawa. Prawiono wtedy dowcipy albo nawzajem droczono się i przekomarzano. Często w takich momentach uwaga niektórych kolegów kierowała się na mnie i w różny sposób mi dokuczano. Moje wołania w

rodzaju: „zejdźcie ze mnie, bo mi duszno” i podobne riposty na ich zaczepki zwykle nie skutkowały i długo nie dawano mi spokoju.

Ja nie umiałem skutecznie odciąć się, żeby ostudzić zapędy kolegów, a może bałem się coś bardziej zdecydowanego powiedzieć w obawie, że się rozszłością i jeszcze więcej będą mnie trapić, co zresztą nieraz faktycznie się zdarzało. Takie chwile były dla mnie bardzo męczące i nie wiedziałem, co zrobić, by sobie z tym poradzić, zwłaszcza że byłem młodszy od nękających mnie kolegów.

Najczęściej towarzystwo dokuczało wtedy, kiedy było rozbawione i wesołe, jak dobrze coś poszło. Natomiast, gdy następnego dnia miała być lekcja z profesorem, którego wszyscy się bali, albo trudna klasówka lub pytania z niełatwego przedmiotu, wówczas najwięcej dyskutowano na ten temat, który ja, zauważywszy jego zaletę, nierzadko im sam podsuwałem. Wtedy już mogłem usypiać spokojnie, bo brakowało nastroju do dowcipów i o mnie zapominano.

*

Mocno przejmowałem się tym, co niektórzy koledzy czasami do mnie mówili oraz ich niewłaściwym wobec mnie zachowaniem i szukałem jakiegoś sposobu, aby pomniejszyć to przykre uczucie. Bardzo więc chętnie czytałem, co wielce poprawiało mój nastrój, i wolałem zająć się dobrą i ciekawą książką, niż spędzać czas z kolegami na próżnych żartach, przekomarzeniach się i sporach.

Będąc raz w Kętrzynie w księgarni, zobaczyłem książkę pod tytułem: „Kosmos”, jakiegoś radzieckiego autora, którego nazwiska już nie pamiętam. Niejednokrotnie czytałem przedtem na ten temat różne artykuły w prasie i książka ta bardzo mnie zainteresowała. Była ona teraz szczególnie na czasie, przeto ją kupiłem i przystąpiłem do jej czytania. Okazała się niezwykle ciekawa i tak mnie pochłonęła, że prawie zapomniałem o moich kłopotach z kolegami i przez nią widziałem rzeczywistość, otaczający mnie świat i kolegów w o wiele ciekawszych barwach i wymiarach.

Książkę tę czytałem, a właściwie studiowałem, przez wiele miesięcy, chyba przez cały sezon jesienno-zimowy 1953/54 roku, i często wracałem do niej później po jej przeczytaniu.

Kosmos mnie zafascynował. Był bezgranicznie wielki i niezmiernie ciekawy. Zadziwiły mnie jego ogromne przestrzenie i niewyobrażalne ilości materii oraz energii. Studiując tę książkę, często przerywałem czytanie, zastanawiałem się nad nią, marzyłem i rozmyślałem. Dowiadując się, iż kosmos jest taki wielki, pomyślałem sobie, że jeśli uda się nam go kiedyś pozyskać dla nas, dla naszej przyszłości i naszego rozwoju, to chyba go nam nigdy nie zabraknie, tak jak na skutek różnych, nie zawsze chwalebnych przyczyn stało się to z naszą Ziemią, która pod wieloma względami okazała się jakby trochę „za małą”.

Innym razem nasuwały mi się refleksje, że kosmos nas stworzył i niejako oddał się nam do naszej dyspozycji, abyśmy w nim mądrze i ciekawie żyli i roztaczali wielkie perspektywy na przyszłość. Przynajmniej dał nam na to szanse oraz możliwości i rzecz tylko w tym, żebyśmy z nich skorzystali i ich nie zaprzepaścili.

Szczególnie fascynujące wydawały mi się galaktyki. Ponad sto miliardów gwiazd w większości takich jak nasze Słońce, które ma prawie 1,4 miliona kilometrów średnicy, lub o wiele mniejszych gwiazd albo wielkich olbrzymów, mających miliard i więcej kilometrów średnicy, oraz nieznaną ilość planet, księżyców i różnych innych ciał niebieskich – to tylko niektóre obiekty i liczby obrazujące naszą galaktykę „Drogę Mleczną” rozciągającą się na przestrzeni stu tysięcy lat świetlnych. Inne galaktyki są dużo mniejsze, ale są i większe, jak na przykład nasza sąsiadka Wielka Mgławica Andromedy. Galaktyk tych są miliardy na przestrzeni miliardów lat świetlnych dotychczas poznanego wszechświata.

Już sam widok i kształty galaktyk, szczególnie spiralnych, są fascynujące. Po dziś dzień mogę godzinami obserwować zdjęcia, a zwłaszcza podświetlane klisze sfotografowanych galaktyk, jakie na przykład oglądałem w British Museum, i patrzeć na nie z największą zadumą, podziwem, a nawet lękiem, bowiem ich widok przyprawia mnie niemal o dreszcze. Ileż w nich materii, energii, różnych chemicznych i fizycznych reakcji i zjawisk oraz biologicznych i innych tajemnic. Jakież pole do badań, dociekań, fantazji i marzeń. Wielce intrygowało mnie zagadnienie istnienia życia, a szczególnie istot inteligentnych na innych planetach oraz perspektywy podróży międzygwiazdnych i podróży w minione czasy na Ziemi.

Prócz naszej galaktyki bardzo interesowała mnie Wielka Mgławica Andromedy. Sto dwadzieścia tysięcy lat świetlnych średnicy i masa ponad dwukrotnie większa od galaktyki, którą my zamieszkujemy. Znajduje się ona w odległości ponad dwóch milionów lat świetlnych i przy dobrych warunkach jest trochę widoczna nocą na niebie.

Czytałem tę książkę z największym zainteresowaniem i podziwem. Jakżeż ten kosmos jest ogromny w porównaniu z wielkościami i ze wszystkim tym, z czym się dotychczas spotykałem, i jakże Luluś i inni koledzy byli mali w porównaniu z nim. Byli oni tylko drobnym pyłkiem w kosmosie, do których trudno nawet było mieć jakieś pretensje.

Zachwycałem się olśniewającym wszechświatem. Jest on niezwykły, a jego wspaniałość, piękno i blask rozjaśniały moją szarą codzienność i pozwalały mi żyć szczęśliwiej, godniej i ciekawiej. Życie moje zacząłem postrzegać jako wielce niezwykłe i zachwycające zjawisko kosmiczne i przez to stawało się ono piękniejsze i bardziej interesujące. Myśli moje często błądziły po wielkich galaktykach i olbrzymich przestrzeniach międzygwiazdnych naszego wszechświata, odrywając mnie od moich zmartwień.

Byłem dumny z wiedzy, którą posiadałem. Przy tej lekturze odnalazłem siebie. Poczułem się pewniej i odważniej i mogłem spoglądać na moich kolegów bardziej „z góry”, jakby z rozprzestrzeniającego się nad nami kosmosu, do którego w poszukiwaniu szczęścia, spokoju, własnej godności i bezpieczeństwa niejako wywędrowałem.

Warto tu jeszcze wspomnieć, iż wszechświat tak bardzo wówczas mnie zainteresował i zaimponował mi, że wzorując się na czytanej lekturze, zaadresowałem raz widokówkę do mojej starszej siostry w następujący sposób:

Szanowna Pani
Wasiuk Czesława
Wieś Serpelice
Poczta Konstantynów
Województwo warszawskie
Polska
Europa
Ziemia
Nasz Układ Słoneczny
Nasza Galaktyka „Droga Mleczna”
Nasza Gromada Galaktyk
Nasza Metagalaktyka
Nasz Wszechświat

Chociaż czytanie tej książki w dużej mierze uatrakcyjniło i uprzyjemniło moje życie, uczyniło je ciekawszym i bardziej interesującym, to jednak w kontaktach z kolegami niewiele mi to pomogło, a nawet w tym czasie jeszcze bardziej odszedłem od nich i powiększył się dystans między nami. Czytanie choćby najpiękniejszych książek nie powinno wszak odbywać się kosztem dużych wyrzeczeń i zaniedbań w

życiu z kolegami. Zwłaszcza kolegami takimi, którym niewiele można zarzucić, wśród których nie ma nałogów, bijatyk lub innych podobnych występków, a mającym dużo ciekawych zainteresowań i poglądów. Czytając moją książkę i rozmyślając nad nią, często jednak zapominałem o moich kolegach i wielokrotnie rezygnowałem ze wspólnego spędzania z nimi czasu – ze wspólnych zabaw, trosk i problemów. Było to niewłaściwe, bo w kontaktach z kolegami miałem trudności, które koniecznie należało przezwyciężyć, i szybciej mogłem tego dokonać, częściej wśród nich przebywając.

Bardzo dobre, pożyteczne i ciekawe jest czytanie książek o wszechświecie, ale miast tej „ucieczki w kosmos” powinienem być bardziej zwrócić oczy i uwagę na ziemię i na moich kolegów. Trzeba było więcej się nimi interesować i podjąć w tym czasie jakże użyteczny trud uczenia się lepszego, korzystniejszego i bardziej przyjemnego przebywania z nimi. Było to sprawą niezwykle istotną i koniecznie należało się nią zająć.

*

Z końcem czerwca 1954 roku nasz naczelny dyrektor, Edward Dubowik, został przeniesiony do innej szkoły. Bardzo żałowałem jego odejścia, ponieważ znaleźmy się już trochę, w trudnych sytuacjach mogłem liczyć na pomoc i jego obecność dodawała mi pewności siebie. Może dlatego zabrakło mi nieco tej pewności jesienią tego samego roku, kiedy to w połowie października, gdy byłem już w trzeciej klasie, wyjechałem wraz z uczniami kilku techników naszej szkoły na jeden dzień do oddalonego o kilkanaście kilometrów pegeeru na wykopki buraków, które, ze względu na niezwykle deszczową jesień, bardzo się opóźniały.

Dzień ten dobrze pamiętam, jednakże nie tylko z tego powodu, iż wtedy również często padał deszcz i co chwilę uciekaliśmy z pola do pobliskiej stodoły, ale przede wszystkim dlatego, że w ten dzień powziąłem pewne postanowienie, które w niedługim czasie zakończyło moje kłopoty z kolegami.

Oczywiście, nie nastąpiło to w wyniku jakiejś skargi, bo skarżyć nie miałem w zwyczaju. Wszelkich zakusów w tym względzie odczytał nas ojciec, gdy któryś z braci próbował skarżyć na drugiego. Poza tym, wiadomo, że skargami nikt jeszcze niczego wielkiego nie zwojował, a wracając do owego dnia, w którym byliśmy na wykopkach, nawet nie było komu, albo raczej nie było jak się poskarżyć.

W czasie tych wykopków, kiedy to często przerywaliśmy pracę i chowaliśmy się do stodoły, jedna z takich przerw trwała o wiele dłużej od pozostałych. Rozsiadliśmy się wówczas wszyscy, gdzie kto mógł, jedni na słomie, drudzy na sianie, i w oczekiwaniu na poprawę pogody bardzo przyjemnie ze sobą rozmawialiśmy. Jednak spokojna, koleżeńska pogawędka nie trwała długo, gdyż Luluś wraz z innymi chłopcami z naszej klasy wszczęli swoją odwieczną dyskusję ze mną. Tego dnia byli oni szczególnie krzykliwi i napastliwi. W dodatku w tę polemikę wmieszał się jeszcze profesor, opiekujący się całą naszą grupą na wykopkach, ze swoim trochę żartobliwym stylem rozmowy. Profesorowi w czasie tej wymiany zdań nie odpowiadałem, a pozostałym uczestnikom dysputy mocno się odcinałem, bo przekonałem się od dawna, że milczenie niczego tu nie rozwiązuje, chociaż i tak większość tego, co do mnie mówili, puszczałem mimo uszu.

Było to już pod koniec toczącej się zwady, kiedy profesor, miast jakoś wyciszyć ten spór, wypowiedział najbardziej pamiętne mi zdanie w całej tej dyskusji:

– Po ukończeniu technikum my go chyba wyślemy jako agronoma do Kwidy – po których to słowach wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem i krzykiem, bo wszyscy podobnie jak ja wiedzieli, co chłopci mówią o agronomach, których im się do spółdzielni nasyła, a zwłaszcza co powiedzieliby takiemu, który wywodzi się z ich wsi.

Chociaż to, co profesor powiedział, nie było bardzo groźne – bo zamierzałem przecież uczyć się dalej po ukończeniu technikum, a poza tym wszyscy wiedzieli, że to był tylko dobry żart – to jednak tym powiedzeniem zupełnie mnie załatwił. Niektórzy uczniowie powtarzali je jeszcze przez wiele dni po powrocie z wykopków do szkoły.

O tym, jak postanowiłem rozwiązać moje kłopoty z kolegami, opiszę na dalszych stronach niniejszych wspomnień.

*

Mimo że moje relacje z kolegami w szkole, zwłaszcza w późniejszym okresie, układały się nieciekawie, muszę wyznać, że niewiele jednak zastanawiałem się nad przyczynami tego zjawiska. Sądziłem, iż postępuję właściwie i nie potrzebuję niczego u siebie zmieniać, a jeśli kilku kolegów zachowuje się wobec mnie w opisany sposób, to oznacza – uważałem – że jest to ich wina, że może mają taki charakter lub są źle wychowani albo nawet, iż są nieświadomi tego, że źle się zachowują. Czasami też tłumaczyłem sobie tę sytuację tym, że są oni bardziej rośli ode mnie, starsi, silniejsi, lub wyjaśniałem to innymi podobnymi przyczynami, co przecież tylko w jakiejś części mogło być zasadne.

Szkoda, iż często wertując katalogi w bibliotece szkolnej, pewnie nie natknąłem się na jakiś tytuł dotyczący współżycia z ludźmi, lub też konfliktów interpersonalnych, gdyż tego rodzaju lektura prawdopodobnie by mnie zainteresowała. Sam jednak nie szukałem takich książek, chociaż podobne publikacje mogłyby na pewno mi pomóc w moich kłopotach, ale może nie wiedziałem, że istnieją książki na takie tematy. Tymczasem są takie pozycje, o czym przekonałem się później, i można w nich wyczytać wiele interesujących rzeczy

Z lektury tej można między innymi dowiedzieć się, że zachowanie ludzi wobec nas jest niejako lustrem, odbiciem naszego postępowania względem nich. Każdemu naszemu działaniu towarzyszy podobne odwzajemnienie i tak: zniecierpliwienie z reguły wywołuje zniecierpliwienie, złość wywołuje złość, oskarżeniem odpowiadamy na oskarżenie, agresją na agresję, lekceważeniem na lekceważenie, ale też grzecznością reagujemy na grzeczność, pomocą na pomoc, uśmiechem na uśmiech. Tak więc nasz własny charakter i nasze zachowanie wielce decydują o stosunku ludzi do nas.

Właściwie to już nie przypominam sobie dokładnie tego życia z kolegami w szkole, ale ze względu na to, że konflikty interpersonalne i ich przyczyny mają bardzo duże znaczenie w niniejszych wspomnieniach, pragnę tu trochę dłużej nad nimi się zatrzymać. Na podstawie tego, co jeszcze pamiętam i co obecnie o tym sędzę, a szczególnie kierując się tym, co na ten temat przeczytałem w różnych publikacjach, wymienię wiele możliwych powodów, które mogą wywołać konflikty podobne do tych, jakie ja przeżywałem. Przy okazji opiszę trochę szerszy wachlarz takich przyczyn, mogących być źródłem również innych konfliktów. Nieco dociekliwszy opis tych uzasadnień będzie potem bardzo użyteczny przy dochodzeniu racji pewnych zdarzeń, które opiszę w dalszej części moich wspomnień.

Przechodząc do rozważań nad tymi przyczynami, być może – jak to już wspominałem – rzeczywiście za bardzo przejmowałem się tym, co moi koledzy do mnie mówili, i niepotrzebnie się tłumaczyłem, usprawiedliwiałem, co mogło ich zachęcić do droczenia się w ten sposób ze mną.

Może wypowiedzi rówieśników trzeba było przyjmować bardziej na wesoło i samemu odpowiadać więcej z humorem.

Być może za dużo mówiłem – kiedy było ewidentne, iż koledzy niewłaściwie się wobec mnie zachowują – miast powiedzieć im kilka słów zdecydowanych, aby zrozumieli, że mi dokuczają, a słowa poprzec odpowiednią postawą i ewentualnie

jeszcze zagrozić konsekwencjami. (Bo jeśli ktoś jest całkowicie pewny, że to nie on wobec kolegów, tylko koledzy względem niego bardzo źle się zachowują, to nie powinien na to pozwolić, tylko zwrócić im uwagę i ostrzec, żeby więcej tak nie postępowali. A jeśli nie odniesie to żadnego skutku, wtedy można np. pójść do wychowawcy klasy i przedstawić sprawę. Trzeba też wiedzieć, iż ciągle niepokojenie kogoś, dręczenie i napastowanie jest występkiem i przestępstwem, które może być ścigane prawem, jak na przykład zdarza się to w wojsku za nękanie młodszych roczników przez starsze.)

Istnieje wiele innych przyczyn podobnych sprzeczek i nieporozumień z kolegami. Może np. denerwowałem się w czasie rozmowy, co z kolei doprowadzało do zdenerwowania moich oponentów i dyskusja stawała się napastliwa, nieprzyjazna, choć można było przecież powstrzymać swoje nerwy. Może denerwując się, dawałem odpowiedzi zbyt emocjonalne, a nie racjonalne, a zatem nie były one właściwe, optymalne, co utrudniało dojście do szybkiego porozumienia i zakończenia sporu.

A może w ogóle w wypowiedziach moich kierowałem się tym, co czułem, a nie tym, co wiedziałem – przez to znacznie mniej efektywnie.

Wypowiedzi mogą być również mniej optymalne w chwilach przeżywania lęku, niepewności lub nieśmiałości.

Trudno jest utrzymywać z kimś dobre kontakty towarzyskie, kto się ciągle za wszystko obraża, uraża, dąsa i gniewa.

Często agresywność zachowania i odpowiedzi zaognia spór i przedłuża mało wtedy rzeczową, za to bardzo napastliwą dyskusję.

Może ktoś mieć denerwujący sposób rozmowy, jeśli na przykład przerywa czyjeś wypowiedzi, nie pozwala nikomu dojść do słowa, nie potrafi kogoś wysłuchać, okazuje zniecierpliwienie lub ciągle się spiera, przeczy, z nikim się nie zgadza, nikomu nigdy nie przyzna racji, nikogo nie doceni, nie pochwali, sam tylko się popisuje, a innych ciągle krytykuje. Może to irytować innych rozmówców i skłaniać do szukania odwetu.

Nie dojdzie z nikim do porozumienia człowiek, który jest uparty, trudny do przekonania, nie umiejący niczego przeboleć i pójść na ustępstwa.

Można kogoś wyprowadzić z równowagi przez głupie, niedorzeczne, niepoważne, irytujące, beznadziejne lub ironiczne albo defetystyczne wypowiedzi.

Łatwo jest kogoś zrazić kłamstwem, obmawianiem, pomawianiem itp.

Wielkim błędem jest popełnienie w stosunku do kogoś oszustwa. Nieodżałowanym też krokiem jest posunięcie się do rękoczynów.

Nigdy nie dojdzie się do porozumienia z kimś, kogo się lekceważy, uważa za głupszego, z kogo się szydzi, wyśmiewa lub w inny sposób uraża jego uczucia.

Nie można dojść do ugody, jeśli ktoś w wypowiedziach swoich ma tylko siebie na względzie, nie bierze pod uwagę interesów oponentów, choć może nie jest trudne znalezienie rozwiązań i słów, które by zadowolili wszystkie strony i doprowadziły do szybkiego i trwałego zakończenia sporu.

Czasami nawet jedna ze stron może formułować wypowiedzi satysfakcjonujące stronę przeciwną, ale nie zadowalające siebie. Wtedy konflikt również nie może być uważany za zakończony na trwałe, gdyż ten, kto nie usatysfakcjonuje siebie w równym stopniu co przeciwnika, będzie starał się to uczynić przy najbliższej okazji, w następnym konflikcie, jaki wówczas może znowu niebawem wystąpić.

Jednak dużo gorzej jest, gdy któraś ze stron albo żadna z nich nie zadowoli ani siebie, ani swego przeciwnika, kiedy to zamiast rozumnych racji dominują: egocentryzm i emocje. Byleby tylko oponentowi dokuczyć, ile się da i jak się da, chociaż mnie to w niczym nie urządza, a tym bardziej mojego przeciwnika.

Jeszcze bardziej traci więź i pogłębia konflikty ze swymi rówieśnikami ten, kto prócz nieumiejętności rozmowy z nimi jest w dodatku niekoleżeński, złośliwy, zarozumiały albo nie dbający o wygląd zewnętrzny, o swoje zachowanie się, postawę, mowę.

Także nie najlepiej wiedzie się z kolegami temu, kto nie zna względnie nie przestrzega podstawowych form grzeczności.

Nieszczęśliwy jest również ten, kto cierpi na egocentryzm, egoizm lub agresywność, wywyższanie się, nienaturalność; kto ma zbyt wysokie aspiracje, niezrozumiałe poglądy, nierealne cele; usilnie realizuje potrzebę swego znaczenia i dominacji; chce być kimś niezwykłym, lepszym od innych – przeważnie w dążności do kompensacji za porażki we wczesnej młodości lub obecne niepowodzenia – a nie dba o swoje zwykłe, normalne potrzeby i cele życiowe, możliwe do zrealizowania. Niektórzy z kolei przejawiają nadmierną uległość, infantylność, lękliwość, brak pewności siebie, brak stanowczości i zdecydowania – cechy także nie aprobowane przez otoczenie.

Brak chęci do podejmowania, zwłaszcza bardziej celowych wysiłków, bierność i inercja są też częstą przyczyną niepowodzeń we współżyciu z ludźmi, bowiem – aby utrzymać dobre kontakty towarzyskie – trzeba się o to starać i podejmować wiele różnych zabiegów i wysiłków.

Jedną z bardzo ważnych przyczyn braku porozumienia z kolegami w szkole może być nieinteresowanie się i nieangażowanie w sprawy klasy, zachowanie postawy obojętnej lub negatywnej, co z kolei musi wywołać podobną postawę pozostałych uczniów w stosunku do tak postępujących.

Może być jeszcze wiele innych przyczyn przysparzających nieporozumień i doprowadzających do konfliktów z kolegami.

Na traktowanie ucznia mogą mieć także wpływ jego wyniki w nauce. Mogłem zatem starać się być bardzo dobrym uczniem w klasie. Chyba nic nie stało temu na przeszkodzie. Nie miałem wielkich problemów z żadnym przedmiotem i stać mnie było na to, żeby te kilka trójek zamienić na czwórki, a czwórki poprawić na piątki, ale nie przypominam sobie, abym kiedyś o tym pomyślał.

Przyczyną niepowodzeń w kontaktach z ludźmi może być też nieinteresowanie się lub małe interesowanie się nimi. Wydaje się, że z powodu kilku nieszczęśliwych wydarzeń w mojej wczesnej młodości miałem trudniejszą sytuację w rywalizacji z rówieśnikami. Może właśnie na skutek tych dodatkowych trudności i odniesionych z tego powodu porażek i niepowodzeń z rywalami trochę „pogniewałem się” na nich i zacząłem bardziej interesować się światem i pięknem natury, a później także książkami. Nigdy jednak nie można zaprzestać interesować się ludźmi, gdyż ludzie są nam do życia i szczęścia niezmiernie potrzebni i nasze życie w pierwszym rzędzie zależy od nich.

Powinienem był wówczas starać się w jakiś sposób zbliżyć do owych kilku kolegów w klasie i próbować bardziej harmonijnego i zgodnego życia z nimi. Oddalanie się od uciążliwych współuczniów, utrzymywanie jedynie formalnego kontaktu z nimi i niepodejmowanie skutecznych prób poprawy tych relacji musiało prowadzić do konfliktów z tymi chłopcami, a przez to do dużych utrapień w życiu.

Wtedy jednak o tym wszystkim nie wiedziałem, nic też na ten temat nie czytałem i sam chyba niewiele się nad tym zastanawiałem. Z sytuacji, w jakiej się znalazłem, postanowiłem wydostać się ucieczką, czyli sposobem, w jaki już nieraz z podobnych kłopotów próbowałem się wydobyć.

Z przeczytanej później lektury dowiedziałem się, iż różne ucieczki są częstym konceptem, a nawet wywodzącym się z lat dziecięcych nawykiem wychodzenia z trudnych sytuacji. Jest to jednak sposób złudny, nieefektywny, zwykle przysparzający

jeszcze dużo dodatkowych utrapień, a problem – nie rozwiązany właściwie – wcześniej czy później znowu powraca i daje znać o sobie.

*

Mój zamiysł ucieczki z trudnej sytuacji nie polegał jednak na rezygnacji z ukończenia technikum, bo i tak można byłoby to uczynić, tylko na postanowieniu przeniesienia się do innej szkoły rolniczej. Wśród wielu szkół, jakie wziąłem pod uwagę, wybór padł na Zespół Państwowych Techników Rolniczych w Chojnowie.

O tym, że wybrałem tę szkołę, zdecydowało przede wszystkim to, że Chojnów znajduje się w odległości około dwudziestu pięciu kilometrów od Bolesławca, blisko którego, we wsi Otok, mieszkał ze swoją rodziną mój najstarszy brat, Kazik. Miałem więc tam kogoś z rodziny w pobliżu, do kogo w niedzielę lub inne święta mógłbym sobie od czasu do czasu pojechać.

Chojnów jest też miastem atrakcyjnie położonym, niedaleko gór, które w czasie wycieczki do Sobieszowa i Szklarskiej Poręby nadzwyczaj mi się spodobały. Zresztą, z Chojnowa do Szklarskiej Poręby jest również niedaleko, a mnie piękno krajobrazów i egzotyka zawsze interesowały.

Poza tym Chojnów leży, jak uczyliśmy się w szkole, w najcieplejszym regionie naszego kraju, co także przypadło mi do gustu.

Od jakiegoś czasu zastanawiałem się już nad takim przeniesieniem, ale teraz po opisanych wykopkach definitywnie się na nie zdecydowałem. Zaraz po powrocie z PGR-u napisałem podanie do szkoły w Chojnowie z prośbą o przyjęcie mnie do niej i z niecierpliwością oczekiwałem odpowiedzi.

Jak takie przeniesienie miałem załatwić, dowiedziałem się od ucznia, który z początkiem tegoż roku szkolnego dołączył do naszej klasy, przybywając z innej szkoły. Również on, o ile to sobie dobrze przypominam, zmienił szkołę z powodu nieporozumień z kilkoma kolegami w klasie. Powiedział mi, że napisał tylko podanie do Karolewa o przyjęcie do trzeciej klasy technikum rolniczego, a gdy otrzymał zgodę, przyjechał tu, powiadamiając jedynie poprzednią szkołę o tej przeprowadzce.

Chyba po tygodniu otrzymałem z Chojnowa odpowiedź następującej treści: „W odpowiedzi na pismo Obywatela, Dyrekcja Zespołu Państwowych Techników Rolniczych w Chojnowie wyraża zgodę na przyjęcie Obywatela do klasy III-ciej Technikum Rolniczego.

O ile Obywatel ma zamiar zamieszkać w internacie, należy przywieźć ze sobą 262 zł za wyżywienie.

Stypendia zostaną przydzielone uczniom wykazującym dobre postępy w nauce, pochodzenia chłopskiego, mało- i średniorolnego”.

Nic mi więcej nie było potrzeba. Należało tylko uzyskać jeszcze zgodę mojego ojca na zamianę szkoły, a to nie było takie proste, gdyż nie wiedziałem, czym moją decyzję ojcu wytłumaczyć. Ze względów ambicjonalnych nie chciałem tacie powiedzieć, że w Karolewie nie najlepiej układają się sprawy z kilkoma kolegami w klasie. Wymieniłem mu więc różne inne powody, pragnąc jednocześnie zapewnić, że w tym nowym miejscu wszystko już będzie dobrze.

Ojciec jednak nie dał się całkowicie przekonać, co do celowości zmiany dotychczasowej szkoły, ale w końcu, rad nierad, zgodził się na ten wyjazd i obiecał przysyłać pieniądze na moje potrzeby oraz dał mi dość sporą sumę na drogę i na pierwsze wydatki.

27 października 1954 roku udałem się w tę podróż. Dyrekcji szkoły w Karolewie o mojej decyzji przeniesienia się do Technikum Rolniczego w Chojnowie nie powiadomiłem w obawie, iż zapytano by mnie o przyczynę tego postanowienia. Trudno byłoby mi wówczas znaleźć jakieś racjonalne uzasadnienie tej decyzji, gdybym nie chciał wyjawic zasadniczego powodu. Uważano tu przecież nasz zespół

za najlepszą średnią szkołę rolniczą w kraju, w dodatku dla mnie położoną tak blisko domu. Musiałbym zatem wyznaczyć prawdziwą przyczynę mego postanowienia, co mogłoby doprowadzić do konfrontacji i jakiegoś wymuszonego, chwilowego pogodzenia się z owymi kilkoma skłóconymi ze mną uczniami i w efekcie nakłonienia mnie do pozostania w Karolewie. Uważałem, że wtedy pogorszyłoby to tylko mój kontakt z tymi chłopcami, gdyż nie wierzyłem już w rzeczywiste pogodzenie się z nimi, a do ukończenia szkoły pozostawało jeszcze prawie dwa lata nauki. Żeby to przeniesienie nie spełzło więc na niczym, postanowiłem bez uprzednich rozmów z dyrekcją dotychczasowego technikum wyjechać do Chojnowa i o fakcie przeniesienia się powiadomić ją dopiero będąc już w tamtej szkole.

4. UCIECZKA DO KWADRATU

W Kętrzynie wsiadłem do pociągu wieczorem i według rozkładu jazdy miałem dotrzeć do Chojnowa następnego dnia około godziny czwartej po południu. Do tego miasta było ponad sześćset kilometrów i aby do niego dojechać, trzeba było przesiać się w Olsztynie i Wrocławiu.

Gdy pociąg ruszył i zaczął oddalać się od dworca, przemykając peryferiami miasta, trochę zrobiło mi się żal, że wyjeżdżam z tych stron i opuszczam Kętrzyn, Kwidę i Karolewo. Przecież w tej szkole miałem też bardzo dużo wspaniałych kolegów, zarówno w naszej klasie, jak i w innych klasach i technikach, oraz bardzo miłych i sympatycznych profesorów. Zastanawiałem się, czy aby w Chojnowie na pewno będzie lepiej, ale pomyślałem, że jeśli nawet trafię na jednego lub kilku chłopców, z którymi mógłbym mieć większe trudności, to upłynie rok albo dłużej, zanim dostatecznie się wobec mnie ośmiela. Teraz chyba nie spoufała się tak szybko, bo pewnych rzeczy już się nauczyłem i będę lepiej wiedział, jak z nimi żyć i postępować. Zdawałem sobie jednak sprawę, iż na początku też mi będzie trudno, że będę skrępowany, gdyż od razu nie zdobędę przyjaciół, bo na poznanie i zżycie się z nimi potrzeba będzie trochę czasu. Wszelako byłem z natury optymistą i nigdy z góry niczym nadmiernie się nie przejmowałem, a jeśli już czymś się zmartwiłem, to niewiele mi było trzeba, żeby się rozweselić. Właśnie bardzo ucieszyłem się tym, że dojechałem do Olsztyna szczęśliwie i wygodnie, bez wielkiego tłoku, a pociąg do Wrocławia wyruszył zgodnie z planem.

Do Olsztyna ostatnio przyjeżdżałem kilkakrotnie do lekarza, bo od około roku czułem się chory na nerwicę serca. Była ona dla mnie dużym utrapieniem, mimo że w czasie jej ataków, które wszak nie zdarzały się często, było chyba więcej strachu i niepokoju niż prawdziwego niebezpieczeństwa. Na domiar jednak złego, po przeczytaniu w którejś gazecie bardzo przejmującego i niepokojącego artykułu na temat gruźlicy płuc, przy najmniejszym kaszlu począłem miewać hipochondryczne lęki, iż być może jestem chory również i na tę chorobę. Oba te cierpienia traktowałem bardzo poważnie i przyjeżdżałem leczyć się aż do Olsztyna, ponieważ polecono mi tutaj dobrego specjalistę.

Choroby te były może trochę śmieszną sprawą, ale takie właśnie bywają objawy hipochondrii, która czasami pojawia się w stresowych i konfliktowych sytuacjach.

Do Chojnowa przyjechałem o czasie. Gdy opuściłem dworzec i szedłem przez miasto, nastawał już zmrok. Szukając mojej przyszłej szkoły, zobaczyłem idącą przede mną drobną postać żeńską, zapewne też jakąś uczennicę, może nawet z tego technikum – pomyślałem. Podszedłem więc do niej i zapytałem:

– Koleżanko, gdzie tu jest szkoła rolnicza?

– Właśnie w tym kierunku idę – odpowiedziała nieznajoma, która – z niemałym zmieszaniem zauważyłem – była dorosłą, może czterdziestoletnią kobietą. Przeprosiłem ją za tę niezamierzoną poufałość i dalej szliśmy razem. Do szkoły było niedaleko, a gdy do niej doszliśmy, podziękowałem nieznajomej za wskazanie mi drogi i wszedłem do środka budynku.

W sekretariacie powiedziałem kim jestem i okazałem przysłane mi pismo wyrażające zgodę na przyjęcie mnie do trzeciej klasy tutejszego technikum rolniczego. O sprawie chyba pamiętano, bo pisma nikt nie czytał, tylko po chwili rozmowy zaprowadzono mnie do klasy, w której odbywała się jeszcze jakaś lekcja. Po przedstawieniu mnie uczniom i wymianie ze mną kilku zdań profesor zapytał, czy chcę pozostać w klasie na lekcji, czy wolę pójść rozlokować się w internacie.

Zdażyłem już rozejrzeć się po sali. Wszyscy uczniowie wyglądali sympatycznie. W jednej ławce zauważyłem samotnego, bardzo miło wyglądającego chłopca, więc pomyślałem, iż pewnie z nim będę siedział w tej ławce. Nie myliłem się, gdyż profesor słysząc, że chcę pozostać w klasie, wskazał mi ręką to miejsce. Jednakże na chwilę się zatrzymałem, bo spostrzegłem, że kobieta, która wraz ze starszym mężczyzną i ze mną weszła do klasy, zaczęła właśnie coś mówić:

– Zapomnieliśmy jeszcze chyba o tym, że ostatnio wyszło zarządzenie, żeby uczniowie uzyskiwali zgodę na przeniesienie się z poprzedniej szkoły, ponieważ zbyt dużo uczniów zmienia miejsca nauki. Czy masz taką zgodę na piśmie z poprzedniego technikum?

– Nie, nie mam, ale w odpowiedzi, którą stąd otrzymałem, nic na ten temat nie wspomniano.

Kobieta wzięła pismo do ręki i przeczytała.

– Tak, tu rzeczywiście na ten temat nic nie ma, widocznie sekretarka zapomniała o tym napisać.

Nastąpiła chwila milczenia, po której tym razem przybyły wraz z nami mężczyzna, chyba dyrektor, powiedział:

– To właściwie bez takiej zgody nie możemy cię przyjąć do szkoły. Musisz o tę zgodę najpierw jakoś się postarać.

Bardzo zaskoczony tym obrotem sprawy, rzekłem:

– Dobrze. Mam tu koło Bolesławca brata, więc zamieszkać u niego i wyśle do Karolewa prośbę o przysłanie mi takiej zgody.

– O, to świetnie się składa – powiedział dyrektor. – Chyba nie zajmie ci to dużo czasu. Jak tylko tę zgodę otrzymasz, proszę przyjeżdżać. Sprawa już będzie wtedy całkowicie załatwiona.

Wyszedłem. Po drodze na dworzec zastanawiałem się i nie mogłem pojąć, dlaczego postanowiono przeciwdziałać przenoszeniu się uczniów ze szkoły do szkoły, kiedy czynią to zapewne po to, aby coś sobie polepszyć lub usprawnić. Z drugiej strony – pomyślałem – skoro zapomnieli o przeniesieniu napisać, to teraz powinni przyjąć mnie do tutejszego technikum i pozwolić mi załatwić tę sprawę korespondencyjnie.

*

Do brata przyjechałem późno wieczorem, bo musiałem trzy godziny czekać na pociąg do Bolesławca. Jakkolwiek pisałem mu, że chcę się przenieść do szkoły w Chojnowie, skąd będę mógł go czasami odwiedzić, to jednak był bardzo zaskoczony, gdy tak nagle o tej porze zjawiłem się u niego. Wszelako chałupę miał sporą i zawsze było gdzie się podziać i przenoćować, jeśli nawet ktoś przybył nieoczekiwanie.

Na drugi dzień z rana napisałem podanie do szkoły w Karolewie z prośbą o wyrażenie zgody na moje przeniesienie się do Technikum Rolniczego w Chojnowie, którą to prośbę umotywowałem głównie lepszym w tych stronach klimatem dla mojego zdrowia. Koperty z podaniem nie wręczyłem listonoszowi, tak jak to się tutaj zwyczajowo robiło i choć codziennie przyjeżdżał on przed południem do wsi, tylko sam zaniósłem na pocztę w Bolesławcu i nadałem listem poleconym. Tak było szybciej niż przez listonosza, który pewnie na pocztę powracał dopiero późnym popołudniem, albo nawet wieczorem.

Miałem więc teraz z tydzień lub więcej czasu na poznanie rodziny Kazika oraz wsi, w której mieszkał, i tutejszych okolic. Brat i bratowa chętnie zgodzili się, żebym u nich przez ten czas pobył, gdyż w czasie ich nieobecności w domu mogłem popilnować dzieci, których mieli dwoje: pięcioletnią dziewczynkę, Stasię, i dwuletniego chłopczyka, Antka.

Kazik miał trzydzieści lat, pracował w fabryce kwasu siarkowego w Wizowie koło Bolesławca, a prócz tego posiadał kawałek pola, które obrabiał w czasie wolnym od pracy w fabryce. Bratowa, Władysława, była o kilka lat młodsza od brata i zajmowała się dziećmi oraz pracowała w polu. W tym czasie kończyli na nim prace jesienne, wobec czego byłem bardzo przydatny do posiedzenia z dziećmi w domu.

Bratowa urodziła się w Jugosławii, w Zagrzebiu, dokąd jej polscy rodzice wyjechali jeszcze przed pierwszą wojną światową. Dobrze mówiła po polsku i po serbochorwacku.

Wieś, Otok, była ładnie położona, od zachodniej strony otoczona polami, a od wschodu dużym pięknym lasem. Był to las mieszany, przeważnie liściasty, rosnący na wilgotnym gruncie. Kiedy w wolnych chwilach wychodziłem z domu, a nie szedłem na spacer po wiosce lub na pole albo do Bolesławca, bardzo chętnie udawałem się na przechadzkę po nim. W pamiętniku, który pisałem, przebywając w mieszkaniu z dziećmi, prócz różnych medytacji i refleksji na temat sytuacji, w jakiej wówczas się znalazłem, często wspominałem o spacerach w tym lesie i dużo uwagi poświęciłem jego opisowi.

Po kilku dniach przystąpiłem do przerabiania kolejnych lekcji z książek, aby nie powstały zbyt duże zaległości w nauce. Dobrze mi nawet szło, gdyż lekcje były przystępnie napisane i można było nauczyć się ich bez poprzedzających wykładów profesora. Jednakże nie do wszystkich przedmiotów mieliśmy książki i niektórych lekcji uczyliśmy się na wykładach, a następnie z notatek, które w czasie ich trwania sporządzaliśmy.

Żadna wiadomość z Karolewa nie nadchodziła. Po tygodniu bardzo się już niecierpliwiłem i żeby szybciej uzyskać jakąś wiadomość, wychodziłem z rana przed wieś na szosę aż do najwyższego jej wzniesienia, skąd mogłem obserwować z daleka: idących ludzi, nadjeżdżające samochody i rowerzystów, wśród których starałem się rozpoznać sylwetkę tutejszego doręczyciela poczty. Listonosz prawie zawsze nadjeżdżał o tej samej porze, lecz, niestety, nigdy nie miał dla mnie oczekiwanego listu.

Po dziesięciu dniach napisałem drugie pismo do dyrekcji szkoły w Karolewie z prośbą o szybsze załatwienie sprawy, a korzystając z tego, że byłem w Bolesławcu, wsiadłem do pociągu i pojechałem do szkoły w Chojnowie. Powiadomiłem dyrektora, że przeniesienie z Karolewa jeszcze nie nadeszło i poprosiłem go, żeby zechciał mnie przyjąć do technikum, nim ta zgoda przyjdzie, gdyż powstają zaległości w nauce, chociaż – mając czas – usiłuję je nadrobić. Dyrektor jednak nie zgodził się na przyjęcie mnie do szkoły, dopóki nie otrzymam przeniesienia z Karolewa, i w dodatku wyraził duże wątpliwości, czy będę mógł nadrobić powstałe zaległości w nauce, mimo że staram się sam uczyć w domu.

Czekałem jeszcze wiele dni, ale żadnej odpowiedzi z Karolewa nie było. Począłem już nawet zastanawiać się, czy nie odpuścić tego roku szkolnego i nie poszukać sobie jakiejś pracy. Mogłem przecież wznowić starania o przyjęcie do tutejszego technikum od nowego roku szkolnego. Do tego czasu zdołałem chyba załatwić to przeniesienie z Karolewa – pocieszałem się.

Jednakże sprawa znalezienia pracy okazała się nie taka prosta. Uplłynęło dopiero kilka miesięcy, jak ukończyłem siedemnaście lat, a do pracy przyjmowano od lat osiemnastu. Mogłem jedynie pójść na ucznia do przyuczenia zawodu lub zostać kurierem w jakimś przedsiębiorstwie, co w obu przypadkach było bardzo mało płatne i nie wystarczyłoby mi na życie. Poza tym nie wiedziałem, gdzie miałbym mieszkać. Przebywanie u brata jeszcze prawie przez rok byłoby trochę kłopotliwe, a prócz tego musiałbym z Otoka do Bolesławca kilka kilometrów dochodzić piechotą, bo autobus – przynajmniej z rana – nie pasował. Brat dojeżdżał do Wizowa rowerem, ale miał on

tylko jeden taki pojazd, a ja nie wiem, czy bym sobie rower kupił, gdybym nawet wydał wszystkie pieniądze, jakie wtedy posiadałem.

Byłem jednak bardzo ambitny i chyba też mocno zagniewany na moją szkołę, bo mimo iż znalazłem się w tak trudnej sytuacji, to powrotu do technikum w Karolewie w ogóle nie brałem pod uwagę, choć prawdopodobnie było to możliwe. Również niepotrzebnie poczułem się aż tak bardzo głupio po tym nieudanym załatwieniu sprawy, co odbierało mi wszelką myśl powrotu do domu, chociaż ojciec zapewne w końcu by mi to wybaczył.

*

Gdy tak biegł już czwarty tydzień, a zgoda na przeniesienie z Karolewa nie nadchodziła, wtedy pewnej nocy, kiedy nie mogłem usnąć, przypomniała mi się historia, jaką ze dwa tygodnie przedtem opowiadała bratowa. Otóż jeden z jej znajomych, który po wojnie przyjechał do Polski z Jugosławii i nie znalazł tu godziwych warunków do życia, uciekł z powrotem nielegalnie do tego państwa, gdzie mu się już o wiele lepiej powodziło.

Jak mówiła bratowa, udało mu się jakoś przedrzeć przez granicę polsko-czechosłowacką, następnie czechosłowacko-węgierską i węgiersko-jugosłowiańską, gdyż granice między krajami socjalistycznymi były nie tak mocno strzeżone jak do państw kapitalistycznych, na których mogły być nawet zasieki z drutu kolczastego, miny oraz inne przeszkody.

Pomyślałem więc, że jeśli udało się temu człowiekowi uciec do Jugosławii, to czemu podobny pomysł nie mógłby powieść się mnie? Szkoda, że wtedy, jak bratowa to opowiadała, nie dowiedziałem się czegoś więcej na temat tej ucieczki, lecz wtedy to mnie nie bardzo zainteresowało. Ale nic straconego – pomyślałem – wkrótce ją jeszcze o to zapytam i może czegoś ciekawego się dowiem. Wówczas spytałem ją tylko, dlaczego ten jegomość nie wyjechał legalnie, jeśli mu się tu nie spodobało, na co bratowa odrzekła prawie wzburzona:

– Coś ty! W dzisiejszych czasach? A kto by mu paszport wydał?

Trochę zmieszany tym, iż sprawiłem wrażenie dyletanta w tych sprawach, zaprzestałem dalszej dyskusji.

Z Jugosławii już nie było żadnego problemu dostać się do państw zachodnich, legalnie czy nielegalnie, ponieważ obywatele tego kraju mogli łatwo wyjeżdżać do zachodnioeuropejskich państw, a granice jugosłowiańskie nie były pilnowane ponad normalne potrzeby neutralnego kraju, z którego i do którego był dość swobodny przepływ ludności.

Gdybym dotarł do Jugosławii – pomyślałem – pojechałbym zaraz do Francji, o której brat opowiadał tyle ciekawych rzeczy, bowiem Kazik w czasie wojny przebywał przez kilka lat w tym kraju.

W nocy śniło mi się nawet, że jestem w Paryżu i przechadzam się nad Sekwaną po paryskich bulwarach. Jednakże, gdy obudziłem się rano i poszedłem na spacer do lasu, po dłuższym zastanowieniu się uznałem całe te uprzednie rozmyślenia za zwariowane, a przede wszystkim mało możliwe do zrealizowania i niebezpieczne. Z obawy, żeby nie przyszła mi rzeczywiście chęć realizacji tego pomysłu, powziąłem decyzję, aby szybko wracać do ojca, wszystko mu wytłumaczyć, zamieszkać w domu, pomagać w gospodarstwie i stamtąd od nowego roku szkolnego ponownie starać się o przeniesienie, które – będąc na miejscu – można będzie skuteczniej załatwić.

Jednak wieczorem, kiedy znowu nie mogłem usnąć, ambicje oraz marzenia powróciły i wzięły górę. Ojcu, oczywiście, jakoś się wytłumaczę – mówiłem sobie – ale jest jeszcze macocha i jej dwie córki, moi bracia oraz mieszkańcy całej wsi, a znając poczucie humoru niektórych z nich, wyobrażam sobie, jak będą dowcipkowali

i śmiali się ze mnie, gdy się dowiedzą, że tak szkołę pokpiłem, że już się nie uczę i teraz oto jak kompletny gamajda do domu powracam. A jeśli chodzi o pomoc przy gospodarskich obrządkach czy o pracę w spółdzielni, to od listopada do wiosny nie ma dużo roboty, a ludzi w domu jest dość i często sami zimą nie wiedzą, co z czasem począć.

Jałem więc jeszcze raz zastanawiać się nad sytuacją, w jakiej się znalazłem, i rozważać nad sensem i możliwością ucieczki do Jugosławii, a następnie do Francji. Jest to trudne i ryzykowne przedsięwzięcie, ale jednak możliwe – rozpatrywałem swój pomysł – bo przecież jest faktem niezaprzeczalnym, że człowiek, o którym opowiadała bratowa, zdołał uciec do Jugosławii, gdyż potem przysyłał listy i przypadek ten we wsi jest ogólnie znany.

Tak, to byłoby bardzo fajnie uciec do Francji. Rozwiązałyby to wiele moich obecnych problemów – rozważałem dalej. Chyba znalazłbym tam jakąś pracę, a jako uciekinierowi, to by mi jeszcze na początku dopomóżono osiedlić się i zagospodarować w tym kraju. Następnie począłem rozwódzić się w marzeniach nad przymiotami tego państwa. Francja – rozmyślałem – to nie tylko Paryż. Ma ona przecież wiele innych wspaniałych atrakcji i zalet. Francja ma chyba najlepsze położenie geograficzne w Europie. Nad Morzem Śródziemnym prawie cały rok lato, a jeśli komuś zachce się zimy, to może pojechać do Chamonix i ma tam prawie cały rok zimę. Od północy – słynny La Manche, a od zachodu – Zatoka Biskajska, która właściwie jest tylko z nazwy zatoką, bo w rzeczywistości jest otwartym oceanem. Oceanem, po którym płynął Kolumb, a za nim jest Ameryka, wodospad Niagara, Nowy Jork, Karaiby i Amazonka. Można by tak stać nad brzegiem tego oceanu i nieskończenie marzyć. Zresztą, Francuzi wcale nie muszą o Ameryce marzyć. W Ameryce Północnej, właśnie w pobliżu wodospadu Niagara, jest spory kawałek francuskojęzycznej Kanady, gdzie mieszka ponad sześć milionów Kanadyjczyków francuskiego pochodzenia i gdzie Francuzi mogą się czuć jak u siebie w domu. Na Morzu Karaibskim mają kilka wysepek, a w Ameryce Południowej – Gujanę Francuską, leżącą niedaleko Amazonki. A jeśli komuś byłoby mało piękna i egzotyki, to mają jeszcze kolonie w Afryce i jest Oceania z niezliczonym mnóstwem wysp, z których wiele znajduje się pod protektorem francuskim, a wśród nich prześliczna Tahiti. Tak, warto by zobaczyć Tahiti, a przecież mieszkając we Francji, można by łatwo odwiedzić tę wyspę, pracując na przykład w handlu, turystyce, transporcie lub gdziekolwiek indziej, a potem nawet znaleźć na niej pracę i tam zamieszkać. Cóż by to był za raj i szczęście zamieszkać na Tahiti. Piękne dziewczyny, egzotyczne krajobrazy, przypiływy i szum oceanu, plaże pod palmami, cudowne wschody i zachody słońca nad otaczającym wyspę bezkresem wód oceanu.

Tak, należy wyruszyć w świat, a najpierw trzeba dostać się do Francji. Jest to przecież możliwe do wykonania. Skoro udało się temu Jugosłowianinowi, to czemu nie mogłoby powieść się mnie.

Przyszły mi już nawet do głowy pierwsze pomysły, jak by tę ucieczkę udanie zrealizować. Akurat poprzedniego dnia spadł pierwszy śnieg i pomyślałem, że wkrótce może go więcej napadać i w razie zdecydowania się na ten krok trzeba będzie się pośpieszyć, żeby nie zaskoczyła mnie zima, tym bardziej iż w górach ona szybciej nadchodzi. Wtedy będą trudniejsze warunki do wykonania tego zamiaru. Jednakże pocieszałem się też, że po przekroczeniu gór, w Czechosłowacji i na Węgrzech, zima z kolei trochę później przychodzi i może będzie tam nawet jeszcze dość ciepło.

Zważywszy, iż nie można było niczego uczynić, aby śladów pozostawionych w czasie przekraczania granicy nie było widać na śniegu, pomyślałem, iż można coś zrobić, żeby te ślady jakoś zmylić. Można na przykład przypiąć pod swoimi butami

dotatkowe zelówki z obcasami odwróconymi do przodu, co wprowadziłoby w błąd ewentualną pogoń i skierowało pościg w odwrotnym kierunku.

*

Przez noc śniegu jeszcze trochę dopadało i na dworze zrobiło się prawie biało. Odżegnując się w dalszym ciągu od brania zamiaru ucieczki na serio, mówiąc sobie, iż dobre to pomarzyć w łóżku, jak spać się nie chce, jałem rozglądać się, dla samego tylko sprawdzenia trafności pomysłu – usprawiedliwiałem się – czy nie ma w domu jakichś zużytych butów, od których mógłbym oderznąć zelówki wraz z obcasami. Niestety, takich butów nadających się tylko do wyrzucenia nie znalazłem. Spozstrzegłem natomiast wśród rupieci na strychu oderwane wieko starej walizki, więc wziąłem je i wykroilem z niego lewą i prawą zelówkę. Wyciąłem je większe od moich butów, żeby jednocześnie mylnie sugerowały, iż przechodzący granicę jest dużo większym mężczyzną ode mnie. Do każdej tak sporządzonej podkładki przybiłem obcas z kartonu, a następnie przymocowałem po dwa sznurki. Sznurkami tymi przywiązałem wycięte zelówki pod podeszwami moich butów, tak jak było to pomyślane – obcasami do przodu. Po dokonaniu tego wyszedłem i dla zrobienia próby przeszedłem się kilka razy wokół domu, wzbudzając tym niezwykłą ciekawość i uciechę obserwujących mnie przez okna dzieci. Brata i bratowej nie było, ponieważ wyjechali do znajomych na wesele.

Próba wypadła doskonale. Pozostawione na śniegu ślady bez wątpienia wykazywały odwrotny kierunek marszu. Trzeba było tylko nieco bardziej unosić nogi do góry, ale jeśli bym nawet o tym zapomniał, to też wszystko byłoby dobrze.

Podkładki te należałoby mieć przypięte w chwili przechodzenia przez linię graniczną, jak również i w strefie przygranicznej od jakiejś uczęszczanej drogi przed granicą, na której ścigający mogliby zgubić ślad, do najbliższej podobnej drogi napotkanej po jej przekroczeniu, nawet gdyby nie było śniegu. Chcę tu nadmienić, że w tym czasie chyba nie było jeszcze na granicach pasów zaoranej i zabronowanej ziemi, pozwalających na ujawnienie naruszenia granicy. Zresztą pasów takich nigdy nie było w górach, jak i na innych terenach uniemożliwiających wykonanie takiego rodzaju zabezpieczenia granicy.

Ten pomyślnie sprawdzony w próbie pomysł ośmielił mnie znacznie i zachęcił do poszukiwania dalszych sposobów ułatwiających zrealizowanie rozważanej ucieczki za granicę oraz wywarł duży wpływ na zdecydowanie się jednak na tę eskapadę. W pewnym momencie bowiem z niepokojem zauważyłem, że od tego celu nie ma już chyba odwrotu. Uświadomiłem sobie ponadto, iż – chcąc tego dokonać – należy, z powodu nadchodzącej zimy, jak najszybciej zabrać się do przygotowań i rychło wyruszyć w drogę.

Wieczorem, po powrocie gospodarzy do domu, w wesołej rozmowie o weselu i na różne inne tematy spróbowałem bardzo dyskretnie dowiedzieć się od bratowej trochę więcej szczegółów na temat ucieczki jej znajomego, ale okazało się, że ona sama niewiele o niej wie. Powtórzyła tylko, przez jakie granice przechodził, bo – jak nadmieniła – było to według niej oczywiste i tak to ludzie opowiadali. Poza tym – mówiła – sama o tym wszystkim dopiero po dłuższym czasie się dowiedziała. Aby coś więcej usłyszeć o tym człowieku, skomentowałem, iż musiał to być niezły bohater, skoro porwał się na taki wyczyn, i to mu się udało. Lecz bratowa rzekła tylko, że bardzo mało go znała, i to co powiedziała, nie miało większego znaczenia dla realizacji mojego zamiaru, może z wyjątkiem tego, że uciekający – według niej – musiał być takim samym przebojowcem jak ja, porównując tu jego ucieczkę do Jugosławii z moją ucieczką ze szkoły w Karolewie do Chojnowa. Porównaniem tym nawet mnie dość pocieszyła, bo pomyślałem sobie, że jeśli mam coś z zachowania tego człowieka, któremu udało się uciec do Jugosławii, to może i mnie się powiedzie.

Późnym wieczorem, zamknąwszy się w oddanym mi do spania pokoju, zastanawiałem się nad dalszymi szczegółami ucieczki. Próbowałem rozwiązać różne problemy techniczne, które nasuwały mi się przy organizowaniu tej wyprawy. Nie posiadałem odpowiedniej mapy Europy. Wśród moich pomocy szkolnych miałem tylko jako taką mapę Polski, natomiast mapa naszego kontynentu, którą posiadałem, była za mała i niedostatecznie szczegółowa do tego celu. Pomyślałem więc, że trzeba będzie rano pójść do Bolesławca lub nawet pojechać do Legnicy albo do Wrocławia i kupić możliwie dokładną mapę Europy.

Rozważałem również sposób, w jaki miałem poruszać się po przekroczeniu granicy. Ostatecznie doszedłem do tego, że pewne przestrzenie będę musiał przemierzać piechotą, a dalsze odległości można będzie pokonywać różnymi środkami lokomocji. Mogłem podróżować autostopem, najlepiej zatrzymując samochody ciężarowe, aby nie wpaść na jakichś oficjeli. Można też było jechać pociągiem osobowym na gapę, jako że nie mogłem wymienić w Czechosłowacji czy na Węgrzech polskie pieniądze i wykupić za nie biletu, chociaż z pewnością byłoby to najbardziej wygodne. Przyszło mi przez chwilę na myśl, że być może w jakimś biurze podróży lub w banku wymienią mi polskie pieniądze, ale wnet pomyślałem, że przy takiej operacji na pewno zażądadają okazania paszportu i wtedy, zamiast wymiany, mogę narazić się tylko na duże kłopoty. Niemniej postanowiłem zatrzymać trochę złotych, mając nadzieję, iż może gdzieś uda mi się je jakoś wymienić.

Był jeszcze inny sposób poruszania się: podróżowanie pociągami towarowymi w budkach hamulcowych, które były dobudowywane przy niektórych wagonach towarowych. Byłem zdania, że można będzie w nich w miarę spokojnie jechać, a także na siedząco się przespać, bo przecież nikt chyba do tych budek nie zagląda. Trzeba tylko tak do nich się przedostawać, żeby nie zauważył tego żaden kolejarz, a szczególnie strażnik ochrony kolei, których czasem widywałem na naszych stacjach i jacy zapewne są też w krajach, przez które zamierzam przejeżdżać. Jeśli jednak dostrzeże mnie zwykły kolejarz, to wydawało mi się, że sytuacja nie będzie jeszcze zbyt groźna i można będzie z niej jakoś wybrnąć. Są oni pewnie przyzwyczajeni do takich podróżnych i być może nie będą robili z tego powodu wielkiego rabanu.

Zanim usnąłem, przyszło mi na myśl, aby nazajutrz, udając się po mapę Europy, sprawdzić i przećwiczyć od razu taką jazdę w budce hamulcowej pociągu towarowego – o jakim to sposobie lokomocji nic mi nie było wiadome – podróżując tak do Wrocławia. W razie zbyt wolnego tempa jazdy czy długiego oczekiwania na taki pociąg albo w wypadku innych komplikacji, pomyślałem, że wówczas będzie można pojechać tylko do Legnicy z ewentualną przesiadką na pociąg osobowy do Wrocławia, gdybym w Legnicy nie mógł kupić odpowiedniej mapy Europy. Pomysł ten wydał mi się bardzo użyteczny i celowy, przeto postanowiłem go zrealizować.

*

Gdy rano wstałem, zegar ścienny wybijał akurat godzinę szóstą. Szybko wyszykowałem się i poszedłem do Bolesławca, gdzie od razu udałem się na kolejową stację towarową, aby wypatrzeć jakiś pociąg odjeżdżający w kierunku Wrocławia. Przedzierając się przez stojące na torach długie rzędy wagonów zauważyłem, że jeden pociąg towarowy stoi gotowy do odjazdu, akurat z lokomotywą zaczepioną do podróży w kierunku Wrocławia. Kręciło się koło niego dwóch kolejarzy. Wkrótce spostrzegłem poszukiwaną budkę, znajdującą się przy ostatnim wagonie, ale sądziłem, że w budce na końcu pociągu może jechać kolejarz, jak nieraz widywałem to już przedtem, więc szybko pobiegłem w kierunku parowozu i po minięciu kilkunastu wagonów zauważyłem następną taką dobudówkę. Nie czytając już nalepki kierunkowej w obawie, aby mnie ktoś nie zobaczył i żeby pociąg nie odjechał, pośpiesznie wspiałem się po schodkach do budki i, chyba przez nikogo nie

dostrzeżony, zamknąłem za sobą drzwi. Jednakże, gdy tak trochę posiedziałem i pierwsze wrażenia minęły, pomyślałem, iż niewłaściwie postąpiłem, wsiadając do budki bez czytania nalepki kierunkowej. Jeślibym tak postąpił za granicą, opierając się tylko na intuicji i kierunku zaczepienia lokomotywy, to mógłbym pojechać nie wiadomo dokąd i stracić niepotrzebnie dużo czasu oraz bez pożytku wałęsać się po obcym kraju, zwiększając ryzyko jakiejś wpadki. Wyjrzałem więc przez małe okienko w drzwiach budki, a potem uchyliłem drzwi i kiedy nikogo w pobliżu nie zauważyłem, zszedłem na dół. Powiedziałem sobie, że przecież pociąg towarowy tak szybko nie jedzie, zwłaszcza na początku, i nawet gdy ruszy, zdążę wskoczyć z powrotem na swoje miejsce.

Kiedy byłem już na dole i spojrzałem na nalepkę informacyjną, wśród wielu cyfr, liter, słów oraz innych oznaczeń bez trudu odczytałem stację przeznaczenia wagonu, którą była Warszawa. Skoro było już wiadome, że wagon powinien jechać przez Wrocław, szybko wdrapałem się znowu do budki i ukontentowany oczekiwałem na ruszenie pociągu. Jednakże, miast rychłego odjazdu, przez dłuższy jeszcze czas słyszałem głośno rozmawiających kolejarzy, sapanie lokomotywy i czyjeś chodzenie wzdłuż pociągu, tuż przy budce, w której siedziałem. Nie śmiałem jednak unieść się z ławki i spojrzeć w okienko, żeby ten ktoś mnie nie zobaczył.

Wreszcie, ku memu wielkiemu zadowoleniu, około godziny siódmej pociąg ruszył. Na początku czułem się dość niezwykle, jakbym już był za granicą i przejeżdżał przez obce kraje, ale wkrótce przyzwyczałem się do tego sposobu lokomocji i podróż mi się nawet trochę dłużyła.

Dopiero po blisko dwóch godzinach takiej dość ślamazarnej jazdy pociąg przybył na stację towarową w Legnicy. Tu po przedłużającym się postoju chciałem już zrezygnować z dalszej podróży tym pociągiem, gdy niespodziewanie ruszył on i zaczął jechać w kierunku przeciwnym. Po chwili jednak zatrzymał się nagle i zauważyłem, że za drugim lub trzecim wagonem pozostały skład odłączył się, pędząc gdzieś dalej do tyłu. Następnie pociąg znowu ruszył do przodu, a potem wykonał manewr wstecz i jechał tak przez moment, aż nastąpił duży huk i wstrząs, a otworzywszy lekko drzwi mojej budki, spostrzegłem, że dołączyliśmy do innego rzędu stojących na torach wagonów. Po niedługim czasie pociąg ponownie pojechał do przodu, a po kilku dalszych minutach opuścił stację.

Przy podobnym tempie podróży było jeszcze z Legnicy ze trzy godziny jazdy do Wrocławia. Mając wiele czasu do rozmyślań, postanowiłem od początku rozpatryć i uzupełnić wszystkie szczegóły zamierzonej wyprawy. Przyszło więc mi na myśl, że granica węgiersko-jugosłowiańska będzie przez Węgrów bez wątplenia mocniej strzeżona, skoro z Jugosławii można bez większych problemów pojechać do państw zachodnich. Następnie pomyślałem, że właściwie to nie bardzo jestem pewny, czy rzeczywiście tak łatwo można z Jugosławii wyjechać do krajów kapitalistycznych, chociaż na pewno jest to łatwiejsze niż z Polski lub innych państw naszego obozu. W związku z tym trzeba było jeszcze raz zastanowić się, czy będę mógł w Jugosławii zupełnie spokojnie ujawnić się i bez żadnego ryzyka, iż odeślą mnie z powrotem do Polski, wyznać, że chcę jechać dalej, do Francji. Czy może będzie lepiej od razu z Jugosławii potajemnie przedostać się do Włoch, skąd nie będzie już chyba problemu pojechać legalnie do zamierzonego kraju.

Zapewne z Jugosławii można było też łatwo przedostać się do Austrii, do części okupowanej przez państwa zachodnie, a najlepiej byłoby dostać się od razu do francuskiej strefy okupacyjnej, ale nie miałem większego rozeznania, jaka właściwie sytuacja panuje w Austrii, gdzie znajdują się poszczególne strefy okupacyjne, a zwłaszcza jak daleko na zachód sięga strefa radziecka. Nie wiedziałem też, jakie istnieją zwyczaje lub porozumienia w sprawach imigracji do tego kraju.

W końcu postanowiłem, iż o tym – czy mam w Jugosławii ujawnić się i powiedzieć, że chcę iść dalej, do Francji, czy też nielegalnie przedostać się do Włoch albo do Austrii – ostatecznie zadecyduje sytuacja, jaką napotkam w Jugosławii. Byłem zdania, że do jej rozeznania trzeba będzie dojść poprzez dokładne przestudiowanie zakupionej mapy Europy oraz w ostrożnej i umiejętnej rozmowie z ludźmi w tym kraju.

Pomyślałem wówczas, jak dobrze zrobiłem, gdy czekając na przeniesienie z Karolewa, po trosze z nudów, trochę z ciekawości, nauczyłem się od brata wielu słów, zdań i liczb po francusku, a od bratowej nieco mówić po serbochorwacku, co w czasie ucieczki może niezmiernie się przydać. Postanowiłem od razu, jadąc w tej budce do Wrocławia, przypomnieć to, czego się nauczyłem i dobrze to przećwiczyć. Już przedtem zauważyłem, że język, którym bratowa mówiła w Jugosławii, jako język słowiański, jest trochę podobny do naszego i w dużej mierze może zrozumieć Polak, który słyszy go po raz pierwszy.

Podobnie powinno być z językiem czeskim i słowackim – rozmyślałem – natomiast gorzej będzie na Węgrzech, gdyż po węgiersku znam tylko kilka słów, których nauczyłem się od studenta z tego kraju, będącego przez pewien czas z nami na ostatniej praktyce w pegeerze. Ze studentem tym rozmawialiśmy wówczas po rosyjsku, a w prowadzonych z nim dyskusjach wspomniał on, iż wielu Węgrów umie mówić po niemiecku. Ja – dalej rozważałem – mieszkając przez kilka lat na Mazurach, nauczyłem się od tamtejszej autochtonicznej ludności mówić trochę po niemiecku, a w szkole nieźle poznałem język rosyjski, którego to języka uczy się również młodzież węgierska. Tak więc nie widziałem wielkich, nie do pokonania barier językowych i dostrzegałem możliwość porozumienia się w krajach, przez które miałem przejeżdżać.

Do Wrocławia przyjechałem już po pierwszej, zatrzymując się jeszcze po drodze z Legnicy na jednej stacji. Z góry przez okienko w budce zorientowałem się, jaki powinienem wziąć kierunek, aby dojść do miasta, i w chwili, kiedy trochę się przy pociągu uspokoiło, zszedłem na dół i szczęśliwie przedostałem się przez labirynt wagonów i torów kolejowych na jakąś ulicę. Nie mogę jednak powiedzieć, abym nie był przez nikogo zauważony, gdyż po torach kręciło się kilka osób, zarówno w ubraniach kolejarskich, jak i cywilnych, ale dostrzegłszy, że nie zwracają na mnie większej uwagi, przestałem również interesować się nimi. Z przejażdżki tej wyciągnąłem wniosek, iż jest to ryzykowna i mało przewidywalna podróż, ale można ją zaliczyć do sposobów przemieszczania się w czasie ucieczki.

Wrocław był podczas wojny bardzo zniszczony i w większej części znajdował się jeszcze w ruinach. Szczególnie było to widoczne, gdy przejeżdżałem pociągiem przez przedmieścia, gdzie całe dzielnice leżały w gruzach. Jednakże w centrum miasta, do którego musiałem jeszcze spory kawałek jechać autobusem, większość domów była już odbudowana, a na ulicach panował duży ruch.

Do odjazdu pociągu osobowego w kierunku Bolesławca, jak pamiętałem to z podróży do Chojnowa, miałem z półtorej godziny, gdyż pociąg ten odjeżdżał około czternastej trzydzieści. Następny był dopiero po trzech godzinach. Nie mając wiele czasu, wpadłem przede wszystkim do kilku księgarń w poszukiwaniu możliwie dokładnej mapy Europy, lecz, niestety, we wszystkich domach książki były tylko jedne i te same wydania, niewielkie i niezbyt szczegółowe, choć były to trochę lepsze mapy od tej, jaką już posiadałem. W końcu kupiłem jedną z nich i udałem się na poszukiwanie kilku innych artykułów, które postanowiłem kupić. Wkrótce nabyłem więc małą elektryczną latarkę, kilogram suchej kiełbasy i dużo czekolady w tabliczkach, wybierając co piękniejsze opakowania. Czekoladę tę miałem traktować nie tylko jako bardzo kaloryczny i odżywczy produkt do spożycia, ale także jako

ewentualny środek wymienny lub płatniczy albo prezent za czyjąś pomoc czy przysługę.

Zastanawiałem się jeszcze nad tym, czy kupić również specjalną teczkę na moją wyprawę, ale zrezygnowałem, bo były dość drogie i wydałbym zbyt dużo pieniędzy, których potem mogłoby zabraknąć na bardziej niezbędne cele. Następnie wydawało mi się, że człowiek z teczką może więcej zwracać na siebie uwagę, może być łatwiej zapamiętany, ponadto nosi w ręku jeden szczegół rozpoznawczy więcej. Teczka może też przeszkadzać w razie konieczności jakiejś wspinaczki lub szybkiego biegu albo ucieczki. Poza tym nosiłem wtedy bardzo obszerny płaszcz, a ja raczej byłem szczupły, i w kieszeniach, zwłaszcza znajdujących się pod jego połami, mogłem ukryć wiele rzeczy i wcale nie byłoby to zauważalne.

*

Po zrobieniu zakupów przyszedłem na dworzec, aby wrócić do Bolesławca pociągiem osobowym. Gdy przybyłem, pociąg stał już na stacji, choć do jego odjazdu pozostawało jeszcze trochę czasu. W kolejce do kasy nie było dużo ludzi, więc spokojnie wykupiłem bilet i wyszedłem na peron. Kiedy zająłem miejsce w dość luźnym wagonie, wziąłem zaraz do ręki kupioną mapę Europy oraz moją szkolną mapę Polski, którą zabrałem w tę podróż, i zacząłem szukać najdogodniejszego miejsca do przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej. Wybór padł na okolice Zawidowa, gdyż tam kończyło się już wyższe pasmo Sudetów i dopiero po przekroczeniu granicy trzeba było przebyć niewielkie Góry Izerskie.

Doszedłem również do wniosku, że należy przejść granicę kilka kilometrów na wschód od Zawidowa. Po stronie zachodniej miasta pole manewru ograniczała niewielka rzeczka, przepływająca przez granicę, przez którą trzeba byłoby może przechodzić najpierw w Polsce, a następnie z powrotem w Czechosłowacji, więc musiałem zrezygnować z tego kierunku.

Należało przekroczyć granicę parę kilometrów w bok od Zawidowa, bo na wprost za miastem mogła być ona bardziej strzeżona. Doszedłem do wniosku, iż łatwiej będzie przejść granicę w terenie zalesionym albo dość gęsto porośniętym drzewami czy wysokimi zaroślami niż na otwartym polu. Trzeba też czynić to wieczorem lub w nocy, pod osłoną ciemności, a nie za dnia, w czasie dobrej widoczności. W gwiazdzistym niebie trochę się rozeznawałem i wiedziałem, gdzie znajduje się Gwiazda Polarna. Wiedziałem też, że drzewa w lesie najbardziej porośnięte są mchem od strony północnej, przez co mogłem orientować się w terenie.

Zawidów na zakupionej mapie Europy nie był zaznaczony, a na mojej mapie Polski, w skali 1:2000000 (czy też była ona w skali 1:2500000) był zaznaczony kółeczkiem trochę oddalonym od granicy, co odczytałem, iż miasto to znajduje się jakieś 3-5 kilometrów przed granicą. Potwierdziło się to potem na dworcu w Bolesławcu, gdy po przyjeździe na tę stację około godziny 17.00 skierowałem się do poczekalni, aby zorientować się na schematycznej mapie sieci PKP oraz załączonych do niej rozkładach jazdy pociągów, jak dojechać do Zawidowa. Takimi mapami i rozkładami były wówczas oblepione wszystkie dworce kolejowe i nie zabrakło ich również w tym mieście.

Niestety, dojazd pociągiem z Bolesławca do Zawidowa nie bardzo mi w czasie odpowiadał, ale za to zauważyłem na schematycznej mapie kolei, że miasto to jest oznaczone kółkiem w miejscu określającym jego położenie na mniej więcej pięć kilometrów przed granicą. Ta dość znaczna odległość mocno uradowała mnie, kiedy byłem jeszcze w przedziale i dostrzegłem ją na mojej szkolnej mapie Polski. Doszedłem wtedy do wniosku, że po przyjeździe do Zawidowa może wobec tego nie być tak ścisłej kontroli na dworcu, na jaką mógłbym natknąć się przy wychodzeniu ze stacji w mieście leżącym przy samej granicy. Ponadto pocieszałem się, że idąc z

Zawidowa w kierunku wschodnim do miejsca przekroczenia granicy, nie będę szedł przez kilka kilometrów w bezpośredniej jej bliskości, co przecież narażałoby na dodatkowe ryzyko wpadnięcia na jakąś przygraniczną kontrolę.

Właściwie to aż tak bardzo nie obawiałem się kontroli WOP-u w strefie nadgranicznej. Przebywając bowiem poprzedniej zimy niedaleko stąd, na wczasach w Sobieszowie, kilka razy jeździłem z tego miasteczka autobusem do leżącej nieopodal granicy Szklarskiej Poręby. Gdy wjeżdżaliśmy w strefę przygraniczną, to do autobusu wchodzili żołnierze WOP-u i sprawdzali przepustki, czy też zezwolenia na przebywanie w strefie przygranicznej albo miejsce zameldowania w dowodach osobistych. Ja wówczas wręczałem kontrolującemu mnie żołnierzowi tylko moją szkolną legitymację z Karolewa, a kiedy pytał, dokąd lub po co jadę, odpowiadałem, iż udaję się do Szklarskiej Poręby, aby ją zobaczyć, i na tym sprawa się kończyła. Wopista oddawał mi legitymację i jechałem sobie dalej. Podobnie rzecz się miała z moimi kolegami, jak i innymi, nieznanymi mi chłopcami, którzy tłumaczyli się tak samo jak ja albo mówili, że jadą odwiedzić swoich krewnych bądź znajomych.

Na wszelki jednak wypadek, aby na mojej drodze nie spotkać jakiejś kontroli albo napotykać ich jak najmniej, postanowiłem, że wyskoczę z pociągu jeszcze przed Zawidowem. Wtedy już bez ryzyka, iż będą sprawdzane przepustki na dworcu, oraz bez niepotrzebnego wałęsania się w pobliżu granicy pójdę do miejsca, gdzie będę mógł ją przekroczyć. Wskoczenie z pociągu wydawało mi się zupełnie możliwe, gdyż zakładałem, że będzie to na pewno prowincjonalny gruchot, który przynajmniej gdzieś pod górę nie będzie szybko jechał.

Następnie ważną sprawą było zorientowanie się, w którym miejscu dokładnie przebiega granica. Być może były przed nią oznaczenia lub ostrzeżenia, lecz wydawało mi się niezbędne, aby po drodze kogoś o nią zapytać. Najlepiej byłoby przedtem poznać nazwę jakiejś wsi, która by leżała kilka kilometrów na wschód od Zawidowa, a jednocześnie bardzo blisko granicy, i potem pytać tylko o tę wieś. W wypadku, gdybym spotkał bardziej chętnego do pogawędki rozmówcę, mogłem też go spytać, gdzie dokładnie przebiega granica i jak ona wygląda, ewentualnie jak jest strzeżona. Jeśliby ów rozmówca z kolei mnie zapytał do kogo idę, mogłem odpowiedzieć, że do sołtysa. Gdyby coś podejrzewał, to tłumaczyłbym moją ciekawość wyglądu granicy obawą, abym – nie wiedząc, jak wygląda – przypadkiem na nią nie wszedł.

Należało być bardzo uważnym, by w rozmowie czymś się nie zdradzić, ponieważ mogłem natknąć się na jakiegoś konfidenta. Ponadto wszyscy mieszkańcy wsi zapewne byli ostrzeżeni i pouczeni, jak postępować w wypadku zauważenia kogoś nieznanego, kręcącego się przy granicy, choć z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że gdyby nawet tak było, to na pewno nie wszyscy tymi poleceniami będą się zbytnio przejmowali.

Z tego, co wnioskowałem, granica ta nie była chyba nadzwyczaj mocno pilnowana i tylko od czasu do czasu, wzdłuż swojego odcinka, przechodził albo przejeżdżał patrol złożony z dwóch lub trzech żołnierzy. Prawdopodobnie przechodzili oni bez asysty psów, bo ile musieliby ich posiadać, żeby obstać całą granicę, choć na pewno w wielu różnych sytuacjach wopiści się psami posługiwali.

Zatem, nie dochodząc do wsi, o którą miałem pytać, trzeba było skrócić w kierunku granicy i doszedłszy do niej, w najodpowiedniejszym miejscu trochę poczekać, posłuchać i popatrzeć, czy nie zbliża się patrol. Jeśliby nie nadchodził, to należało po cichu i ostrożnie przechodzić granicę zważając, żeby kawałek dalej nie natknąć się na patrol czeski. Trzeba było bardzo uważać, aby na linii granicznej nie zaczepić o jakiś drut lub nie nastąpić na coś, co mogłoby spowodować wystrzelenie rakiety albo wybuch miny ostrzegawczej, o jakich słyszałem, że były instalowane na

niektórych granicach. Jednak powątpiewałem, aby w tym miejscu podobne zabezpieczenia granicy się znajdowały.

Oczywiście, jeszcze przed zbliżeniem się do granicy należało założyć pod buty przygotowane podkładki, które mogłem zdjąć dopiero na dostatecznie uczęszczanej drodze po przekroczeniu granicy.

Będąc już w Czechosłowacji, trzeba było najpierw dostać się do małego miasteczka Frydlant, oddalonego około dwanaście kilometrów od granicy. Następnie autostopem lub koleją dojechać do Liberca, a stamtąd przez Pragę albo inną drogą pojechać w kierunku Bańskiej Bystrzycy. Kierując się do niej – mówiłem sobie – ominę płynący wzdłuż granicy czechosłowacko-węgierskiej Dunaj i będę miał z tego miasta prostą drogę do Budapesztu, skąd będzie dużo możliwości dojechania do granicy jugosłowiańskiej.

Zastanawiałem się, czy nie lepiej przekroczyć granicę polsko-czechosłowacką koło Wodzisławia Śląskiego na Górnym Śląsku. Byłoby stamtąd bliżej do Bańskiej Bystrzycy, ale potem pomyślałem, że granica przy tak dużym skupisku wielkich miast może być bardziej strzeżona i w końcu zaniechałem tego pomysłu.

*

Wracając pociągiem osobowym z Wrocławia do Bolesławca, prócz układania opisanych powyżej planów dotyczących miejsca i sposobu przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej, jak i innych szczegółów ucieczki, przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł, który w myślach dopracowywałem, idąc z dworca kolejowego w Bolesławcu do domu w Otoku. Pomysł ów uznałem za niezwykle ciekawy oraz użyteczny i bardzo się do niego zapaliłem.

Pomyślałem właśnie, żeby na wypadek zatrzymania mnie w czasie ucieczki zabrać ze sobą mój pamiętnik, który pisałem, oczekując na przeniesienie z poprzedniej szkoły. Tego rodzaju pamiętniki często pisywałem już przedtem, ale wyjeżdżając z Karolewa, pozostawiłem je wszystkie w moim kuferku w domu na strychu i więcej już ich nigdy nie widziałem.

Z pamiętnika, który pisałem w Otoku, mogło bezsprzecznie wynikać, że moja ucieczka za granicę nastąpiła z powodu bardzo trudnej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Liczyłem, że w razie wpadki może to wpłynąć na złagodzenie kary albo na wypuszczenie mnie do domu zaraz po zatrzymaniu i przeczytaniu pamiętnika, a może nawet spowoduje jeszcze wydanie nakazu dyrekcji technikum w Chojnowie, by mnie niezwłocznie przyjęto do szkoły.

Byłem jednak świadomy tego, że to co zamierzam uczynić, jest rzeczą karalną i zagrożoną sądowym wyrokiem. Uważałem zwłaszcza, że kara ta jest nieunikniona nie tyle dlatego, iż zdecydowałem się nielegalnie przekroczyć granicę, ile za to, że – jako uświadomiony uczeń – chcę uciec z państwa socjalistycznego do kapitalistycznego, a więc za zdradę socjalizmu. Przecież tak bardzo przekonywano nas w szkole, że socjalizm – a szczególnie jego wyższa forma: komunizm – jest najlepszym ustrojem na świecie, a ja oto porzucam go i udaję się do kraju kapitalistycznego.

Żeby więc tego socjalizmu jakoś nie zdradzać, postanowiłem przeto w razie wpadki tłumaczyć się, iż idę tylko do Czechosłowacji, a jeśli zatrzymano by mnie właśnie w tym kraju, wtedy mogłem powiedzieć, że zamierzam jechać na Węgry. Jugosławię wymienilibym na końcu, jako że było to państwo niezbyt z nami sprzymierzone. W każdym przypadku mówiłbym, że słyszałem, iż w kraju, do którego udaję się, można łatwo znaleźć dobrze płatną pracę, jakiej, mimo moich usiłowań, nie znalazłem w Polsce. Podałbym tu za przykład kilka przedsiębiorstw w Bolesławcu, w których nie chciano mnie zatrudnić.

Aby dodatkowo władze przekonać, jak bardzo doceniam socjalizm, przyszło mi na myśl, żeby dopisać w pamiętniku, w formie moich wynurzeń, kilka panegiryków na jego temat, jakich to uczono nas w szkole i które często można było wówczas wyczytać w każdej gazecie lub usłyszeć w radiu. Pomyślałem, że trzeba będzie przeto napisać, iż ustrój ten bardzo mi się podoba, że komunizm wkrótce zwycięży i zdominuje cały świat. Będzie to dla mnie zarazem okolicznością łagodzącą, gdyż zasugeruje, że nie popełniam wszak wielkiego przestępstwa, jeśli nawet uciekam do jakiegoś państwa kapitalistycznego, bo przecież, jak to napiszę, komunizm wkrótce zapanuje wszędzie.

Potem pomyślałem jednak, że być może nikt nie zechce tego czytać i nad tym się zastanawiać. Więc żeby to, co w pamiętniku napiszę, zostało uważnie przeczytane i wszystkim dobrze się zainteresowano, wpadłem na pomysł, aby ten elaborat jeszcze zaszyfrować. Mogłem znakomicie posłużyć się w tym celu kodem, jaki kiedyś dla zabawy i spędzania czasu w szkole sobie ułożyłem, używając cyfr zamiast liter, i którego to szyfru nauczyłem się wtedy na pamięć. Nie był to kod wielce skomplikowany, ale miał swoistą pisownię, jej reguły i wyjątki. Trzeba było wiedzieć, jak podzielić szeregi cyfr na litery, których dziesięć było oznaczonych jedną cyfrą, a pozostałe składały się z dwóch znaków liczbowych. W sumie szyfr był ciekawy i dość pomysłowy.

Po powrocie do domu i zapytaniu, czy nie przyszła do mnie korespondencja z Karolewa – która jednak w dalszym ciągu nie nadeszła i jak się później okazało, nigdy przyjść nie miała – zabrałem się do przepisywania kodem mojego pamiętnika. Tak jak to pomyślałem, na końcu nieco go przerobiłem dla celów mojej obrony w razie wpadki w czasie ucieczki. Była to długa, aczkolwiek pasjonująca praca, która zajęła mi kilka godzin. Po skończeniu tego dzieła dobrze się mu przyjrzałem i spostrzegłem, że owe siedem czy osiem stron szyfru w zeszyście, te długie rzędy cyfr wyglądają bardzo imponująco, a zarazem niezmiernie intrygująco, tak że nawet zastanawiałem się, czy przypadkiem czegoś nie przedobrzyłem lub w czymś nie przesadziłem. Ale uznałem to wszystko za bardzo dobry pomysł i postanowiłem szyfr zabrać ze sobą.

Wieczorem, gdy poszedłem spać do mojego pokoju, przyszyłem jeszcze dwie duże kieszenie pod połami mojego płaszcza i było to już właściwie ostatnie tego dnia przygotowanie przed moją wyprawą. Miała się ona rozpocząć nazajutrz wyjazdem autobusem do Lwówka Śląskiego, gdzie powziąłem zamiar wsiąść do pociągu jadącego w kierunku Zawidowa, aby dojechać w jego pobliże około piętnastej, to jest na krótko przed zapadnięciem zmroku.

Po przyszyciu kieszeni poszedłem jeszcze nie tak późno spać, żeby dobrze wypocząć, bo trudno było przewidzieć, kiedy znowu będę mógł spokojnie i wygodnie się wyspać. Jakoż, zmęczony podróżą do Wrocławia, po niedługim czasie rozmyślań rzeczywiście szybko usnąłem i obudziłem się dopiero o świcie, dobrze wyspany i w niezłym nastroju.

*

Był to dwudziesty trzeci listopada 1954 roku, wtorek. Tego rana nie padało, cały dzień był również pogodny, lecz śnieg, który spadł w poprzednie dwie noce, miejscami jeszcze się utrzymywał i na dworze było zimno.

Po pośpiesznie sporządzonym śniadaniu przystąpiłem do przygotowań do wymarszu. Najpierw starannie i dość grubo wypastowałem buty, tak żeby mogły jak najdłużej dobrze wyglądać po przetarciu ich tylko szmatką. Następnie – zgodnie z tym, czego nas w szkole uczono, iż więcej warstw cienkiej odzieży bardziej chroni przed zimnem niż mniejsza ilość choćby grubszych przyodziewków – włożyłem na siebie kilka podkoszulek oraz sweterków i w ogóle ciepło się ubrałem.

Kiedy wdziałem już garnitur i płaszcz, począłem równomiernie rozkładać po kieszeniach wszystko to, co zaplanowałem ze sobą zabrać. Prócz wspomnianej elektrycznej latarki, mapy Europy, zaszyfrowanego pamiętnika, podkładek pod buty, czekolady i suchej kiełbasy wzięłem jeszcze kilka skibek chleba, smarując go kalorycznym smalcem i zawijając w pergamin, żeby szybko nie wysechł. Potem włożyłem do jednej z kieszeni płaską butelkę, jaką udało mi się w domu znaleźć, napełniając ją przegotowaną wodą, a do innej kieszeni schowałem kawałek mydła i największą z moich chusteczek.

Wzięłem także ze sobą pudełko zapalek, bo chociaż nie zakładałem, że będę gdzieś w lesie nad strumykiem rozpałał ognisko i piekł nad nim złowione ryby lub suszył wyprane skarpetki, to wcale nie było wykluczone, iż w pewnych okolicznościach może wyłonić się konieczność wzniesienia ognia.

Na głowę włożyłem czapkę uczniowską i na zapas wzięłem jeszcze beret do kieszeni, żeby przezornie zmieniać mój wygląd lub na wypadek, gdybym musiał za granicą zrezygnować z czapki, nigdzie podobnej nie widząc. W celu owej zmiany wyglądu zakładałem również, iż w chwilach pościgu lub innych wskazanych ku temu momentach mogę także poruszać się bez nakrycia głowy.

Gdy wychodziłem z domu, brata już nie było, bo zwykle około szóstej wyjeżdżał rowerem do pracy, a pozostali domownicy jeszcze spali. Przed wyjściem pozostawiłem w zajmowanym przeze mnie pokoju karteczkę z napisem: „wyjechałem daleko”, żeby mnie nie szukano.

Przystanek autobusowy znajdował się ze sto metrów od domu brata, tuż przy czyichś zabudowaniach gospodarskich. Jako że było zimno, a autobus nie nadjeżdżał, siadłem w zaciszu na drewnianej skrzyni, która stała przy stodole, i lekko postukując o nią obcasami, aby mi nogi nie marzły, przez dobrych jeszcze kilka minut oczekiwałem na autobus. Kiedy usłyszałem warkot zbliżającego się autokaru, szybko ruszyłem na przystanek i wtedy poczułem, że coś uczepiło się mojej lewej nogawki. Gdy z trwogą obejrzałem się do tyłu, spostrzegłem, iż skrzynia, na której siedziałem, jest psią budą, a mnie za spodnie trzyma zajadły spory czarny kundel, od którego szcęk z wielkim trudem udało mi się oderwać. Całe szczęście, że autobus był jeszcze daleko i pasażerowie tego nie widzieli, bo przez to mogliby w nim potem niepotrzebnie zwracać na mnie uwagę, czego wtedy pragnąłem unikać. I tak, mimo że ledwie zdążyłem rozpocząć moją eskapadę, stałem się już podejrzany, bowiem kundel wyrwał mi spory klin z tyłu lewej nogawki, w dość widocznym miejscu poniżej płaszcza. Nie byłem jednak pewny, czy ktoś to zauważył, a sam spostrzegłem dziurę dopiero po wykupieniu biletu i zajęciu miejsca, w czasie sprawdzania, czy kundel czegoś takiego mi nie wyrządził. Wtedy bardzo pożałowałem, iż nie wzięłem ze sobą igły i nici, którymi poprzedniego dnia przyszywałem kieszenie, i z niepokojem zastanawiałem się, czego to jeszcze potrzebnego do tej podróży nie wzięłem. Na szczęście miałem agrafkę i trochę wiercąc się na siedzeniu, zdołałem przyczepić naderwany klin, tak że dziurę niewiele było już widać. Dobrze, że pies mnie nie ugryzł, bo nie wiedziałbym, co wtedy począć, a stało się tak tylko dlatego, że miałem pod spodniami jeszcze dwie pary kalesonów.

Niestety, gdy dojechałem do Lwówka, sklepy, w których mogłem kupić igłę i nici, były jeszcze zamknięte, przeto postanowiłem je kupić w Lubaniu, gdzie miałem przesiadkę i ponad dwie godziny oczekiwania na pociąg do Zawidowa.

W Lwówku Śląskim na pociąg do Lubania czekałem niedługo i zajechałem tam jeszcze przed południem. Chodząc po mieście, kupiłem igłę i szare nici oraz kilka innych drobiazków, a wśród nich niewielki, ale bardzo ostry scyzoryk. Po zakończonych zakupach udałem się do toalety w jakimś lokalu i zaszyłem rozerwane spodnie. Po umyciu od razu rąk w umywalce wszedłem do restauracji i siadłem przy stoliku, aby zjeść możliwie obfity obiad, który by mi na dłuższy czas wystarczył, i

rzeczywiście nieźle się tam posiliłem. Po smacznym obiedzie wstąpił we mnie dobry humor i duch i o kundlu prawie już zapomniałem, zajęty zresztą innymi, bardziej istotnymi sprawami, które po posiłku, przy herbatce, postanowiłem po raz kolejny rozważyć i dopracować. O kundlu przyszło mi jeszcze na myśl jedynie to, iż znane mi jest powiedzenie o nieszczęściu, jakie może wywołać spotkanie na swojej drodze czarnego kota, a szczególnie, kiedy przejdzie on drogę, lecz pocieszałem się, że chyba dotyczy to tylko kotów, a nie również psów tej maści, a poza tym ten kundel przecież w drogę mi nie wszedł.

Rozmyślając przy herbatce o różnych sprawach i problemach mojej wyprawy pomyślałem, że najtrudniej będzie przejść pierwszą granicę, gdyż potem nabędę już więcej praktyki oraz pewności siebie i będzie mi może łatwiej pokonywać następne takie przeszkody. Tego, że miałem przechodzić granice nocą, nie bardzo się obawiałem, ponieważ chodzenie o takiej porze po lesie nie było mi pierwszą, a w tym wypadku było to przecież dla mnie bezpieczniejsze.

*

Pociągiem z Lubania do Zawidowa odjechałem kilka minut po godzinie czternastej. Odległość między tymi dwoma miastami wynosi około trzydziestu kilometrów. Tak jak przewidywałem, był to pociąg lokalny, który jechał z przeciętną szybkością może czterdziestu kilometrów na godzinę, a na zakrętach i pod górę posuwał się jeszcze wolniej, stwarzając dogodną okazję do wyskoczenia.

W pociągu było mało pasażerów, zaledwie po dwie, trzy osoby w przedziałach i gdzieś tam stojący ludzie na korytarzach. Wszedłem do przedziału, w którym siedział tylko jeden mężczyzna, w średnim wieku, wyglądający na człowieka o miłym i spokojnym usposobieniu. Po przywitaniu, a następnie po niedługim czasie milczenia nawiązaliśmy przyjemną i ciekawą rozmowę, w której nieznajomy wyjawiał, że mieszka w Zawidowie i dobrze zna tutejsze okolice. Wkrótce więc poznałem nazwę wsi położonej kilka kilometrów na wschód od Zawidowa, a jednocześnie znajdującej się blisko granicy, bo po wyskoczeniu z pociągu miałem pytać o tę wieś, a nie o granicę, żeby nie zdradzić się ze swojego zamiaru. Podróżny wymienił mi aż dwie takie wsie: Miedziane i Łowin. Szczególnie ów Łowin mnie zainteresował, gdyż kojarzył mi się z położeniem w lesie lub w jego pobliżu.

Chciałem jeszcze spytać mojego rozmówcę, jak daleko jest z Zawidowa do granicy, ale uważałem, że i tak już go za dużo wypytałem. Pasażer był bowiem bardzo roztropnym i inteligentnym człowiekiem, a nie chciałem, żeby czegoś zaczął się domyślać. Nie zdecydowałem się przeto zadać mu tego pytania. Poza tym nie miało to większego znaczenia, czy stacja ta leży cztery czy pięć kilometrów przed granicą, jak wywnioskowałem to uprzednio z map, bo postanowiłem przecież wyskoczyć z pociągu jeszcze przed dojazdem do Zawidowa.

Gdy wydawało mi się, że miasto to musi być już niedaleko, spytałem mojego rozmówcę, ile kilometrów pozostało jeszcze do stacji, a kiedy mi odpowiedział, że jest już tylko z pięć, sześć kilometrów, pożegnałem go, tłumacząc czymś moje wcześniejsze wyjście z przedziału, i poszedłem na koniec pociągu. Uważałem, iż będzie najlepiej wyskoczyć z ostatniego wagonu, aby nikt tego nie spostrzegł, ewentualnie zauważyło to jak najmniej osób.

Prześlizgując się korytarzami wagonów, po minięciu niewielkiej stacji natknąłem się w jednym z nich na dwóch mężczyzn rozmawiających o jakimś Kunowie, ale pomyślałem, że wieś ta pewnie leży w nie interesującym mnie kierunku, więc poszedłem dalej.

W przedziałach ostatniego wagonu było jeszcze mniej ludzi niż w środkowej części pociągu i tylko dwóch pasażerów stało na korytarzu, w tym jeden na początku wagonu, a drugi w głębi przy oknie. Przy drzwiach na końcu wagonu nie było nikogo.

Podszedłem więc do tych drzwi i przez znajdujące się w nich okno jałem obserwować szybkość biegu pociągu i przyglądać się mijanym okolicom.

Chociaż pociąg posuwał się powoli, wydawało mi się, że jedzie niezwykle szybko, pędząc ze sobą wydarzenia, których biegu powstrzymać już było nie sposób.

Gdy pozostawało cztery lub trzy kilometry do Zawidowa, stanąłem przy samych drzwiach i począłem dokładnie lustrować okolicę, wypatrując jakiejś drogi w pobliżu torów, ewentualnie zalesienia terenu, którędy mógłbym pójść w kierunku granicy. Czekałem także na zakręt albo jazdę pod górę, kiedy to pociąg zwolniłby bieg, umożliwiając w miarę bezpieczne i łagodne zeskoczenie na ziemię.

W wagonie było ciągle spokojnie. Wszyscy pasażerowie siedzieli w przedziałach, a obaj mężczyźni na korytarzu stali nadal w tych samych miejscach z tym, że podróżny stojący przy oknie pośrodku korytarza jakby ukradkiem na mnie spoglądał, czasami zresztą tego nie ukrywając. Pomyślałem jednak, że jeśli nawet jeden pasażer zauważy moje wyskoczenie z pociągu, to też nie będzie wielkiej sprawy, bo przecież nie musi to być zaraz wopista w cywilu albo ktoś, kogo by to bardzo zainteresowało.

Musiałem pośpieszyć się z wyskakiwaniem, nim ludzie będą opuszczać przedziały i gromadzić się na korytarzu, przygotowując się do wyjścia z pociągu. Gdy przejechaliśmy jakąś szosę i nadarzyło się dobre miejsce i najlepszy moment do skoku, nie zwracając uwagi na pasażerów, tylko patrząc na to, co się dzieje za oknem, chwyciłem mocno za klamkę i kiedy miałem otworzyć już drzwi, usłyszałem za sobą czyjś głos:

– Skacz śmiało, teraz jest dobry moment!

Oczywiście, że nie wyskoczyłem, choć trzeba było to uczynić.

Cofnąłem się trochę od drzwi i obejrzałem się, aby zobaczyć, kto do mnie mówi. Był to ten sam mężczyzna, który spoglądał na mnie, stojąc przedtem przy oknie. Nie mogłem zorientować się, dlaczego teraz podszedł i to powiedział. Nie wydawało się to takie groźne, gdy zerkał na mnie, będąc przy oknie, ale teraz, jak podszedł do drzwi, przy których stałem, i powiedział te słowa, to było już mniej zabawne i stało się wręcz zagadkowe i podejrzanе. Może to jest po prostu jakiś wesolek albo trochę podпиты jegomość – pomyślałem – ale kiedy mu się przez chwilę przyjrzałem, nie wyglądał na takiego.

Po co on się w to wmieszał? – zadawałem sobie pytanie. – Jakie ma intencje? Byłem tym mocno speszony i zaniepokojony. Przyszło mi do głowy, że jeśli tak obcesowo zachęcił mnie, abym wyskoczył z wagonu, to tak samo bez ogródek może później podejść do wopistów, którzy najprawdopodobniej są na dworcu, i powiedzieć, że ktoś przed Zawidowem wyskoczył z pociągu i podążył w kierunku granicy. Ci, wówczas, jeżeli nie wymyślą jakiejś akcji poszukiwawczej w terenie, to na pewno tak wzmocnią obstawę granicy, że ja już jej nie przejdę.

Jednak, gdy chwilę popatrzyłem na faceta i zamieniłem z nim kilka słów, wydało mi się, że jest to całkiem sympatyczny i poczciwy człowiek, lat około czterdziestu, który teraz uśmiecha się do mnie i jest także speszony, zapewne domyślając się, że z jego powodu poniechałem wyskoczenia z pociągu. Pomyślałem więc, że być może podszedł do drzwi, szykując się do wyjścia, gdyż stacja musi już być niedaleko, a to co powiedział, rzekł bez zastanowienia, może z emocji, widząc, że mam zamiar wyskoczyć z wagonu. Zapewne sądził, że chcę wyskoczyć, aby potem nie wracać w to samo miejsce, jak sam niekiedy obserwowałem pasażerów, zwłaszcza młodych ludzi, wyskakujących z wolno jadących pociągów. Zacząłem więc żałować, iż od razu nie powiedziałem mu, że mi się trochę śpieszy, kiedy mogłem jeszcze poprosić go, żeby zamknął za mną drzwi. Samemu bowiem, choć należało, trudno może byłoby to zrobić, co on na pewno by wtedy uczynił. Może więc niepotrzebnie mówiłem mu co

innego, dając do zrozumienia, że wcale nie zamierzałem wyskoczyć, przeto postanowiłem to jeszcze naprawić. Chciałem ponownie podjąć decyzję wyskoczenia z wagonu, już niewiele patrząc gdzie – w pierwszym lepszym miejscu, byleby tylko było można wyskoczyć. Jednakże w czasie naszej rozmowy i mojego zbyt długiego namyślenia się wyszło z przedziałów sporo ludzi, gromadząc się przy drzwiach wagonu, i wyskakiwanie stawało się coraz bardziej niecelowe. Byłoby nawet dziwne, jako że ukazały się już pierwsze zabudowania miasta i stacja musiała być bardzo blisko. Postanowiłem zatem jechać do końca, mówiąc sobie, że jakoś przejdę ewentualną kontrolę WOP-u na dworcu – bo przecież podobne kontrole już kiedyś kilkakrotnie przechodziłem – a potem wyjdę z miasta i pójdę w zaplanowanym kierunku.

*

To, co zobaczyłem na stacji w Zawidowie, było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Cały pociąg, którym przyjechałem, został otoczony przez żołnierzy WOP-u. Nie było innego wyjścia jak tylko przez dworzec, w bramie którego stało dwóch wopistów i kontrolowało przepustki bądź zezwolenia na wjazd do tego miasta.

– Dlaczego jest tu tyle wojska? – spytałem kogoś wychodzącego obok mnie z wagonu.

– Jak to? Przecież przez Zawidów przebiega granica – odpowiedział nieznajomy.

To co usłyszałem, podziałało na mnie niczym grom z jasnego nieba. Skąd u licha wzięła się tu granica? – pomyślałem nadzwyczaj zdumiony. Gdybym to wiedział, nigdy bym tu nie przyjechał. Nie mogłem teraz cofnąć się i pozostać w wagonie, bo prócz tego, że mogłoby to przez żołnierzy zostać dostrzeżone, była to stacja końcowa, pociąg dalej nie jechał i było pewne, że po wyjściu pasażerów z pociągu wszystkie wagony zostaną przeszukane.

Trzeba było iść do przodu. Przecież przejście przez kontrolę WOP-u u wejścia na dworzec nie było jeszcze przejściem granicznym, które musiało znajdować się gdzieś dalej w mieście.

Nadal nie mogłem pojąć, jak może granica przebiegać przez Zawidów, skoro z tego, co odczytałem na mapach, powinna ona przechodzić dobre parę kilometrów za miastem. Miałem wszakże duże szanse przejścia przez tę kontrolę żołnierzy przy dworcu i wyjścia na miasto, a następnie bocznymi ulicami czy drogami, gdzie byłoby mniejsze prawdopodobieństwo spotkania kontroli WOP-u, wydostać się z Zawidowa. Potem ostrym łukiem odchodząc od granicy, przy której musiało roić się od wopistów, pójść w kierunku wytypowanych wsi. Natomiast, gdyby nie było widać zbyt wielu żołnierzy i innych oznak silnego strzeżenia granicy, to trzeba byłoby próbować ją przejść zaraz obok miasta.

Teraz musiałem tylko przedostać się przez tę kontrolę WOP-u przed dworcem, co należało uczynić jak najspokojniej i jak najpewniej siebie. Wziąłem zatem do ręki moją szkolną legitymację, włożyłem pod pachę zeszyt, nacisnąłem mocniej na uszy moją uczniowską czapkę i udając zapamiętałego ucznia, który prócz nauki świata nie zna i jest wielce zdziwiony, że spotyka tu jakieś przygraniczne kontrole, ruszyłem prosto na wopistów stojących u wejścia do dworca.

Jeszcze w pociągu, dojeżdżając do Zawidowa, obmyśliłem, co powiem na wypadek kontroli przy wyjściu ze stacji. Nie mogłem wyznać, iż chcę iść do wsi Miedziane lub Łowina, leżących blisko granicy, bo mogłoby to wydać się bardzo podejrzane, a ponadto spaliliby dalsze szyki mojej wyprawy. Chciałem więc rzec, iż udaję się do Kunowa, o którym słyszałem, jak rozmawiano w wagonie, ale potem pomyślałem, że ta miejscowość może wcale nie znajduje się w tej okolicy. Z kolei oświadczenie, iż idę zwiedzić Zawidów, mogłoby być mało wiarygodną przyczyną

przybycia do tego miasta. Postanowiłem zatem powiedzieć, że przyjechałem do siostry, która mieszka w Zawidowie.

Jednakże moje pierwsze podejście zakończyło się niepowodzeniem, gdyż wopista stojący po lewej stronie wejścia do dworca, starszy stopniem od swojego kolegi, widząc, że nie mam zezwolenia na przyjazd do strefy nadgranicznej, niewiele słuchając moich wyjaśnień, kazał mi stanąć z boku i poczekać, aż przejdą wszyscy podróżni. Podobny los spotkał jeszcze jednego chłopca, który stanął tuż przy mnie. Skorzystałem wtedy z okazji i odszedłem trochę dalej na bok, gdzie oparłem się prawym łokciem o jakąś balustradę. O ile sobie przypominam, było to metalowe ogrodzenie zabezpieczające schody prowadzące w dół do piwnicy, na których leżało trochę zeschniętych liści i innych śmieci. Widząc wówczas, że z tą kontrolą to nie przelewkę, włożyłem lewą rękę do kieszeni płaszcza i jąłem delikatnie wyrzucać z niej na dół to, co w razie kontroli osobistej mogło świadczyć, że chcę przekroczyć granicę. Gdybym zdołał przejść przez kontrolę, to rzeczy te miałem szansę znowu nabyć w Zawidowie, dokupując przy okazji kilka innych drobiazgów, które jeszcze przyszły mi na myśl.

Pomyślałem, że przede wszystkim dobrze byłoby pozbyć się mojej mapy Europy, lecz znajdowała się ona w wewnętrznej kieszeni płaszcza i kiedy zamierzałem po nią sięgnąć, spostrzegłem, że wopista stojący po prawej stronie wejścia do dworca chyba mnie obserwuje, przeto zrezygnowałem z tego zamiaru.

Tymczasem wstąpiła we mnie duża nadzieja, że uda mi się przejść ten posterunek, bo po skontrolowaniu wszystkich pasażerów podszedł do wopistów młodzieniec, który stał obok mnie, i po krótkiej wymianie zdań oraz okazaniu dowodu osobistego został także przepuszczony na miasto. Podszedłem więc po nim ja i wręczyłem temu samemu żołnierzowi, co poprzednio, moją szkolną legitymację, którą on jął uważnie oglądać. Widać było, iż zastanawia się, gdzie znajduje się Karolewo, ale na szczęście mnie o to nie zapytał, bo mogłoby to wydać się trochę podejrzane, że z tak daleka tu przyjechałem. Spytał tylko:

– A ty dokąd idziesz?

– Idę do siostry, która mieszka w Zawidowie – powtórzyłem moją uprzednią wypowiedź.

– I co, nie wiesz, że trzeba mieć zezwolenie na przyjazd do strefy nadgranicznej?

– Nie. Ja tu pierwszy raz przyjechałem, bo siostra od niedawna tu mieszka.

– Na jakiej ulicy? – spytał podchwytliwie wopista.

Nad tym już też wcześniej się zastanawiałem. Próbowałem wymyślić jakąś nazwę ulicy, która jest prawie w każdym mieście, więc teraz dość odważnie strzeliłem:

– Na ulicy Mickiewicza.

Chyba trafiłem, bo ujrzałem aprobujące miny obu wopistów, po czym ten z prawej, spojrzawszy na mój zeszyt, rzekł do swojego kompana:

– Puśćmy go, bo jeszcze lekcji nie zdąży odrobić.

Zapewne bym już poszedł, gdyby nie dowódca posterunku, który ukazał się w wejściu z tyłu za żołnierzami i zniecierpliwionym głosem zawołał:

– Co wy tam tak długo z nim rozmawiacie?

– Obywatelu poruczniku, ten podróżny nie ma zezwolenia na przyjazd do strefy przygranicznej – zameldował starszy stopniem wopista.

– To dajcie mi go tutaj – powiedział porucznik i kazał mi wejść do pomieszczenia, jakie WOP zajmował na dworcu.

– No i co, po co tu przyjechałeś? – zapytał mnie ów oficer.

– Przyjechałem do siostry, która tu mieszka na ulicy Mickiewicza – dość spokojnie odpowiedziałem.

– I nie wiesz, że trzeba mieć zezwolenie na przyjazd do strefy nadgranicznej?

– Nie, pierwszy raz tu przyjeżdżam.

Porucznik przyjrzał mi się badawczo, po czym groźnie powiedział:

– Proszę wyjąć i pokazać wszystko to, co masz w kieszeniach. Tylko bez pudła, bo i tak każę przeszukać.

Gdy wyciągnąłem wszystko to, co miałem w kieszeniach – niczego istotnego nie udało mi się wyrzucić – oficer z dużym zaciekawieniem jął przyglądać się temu, a biorąc najpierw do rąk podkładki pod buty, zapytał:

– A to co? – które to pytanie rozpoczęło dość osobliwą i długą dyskusję na ich temat.

– To przymiarki do butów, jakie mam kupić dla brata, bo podobno tu przy granicy można tanio kupić czeskie obuwie – odpowiedziałem.

– Z przemytu! – dorzucił zaraz z przekąsem wopista.

– Nie wiem, czy z przemytu, czy z legalnego przywozu. Mówił tylko, że są dobre i tanie – powiedziałem rad, że rozmowa zaczęła podążać w całkiem interesującym kierunku.

– A po co te sznurki przy nich? – spostrzegł się teraz porucznik i zadał to bardzo nieciekawe pytanie.

– Żeby wygodniej było je w ręku nosić – odparłem dość pewnym głosem, niewiele się zastanawiając.

– Ale przecież trzymałeś je w kieszeni płaszcza – zauważył oficer.

– Teraz tak, ale potem, chodząc po rynku czy sklepach, niewygodnie byłoby za każdym razem wyciągać je z wewnętrznej kieszeni płaszcza, bo przecież nie mam teczki ze sobą.

Porucznik nieufny moim odpowiedziom, zadał mi jeszcze kilka podobnych na ten temat pytań, a następnie zapytał:

– A po co ci tak dużo czekolady?

– To na prezent dla dzieci siostry – odrzekłem, kontrolując się jednocześnie w myślach, czy dobrze powiedziałem. Ale chyba tak, bo przecież nie mówiłem uprzednio, że siostra mieszka sama.

Wszelako przy końcu tej rozmowy porucznik był już pewnie przekonany, że te szablony to wcale nie są przymiarki do butów, tylko podkładki pod zelówki, mające służyć zmyleniu pościgu za uciekinierem przekraczającym granicę i musiał też zmiarkować, że taka ilość czekolady nie może być przez raczej biednie wyglądającego ucznia dzieciom podarowana. Zapewne – jako oficer WOP-u – wiedział, iż czekolada jest bardzo dobrym, a jednocześnie praktycznym, małoobjętościowym środkiem spożywczym, świetnie nadającym się na menu uciekinierowi za granicę, mającemu przed sobą daleką drogę. Dlatego też rzekł z miną wielkiego znawcy swojego zawodu:

– I co? Powiadasz, że chcesz iść do siostry, a ja ci mówię, iż chciałeś zwać za granicę. Dokąd chciałeś uciec?

Oczywiście, że się nie przyznałem, ale porucznik dalej grzebiąc w wyjętych z moich kieszeni rzeczach, był już chyba zupełnie pewny swego domniemania, choć szyfru jeszcze nie widział. Znajdował się on w szkolnym zeszytce, na który oficer nie zwrócił większej uwagi, zapewne sądząc, że jest to zwykły zeszyt lekcyjny, wzięty pod rękę dla pozorów w czasie przechodzenia przez kontrolę.

Przez dłuższy jeszcze czas porucznik pilnie przyglądał się temu, co leży przed nim na stole i zadawał mi rutynowe oraz podchwytliwe pytania. Ja niezmiennie powtarzałem, że przybyłem tu tylko do siostry, by ją odwiedzić w nowym miejscu zamieszkania. Wyznałem, iż przyjechałem od brata mieszkającego w Otoku, do

którego przybyłem z Technikum Rolniczego w Karolewie i powiedziałem, gdzie ta miejscowość się znajduje. Czekałem jednak momentu, kiedy mi obwieści, że niebawem zostanie to sprawdzone, czy siostra faktycznie tu mieszka. Mogłem wtedy tłumaczyć się jeszcze, że może pomyliłem numer domu albo mieszkania, lecz nie byłem pewny, czy wiele by mi to dało.

Gdy prowadzący śledztwo zauważył szyfr, prawie oniemiawszy z wrażenia, dłużej go nie dręczyłem i jakkolwiek nie było w nim nic wspomniane, żebym powziął decyzję ucieczki za granicę, to wobec innych dowodów przyznałem się, że chciałem iść do Czechosłowacji. To może dość rychnie wyjawienie mojego zamiaru wynikało po części z przekonania, że szybsze przyznanie się do winy oraz nieutrudnianie i niekomplikowanie śledztwa zwykle ma wpływ na zmniejszenie kary.

Oficer, którego już niewiele nawet zainteresowało moje przyznanie się do zamiaru przekroczenia granicy – będąc tak mocno zafascynowany szyfrem – zadał mi nagle bardzo zaskakujące pytanie, zwracając się teraz do mnie per „wy”.

– Do jakiej organizacji należycie?... Do CIA? – a następnie wymienił inicjały jeszcze kilku innych organizacji, o których nawet nie miałem pojęcia, czy są to nielegalne stowarzyszenia polskie, czy – podobnie jak CIA – agencje zagraniczne. Przypominam sobie tylko, że chyba w każdej z tych skrótowych nazw była litera „S”.

– Należę do ZMP – odpowiedziałem spokojnie.

– Nie zgrywajcie głupiego! Już za dużo sobie pozwalacie! – wykrzyknął porucznik, chociaż zmiarkowałem, że to ostatnie pytanie zadał mi bardziej ze swojej ciekawości niż oficjalnie, bo pewnie nie należało to do jego kompetencji. Z tego też chyba powodu nie kazał mi odczytywać szyfru ani nie pytał nawet, co jest nim zapisane. Widząc jednak, jak bardzo on go frapuje, rzekłem:

– To tylko zaszyfrowany mój pamiętnik.

– Pamiętnik?... Zobaczmy co to za pamiętnik! Już się tacy znajdują, co go rozszyfrują – butnie zareplikował dowódca plutonu i więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Porucznik jednak przez pewien czas jeszcze przyglądał mu się badawczo, a na jego twarzy malowało się skupienie i podekscytowanie. Był przekonany, że nie lada gratka trafiła mu w ręce. Takiego szyfru zapewne nikt z zatrzymanych w czasie jego służby przy sobie nie miał i zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Do tej pory pewnie tylko wiedział o istnieniu szyfrów, ewentualnie oglądał je na jakimś szkoleniu.

Po spisaniu protokołu z zatrzymania mnie i sporządzeniu spisu rzeczy przy mnie znalezionych odprowadzono mnie do pomieszczenia znajdującego się obok, gdzie przebywałem może z godzinę. Słyszałem stamtąd, jak rozdzwoniły się telefony w biurze, oraz rozmowy telefoniczne, w których wielokrotnie wymieniano moje nazwisko. Słyszałem też, jak często otwierały się tam drzwi, jak wchodziło i wychodziło z pokoju. Pomyślałem, że skoro w tym mieście jest taka silna kontrola na dworcu, to pewnie byłaby też kontrola na tej małej ostatniej stacji, na której zastanawiałem się przez chwilę, czy już nie wysiąść, i gdyby pociąg postął tam trochę dłużej, to może bym to uczynił.

Niedługo zrobiło się ciemno, siadłem przeto przy oknie, skąd dochodziło jeszcze trochę światła. Było to okno zakratowane, a za nim stało pełno wopistów.

Zastanawiałem się, jak to się stało, że granica, która zarówno na mapie Polski, jak i schematycznej mapie sieci PKP jest zaznaczona kilka kilometrów za Zawidowem, w rzeczywistości przebiega przez to miasto.

Mapy Polski ze sobą nie wziąłem, gdyż każdy szczegół na interesującej mnie trasie od Lubania w Polsce do Liberca w Czechosłowacji, wskutek wielokrotnego jej przeglądania, znałem już na pamięć. Mapa ta była w skali jeden do dwóch milionów i oddalenie kółeczka oznaczającego Zawidów o ponad jeden milimetr od granicy, jak

to dostrzegłem, oznaczało kilka kilometrów w rzeczywistości. Była to już zbyt duża niedokładność. A może jest to odległość od centrum miasta? – pomyślałem. Ale przecież Zawidów nie może być taki wielki i powinien zmieścić się cały w obszarze kółeczka, którym go oznaczono, chyba że byłby jakiś wąski a bardzo długi.

Jeśli można było mieć jeszcze wątpliwości, co do oddalenia tego miasta od granicy na mojej ówczesnej mapie Polski, to ten dystans na mapie sieci PKP był już zupełnie wyraźny i wynosił dobre pięć kilometrów. Mój błąd polegał w tym przypadku chyba na tym, że była to schematyczna mapa kolei, a więc niedokładna. Jednakże dalej nie mogłem pogodzić się z tym i mówiłem sobie, że jeśli jest ona tylko w ogólnych zarysach, to mimo wszystko Zawidów winien być oznaczony na niej przy samej granicy albo nawet na granicy, jak mi to powiedziano, a nie pięć kilometrów przed nią. Przecież nie nastroczało to chyba żadnych dodatkowych trudności, aby oznaczyć go zgodnie z faktycznym położeniem. Schematycznie, to jeszcze nie znaczy kłamliwie, błędnie czy niedbale, a jeśli uproszczenie, to tylko tyle, ile to jest uzasadnione lub konieczne. Nie mogłem pojąć, dlaczego tak oznaczono na tej mapie tę stację. Może byłem zbyt dokładny, aby to zrozumieć. Przecież w ten sposób można było wprowadzić w błąd wielu pasażerów, którzy na przykład chcieliby zwiedzić to miasto albo odwiedzić w nim kogoś znajomego. Po zobaczeniu na tej mapie tak umiejscowionego Zawidowa, niczego nie podejrzewając, mogli do niego przyjechać i wpakować się w niezłe tarapaty, zwłaszcza jeśliby przypadkowo posiadali przy sobie coś trefnego lub dla WOP-u podejrzanego.

Zdawałem jednak sobie sprawę, że jest to tylko szukaniem usprawiedliwienia się za swój własny błąd, za brak wcześniejszego dokładnego upewnienia się i sprawdzenia tego faktu.

Mimo wszystko bardzo dziwiło mnie to silne obstawienie stacji i wyjścia na miasto, o jakiej to kontroli nigdy przedtem nie słyszałem i co trudno byłoby mi nawet przewidywać. (Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, iż miałem wielkiego pecha, wybierając okolice Zawidowa na przejście granicy, gdyż w tym rejonie miał znajdować się punkt przerzutowy uciekinierów na Zachód, aczkolwiek nie wiem, czy przez NRD, czy przez Czechosłowację, i może dlatego stacja ta była bardzo mocno obstawiona.)

Kiedy tak przez dłuższy czas siedziałem na krześle przy wielkim stole stojącym w pobliżu okna, nagle otworzyły się drzwi i w oświetlonym korytarzu ujrzałem postać żołnierza uzbrojonego w maszynowy pistolet. Kazał mi z tego pomieszczenia wyjść i wyprowadził mnie przed dworzec mówiąc, iż za chwilę przyjedzie samochód, który mnie gdzieś odwiezie, nie precyzując dokąd.

Na stacji nie było już pociągu osobowego, tylko w oddali czerniły w mroku jakieś wagony. Wielu wopistów, zapewne w oczekiwaniu na przybycie następnego pociągu, stało teraz przed dworcem lub siedziało wygodnie na rozpostartej tam ławce. Na mój widok podciągnęli nogi pod siebie i trochę się wyprostowali. Wydawało mi się, iż patrzą na mnie z podziwem i zaciekawieniem. Po ich twarzach widać było, że uważają mnie za jakąś grubą rybę, którą złowili tego dnia w swoje sieci, bo jeśli nawet porucznik im tego nie powiedział, łatwo mogli wywnioskować to po jego minie i zachowaniu. Ci dwaj, którzy mnie kontrolowali przy wejściu na dworzec, siedzieli teraz dumni na ławce i jakby się do mnie uśmiechali. Na pewno dostaną długie urlopy, choć pewnie jeszcze większą nagrodę, może awans, otrzyma porucznik.

To wzajemne obserwowanie się przerwał warkot nadjeżdżającego pojazdu, który zatrzymał się przy dworcu. Był to niewielki samochód wojskowy z budą. Kazano mi wejść w głąb budy, gdzie siadłem na poprzecznej ławce przyległej do tylnej ściany szoferki. Dwóch żołnierzy wskoczyło za mną i zajęło miejsca na ławkach umocowanych wzdłuż burt samochodu, siadając z tyłu przy klapie pojazdu.

Niebawem wyruszyliśmy w nieznaną drogę. Wieczór dawno już zapadł. Jechaliśmy długi czas pod górę, silnik samochodu ciężko pracował. Z ławki przy szoferce obserwowałem ciemne sylwetki obu siedzących naprzeciw siebie wopistów pochylonych ku sobie głowami. Ich kontury wyraźnie rysowały się na tle gwiaździstego nieba i leżącego na wzgórzach śniegu. Trzymane pod ręką maszynowe pistolety, krzyżujące się długimi lufami ponad ich głowami, w każdej chwili gotowe do strzału, dodawały tej scenie groźnego, a zarazem niezwykłego widoku.

Było zimno. Żołnierze ani do mnie, ani do siebie nic nie mówili. Od czasu do czasu tylko któryś z nich spoglądał w moją stronę, jakby dla upewnienia się, czy jeszcze tam jestem, bo, podobnie jak oni, siedziałem cicho na ławce, będąc pogrążony w niewesołych myślach. Mocno zadumałem się bowiem nad moją nieciekawą sytuacją, zdając sobie też sprawę, że to pewnie już koniec marzeń o pięknej Tahiti.

Gdy po dłuższym czasie spokojnej jazdy nabraliśmy do siebie zaufania, ośmieliłem się spytać moich konwojentów, dokąd mnie wiozą, a oni po chwili niezdecydowania i namysłu odważyli się powiedzieć, że eskortują mnie do Leśnej, do większej jednostki WOP-u. Zaraz przypomniałem sobie z mapy, że miasto to jest położone niedaleko granicy i znajduje się kilkanaście kilometrów na wschód od Zawidowa, chociaż, biorąc pod uwagę krętą drogę, jaką do niego trzeba jechać, odległość ta wynosi ze dwadzieścia kilometrów. Żołnierze powiedzieli mi też, że do Leśnej jest już blisko i rzeczywiście wkrótce tam dojechaliśmy.

Przywieziono mnie do koszar i wprowadzono do dużej, lecz słabo oświetlonej sali, w której za wielkim biurkiem siedział kapitan WOP-u. Rozpoczęło się bardziej dokładne niż w Zawidowie śledztwo. Kapitan zadawał mi wiele pytań odnośnie mojej osoby, miejsca zamieszkania, a szczególnie dotyczących samej ucieczki. Były to już mniej przebiegłe i podchwytliwe, a bardziej rutynowe pytania, na które musiałem udzielać obszernych odpowiedzi.

Tak jak w Zawidowie powiedziałem, że szedłem tylko do Czechosłowacji, i podobnie jak tam oficer nie kazał mi odczytywać szyfru i niewiele było na jego temat rozmowy, choć kapitan długo wertował go w swoich rękach i bacznie mu się przyglądał, jak gdyby próbował sił w jego odczytaniu. Widocznie jednak odszyfrowanie to również nie należało do jego kompetencji. Może dlatego, aby nie dowiedział się on jakichś zbyt ważnych tajemnic, zastrzeżonych tylko dla personelu służb specjalnych, przeszkolonego także w tych sprawach, który na tym się znał i dawał gwarancję bezbłędnego odkodowania szyfru.

Po zakończeniu dochodzenia zamknięto mnie w małej celi, gdzie podano mi miskę wojskowej zupy i kazano położyć się spać na rozpostartym materacu, co też uczyniłem, przykrywając się lichym kocem.

*

Rano przywieziono mnie samochodem do oddalonego około piętnaście kilometrów Lubania, gdzie znajdowała się największa jednostka Wojsk Ochrony Pogranicza w tym rejonie i zamknięto mnie w wielkich koszarach.

Niedługo po przyjeździe wręczono mi jednomiesięczną sankcję karną, zasądzoną przez prokuratora w Lubaniu i przystąpiono do śledztwa.

Moim śledczym oficerem był tu może czterdziestopięcioletni ciemnowłosy kapitan. Mając już w protokołach z Zawidowa i Leśnej wszystkie moje dane personalne oraz opisane powody, cele i inne szczegóły dotyczące ucieczki, skoncentrował się głównie na rozszyfrowywaniu mojego kodu, nie zanedbując wszakże sprawdzenia poprzednich danych i dalszego wnikliwego dochodzenia wszelkich spraw związanych z ucieczką.

Najbardziej jednak przypominam sobie tłumaczenie mojego zaszyfrowanego pamiętnika, kiedy to z chęcią odczytywałem to, co było w nim zapisane, mając nadzieję, że po jego przeczytaniu rychło zostanę zwolniony do domu. Jego tekst bowiem znakomicie potwierdzał moje zeznania, iż ucieczka została podjęta w wyniku trudnej sytuacji, w jakiej się znalazłem, a nie z przyczyn politycznych, jak to mi już kilka razy zdążono przygadać.

Kapitan z wielką uwagą i chyba jeszcze większym zdziwieniem oraz niedowierzaniem słuchał tego, co ja czytam, gdyż – miał usłyszeć coś na temat rozmieszczenia i opisu jednostek wojskowych, ujawnienia tajemnic państwowych, przynależności do nielegalnych organizacji, spisków lub tajnych poleceń – słyszał, jak po pamiętnikowym opisie wydarzeń poprzedzających ucieczkę zacząłem prawić niezłe dytyramby na temat socjalizmu i komunizmu.

Oficer śledczy mało jednak w to wszystko wierzył i jął podejrzewać, że zapis został zaszyfrowany podwójnie. Sądził, iż podobnie jak cyfry zastępują w nim litery, tak wyrazy mają inne znaczenie niż normalnie. Analizując więc początkową część pamiętnika, gdzie opisywałem moje spacerunki po lesie, zapytał:

– A co oznaczają te powtarzające się słowa: świerki, brzozy, olchy, topole? My się na tym też trochę znamy.

Szyfr wałkowaliśmy przez cały dzień, tłumacząc go wielokrotnie i nic, co by zainteresowało kapitana, z niego nie wychodziło, a ponadto wiele rzeczy mu się w nim nie zgadzało. Kod krył w sobie jakąś sprzeczność między mało istotną lub niewiarygodną i naiwną treścią, a całkiem mądrze pomyślanym i dobrze skonstruowanym technicznie samym szyfrem. Śledczy pomyślał zatem, że coś jest z nim nie tak i nie uznał szyfru za wytwór młodzieńczej fantazji, pisany z myślą o pomniejszeniu lub uniknięciu konsekwencji ucieczki, co – wydaje mi się – było łatwo zauważalne, tylko podejrzewał, iż sam go nie ułożyłem, i doszukiwał się innych osób ze mną współdziałających. Któż to może być? Czy jest to jedna osoba, czy jakaś organizacja? – zastanawiał się kapitan i zadawał mi różne na ten temat pytania. Próbował szyfr złamać, coś z niego wydobyć, ale kod był niezłomny, gdyż prócz tego, co nietrudno było z niego wyczytać, niczego więcej nie zawierał.

Szyfr jednak podziałał w jednostce niczym przysłowiowa płachta na byka i nie ustawano w wysiłkach, aby coś z niego wydobyć.

Bardzo zmęczony, poszedłem wreszcie spać, w warunkach podobnych jak w Leśnej, lecz późno w nocy obudzono mnie. Nie wiem, która mogła być godzina, ale było to już chyba grubo po północy. Kazano mi się ubrać i znowu wejść do dużego pomieszczenia, w którym w dzień i wieczorem kapitan przeprowadzał śledztwo. Tym razem zastałem tam aż trzech oficerów, jednakże nie przypominam sobie ich stopni. Wśród nich prym wodził może czterdziestoletni niewysoki blondyn, który najwięcej mnie wypytywał. Widocznie chciał być lepszy od kapitana i może to właśnie on wpadł na pomysł, aby obudzić mnie w nocy i kazać odczytywać szyfr, sądząc, że zmęczony po ciężkim dniu, oszołomiony snem i nagłym obudzeniem, zdekoncentruję się i w ogniu krzyżowych pytań niechcący coś wyśpiewam, zdradzę jakąś tajemnicę kodu, ale dla szukających tego, czego tam nie było, szyfr był nie do pokonania.

Następnego dnia przybył na salę operator z kamerą, aby sfilmować moje podkładki pod buty. Kazał mi usiąść na krześle, przywiązać odwrotnie jedną z owych imitacji zelówek pod lewy but i założyć tę nogę na prawe kolano, po czym filmował przypiętą do buta podkładkę. Czynił to z różnych stron w obecności dwóch oficerów, którzy nie ukrywali swego podziwu dla mojego pomysłu. Być może te podkładki były jakąś nowością, którą polecono sfilmować dla celów szkoleniowych. Musiało to być bardzo ważne, skoro potrudzono się, aby taką kamerę, chyba była to szesnastka, gdzieś wyszukać, bo w tych czasach nie każda instytucja taką filmową kamerę

posiadała. Dlatego też operator musiał chyba przybyć z daleka, bo był w cywilu i trochę zziębnięty, może jeszcze niosąc w ręku tę wielką kamerę. Takie szesnastki dzisiaj na pewno już są dużo mniejsze.

Pozostała część dnia, aż do późnego wieczoru, spędziłem w śledztwie. Widocznie zorientowano się już, iż nie jestem wcale tak grubą rybą, jak na początku podejrzewano, gdyż następnego ranka powiadomiono mnie, że zostanę odwieziony koleją – a więc już nie wojskowym, mocno strzeżonym autem, tylko pociągiem – do Wrocławia. Niemniej przed podróżą tą dobrze się zabezpieczono i kiedy byłem gotowy do drogi, wyciągnięto mi pasek ze spodni i sznurowadła z butów, aby utrudnić ewentualną ucieczkę, i dopiero po tym zabiegu poprowadzono na dworzec.

Konwojowało mnie dwóch wopistów, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Gdy tylko wyszliśmy z koszar na ulicę, jeden z nich ostrzegł, żebym nie próbował ucieczki, bo w razie takiej pokusy zrobią mi z tyłka sito (nazywając tę część ciała bardziej dosadnie) i krzykną: gleba – co chyba miało oznaczać: na ziemię padnij!

Wopiści maszerowali chodnikami po obu stronach ulicy, a mnie kazali iść środkiem jezdni po bruku, wzbudzając tą paradą niemałe zainteresowanie przechodniów idących ulicą. Z pojazdami na jezdni nie było kłopotu, gdyż samochodów wtedy było jeszcze niewiele, zwłaszcza w tak niedużym miasteczku i na mało ruchliwej ulicy i żadnego na naszej trasie do dworca nie napotkaliśmy, bo może też były one przed tą trasą zatrzymywane. Ponieważ moje spodnie pozbawione pasa były za luźne, mi opadały i co chwila podciągałem je do góry, więc żołnierze dowcipkując, pokrzykiwali: – Co tak potrząsas z tymi spodniami, uspokój się, przestań, bo dziewczyny patrzą.

W pociągu zajęliśmy cały przedział i tu już bez większych przygód i wrażeń dojechaliśmy do Wrocławia. Dopiero przed bramą więzienia, przy ulicy Sądowej 1, żołnierze mnie poinformowali, że właśnie tam za murami znajduje się cel tej podróży.

Było to dla mnie dużym zaskoczeniem, bo choć po otrzymaniu sankcji karnej wiedziałem już, że tak się to chyba skończy, to jednak sądziłem, że jedziemy jeszcze do jakiejś wyższej instancji WOP-u na dalsze dochodzenie. Nie było to ciekawe, ale niebawem otworzy się w murze drzwi i niewiele miałem czasu do zastanawiania się nad tą sytuacją, tylko rad nierad przekroczyłem próg tego przybytku, mając nadzieję, że nie na długo.

5. W DZIWNYM, ALE RZECZYWISTYM ŚWIECIE

Już na dole, w przechowalni rzeczy osobistych więźniów, spotkałem kapitana z Wojewódzkiego Urzędu d/s Bezpieczeństwa Publicznego, a jak się później okazało, mojego przyszłego oficera śledczego. Właśnie rozpoczynał swoje śledztwo od dokładnego przejrzenia zawartości mojego bagażu, a szczególnie tego, wręczonego mu przez żołnierzy. Przeglądał wszystko długo i skrupulatnie, nie wyłączając moich zdjęć, którym badawczo przypatrywał się, nie zapominając, że na ich odwrotnej stronie mogą być jakieś napisy, które – gdy zauważył – dokładnie czytał.

Część bagażu, mającego znaczenie dla śledztwa, kapitan zabrał ze sobą, a mnie – przebranego już w więzienną bieliznę, szare drelichy, w okrągłym czepku na głowie i obutego w drewniaki, wraz z innym ekwipunkiem – oddziałowy odprowadził do pawilonu A, na czwarty oddział. Tu, zatrzymawszy się przy celi z numerem 101, otworzył kilka solidnych zamków, a następnie masywne drzwi i kazał mi wejść do środka.

Nigdy nie zapomnę tych pierwszych chwil, kiedy znalazłem się w celi. Oddziałowy przedstawił mnie znajdującym się w niej siedmiu więźniom jako nowego kolegę, a ci zaraz po zamknięciu drzwi obiegli mnie pytając, czy nie mam papierosów. Sprawilem im duży zawód mówiąc, iż jestem niepalący. Wszakże nim to usłyszeli, nabrali już takiej ochoty do palenia sądząc, że będę właśnie miał coś do zaspokojenia ich głodu, iż teraz nie wytrzymali i zaczęli wytrząsać z kieszeni paprochy, aby skręcić z nich papierosa. Wśród strzępów i okruchów wydobytych z kieszeni znajdowało się trochę tytoniu po noszonych w nich papierosach, którego wraz z paprochami starczyło zaledwie na sporządzenie jednego skręta. Zawinięto go w jakiś papier pakunkowy, bo gazet w celi nie było, i wspólnie wypalono, napełniając całą salę niezbyt aromatycznym i szczypiącym w oczy dymem.

Potem dowiedziałem się, że papierosy i ich niedopałki skończyły się im poprzedniego dnia, a zakupy na wypiskę mogli zrobić dopiero za kilka dni, bo jedynie raz w tygodniu ich dokonywano. Poza tym niewiele tylko osób w celi posiadało pieniądze na koncie w kasie więziennej, by móc poczynić zakupy. Widząc, że nie jestem zorientowany, co oznacza wypiska, od razu wytłumaczono mi, że nazywają tak zakupy polegające na zgłaszaniu oddziałowemu rodzaju papierosów czy artykułów spożywczych, jakie więźniowie chcą kupić za pieniądze, które posiadają w depozycie i jakie to artykuły są im następnie przynoszone do celi. Pieniądze do depozytu mogli wkładać, idąc do więzienia, czy też potem ktoś je przysyłał. Mogli również zapracować w więziennych warsztatach szewskich albo krawieckich, jak i wykonując inne prace, będąc już po wyroku i przebywając na oddziałach karnych.

Nikt mnie nie pytał, za co mnie zamknięto, bo wszyscy w tej celi byli osadzeni za nielegalne przejście lub usiłowanie przekroczenia granicy. Zapytano tylko, gdzie mnie zatrzymano, a gdy odpowiedziałem, że w Zawidowie, zaraz odezwał się jeden z więźniów mówiąc, że kiedyś pracował w tym mieście. Opowiedziałem mu moją historię z mapami, z czego on mocno się uśmieł, gdyż bardzo dobrze znał ten teren i potwierdził, że granica przebiega przez Zawidów.

Pięciu więźniów było w młodym wieku. Byli to chłopcy mający po dwadzieścia kilka lat. Dwóch aresztowanych było już mężczyznami, liczącymi około czterdziestu i czterdziestu pięciu lat. Jeśli sobie dzisiaj dobrze przypominam, to wszyscy oni zostali zatrzymani przed albo na granicy polsko-enerdowskiej lub już na terenie NRD. Mieli oni zamiar dostać się do Berlina, w którym nie było jeszcze słynnego muru i można

było łatwo przejść z Berlina Wschodniego do Zachodniego. Można było od razu próbować przedostać się do jego części zachodniej, trzeba było tylko przejść pierścień kontroli energetycznych otaczających to miasto.

Jeden z młodych więźniów zamierzał wszakże przedostać się do NRF, jak wtedy skrótowo nazywano Niemcy Zachodnie, przez granicę między Turynią a Łabą dzielącą te dwa państwa niemieckie.

Dopiero tu zorientowałem się, że miał iść do Francji przez Jugosławię, o wiele łatwiej byłoby chyba dostać się do niej przez NRD i Berlin Zachodni.

Najwyższy wzrostem jasnowłosy młodzieniec, którego zatrzymano w NRD, miał w czasie ucieczki przy sobie pistolet i teraz bardzo obawiał się wysokiego wyroku, gdyż za nielegalne posiadanie broni groziło mu dodatkowo pięć lat więzienia. Broni tej jednak w czasie zatrzymania nie użył i to go w dużej mierze uspokajało.

Po zapoznaniu się i dłuższej rozmowie ze współwięźniami począłem z wielkim zainteresowaniem rozglądać się po celi i zauważyłem, iż nie wygląda ona tak bardzo tragicznie. Choć pobyt w niej nie należał do rzeczy przyjemnych, to pomyślałem sobie, że jakiś, z pewnością przeciw niedługi czas będzie można wytrzymać.

Cela była wielka. Miała około osiem metrów długości i ponad pięć metrów szerokości. Po lewej stronie stał duży stół z dwiema ławami, a z tyłu obok kaloryfera leżała sterta równo ułożonych sienników i pościeli, okrytych starannie z każdej strony kocami.

Po prawej stronie celi znajdowały się dwa solidnie zakratowane okna, a przy nich stały niewielkie, ale mocno wykonane stołki. Na parapetach okien leżały przyniesione z więziennej biblioteki książki, nowo oprawione – zapewne dzieło więziennych intrologatorów.

Ponieważ kaloryfer mocno grzał, jedno okno było otwarte, obnażając czarne, grube kraty. Było przez nie widać duży sądowy budynek, stojący za wysokim murem okalającym więzienie. Na murze stały pośrodku i na rogach murowane wieżyczki strażnicze, w których siedzieli uzbrojeni wartownicy, nazywani przez więźniów kogutami.

Na dole, między okalającym murem a więzieniem, rozciągał się niewielki podłużny plac, po którym w koło spacerowali rozstawieni gęsiego więźniowie.

Ściany celi były wybielone wapnem, a u sufitu wisiała jedna słaba żarówka, która była bardzo skąpym oświetleniem, jak na tak duże pomieszczenie. Podłoga była z długich świerkowych desek, czysto utrzymana, widać, że często i dokładnie przez więźniów szorowana.

W kącie przy pierwszym oknie stał wielki kibel do załatwiania swoich potrzeb oraz wylewania zlewków i pomyj, przykryty metalowym dekle. Za nim była oparta o ścianę deska, którą w razie potrzeby kładziono na kibel po zdjęciu pokrowy. Obok stały dwa wiadra z wodą, a na stołku duża miednica do mycia i prania, jako że w celi nie było umywalki i bieżącej wody.

Nigdzie nie mogłem dostrzec kosza na śmieci, może dlatego, że niewiele odpadków pozostawało do wyrzucenia z celi, gdyż prawie nic tu się nie marnowało. Zdążono mi już właśnie pokazać różnokolorowe krzyżyki, serduszka i inne ozdoby zrobione w celi z plastikowych trzonek zużytych szczoteczki do zębów i temu podobnych materiałów. Sporządzano je przy pomocy bardzo prostych albo z kolei niezwykle wymyślnych narzędzi w postaci żyłek, agrafek, połamanych łyżek, kawałków drutu, szkła i innych odpadów osiągalnych w celi lub przemyconych z zewnątrz. Tak samo potrafiono wytwarzać różne piękne rzeczy z pudełek od zapalek, a nawet wykorzystać nie dopalone zapalniczki. Zauważyłem też schowane w jednym kącie karty do gry (posiadanie ich w celi było zabronione), wykonane z kartonu pozyskanego z pudełek po papierosach. Zużywano także do różnych celów wszystkie

papier, jaki tam się znalazł. Pozostałe nieużyteczne odpadki i śmieci, jak te po zamiataniu podłogi, wrzucano do wspomnianego pojemnika z wodą na wszelkie nieczystości.

Na rozmowie i przyglądaniu się wszystkiemu upłynął mi czas do wieczora, do chwili, kiedy zaczęto rozdawać kolację. Miskę, litrowy blaszany kubek i stołową łyżkę otrzymałem w jednym z magazynów przed przybyciem do celi. Teraz przed kolacją starannie je tylko wymyłem.

Gdy odgłosy wydawania posiłku dochodziły już z sąsiedniej celi, podeszliśmy wszyscy z miskami do drzwi w oczekiwaniu na ich otwarcie. Za chwilę oddziałowy je otworzył, a dwóch niewysokich, lecz krępych więźniów postawiło wielki kocioł zupy przed progiem i jęło nam ją nalewać do naszych misek, napełniając je prawie po brzegi.

Był to barszcz ukraiński, na który składała się gęsta mieszanina posiekanych czerwonych buraków, kartofli, fasoli, marchwi, kapusty i innych warzyw. Nie bardzo mi to smakowało, ale ponieważ nie jadłem od rana i widziałem, jak z dużym apetytem inni go pałaszują, zjadłem wszystko do dna, a gdy po kilkunastu minutach znowu otworzyły się drzwi i spytano, czy ktoś chce dolewkę, za przykładem i namową pozostałych więźniów zgłosiłem się i wiano mi jeszcze prawie taką samą porcję. Ale już nie mogłem jej zjeść do końca, bo potrawa ta jednak nie przypadła mi do gustu. Gdy powiedziałem to współwięźniom, jeden z nich odrzekł z trochę kpiarską miną:

– Dlatego dolewkę dostałeś, bo inni też tej zupy nie lubią i dużo jej w kotle zostaje. Musisz to jakoś przełknąć i strawić, gdyż jutro na śniadanie dostaniesz tylko suchy chleb i czarną kawę, a na obiad nie wiadomo, czy będzie dolewka, bo mimo nie najlepszego jej smaku nie zawsze ją dają.

Po kolacji rozmawialiśmy jeszcze ze dwie godziny, do wieczornego apelu, kiedy to o ustalonej porze wszedł do celi oddziałowy, a my słysząc jego wchodzenie, ustawiliśmy się w szeregu na około trzy metry przed drzwiami. Jak szereg był już zwarty i uporządkowany, starszy celi wystąpił krok do przodu i odmeldował nas na nocny wypoczynek następującymi słowami: „Obywatelu oddziałowy, cela sto jeden, stan ośmiu, obecnych ośmiu. Dobranoc!”

Gdy apel mieliśmy już za sobą, wzięliśmy się do siania naszych pościeli, rozbierając stos ułożonych sienników i rozkładając je przy bocznej i tylnej ścianie w pobliżu kaloryfera.

Kilka godzin przed kolacją wydano mi w magazynie ręcznik, prześcieradło, powłoczkę na poduszkę i jeden koc, natomiast siennik i poduszka, lub raczej twardy podgłówek, były jeszcze zapasowe w celi.

Jeden koc wystarczał do przykrycia, bo w ostatnich dwóch dniach na dworze znacznie się ociepliło, a kaloryfery nadal mocno grzały i nie było obawy, że w nocy będzie za zimno. Na wszelki jednak wypadek podpowiedziano mi, że gdyby w nocy było chłodno, to mogę unieść prześcieradło i położyć się na gołym sienniku, za to przykrywając się nie tylko kocem, ale i podłożonym pod niego prześcieradłem. Pocieszono mnie następnie, że zimą, w czasie dużych mrozów, można zsunąć dwa sienniki razem, posłać na nich w poprzek jedno prześcieradło, położyć się we dwójkę i przykryć się drugim prześcieradłem normalnie wzdłuż oraz dwoma kocami.

Kiedy już leżeliśmy na swoich pościeliach, dalej rozmawiając ze sobą, podszedł do drzwi oddziałowy, odstąpił przysłonę judasza, zajrzał do celi, a zobaczywszy, że leżymy wszyscy gotowi do snu, zgasił światło kontaktem z korytarza.

*

Usnąłem dość szybko i spałem mocno, ale po odespaniu swoich zaległości z poprzednich mniej spokojnych nocy – a może też dlatego, że było w celi gorąco i

powietrze zbyt suche od grzejącego kaloryfera – nad ranem nawiedziły mnie sny. Ujrzałem w nich sceny z moich młodszych lat, kiedy mieszkałem w Kwidzie. Śniło mi się, że z Zygmuntem ścigamy się na rowerach, jadąc z Kwidy do Kętrzyna. Ja go wyprzedzam, jadę przez cały czas pierwszy, lecz nie mogę zdecydowanie go wyprzedzić i oderwać się choćby na jeden metr. Ciągłe czuję jego obecność za moimi plecami, jedzie tuż za mną, jakby uczeplił się mojego roweru. Słyszę jego oddech, ale kiedy po chwili oglądam się, ze zdziwieniem spostrzegam, że go już nie ma. Rozglądam się, patrzę wszędzie, lecz wokół tylko puste pola.

Później jeszcze raz przyśnił mi się Zygmunt. Siedzimy obaj na wysokim świerku i zrywamy szyszki na sprzedaż do niedalekiej leśniczówki dla pozyskania z nich nasion, tak jak to niegdyś każdego roku czyniliśmy. Jest późna zima, w lesie leży jeszcze dużo śniegu, jednakże na drzewach słychać już wiosenne śpiewy ptactwa. Na uginających się gałęziach świerku wisi mnóstwo szyszek. Z zapalem zrywamy je i zrzucamy na ziemię. Nagle pojawia się nad nami wielki jastrząb. Najpierw zatacza duże koło na niebie, a potem spada w dół i nas atakuje. Dopiero teraz zauważamy u góry, prawie na samym wierzchołku świerku jego gniazdo. Szybko rzucamy się do ucieczki, pośpiesznie złącząc z drzewa, omal że z niego nie spadając.

Obudziłem się. W półśnie widziałem jeszcze tego jastrzębia, lecz po chwili, gdy trochę oprzytomniałem, zdziwił mnie ten sen, bo w rzeczywistości nigdy podobne zdarzenie nam się nie przytrafiło.

Następnie rozmyślałem o Zygmuncie. W czasie kiedy ja podjąłem naukę w Karolewie, on poszedł do zakładu rymarskiego w Kętrzynie do przyuczenia zawodu. Odwiedziłem go kilka razy w tym zakładzie, będąc w mieście. Widziałem, jak wytwarzano tam uprząże, siodła, chomąta, rozmaite pasy i smycze ze skóry. Zygmunt czasami przynosił do domu różnego rodzaju portfele, których kilka mi też podarował. Choć były wykonane z odpadów skóry, wyglądały bardzo elegancko.

Przypomniało mi się, jak raz poszliśmy z Zygmuntem do lasu na grzyby i w pewnym momencie z niepokojem spostrzegłem, że zbyt daleko od siebie odeszliśmy, a po chwili poszukiwań i zawołań stwierdziłem, iż zupełnie pogubiliśmy się. Nazbierawszy już sporo grzybów, nie pozostało mi nic innego, jak zawrócić do domu sądząc, że on w tej sytuacji postąpi tak samo. Idąc ogarniał mnie jednak lęk na myśl, co będzie, jeśli kolega do domu nie wrócił i długo nie będzie powracał. Właśnie wtedy usłyszałem czyjeś w lesie dalekie wołanie i rozpoznałem, że jest to głos Zygmunta. Szybko pobiegłem w jego kierunku i po kilku minutach znalazłem się przy nim. Zostałem go stojącego w wielkim okopie i wygrzebującego kijem z ziemi jakąś dużą skrzynię, przywaloną zapadłymi piaszczystymi brzegami owego dołu. Poszukałem drugiego patyka i jąłem mu pomagać. Niesprawnie nam szło, bo często to, co odgrzebaliśmy, zawałało się z powrotem. Prócz kijów, pomagaliśmy sobie w odwalaniu ziemi rękami i nogami. W końcu dokopaliśmy się do jednej dolnej krawędzi. Wówczas usunęliśmy wszystkie piach z wierzchu skrzyni, głęboko odkopaliśmy ją naokoło, chwyciliśmy za widoczną dolną krawędź i z wielkim wysiłkiem unieśliśmy skrzynię jednym bokiem. Stwierdziliśmy, że jest to skrzynia bez wieka, odwrócona dnem do góry. Podparliśmy uniesioną krawędź kijami, lecz, niestety, zarówno w skrzyni, jak i w znajdującym się pod nią piachu prócz strzępów przegniłych szmat i śladów papieru niczego więcej nie znaleźliśmy. Jednakże pracę naszą wynagrodził przypadek, bo idąc z tego miejsca do domu, napotkaliśmy gaj, w którym nazbieraliśmy dużo prawdziwków i dopełniliśmy nasze koszyki.

Potem przypomniały mi się inne przeżycia z Kwidy i zacząłem żałować tych czasów, przeto postanowiłem, że jak tylko wypuszczą mnie z więzienia, to pojedę z powrotem do domu.

Nad ranem znowu usnąłem, ale spałem już chyba niedługo, bo niebawem zapaliło się światło w celi, co oznaczało, że trzeba już wstawać.

*

Wkrótce wykaraskaliśmy się z naszych pościeli i jęliśmy układać sienniki w stos, a na nich podgłówki, prześcieradła i kilka koców, pozostałymi okrywając ułożoną tak stertę. Po zrobieniu porządku z naszą pościelą, kto szybszy ten pierwszy poszedł się myć, nalewając wody do miski, chociaż niektórzy zdążyli umyć się jeszcze przed układaniem lub w czasie porządkowania pościeli. Następnie, ubrani już w nasze drelichy, przez niedługi czas oczekiwaliśmy na poranny apel. Kiedy usłyszeliśmy zgrzyt i chrobot otwieranych zamków w naszych drzwiach, ustawiliśmy się wszyscy w szeregu, czekając na wejście oddziałowego. Gdy ten ukazał się i przekroczył próg, starszy celi złożył mu raport tymi samymi słowami, co poprzedniego wieczoru, zamieniając tylko „dobranoc” na „dzień dobry”.

Po apelu dobre pół godziny oczekiwaliśmy na rozdanie śniadania. Kiedy w końcu otworzyły się drzwi, dwóch więźniów, tych samych, którzy poprzedniego wieczoru roznosili kolację, przyniosło kocioł czarnej, bardzo słabo słodzonej kawy zbożowej i cztery bochenki czarnego chleba dla nas wszystkich do podziału. Było to więc po pół bochenka chleba na osobę. Wśród łyżek mieliśmy dwie, których rękojeści z jednej strony były naostrzone o cementowy parapet znajdujący się po zewnętrznej stronie okna i nimi poprzekrawaliśmy bochenki na połowę. Po dokonaniu tej czynności każdy z nas wziął swoją rację i pewną jej część, którą przeznaczył na śniadanie, pokroił na skibki, a resztę pozostawił na później do spożycia na sucho w razie poczucia głodu lub jako dodatek do zupy na obiad czy kolację. Ponieważ trzonkiem łyżki trudno było pokroić chleb jak należało, przeto rżnięto go na grube skibki, żeby w czasie krojenia nie połamały się. Okruchy, których wiele przy takim krojeniu powstawało, skrętnie zbierano ze stołu i ochoczo zjadano. Było to bardzo ciemne pieczywo, o konsystencji gliny i chyba też niewiele różniące się w smaku.

Dwóch lub trzech więźniów miało w celi smalec albo zwyczajną kielbasę, kupione na wypiskę, więc smarowali chleb smalcem, czy też dokładali do niego kawałek kielbasy. Kto nie miał tych przysmaków, był z reguły częstowany przez kogoś, co je posiadał. Po pewnym czasie zwykle następował rewanz, bo temu, co teraz częstował, mogły skończyć się pieniądze w więziennej kasie, a ktoś inny mógł właśnie jakąś sumę otrzymać. Sporo moich pieniędzy zajęto z podejrzeniem, iż chciałem je bez zezwolenia wywieźć za granicę i nie mogłem nimi dysponować, przynajmniej do czasu zakończenia śledztwa. Mimo że niewiele było osób w celi posiadających dodatkowe produkty zakupione na wypiskę, poczęstowano mnie łyżką smalcu, którym chętnie posmarowałem mój chleb na śniadanie.

*

Po zakończonym posiłku wywołał mnie oddziałowy i zaprowadził do mojego oficera śledczego, mającego swoje biuro po drugiej stronie korytarza na tym samym oddziale. Gdy tylko wszedłem do środka, od razu rozpoznałem siedzącego za biurkiem kapitana. Był to ten sam oficer Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, który zaraz po moim przybyciu do więzienia skrupulatnie przeglądał moje rzeczy. Nie wiedziałem wówczas, że będzie on moim oficerem śledczym, choć funkcję tę zaczął wykonywać już wtedy. Na moje powitanie odpowiedział szorstkim głosem, po czym kazał mi usiąść na krześle, przez cały czas bacznie mi się przypatrując.

Po kilku słowach wstępnej rozmowy kapitan przystąpił do śledztwa, w którym całe dochodzenie rozpoczynał jakby od nowa. Dokładnie pytał o wszystkie moje dane personalne, mimo że miał je już w kilku poprzednich protokołach zapisane. Wypytywał także, jak to już uprzednio czyniono, o wszelkie dane dotyczące mojej

rodziny. Interesowało go, gdzie kto mieszka, gdzie pracuje, a szczególnie, czy ktoś z rodziny lub krewnych przebywa na stałe za granicą albo czasami wyjeżdża do innych krajów. Pytał, czy z kimkolwiek utrzymuję kontakt za granicą, ewentualnie czy znam tam kogokolwiek. Na te ostatnie pytania odpowiadałem przecząco, gdyż nikt z bliższych ani dalszych moich krewnych nie mieszkał wówczas za granicą, nikt nie wyjeżdżał ani nikogo tam też nie znałem.

Od początku roztrząsał także wszystkie sprawy związane z moją ucieczką, zadając mi mnóstwo pytań dotyczących powodów, celu, kierunku i zamierzonego sposobu realizacji ucieczki oraz innych szczegółów z nią związanych.

Oдноśnie przyczyn ucieczki zrelacjonowałem mu szeroko moją sytuację, w jakiej znalazłem się po nieotrzymaniu przeniesienia z Karolewa, niczego nie zmieniając ani nie ukrywając. Przeciwnie. W dalszym ciągu sądziłem, że czym dokładniej pozna on całą prawdę, tym szybciej najistotniejsza sprawa w całej ucieczce będzie wyjaśniona, prędzej zostanie zakończone śledztwo i wcześniej wyjdę na wolność. Jednakże kapitan nie był skory do akceptowania moich powodów ucieczki tak, jak mu je przedstawiłem, tylko ciągle doszukiwał się czegoś innego, mając wiele różnych zastrzeżeń do tego, co mówiłem.

Jeśli chodzi o państwo docelowe, do którego miałem zamiar się udać, to śledczy oczywiście nie uwierzył, że chciałem iść tylko do Czechosłowacji, i zadał mi między innymi następujące pytanie:

– To dlaczego mieliście przy sobie tak dużo czekolady, skoro szliście tylko do Czechosłowacji?

Mówił do mnie per „wy”, której to formy, podobnie jak mówienia „obywatelu”, mocno wtedy nadużywano w życiu publicznym, a szczególnie urzędowym, aby nie wypowiadać słowa „pan”, uważanego za synonim kapitalizmu.

Śledczy pytał następnie, do jakich nielegalnych organizacji należę oraz kto podsunął mi pomysł zrobienia tych podkładek pod buty i czy ktoś służył mi pomocą w ich wykonaniu, na co miałem tylko jedną, wiadomą już odpowiedź.

Pytał także, czy ucieczka była przez kogoś organizowana, czy ktoś mi w niej pomagał i czy ktoś mnie za granicą oczekiwał? Gdy na te pytania odpowiedziałem również przecząco, śledczy wyciągnął z szuflady swojego biurka jedno moje zdjęcie, na odwrocie którego była zapisana ołówkiem data 27.11.54, i zagadnął mnie, co ona oznacza, pytając o to z nie ukrywanym triumfem, bowiem w wypisanym na zdjęciu dniu odbywało się właśnie to śledztwo.

Odpowiedziałem, że w ten dzień miałem odebrać od fotografa w Bolesławcu zdjęcia, które sobie zrobiłem niedługo po przyjeździe do brata wiedząc, że będą one konieczne do nowej legitymacji szkolnej i potrzebne do załączenia do moich akt w kancelarii szkoły.

– I co, fotograf kazał wam czekać aż trzy tygodnie na odbiór tych zdjęć? To jakiś leser, a nie fotograf! – odfuknął kapitan.

– On mnie uprzedził, że przez dwa tygodnie zakład będzie zamknięty, bo gdzieś wyjeżdżał, na urlop czy w jakiejś sprawie, tego już nie pamiętam.

– Mówicie, że nie pamiętacie – próbował zbić mnie z tropu oficer – i nie poszliście do innego fotografa? Woleliście czekać, czy innego fotografa w Bolesławcu nie było ?

– Na pewno był, ale czekając na przeniesienie, aż tak bardzo mi się nie śpieszyło – odpowiedziałem.

– A nie dał on wam żadnego pokwitowania, tylko datę odbioru zdjęć musieliście zapisać na swojej fotografii?

– Dał, ale gdy wróciłem do domu, stwierdziłem, że gdzieś je zgubiłem, więc póki pamiętałem, zanotowałem sobie tę datę. Zapisałem ją na zdjęciu, bo jak obywatel

kapitan pewnie zauważył, nie mam specjalnego notesu ani kalendarzyka. Poza tym – dodałem – można by przecież to u niego sprawdzić.

– A na jakiej ulicy ma on swój zakład? – zapytał oficer.

– Jest on na jednej z głównych ulic w tym mieście, ale nie znam dobrze Bolesławca i nazw jego ulic. Wiem tylko, gdzie się ona znajduje.

– Coś tu kręcicie. Ciągłe czegoś nie pamiętacie albo coś gubicie, a teraz mówicie, że nie znacie nazwy ulicy, na której daliście sobie zrobić zdjęcia – mocno naparł kapitan.

– To tylko tak się przypadkowo złożyło – odpowiedziałem.

– Za dużo tych przypadków naraz. Dodajmy jeszcze do tego to, dlaczego po tak długiej przerwie fotograf miałby otwierać swój zakład dzisiaj, to jest w sobotę, a nie od razu od poniedziałku? Przyznacie chyba, że to też logiczne pytanie. Ale nie trudźcie się, ja wam na to wszystko odpowiem jednym zdaniem. Po prostu ta data to nie termin odbioru waszych zdjęć, tylko czas ustalonego na dzisiaj spotkania. Dokąd zamierzaliście do dzisiaj dojechać i gdzie oraz z kim mieliście się spotkać?

Że też musiałem wplątać się w tę datę – pomyślałem – mogłem przecież jej nie zapisywać, tylko zapamiętać. Widząc teraz, iż śledczy jest bliski wpakowania mnie w jakąś nieciekawą kabałę, zdecydowałem stanowczo zareagować:

– Nigdzie z nikim nie zamierzałem dzisiaj się spotkać. Jeśli obywatel kapitan uważa, że zeznam nieprawdę, to można przecież sprawdzić, choćby u wszystkich fotografów w Bolesławcu, których zapewne nie ma tak wielu, czy u któregoś z nich nie ma moich zdjęć do odebrania.

– Już ja będę wiedział, co zrobić i do tej sprawy na pewno powrócimy, a teraz porozmawiajmy jeszcze na temat waszego szyfru.

Mówiąc to, oficer wyciągnął szyfr z pliku leżących na biurku dokumentów i przeglądając go w swoich rękach, zapytał:

– Co to za szyfr? Tylko mówcie prawdę, bo co nieco zdążyliśmy się już w nim zorientować.

– To mój zaszyfrowany pamiętnik, jak to już wiele razy odczytywałem – odpowiedziałem.

– Tak, czytaliście, ale za każdym razem wychodzi wam co innego. Co tam naprawdę jest zakodowane?

Od razu zorientowałem się, że to jakiś blef śledczego. Na pewno musi mnie zwodzić. Było niemożliwe, abym za każdym razem szyfr odczytywał inaczej, bowiem znałem go już prawie na pamięć. Jeśli jednak w dekodowaniach były rzeczywiście jakieś pomyłki, to może popełnili je ci, którzy moje odczytywania w Lubaniu zapisywali. Chciałem mu to powiedzieć, lecz nie zdążyłem, bo kapitan po chwili baczniejszego obserwowania reakcji, jaką na mnie wywarł swoim stwierdzeniem, wręczył mi szyfr do odcyfrowania, a sam zabrał się do notowania tekstu.

Gdy przystąpiłem do odczytywania szyfru, śledczy, notując, od czasu do czasu czynił gesty i miny, jakby mu się coś nie zgadzało, a po jego odszyfrowaniu rzekł:

– I co, myślicie, że ktoś wam uwierzy w to, co wy tu czytacie? Radzę wam, abyście od razu powiedzieli, co naprawdę jest tam zaszyfrowane, to lepiej na tym wyjdziecie.

Właściwie na tym zakończyło się dochodzenie tego dnia, a ja, wychodząc z pokoju śledczego, miałem trochę mieszane uczucia i nie wiedziałem, czy dobrze ono dla mnie wypadło, czy źle.

*

Jak tylko oddziałowy wprowadził mnie z powrotem do celi, zaciekawieni współwięźniowie spytali, pod którym numerem pokoju miałem śledztwo, a kiedy im

powiedziałem, pocieszyli mnie, że jeszcze nie najgorszego mam śledczego, bo wielu kolegów trafiło bardziej pechowo. Trochę dziwiono się, że tak długo byłem na przesłuchaniu, ale nie pytano o jego przebieg. Powiedziano mi, iż w czasie mojej nieobecności dwóch innych młodych więźniów było także w śledztwie, lecz obaj już dawno powrócili. Teraz wszyscy oczekiwali wyjścia na spacer, gdyż więźniowie z poprzednich cel, których wyprowadzano na przechadzkę przed nami, sporo czasu temu już wyszli i zaraz powinni wracać.

Rzeczywiście, ledwie zdążyliśmy włożyć kurtki na plecy, usłyszeliśmy dochodzący z korytarza głośny stukot drewniaków powracających więźniów, a wkrótce oddziałowy otworzył drzwi naszej celi i wyszliśmy na spacer. Zeszliśmy na dół z czwartego oddziału, który był trzecim piętrem, jako że oddział pierwszy znajdował się na parterze, i wyszliśmy na zewnątrz. Otoczone murami niewielkie podwórko, po którym spacerowaliśmy, rozciągało się po drugiej stronie naszego pawilonu i było widoczne z cel mieszczących się po przeciwległej stronie korytarza oraz z okien biur naszych śledczych. Spacerowaliśmy chyba pół godziny, rozstawieni co parę metrów jeden za drugim. Pewnie dlatego, że było nas ośmiu w naszej dużej celi, spacerowaliśmy sami i nie dołączano do nas więźniów z innych cel, w których przebywały po dwie, trzy lub cztery osoby.

Po powrocie ze spaceru zastaliśmy w celi wielki bałagan. W czasie naszej nieobecności przeprowadzono kipsisz. Rozrzucono stos sienników i pościeli, poprzesztawiano kubki i miski na półce oraz przeszukano wszystko, co tylko było można. Chyba niczego jednak nie znaleziono i nie zabrano. Powiedziano mi, że takie kipsisze urządza się, raczej bardzo rzadko, w poszukiwaniu grypsów, ewentualnie narzędzi bądź jakichś oznak przygotowywania ucieczki, jak na przykład przepiłowania lub nadpiłowania krat, albo też buntu czy innych zamiarów. Przyszło mi przez chwilę do głowy, iż na pomysł tego kipsiszu mógł wpaść mój śledczy w jakiejś obawie, że za mało dokładnie skontrolował mnie po moim przybyciu do więzienia i sądził, iż może udało mi się coś – co według niego powinienem albo mogłem ze sobą mieć – przemycić i ukryć teraz pieczołowicie w celi. Jednakże, gdyby rzeczywiście tak myślał, to obawy te i taka przezorność byłyby zupełnie zbędne, bo wystarczająco dobrze i to wielokrotnie przeszukali już moje ubrania i rzeczy jego poprzednicy w WOP-ie. O możliwości przeprowadzenia takiego kipsiszu dopiero teraz większość młodych więźniów się dowiedziała, a jeden starszy mężczyzna, który przebywał już ponad rok w tej celi, obecnie pierwszy raz zobaczył, jak to wygląda w praktyce. Trochę poczułem się głupio wobec nich, gdyż na pewno skojarzyli to sobie z bardzo długim przesłuchiowaniem mnie w czasie śledztwa, bo o szyfrze, podkładkach i filmowaniu mnie nic im nie mówiłem.

Wkrótce po uporządkowaniu przez nas celi przyniesiono obiad. Dano nam miskę dość gęstej zupy z jęczmiennej kaszy i kartofli. Po jej zjedzeniu czekaliśmy na repetę, ale dolewki nie przyniesiono.

Po obiedzie zaprowadzono mnie do fotografa, gdzie zrobiono mi kilka zdjęć z przodu i z profilu oraz zdjęto odciski palców. Potem, do wieczora, grałem ze współwięźniami w karty w tysiąca.

Na godzinę przed roznoszeniem kolacji jęliśmy spacerować wzdłuż celi i choć wszyscy maszerowaliśmy naraz, tak nauczyliśmy się chodzić i wymijać, odpowiednio się rozstawiając, że sobie nawzajem nie przeszkadzaliśmy. Spacerując, nie rozmawialiśmy. Każdy o czymś rozmyślał. Ja zastanawiałem się nad moją obecną sytuacją, lecz nie mogąc w niej znaleźć nic pocieszającego ani wymyślić czegoś, co mogłoby mi w niej pomóc, usiłowałem przynajmniej dać odpowiedź na nurtujące mnie od czasu zakończenia przedpołudniowego śledztwa pytanie: dlaczego fotograf po półmiesięcznej przerwie otworzył swój zakład w sobotę, a nie od razu od nowego tygodnia, w poniedziałek? Niebawem znalazłem chyba słuszne rozstrzygnięcie tej

kwestii, gdyż przypomniałem sobie, że wcale nie mówiłem śledczemu, iż fotograf miał zakład otworzyć w sobotę, tylko że w ten dzień mogłem już odebrać zdjęcia, a to zupełnie co innego. Skąd u licha wytrzasnął on to pytanie? Na wszelki jednak wypadek, gdyby fotograf również miał otworzyć swój zakład w sobotę, znalazłem też chyba niezłe wytłumaczenie, dlaczego mógłby on tak postąpić. Otóż, jeśli zamknął on swoje atelier dokładnie na dwa tygodnie i uczynił to właśnie w sobotę, to potem nie pozostało mu nic innego, jak również w ten sam dzień je otworzyć. Wyjaśniam przy okazji, iż wtedy wszystkie soboty, prócz przypadających w święto, były robocze, tylko że pracowano o dwie godziny krócej. Ponadto – pomyślałem – fotograf mógł mieć interes otworzyć swój zakład w sobotę, bo w soboty, jak również w niedziele, fotografowie często robią dużo zdjęć okolicznościowych, przeważnie grupowych, kiedy to wykonują wiele odbitek, a więc sporo zarabiają.

Zadowolony, że przynajmniej tę sprawę udało mi się jako tako rozwiązać, postanowiłem, iż na następnym przesłuchaniu tak ją oficerowi przedstawię, jeśli mnie jeszcze o to zapyta.

Po kolacji, na którą otrzymaliśmy jakąś supę, porozmawialiśmy trochę, pograliśmy w różne towarzyskie gry, a po apelu rozłożyliśmy naszą pościel i poszliśmy spać.

Tak przeszedł mi drugi dzień w celi i spostrzegłem, że oba te dni minęły nawet dość szybko. Stosunkowo prędko upłynęło mi jeszcze kilka następnych dni, lecz potem czas zaczął bardzo się dłużyć.

*

Najwięcej czasu spędzaliśmy na czytaniu książek. Były to przeważnie książki umoralniające, które ostały się podwójnej cenzurze: cenzurze tamtych czasów i selekcji więziennej. Jako że tej cenzurze oparły się również książki podróżnicze, więc korzystałem z okazji i czytałem między innymi dużo powieści podróżniczo-przygodowych.

Czytaliśmy zwykle w dzień, bo wieczorem przy świetle jednej słabej żarówki można było czytać tylko w jej pobliżu. Za to nawet przy tym oświetleniu można było z powodzeniem grać w karty. Grywaliśmy więc w czwórkę w tysiąca, sześćdziesiąt sześć, a później także w pokera na zapałki, przy której to grze mogło brać udział pięć lub nawet więcej osób naraz. Ja, podobnie jak kilku innych młodzieńców, nauczyłem się grać w pokera dopiero tutaj. Jeden ze starszych panów w celi, widząc jak męczymy się w tysiąca, postanowił nauczyć nas – jak powiedział – bardziej męskiej gry i z ochoczą cierpliwością zabrał się do objaśniania nam jej reguł. Kiedy po kilku godzinach treningu pojęliśmy, o co w tej grze chodzi, to potem grywaliśmy również w pokera.

Gry tej nauczył nas pan Mieczysław, będący w wieku może czterdziestu paru lat. Został on zatrzymany w Berlinie Wschodnim, ale nie w sytuacji, jak zamierzał uciekać dalej, do Berlina Zachodniego, bo tam od dłuższego czasu już mieszkał. Zatrzymano go w momencie, kiedy wybrał się do Berlina Wschodniego na zakupy, podobno po kostkę masła na sąsiednią ulicę, ponieważ artykuły spożywcze były tam tańsze. Wpadł wówczas na jakąś kontrolę, a że miał również polskie dokumenty przy sobie, uznano go za Polaka, którego miejsce powinno być w Polsce i tu do więzienia we Wrocławiu go przytransportowano.

Pan Mieczysław pozostał po wojnie na Zachodzie i podjął służbę w brytyjskiej kompanii wartowniczej w Hanowerze, a później przeniósł się do takiej służby w Berlinie, w sektorze brytyjskim, i teraz miał głównie odpowiadać za służbę w obcej armii, za co groziło mu pięć lat więzienia. Opowiadał, że właśnie w brytyjskim wojsku nauczył się grać w pokera, gdzie grał na angielskie pensy, szylingi i funty.

Właściwie nie wolno było posiadać kart w celi ani, tym bardziej, w nie grać. Jednak cela była narożna, miała duży winkel w lewo, więc oddziałowy, który od czasu do czasu podglądał nas przez judasza, mógł widzieć tylko plecy graczy siedzących nad stołkiem karcianym przy lewej ścianie. Mógł podejrzewać, że jesteśmy zajęci grą w karty, lecz gdyby przyszło mu do głowy to sprawdzić, szybciej schowalibyśmy karty i upozorowali jakąś rozmowę, niż on zdążyłby otworzyć drzwi celi. Zresztą, pozorowanie rozmowy byłoby zbędne, bo za każdym razem, gdy oddziałowy otwierał drzwi celi, mieliśmy obowiązek ustawić się przed nim w szeregu i w ciszy, prawie jak do apelu. Poza tym, nauczeni zapewne przykrymi doświadczeniami albo mając taki nakaz regulaminowy, oddziałowi pojedynczo w obecności więźniów nigdy nie wchodzili w głąb celi i chyba nikt z nich nie odważyłby się szukać schowanych kart lub rewidować w tym celu aresztowanych. Trzymali się oni w pobliżu nie domkniętych lub nawet szeroko otwartych na korytarz drzwi i nie przypominam sobie, żeby kiedyś wchodzili dalej niż na jeden lub dwa kroki w głąb celi. Zwykle rozmawiali z nami, stojąc na progu lub za progiem na korytarzu. Niemniej oddziałowy, którego nazywaliśmy Góralem ze względu na jego góralski akcent, niekiedy upominał nas mówiąc: – Co wy tam w tym kącie zawsze siedzicie? Czy nie macie innego miejsca w celi? – Zapewne orientował się, iż gramy w karty, a jako że nie robiliśmy przecież nic wielce złego, przeto dawał nam spokój.

Na przesłuchania chodziłem co drugi lub co trzeci dzień i za każdym razem wyglądały one podobnie. Wprawdzie śledczy często wywlekał coś nowego, wypytywał o jakieś następne sprawy, przedstawiał kolejne dowody lub wysuwał wątpliwości, ale przeważnie koncentrowały się one na szyfrze. Zawsze, gdy brałem go do ręki w celu ponownego odczytania, zastanawiałem się, ile tych odcyfrowań jest im potrzebne, żeby zorientować się, co jest tam napisane. Na pewno prócz moich dekodowań sami również próbowali go rozszyfrować, tym bardziej iż dysponując kopiami moich tłumaczeń, nie było to takie trudne. Zapewne też przywoływali do pomocy specjalistów, którzy już w ogóle nie powinni byli mieć z tym kodem kłopotów.

W czasie przesłuchań dużo mówiono także na temat celu i przyczyn ucieczki oraz wokół tego, czy sam ją podjąłem, czy też była ona przez kogoś lub w porozumieniu z kimś, zwłaszcza z jakimiś organizacjami przygotowana. Usilnie wypytywał śledczy również o kierunek docelowy ucieczki, lecz ja ciągle obstawałem przy Czechosłowacji, choć czasem wydawało mi się, że lepiej byłoby może i w tym wypadku powiedzieć prawdę i wyjawić, że chciałem iść do Francji. Jednakże byłem świadomy, iż pociągnęłoby to za sobą wiele nowych następstw i komplikacji. O fotografii już nigdy więcej nie rozmawialiśmy. Pewnie sprawdził, czy u któregoś z nich w Bolesławcu są moje zdjęcia do odebrania, a może nawet kazał je do siebie przysłać. Czasami więc myślałem, że zrobi mi niespodziankę i pokaże te fotografie, ale nigdy tak się nie stało.

Podobnie jak ja wszyscy pozostali więźniowie z celi chodzili co pewien czas na przesłuchania, a gdy wracali, chętnie słuchaliśmy, co na ich temat opowiadają, choć nie wszyscy zbyt wylewnie dzielili się swoimi problemami. Nie było wszakże w zwyczaju wypytywanie kogoś o coś, czego sam nie mówił, zresztą niektórzy nie mieli już chęci mówić, wymęczeni pytaniami, jakie im podczas przesłuchań zadawano. Mimo wszystko orientowaliśmy się, jakie kto ma kłopoty, i wiedzieliśmy, iż wielu ma bardzo ciężki przebieg śledztwa.

Będąc już co nieco zorientowany, jak moja sprawa wygląda, rad nierad zabrałem się do pisania listu do domu. Napisałem raczej niewiele, informując jedynie, iż wynikły przeszkody z moim przeniesieniem się do Technikum Rolniczego w Chojnowie i że znalazłem się w więzieniu za próbę ucieczki za granicę. Napisałem, iż

czuję się dobrze i żeby się nie martwiono, gdyż niedługo wyjdę na wolność i wrócę do domu. Również w podobnym tonie i duchu wysłałem list do brata w Otoku.

Może w dwa tygodnie po moim przybyciu został po rozprawie przeniesiony na oddział karny wysoki wzrostem młodzieniec, który był starszym celi, a po jego odejściu do pełnienia tej funkcji współwięźniowie wybrali mnie. Do starszego celi należało reprezentowanie więźniów przed oddziałowym, a w szczególności składanie raportu na porannych i wieczornych apelach, którego słowa, przez wielokrotne powtarzanie, dokładnie pamiętam do dzisiaj. Trudno wymyślić mniej romantyczny, a bardziej banalny tekst, niż uczynił to autor tego raportu, cytowanego tu już w obu wersjach kilka stron wcześniej. Starszy celi miał też czuwać nad tym, by w celi był utrzymany porządek, spokój i właściwe zachowanie się więźniów. Pozostałem nim do końca pobytu w tej celi.

*

Na drugi lub trzeci dzień na miejsce przeniesionego więźnia przybył do celi nowy, może trzydziestopięcioletni mężczyzna, mający na imię Wojciech. Wyglądał bardzo elegancko i niezwykle grzecznie się zachowywał. Mówił, że został zatrzymany na terenie NRD, gdzie następnie przebywał przez kilkanaście dni w specjalnym areszcie dla tego typu więźniów w miejscowości Neschwitz, który to areszt zaliczyli również wszyscy znajdujący się w celi więźniowie zatrzymani w NRD. Po następnych kilku dniach został po rozprawie zwolniony do domu czterdziestoletni mężczyzna, a na jego miejsce przyszedł nowy więzień, pan Henryk, w wieku około trzydziestu lat, również przywieziony z Neschwitz. Wkrótce po jego znalezieniu się w celi wywiązała się między nim a panem Wojciechem dyskusja, z której wynikało trochę dziwne to, że obaj w Neschwitz nie spotkali się, chociaż – jak twierdził nowo przybyły – widywał on w tym areszcie wszystkich zatrzymanych. Pan Henryk w końcu czymś wytłumaczył to, dlaczego mogli się nie spotkać, i wszyscy niebawem o tej dyskusji zapomnieli, z wyjątkiem niego samego, który jakby nie wierzył we własne tłumaczenie i któremu ta sprawa jeszcze przez długi czas nie dawała spokoju. Ja, słuchając tej dyskusji, wyciągnąłem swój własny wniosek, iż pan Wojciech, przynajmniej w tym czasie, o którym mówił, w Neschwitz nie przebywał.

Tymczasem ten ostatni nadzwyczaj sprawnie i szybko w celi się zadomowił i z nami zaprzyjaźnił, a my byliśmy zadowoleni, że mamy tak miłego, grzecznego i rozmownego kompana. Miał również tego samego śledczego, co ja, o którym nie wyrażał się nazbyt pochlebnie, różnie go nazywając. Mimo że nie lubił on naszego wspólnego śledczego, podobnie jak ja, miałem do pana Wojciecha jakieś uprzedzenie, którego natury zrazu nie mogłem pojąć. Był dla mnie niezbyt wyraźną postacią. Swoim wyglądem, rozmową i zachowaniem jakby do nas nie pasował. Mówił dużo, aczkolwiek ciekawie, przeważnie o podbojach kobiet, którego to tematu więźniowie nader chętnie słuchali. Był jednak jakiś „za mało” zmartwiony i przejęty swoim więziennym losem, ciągle dowcipkował i opowiadał wesole historie. Jego pobyt w celi przypominał raczej pobyt na wczasach, chociaż niekiedy wydawało się, iż nudzi się bardziej od nas.

Moja nieufność wobec niego przerodziła się z czasem we wrażenie, że mnie śledzi. Gdy coś zaczynałem mówić, zaraz nadbiegał i nastawiał uszu. Niedługo byłem pewny, iż mnie szpicluje. Przyszło mi więc na myśl, że jest nasłanym do celi kapusiem i wszystko, co usłyszy, donosi mojemu śledczemu. Nie miałem wprawdzie żadnego pojęcia, czy takowi są podstawiani w celach, ale wydawało mi się, że jest to całkiem możliwe. Zastanawiałem się następnie, czy jest on zawodowym, specjalnie przeszkolonym oficerem śledczym, czy też więźniem skaperowanym do takiej współpracy, na przykład w zamian za skrócenie odbywania kary.

Obserwowałem go i starałem się dociec, czy pozostałych więźniów też inwigiluje. Trudno było to stwierdzić, chociaż dużo i chętnie rozmawiał ze wszystkimi. Czasami myślałem, że ma już taki charakter i sposób zachowania się, ale co do tego, iż mnie szpicluje, byłem już prawie pewny.

Domniemanie to potwierdzał niejako fakt, że chodził on niemal zawsze na śledztwo na około godzinę przed wydaniem obiadu, a gdy wracał, prawie w momencie jego rozdawania, podchodził jak wszyscy z miską po zupę, ale potem najczęściej jej nie jadł. Tłumaczył się, iż jest zmęczony śledztwem albo nie ma apetytu lub tej zupy nie lubi i pytał mnie, czy nie mam chęci na jego obiad. Z reguły – jak inni, gdy ja rezygnowałem – odpowiadałem na to twierdząco, bo jedzenia było mało, a poza tym postanowiłem żyć z nim w zgodzie, niczego nie dać po sobie poznać i ewentualnie jeszcze go do czegoś wykorzystać.

Wydawało mi się, że wychodząc w porze obiadowej na śledztwo, ów detektyw je obiad razem ze śledczym w jego pokoju albo w stołówce, na pewno wraz z drugim daniem, jakiego my nigdy nie oglądaliśmy. Potem, syty, nie ma już ochoty na zupę i oddaje ją dla mnie, być może po to, żeby mnie bardziej kupić, wejść ze mną w większą poufałość i uczynić bardziej skorym do zwierzeń.

Jednego razu właśnie, gdy wszyscy w celi podzielili się na małe grupki, zajęci rozmowami, a ja siadłem w kącie sam, czytając książkę, pan Wojciech nie wytrzymał, aby nie skorzystać z dogodnej okazji do porozmawiania ze mną. Podszedł do mnie i rozpoczął mnie więcej taką dyskusję:

– Podobno miałeś bardzo ciekawą i dobrze przygotowaną ucieczkę. Jak to się stało, że cię złapali?

Zauważyłem, iż siadając przy mnie, przysunął swój stółek tak, że w czasie rozmowy sam był odwrócony plecami do siedzących trochę dalej kolegów, a jednocześnie mnie przed nimi zasłaniał, stwarzając w ten sposób dogodne warunki do odizolowanej i poufnej pogawędki. Byłem pewny, iż chce się dowiedzieć, jak to naprawdę z tą ucieczką było, aby następnie donieść to śledczemu. Nie mogłem mu wszak powiedzieć, żeby się odsunął, bo jest wstrętnym kapusiem, a ja z takimi nie rozmawiam, tylko postanowiłem z tej sytuacji wybrnąć inaczej: miał wpaść w jakieś tarapaty, osiągnąć z niej pożytek. Spróbowałem więc zrobić z niego coś w rodzaju zdeinformowanego agenta, a zarazem mojego obrońcę czy pośrednika i tak mu przedstawić sprawę, aby potem niezamierzenie bronił mnie przed śledczym zdobytymi wiadomościami. W tym celu powiedziałem mu nieco więcej, niż wyznałem kapitanowi, aby utwierdzić śledczego w przekonaniu, iż panu Wojciechowi bardziej dokładnie wyjawiam fakty.

Postanowiłem poprzez niego trochę zaspokoić ciekawość śledczego w niektórych sprawach, nieco korygując swoje zeznania. Powiedziałem więc, że szedłem do Jugosławii, skąd pochodzi moja bratowa i gdzie jest o wiele lepiej niż w Polsce. Chciałem jeszcze dodać, iż w kraju tym nadal mieszka wielu jej krewnych, ale powstrzymałem się, żeby przypadkiem mnie lub ją nie pytano o nich. Mówiąc mu, że bratowa pochodzi z Jugosławii, zapewne niczego tu śledczemu ryzykownie nie wyjawiałem, bo na pewno sam dawno już się o tym dowiedział.

W rozmowie tej niby to zwierzyłem mu się, że niepotrzebnie zacząłem tłumaczyć się tym, iż chciałem iść tylko do Czechosłowacji, i że teraz głupio mi zmieniać to zeznanie.

Uznałem, iż nadal byłoby wielką pochopnością i nieostrożnością powiedzieć, że zamierzałem udać się do Francji, bo z jednej strony Jugosławia w dużej mierze wystarczała do wyjaśnienia i postawienia na nogi sprawy docelowego państwa mojej ucieczki, a z drugiej, mówiąc, że tylko tam szedłem, obywatel się bez tej zdrady socjalizmu, której – słuchając na każdym kroku ówczesnej ideologii i propagandy –

bardzo się obawiałem. Ponadto, jeśli w zaszyfrowanym pamiętniku pisałem, iż socjalizm jest taki dobry, to dlaczego szedłem wtedy do Francji, która była nazywana kapitalistyczną. Starłem się więc nie dopuścić do takich sprzeczności. Twierdzenie, iż chciałem iść do Jugosławii, mogło być znakomicie poparte faktem, że zatrzymano mnie przy granicy czechosłowackiej, co wskazywało nawet na większe prawdopodobieństwo, iż szedłem do tego kraju niż do Francji, do której trzeba byłoby iść raczej przez NRD.

O wszystkim innym opowiedziałem mu tak, jak mówiłem śledczemu, niczego nie zmieniając – przeciwnie, byłem przecież zainteresowany, aby jak najlepiej poznano przyczyny mojej ucieczki za granicę.

Pan Wojciech słuchał tego wszystkiego w wielkim skupieniu, niczym mój śledczy, z miną, jakby starał się to, co mówiłem, dokładnie zapamiętać. Byłem pewny, że niczego z tego nie wyjawি moim kolegom, bo raczej nie chciałem, aby o tych wszystkich szczegółach i niuansach wiedziano w celi.

Nie byłem pewny natomiast, gdyż tego w wyraźny sposób nie zauważyłem, czy pan Wojciech jeszcze kogoś albo może wszystkich w celi inwigilował i dlatego też na ten temat z nikim nie rozmawiałem. Zresztą, w ogóle nie miałem jakichś bezwzględnie oczywistych i bezsprzecznych dowodów, że był donosicielem czy konfidentem, by móc kogoś przed nim ostrzegać, a prócz tego wszyscy sami mocno się pilnowali i na temat swoich bardziej sekretnych spraw nikomu się nie zwierzali. Ponadto wyraźnie dostrzegłem, że jakkolwiek pan Wojciech sam dużo mówił, to inni w rozmowie z nim byli raczej powściągliwi.

*

W drugiej połowie grudnia atmosfera w celi trochę przygasła. Po rozprawie został przeniesiony na oddział karny chyba najbardziej zaprzyjaźniony ze mną młody więzień, z którym najwięcej rozmawiałem. Miał zawsze pogodny, lub wręcz wesoły usposobienie, przy czym jego humor był nader delikatnej natury, któremu nie mógł dorównać pan Wojciech swoimi dowcipami. Na imię miał Janusz, ale nazywaliśmy go Częstochową, ponieważ młodszy więźniowie naszej celi ponadawali sobie nawzajem przydomki pochodzące od nazw miast, w których mieszkali. Ja zostałem Olsztynem, chociaż w nim nie mieszkałem, tylko był on moim miastem wojewódzkim. Podobnie był w celi Kraków, Kalisz i Legnica.

Na miejsce Częstochowy przybył mężczyzna około pięćdziesiątki, pan Czesław. Był krawcem, ale miał minę wielkiego myśliciela i nadzwyczaj poważnie się zachowywał. Mało z nami rozmawiał, za to dużo rozmyślał, najczęściej siedząc przy stole i podpierając się prawą dłonią o podbródek. Czasami po cichu coś sobie nucił. Gdy już z nami dyskutował, to nie przypominam sobie, aby kiedyś coś mówił na temat swego zawodu czy swojej pracy, tylko we właściwy sobie sposób poruszał różne, najczęściej bardzo poważne zagadnienia, niekiedy czysto naukowe.

W tym okresie bywały jednak dni, że całymi godzinami nie tylko on, ale i my wszyscy, może z wyjątkiem pana Wojciecha, nie byliśmy chętni do rozmowy, kiedy to mieliśmy dość czytania książek, gry w karty, stawiania pasjansów i wróżenia sobie z kart. Opanowywała nas jakaś zbiorowa chandra i połowę dnia potrafiliśmy przechodzić po celi, maszerując tam i z powrotem po długich deskach podłogi. Chodzenie to przerywaliśmy tylko na posiłki, spacer na dworze lub przyglądanie się spacerującym więźniom na podwórku pod naszymi oknami. Przypominam sobie zwłaszcza jednego z nich, który zwracał na siebie naszą ogólną uwagę, maszerując niezwykle majestatycznie, mocno wydłużając krok, jakby mierzył nimi ten plac. Szczególnie dużo nas siedziało i stało przy oknach, gdy na zewnątrz spacerowały więźniarki. Niektórzy mieli już swoje sympatie z widzenia, do których grypsowali, i

bardzo martwił się ten, którego wybranka nie wyszła na spacer, próbując rozwikłać zagadkę, dlaczego jej nie ma.

Mimo że grypsowanie było niedozwolone i bardzo ryzykowne, zarówno dla spacerujących na dole więźniarek, jak i dla nas w celi, to jednak pan Henryk zdołał porozumieć się z upatrzoną przez siebie dziewczyną na tyle, że przekazał jej swoje imię, nazwisko oraz adres i poznał jej imię, miasto z którego pochodzi i numer telefonu. Obiecał do niej zadzwonić, kiedy wyjdzie na wolność. Dziewczyna była piękna i zgrabna i trochę zazdrościliśmy, że tak mu się to udało i tak sobie fajnie sprawę załatwił. A załatwić taką sprawę w więzieniu to niebywała rzecz i wielka uciecha, nawet gdyby miał się z dziewczyną spotkać dopiero za kilka lat.

Niekiedy, zwłaszcza wieczorami, siadaliśmy przy stole i dla spędzenia nudy zabawialiśmy się w zadawanie mało sensownych, a bardzo denerwujących pytań, mających naśladować te, jakimi oficerowie Urzędu d/s Bezpieczeństwa Publicznego podczas przesłuchań nas obdarzali.

Pan Mieczysław, który przebywał w śledztwie już ponad rok, miał na dłużyznę czasu nader ciekawy sposób, zajmując się wyrabianiem swoich krzyżyków, łańcuszków, pudełek oraz innych cacek i ozdóbek, do wytwarzania których zdołał zawsze zdobyć materiały, nieraz w bardzo przemyślny sposób. Próbowano go naśladować kilku innych chętnych do spędzania w ten sposób czasu, lecz rzadko udawało im się wykonać takie arcydzieła jak temu najdłużej przebywającemu w naszej celi więźniowi, być może właśnie dlatego, iż mieli krótszy staż w tym zajęciu i mniejszą wprawę. On także niewiele z nami rozmawiał, ale jako że miał również pasję do gry w pokera, przy której mocno się ożywił, wówczas nadrabiał te zaległości. Niekiedy uczył nas angielskich słów, pisowni i wymowy, co mnie bardzo zainteresowało, przeto nauczyłem się sporo słów oraz paru prostych zdań i liczenia w tym języku.

*

Pewnego dnia, chodząc sobie po celi, bardzo zatęskniłem za wolnością i zacząłem zastanawiać się, jak by – chociaż na krótki czas – znaleźć się na niej, wśród wolnych ludzi – no i coś wymyśliłem. Przypomniałem sobie, jak zaraz po moim przybyciu do więzienia pan Mieczysław opowiadał, że kiedyś jednego więźnia z celi na prześwietlenie płuc wieziono aż do wojewódzkiego więzienia we Wrocławiu, mieszczącego się przy ulicy Klęczkowskiej, kiedy to chłopak nie tylko kilka kilometrów się przejechał, ale również trochę się rozerwał i odprężył.

Wtedy ta opowiadka niezbyt mnie zainteresowała, lecz teraz, nudząc się już bardzo, przypomniła mi się ona, a wraz z nią moja nerwica serca i bliżej nie określona choroba płuc. Jak już wspominałem, obu tych dolegliwości w swoim hipochondrycznym doszukiwaniu się chorób u siebie się dopatrywałem, o których jednak, z powodu zamieszania związanego z ucieczką i znalezieniem się w więzieniu, zapomniałem prawie całkowicie.

Podszedłem więc do drzwi i nacisnąłem przycisk, wzywając oddziałowego, który po kilku minutach się zjawił, wypowiadając swoje: „O co chodzi?”. Powiedziałem mu, że przed aresztowaniem leczyłem się na serce i płuca, a teraz znowu poczułem się gorzej i poprosiłem, aby zaprowadzono mnie do lekarza. To nie najlepsze samopoczucie było wszakże prawdziwe, bo jak tylko przypominałem sobie o tych chorobach, to rzeczywiście zaraz zrobiło mi się gorzej. Oddziałowy, nic nie mówiąc, zamknął drzwi, lecz po godzinie przyszedł znowu i zaprowadził mnie do więziennego lekarza. Doktor wysłuchał i obsłuchał mnie uważnie, po czym rzekł, iż dla dokładniejszego zbadania potrzebne jest jeszcze prześwietlenie klatki piersiowej.

Na rentgena czekałem wiele dni, aż w końcu, chyba po tygodniu, oddziałowy przyszedł po śniadaniu i kazał mi ubrać się do wyjazdu na prześwietlenie. Kiedy to

uczyniłem, zaprowadził mnie do oczekującej na dole grupy więźniów, mających udać się do szpitala w tym samym celu. Gdy już wszyscy zebraliśmy się i wyszliśmy na podwórko, wpakowano nas do „suki”, czyli specjalnie zabezpieczonego milicyjno-więziennego samochodu, którym w wielkim tłoku, niczego po drodze nie widząc, przyjechaliśmy na Klęczkowską. Tam wprowadzono nas do rentgenowskiej poczekalni więziennego szpitala, a następnie, wywołując po kilku naraz, kazano nam wchodzić do małej kabiny. Po rozebraniu się do pasa pojedynczo przechodziliśmy z niej do ciemnego pomieszczenia, w jakim był zainstalowany rentgenowski aparat. Siedział przed nim lekarz, który po włączeniu aparatu na żywo odczytywał z ekranu wszelkie zauważone w czasie prześwietlania nieprawidłowości lub brak zmian. Spostrzeżenia te na niewielkich formularzach zapisywała siedząca trochę dalej asystentka.

Mnie wywołano prawie na samym końcu. Płuca i sylwetka sercowo-naczyniowa były bez zmian, co mnie bardzo pocieszyło.

W drodze powrotnej spotkała nas duża niespodzianka i atrakcja. Załadowano nas bowiem na samochód ciężarowy bez budy, przedtem jednak zakuwając po dwóch, każdego za jedną rękę, w kajdanki. Chociaż padał mokry śnieg i wiał silny, boczny wiatr, chyba nie było wśród nas takiego, kto by z tej przejażdżki nie był zadowolony. Szczególnie z tego przebywania niemalże na wolności, bowiem na chodnikach – obok nas – chodzili wolni ludzie, a jezdnią jeździły samochody. Wiele osób, mimo tej pogody, do nas się uśmiechało i pomachiwało rękami, a jeden mężczyzna zdażył nawet podbiec i wrzucić nam na wóz paczkę papierosów, powodując tym duże zamieszanie wśród więźniów na samochodzie. W pewnym momencie, gdy wyprzedzał nas, jadąc przez chwilę burtą w burtę, ciężarowy samochód z kilkoma robotnikami siedzącymi z tyłu na platformie, któryś z nich krzyknął, żebyśmy do nich skakali. Niestety, jeśli nawet miałby ktoś na to ochotę, to prócz tego, że byliśmy po dwóch skuci kajdankami, stało między nami jeszcze ze trzech strażników, każdy z pepeszką w rękę, którzy nas bacznie obserwowali. Gdyby jednak taką sytuację ktoś wcześniej przewidział, może znalazłby sposób, aby z niej skorzystać.

Powtórne badania, przeprowadzone w kilka dni później przez naszego więziennego lekarza, również niczego nie wykazały, ale mimo to w dalszym ciągu byłem przekonany, że jestem chory na zgłaszane niedomagania.

Muszę tu jednak nadmienić, że prócz tego, iż rzeczywiście bardzo przejmowałem się moimi dolegliwościami, miałem też nadzieję, że to moje uskarżanie się i obstawanie przy tych chorobach będzie miało wpływ na przyspieszenie śledztwa, a może również na wyrok. Byłem przekonany, iż śledczy o tych schorzeniach dowie się od lekarza albo od pana Wojciecha, a jeszcze, na wszelki wypadek, postanowiłem sam przy jakiejś nadarżającej się okazji w czasie śledztwa mu o nich powiedzieć.

*

Mimo że na dworze panoszyła się już zima, bez przerwy byli chętni do ucieczek i wciąż napływali nowi więźniowie do cel, choć pewnie wielu ludziom one się udawały. Przed świętami dołączył do nas może dwudziestopięcioletni młodzieniec z Wałbrzycha, pochodzenia niemieckiego, mający na imię Hans. Próbował również ucieczki Francuz polskiego pochodzenia, który po wojnie wraz z rodzicami przeprowadził się do Polski, a teraz z powrotem chciał zbiec do Francji. Nie przypominam sobie, czy miał na imię Franciszek, lecz my nazywaliśmy go Fransua. Mówił, iż najpierw jeździł do Gdyni, aby zobaczyć, czy nie lepiej byłoby uciec za granicę statkiem, ale zauważył, że wejść do portu strzegą strażnicy, a statki dodatkowo są obstawione przez żołnierzy WOP-u. Zrezygnował więc z tego sposobu ucieczki i próbował zbiec do Francji przez Niemcy, ale nim doszedł do granicy, został zatrzymany przez wopistów.

Hans był bliższy sukcesu. Dotarł do granicy, czołgając się po śniegu, przykryty białym prześcieradłem. Zdołał przeprowić się przez Nysę, która na południu jest zaledwie kilku lub kilkunastometrowej szerokości rzeczką, lecz po enerdowskiej stronie został schwytany przez Grenzschutz i odesłany do Neschwitz.

Teraz, broniąc się przed dłużyzną czasu w celi i szukając na różne sposoby wyjścia z więziennej codzienności, miałem okazję znalezienia sobie dodatkowego zajęcia, przystępując do poszerzenia znajomości słów niemieckich i francuskich.

Dobrym sposobem na przyspieszenie upływu czasu było układanie krzyżówek, które nieraz bardzo ładnie i ciekawie mi wychodziły. Innym pomysłem na przepędzenie nudy była próba wywrócenia sobie z kart daty wyjścia na wolność, które to zajęcie zwykle trwało tak długo, aż udało mi się wywróżyć bliski, satysfakcjonujący mnie termin.

Wiele godzin spędziłem na uczeniu się i ćwiczeniu alfabetu Morse'a, a gdy go już opanowałem, podobnie jak inni znajdowałem wielką przyjemność w nadawaniu do celi i odbieraniu wiadomości z celi znajdującej się obok. Była to izolatka, w której pojedynczo zamknięci za regulaminowe przewinienia więźniowie mieli dużo czasu na dzielenie się w ten sposób z nami swoimi wiadomościami. Szkoda, że jako pierwsi z brzegu na oddziale sąsiadowaliśmy tylko z jedną celą, która w dodatku często stała pusta albo przebywał w niej wyłącznie jeden więzień. Gdyby były cele po obu stronach, to dwoje z nas naraz mogłoby zabawiać się nadawaniem i odbieraniem większej wtedy ilości, nieraz bardzo przydatnych dla nas informacji.

Oczywiście, porozumiewanie się morsem z więźniami innych cel było zabronione i zwykle ktoś z nas musiał stać przy drzwiach i nasłuchiwać, czy nie zbliża się oddziałowy. Mógł on nasze nadawanie usłyszeć z korytarza, a prócz tego ściana, przez którą w ten sposób rozmawialiśmy, znajdowała się obok drzwi i była dobrze widoczna przez judasza, podobnie jak i ściana w izolatce.

Mimo że posługiwanie się alfabetem Morse'a było niedozwolone, to jednak, gdy się przyłożyło ucho do ściany (zwłaszcza podkładając dla lepszej akustyki między ścianę a ucho blaszany kubek – dnem do ucha), słycać było rozchodzące się w murze niezliczone ilości bliskich i dalekich sygnałów tego alfabetu niczym różnych impulsów przenikających przestrzeń w kosmosie.

Inną zabawą, uatrakcyjniającą czas spędzany w celi, było grypsowanie. Polegało ono na porozumiewaniu się za pomocą liter wyrażanych odpowiednimi znakami palców, dłoni i rąk. Grypsowaniem można było posługiwać się na dalszą odległość, co pozwalało nam na utrzymywanie kontaktu również z ludźmi spoza więzienia.

Podobnie jak opanowanie alfabetu Morse'a uczenie się grypsowania wraz z ćwiczeniami – na tyle, aby można było w miarę bezbłędnie i szybko nadawać i odczytywać – pochłaniało nam wiele godzin czasu.

Często porozumiewaliśmy się w taki sposób z więźniami, a szczególnie z więźniarkami spacerującymi na dole pod naszymi oknami. Właściwie to grypsowaliśmy tylko my do nich, gdyż one, jak już wspominałem, będąc obserwowane w czasie spaceru, mało kiedy miały okazję, aby nam coś powiedzieć.

Najwięcej grypsowaliśmy z ludźmi z zewnątrz, przeważnie z różnymi chętnymi do takiej rozmowy z nami albo z członkami rodzin i znajomymi więźniów przebywających w celach. Czasami byli to bliscy lub znajomi któregoś z kolegów naszej celi. Wchodzili oni do budynku sądowego znajdującego się zaraz za więziennym murem, gmachu dobrze widocznego z naszych okien, i stamtąd, najczęściej przez okna toalet, grypsowali i przekazywali nowiny z domu, jak i wiadomości ogólne. Niekiedy sygnalizowali, że w Polsce niedługo nastąpią oczekiwane zmiany polityczne i pocieszali, że wkrótce zostanie ogłoszona amnestia. Raz nawet ktoś podający się za dobrze zorientowanego w sytuacji kraju przekazał nowinę, że już nazajutrz będzie

amnestia. Wiadomość tę podawał przez dłuższy czas, powtarzając ją z uporem wiele razy i starając się nas przekonać, iż fakt ten polega na absolutnej prawdzie. Informację tę jeszcze ktoś inny tego samego dnia kilkakrotnie powtórzył. Tak mocno uwierzyliśmy w to, co nam obwieszczono, że zaczęliśmy już w myślach żegnać się z więzieniem i słownie ze sobą, pośpiesznie wymieniając adresy i ustalając miejsca i daty spotkań na wolności. Pamiętam jednak, że ktoś zaśpiewał piosenkę na rzewną i piękną nutę, której słowa brzmiały:

„Cóż nam z wolności
Wracać nie mamy dokąd”

Wydawało mi się, że tę piosenkę, a przynajmniej melodię, gdzieś już przedtem słyszałem. Wszelako, jeśli nawet ktoś nie miał dokąd iść, nie było chyba takiego, kto by się nie cieszył z amnestii i rychłego wyjścia na wolność.

Niestety, i ta wiadomość, która miała być tak wiarygodna, okazała się tylko słodką nadzieją i przykrym rozczarowaniem. Trzeba było znowu rozejrzeć się po celi i dalej układać w niej swoje życie, być może do następnej takiej nowiny, która tym razem będzie prawdziwa.

*

Bardzo dużo czasu spędzaliśmy na rozmowach. Rozmawiano we dwójkę lub w gronie kilku osób albo wszczynaliśmy wszyscy wspólną dyskusję i niekiedy gawędziliśmy tak całymi godzinami. Niezwykle lubiłem te rozmowy, zwłaszcza że wielu dyskutujących potrafiło mówić bardzo ciekawie. Chociaż byłem najmłodszym ich uczestnikiem, wcale tego nie odczuwałem i dyskutowałem na równych prawach ze wszystkimi współwięźniami w celi. Nie byli to wszak pospolici więźniowie i nie należeli do szeregu zwykłych kryminalistów i w tamtych czasach nie oglądali jeszcze mało sensownych bandyckich czy gangsterskich filmów, jak czynią to obecnie już kilkulatkowo siedzący przy telewizorach w domu. Zainteresowania współwięźniów w celi, rozmowy, zachowanie się w niczym nie przypominały jakichś przestępców i wszyscy w zgodzie i z wzajemnym szacunkiem dzielili swój wspólny los. Czasami w naszych rozmowach mówiliśmy, że jesteśmy więźniami politycznymi, czego między innymi dowodem miało być to, że my w okresie śledczym spacerowaliśmy przez pół godziny, podczas gdy więźniowie kryminalni w tym czasie spacerowali tylko piętnaście minut. Dopiero na oddziałach karnych, jak mówiono, wszyscy więźniowie bez różnicy przechadzali się pół godziny. Jednakże zdawaliśmy sobie sprawę, iż wielu ówczesnych więźniów pospolitych było w istocie więźniami politycznymi, aresztowanymi li tylko z powodu ówczesnego ustroju, z racji jakiegoś protestu, sprzeciwu, niezgadzenia się, przeciwdziałania czy walki z nim.

Opisując moje życie w celi, dla dokładniejszej relacji i szczypty humoru warto tu jeszcze wspomnieć, iż w naszym więziennym żargonie nazywaliśmy więźniów kryminalnych dobrodziejami, a oni nas zającami. Z tym ostatnim określeniem miało widocznie kojarzyć się to, że my, niczym zające, skakaliśmy sobie przez granicę.

Jako że żyliśmy w czasach, w których swobodne rozmowy na tematy polityczne były niedozwolone, a my przebywaliśmy przecież pod nadzorem w więzieniu, przeto o polityce niewiele dyskutowaliśmy i czyniliśmy to bardzo ostrożnie i raczej ogólnikowo. Wówczas, po śmierci Stalina i rozstrzelaniu Berii, oczekiwano następnych, głębszych zmian na wschodzie Europy, chociaż niektórzy dyskutanci nader sceptycznie odnosili się do możliwości ich szybkiego nadejścia. Ogólnie pocieszano się jednak, że coś się ruszyło i musi zmieniać się dalej.

W dyskusjach naszych oprócz różnych tematów, na jakie mówi się wszędzie, my w więzieniu dość często rozmawialiśmy o naszych śledczych i oddziałowych, o istniejących warunkach więziennych, a szczególnie narzekaliśmy na wyżywienie, jakie nam podawano. Ponieważ głodnemu chleb zawsze na myśli, więc nierzadko też

na ten temat żartowaliśmy. Nie zapomnę, jak raz Legnicy przypomnieli się domowe kluski z makiem, z czego wszyscy bardzo uśmialiśmy się, chociaż każdy z nas po cichu marzył o takim domowym jedzeniu. Pamiętam też, jak sympatyczny młodzieniec, którego nazywaliśmy Krakowem, niesamowicie pobudzając nasze apetyty opowiadał, że kiedyś jego ojciec kupił okazyjnie od chłopca dwadzieścia pięć kilogramów wspaniałej, suchej kielbasy. Cóż to była za pycha! – mówił. Wisiąca na sznurku w spizarni i mógł po nią sięgać, kiedy chciał i ile chciał, nikt mu jej jeść nie zabraniał; przeciwnie, matka go jeszcze do tego nakłaniała. Podekscytowani i sprowokowani tym opowiadaniem, jęliśmy zaraz narzekać na tutejsze jedzenie, a szczególnie na jeden rodzaj zupy z kaszą, jaką co pewien czas nam serwowano i w której coś brązowego, podobnego do robaków pływało. Niektórzy, aby nie psuć sobie apetytu mówili, iż są to plewy, lecz inni twierdzili, że na plewy to jest za grube. Rzeczywiście, rozgotowane, trudno było rozpoznać, co to właściwie jest. Na wszelki wypadek, jedząc tę zupę, rozsiadaliśmy się gdzieś po ciemnych kątach, żeby tego paskudztwa nie było tak widać.

Często, mocno współczując, rozmawialiśmy o więźniu zza ściany, który przebywał już od kilku tygodni w izolatce i z którym utrzymywaliśmy kontakt, porozumiewając się morsem przez dzielący nas mur. Miał na imię Michał, był w wieku trzydziestu lat, pochodził z Wrocławia i pracował na kolei. Z tej rozmowy wywnioskowaliśmy, że jest on zapalonym wędkarzem. Za co został aresztowany lub za jakie przewinienie zamknięto go w izolatce, o to go nie pytaliśmy. Nieraz jednak w naszych dyskusjach zastanawialiśmy się i wyliczaliśmy ewentualne wykroczenia przeciwko regulaminowi, za które można było zostać zamkniętym samotnie w celi.

Prócz naszego zainteresowania izolatką niekiedy mówiono jeszcze o jakimś ciemnym karcerze, gdzie na posadzce stoi po kostki woda, a dla większej udręki woda jeszcze kapie więźniowi z góry na głowę. Twierdzono, że znajduje się tam tylko żelazny fotel do siedzenia i spania, na który także regularnie, co kilka sekund, spadają krople wody. Właśnie to ciągłe, jednostajne kapanie wody na głowę miało być dla więźnia największą torturą, jakiej – mówiono – nie można nawet sobie wyobrazić.

Czy był tam rzeczywiście taki karcer, na to nie jestem w stanie odpowiedzieć. Zapewne był jakiś karcer, skoro tak uporczywie o nim mówiono. Może był on czymś w rodzaju izolatki o obostrzonym rygorze, gdzie podawano do jedzenia tylko chleb i wodę, do tego ciemnej lub mrocznej, bez pryczy do spania, lecz trudno aż uwierzyć, aby były w nim jeszcze wspomniane wodne udręki.

Oczywiście że jednym z najczęstszych przedmiotów naszych rozmów były dyskusje na temat ucieczek za granicę. Zastanawiano się, do jakiego kraju najlepiej emigrować, i okazało się, że ja, marząc o Tahiti, chociaż właściwie miałem zamiar iść do Francji, nie byłem wcale wyjątkiem. Prócz takich państw europejskich, jak Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania, Francja, NRF, Belgia, Holandia często wymieniano również jako kraj docelowy: USA, Kanadę, Argentynę, Australię, Nową Zelandię i Afrykę Południową.

Omawiano też różne sposoby ucieczek oraz błędy, jakie uciekający najczęściej popełniali i z powodu których następnie wpadali. W dyskusjach tych niejednokrotnie powoływano się na opowiadania znajomych, którzy odbyli służbę wojskową w WOP-ie.

Z dużą emocją zastanawiano się nad tym, ilu ludziom udało się zbiec i osiągnąć zamierzony cel, ale też nieraz napomykano, że zapewne wielu uciekających poległo od kul ścigających ich żołnierzy lub enerdowskich milicjantów. Niekiedy dyskutanci mówili nawet o znanych im przypadkach takich zdarzeń.

Dla odmiany jednego razu opowiadano o jakimś starcu, który często siedział na polsko-czechosłowackiej granicy i którego nie tylko nikt nie chciał aresztować, lecz wręcz przeciwnie: kazano mu zmykać na drugą stronę granicy i tak polscy wopiści przepędzali go na stronę czechosłowacką, a tamci żołnierze do Polski. Niektórzy z nas nie chcieli w to uwierzyć, za to inni dostrzegli w tym dobry sposób na przejście granicy – udając starca. W dalszej jednak dyskusji okazało się, że wcale nie byłoby to takie proste, bo zapewne tego człowieka już znano i może po kilkakroć z jednej i drugiej strony aresztowano. On pewnie w areszcie tylko się najadł i przespał, a gdy następnego dnia go wypuszczono – bo co z takim robić – znowu szedł na granicę. Byli jednakże wśród nas tacy, którzy nie wierzyli, aby to mogło być prawdziwe, bo jeśli go rzeczywiście tak parę razy aresztowano, to w końcu dano by mu taką nauczkę, że więcej na granicę już by nie poszedł.

– Ale zanim mu ją dano, mógł przecież kilka razy w ten sposób postąpić – ktoś słusznie zauważył.

*

Opisując nasze rozmowy w celi, muszę również poświęcić trochę miejsca na polemiki, których głównym inicjatorem był pan Czesław. Chociaż niezbyt często zabierał głos w naszych codziennych pogawędkach, to nader zapalał się do dyskusji, gdy usłyszał w niej coś na bardziej poważne tematy, zwłaszcza filozoficzne i naukowe.

Nie przypominam sobie szczegółów z jego ucieczki i aresztowania, ale zdaje mi się, że niewiele z nami o tym rozmawiał. Był krawcem, znał też inne zawody. Mówił, że prócz pracy dużo czasu poświęcał na czytanie książek, a szczególnie lubił wgłębiać się w zajmujące go artykuły popularnonaukowe w gazetach i czasopismach. Gdy szył, zawsze miał włączone radio, ale nie słuchał wszystkiego jak leci, tylko na różnych programach wyszukiwał interesujących go audycji. Może właśnie dlatego, że tak lubił słuchać radia przy pracy, kiedyś przeszył sobie igłą maszynową kciuk prawej ręki, co było jeszcze widoczne, jak raz nam pokazywał ów palec.

Chociaż nie zawsze wszyscy brali udział w rozmowach z nim, ja byłem stałym uczestnikiem tych dyskusji, a on do mnie, jako do niedawnego jeszcze ucznia bardzo często w swoich wypowiedziach się zwracał. Pamiętam, jak pan Czesław mówił raz bardzo ciekawie na temat teorii względności Einsteina, który w tym czasie jeszcze żył i którego życiorys w sposób niezwykle interesujący również nam opowiadał. Teoria względności znana mi była częściowo z niektórych publikacji astronomicznych, lecz w szkołach tego tematu uczono albo w wyższych klasach lub dopiero na wyższych uczelniach. Więcej próbowałem polemizować z nim w dyskusji dotyczącej teorii rachunku prawdopodobieństwa. Jakkolwiek tematu tego w szkole dotychczas także nie przerabialiśmy, to był on o tyle przystępny, że i bez głębszych jego studiów można było coś w tej materii powiedzieć. Zresztą, wykupując niekiedy losy loterii pieniężnej, na swój sposób zastanawiałem się nad rachunkiem prawdopodobieństwa, kalkulując szansę głównej wygranej.

Pan Czesław mówiąc o rachunku prawdopodobieństwa, podał przykład, iż żołnierz w czasie ataku może śmiało położyć się w dole po wybuchu bomby, ponieważ drugi pocisk w to samo miejsce nie spadnie. Zastanowiłem się nad tym i pomyślałem, iż ma chyba rację. Chodząc po wojnie po zrytym pociskami polu, częstokroć grzebiąc w ziemi i szukając w powstałych lejach odłamków, zwłaszcza opisywanych przedtem lotek pocisków moździerzowych, nie natrafiłem na przypadek, aby dwa pociski wybuchły w tym samym miejscu, co byłoby zauważalne po wielkości dołu lub jego kształcie. Niemniej w czasie tej dyskusji nie byłem wcale pewny, czy do

takiego dołu nie mógłby wpaść drugi pocisk, zwłaszcza jeśli by spadało ich bardzo dużo. Wyraziłem więc moją wątpliwość, podając następujący przykład:

– Nie wiem, jak poczułby się żołnierz w świeżej wyrwie po kuli armatniej, gdyby artylerzysta z naprzeciwka ustawił swoje działo w jednym kierunku i nie zmieniając jego pozycji, przez dłuższy czas sobie strzelał?

Wówczas okazało się, jaką błyskotliwością umysłu, wiedzą i elokwencją potrafi zaimponować ten spokojny i małomówny krawiec powiadając:

– Jeśli by nawet ów artylerzysta ciągle w jednym i tym samym kierunku strzelał, to mimo to dwa pociski nie spadną w to samo miejsce i zapewne strzelający z dział o tym wiedząc, często tak właśnie czynią. Otóż, jeżeli artylerzysta nawet nie zmieni pozycji lufy, to i tak po każdym wystrzale jej kierunek, choćby bardzo nieznacznie, lecz się odchyli, co spowoduje, że pociski przeleciawszy kilka kilometrów, za każdym razem będą spadały w innym miejscu. Ale gdyby lufa działa nie zmieniła swojej pozycji nawet o część milimetra, to też pociski nie będą spadały w to samo miejsce, bo siła wybuchu ładunku w każdym naboju jest trochę inna i pociski choćby z tego powodu będą spadały bliżej lub dalej. Do tego należy dodać nieidentyczny ciężar, kształt i gładkość pocisków. Ma tu też znaczenie niejednakowy opór, jaki stawia każda łuska naboju przy wrywaniu się z niej pocisku, a także opór powietrza, które ciągle się zmienia. Powietrze będzie raz rzadsze, raz gęstsze, za każdym razem będzie różna siła oraz kierunek wiatru i również z tych powodów nie ma obawy, że pociski, lub choćby tylko dwa z nich, spadną w to samo miejsce. Chyba że strzelano by do bardzo bliskiego celu, ale z dział strzela się raczej dalej niż na odległość kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset metrów.

Było to logiczne, wszelako ktoś poczynił jeszcze dość istotną uwagę: – Dobry żołnierz nie powinien kryć się do dołka w czasie ataku, tylko iść naprzód i atakować.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, lecz pan Czesław i tym razem rzeczowo sprawę wyjaśnił: – Miałem na myśli żołnierza, którego zadaniem jest utrzymanie wraz z frontem swojej pozycji i ma bronić się, a nie atakować.

Niekiedy dyskutowaliśmy z panem Czesławem na inne podobne tematy i chociaż były one niejednokrotnie zupełnie naukowej natury, to nigdy przy tych dyskusjach nie nudziliśmy się.

Nie przypominam już sobie, czy był on wdowcem, rozwodnikiem czy mimo dojrzałego wieku jeszcze kawalerem, ale pamiętam, że był samotny. Wszelako miał charakter zgodny, był uczynny i bardzo sympatyczny; posiadał mieszkanie, kilka fachów i mógł z powodzeniem utrzymać rodzinę. W częstej rozmowie z nim spostrzegłem, iż bardzo interesuje się ludźmi wybitnymi i że czytuje ich biografie. Dużo wiedział nie tylko o Einsteinie, ale także o wielu innych genialnych uczonych, a szczególnie pasjonował się Leonardem da Vinci, którego uznawał za największego geniusza wszechczasów. Kiedyś z nie ukrywaną emocją powiedział, że jakie to szczęście, iż są tacy ludzie, którzy potrafią coś nowego wymyślić, odkryć, wynaleźć czy zrobić coś wspaniałego, wielce użytecznego i potrzebnego. Niejednokrotnie wypowiadał nawet coś w rodzaju litanii nadziei i życzeń, jakich spodziewa się i oczekuje od takich ludzi. Mówił wtedy o wynalezieniu sposobu na tanią produkcję ekologicznej energii elektrycznej; o pięknych, wygodnych i nie trujących domach; szybkich, bezpiecznych i wygodnych środkach lokomocji na Ziemi i w kosmosie; czystym, pięknym środowisku, nie skażonej ziemi, wodzie i powietrzu; długowiecznym zdrowiu, życiu i młodości, i tym podobnych marzeniach.

Po trosze był chyba sam geniuszem (choć bardzo obruszył się, gdy raz ktoś mu to powiedział), bo potrafił wiele rzeczy zrobić, miał się różnych fachów i mógł się pochwalić wieloma w życiu osiągnięciami. Kiedy jeden młodzieniec w celi zaczął trochę pokpiwać z niektórych jego zajęć, odpowiedział zdecydowanie, iż woli je

wykonywać, niż być jakimś kombinatorem i żyć bez uczciwej pracy. Uzasadnił, że miał przecież w domu wszystko, co mu było potrzeba, spał spokojnie i, z wyjątkiem sytuacji politycznej oraz gospodarczej kraju, był z życia zadowolony.

Chciał uciec do USA przez Berlin Zachodni. Widział tam duże szanse na interesujące i piękne życie dlatego, że w tym kraju jest najwięcej uczonych, co widoczne jest choćby po liczbie otrzymywanych Nagród Nobla, i że ludzie ci mają jednocześnie duży wpływ na politykę państwa, zarządzanie i decydowanie o jego losie, rozwoju i dobrobycie.

Mimo że nie wszyscy z jego wypowiedziami zupełnie się zgadzali, to jednak nikt mu stanowczo nie przeczył. Ktoś mu wszak zarzucił, że jest ateistą i w Boga nie wierzy, ale pan Czesław po chwili namysłu odpowiedział:

– Jestem takim samym człowiekiem jak inni, bo wszyscy jesteśmy ludźmi tego samego świata i Boga, i uznaję boskie przykazania miłości bliźniego i otaczającego nas świata za najwyższą mądrość i powinność każdego człowieka i przykazań tych staram się dotrzymywać. Następnie dodał: – Cóż wart byłby postęp i cywilizacja, gdyby miało w niej dojść do zatracenia serca i duszy, uczuć i moralności, i twierdził, że bez tych wartości istnienie wysokiej cywilizacji byłoby w ogóle niemożliwe.

Wszelako jeden z młodych więźniów wyraził raz zdziwienie, iż pan Czesław, będąc krawcem, tak bardzo interesuje się takimi filozoficznymi i naukowymi zagadnieniami.

– A mnie jeszcze bardziej dziwi to – odparł pan Czesław – jak czasami młodzieniec, który nieraz legitymuje się świadectwem maturalnym, chce się już żenić i mieć swoją rodzinę; chciałby długo żyć i żeby dzieci były zdrowe; często dokładnie wie, z czego składa się samochód, a na przykładnie wie, jak jest zbudowany on sam. Nie umie powiedzieć, co to jest białko, witaminy, alkohol, nikotyna, wirusy, bakterie lub najgroźniejsze i najczęściej spotykane choroby. Nie wie, jak można uniknąć grypy i innych chorób przeziębieniowych albo np. zatruć pokarmowych. Nie ma pojęcia, jak powinno wyglądać zdrowe mieszkanie i co je najczęściej i najbardziej zatruwa – bo przecież zdrowie i to wszystko jest chyba ważniejsze od samochodu, jakkolwiek samochód jest też bardzo potrzebny.

Gdy ktoś zapytał, czy on wie, jak uniknąć owych chorób przeziębieniowych? Odpowiedział: – Może i tak. Często chorowałem na takie choroby w czasie wojny. Ale jako że z opieką lekarską było wtedy trudno, szukałem więc porad u ludzi i sam próbowałem się leczyć i zapobiegać chorobom. Teraz, mimo że od wojny minęło już dziesięć lat, ani razu nie zachorowałem na grypę, zapalenie płuc lub oskrzeli czy inne podobne choroby. Doszedłem bowiem do oczywistego wniosku, iż o wiele łatwiej jest zapobiegać chorobom, niż później je leczyć. Żeby to osiągnąć, należy właściwie się odżywiać – to znaczy, posiłki winny zawierać wszelkie potrzebne naszemu organizmowi składniki pokarmowe. Trzeba też właściwie, ciepło się ubierać, gdyż wszystkie nasze układy wewnętrzne, z układem immunologicznym włącznie, lepiej wówczas funkcjonują. Jest to przecież bardzo widoczne na przykładzie roślin. Bardzo ważny jest także ruch – trzeba dużo chodzić, biegać, żyć na sportowo i wykonywać różne zajęcia fizyczne. Zauważyłem, iż choroby przeziębieniowe rozpoczynają się od bólu gardła, a później może wystąpić katar, gorączka itd. Kiedy więc spostrzegam takie pierwsze bóle gardła, właściwie tylko lekkie jeszcze szczypanie w gardle, albo też katar lub kaszel z powodu przeziębienia, robię niezbyt mocny roztwór soli kuchennej z wodą i płuczę nim gardło. Czynność tę przez pewien czas powtarzam. Podkreślam, iż najlepiej jest robić to, gdy gardło dopiero zaczyna boleć. Potem już może być za późno. Może dojść do przeniesienia się zakażenia na oskrzela i płuca i rozwinięcia się jakiejś choroby. Nie jest to wszystko jedno, czy zapobiegać chorobie, czy później ją leczyć, bo przebyte zakażenia mogą pozostawić po sobie różne ślady,

następstwa i komplikacje. Po wyplukaniu gardła wspomnianym roztworem soli aplikuję sobie witaminę C, zawartą w warzywach lub owocach oraz w tabletkach. Zapobiegam również przeziębieniu się.

Pan Czesław był tak pewny swojej metody, iż mówił, że jeśli ktoś ma jako tako funkcjonujący układ odpornościowy i tę metodę dobrze zastosuje, to nie wierzy, aby mogło wówczas dojść do ciężkiej choroby, której istotną przyczyną bywa przeziębienie.

*

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Krótco przed nimi przybył do celi fryzjer, będący także więźniem, który mnie oraz kilku innym kolegom, przebywającym dłużej w celi, podstrzygł włosy. Jeśli chodzi o golenie, to oczywiście więźniowie golili się sami, korzystając z miednicy i wiszącego nad nią lusterka.

Mieliśmy raczej skromne warunki do mycia się w celi, ale też nie było specjalnej okazji, aby się bardzo wybrudzić. Ponadto co tydzień chodziliśmy do łaźni, gdzie pod prysznicami mogliśmy się wymyć do woli.

Akurat przed świętami przypadł czas zmiany naszej bielizny osobistej i pościelowej, którą wystarczająco często nam wymieniano.

W wieczór wigilijny zasiedliśmy przy stole przykrytym białym prześcieradłem, na którym znalazły się opłatki przysłane nam w listach z domu (ja jeszcze odpowiedzi na mój list nie otrzymałem) oraz nasz chleb pozostawiony od śniadania, a także dwa słoiki śledzi marynowanych i kilka paczek ciastek kupionych na wypiskę w tutejszej kantynie. Niestety, głównie z powodu braku gorącej przegotowanej wody herbaty nie było. Niektórzy więc postawili kubek z zimną wodą przed sobą, a pan Czesław zaraz pocieszył, że woda jest wspianiałym, naturalnym i najstarszym napojem, może jeszcze lepszym od herbaty.

Po podzieleniu się opłatkiem i złożeniu sobie życzeń przystąpiliśmy do spożywania naszej wieczerzy. Gdy trochę już zjedliśmy, w wielce uroczystym nastroju i miłej atmosferze zaczęliśmy opowiadać sobie zwyczaje i obrządk, jakie były obchodzone u każdego z nas w domu w czasie Wigilii i świąt Bożego Narodzenia. Następnie zaśpiewaliśmy kilka najpopularniejszych kolęd, co jeszcze bardziej podniosło nastrój tego wieczoru. Hans, uniesiony tak nadzwyczaj serdeczną atmosferą, wyraził chęć zaśpiewania nam jednej kolędy po niemiecku, której z wielką przyjemnością wysłuchaliśmy. Zaśpiewał „Stille Nacht” i trzeba przyznać, że miał duży talent do śpiewania. Ośmielony i zachęcony tym sukcesem Fransua również zanucił nam piękną kolędę po francusku. Tylko pan Mieczysław nie mógł długo się zdecydować, aby zaśpiewać po angielsku, ale kiedy przyznał się, że zna jedną kolędę w tym języku, to nie ustąpiliśmy i musiał ją zaśpiewać.

W czasie wieczerzy przyniesiono naszą więzienną kolację, która niczym nie różniła się od poprzednich wieczornych posiłków z tym, że jedliśmy ją tego dnia wszyscy razem przy okrytym na biało stole.

W pierwszy dzień świąt zjedliśmy wszyscy dość obfite śniadanie, gdyż kilku więźniów, którzy mieli pieniądze na swoich kontach, kupiło na wypiskę sporo zwyczajnej kielbasy (bo chyba tylko taką można było tu kupić) i do naszej codziennej kawy i pół bochenka chleba każdy miał na dokładkę wcale pokaźny kawałek tego przysmaku. Po śniadaniu wyszliśmy jak zwykle na przechadzkę. Od poprzedniego dnia śniegu w nocy dużo dopadało i w tej śnieżnej zimowej scenerii oraz w świątecznym, wszelako więziennym nastroju spacer był bardzo odprężający i żal było, że nie mógł trwać dłużej.

Resztę świąt również spędziliśmy mile, a wielkiego uroku przydawał im często padający śnieg. Staraliśmy się zbyt wiele nie rozmyślać o naszych domach i rodzinach, o których wspomnienia mocno ścisnęły nam serca. Jeśli nie wszyscy to

większość z nas pocieszała się, że następne święta Bożego Narodzenia na pewno spędzi już razem z bliskimi w domu.

*

Na Sylwestra w celi duża sensacja. Pan Wojciech po powrocie ze śledztwa oznajmił, że wychodzi na wolność i nie wyjaśniając niczego, spakował swoje rzeczy, by po kilku minutach zniknąć z celi.

– To dziwne... – z niemałym zdumieniem zareagował Henryk, gdy tylko szczęśliwiec opuścił celę. – Umorzenie śledztwa, czy co? Ale jeśli przekroczył nielegalnie granicę, to przecież według nich popełnił wielkie przestępstwo i powinna być przynajmniej jakaś rozprawa, po której ewentualnie mógłby zostać zwolniony do domu. Te jego opowiadania o pobycie w Neschwitz też nie są jakieś zupełnie jasne i wcale nie jestem pewny, czy on tam rzeczywiście przebywał. A teraz na Sylwestra pan Wojciech nagle został zwolniony i poszedł sobie do domu. Może nas tak wszystkich dzisiaj wypuszczą na sylwestrowy bal? – zakończył z humorem pan Henryk.

Podnieceni tym zdarzeniem i tym, co na końcu powiedział nasz kolega, zaczęliśmy częściej spoglądać na drzwi w nadziei, iż może istotnie ktoś jeszcze zostanie wezwany do śledczego, a następnie zwolniony do domu, lecz, niestety, nikogo już nie zawołano. W dodatku tego dnia bardzo szybko ucichł ruch po drugiej stronie korytarza, gdzie były biura naszych śledczych – widocznie w Sylwestra poszli szybciej do domu.

Po ułożeniu się do spania i zgaszeniu światła w celi dużo jeszcze rozmawialiśmy o panu Wojciechu oraz jego zagadkowym wyjściu na wolność, przypominając zarazem różne uprzednie, trochę dziwne spostrzeżenia, dotyczące jego osoby. Potem mówiliśmy sobie, że pewnie już mocno bawi się on na balu, pijąc nie tylko szampana, co – jak mówił – bardzo lubił, jeśli miał jakąś okazję, choć niektórzy podejrzewali, że być może przeniesiono go tylko do innej celi.

Długo jeszcze gawędziliśmy tego wieczoru na temat sylwestrowych zabaw, uczt, zwyczajów i wspomnień w nadziei, że doczekamy tak do północy. Chcieliśmy usłyszeć witające nowy rok wiwaty i wystrzały oraz popatrzeć na ogniste fajerwerki, bo atrakcji w celi nie było za dużo i należało wykorzystać każdą okazję, aby się trochę rozerwać i rozweselić. Przebywaliśmy na najwyższym oddziale, a jak twierdził pan Mieczysław, ponad dachami budynku sądowego miały być dobrze widoczne owe sztuczne ognie, petardy i rakiety. Powiedzieliśmy nawet sobie, że na wypadek, gdybyśmy pousypiali, a ktoś by nie usnął albo w tym czasie ze snu się zerwał, żeby pozostałych chętnych do obejrzenia tych fajerwerków obudził, ale wszyscy usnęliśmy, nikt też się nie obudził i niczego nie widzieliśmy. Rano tylko złożyliśmy sobie życzenia, przede wszystkim jak najszybszego wyjścia na wolność i oby każdy z nas w tym nadchodzącym roku opuścił tę twierdzę.

*

Jakoż niedługo zacząłem całkiem realnie myśleć o tej wolności, ponieważ ósmego stycznia po południu oficer prowadzący dochodzenie oświadczył mi, że moje śledztwo zostało zakończone.

Miałem nadzieję, iż ostatecznie w dochodzeniu tym nie zdołano mi wmówić niczego, czego w rzeczywistości nie było, choć w sumie śledztwo to mocno mnie wymęczyło. Bywały w nim chwile srogie i pełne napięcia, mogące grozić dużymi konsekwencjami, jak i momenty całkiem humorystyczne, gdyby nie to, że czasami mogły również wywołać nie wiadomo jakie skutki. Starłem się wszakże utrzymać kontrolę nad tym, co się w śledztwie działo, i uważałem, iż w końcu dobrze mi ono wypadło.

Jeśli chodzi o mój pamiętnik, to bez najmniejszych wątpliwości przeczytano by go wielokrotnie i drobiazgowo przebadano również wtedy, gdyby nie był zaszyfrowany, lecz sam pomysł zabrania go ze sobą był chyba zupełnie słuszny. Mógł on być dowodem, że moja ucieczka nie była przez nikogo organizowana, jak mi to usiłowano wmówić, tylko wynikała z sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Po powrocie do celi przekazałem kolegom wiadomość o zakończeniu śledztwa. Tak jak sam już się orientowałem, powiedzieli, że za kilka tygodni odbędzie się moja rozprawa, po której – dodali – na pewno wyjdę na wolność, otrzymując z pół roku lub rok w zawieszeniu. Również i ja liczyłem na podobny wyrok, chociaż czasami nie byłem tego bardzo pewny.

Teraz po zakończeniu śledztwa był dobry moment na odpisanie na list, jaki zaraz po świętach z domu otrzymałem. Był on pisany jeszcze przed Bożym Narodzeniem, a w kopercie znajdowała się połowa opłatka. W liście nie czyniono mi wyrzutów za sytuację, jaką sobie zgotowałem, jakkolwiek nie powstrzymano się od zdziwienia, że się w więzieniu znalazłem. Dowiedziałem się, że Stachowi nie udało się odroczyć służby wojskowej na jeszcze jeden rok i zabrano go do wojska zaraz po moim wyjeździe. Napisano, że w czasie świąt Regina ma wyjść za mąż za Olka, którego już przedtem znałem. Powiadomiono Franję o mojej sytuacji. Powiedziała, że przyjedzie odwiedzić mnie w więzieniu, jeśli w najbliższym czasie do domu nie wrócę.

Odpisałem, że śledztwo zostało już zakończone; może za miesiąc będę miał rozprawę, po której na pewno wyjdę na wolność i przyjadę do domu. Dodałem, iż dokładnie nie wiem, kiedy odbędzie się moja rozprawa, ale jak tylko się dowiem, to zaraz o tym napiszę.

Od czasu zakończenia śledztwa mogłem korzystać z moich pieniędzy zajętych w czasie zatrzymania mnie w Zawidowie i przeznaczyć je na wypiskę. Pieniądze te zostałyby zarekwirowane, gdybym w śledztwie nie powiedział, iż nie miałem zamiaru ich zabrać ze sobą do Czechosłowacji, tylko chciałem za nie jeszcze sobie cokolwiek kupić w Zawidowie. Wywóz polskich pieniędzy za granicę powyżej pewnej, bardzo niewielkiej kwoty był niedozwolony. Od czasu zwrotu mi tej sumy znacznie poprawiłem moje menu, które teraz uczyniłem bardziej urozmaiconym i odżywczym. Pieniądzy tych było jeszcze ponad trzysta złotych i mogło to wystarczyć na wielotygodniowe uzupełniające zakupy kielbasy, dżemu, cukru do kawy i dodatkowego chleba jak również na rewanżowanie się kolegom za ich uprzednie poczęstunki.

*

Dwudziestego pierwszego stycznia został mi wręczony przez prokuratora akt oskarżenia. Po dokładnym przeczytaniu go byłem mocno zdziwiony i sfrustrowany. Zawierał on wiele różnych nieścisłości, zniekształcających rzeczywistość, mimo wielokrotnych zeznań, ustaleń i uzgodnień wszystkich spraw ze śledczym, który był chyba współredaktorem tego aktu i pod pieczęcią Wojewódzkiego Urzędu d/s Bezpieczeństwa Publicznego go podpisywał.

Czytając ten dokument, w którym wyszczególniono nawet, że nie posiadałem odznaczeń i orderów, nie sposób było oprzeć się wrażeniu, iż moja sprawa widziana w tym akcie przez pryzmat różnych artykułów, punktów i paragrafów nabrała jakiegoś nieprawdziwego, formalnego, mocno spłaszczonego charakteru i przedstawiała się niczym w krzywym zwierciadle. Zostałem w tym piśmie nazwany „przestępcą granicznym”, chociaż granicy nawet nie widziałem i być może byłem jeszcze od niej daleko.

Postawieniem sprawy na głowie i dość istotnym jej przekłamaniami był w akcie oskarżenia zapis, że po opuszczeniu Karolewa moim głównym celem był przyjazd do

brata, a nie przeniesienie się do Technikum Rolniczego w Chojnowie, o co niby zacząłem ubiegać się dopiero później, a przecież u brata znalazłem się tylko dlatego, że z przyczyn uprzednio opisanych do szkoły nie zostałem przyjęty.

Niezrozumiałe i dziwne było też sformułowanie, że „zrezygnowałem z dalszego uczęszczania do szkoły”, tak jakbym do szkoły w Chojnowie już uczęszczał, a potem z niej zrezygnował.

O szyfrze nie wspomniano ani słowem, natomiast za wielkie zuchwalstwo poczytano to, iż przed ucieczką zaopatrzyłem się w specjalne podkładki pod buty, mające na celu skierowanie pościgu w odwrotnym kierunku, a więc wprowadzenie władzy w błąd.

Wszelako byłem świadomy, że te wszystkie zarzuty i nieściśności nie są tak bardzo istotne, gdyż najważniejszą sprawą jest sam zamiar ucieczki za granicę, a w szczególności jego przyczyny. Tutaj uważałem, iż powody te zostały całkowicie i korzystnie dla mnie w śledztwie wyjaśnione, a w czasie rozprawy usunę pozostałe wątpliwości. Nie należy więc niczym się przejmować, bo na pewno wszystko będzie dobrze.

*

O dacie rozprawy udało mi się po wielu staraniach dowiedzieć dopiero na kilka dni przed jej terminem. Nie było już sensu pisanie o tym do domu i lepiej było parę dni jeszcze poczekać i napisać już po procesie, powiadamiając zarazem o jego wyniku. A jeszcze lepiej będzie – w duchu pomyślałem – jeśli w wypadku wypuszczenia mnie po rozprawie na wolność zrobię niespodziankę i sam do domu przyjadę.

Z czterech więźniów z celi, których rozprawy już się odbyły, jeden poszedł do domu następnego dnia po posiedzeniu sądu, otrzymując pół roku więzienia z zawieszeniem na trzy lata. Następny otrzymał pół roku, a dwóch po roku więzienia bez zawieszenia kary.

Zauważyłem, że wszyscy ci, którzy dalej zaszli i byli bliżsi celu, otrzymali wyższe wyroki niż ci, których na przykład zatrzymano jeszcze przed granicą. W związku z tym spostrzeżeniem miałem dużą nadzieję, że zostanę wypuszczony do domu zaraz po procesie.

Te kilka dni dzielące mnie od rozprawy były chyba najdłuższymi dniami, jakie spędziłem w więzieniu. Przeżyłem je w największym zniecierpliwieniu i podenerwowaniu. Nie myślałem o niczym więcej jak tylko o rozprawie i wyjściu na wolność. Układałem plany, co będę robił w Kwidzie po przyjeździe do domu. Mogłem zimą zaangażować się do wyrębu lasu, jaki przeprowadzano w pobliżu naszej wsi, przy którym pracowało dużo młodych chłopców z najbliższych okolic. Jeśliby do tej pracy mnie nie przyjęto, to w domu spędziłbym kilka miesięcy, pomagając w gospodarstwie, a od wiosny przystąpiłbym do pracy na polu w tamtejszej spółdzielni produkcyjnej, chociaż nie miałem zbyt wielkiej ochoty pracować w spółdzielni po tym, co na ich temat nawet tutaj w więzieniu słyszałem. Mógłbym w niej jednak popracować do września, kiedy to mieszkając blisko Karolewa, zapewne szybciej zdołałbym załatwić to przeniesienie do Technikum Rolniczego w Chojnowie. Jednakże teraz po tym, co zaszło, i będąc prawie pewnym, że mój śledczy na różne sposoby dotarł do obu szkół, trochę obawiałem się, czy z moją kryminalną przeszłością zechcą w ogóle ze mną w szkołach rozmawiać, a tym bardziej do technikum w Chojnowie mnie przyjąć. W tych okolicznościach może już lepiej byłoby popracować w spółdzielni produkcyjnej w Kwidzie do czasu ukończenia osiemnastu lat, a potem pójść do jakiejś pracy w Kętrzynie lub wyjechać gdzieś dalej w Polskę. Widywałem przecież w prasie ogłoszenia, w których poszukiwano różnych

pracowników, oferując zamieszkanie w hotelu robotniczym, więc w ten sposób mógłbym sobie jakoś dać radę.

Wreszcie nadszedł dzień mojego procesu. Był nim 16 lutego 1955 roku, środa. Po śniadaniu z niecierpliwością i niemałym strachem oczekiwałem ze dwa lub trzy długie kwadransy na otwarcie drzwi celi i wywołanie mnie na rozprawę. W końcu nastąpił ten moment.

Nasze więzienie poprzez jeden z pawilonów łączyło się z budynkiem sądu. Idąc oddziałami, pawilonami, korytarzami i różnymi przejściami doprowadzono mnie do poczekalni dla więźniów, przylegającej do sal sądowych od frontu. Oczekiwało tam już wielu więźniów i nowi wciąż przybywali. Co jakiś czas wołano kogoś na rozprawę. Może po pół godzinie wezwano i mnie. Dwóch milicjantów wprowadziło mnie do wielkiej, aczkolwiek zupełnie pustej sali. Po chwili wszedł cały skład sędziowski. Wraz z milicjantami powstałem z ławy, a gdy sędziowie zajęli miejsca, zaczęła się rozprawa. Przez cały czas stałem przy ławie oskarżonych w otoczeniu owych dwóch milicjantów siedzących tuż obok mnie na ławie. obrońcy nie miałem. Rozprawa odbywała się przy zamkniętych drzwiach, dlatego też nikogo z publiczności nie było na sali. Odpowiadałem na zadawane mi pytania, w większości na nie potakując z tym, że wniosłem kilka uwag na temat meritum sprawy, a w szczególności to, iż celem mojego przyjazdu w tutejsze strony był wyłącznie zamiar przeniesienia się z Technikum Rolniczego w Karolewie do takiej samej szkoły w Chojnowie, a nie przyjazd do brata, jak zapisano to w akcie oskarżenia. W tej części posiedzenia sądu trwało może trzydzieści minut, po czym zarządzono przerwę na naradę i wymierzenie wyroku. Milicjanci znowu wyprowadzili mnie do poczekalni, gdzie oczekiwałem, jak mi się wydawało, bardzo długo.

Gdy wprowadzono mnie z powrotem na salę, byłem mocno zdziwiony, ponieważ w tym obszernym pomieszczeniu znajdowało się bardzo dużo ludzi i wszystkie miejsca dla publiczności zostały zajęte. Wiele osób stało, zwłaszcza po bokach sali. Dokładnie pamiętam uroczą dziewczynkę stojącą przed publicznością po lewej stronie. Miała ze trzynaście lat i ciemne włosy do ramion. Stała przez cały czas prawie nieruchomo. Zapewne przyszła z rodzicami, którzy wiedzieli jaka to rozprawa i może chcieli, żeby ich córeczka coś z niej pojęła, dobrze się uczyła, trzymała się domu i rodziców, a ryzykownych eskapad rozważnie unikała.

Zastanawiałem się, dlaczego tak dużo ludzi przybyło na salę. Czyżby na temat mojej ucieczki napisano jakiś artykuł w prasie. Czy ten bardzo aktualny wówczas przedmiot mojej sprawy zainteresował tak wielu ludzi.

Nastąpiło ogłoszenie wyroku. Wszyscy powstałi z miejsc. Poważny głos sędziego donośnie rozbrzmiewał po sali:

„W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej,
dnia 16 lutego 1955 roku,

Sąd Powiatowy dla miasta Wrocławia w Wydziale V Karnym po rozpoznaniu w dniu 16 lutego 1955 roku sprawy Piotra Borodyńskiego, syna Andrzeja i Józefy z Kamińskich, urodzonego dnia 24 czerwca 1937 roku w Serpelicach, powiat Biała Podlaska, zamieszkałego w Kwidzie, powiat Kętrzyn, oskarżonego o to, że:

I. W dniu 23 listopada 1954 roku w Zawidowie, powiat Lubań, w zamiarze przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej w kierunku do Czechosłowacji, w miejscu na to nie przeznaczonym i bez właściwych dokumentów, przybył do strefy granicznej, lecz zamierzonego skutku nie osiągnął, ponieważ został zatrzymany przez patrol WOP, to jest o czyn przewidziany w artykule 23 kodeksu karnego.

II. W czasie, miejscu i okolicznościach opisanych w punkcie I-szym, w celu uchylenia się od powinności celnej i wykroczenia przeciwko ograniczeniom wywozowym, nie posiadając zezwolenia na wywóz z Polski do C.S.R. dziesięciu tabliczek czekolady na ogólną sumę 150 złotych, przybył do strefy granicznej, lecz

zamierzonego skutku nie osiągnął, gdyż został zatrzymany przez patrol WOP, to jest o czyn przewidziany w artykule 48, paragraf 1, punkt 2 P.K.S.

I. Uznaję Piotra Borodyńskiego za winnego dokonania zarzuconych mu czynów i za czyn opisany w punkcie I-szym, na zasadzie artykułu 23 kodeksu karnego o granicach państwa, skazuję go na jeden rok i sześć miesięcy więzienia, a za czyn opisany w punkcie II-gim, skazuję go na dwieście złotych grzywny, z zamianą, w razie nieściągalności, na dwadzieścia dni więzienia.

II. Na zasadzie artykułu 58 kodeksu karnego zaliczam mu na poczet kary pozbawienia wolności okres tymczasowego aresztowania od dnia 24 listopada 1954 roku do dnia 16 lutego 1955 roku.

III. Orzekam przepadek na rzecz Skarbu Państwa 9 sztuk tabliczek czekolady, zdeponowanej w Urzędzie Celnym we Wrocławiu.

IV. Uwalniam oskarżonego od kosztów sądowych, zaliczając koszty postępowania na rachunek Skarbu Państwa.

Uzasadnienie:

W dniu 23 listopada 1954 roku w Zawidowie oskarżony Piotr Borodyński usiłował nielegalnie przekroczyć granicę z Polski do Czechosłowacji i został zatrzymany przez patrol WOP, mając przy sobie dziesięć tabliczek czekolady. Do winy całkowicie przyznał się podając, że szedł do Czechosłowacji, aby tam znaleźć pracę.

Sąd, uznając jego winę za udowodnioną, skazał go na karę jak w sentencji wyroku, zważywszy szkodliwość społeczną czynu oskarżonego oraz z drugiej strony jego młody wiek i dotychczas nienaganną przeszłość”.

Od razu pragnę tu wyjaśnić, że sprawa liczby tabliczek czekolady w akcie oskarżenia i odpisie wyroku przewija się różnie z tego powodu, że jedna tabliczka była już napoczęta i śledczy oddał mi ją w czasie dochodzenia.

*

Byłem bardzo zaskoczony tym wyrokiem i nie mogłem dociec przyczyny tak wysokiego wymiaru kary. Sprawa jednak nie była ostatecznie przesądzona, ponieważ przysługiwało mi jeszcze prawo apelacji od wyroku do sądu wojewódzkiego, z czego oczywiście nie zamierzałem zrezygnować.

Wyrokiem tym byli również zdziwieni współwięźniowie w celi, ale chyba najbardziej był nim zdumiony nasz najstarszy wiekiem oddziałowy, Góral, który prowadząc mnie z rozprawy do celi, dowiedziawszy się o tej sentencji, powiedział, że jest ona dla niego wprost nie do uwierzenia, po których to słowach dodał:

– Musisz złożyć apelację w sądzie wojewódzkim o zmniejszenie kary i zrób to jak najszybciej, bo czym wcześniej odbędzie się rozprawa rewizyjna, tym prędzej może wypuszczą cię do domu.

Chociaż byłem moim wysokim wyrokiem zaskoczony, nie byłem nim skonsternowany. Prawie trzy miesiące już odsiedziałem – mówiłem sobie – więc odbędę jakoś i pozostałe piętnaście miesięcy kary. Ponadto pocieszałem się, że rewizja procesu na pewno zmniejszy ten wyrok, a może też w końcu zostanie uchwalona amnestia, o której tak już głośno mówiono i której powszechnie oczekiwano. Będę mógł także pisać o wcześniejsze zwolnienie warunkowe po odbyciu części kary – pomyślałem sobie.

Następnego dnia zgłosiłem Góralowi decyzję złożenia podania o rewizję procesu i poprosiłem o papier. Po niedługim czasie oczekiwania oddziałowy wrócił i wręczył mi arkusz kratkowanego papieru. Wszelako na czas pisania apelacji zaprowadził mnie do mieszczącej się obok izolatki, która w owych dniach była akurat wolna. Pewnie uczynił to dlatego, abym, pisząc tak ważne pismo, miał warunki do zachowania dyskrecji i żeby był spokój i nikt mi nie przeszkadzał. Prośbę o rewizję rozprawy i o uniewinnienie lub zmniejszenie wyroku umotywowałem tym, że jestem jeszcze

bardzo młody – mam tylko siedemnaście lat – i że powinno to być dla mnie okolicznością łagodzącą. Następnie zwróciłem uwagę na to, że granicy jeszcze nie przekroczyłem i nie jestem pewny, czy bardziej zbliżywszy się do niej, w ostatniej chwili nie rozmyśliłbym się i nie zrezygnował z tego zamiaru. Nie omieszkałem też napisać, że jestem chory na serce i płuca, powołując się na badania i leczenie, jakie tu w więzieniu przeprowadziłem, jak również na te, które odbywałem w Olsztynie, a nawet powołałem się na ewentualne poświadczenie współwięźniów, którzy moje dolegliwości znali, gdyż rzeczywiście nieraz im o nich wspominałem.

Zaraz po powrocie do swojej celi, będąc już w trochę lepszym humorze, napisałem list do domu, do Frani i do Kazika, powiadamiając ich o wyroku i o złożeniu apelacji od tego orzeczenia do sądu wojewódzkiego, który na pewno zmniejszy tę karę do sześciu miesięcy lub może do roku. Napisałem też, że mam jeszcze sporo pieniędzy w więziennej kasie na wypiskę i jakoś ten czas będzie mi leciał. Zaproponowałem Frani, aby przyjechała mnie odwiedzić wiosną albo latem, gdyż wtedy na dworze była bardzo brzydka zima. Poprosiłem ją, żeby przekazała Stachowi w wojsku mój adres lub przysłała mi adres jego jednostki, bym mógł się dowiedzieć, co u niego słychać, i żeby, korespondując, czas upływał mi szybciej. Napisałem to wszak zbędnie, bo chyba w dwa dni później list otrzymałem od Stacha. Był w Szczecinie i służył w WOP-ie. Trafił tam zapewne dlatego, że poszedł do wojska jeszcze przed moim aresztowaniem.

*

Pierwszego marca zostałem przeniesiony na oddział karny do pawilonu „C”, gdzie również znalazłem się na najwyższym, czwartym oddziale. Zostałem umieszczony w dwuosobowej celi, numer 116, w której przebywał dwudziestoletni młodzieniec. Był to chłopiec raczej mało ciekawy, o niezbyt skoordynowanym myśleniu i mówieniu. Właściwie nie wiem, za co był karany, bo za każdym razem mówił co innego. Był jednak cichy, w miarę grzeczny i mogłem spokojnie pędzić z nim ten mój więzienny żywot. Spaliśmy na żelaznym, piętrowym łóżku – on na dole, ja u góry. Na początku w tej małej celi z tym małym mównym kolegą trochę się nudziłem, lecz po dwóch, trzech tygodniach dołączył do nas może dwudziestopięcioletni młodzieniec i od tego czasu życie w celi ożywiło się i jakby ruszyło do przodu. Lubił on opowiadać i umiał to czynić, a jako że miał już w swoim życiu dużo różnych przygód i przeżyć, więc miał też o czym mówić, szczególnie o dziewczynach. Zdaje mi się, że wraz z jego przybyciem wniesiono do celi siennik, ale on spał w łóżku na dole razem z kolegą, przystawiając do łóżka stołki, choć mimo to widziałem, że jest im ciasno.

Tu na oddziale karnym były w celi warcaby oraz szachy, otrzymywaliśmy codziennie lokalną gazetę i co tydzień ilustrowane czasopismo, którego tytułu już nie pamiętam. W prasie tej pilnie wyszukiwałem wiadomości z kraju, które mogłyby być zwiastunem ogłoszenia amnestii. Jednakże na przekór temu, co powszechnie mówiono, wyczytywałem, że w Polsce wszystko przebiega w najlepszym porządku i wszyscy zgodnie budują socjalizm. W prasie nie było niezadowolonych, nie odnotowywano starć, kryzysów, zamieszek ani żadnego innego oporu. Z wiadomości zagranicznych przypominam sobie to, że premiera Churchilla zastąpił na tym stanowisku Eden, a 18 kwietnia zmarł w USA Albert Einstein.

Z tego okresu pobytu w więzieniu pamiętam i to, że pierwszego dnia świąt Wielkiej Nocy zjadłem w celi po raz pierwszy obiad złożony z dwóch dań, ponieważ, oprócz zupy, podano nam kotlet rybny z ziemniakami i surówką z kiszanej kapusty.

*

Pewnego kwietniowego poranka oddziałowy powiadomił mnie, iż zostałem skierowany do pracy przy sklejaneniu pudełek do papierosów, po czym mnie oraz paru młodych więźniów z innych cel naszego oddziału zaprowadził, ku memu wielkiemu

zdumieniu, do mojej poprzedniej celi, w której teraz urządzono pracownię do sklejanego owych pudełek. Znajdowało się już w niej kilku młodzieńców, doprowadzonych tu z innych oddziałów. Niestety, nikogo z moich znajomych nie było. Pomyślałem od razu, że prawdopodobnie dlatego zrobiono na niektórych oddziałach przetasowania więźniów i zagęszczono cele, o czym opowiadano niedawno w łaźni, bo pewnie szykowano miejsce na tę pracownię.

W mojej poprzedniej celi stało teraz kilka dużych stołów, obstawionych naokoło ławkami i stołkami, oraz leżały sterty odpowiednio wyciętych kartoników z wielkim napisem DUKAT i innymi, drobniejszymi napisami, jakie zwykle znajdują się na każdym pudełku od papierosów. Przedstawiciel fabryki poinformował nas, jak trzeba te kartoniki zginać i sklejać, co należało wykonywać przy pomocy drewnianych form w postaci prostokątnych deszczulek, wielkości równej sklejanym pudełkom, oraz pędzelków i kleju. Za tę robotę mieliśmy otrzymywać akordowe wynagrodzenie, wprawdzie bardzo niskie, ale nikt nie protestował, bo lepsze było to zajęcie w dużej grupie młodych więźniów niż bezczynne przebywanie w celi.

Gdy produkcja ruszyła, przy naszym stole siedziało sześciu młodzieńców, pracujących w dwóch zespołach. Jeden z trójki przykładał drewniane formy do kartoników, które następnie wokół tych form zaginał. Drugi zagięte brzegi kartoników smarował klejem, a trzeci posmarowane krawędzie stykał i wokół form dociskał, po czym z nich zdejmował i gotowe już pudełka układał w wielkich kartonach.

Wkrótce bardzo zgraliśmy się i wzajemnie poznaliśmy, a czas przy pracy i opowiadaniach upływał szybko i przyjemnie.

Najbardziej zaprzyjaźniłem się z Jurkiem z Kielca, pracującym w naszym zespole. Mieliśmy wspólne tematy do rozmowy, ponieważ był skazany z tego samego artykułu, co ja, za przekroczenie granicy polsko-enerdowskiej, którą przeszedł pod jakimś niewielkim, zamkniętym dla ruchu mostem na Nysie. Uznał to za bezpieczniejsze niż przechodzenie przez most, który musiał znajdować się pod szczególną obserwacją. I rzeczywiście. W czasie jego przepływania się przez rzekę weszli na most polscy, a potem niemieccy żołnierze i wszczęli na nim dłuższą rozmowę. Miał wrażenie, że coś ze sobą handluje. Było to w letnią, lecz zimną noc. Ukryty za filarem, przeczekał te groźne chwile, a gdy żołnierze odeszli, zdołał przejść na drugą stronę Nysy i oddalić się od granicy. Został jednak potem zatrzymany na bocznej, prawie polnej drodze przez enerdowskich milicjantów jadących na motorach. Dowieziono go na posterunek, przesłuchano, po czym odesłano do Neschwitz.

Po pięciu godzinach tej bądź co bądź nużącej pracy wracaliśmy do swoich cel. Po wyjściu na korytarz doznawałem uczucia ulgi i w drodze powrotnej do swojej celi było nawet przyjemnie tak iść po tych oddziałach i pawilonach, a niekiedy wydawało mi się, że owe pawilony i oddziały, wielkie bramy oraz mocno pozabezpieczone drzwi, choć z wyglądu bardzo złowrogie, są zarazem imponujące i majestatyczne, wywierające na mnie niezwykle wrażenie.

Mimo tych impresji, gdy przechodziłem korytarzami, oczy zawsze błądziły po różnych zakamarkach, szukając jakichś gzymsów, kanałów, kominów, wietrzników lub innych dróg dających nadzieję i szansę na znalezienie sposobu ucieczki.

Czasami zastanawiałem się, do czego służy druciana siatka rozciągnięta poziomo między korytarzami, wzdłuż całych pawilonów na wysokości pierwszych oddziałów. Gdy kilka razy na ten temat dyskutowałem z więźniami, jedni mówili, że jest to zabezpieczenie przeciw samobójstwom, a inni byli zdania, że po to, by nie móc z górnych korytarzy zeskoczyć czy opuścić się po czymś na parter i w ten sposób chciano utrudnić więźniom ewentualną ucieczkę.

*

28 kwietnia, w czasie zajęć przy sklejanii pudełek, wszedł do pracowni oddziałowy, wyczytał kilka nazwisk i oznajmił, że po obiedzie wymienione osoby mają przygotować się do wyjazdu do ośrodka pracy – a jak potem kilku chłopaków dopowiedziało: – na pewno do pracy w kopalni węgla kamiennego. W liczbie wywołanych pięciu czy sześciu więźniów znalazłem się również ja, a także Jurek.

Chociaż praca w kopalni dość mnie zatrwożyła, to wyjazd ten trochę mnie też ucieszył i z niecierpliwością oczekiwałem końca zajęć, żeby pójść na obiad i udać się w tę podróż. Jeśli mielibyśmy jechać do pracy w kopalni, to pomyślałem, że na pewno wywożą nas gdzieś tu w pobliże na Dolny Śląsk, może do Wałbrzycha lub jego okolic. Było wszakże możliwe, iż przetransportują nas na Górny Śląsk, co wydawało mi się, że byłoby ciekawsze, ponieważ dłużej podróżowalibyśmy, czego już od dawna przecież nie czyniłem.

Po obiedzie i pożegnaniu się z kolegami w celi oddziałowy doprowadził mnie oraz kilku innych młodzieńców z naszego oddziału do grupy około dwudziestu więźniów oczekujących na dole na transport do obozu pracy. Jurek, który odsiadywał swój wyrok na innym oddziale, już był w tej grupie. Po dołączeniu do nas następnych skazanych wyprowadzono wszystkich na zewnątrz i załadowano do kilku więziennych suk, w których, z powodu ścisłości, nie można było nawet poruszyć się, i zawieziono na dworzec. Tu, przy jakimś bocznym peronie, przesiadliśmy się do specjalnego więziennego wagonu o zakratowanych oknach, gdzie zaraz po naszym wejściu pozamykano wszystkie drzwi na klucz. Do kilku ośmioosobowych przedziałów wciśnięto nas chyba po dwunastu, a gdy zajęliśmy, siedząc lub stojąc, wszystkie możliwe do wykorzystania miejsca, oczekiwaliśmy na odjazd. Jednakże musieliśmy czekać jeszcze długo, bo do chwili przyjazdu następnych skazanych, być może z naszego więzienia lub z wojewódzkiego przy ulicy Klęczkowskiej, którymi zapełniono pozostałe przedziały naszego wagonu. Wkrótce jednak po dokonaniu tej operacji podjechała lokomotywa, która dołączyła nas do pociągu (nie pamiętam, ale zapewne osobowego) i ruszyliśmy w drogę.

W wielkim tłoku i zaduchu jechaliśmy w kierunku Górnego Śląska, chociaż ja jeszcze w czasie postoju zmieniłem swoje zdanie i wolałem już, żeby wieziono nas bliżej – do Wałbrzycha. Późno w nocy przyjechaliśmy na stację w Sosnowcu, gdzie przewekslowano nasz wagon w kierunku Radochy, a po dojechaniu tam o świcie stanęliśmy na boczniczy kolejowej przy jakimś więzieniu czy obozie przejściowym. Tu zjedliśmy posiłek i w barakach na piętrowych łózkach przespaliśmy się do późnego rana.

Po śniadaniu przez kilka godzin dzielono nas na grupy z przeznaczeniem do różnych kopalń. Razem z Jurkiem znaleźliśmy się w jednej grupie, liczącej około dwudziestu więźniów, którą po obiedzie, samochodem z budą, pod eskortą siedzących w szoferce i z tyłu przy klapie pojazdu uzbrojonych w pistolety maszynowe strażników, przewieziono do Wesolej, oddalonej kilkanaście kilometrów od Sosnowca. Pamiętam, że po drodze ktoś krzyknął: – Jak fajnie! Jedziemy teraz z Radochy do Wesolej! – Zastanawiałem się i sam nie wiedziałem, czy to tylko zwykła zbieżność nazw, czy też jakaś ironia losu. Kończąc tę podróż, wjechaliśmy w bramę Ośrodka Pracy Więźniów w Wesolej II, gdzie po dłuższym czasie dyskusji i jakiegoś bałaganu organizacyjnego rozlokowano nas w znajdujących się tam drewnianych barakach.

6. W KRAINIE, W KTÓRE SŁOŃCE NIGDY NIE ŚWIECI

Cały ośrodek był otoczony wysokim murem i kolczastym drutem zawieszonym nad nim. Nie pamiętam, czy na całej długości muru, ale przynajmniej w niektórych jego miejscach były wmurowane u góry sterczące kawałki ostrego szkła. Na otaczającym murze stały wieże strażnicze, w których pełnili służbę uzbrojeni w maszynowe karabiny wartownicy obserwujący mur i cały ośrodek. Zarówno ogrodzenie, jak i baraki przedstawiały bardzo surowy i ponury widok i przypominały niemieckie obozy dla więźniów oraz jeńców wojennych i być może też były w czasie wojny dla nich wybudowane.

Zostałem umieszczony w baraku w dziesięcioosobowej sali z żelaznymi piętrowymi łózkami na miejsce więźnia, który – jak mi wyjawiono – uległ wypadkowi przy pracy w kopalni i został przewieziony do szpitala. Pocieszono mnie jednak, że praca w kopalni nie jest taka straszna, jak to się często mówi, a wypadki zdarzają się rzadko. Więźniowie zamieszkujący tę salę byli w różnym wieku i skazani za różne przestępstwa. Wszyscy pracowali na pierwszej – jak twierdzili – najlepszej zmianie, od godziny siódmej do piętnastej z dodatkiem półtorej godziny na zbiórkę, sprawdzenie obecności i dojście do pracy oraz tyleż czasu na powrót. Zakwaterowanie mnie na tej sali oznaczało, że będę chodził do pracy również na tę zmianę. Teraz byli oni już po pracy i po obiedzie, odpoczywali lub zajmowali się swoimi sprawami. Widziałem, że niektórzy coś szyją, a inni wracają z umywalni z wypranymi ręcznie drelichami albo skarpetkami lub innymi drobnymi rzeczami.

Po zakwaterowaniu się i zapoznawczej rozmowie ze współlokatorami sali wyszedłem, aby trochę się przejść po ośrodku. Obóz składał się z siedmiu baraków i wszystkie stały w rzędzie, zwrócone szczytami do drogi, która przebiegała wzdłuż ośrodka. Mogło w nich pomieścić się kilkuset skazanych. W ostatnim baraku znajdowała się stołówka. Po drugiej stronie drogi, przy bramie wjazdowej, stał budynek służbowy i świetlica, oddzielone od drogi ogrodzeniem oraz bramą z kolczastego drutu.

Mimo że zewsząd otaczały mnie mury i druty, spacerując drogą, czułem się niemal jak na wolności. Żaden strażnik z karabinem za mną nie chodził. Rozglądałem się, żeby gdzieś spotkać Jurka, ale widocznie był jeszcze zajęty urządzaniem się w którymś baraku i nie mogłem go nigdzie dostrzec, choć wielu przybyłych tu razem ze mną więźniów widziałem już na spacerze. Spotkałem go dopiero przy kolacji, kiedy obaj, wygłodniali, niewiele już ze sobą rozmawiając, przystąpiliśmy do jedzenia. Posiłek składał się z chleba, margaryny, słodzonej kawy zbożowej i paru cienkich plasterków żółtego sera. Chociaż nie było to dużo, wydawało się prawie ucztą w porównaniu z naszymi kolacjami w celi.

Wieczorem przy pięknej ciepłej pogodzie przeszliśmy się jeszcze z kolegą po ośrodku, obaj dochodząc do wspólnego wniosku, że jakkolwiek obóz ten nie napawa nas optymizmem, to jednak powinno tu być lepiej niż w więzieniu. Byliśmy tylko ciekawi, jak będzie wyglądała praca w kopalni, przed którą obaj odczuwaliśmy trochę strachu, ale pocieszaliśmy się, że i tak mamy szczęście, że nie przywieziono nas do jakiejś kopalni uranu. Jurek słyszał o jednej takiej kopalni w Kowarach. Mówił, że ma ona jeszcze lepszą nazwę od tutejszej „Wesołej” i nazywa się „Wolność”. Gdyby tak do niej zawieźli, to nie musieliby już nawet wypuszczać nas na wolność, bo przecież mielibyśmy ją tam na co dzień. Poza tym Jurek twierdził, że po kilku miesiącach lub po roku pracy w takiej kopalni, na niektórych stanowiskach, człowiek sam już by

wyszedł na wolność, od razu do raj! – Już lepiej byłoby, gdyby wywieźli na „białyje miedwiedzi” niż do takiej kopalni – zakończył z posępną miną kolega. Chciałem jeszcze powiedzieć, iż tam są również podobne kopalnie, ale nie powiedziałem, bo po co było psuć sobie bardziej humor, w taki wiosenny wieczór.

Jurek, niestety, trafił na drugą zmianę, pracującą od godziny 15.00 do 23.00, która w chwili naszego przyjazdu przebywała pod ziemią, tak że nawet nikogo jeszcze ze swoich przyszłych kolegów z sali nie widział. Pocieszał się jednak, iż pracując na tej zmianie, będzie mógł z rana dłużej sobie pospać.

Następnego dnia po śniadaniu, niewiele różniącym się od kolacji, wszyscy z naszego transportu zostaliśmy zatrudnieni przy robieniu wiosennych porządków na grządkach kwiatowych w pobliżu świetlicy. Skopywaliśmy ziemię, grabiliśmy i palili zeschnięte liście oraz badyle i podlewaliśmy kwiaty. Była to sobota, trzydziestego kwietnia. Pogoda była cudna, świeciło słońce. Na dworze, szczególnie tu na zalanym słońcem kwietniku, było bardzo ciepło i czuło się pełnię wiosny. Wiele kwiatów już kwitło, a krzewy i widoczne za bramą drzewa były zielone. Nie mogłem oprzeć się myślom, jak pięknie musi być na wolności.

Po pracy zjedliśmy w stołówce obiad, który składał się z dwóch dań. Choć był to bardzo przeciętny posiłek, to spracowani w kopalni więźniowie pałaszowali go z wielkim apetytem.

Do pracy w kopalni mieliśmy się udać drugiego maja. Popołudnie tego ostatniego dnia kwietnia pozostawiono nam do naszej dyspozycji, a po kolacji odbył się przed barakami wieczorny apel. Święto pierwszomajowe z rana spędziliśmy w świetlicy na akademii, a po tej uroczystości do obiadu, jak i po obiedzie opalaliśmy się przed barakami.

*

Drugiego maja, o godzinie piątej rano, głośnie „poo-poo-pobudka”, rozlegające się na korytarzu, obudziło nas wszystkich na sali i wezwało do opuszczenia łóżek. Każdy, kto wstał, biegł jak najszybciej do umywalni, żeby potem nie czekać długo w kolejce na wolny kran, chcąc się ogolić i umyć.

Po porannej toalecie, zaściłaniu łóżek i przygotowaniu się do pracy poszliśmy do stołówki na śniadanie, na które do zbożowej kawy i chleba podano nam kilka plasterków czarnego salcesonu. Po posiłku cała pierwsza zmiana, w liczbie około dwustu więźniów, stanęła w szeregach przed główną bramą ośrodka, gdzie komendant straży sprawdził obecność, wywołując każdego więźnia nie po nazwisku, lecz jego numerem. Każdy z nas bowiem po przybyciu do ośrodka otrzymał blaszany numer, który od tej pory był jego nazwiskiem, legitymacją, przepustką i wszystkim.

Po sprawdzeniu obecności otwarto bramę i pod eskortą kilku strażników cała kolumna więźniów, idąc ósemkami, wyszła na drogę prowadzącą do kopalni o nazwie „Wesoła II”, do której było ponad kilometr marszu. Gdy znaleźliśmy się już na jej terenie, po przeliczeniu wszystkich więźniów weszliśmy do wielkiego budynku, gdzie w jednym z magazynów wydano mi kombinezon, hełm i nakolanniki, a w okienku, w zamian za numer, otrzymałem lampę górniczą. W szatni przebrałem się w pobrany kombinezon i hełm, a swoje więzienne ubranie zawiesiłem na końcu łańcucha przewieszzonego w połowie na kółku u sufitu. Uczyniwszy to, drugi koniec pociągnąłem na dół kilka metrów, aż moje rzeczy znalazły się wystarczająco wysoko, aby nikt ich nie sięgnął. Następnie łańcuch zaczepiłem na haku i zabezpieczyłem otrzymaną kłódką. Więźniowie, którzy byli zaciągnięci do pracy w kopalni przedtem, mieli już swoje hełmy, kombinezony i nakolanniki wiszące na łańcuchach w szatni, a teraz tylko przebrali się, natomiast lampy każdego dnia pobierano od nowa, gdyż po pracy zdawano je do naładowania.

Przebrani w górnicze stroje, udaliśmy się wszyscy do szybu, w którym windą zjechaliśmy około pół kilometra w dół do kopalni. Tam, idąc na przodek, gdzie wydobywano węgiel, szliśmy ze dwa lub trzy kilometry chodnikami podobnymi do tuneli, w których często było wody powyżej kostek. Stąpaliśmy po leżących w wodzie deskach, lecz jeśli mimo to buty zamoczyły się lub nabrały wody, to nie było w tym nic nadzwyczajnego, ponieważ wodę w kopalni widziało się prawie wszędzie. Było tam jednak dość ciepło, jeśli nie stało się gdzieś w przeciągu tłoczonego do kopalni powietrza, i nie czuło się zimna, jeżeli nawet ktoś był zmoczony. Poza tym, tłumaczyłem sobie: idziemy przecież do ciężkiej pracy, przy której wszelka wilgoć powinna z nas szybko wyparować. Długi przemarsz chodnikiem umiłał nam trzydziestokilkuletni więzień, Sucki, który w ów dzień, jak i w wiele jeszcze następnych dni, tenorowym głosem śpiewał kilka bardzo melodyjnych piosenek. Lubiłem słuchać jego przyjemnego głosu i nastrajających melodii. Gdy już nauczyliśmy się tych piosenek, często śpiewaliśmy z nim razem.

Środkiem przemierzanego tunelu ciągnęły się szyny kopalnianej kolejki do wywożenia węgla, lecz w pewnym miejscu opuściliśmy chodnik główny i weszliśmy pod górę na prawo do węższego i niższego przejścia, w jakim był zainstalowany taśmociąg. Transportowano nim urobek ze ścian na przodku do chodnika głównego, gdzie, przy pomocy urządzenia podobnego do wielkiego leja, węgiel z taśmy przesypywano do wagoników, którymi następnie przewożono do szybu i windami do góry.

W miarę posuwania się do przodu grupa więźniów malała, bowiem po drodze zostawały na różnych stanowiskach pracy mniejsze lub większe grupki więźniów albo pojedyncze osoby.

Nie było obawy, że ktoś potem może wrócić i wyjechać sam z kopalni, ponieważ szybu i obu w nim wind pilnowali strażnicy, którzy kontrolowali wyjeżdżających ludzi. Było też sprawdzane, czy się ktoś nie ukrył w wagonikach w urobku.

Nie doszedłem do ściany, gdyż sztygar, będący cywilem, kazał mi zatrzymać się przy jednym z odcinków taśmociągu. Był to metalowy transporter czy też, inaczej mówiąc, przenośnik, długości może stu metrów, po którym na rolkach przesuwiała się gumowa taśma szerokości około osiemdziesięciu centymetrów. Sztygar polecił mi przeskoczyć na drugą stronę transportera, tam usiąść i wypatrywać kamieni oraz większych głazów znajdujących się w urobku i zwać je z taśmy na tamtą stronę chodnika. Kamienie te miały być potem zużyte na podsadzkę kładzioną w miejsce wydobytego węgla.

Zostałem w chodniku sam z moją lampą. Na szczęście było tu względnie sucho i nie było dużego przeciągu. Praca też przypadła mi do gustu i ochoczo się do niej zabrałem. Gdy pod koniec zmiany przyszedł sztygar zobaczyć, ile zrobiłem, był bardzo zdziwiony, iż tyle kamieni na taśmie zauważyłem i z niej zrzuciłem, czego podobno nikt jeszcze przede mną przez jedną szychtę nie zrobił.

Na koniec zmiany dołączyłem do kolegów wracających z przodka i przyszedłem do szybu. Tu w kolejności przybycia wsiadłem do windy i wyjechałem na górę. W okienku, podobnie jak wszyscy, oddałem lampę do naładowania i odebrałem swój numer. W łaźni pod prysznicem dobrze wymyłem się, a w szatni przebrałem się w swoje więzienne drelichy, zawieszając ubranie robocze na łańcuchu. Na zewnątrz uformowaliśmy kolumnę, którą – po przeliczeniu więźniów – wróciliśmy do ośrodka.

Po obiedzie siadłem na ławce przed blokiem na zasłużony wypoczynek. Chociaż wielce zmęczony, byłem bardzo zadowolony, że mam już ten pierwszy dzień pracy w kopalni za sobą.

*

W następane dni, wybierając się do pracy, byłem już spokojniejszy i pewniejszy siebie. Kamienie z taśmy zrzucałem jeszcze chyba przez tydzień. Kiedy zawałem głazami cały chodnik po nieprzechojonej jego stronie, kamienie wybierano z innego transportera tego taśmociągu, a mnie sztygar zlecił czyszczenie szuflą chodnika z opadającego z taśmy węgla i wrzucanie go z powrotem na przenośnik.

Po kilku dniach tej pracy mocno awansowałem, gdyż zostałem guzikarzem. Na stanowisku tym przyciskałem guzik, włączając lub wyłączając wielki elektryczny silnik wprawiający w obieg taśmę, na którą przesypywał się urobek z transportera przede mną. Prócz puszczenia w ruch i zatrzymywania taśmy do moich obowiązków należało także utrzymywanie porządku i czystości wokół mego miejsca pracy. Polegało to w szczególności na zgarnianiu do kupy i wrzucaniu łopatą z powrotem na taśmę spadającego czasami z niej węgla, podobnie jak czyniłem to uprzednio na całej długości chodnika. Teraz robiłem to tylko na początku mego transportera i przy końcu taśmy poprzedniej, dbając zwłaszcza o ciągłe oczyszczanie z opadającego węgla i miazgi przestrzeni wokół silnika.

Z rana, gdy taśma z przodu ruszyła i zaczęła sypać się z niej węgiel na moją taśmę, włączałem w ruch mój transporter, a wyłączałem go na końcu zmiany po zatrzymaniu się taśmy przede mną i odtransportowaniu węgla znajdującego się na mojej taśmie do wspomnianego leja i wagoników stojących na głównym chodniku. Wyłączałem również mój przenośnik w czasie różnych przerw, awarii, a zwłaszcza w chwili zerwania się mojej taśmy, kiedy to od razu sygnalizowałem lampą guzikarzowi z przodu, aby zatrzymał swój silnik. Zawsze musiałem mój transporter włączyć, gdy ruszał taśmociąg przede mną i sypał się z niego urobek na moją taśmę, bo gdybym tego nie uczynił, poprzedzający przenośnik zasypałby moją taśmę i silnik, co mi się na szczęście nigdy nie zdarzyło. Przytrafiło się to raz mojemu koledze z przodu, kiedy przyszedł do mnie na pogawędkę podczas postoju całego taśmociągu. Rozmawiając nie zauważył, że taśma poprzedzająca jego transporter ruszyła i po pewnym czasie zasypała jego taśmę i silnik. Uprzątnięcie zwału węgla, pokrywającego niemal całe jego stanowisko, zajęło prawie pół szychty i przerwało pracę na ścianie na wiele godzin. Oskarżono go o sabotaż, za co otrzymał nową sankcję karną, opóźniającą o pół roku jego wyjście na wolność, i przesunięto go na cięższe stanowisko pracy.

Jakkolwiek nie zdarzył mi się podobny przypadek przy pracy „na guziku”, to przeżyłem inny gorący moment w kopalni, przeze mnie nie zawiniony. Było to jeszcze w czasie, kiedy czyściłem chodnik. Gdy wstałem raz z miejsca, gdzie jadłem moje kanapki, i zdążyłem tylko na trzy kroki od niego odejść, z góry i z boku zwało się w to miejsce może z dwie tony głazów, tak że jeszcze tam, gdzie stałem, posypało się kilka mniejszych kamieni na nogi, nie czyniąc mi już większej krzywdy. Gdybym posiedział w tamtym miejscu jeszcze parę sekund, przywaliłoby mnie zupełnie.

Podobne przypadki zdarzały się i innym kolegom, a głaz, który spadł na plecy trzydziestopięcioletniemu Węglińskiemu, ładującemu węgiel na zgrzeblę z odstrzelonej ściany, zmiażdżył mu kręgosłup, co doprowadziło do jego śmierci w drodze do szpitala. Widziałem, jak dwóch więźniów górników niosło go na noszach, przechodząc wzdłuż mego taśmociągu. Bywały też innego rodzaju nieszczęśliwe wypadki, lecz po pewnym czasie zacząłem się do nich przyzwyczajać i postrzegać je jako nieodłączne sceny przy pracy w kopalni.

Wspominając o zgrzeblu, chcę tu wyjaśnić, iż był to żelazny, obudowany po bokach transporter, podobny do koryta, ustawiony wzdłuż eksploатовanej ściany. Przesuwający się na jego dnie łańcuch z metalowymi poprzecznymi prętami popychał ładowany nań węgiel w kierunku zainstalowanego na chodniku taśmociągu.

Prócz dwóch dziennych zmian wydobywających węgiel była jeszcze trzecia, nocna zmiana, pracująca od godziny dwudziestej trzeciej do siódmej rano,

składająca się chyba w całości z pracowników cywilnych, która między innymi robiła podsadzkę z kamieni, piasku lub innego materiału płonnego w miejscu wydobytego węgla, żeby nie nastąpiło tapnięcie. Przesuwała ona również zgrzebło bliżej ściany po wybraniu z niej odstrzelonego dynamitem węgla przez dzienne zmiany.

Za naszą pracę w kopalni otrzymywaliśmy wynagrodzenie według tych samych stawek, co górnicy cywilni, z tym że połowę zarobionej sumy zabierało państwo na koszty ośrodka i więziennictwa. Resztę, którą otrzymywał więzień, dzielono także na dwie równe części. Jedną odkładano na konto i pieniądze te skazany otrzymywał przy wyjściu z ośrodka, aby – jak mówiono – miał z czym rozpocząć uczciwe życie na wolności. Drugą część pozostawiano mu do jego dyspozycji w czasie pobytu w ośrodku na kupno papierosów, zapalek, przyborów toaletowych lub czegoś lepszego do zjedzenia w tamtejszej kantynie, którą to kwotę prawie w całości zaoszczędzałem, niewiele z niej wydając. Więzień mógł też zarobione pieniądze przesać do domu rodzinie.

Ja na moim stanowisku zarabiałem około tysiąc pięćset złotych miesięcznie, a czasami nawet dużo więcej, z czego połowę na moje dobro. Byli jednak więźniowie, jak na przykład Ossowski ze Sterławek, miejscowości leżącej niedaleko Kwidy, którzy przy ładowaniu węgla ze ściany na zgrzebło zarabiali po sześć tysięcy złotych miesięcznie, z czego oczywiście tylko trzy tysiące przypadło dla nich.

*

W połowie maja otrzymałem powiadomienie z Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu, że moja rozprawa rewizyjna odbędzie się 15 czerwca 1955 roku. Gdy ta data minęła, oczekiwałem na jej wynik, ale pod koniec czerwca otrzymałem nowe powiadomienie, iż rozprawa została przełożona na 20 lipca. Byłem nawet zadowolony z tego drugiego terminu, przed ówczesnym świętem państwowym 22 lipca, bo sądziłem, że być może w jakimś świątecznym prezencie szybciej skrócą mój wyrok do roku. Była to jednak ostatnia wiadomość, jaką na temat mojej apelacji otrzymałem. Często zastanawiałem się, dlaczego nie nadchodzi żadne powiadomienie o jej wyniku i w końcu złożyłem to na karb bałaganu, jakiego istnienie podejrzewałem w ośrodku. Słyszałem bowiem już nieraz narzekania kolegów, iż listy z domu niekiedy dochodzą z dużym opóźnieniem lub czasami gdzieś w ogóle giną. Jednakże komendant ośrodka, mimo małego wzrostu, był niezwykle groźnym oraz mało przystępnym człowiekiem i nie bardzo chciało mi się pójść do niego z dręczącym mnie pytaniem: dlaczego nie przyszło do mnie żadne powiadomienie z sądu odnośnie wyniku rozprawy rewizyjnej? Miałem już z nim raz do czynienia w kilka tygodni po przybyciu do ośrodka, kiedy to poznałem dobrze jego stosunek do więźniów. Gdy jednej nocy doznałem tak silnego zapalenia prawego ucha, że aż wyskoczyły bąble opuchlizny za nim i całą noc nie spałem, rano nie poszedłem do pracy, tylko do lekarza, aby mi coś na to zaradził. Doktor, który był także więźniem, dał mi odpowiednie, pomocne lekarstwo i na moją prośbę wypisał poświadczenie o chorobie, z którym poszedłem od razu do komendanta w celu usprawiedliwienia mojej nieobecności w pracy. Wtedy właśnie doświadczyłem tego, co ów komendant potrafi, gdyż z wielką furią wrzucił poświadczenie lekarskie do kosza, zgromił mnie ile weszło i kazał fryzjerowi ściąć mi włosy za karę. Bowiem trzeba było najpierw przyjść rano na zbiórkę przed wyruszeniem do kopalni i spytać go, czy mogę pójść do lekarza, czy koniecznie muszę iść do pracy, o czym ani ja, ani koledzy z sali nie wiedzieliśmy. Był on również znany ze swojego „oratorstwa” w czasie długich apeli wieczornych przed naszymi barakami, kiedy to z wielką swadą i uszczypliwym humorem nauczał nas dyscypliny w obozie i straszył karami, jakie grożą nam za jej naruszenie.

Te przeciągające się apele, odbywające się już po kolacji, były wielką zgorą naszego wolnego czasu spędzanego w ośrodku po pracy. Raz podczas takiego apelu pokazano nam dwóch wymęczonych więźniów, którzy, idąc rano do pracy, wymknęli się z kolumny i skryli się w przydrożnym rowie. Wydało się to w chwili sprawdzania obecności po przybyciu na teren kopalni, kiedy to sprawa ta narobiła wielkiego zamieszania i hałasu. Po kilkunastu godzinach więźniów jednak schwytano i przywieziono do obozu, gdzie dla nauczki innym pokazano w czasie wieczornego apelu, po czym nikt już ich więcej w ośrodku nie widział.

Na apelach tych przekazywano nam różne wiadomości, informacje i zarządzenia oraz nawoływano do wzmożonej pracy w kopalni w celu jak najlepszego wykonania ostatniego roku planu sześcioletniego. Czasami wyczytywano więźniów, którzy zostali za jakieś przewinienia ukarani, lub odczytywano pochwały za dobrą pracę albo inne zasługi.

*

Z Jurkiem, który pracował na drugiej zmianie i zawsze wracał z szychty już po północy, zobaczyłem się dopiero po trzech tygodniach, kiedy to czwartą niedzielę mają uczyniono nam wolną od pracy w kopalni. Podobnie jak cała obozowa brać spędziliśmy znaczną część tego dnia, opalając się przed barakami na trawie lub, jeśli komuś jej nie starczyło, na rozłożonych ręcznikach na udeptanej ziemi. Leżąc tak obłani słońcem po tygodniach pracy pod ziemią, wszczęliśmy z kolegą przyjemną pogawędkę. Prócz rozmowy o pracy w kopalni i czasie spędzanym po pracy Jurek powiedział mi, iż kilka dni przedtem wysłuchał audycji nadanej przez ośrodkowy radiowęzeł, w której tamtejszy spiker, będący również więźniem, wygłosił bardzo pochwalny odczyt na temat czystej bielizny. Jurka jednak mocno zastanowiło to, czy rzeczywiście świeża, wyprana bielizna jest również dużo cieplejsza niż brudna, bo choć dobrze rozumiał wszelkie zalety czystej bielizny, to zastanawiał się, czy w swej euforii produkujący ten program nie zagalopował się zbyt daleko i do jej zalet, li tylko z pochopności i zachwytu, nie dorzucił jeszcze tej ciepłoty. Po zawziętej i wnikliwej dyskusji, która zajęła nam sporo czasu, doszliśmy do wspólnego wniosku, że czysta bielizna jest faktycznie cieplejsza, gdyż jest ona gorszym przewodnikiem ciepła niż brudna, przepełniona bielizna. W rozmowie tej zauważyliśmy jednak, iż naszą bieliznę i pościel po praniu chyba źle płukano, ponieważ w czasie zmiany pościeli na sali, kiedy to dziesięciu chłopów potrząsało swoimi prześcieradłami i poszwami, sypało się z niej i wzbijało w powietrze tyle proszku, że było od niego szaro na sali. Czuliśmy, jak gryzie w oczy i nozdrza oraz dławi nasze oddechy, zdając sobie zarazem sprawę, iż nie jest on dobrodziejstwem dla naszych płuc.

Wieczorem pożegnaliśmy się do następnej wolnej niedzieli, za dwa lub trzy tygodnie, kiedy – korzystając z wypoczynku – obiecaliśmy sobie znowu pogawędzić. Jakże wielkie było moje zdumienie, gdy w kilka dni po tej rozmowie, wróciwszy z pracy, ujrzałem Jurka przechadzającego się po obozie. Zdziwiony, podszedłem i zapytałem:

– Co się stało, że nie jesteś w pracy? Jesteś chory?

– Nie – odpowiedział z uśmiechem kolega – ja jestem w tej chwili w pracy.

– Jak to? – zapytałem jeszcze bardziej zdumiony. – Przecież nie jesteśmy chyba pięćset metrów po ziemią?

– Pracuję teraz w radiowęźle. Jestem spikerem. Niosę właśnie materiały potrzebne mi w mojej pracy – powiedział rezolutnie Jurek, pokazując plik jakichś gazet.

Zacząłem mu trochę zazdrościć i jednocześnie zastanawiać się nad tym, jak on to zrobił. Czyżby z naszej dyskusji o ciepłocie czystej bielizny nie wyszedł całkowicie przekonany? Poszedłby więc do komendanta i powiedział, że pracujący w radiowęźle

spiker głupstwa przez mikrofon mówi i w ten sposób go wygrzył. Nie, to nie było w jego stylu i tego on by nigdy nie zrobił, nawet w obozie. A poza tym, przedyskutowany temat nie budził już przecież żadnych wątpliwości. Po chwili Jurek powiedział, iż z ciekawości dowiedział się, który z więźniów jest w radiowęźle spikerem, i że następnie nawiązał z nim kontakt. Ten w rozmowie wyznał mu, iż za kilka dni wychodzi na wolność, a jako że wykonywana przez niego praca bardzo mojego kolegę interesowała, bo miał z nią kiedyś trochę do czynienia, przeto poszli obaj do komendanta i w ten oto sposób został spikerem. Pracując w radiowęźle, był oczywiście pod ścisłym nadzorem i poleceniami komendantury ośrodka.

*

Jeszcze w pierwszych dniach po przyjeździe do ośrodka poznałem innego wspaniałego kolegę, Leona Nowosada, pracującego na tej samej zmianie co i ja. Jako że obaj mieliśmy czas wolny od pracy w tych samych godzinach, więc często spotykaliśmy się i przechadzali po ośrodku. Nasze spacerowe i żarliwe przyjacielskie rozmowy i zwierzenia, jak nie było apelu, trwały nieraz do zachodu słońca, czasami do ostatniej chwili przed udaniem się na spoczynek. Był o kilka lat starszy ode mnie, lecz wspaniale rozumieliśmy się i rozmowa z nim była największą przyjemnością.

Zarówno w naszej sali, jak i w następnych pokojach i barakach znałem wielu innych sympatycznych ludzi, z którymi zaprzyjaźniłem się i bardzo lubiłem rozmawiać. Nie miałem chyba w ośrodku żadnych wrogów ni przeciwników. Był tylko jeden więzień, często nazywany gadułą, przed którym miałem się na baczności, aczkolwiek nigdy nie było większych scysji między nami. Prócz cechy, jakiej zawdzięczał swój przydomek, lubił on sobie z kogoś poszydzić lub powiedzieć coś złośliwego i był dużym uprzykrzeniem nie tylko dla mnie. Zauważyłem, że ma on też bardzo swoisty pogląd na życie i zna nader nieskomplikowaną receptę na jego powodzenie. Kiedyś – siedząc na trawie przed barakiem – w dyskusji, w której brało udział kilka osób, z dużą dozą szczerości zwierzył się ze swego mniemania, iż w życiu wcale nie trzeba mocno pracować i że krzykiem, sprytem, cwaniactwem i cwany gadulstwem, a jak trzeba to i drobnym występkiem można do wszystkiego dojść i ze wszystkim sobie poradzić. I rzeczywiście, jego rozwój zatrzymał się chyba tylko na tym. Nic mu więcej do życia nie było potrzeba. Może w ciągu całego swojego żywota nie przeczytał żadnej książki, a przynajmniej nigdy go z książką w obozie nie widziałem, choć więźniowie po pracy dość często, a niektórzy bardzo dużo czytali.

Jak bardzo kontrastujące było wyznanie pewnego więźnia w czasie innej rozmowy, kiedy powiedział, że jedni ludzie głowią się nad tym, aby coś mądrego i użytecznego wymyślić, zrobić, wyprodukować, a inni wymyślają tylko najróżniejsze sposoby zawłaszczania efektów tej produkcji. Przy tym wykazują tyle wstydu i kompleksów z powodu swojego lenistwa, a co za tym idzie: braku własnych umiejętności i zdolności, ile zażenowania odczuwa krowa, wlaższy w seradelę sąsiada. Dla przykładu podał tu sytuację w swoim przedsiębiorstwie, w którym każdy mógłby znaleźć jakieś potrzebne, produktywne zajęcie, ale tylko niektórzy uczciwie i efektywnie pracują. Wielu, zwykle pierwszych do wypłaty, właściwie niczego użytecznego nie robi. Opędza się tylko gadulstwem, cwaniactwem i partyjniactwem, niczego temu zakładowi nie przysparzając, a wręcz przeciwnie, wiele mu jeszcze szkodząc. Bardzo narzekał właśnie na tych partyjniaków, którzy tak dużo mówili o sprawiedliwości społecznej, a w większości byli tylko kombinatorami, członkami różnego rodzaju klik dzielących między siebie zarobki, premie oraz inne korzyści i doprowadzających naszą gospodarkę do stanu, w jakim się ona znalazła. – Gdy człowiek, na przykład, chce kupić potrzebnego rozmiaru gwoźdźcia lub odpowiednią parę skarpetek dla siebie – mówił – to ile się musi nachodzić, pół dnia stracić i będzie miał dużo szczęścia, jeśli w ogóle coś kupi.

Oczywiście rozmowy, w których poruszano również tematy polityczne, odbywały się tylko w gronie niewielu osób, mających już do siebie zaufanie, i często były to zdania i słowa nie do końca wypowiedziane lub wyrażane swoistymi minami i gestami. Niejednokrotnie w takich dyskusjach rozmawiano na temat wysyłania więźniów do pracy w kopalni. Większość wszakże godziła się, że zatrudnienie więźniów przy jakiejś robocie jest korzystniejsze niż wieloletnie, bezczynne przesiadywanie w celi, doprowadzające ich do degradacji, a wielu przestępców kryminalnych nierzadko do jeszcze ich większej degeneracji. Niektórzy odbywający karę dopiero po raz pierwszy spotykają się z pracą zawodową, mając okazję przekonać się, że praca, także ta fizyczna, nie jest wcale rzeczą trudną i można w niej znaleźć dużo zadowolenia z siebie i z życia. Można też nauczyć się jakiegoś zawodu. Protestowano wszelako przeciw posyłaniu więźniów od razu do kopalń lub innych najcięższych robót, nie przedstawiając im możliwości szerszego wyboru pracy. Jeśli jednak ktoś czuje się silny i nie obawia się zatrudnienia w kopalni, także na przodku, to nie powinno się takich wysyłać do kopalń najgorszych, najbardziej niebezpiecznych i potraćać im jeszcze połowę zarobku na to ich nędzne utrzymanie. Niektórzy w czasie tych pogawędek mówili, że po wyjściu na wolność i odwiedzeniu rodziny wrócą na Śląsk do pracy w którejś, możliwie dobrej kopalni, gdzie nieźle można zarobić.

*

Pewnego słonecznego popołudnia, pod koniec czerwca, wracając z pracy do ośrodka, z daleka zauważyłem wyczekującą przed bramą moją siostrę Franię. Gdy podeszliśmy bliżej, spostrzegłem, iż nie może mnie w kolumnie rozpoznać, jako że wszyscy byliśmy jednakowo ubrani. Podniosłem więc rękę do góry i pomachałem. Choć nie było to zgodne z regulaminem przemarszu, konwojujący nas strażnicy zapewne pojęli powód tego gestu, bo nic mi nie powiedzieli. Frania, zauważywszy mnie, uśmiechnęła się, aczkolwiek widziałem, że jest bardzo wzruszona.

Po minięciu bramy wejściowej i sprawdzeniu obecności powiadomiono mnie, że przyjechała do mnie na widzenie siostra i polecono mi zaczekać na nią przed świetlicą, podczas gdy cała kolumna rozeszła się do swoich baraków, a następnie na obiad. Po chwili wpuszczono Franię do środka, a po moim przywitaniu się z nią kazano nam wejść, w asyście jednego strażnika, na rozmowę do świetlicy.

Byliśmy oboje bardzo wzruszeni, ale po chwili siostra powiedziała, iż przyjechała mnie odwiedzić, ponieważ nie wróciłem z końcem maja po odbyciu pół roku kary. Po tym bowiem okresie miałem nadzieję wyjść na wolność i przyjechać do domu, o czym pisałem w listach z więzienia i po przybyciu do ośrodka. Wytłumaczyłem, iż właśnie niedawno otrzymałem zawiadomienie z sądu informujące, że moja rozprawa rewizyjna odbędzie się dopiero dwudziestego lipca i być może w jej wyniku wyjdę w listopadzie, po odbyciu jednego roku kary. Następnie powiadomiłem ją, że jeśli apelacja do sądu wojewódzkiego nie zmniejszy mojego wyroku, to będę pisał o wcześniejsze zwolnienie warunkowe. Ponadto dodałem, iż w ośrodku, i nie tylko tutaj, dużo mówi się, że na pewno będzie wkrótce ogłoszona amnestia, więc może wyjdę na wolność, nie odbywając nawet roku kary.

Frانيا złożyła mi gorące życzenia z okazji nadchodzących osiemnastych urodzin i imienin, a następnie zrelacjonowała mi wiadomości z domu i przekazała od rodziny gorące pozdrowienia. Powiedziała, że wszyscy w domu za mną bardzo tęsknią. Popatrując na mnie, spytała, dlaczego większość więźniów nosi długie włosy, a inni, jak ja, mają je krótko ostrzyżone. Trudno mi było na to pytanie odpowiedzieć, aby jej nie zatruwić, ale w końcu, dodając do sprawy trochę humoru, wytłumaczyłem, dlaczego obcięto mi włosy.

W dalszej rozmowie opowiedziałem jej o pracy w kopalni, o życiu w ośrodku i o świetlicy, w której się znajdowaliśmy. Objąśniłem, iż u góry mieści się radiowęzeł, gdzie pracuje mój dobry kolega, i że znajdują się tam również różne pomieszczenia oraz biura ośrodka. Natomiast na sali, w której rozmawialiśmy, mają miejsce zebrania i okolicznościowe akademie, a na widocznej scenie niekiedy odbywają się odczyty, przemówienia i prelekcje. Czasami śpiewają na niej piosenkarze albo wieczorami zawieszają się ekran i wyświetla filmy.

Po około półgodzinnej rozmowie, w której siostra wypowiedziała także wiele porad i próśb – szczególnie, żebym uważał na siebie przy pracy w kopalni – rozstaliśmy się, a gdy zniknęła za bramą ośrodka, poszedłem na obiad. Przed pożegnaniem wręczyła mi dużą płócienną torbę z prezentami, wśród których było ze dwa kilogramy domowego wyrobu suchej kiełbasy i spory kawałek ciasta, jakim zaraz po obiedzie, przy szklance herbaty, nie omieszkałem się poczęstować.

*

W kopalni czas trochę się dłużył, gdyż „na guziku” nie było wiele roboty. W wolnych chwilach czytałem prasę, którą przynosiłem ze sobą, lub czasopisma pozostawione przez guzikarza pracującego na popołudniowej zmianie. Nigdy nie wiedziałem, kto nim jest, aczkolwiek było wiadome, iż jest nim któryś z więźniów drugiej zmiany naszego ośrodka. Pamiętam, że w tej pozostawionej prasie znalazłem raz artykuł mówiący o komputerach i o robocie „Geniaku”, który, wyposażony w najnowszą technikę automatyczną, miał w przyszłości zastąpić człowieka. Artykuł ten wywarł na mnie silne wrażenie i z wielkim zainteresowaniem począłem oczekiwać tych czasów, rozmyślając nad tym, za ile to jeszcze lat może nastąpić i w jakim to już ja będę wtedy wieku. Gdy miałem czytania już dość, wypatrywałem i chwytalem z przesuwającej się taśmy kawałki skał z odciskami liści prehistorycznych paproci i niekiedy długo nad nimi kontemplowałem.

Jeszcze w pierwszym miesiącu mojej pracy „na guziku” spostrzegłem raz w urobku na taśmie dość zgrabny i bardzo pięknego koloru kamień. Chwyciłem go i bacznie mu się przyjrzałem. Nie wiem, ile mógł ważyć, ale miał kilka kilogramów. Zastanowiłem się, ile tak razy mógłbym go prawą ręką unieść do góry i z ciekawości jąłem to czynić, w efekcie unosząc go równe dwadzieścia razy. Pomyślałem, iż mając tu dużo czasu, mogę codziennie, będąc w pracy, ćwiczyć nim coś w rodzaju zaprawy w pchaniu kulą albo w podnoszeniu ciężarów i postanowiłem trenować w ten sposób ze dwa lub trzy razy przez szychtę, każdego następnego dnia unosząc kamień o jeden raz więcej.

Idea tego sportowego wyczynu tak mi się spodobała, iż powziąłem decyzję rozszerzenia jej na inne ćwiczenia, takie jak gimnastyka i robienie pompek, których liczbę stopniowo również zwiększałem.

Byłem niezwykle zadowolony z pomysłu spędzania czasu na sportowo, bowiem bardzo ceniłem sport, o którego zaletach tyle mi było wiadomo. Potem przypomniałem sobie, iż w szkole ćwiczyłem trochę boks, więc przyniosłem z ośrodka moją torbę, w której Frania wręczyła mi prezenty, napelniłem ją miałem węglowym i u góry zaszyłem. Rozejrzawszy się za najodpowiedniejszym miejscem, zawiesiłem ją na kłodzie podtrzymującej strop. Uwiesiłem niedaleko ściany chodnika, żeby w czasie uderzeń za mocno się nie majtała, bo mimo jej wielkości do tego celu była trochę za mała. Rękawice robocze, którymi ćwiczyłem, były dość grube i świetnie do boksowania się nadawały. Ponieważ w czasie treningów trochę się z worka kurzyło, więc od czasu do czasu pokrapiałem go wodą. Po ćwiczeniach torbę chowałem w kryjówece, jaką w tym celu urządziłem za stemplem z boku chodnika.

Jednakże moją szczególną pasją było unoszenie ręką owego kamienia i mój plan podnoszenia go w każdą następną szychtę o jeden raz więcej był zadawalająco

realizowany. Jeśli któregoś dnia podniesienie go o jeden raz więcej, niż poprzedniej służby, stawało się zbyt trudne, czyniłem to podczas następnego dnia pracy. Ćwiczyłem tak przez wiele miesięcy i doszedłem do tego, iż przy jednym podejściu mogłem unieść kamień sto dwadzieścia razy, czyli o sto uniesień więcej, niż uczyniłem to przy pierwszej próbie.

Ten wysiłek podnoszenia swojej kultury fizycznej dawał mi wiele zadowolenia, a zdobywana sprawność i tężyzna fizyczna czyniły mnie pewniejszym siebie. Szczególnie dużą satysfakcję miałem, kiedy raz wywiązała się na sali rywalizacja w mocowaniu się na rękę. Chociaż w tym współzawodnictwie brali udział wszyscy najtężsi, pracujący przy najcięższych robotach w kopalni więźniowie z naszej sali, to ja te zawody wygrałem, kładąc na rękę wszystkich siłujących się ze mną rywali.

Moje zwycięstwo było dużym zaskoczeniem dla kolegów, gdyż nikt się tego nie spodziewał, a ja do tej pory nikomu nie zwierzałem się z moich treningów. Ale jako że wszyscy byli bardzo ciekawi, w jaki sposób doszedłem do tego sukcesu, wyjawiałem im, jak to osiągnąłem.

*

Nadszedł 23 listopada 1955 roku. W tym dniu przed rokiem zostałem aresztowany, ale sankcję karną wręczono mi 24 listopada i czas odbywania kary zaczął się liczyć dopiero od tej drugiej daty. Gdyby moja rozprawa rewizyjna odbyła się 20 lipca, czy nawet jeszcze później (czego nie wiedziałem, bo nie otrzymałem żadnego potwierdzenia tego faktu, tylko wierzyłem, że w końcu kiedyś musiała się odbyć) i jeśli w jej wyniku ujęto mi pół roku kary, to nazajutrz powinienem był wyjść na wolność. Tak więc idąc do pracy sądziłem, iż komendant po wyczytaniu mojego numeru powie mi, żebym pozostał w ośrodku celem załatwienia formalności w związku z jutrzejszym wyjściem na wolność. Może nawet wyjściem dzisiejszym – pomyślałem – gdyby tak odbywanie kary policzono mi od daty faktycznego aresztowania, a nie od wręczenia sankcji karnej. Jednakże komendant po wymienieniu mojego numeru i po potwierdzeniu przeze mnie obecności wyczytał numer następny, potem kolejny, a kiedy sprawdził obecność wszystkich więźniów, otworzył bramę i kazał nam ruszać przed siebie do pracy. Poszliśmy. Idąc pomyślałem, iż może obwieści mi tę radosną nowinę, na którą tak długo czekałem, po przyjściu z pracy, jak to niejednokrotnie podczas przeliczania napomykano zwalnianym więźniom, ale gdy wróciłem z kopalni, również niczego mi nie powiedziano.

Po obiedzie, trochę podenerwowany, chciałem pójść do komendanta i powiedzieć, że dwudziestego lipca miała odbyć się moja rozprawa rewizyjna i okazać mu otrzymane powiadomienie z sądu. Następnie zamierzałem oznajmić, że do tej pory nie otrzymałem żadnego zawiadomienia o jej wyniku, i spytać go, czy w ośrodku nie ma dla mnie jakiejś wiadomości na ten temat. W końcu miałem wyluszczyć mu sedno sprawy i zakomunikować, że jeśli ta rozprawa ujęłaby mi pół roku kary, to już nazajutrz powinienem wyjść na wolność, i zagadnąć go, czy rzeczywiście tak nie jest. Po dłuższym namyśle powstrzymałem się jednak i postanowiłem z tym poczekać do następnego dnia, mając ciągle nadzieję, że do tego czasu może coś się jeszcze wyjaśni. Ponadto mocno podejrzewałem, że to właśnie za sprawą komendanta to powiadomienie z sądu do mnie nie dotarło, może dlatego, żebym w przypadku umniejszenia mojego wyroku nie mógł się z tego pocieszyć. Bo od czasu ukarania mnie za to pójście do lekarza z przyczyny zapalenia ucha, za takiego typu go postrzegałem. Po wyjściu ze stołówki udałem się więc do mojego baraku, gdzie zająłem się swoimi codziennymi sprawami. Po zakończeniu mycia, prania i robienia porządków położyłem się do łóżka jak inni, aby się trochę przespać.

Było już w zwyczaju zarówno w naszej sali, jak i w innych pokojach więźniów pierwszej zmiany, że po przyjeździe z pracy i po obiedzie kładziono się na krótką drzemkę. Czyniono tak zwłaszcza późną jesienią, kiedy na dworze o tej porze było już ciemno, a pogoda niezbyt ciekawa, często deszczowa.

Z powodu szczególnego stanu, w jakim się znajdowałem, nie mogłem usnąć, gdyż przychodziły mi do głowy rozmaite myśli zdominowane tęsknotą za wolnością. Prócz tysiąca różnych powodów wyjście na wolność już mi się bardzo marzyło i dlatego, że od początku listopada dnia nie widziałem, bo w związku ze zbliżającym się zakończeniem planu sześcioletniego pracowaliśmy we wszystkie niedziele, aby ten plan jak najlepiej wykonać. Tak więc od Wszystkich Świętych, kiedy to mieliśmy ostatni raz wolne od pracy, każdego rana, w te krótkie dni, zjeżdżaliśmy do kopalni jeszcze przed wschodem słońca, a po pracy wychodziliśmy z łaźni i szatni do wymarszu do ośrodka już po jego zachodzie.

Leżąc tak w łóżku i rozmyślając, nasłuchiwałem za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, w nadziei, że przyjdzie strażnik z komendy i obwieści mi upragnioną wiadomość. Mimo że większość współwięźniów położyła się już do łóżek, to dalej świeciła jedna żarówka, a kilka osób jeszcze się po pokoju krzątało i co chwila ktoś z sali wychodził lub do niej wchodził. Gdy w końcu to otwieranie i zamykanie drzwi już prawie ustało, wydało mi się, że do pomieszczenia wszedł ktoś obcy. Uniosłem głowę, spojrzałem w kierunku drzwi i zauważyłem, że istotnie tak jest. Nie był to jednak ktoś w mundurze, na kogo czekałem, tylko pan Andrzej, dobrze znany mi więzień, który pełnił nad nami jakąś nadrzędną funkcję w ośrodku, choć już nie przypominam sobie dzisiaj jaką. Gdy wszedł, jał się rozglądać po łóżkach, na których już większość zdążyła się zdrzemnąć. Na jego widok ci, którzy jeszcze nie spali, unieśli się do połowy, co również i ja uczyniłem. On, przyglądając się każdemu po kolei, podszedł do ostatniego łóżka, stojącego przy oknie, na którego piętrze ja leżałem, spojrzał na mnie i rzekł:

– To chyba do ciebie. Obiegówka. Jutro na wolność.

W oczach mi pociemniało, gorąco uderzyło do głowy. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zacząłem mu dziękować. Na wszelki wypadek sprawdziłem jeszcze, czy na pewno obiegówka przeznaczona jest dla mnie, bo przecież nie był zupełnie tego pewny, dając mi ją do ręki, ale znał już mnie na tyle, że się nie pomylił. Bądź co bądź, przebywałem w tym lagrze siedem miesięcy, więc trochę zdążyliśmy się już nawzajem poznać. Gdy potwierdziłem, że to do mnie, złożył mi gratulacje i najlepsze życzenia w życiu na wolności, po czym na sali zrobiło się wielkie zamieszanie, bo wszyscy z łóżek powstawali i również składali mi gratulacje i najlepsze życzenia w dalszym moim życiu. Ja im odwzajemniałem się, życząc im także jak najszybszego opuszczenia tego obozu.

Jakoż – wybiegając trochę w przyszłość – moje życzenia ich szybkiego wyjścia na wolność po kilku miesiącach rzeczywiście się ziściły, gdyż w kwietniu 1956 roku, w wyniku zaistniałych w ZSRR i w Polsce politycznych zdarzeń, została ogłoszona amnestia i zapewne wszyscy oni zostali uwolnieni, jako że na sali nikt nie miał wysokiego wyroku

Zatem ja też nie odsiadywałem do końca mojej kary, jeśliby nawet rozprawa rewizyjna nie umniejszyła mojego wyroku, bo skorzystałem z tej amnestii i wyszedłem w kwietniu, a nie przy końcu maja czy w połowie czerwca – co by mi przypadło w udziale, gdybym musiał przebywać w ośrodku jeszcze dwadzieścia dni za usiłowanie przeniesienia przez granicę owych dziesięciu tabliczek czekolady. Zapewne jednak nie odsiadywałem tych dwudziestu dni, bo zarabiając w kopalni, zapłaciłbym zasądzone dwieście złotych grzywny.

*

Po kolacji i apelu poszliśmy spać, lecz długo nie mogłem usnąć, snując na przyszłość różne nowe plany i korygując dawne zamierzenia. Było oczywiste, że po wyjściu z ośrodka trzeba najpierw pojechać do brata w Otoku, gdzie zostało sporo moich rzeczy, a szczególnie zapasowe ubrania i bielizna. Pewnie nie były one jeszcze dla mnie za małe, bo przez rok tak dużo chyba nie urosłem, a poza tym ojciec i macocha, obdarzeni praktycznym zmysłem, kupowali mi zwykle wszystko na wyrost.

Dłużej zastanawiałem się nad tym, co zrobić potem, lecz w końcu doszedłem do wniosku, iż najlepiej będzie, jeśli pojedę do Kwidy do domu.

Dalsza nauka w technikum rolniczym wydawała mi się już mało możliwa. Musiałbym teraz stracić dwa lata, ponadto obawiałem się, że wiele już zapomniałem z tego, czego w poprzednim okresie się nauczyłem. Wprawdzie rozpoczętą od września naukę w trzeciej klasie mógłbym z powodzeniem kontynuować w Karolewie, bo moi koledzy mieli szkołę ukończyć w czerwcu i nie musiałbym wobec tego krępować się przed nimi z powodu mojej nieudanej próby przeniesienia się do Chojnowa, gdyż oni już by szkołę opuścili. Ale nie wiadomo, czy obecnie do tej szkoły by mnie z powrotem przyjęto z powodu mojej, mającej polityczny charakter, kryminalnej przeszłości.

Zacząłem jednak pocieszać się, iż wcale nie muszę martwić się tym, że mnie do szkoły nie przyjmą, bo w Kwidzie dużo na lepsze się zmieniło. Napisano mi w ostatnim liście, że chłopci, nie czekając na pozwolenie, sami postanowili rozwiązać spółdzielnię produkcyjną i na jesieni każdy już indywidualnie posiał oziminę na swoim polu. Poza tym mocno pocieszające było to, że do wsi doprowadzono prąd. Być może zrobiono to, aby chłopom wmówić, że tylko w spółdzielni to jest możliwe, ale, jak widać, manewr ten nie zapobiegł dążeniom rolników do wyzwolenia się z tego typu gospodarki: bałaganu, pracy pod przymusem i czyimiś rozkazami – jak chłopci często mówili.

Zastanawiając się nad tą elektryfikacją, szybko doszedłem do wniosku, że fakt ten dużo zmienia zarówno w gospodarowaniu, jak i w życiu osobistym. Można było teraz prace w gospodarstwie szerzej zmechanizować, a dla siebie stworzyć lepsze i ciekawsze warunki egzystencji.

Analizując obecną sytuację rodzinną w Kwidzie, uznałem, iż jest bardzo dogodna do powrotu do domu. Regina wyszła za mąż, przenosząc się do innej miejscowości, Stach służy w wojsku, a Zbyszek jest jeszcze za młody, aby znacząco pomagać przy pracy w polu. Wszelako z drugiej strony musiałem zauważyć, iż jest jeszcze Janka i macocha, pracujące dziarsko na polu i w domu, oraz pełen wigoru ojciec, który rzadko kiedy pozwala zastępować się w pracy, a gospodarstwo nie jest zbyt wielkie.

Reasumując wszystkie te rozważania – sytuację na wsi, w rodzinie i moją – doszedłem do wniosku, że najrozsądniej jednak będzie, jeśli nie będę szukał pracy gdzieś w Polsce, tylko pojedę do domu, co – jak wiedziałem – również przez ojca będzie najlepiej widziane.

Powziąwszy przeto decyzję powrotu do Kwidy do pomocy przy gospodarstwie, pomyślałem, iż trzeba będzie trochę tę gospodarkę zmienić, coś w niej nowego wymyślić, zaprowadzić jakąś specjalizację. Może by tak posiać ze dwa lub trzy hektary rzepaku? Ojciec często wspominał, jak ostatniego lata przed ustanowieniem spółdzielni produkcyjnej posiał ćwierć hektara rzepaku i jak dobrze na nim wyszedł. Żałował tylko, że posiał tak mało. Teraz tata będzie jeszcze lepiej wiedział, jak go uprawiać – rozmyślałem dalej – bo zdobył większą praktykę i doświadczenie w jego uprawie. Jeśli obecnie dużo więcej go zasiejemy, to wcale nie oznacza, że będziemy musieli tyle samo więcej się naharować, gdyż przy dużym areale zasiewu można wynająć i zastosować większe i wydajniejsze maszyny. Gdy rok będzie urodzajny i

wszystko dobrze pójdzie, to – kalkulowałem – możemy nieźle zarobić. Za sprzedany rzepak ojciec zapłaci podatki i jeszcze dużo grosza nam pozostanie. Może za podsunęty pomysł i doglądanie sprawy tata pozwoli mi na kupno motocykla, na który to temat zacząłem następnie długo rozmyślać, zastanawiając się szczególnie nad tym, jaki to motor powinienem sobie sprawić. Przecież niektórzy chłopcy w innych wsiach mają motory – usprawiedliwiałem swoje marzenia – więc dlaczego ja nie mógłbym sobie go kupić.

Gdy czułem się już prawie posiadaczem owego jednoślada, przypomniało mi się, iż rzepak, który ojciec uprawiał, był ozimy i sieje się go w sierpniu, a zbiór następuje dopiero na początku żniw następnego roku, więc trochę długo trzeba byłoby czekać z kupnem tego motocykla. Zastanowiłem się zatem, czy nie można by przystąpić do uprawy czegoś innego, co również przyniosłoby duże dochody, i przyszły mi na myśl buraki cukrowe, na których ojciec też dobrze wychodził. Przecież mamy pszenno-buraczną ziemię – mówiłem sobie – a cukrownia jest niedaleko, w Kętrzynie, wobec tego można by zasiać ze dwa hektary buraków. Po chwili uzmysłowiłem jednak sobie, że przy uprawie buraków jest wiele pracy, którą w dużej mierze trzeba jeszcze wykonywać ręcznie. Buraki należy siać, pielnić, przerywać, okopywać, zasilać nawozem podczas wzrostu, w końcu wykopywać i z grubsza oczyszczać przed dostawą do cukrowni. Tylko niektóre z tych prac można zmechanizować. W dodatku trudno jest o te maszyny, na przykład o wyorywacze buraków, skoro pegeerom ich brakuje, a one przecież, jako gospodarstwa państwowe, mają pierwsze dostępowo do wszystkich maszyn. Skąd więc wziąć tylu ludzi do uprawy i zbioru dwóch hektarów buraków?

Tak się wszak napaliłem na kupno motoru, iż w końcu wyliczyłem, że za pieniądze, które mam otrzymać przy wyjściu z ośrodka za pracę w kopalni – a powinni do tego jeszcze dostać ze dwieście lub trzysta złotych za trzy tygodnie pracy przy sklejanii pudełek w więzieniu we Wrocławiu oraz ponad sto złotych pozostałych na koncie więziennym, nie wykorzystanych na wypiskę – też mogę sobie kupić jakiś używany motocykl. W tym momencie przypomniała mi się myśl, nad którą uprzednio już kilka razy się zastanawiałem, żeby po odebraniu rzeczy pozostawionych u Kazika w Otoku powrócić na Górny Śląsk, podjąć pracę w którejś z tutejszych kopalni, popracować jeszcze do końca marca i w ten sposób sobie trochę dorobić. Pracując na wolności, będę otrzymywał więcej pieniędzy, bo wszystko, co zarobię, będzie dla mnie, oczywiście po potrąceniu podatku. Mam już osiemnaście lat – snułem dalej moje rozważania – pracowałem pod ziemią i do pracy w kopalni bez kłopotów mnie przyjmą. Zaraz więc po wyjściu z ośrodka napiszę do domu list, że wyszedłem na wolność i powiadomię o niniejszej decyzji. Ojciec może trochę się pogniewa, ale jeśli mu dobrze wszystko wytłumaczę, to mnie zrozumie i nie będzie miał mi tego za złe. Przecież pieniądze na różne wydatki są bardzo potrzebne, a w Kwidzie nie zarobię tyle, co tutaj w kopalni. Jeśli popracuję jeszcze cztery miesiące i pieniądze nie będą konieczne na pilniejsze cele, to za wszystko razem, co otrzymam w ośrodku i co zarobię do wiosny, będę mógł kupić już niezły motocykl. Tu się jeszcze zapiszę na kurs prawa jazdy i pojedę do domu na wiosnę motorem. Pojazd taki w domu oddalonym o siedem kilometrów od miasta bardzo się przyda, a przecież mamy do Kętrzyna ładną, asfaltową szosę. Będę nim jeździł po zakupy lub w razie potrzeby załatwienia innych spraw w mieście, spotykając po drodze drepzczących do Kętrzyna uczniów z Karolewa. Niech patrzą, jak pięknym motorem szybko i przyjemnie sobie jadę. Takiego pojazdu łatwo oni nie kupią, jeśli nawet zostaną agronomami. Gdy napotkam Stefana lub innych chłopców z klasy, nie mówiąc już o dziewczynach, to chętnie do miasta podwiozę. Podwiozę także kolegę, który najwięcej mi się naprzykrzał. Ostatecznie nic mi on takiego złego nie zrobił. Wydaje mi się teraz, że

za szybko na niego się pogniewałem. Trzeba było znaleźć jakiś sposób porozumienia się z nim. Było to przecież możliwe, skoro łączyły go dość zażyłe więzi koleżeńskie z wieloma innymi chłopcami. Na pewno wypracowanie w miarę dobrych kontaktów z nim byłoby o wiele łatwiejsze niż pokonywanie tych wszystkich trudności, kłopotów i perypetii, na jakie natknąłem się uciekając od niego i może jeszcze kilku jego kolegów – a rezultaty tych trudów byłyby jakże odmienne. W pierwszym przypadku, kiedy postanowiłbym porozumieć się z nimi, ukończyłbym w bieżącym roku szkolnym technikum rolnicze, zostałbym agronomek lub poszedł na wyższą uczelnię, a tak – usiłując przenieść się do innej szkoły – mam ukończone tylko dwie klasy i kryminalną przeszłość, mogącą stanowić poważną przeszkodę w kontynuowaniu dalszej nauki, przynajmniej w tym technikum.

Po tych mniej optymistycznych refleksjach pocieszałem się jednak, iż może nie będzie tak źle, wszystko się naprawi i jakoś dam sobie w życiu radę. Przecież na wsi, na własnej gospodarce, mogę żyć wcale nie gorzej, niż będąc agronomek w pegeerze czy pracując gdzieś w biurze. To, że trochę fizycznie więcej popracuję, nie jest chyba niczym złym i wyjdzie mi tylko na zdrowie.

Usnąłem już chyba po północy, postanawiając ostatecznie, po wyjeździe do Kazika powrócić znowu na Górny Śląsk, popracować do wiosny w kopalni, a potem szukać szczęścia na wsi, gdzie widziałem szerokie perspektywy ułożenia sobie ciekawego życia.

*

Rano po pożegnaniu się z kolegami udającymi się do pracy począłem szykować się do wyjścia na wolność. Sporo czasu zajęło mi załatwianie różnych formalności wyszczególnionych w obiegówce, ale około południa miałem je już za sobą.

Jako poświadczenie pobytu w zakładzie karnym otrzymałem „Świadectwo zwolnienia więźnia karnego”. W dalszym ciągu nie dano mi żadnego dokumentu dotyczącego rozprawy rewizyjnej i jej postanowień, a na moje zapytanie w tej sprawie odpowiedziano mi, że nic takiego dla mnie nie mają. Zorientowałem się wszakże, iż zdjęto mi nie tylko pół roku więzienia, ale również owe dwieście złotych grzywny za przenoszenie w czasie ucieczki dziesięciu tabliczek czekolady, bowiem płacić mi tej kwoty nie kazano. Chyba całkiem słusznie, bo przecież nie zajęto mi jej na granicy, a poza tym nie była ona przeznaczona na przemyt. Przy wypłacaniu moich należności potrącono mi jednak za buty i czapkę więzienną, które uznano za nadmiernie zużyte, co mnie niezwykle zdziwiło i wywołało poczucie krzywdy. Jeszcze bardziej zdumiała mnie niskość orzeczonej sumy, jaką w kopalni zarobiłem i na wydatkach zaoszczędziłem, bowiem była ona o dwie trzecie mniejsza, niż wynikało to z moich obliczeń, ale na żadną dyskusję na ten temat komendant mi nie pozwolił. Pomyślałem zaraz, iż pewnie potrącono mi z pensji nie tylko za ten dzień, w którym z powodu zapalenia ucha nie byłem w pracy, ale jeszcze przykładowie pieniądze ukarano. Być może karano mnie tak przy jakichś innych „okazjach” i „przewinieniach”, o jakich nawet nie miałem pojęcia, albo w inny sposób moje saldo pomniejszono, jako że nad przeprowadzanymi finansowymi operacjami nie miałem przecież żadnej kontroli. W ten sposób czy w inny zostałem wszak mocno ograbiony. Czy postąpiono tak tylko wobec mnie, sądząc, iż jestem bardzo młody i można ze mną zrobić wszystko, a ja sobie z tym nie poradzę, czy dotyczyło to dużo więcej osób, tego nie jestem w stanie określić.

Niemniej suma, którą otrzymałem, była jeszcze spora, a wyrównanie za ostatni miesiąc przesłano mi później do domu w Kwidzie. Otrzymałem tam również 135 złotych za zajęte przez sąd dziewięć tabliczek czekolady. W sumie z wyrównaniem, które przysłano mi do domu, otrzymałem gotówką za moją pracę w kopalni i

więzieniu niecałe 1600 zł, a z moich wyliczeń wynikało, iż powinno to być ponad 5000 złotych. Ale jakoś musiałem przeżyć i to.

7. PRÓBA ZMIANY TRADYCYJNEGO MYŚLENIA

W końcu otworzyły się przede mną drzwi bramy wyjściowej i wypuszczono mnie na wolność. Pogoda była nieszczególna, trochę padało, ale byłem nią zachwycony. To wyjście samemu, bez kolumny więźniów i bez eskorty strażników, było dla mnie czymś niezwykłym, wydawało się niczym wyjście z piekła do raju. W tym uniesieniu zrezygnowałem z jazdy autobusem i udałem się na dworzec kolejowy w Wesolej piechotą, przyglądając się z największym zaciekawieniem i zadowoleniem świata, który na tak długi czas utraciłem.

Wieczorem mknąłem już pociągiem pośpiesznym do Wrocławia, pozostawiając za sobą przeszłość i pędząc w nieznaną przyszłość, którą widziałem wszak w pięknych barwach i interesujących perspektywach.

Po przesiadce we Wrocławiu dotarłem o świcie do Bolesławca, skąd piechotą udałem się w drogę do brata. Pogoda była ładna, jak na tę porę roku. Było dość ciepło, na horyzoncie ukazało się wschodzące słońce. Po drodze mijalem grupki uczniów udających się rano do szkoły.

W domu spotkałem bratową i dzieci, Kazik był w pracy. Nie tak dawno pisałem do nich z ośrodka, że być może niedługo ich odwiedzę, przeto bratowa nie wydawała się bardzo zaskoczona moim przyjazdem. Widząc mnie w drzwiach, serdecznie się uśmiechnęła i mile mnie przywitała mówiąc:

– Nareszcie znalazła się nasza zguba! Długo na ciebie czekaliśmy. Po twoim zniknięciu wysłaliśmy do ojca list z zapytaniem, czy nie pojechałeś do Kwidy, a gdy dowiedzieliśmy się, że i tam ciebie nie ma, mocno zaniepokoiiliśmy się. Pocieszaliśmy się jedynie, iż może nic się złego z tobą nie stało, jako że na pozostawionej nam karteczce napisałeś, iż wyjeżdżasz daleko, a więc coś tam sobie zaplanowałeś. Myśleliśmy, że pewnie znalazłeś w którejś gazecie ogłoszenie oferujące pracę, jakiej poszukiwałeś w Bolesławcu, i dlatego gdzieś dalej pojechałeś. A tu masz, przyszedł ten list z więzienia... chociaż ja o tej granicy czasami myślałam.

Dzieci mnie szybko poznały, ale były trochę speszone, jednak kilka drobnych prezentów rychło je ośmieliło i przywróciło naszą dawną przyjaźń.

Gdy Kazik wrócił z fabryki, na dworze było już ciemno. Kiedy mnie w domu zobaczył, witając się powiedział, że po drodze nawet myślał, iż być może tego dnia do nich przyjadę.

Wkrótce po przybyciu brata zasiedliśmy do smacznego i obfitego obiadu, który gospodyni domu po moim przyjeździe zaczęła przygotowywać, częstując mnie z rana herbatką i wspianiałymi kanapkami. Zasiadając do stołu prosiła, żebym dobrze się najadł i wszystkiego skosztował, bo przecież dawno takich domowych dań już nie jadłem. Przy tym obiedzie, połączonym od razu z kolacją, długo i przyjemnie ze sobą rozmawialiśmy. Oni relacjonowali mi, jak im ten rok upłynął, a ja opowiedziałem o ucieczce, więzieniu i ośrodku. Zwierzyłem się z moich planów na przyszłość, powiadamiając o postanowieniu powrotu na Górny Śląsk do pracy w kopalni, do wiosny, aby dorobić sobie trochę pieniędzy, a następnie o zamiarze wyjazdu ze Śląska do domu i szukania szczęścia na gospodarce.

Bratowa zaproponowała mi, abym nie jechał do pracy w kopalni, tylko przez te kilka miesięcy pozostał u nich i znalazł sobie jakąś robotę w Bolesławcu, dodając, że teraz autobusy z rana częściej do miasta kursują i nie ma problemów z dojazdem do pracy. Ale miałem już swoje plany i ta propozycja nie bardzo mi odpowiadała.

Podtrzymałem więc decyzję wyjazdu na Górny Śląsk, dokąd postanowiłem wyjechać po dwóch dniach, czyli w niedzielę wieczorem.

Następnego dnia, w sobotę, poszedłem do Bolesławca, gdzie kupiłem dużą walizkę na moje rzeczy, które od roku leżały u brata, po czym idąc do autobusu, wstąpiłem po moje zdjęcia do fotografa. Miałem zamiar go spytać, czy ktoś o te zdjęcia się dowiadywał, ale gdy w pracowni zobaczyłem tylko młodą, nie znaną mi dziewczynę, zrezygnowałem z tego pytania. Kiedy powiedziałem jej moje nazwisko, nie prosiła już o pokwitowanie, tylko rzekła coś w rodzaju: – A, to te zdjęcia, które tu tak długo leżą – i wręczyła mi moje fotografie.

– Wydaje mi się, że pani jednak tu tak bardzo długo nie pracuje? – zadałem jej trochę sondażowe pytanie.

– O, już ponad pół roku – rezolutnie odpowiedziała młoda pracownica.

Chciałem popisać się przed nią humorem i powiedzieć, iż miałem po zdjęcia przyjść w sobotę, więc w sobotę przyszedłem, ale zrezygnowałem z tego dowcipu, bo przecież nie wiedziałyby, o co chodzi, a nieco zawile byłoby to jej tłumaczyć. Byłem też onieśmielony jej niezwykłą urodą oraz miłym zachowaniem i obawiałem się, żeby nie powiedzieć czegoś nieudanego. Dziewczyna była bardzo interesująca i nawet żałowałem, że nie przystałem na propozycję bratowej, aby tu w Bolesławcu znaleźć jakąś pracę.

W niedzielę wieczorem zapakowałem do walizki moje książki, zeszyty oraz rzeczy osobiste, które były już od dawna przez bratową wyprane, wyprasowane i starannie ułożone w szafie, a kiedy zbliżyła się pora odjazdu autobusu na dworzec, pożegnałem się ze wszystkimi w domu i wyruszyłem w podróż do Katowic.

*

Do Katowic, przemianowanych w owych latach na Stalinogród, przyjechałem wcześniej rano. Jadąc zastanawiałem się, w której kopalni najlepiej byłoby podjąć pracę, i kiedy byłem już bliski pójścia do pierwszej lepszej ze znanych mi kopalni, przypomniał mi się Klimera, górnik w cywilu z „Wesołej II”. Opowiadał mi kiedyś, że jego brat pracuje w kopalni „Pokój” w Nowym Bytomiu i że bardzo ją sobie chwali.

Pojechałem więc do Nowego Bytomia i zgłosiłem się do działu kadr tej kopalni, gdzie bez trudu, na podstawie „Świadectwa zwolnienia więźnia karnego” i nieaktualnej już legitymacji szkolnej przyjęto mnie do pracy na stanowisku ładowacza. Dano mi skierowanie do robotniczego hotelu, wypisano tymczasową przepustkę na wstęp do kopalni i kazano zgłosić się do roboty następnego dnia na ranną zmianę.

Idąc do hotelu, kupiłem po drodze budzik, żeby nie spóźnić się rano do pracy. Gdy znalazłem się już w owym budynku, otrzymałem zakwaterowanie w czteroosobowym pokoju, gdzie dokooptowano mnie do trzech chłopaków, którzy też w tym tygodniu chodzili na ranną szycztę. Zegar do budzenia okazał się zbyteczny, bo gdy wrócili oni z pracy, powiedzieli mi, że rano do roboty budzi zawsze portier. Wszelako był on jedynym dużym zegarem w naszym pokoju i spełniał w nim bardzo użyteczną rolę.

Gdy rano zjechałem do kopalni, zgłosiłem się do sztygara, który jednak nie skierował mnie na przodek do ładowania węgla ze ściany, tylko polecił mi przynieść chodnikiem stemple na odległość kilkuset metrów. Był to akurat bardzo niski odcinek chodnika, chyba niewiele ponad metr wysokości. Być może sztygar przeznaczył mnie do noszenia stempli w tym miejscu dlatego, że byłem nie najwyższego wzrostu (172 cm) i uważał, że będzie łatwiej mi to czynić niż górnikom wyższym ode mnie, choć kilku rośniejszych młodzieńców też było zatrudnionych przy tym zajęciu.

Stemple, czyli drewniane słupy, były wyjątkowo długie, chyba ze cztery metry długości, i dzisiaj nie wiem, czy na przodku, dokąd je przeznaczono, była bardzo

wysoka ściana, do której kłody te ewentualnie w miarę potrzeby przycinano, czy też słupy te przepiłowywano na dwa stemple, a noszono w takiej długości, żeby były ekonomiczniejsze w transportowaniu.

Z werwą zabrałem się do roboty, jednakże była to ciężka harówka, a przede wszystkim bardzo niewygodna. Ciągnąc chwytałem kopalniaka pod rękę albo kładłem go na barku i posuwałem się na kolanach, mocno jeszcze się nachylając. W niektórych miejscach wręcz czołgałem się, trzymając stempel na grzbiecie.

Po około tygodniu sztygar przeniósł mnie do rabunku, czyli do grupy odzyskującej żelazne, łukowatego kształtu stemple lub inne elementy obudowy ze starych chodników i wyrobisk. Ekipa ta wydostawała również spod zawalisk zasypane maszyny, na przykład wrębiarki, oraz inne wyposażenie i urządzenia górnicze. Nie była to praca tak ciężka jak transportowanie owych słupów, ale bardzo niebezpieczna.

Po przepracowaniu kilku dni przy tym zajęciu jeden pracujący ze mną i mieszkający również w tym samym hotelu kolega zaczął namawiać mnie, abyśmy przenieśli się do innej kopalni. Byłbym to zapewne uczynił, gdyby nie to, że widząc raz sztygara w dobrym nastroju, zapytałem, czy nie może mnie zatrudnić przy którejś taśmie na stanowisku guzika, mówiąc mu, iż na guziku pracowałem już w innej kopalni i dobrze znam to zajęcie. Słyszając to, sztygar zmarszczył trochę brwi i powiedział najpierw, że jeśli miałem w jakiejś kopalni taką fuchę, to czemu z niej odszedłem i teraz tutaj przyszedłem mu głowę zawracać. Nie czekając jednak na moją odpowiedź dodał zaraz, iż mam szczęście, bo akurat jeden starszy guzikarz odchodzi z końcem roku na emeryturę i po odejściu będę mógł zająć jego miejsce.

Hotel, w którym mieszkałem, był nowym, dużym budynkiem o czterosobowych pokojach, choć były też większe sale. Opłatę uiszczałem niewysoką: sześćdziesiąt złotych miesięcznie. Na dole był sklep spożywczy, a na pierwszym piętrze hotelu bufet i stołówka, w której można było wykupić dość tani miesięczny abonament na obiady. Śniadania i kolacje spożywaliśmy w barach na mieście lub jeśli ktoś chciał, mógł je sobie sam sporządzić w osobnej, wszystkim lokatorom dostępnej kuchni, z której też chętnie korzystałem.

Po pracy często chodziłem do kina, szczególnie na filmy z Marilyn Monroe lub Gérardem Philipe'em, ale jeszcze częściej grywałem z kolegami w karty, i to na pieniądze.

W ogóle, w tym hotelu mieszkało bardzo karciane towarzystwo, bo w karty grano chyba we wszystkich pokojach i grano we dnie, wieczorami i w nocy – nierzadko do samego rana. Być może czyniono tak ze względu na jesienno-zimową porę, kiedy wieczory są długie, a telewizji jeszcze nie było i nie bardzo było wiadomo, co z czasem począć.

Choć ja także byłem namiętym graczem w karty, to szybko spostrzegłem, że tej zabawy jest już za wiele, bo niejednokrotnie szedłem niewyspany do pracy. Zatem, gdy szliśmy do roboty na ranną zmianę, a mimo to z wieczora zasiadaliśmy do kart i grę przeciągano, próbowałem wyłamywać się z nocnego grania. Jeśli jednak zabrakło jednego gracza do kompletu i nie można było zaprosić kogoś z innej sali, bo przykładowo tam również grano, wówczas koledzy wyciągali mnie z łóżka i musiałem grać z nimi do końca, czasami do rana. Kiedy był komplet do gry beze mnie lub wyrwać się z łóżka nie dałem, to spać również nie mogłem, bo karciarze, grając, tak hałasowali, że usnąć było niemożliwością, tym bardziej iż w czasie gry paliło się w pokoju światło.

Począłem już zastanawiać się, czy nie wrócić do domu wcześniej, nie przy końcu marca, lecz może już w lutym – bo przecież żadnego motoru i tak nie kupię, a trochę pieniędzy wszak do tego czasu zarobię – gdy jeszcze przed świętami otrzymałem list

od ojca. Mimo moich tłumaczeń w wysłanej do domu wiadomości pytał z pretensjami, czemu po wyjściu z ośrodka nie przyjechałem do Kwidy, tylko zostałem na Śląsku, i prosił, abym jak najszybciej wracał do domu.

Byłem rad z tego listu i ogarnęła mnie wielka chęć, by święta spędzić razem z rodziną w domu. Ponadto pomyślałem, że jeśli mam aktywnie włączyć się do gospodarki, przekonać ojca do innego sposobu gospodarowania oraz zdążyć coś na czas zaplanować i przygotować w uprawie na polu, to może byłoby za długo pracować w kopalni do marca. Po otrzymaniu zaliczki postanowiłem więc wyjechać do domu.

*

Przed wyjazdem kupiłem ładny ciepły płaszcz i zimową czapkę. Nie chciałem w chwili przyjazdu do domu i do wsi wyglądać jak powracający z więzienia nieszczęśliwiec, tylko zaskoczyć wszystkich i zaprezentować się jak najlepiej. O kupnie motocykla już nawet nie myślałem, ale otrzymałem w liście wiadomość, że od wiosny albo od lata ma zacząć z Kętrzyna do Giżycka kursować autobus z przystankiem także w Kwidzie, więc motor już nie był bardzo potrzebny, aby się dostać do miasta. Niemniej postanowiłem go sobie kupić, jak zarobię trochę więcej grosza na wsi.

Zamierzałem po przyjeździe pociągiem do Kętrzyna wybrać się do domu taksówką, lecz kiedy przyjechałem do tego miasta, spostrzegłem, że szosy są bardzo oblodzone, zatem taksówki nie szukałem, tylko w drogę do Kwidy ruszyłem piechotą. W Kętrzynie był akurat dzień targowy, mogłem więc liczyć na to, że ktoś wracając z jarmarku, podwiezie mnie konnym wozem.

Jakoż nie myliłem się, bo jeszcze przed Karolewem poznał mnie nasz sąsiad, Bolesław, i zaprosił do swojego zaprzęgu. Pan Bolesław zapewne wszystko o mnie wiedział, ale spytał, skąd to ja po tak długiej nieobecności do Kwidy wracam, nie omieszkając od razu zauważyć, że tak elegancko ubrany i z tak wielką walizką. Odpowiedziałem, iż wracam z Górnego Śląska, gdzie pracowałem w kopalni węgla kamiennego, na co sąsiad tylko potakując rzekł:

– Ano tak, ano tak. Ojciec twój mi o tym kiedyś wspominał.

Widać było, że chciał jeszcze czegoś się dowiedzieć, lecz powstrzymał się i o nic nie pytał. Pewnie pomyślał, że przecież któregoś dnia go w domu odwiedzę, to wtedy sobie porozmawiamy. Skorzystałem z tej przerwy i ja zapytałem:

– Co tam nowego teraz w Kwidzie słychać?

– A, chyba już wiesz, że ludzie we wsi można by tak powiedzieć zbuntowali się i sami rozwiązali spółdzielnię. Nie wiadomo jednak, czy pozwolą długo tak gospodarzyć. Na pewno łatwo nam tego nie przepuszczą i będą starali się nas znowu do spółdzielni zapędzić.

Dość szybko przyjechaliśmy do Kwidy, a jazda była bardzo przyjemna. Żegnając się pan Bolesław zaprosił mnie do siebie, najlepiej któregoś wieczoru, jak będę miał wolny czas.

Do domu o moim rychłym przyjeździe nie pisałem, toteż wywołałem nie lada zaskoczenie, gdy zjawiłem się w progu. Powiedziano mi, iż nie od razu mnie rozpoznano. Wszyscy jednak bardzo ucieszyli się z mojego powrotu, zaraz zauważając, że jestem ubrany jak dygnitarz i do tego z wielką walizką, której wyjeżdżając z domu nie miałem. Jednakże ojca ze wszystkich moich nowo zakupionych rzeczy i podarowanych domownikom prezentów najbardziej zachwycił budzik. Nasz domowy był już zepsuty i właśnie niedawno spłatał wielkiego figła. W nocy stanął, mimo że był nakręcony, i ojciec gdzieś tam na czas nie zdążył. Chciał go nawet wyrzucić, ale jeszcze pożałował. Był stary, zdaje mi się przedwojenny, i o części do niego było już trudno, tak że zegarmistrz nie chciał nawet przyjąć go do

naprawy. Więcej stał, niż chodził, a bez zegara – mówił ojciec – to jak bez ręki, choć nauczono się już odgadywać porę dnia po pozycji słońca i po przejeżdżających pociągach osobowych, których hałas dochodził do mieszkania.

Ojcu powiedziałem, że teraz, mając w domu prąd, kupię „Pioniera” i będzie można budzik nastawić dokładnie według radia. Jak tylko wspomniałem o elektryczności, macocha zaraz zaczęła żalić się, iż tak niefortunnie, akurat nad jej łóżkiem, zainstalowano licznik poboru prądu, że teraz spać w nocy nie może, bo licznik przez cały czas nad głową jej brzęczy. W czasie jego zakładania nie wiedziała, iż będzie on tak dzwonił, a elektrycy o tym nic nie mówili. Gdyby powiedzieli, że będzie hałasował, to by ich pogoniła razem z tym licznikiem.

Dobrze trafiłem z moim przybyciem, bo obiad prawie był gotowy i wkrótce macocha przystąpiła do podawania go do stołu. Krzątając się przy tym zajęciu, bardzo żałowała, iż nie było mnie w domu w czasie wesela Reginy, które było niezwykle udane i tyle było na nim wspaniałego jedzenia. Powiedziała następnie, że Regina z Olkiem w kilka dni po ślubie zamieszkali w pegeerze za Kętrzynem, gdzie podjęli pracę i jak na początek jakoś tam sobie radzą.

Przy obiedzie rozmawialiśmy o tym, co w domu i w Kwidzie od czasu mojego wyjazdu się wydarzyło. Ja opowiedziałem dokładniej, niż to pisałem w listach, o nieszczęsnym braku przeniesienia z Karolewa i jak to w tych czasach dużo ludzi z kraju na Zachód uciekało. Nadmieniałem o tym w szczególności po to, aby usprawiedliwić swoją ucieczkę, jednakże czyn mój nie znalazł u ojca wielkiego uznania i nie został pochwalony.

Podczas obiadu Zbyszka, który uczeszczał już do siódmej klasy, nie było w domu, bo był jeszcze w szkole w Pożarkach, lecz powinien już być wrócić na obiad. – Ale jak to on – powiedziała macocha – może poszedł po drodze nad jezioro popatrzeć, jak w przeręblach rybacy ryby na święta łowią.

Janka miała już siedemnaście lat, do szkoły średniej nie poszła, gdyż powiedziała, że zostanie na gospodarce, bo nie ma to jak w domu na roli.

Zbyszek niedługo do domu powrócił. Nad jeziorem nie był, tylko gdzieś z góry z kolegami na zelówkach zjeżdżał. Serdecznie przywitaliśmy się. Narzekał, że bardzo długo mnie nie było, a macocha dodała, iż biedak za mną tęsknił, bo nie miał z kim w domu porozmawiać, gdyż Stach też zaraz po moim odejście do wojska poszedł.

Święta Bożego Narodzenia upłynęły w bardzo miłej rodzinnej atmosferze. Powiadomiona o moim powrocie, przybyła na nie z Kętrzyna Frania. Bardzo cieszyła się z mojego przyjazdu. Wspomniała, jak nie mogła mnie rozpoznać w kolumnie idących więźniów i jak niezwykle w owych więziennych drelichach wyglądałem.

Z moim kolegą Zygmuntem także się po kilku dniach spotkałem. Był już rymarzem i pracował w Kętrzynie, gdzie również wynajmował kwaterę, ale często do Kwidy przyjeżdżał. Prócz rymarstwa zajmował się elektroniką. Potrafił zreperować radio i niekiedy też widywałem go w domu przy tym zajęciu.

Niedługo odwiedziłem również sąsiada Bolesława i innych mieszkańców wsi. Zauważyłem, że nikt moim pobytem w więzieniu aż tak bardzo się nie interesuje, a przynajmniej mi tego nie okazywano. Wszyscy mieli swoje własne, o wiele dla nich ważniejsze sprawy na głowie, a jeśli już coś o mojej ucieczce mówiono, to w sposób wyrozumiały, kładąc to na karb młodości. Pomyślałem, iż zapewne byłoby tak samo, gdybym wrócił z Otoku do Kwidy, przecież tylko na jeden rok, po nieudanym przenoszeniu się z Karolewa do Chojnowa. Niepotrzebnie więc obawiałem się jakichś szyderstw czy kpin i mogłem spokojnie wracać do domu.

*

Ojciec niezbyt chętnie słuchał na temat innowacji w gospodarstwie, o jakich zacząłem mu mówić. Potem jednak do dyskusji nawet dość się zapalił i wyznał, że

mu samemu przychodzą nieraz różne myśli do głowy, aby swoją gospodarkę trochę zmienić i uczynić ją bardziej dochodową. Odrzucił wszakże moją sugestię, żeby zasiać ze dwa lub trzy hektary rzepaku, przystając najwyżej na jeden hektar, ale i to według niego było za dużo. Mówił, iż nie mamy tyle pola, aby taki wielki areal przeznaczyć pod zasiew rzepaku, bo zabrakłoby go wtedy pod inne niezbędne uprawy. Nadmienił natomiast, iż mając dużą zagrodę przy jeziorze, która jest nie bardzo wykorzystana, można by kupić na wiosnę z dziesięć lub nawet dwadzieścia cieląt do chowu do jesieni na bukaty i w niej je hodować.

Zagroda ta rzeczywiście była niezbyt wykorzystywana, bo ze względu na trudny do niej dostęp i potrzebę przegania zwierząt wąskimi drogami, wśród obsianego zbożem pola, krowy rzadko tam zaganiano, a konie pasły się tylko w niedziele i święta lub w inne dni, kiedy nie pracowały.

Zagroda bardzo dobrze nadawała się do chowu cieląt, gdyż prócz tego, że był dostęp do wody, rosła w niej nadzwyczaj okazała trawa i koniczyna. Były to wprawdzie nieużytki ogólne, ale jako że niedostępne do wspólnego wypasu bydła, więc ogrodziliśmy je i tylko my z tego terenu korzystaliśmy. Podobnie czynili dalsi użytkownicy gruntów przy jeziorze, lecz pola ich stykały się z jeziorem bardziej prostopadle i mieli oni dużo mniej takich nieużytków.

Ogromnie spodobała mi się myśl o chowie bukatów w zagrodzie, przeto z zapałem włączyłem się do dyskusji. Przecież w dobrych warunkach, przy jeziorze, następowałby szybki przyrost cieląt, a do jesieni ich waga i wartość wzrosłyby kilkakrotnie. Można było dodatkowo przeznaczyć i ogrodzić na ten cel kawałek mniej urodzajnego pola przy lesie, tuż przy zagrodzie, żeby była ona jeszcze większa.

Zagrodę należało przegrodzić na dwie części, tak aby w jednej pasły się cielęta, a w tym czasie w drugiej odrastała trawa. W ogrodzeniu – na przejściach dla wędkarzy i turystów – trzeba było zainstalować obracające się na słupkach drewniane krzyżaki, żeby ludzie mogli przejść, a cielęta się nie wydostały. Nad wodą nie byłoby bukatom tak gorąco w czasie upałów, a z kolei w nocy byłoby im trochę cieplej. Należałoby zbudować pośrodku zagrody kawałek zadaszenia, na konstrukcję którego łatwo było jeszcze znaleźć stare deski, krawędziaki i kawałki papy, leżące tu i ówdzie w okolicy. Dach ten mógłby być wykorzystany do podobnej hodowli w następne lata, gdyby akcja chowu w tym roku zachęciła do jej powtórzenia w przyszłości.

Im więcej tych cieląt na wiosnę kupilibyśmy, tym hodowla byłaby bardziej opłacalna. Jeśli chowalibyśmy ich dużo, trzeba byłoby je dokarmiać, zwłaszcza później, kiedy by podrosły i pokarmu w zagrodzie im by nie starczało. Wyraziłem chęć dowożenia do zagrody trawy, której pełno rosło na naszych polnych miedzach i drogach, a jeszcze więcej między polem a lasem jak również na skraju lasu. Akurat mieliśmy dobry do tego celu wózek na dwóch kołach, na który mieściło się kilka płacht skoszonej trawy. W nocy trzeba byłoby nadzorować hodowlę.

Na wiosnę należało zebrać większą gotówkę, kupować na rynku w Kętrzynie cielęta i przewozić po kilka sztuk w klatkach do zagrody. Jesienią wynajęlibyśmy samochód i partiami odwieźli bukaty do skupu, choć można byłoby je również zapędzić do miejsca sprzedaży.

Na tej hodowli, gdyby wszystko dobrze poszło, moglibyśmy dużo zarobić, przeto po kilku dniach takiej dyskusji powzięliśmy zamiar jej realizacji.

*

Niedługo po przyjeździe do Kwidy wyrobiłem sobie mój pierwszy dowód osobisty, po otrzymaniu którego poczułem się bardzo poważny, oświadczając wszystkim, iż jestem już dorosłym mężczyzną.

Załatwiając w Kętrzynie formalności potrzebne do uzyskania tego dokumentu, trafiłem akurat na dostawę „Pionierów” do tamtejszego sklepu elektrycznego, więc

zaraz jeden odbiornik kupiłem, choć wydatek ten ojciec potem w większej części mi zwrócił. Radio to znacznie urozmaicało czas spędzany w mieszkaniu, szczególnie w owe długie zimowe wieczory. Chętnie słuchaliśmy dzienników, zarówno w wydaniu krajowym, jak i z polskojęzycznych rozgłośni zachodnich, choć wtedy, żeby ktoś niepożądany tego nie podsłuchał, przyciszaliśmy trochę radio. Prócz wiadomości często słuchaliśmy muzyki i piosenek, bo w domu wszyscy bardzo lubili piękne melodie, a poza tym muzyka tak mocno nie absorbuje i słuchając jej można całkowicie skoncentrować się przy pracy oraz swobodnie ze sobą rozmawiać.

Kiedy usłyszałem w radiu, że w Moskwie zmarł nasz były prezydent, a ówczesny pierwszy sekretarz PZPR, Bolesław Bierut, który udał się do stolicy ZSRR na słynny XX Zjazd KPZR, postanowiłem wybrać się do Warszawy na jego pogrzeb. Jak podało radio, Bierut – będąc w Moskwie – zachorował na silne zapalenie płuc, lecz bezpośrednią przyczyną zgonu miał być zawał serca. Ojciec był przeciwny mojemu wyjazdowi na ten pogrzeb, ale powiedziałem, że jest to moment historyczny, ma przyjechać dużo znanych osobistości zagranicznych i warto to wszystko zobaczyć.

Piętnastego marca rano przyjechałem do Warszawy i udałem się do gmachu Komitetu Centralnego PZPR, gdzie trumnę ze zwłokami Bieruta wystawiono na widok publiczny. Kiedy posuwałem się w kolejce wolnym krokiem w kierunku katafalku, nagle ktoś mnie klepnął w ramię. Obejrzałem się, był to Jurek z ośrodka. Jaki traf! Wszczęliśmy ciekawą rozmowę, którą przerwaliśmy dopiero, gdy zaczęliśmy zbliżać się, a następnie przechodzić w pobliżu zmarłego. Spojrzałem na jego twarz, była bardzo blada, ale niewiele zmieniona. Nad trumną zwisały pochylone sztandary. Wiele czerni i kwiatów. Przy katafalku stali na warcie honorowej żołnierze i nie znani mi ludzie, choć domyślałem się, że są to jacyś wysocy rangą partyjni towarzysze i oficjele.

Po wyjściu na zewnątrz porozmawialiśmy jeszcze z Jurkiem trochę i umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia, ponieważ musiał zaraz wracać do znajomych, u których zatrzymał się w Warszawie. Zdołałem jednak dowiedzieć się od niego, że nie mieszka już z rodzicami, tylko gdzieś w domu kolejarza, gdyż podjął pracę jako konduktor.

Zwiedzając po południu stolicę, natknąłem się na jakiś bazar, gdzie na jednym ze stoisk spostrzegłem ciekawy, nietypowy w formie kapelusz. Kobieta, która go sprzedawała, mówiła, iż otrzymała go w paczce z zagranicy i żałuje, że chociaż taki piękny, musi go sprzedać, bo w domu rozmiarem nikomu nie pasuje. Kapelusz był rzeczywiście ładny, choć wydawał mi się trochę dziwny, w dodatku był jasnozielonego koloru. Przymierzyłem. Dobrze na głowie mi leżał, a że moja czapka letnia była już mocno sfatygowana, więc go kupiłem.

Noc przedrzemałem w poczekalni dworcowej, bo o miejscu w hotelu lub w prywatnej kwaterze – nie było mowy. Gdy rano przyszedłem na plac Stalina, przy Pałacu Kultury i Nauki (również o imieniu tego, po części skrytykowanego już na wspomnianym zjeździe KPZR wodza), zastałem ogromne tłumy ludzi. Jurka nie mogłem odnaleźć w miejscu, w którym mieliśmy się spotkać, bo – jak okazało się – miejsce to niezbyt dokładnie określiliśmy, a przesuwanie się i szukanie go wśród tej wielkiej masy obserwujących wydarzenie ludzi było wprost niemożliwe.

Okolo godziny dziesiątej przyniesiono z Komitetu Centralnego PZPR trumnę ze zwłokami Bieruta i ustawiono na wysokim czerwonym podium, stojącym na środku placu. Po długich, trwających chyba więcej niż godzinę przemówieniach naszych oficjeli i przybyłych na pogrzeb zagranicznych gości kondukt żałobny ruszył w drogę na Powązki. Kiedy dochodził gdzieś do okolic Żoliborza i po bokach ulic stało już mniej obserwujących pochód ludzi, poszedłem szybciej chodnikiem, aby zobaczyć idące na przędzie osobistości. Ponieważ prócz premiera Cyrankiewicza niewielu

dostojników rozpoznałem, powtórzyłem manewr przejścia do przodu jeszcze ze dwa razy, bacznie przypatrując się idącym. Jednakże, gdy po raz kolejny spoglądałem na Cyrankiewicza, on już zwrócił na mnie uwagę, być może za sprawą mojego oryginalnego kapelusza, i przenikliwie na mnie spojrzał. W obawie, iż mogę podobnie zostać zauważony również przez jego ochronę, więcej do przodu nie wychodziłem. Wszelako zdążyłem już dostrzec z bliska Rokossowskiego, Ochaba, Zawadzkiego, Rapackiego, chińskiego marszałka Czu Teha i postać niedawno wybranego pierwszego sekretarza KPZR, Nikity Chruszczowa, które to osobistości oglądałem już przedtem w czasie ich pogrzebowego przemówienia z trybuny na placu przed Pałacem Kultury i Nauki.

Po złożeniu trumny w sarkofagu na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, oddaniu salw armatnich i karabinowych oraz złożeniu wieńców uczestniczący w pogrzebie zaczęli się rozchodzić, a ja wróciłem na dworzec i wieczorem udałem się pociągiem do domu.

Wydarzenia, które potem miały miejsce w Polsce, doprowadziły między innymi do uchwalenia 27 kwietnia 1956 roku amnestii, o której już wspominałem.

*

W drugiej połowie marca, jak się ociepliło i ziemia rozmarzła, wznowiono budowę drewnianego mostu przez Guber na drodze do Wajsznur. Przystąpiłem do odrabiania przy nim następnych godzin szarwarku, czyli obowiązkowych robót publicznych, bowiem wcześniej, w czasie obfitych opadów śniegu w lutym i na początku marca, chodziłem do usuwania zasp śnieżnych z okolicznych dróg. Przy budowie mostu przepracowałem dalszych kilkanaście dni. Tutaj praca moja polegała głównie na podciąganiu korbą do góry, wspólnie z innymi ludźmi ze wsi, żelaznego młota, ważącego około tony, zawieszzonego na wielokrążku. Młot ten następnie puszczany, spadał i wbijał w brzeg rzeki grube drewniane pale, mające podtrzymywać budowany most.

Chociaż praca ta nie była lekka i każdego dnia ciężko się przy kręceniu korbą napracowałem, to jednak nie zapomniałem o sporcie – kupiłem piłkę ręczną oraz siatkę i urządziłem koło domu boisko do gry w siatkówkę. W niedziele i święta, a niekiedy również w zwykłe dni po pracy, graliśmy w tę grę z Regimą, Janką i innymi dziewczynami ze wsi oraz z Zygmuntem, Zbyszkciem i jego dorastającymi kolegami. Ale ojciec trochę krzywo na to patrzył mówiąc, iż dobre to jest w szkole albo w mieście, a tu niepotrzebnie tylko tracę przy grze czas i energię, miast wykorzystać je przy jakimś użyteczniejszym zajęciu.

W kwietniu zacząłem wychodzić z ojcem na pole, gdzie razem oraliśmy i bronowaliśmy ziemię oraz sialiśmy zboże. Jednego dnia – gdy szedłem właśnie za pługiem, a tata podążał obok mnie i pouczał, jak należy orać – przyszło do nas na pole dwóch nieznajomych mężczyzn, obaj w wieku może trzydziestu pięciu lat, i wszczęli z nami rozmowę. Byli z Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. W czasie kilkunastominutowej rozmowy pytali, czy zamierzam pozostać na wsi na gospodarce, czy interesuje mnie praca w polu i czy dobrze w tej pracy pomagam, na co obaj z tatą odpowiadaliśmy potakująco. Jak odeszli i wsiedli do samochodu zaparkowanego trochę dalej na drodze, zastanawialiśmy się z ojcem, po co przyszli i o co im chodziło. Po powrocie do domu, dowiedzieliśmy się, że najpierw byli u nas w mieszkaniu i podobne pytania zadawali macosze. Według niej przyszli zobaczyć, czy gdzieś znowu za granicę się nie wybieram, i chyba istotnie taki był cel ich wizyty.

*

Niestety, gdy nadeszła wiosna, zaczęliśmy dalej gospodarować po staremu, to znaczy uprawiać wszystkiego po trochu, bo wszystko było w gospodarstwie jakoby niezbędnie potrzebne. Było to mało efektywne, a pochłaniające dużo pracy i czasu

skakanie z miejsca na miejsce, robienie i dogłębne oglądanie wszystkiego naraz. Nie było wiadomo, nad czym bardziej się skoncentrować, ponieważ ojciec z macochą nie podjęli żadnej próby jakiegokolwiek specjalizacji, zmiany i reorganizacji dotychczasowych metod gospodarowania, a ja na to wszystko nie miałem jeszcze większego wpływu. Bardzo byłem niepokojony, kiedy zrezygnowaliśmy także z hodowli cieląt na bukaty. Ojciec rozmyślał, jak gdyby zląkł się powziętych uprzednio planów, które później wydały mu się zbyt odważne. W dyskusji, jaka wywiązała się w domu nad wprowadzeniem do realizacji tego zamierzenia, wynikła pierwsza zasadnicza trudność, kiedy nie bardzo było wiadomo, co sprzedać, żeby tyle cieląt kupić, bowiem kasa domowa po dwóch latach gospodarowania w spółdzielni była raczej pusta. Wprawdzie może znalazłoby się coś, co dałoby się spieniężyć, ale wszystkiego było szkoda, wszystko było potrzebne, do wszystkiego się przyzwyczajono i wszystko wydawało się mieć swoje niezastąpione zalety. Nadmieniano, iż może najlepiej byłoby sprzedać owce, których było dużo i niemało różnych z nimi kłopotów, a w sumie nie przynosiły wielkich korzyści. Nie były to owce jakiegokolwiek przedniej rasy, tylko zwykłe, drobne mieszańce, które nie dawały najlepszej wełny. Były problemy z wypasaniem ich latem, bo zagroda nasza do tego celu nie bardzo się nadawała, choćby dlatego, że owce, zwłaszcza te mniejsze, łatwo by z niej powychodziły. Były także kłopoty z karmieniem ich zimą, a ponadto zajmowały zbyt wiele miejsca w oborze, którego trochę brakowało dla pozostałego inwentarza żywego. Jednak bardzo użyteczny był po nich obornik, a za sprzedaną wełnę, jakkolwiek niedużo, zawsze było trochę grosza. Przede wszystkim jednak, kiedy było potrzebne mięso w domu, to najpraktyczniej było przeznaczyć na ten cel jednego baranka, żeby nie zabijać świniaka, który może jeszcze dostatecznie nie dorósł albo była ku temu mało odpowiednia pora – nie mówiąc już o tym, iż mięso baranie jest chudsze i zdrowsze od wieprzowiny.

Dyskutowano także nad sprzedażą innych zwierząt domowych lub rzeczy na kupno tych cieląt, ale zawsze widziano więcej minusów niż plusów rozpatrywanego przedsięwzięcia. Ponadto ojciec mówił, iż są to czasy nie wiadomo jakie, bardzo niepewne, nie można za dużo się bogacić – bo przecież z kułakami walczone. Jeśli podjęlibyśmy hodowlę choćby tylko dziesięciu bukatów, to pewnie by nas dodatkowo mocno opodatkowano i jedynie byśmy się narobili i wyszli na tym jak Zabłocki na mydle.

Ojciec niepokoił się nawet, co by o tej hodowli ludzie w Kwidzie powiedzieli i bał się, że przez jakąś zazdrość może jeszcze narobić sobie we wsi wrogów.

Tak więc w domu widziano tylko trudności w realizacji tego zamierzenia i ostatecznie skończyło się to wszystko na niczym.

Ojciec nie widział też możliwości zasiania latem jednego hektara rzepakiem, jaką to ewentualność początkowo jeszcze dostrzegał, ograniczając teraz tę powierzchnię najwyżej do pół hektara. Wyjaśnił, iż bardzo potrzebne nam jest zboże, kartofle i warzywa, a dla zwierząt słoma, buraki oraz inne rośliny okopowe i pastewne na paszę. Nie można też było zapomnieć o zabezpieczeniu sprzedaży wyznaczonej nam ilości zboża, ziemniaków i mięsa na obowiązkowe dostawy, jakimi chłopcy byli obciążeni i które to produkty zmuszeni byli sprzedawać państwu, w dodatku po bardzo niskich cenach. Te kontyngenty utrudniały również przeprowadzenie w gospodarstwie jakiegokolwiek specjalizacji i nakłaniały rolników do uprawy wszystkiego po trochu.

Prócz obowiązkowych dostaw gospodarce nadwierały wysokie podatki, którymi, jak we wsi mówiono, chcieli chłopów zmusić do ponownego założenia spółdzielni produkcyjnej. Co rusz przychodzili do domu urzędnicy z gminy i powiatu, którzy

przypominali o płaceniu podatków i o innych należnościach, grożąc różnymi konsekwencjami.

*

Z opisanych powodów nie widziałem dla siebie optymistycznych perspektyw w Kwidzie i zacząłem zastanawiać się, co by tu teraz począć. Najlepiej byłoby wyjechać i podjąć pracę w mieście, ale obawiałem się, iż z powodu mojego pobytu w więzieniu za próbę ucieczki za granicę nie zostanę przyjęty do jakiejś ciekawszej roboty. Bałem się nawet pomyśleć, jak by na mnie spojrzano w kadrach zakładu pracy, wymagającego dobrej opinii, gdybym powiedział, za co byłem karany. Przecież kadrowcy takich zakładów byli nie tylko partyjniakami, ale jeszcze utrzymywali ściśle kontakty ze służbami bezpieczeństwa.

Nie widząc sposobu na wybrnięcie z tej sytuacji, napisałem list do redakcji czasopisma „Nowa Wieś” z prośbą o poradę, jak rozwiązać mój problem, abym mógł żyć i pracować jak każdy obywatel. Pytałem o możliwość wymazania tej uciążliwej przeszłości, którą dla nieodzownej wówczas w takim przypadku samokrytyki nazwałem „plamą w życiorysie” i której powagę wielce dostrzegałem. Pisząc wzorowałem się na podobnych listach, jakie wysyłali czytelnicy do tej redakcji, szukając rozwiązania swoich problemów. Listy takie bywały często na szpaltach tego czasopisma publikowane, a pod nimi różni specjaliści udzielali prawnych i praktycznych wskazówek, jak należy postąpić w danej sytuacji. Jako że moja sprawa była dość poufnej natury, o jakiej nigdy w gazetach nie czytałem, liczyłem raczej na odpowiedź listowną. Jednakże upłynęło kilka tygodni i żadnej odpowiedzi ani listem, ani też na łamach tego czasopisma nie otrzymałem. Pomyślałem więc, iż muszę sobie radzić sam i doszedłem do wniosku, że chyba najprostszym wyjściem będzie, jeśli starając się o pracę, nie będę pisał w życiorysie, że przebywałem w więzieniu za tego rodzaju przestępstwo. Przecież takiego młodego chłopca jak ja, ze wsi, nie będą podejrzewać o podobną przeszłość. Natomiast, kiedy zostanę już przyjęty i dobrze będę pracował, a sprawa się wyda, to może wezmą mnie tylko na jakąś ostrzegawczą rozmowę i tak od razu mnie z pracy nie zwolnią.

W pierwszej połowie czerwca 1956 roku zauważyłem w lokalnej gazecie bardzo atrakcyjnie napisane ogłoszenie, w którym poszukiwano pomocników murarzy przy odbudowie zamku w Olecku, gdzie zamiejscowym oferowano od razu zakwaterowanie w hotelu robotniczym. Pomyślałem wówczas, iż przy tej pracy moja przeszłość chyba nie będzie miała znaczenia i, jako że Olecko znajdowało się stosunkowo niedaleko, może ze sto kilometrów od nas, zdecydowałem się tam pojechać.

Ojciec niewiele protestował, gdyż widział mój niezbyt wielki zapał do gospodarki w warunkach, w jakich ona się znajdowała. Nie pozostawiałem też ojca samego przy pracy w polu, bo niedługo Stach miał wrócić z wojska, więc wkrótce było komu mnie zastąpić.

Drugiego lub trzeciego dnia po ukazaniu się owego ogłoszenia spakowałem walizkę, zabierając tylko najważniejsze swoje rzeczy, i wieczorem, po powrocie z pola i pożegnaniu się ze wszystkimi domownikami, udałem się piechotą do Kętrzyna, aby zdążyć na nocny pociąg w kierunku Olecka.

Linii autobusowej, która tej wiosny lub lata miała zostać uruchomiona, w dalszym ciągu nie było i tego roku w ogóle jej nie otwarto. Liczyłem na jakąś okazję, lecz zdążyłem dojechać do Karolewa i nie trafił mi się żaden pojazd, który mógłby po drodze mnie zabrać. Czasu jednak miałem dość i piechotą wcale nie musiałem bardzo się śpieszyć.

Choć była późna pora, bo już po godzinie dziewiątej, to w tych najdłuższych dniach roku było wciąż widno jak w dzień, z czego korzystali uczniowie z Karolewa,

kopiąc jeszcze piłkę na boisku. Niedługo kończył się rok szkolny i widać było, że chłopcy już są na luzie. Od mojego przyjazdu do Kwidy, mimo że wiele razy jeździłem do Kętrzyna saniami, wozem lub rowerem i spotykałem po drodze dużo uczniów z Karolewa, nigdy nie natrafiłem na moich kolegów z klasy. Być może chłopcy, kończąc w tym roku szkołę, mieli mniej czasu na wypadki do miasta.

Przechodząc obok Karolewa, niewiele o nim rozmyślałem, bo na temat tej szkoły, od czasu jej opuszczenia, wielokrotnie się zastanawiałem i zdawałem już sobie sprawę, iż jest ona dla mnie przeszłością, która bezpowrotnie minęła.

8. WZLOTY I UPADKI

Do Olecka przyjechałem wcześniej rano i musiałem jeszcze poczekać na dworcu na otwarcie biur, a czekając zjadłem w tamtejszym barze śniadanie. Kiedy miejskie ulice zatętniły życiem, rychło odnalazłem poszukiwane przedsiębiorstwo, a gdy zgłosiłem się do jego kadr, zastałem tam już jednego młodzieńca załatwiającego formalności przyjęcia do pracy. Po zakończeniu tej procedury udaliśmy się obaj do robotniczego hotelu, gdzie zostaliśmy ulokowani w wielkiej, chyba dziesięcioosobowej sali. Nie było w niej w tym czasie nikogo, bo wszyscy lokatorzy poszli rano do pracy.

Zakwaterowany wraz ze mną kolega przyjechał z Ełku tym samym pociągiem co i ja, tylko że on od razu wyszedł na miasto i z tego powodu na dworcu nie widzieliśmy się. Gdy zajęliśmy miejsca w pokoju, poszliśmy obejrzeć nasz hotel, który był niewielkim drewnianym barakiem i na korytarzu prócz umywalni i toalet miał wspólną kuchnię do przyrządzania sobie posiłków oraz małą świetlicę. Kiedy już nacieszyliśmy się pierwszymi wrażeniami pobytu w hotelu, położyliśmy się do łóżek, ponieważ po nocnej podróży byliśmy niewyspani.

Lokatorzy pokoju, którzy po ukończeniu pracy nas obudzili, okazali się w większości młodymi chłopcami i aczkolwiek powrócili z ciężkiej roboty, byli pełni werwy i animuszu, wracając do swoich codziennych zajęć w hotelu. Po zapoznaniu się z nami i przebraniu się większość z nich, zjadłszy posiłek w hotelu, w nim pozostała, znajdując sobie jakieś zajęcie lub rozrywkę w pokoju albo w świetlicy, a kilku wyszło do kina. Jeden chłopak, natomiast, wraz z paroma chłopcami z innych pokoi, darując sobie sporządzanie obiadu samemu, poszedł do restauracji, aby – jak powiedział – przy okazji trochę się rozweselić. Ja wraz z przybyłym ze mną kolegą wybrałem się na przechadzkę po mieście, gdyż chcieliśmy dokładniej zobaczyć, jak wygląda to niewielkie miasteczko. Dobrze zrobiliśmy, że nie poszliśmy do restauracji z udającymi się tam chłopcami, chociaż czynili ku nam takie przymówki, bo w lokalu wynikła alkoholowa awantura i wrócili oni bardzo późno w nocy, niektórzy mocno poturbowani.

Rano zawieziono nas samochodem ciężarowym na miejsce pracy, którym była odbudowa zniszczonego w czasie wojny zamku nad jeziorem, z obecnym przeznaczeniem na dom wczasowy. Zatrudniono mnie przy rozbijaniu gruzów na cegły, które następnie obstukiwałem młotkiem ze starej zaprawy. Czynność tę, wraz z kilkoma innymi młodzieńcami, wykonywałem także przez następne dni. To trochę monotonne zajęcie przerywaliśmy na czas posiłku lub przerw deszczowych, kiedy to razem ze wszystkimi pracującymi na budowie zbieraliśmy się w jednym miejscu i prowadziliśmy ciekawe rozmowy. Zwłaszcza interesująco mówiło kilku starszych murarzy, którzy wśród wielu spraw często poruszali ówczesne zagadnienia społeczno-polityczne. Właśnie w tych dniach miały miejsce bardzo poważne wydarzenia w Poznaniu, bowiem w czasie międzynarodowych targów w tym mieście wystąpiły krwawe rozruchy robotników, a na ulice wyjechały czołgi. Robotnicy po raz pierwszy w PRL wystąpili przeciwko istniejącej władzy. Były strajki, demonstracje, barykady, walki uliczne, wielu zabitych i około tysiąca osób zostało rannych. Gorąca dyskusja wokół tego tematu przez wiele dni dominowała na placu budowy i byliśmy przekonani, że wydarzenia te doprowadzą do jakichś zmian politycznych w Polsce.

Do mojej pracy powoli się przyzwyczajałem, jakkolwiek liczyłem tu na ciekawsze zajęcie. Sądziłem, że może będę murarzom podawał cegły w czasie stawiania ścian, mieszał zaprawę murarską albo jeździł w teren po żwir, piasek, cement lub inne materiały.

Fluktuacja w zatrudnieniu na budowie, szczególnie wśród młodych pracowników, była duża. Prawie co dzień jeden lub kilku młodzieńców odchodziło i tylu nowych zgłaszało się do pracy, co było trochę przygnębiające, a dla mnie okazało się nawet bardzo kosztowne. Jednego dnia, prawdopodobnie chłopak, który pozostał rano w pokoju – bo zrezygnował z pracy i opuszczał hotel – zabrał mi moją walizkę, a innemu koledze z sali parę nowo zakupionych butów. Za kilka dni w podobnej sytuacji skradziono mi bardzo ładny i praktyczny na lato płaszcz.

Niestety, wraz z ogłoszeniami w prasie, zachęcającymi do pracy na tutejszej budowie, przybywało trochę niebieskich ptaków, którzy bardzo utrudniali życie, mieszkając razem z nami na wielkiej sali. Jak widać, nie przestawali być uciążliwi do ostatniej chwili, gdy zwykle po krótkim czasie rezygnowali z pracy i opuszczali hotel.

Kiedy jednego dnia wspominałem na placu budowy o tych kradzieżach, to jedni robotnicy mówili, że powinienem te fakty zgłosić na milicję, a inni byli zdania, iż nie ma to sensu, bo milicja nie będzie tym się wiele przejmowała. Nawet jeśli powiedziałbym, kto przypuszczałnie tego dokonał, to i tak złodzieja nie znajdą, chyba że go sam chwycę i im przyprowadzę. Natomiast, gdyby chodziło o jakieś podejrzenia polityczne, to z miejsca zabraliby się do roboty i poszukiwanego szybko znaleźli.

Kradzieże te mocno mnie zdeprymowały oraz zniechęciły do dalszego przebywania w hotelu. Póki więc mój garnitur wisiał jeszcze w szafie, otrzymawszy pierwszą wypłatę, kupiłem nową walizkę, spakowałem w nią rzeczy i bez większej koncepcji – licząc tylko na szczęście – powziąłem decyzję wyjazdu do Gdyni. W razie gdyby w tym mieście mi się nie powiodło, to miałem jeszcze wujka, Janka, mieszkającego i pracującego w pegeerze w Lisewie za Wejherowem, więc mogłem pojechać do niego.

*

Do Gdyni przyjechałem około godziny ósmej rano. Przechodząc przez dworzec, kupiłem w znajdującym się tam kiosku „Nową Wieś”, które to czasopismo co tydzień wówczas nabywałem. Przejrzałem je uważnie, czy przypadkiem tym razem nie ma dla mnie odpowiedzi na mój list wysłany do redakcji z półtora lub dwa miesiące temu.

Rzeczywiście, na jednej ze stron zauważyłem artykuł zatytułowany: „Zakłęte koło”, a pod nim moje nazwisko i adres. Był on napisany w formie mojego listu, którego treść jednak mocno zmieniono, a w niektórych momentach wręcz przeinaczono. Sporo rzeczy pominięto, a wiele nowych dodano. Widać, iż redaktor piszący ten artykuł bardzo się przejął nadesłanym listem, bo nader dramatycznie, żeby nie powiedzieć tragicznie opisał mój los. W niektórych momentach wszak mocno przesadził, bo na przykład nigdy nie dochodziło między mną a którymkolwiek z kolegów w Karolewie do potyczek na pięści, jak to w tym artykule zostało napomknięte, a czego ja w moim liście nie pisałem. Na końcu artykułu redaktor zwrócił się do czytelników, żeby mi doradzili, co zrobić, aby życie moje na wsi układało się ciekawiej, i ewentualnie jak powinienem postąpić w wypadku starania się o pracę w mieście, mając za sobą moją karalność, nazwaną plamą w życiorysie. Autor artykułu prosił, aby listy do mnie nadsyłało pod adresem redakcji.

Nie bardzo wiedziałem, jaką pociechę i pożytek mogę mieć z tego artykułu. Za moment wychodziłem z dworca na miasto w poszukiwaniu pracy i ewentualne porady czytelników obeznanych z ówczesną sytuacją prawną i społeczno-polityczną w Polsce były już mi potrzebne, a one przecież mogły nadejść dopiero za wiele jeszcze dni i to do domu w Kwidzie.

Nie byłem dokładnie zorientowany, jak wielkie znaczenie może mieć moja karalność w sprawie przyjęcia mnie do pracy, ale podejrzewałem, że skoro we własnej wsi, będąc przy ojcu, mnie nadzorowano, to tym bardziej karalność ta może

wywoływać jakieś skutki, pracując gdzieś w mieście. Wszelako byłem zdania, iż będąc na wsi lub pracując w mieście na budowie czy w kopalni, na zwykłych stanowiskach, moja przeszłość chyba nie ma dużego znaczenia. Jednakże Gdynia znajdowała się w tak zwanej strefie przygranicznej. Chociaż wjazd do niej był wolny, bardzo się obawiałem, że z moją przeszłością dla różnych czynników oficjalnych będę tu osobą niezbyt mile widzianą i jeśli przyznam się do niej, to ani zamieszkać w Gdyni nie będę mógł, ani pracy tu nie dostanę.

Bardzo jednak pragnąłem w tym mieście pozostać, bowiem niezwykle podobało mi się i pociągało mnie morze. Tu pracując w jakimś przedsiębiorstwie morskim, może mógłbym spełnić moje marzenia o podróżach po świecie i szerzej poznać i zobaczyć ten nasz piękny glob. Zatem, żeby wciąż mieć szanse zrealizowania tych marzeń, postanowiłem – jak to już obmyśliłem uprzednio – iż w razie otrzymania pracy, nigdzie nie będę wspominał ani słownie, ani na piśmie, że byłem karany z artykułu 23-go.

Nie sądziłem, abym ubiegając się o przyjęcie do upatrzonej instytucji czy przedsiębiorstwa, mógł dać do przeczytania w dziale personalnym ten artykuł z gazety, ponieważ w kadrach miała znaczenie jedynie narzucona im polityka oraz różne dokumenty i zaświadczenia. Po przeczytaniu artykułu na pewno usłyszałbym tylko od kadrowca, że mi bardzo współczuje, ale zakład aktualnie nie potrzebuje nowych pracowników lub że do pracy nie mogę być przyjęty z innych powodów. Ponadto, jeślibym w jednym zakładzie pracy powiedział, że byłem karany i do pracy nie został przyjęty, a w innym, karalności nie wyznając, pracę otrzymał, wówczas przez przypadek jakichś znajomości w tym drugim zakładzie mogłoby się wydać, iż byłem karany.

Z artykułu tego mógłbym najwyżej mieć pożytek w wypadku, gdyby przedsiębiorstwo, w którym zostałbym zatrudniony, mimo mojego bardzo jeszcze młodego wieku wysłało do centralnego rejestru skazanych zapytanie o karalność i ujawniłoby się, że byłem karany, a do tego sprawa przybrała nieciekawą dla mnie obrót. Wtedy, tłumacząc się, mógłbym przedstawić ten artykuł, który może by coś pomógł wyjaśnić.

Medytując nad tym wszystkim, mocno się zdumiewałem, do jakich to rozważań i pomysłów musi człowiek niejednokrotnie dochodzić nie tylko, aby ułożyć sobie życie, ale w ogóle jakoś przeżyć. Za chwilę zaczęły się jeszcze nowe tarapaty, bo opisane anomalie z powodu mojej karalności za to przestępstwo zostały na domiar złego spotęgowane przez nienormalne przepisy meldunkowe, jakie istniały wówczas w Gdyni i wielu innych ważniejszych miastach w Polsce. Otóż, kiedy opuściłem dworzec i poszedłem do kilku przedsiębiorstw i instytucji, okazało się, iż nawet tu i ówdzie potrzebują nowych pracowników, ale żeby zostać zatrudnionym, należy mieć zameldowanie w Gdyni lub Trójmieście, i to najlepiej na stałe. Gdy wyszukałem w ogłoszeniach lokalnych dzienników kilka adresów pokoi do wynajęcia i zgłosiłem się do właściciela jednego z nich, ten od razu powiedział mi, iż owszem, chętnie mnie przyjmie na pokój, ale jako że przybywam spoza Trójmiasta, to ani w Gdyni, ani w Gdańsku, ani w Sopocie wydział meldunkowy mnie nie zamelduje. Chyba że znajdę taki zakład pracy, który bardzo chciałby mnie zatrudnić i z tego powodu wystąpiłby z prośbą do prezydium miasta o zameldowanie mnie, dając wystarczające ku temu uzasadnienie, więc może wtedy wydział meldunkowy mnie zamelduje. Gdybym już został zameldowany, to na pewno nie na pobyt stały, tylko czasowy, przeważnie na rok, który to pobyt można byłoby potem przedłużać, ale zameldowanie takie wystarczyłoby już, aby ten zakład pracy mógł mnie zatrudnić.

Po sprawdzeniu tych informacji w rozmowie z innymi właścicielami mieszkań wynajmującymi pokoje, jak i w kilku następnych przedsiębiorstwach i instytucjach,

uznałem sprawę zamieszkania oraz podjęcia pracy tutaj za beznadziejną i postanowiłem pojechać do wuja w Lisewie.

Przed wyjazdem poszedłem jeszcze nad morze, chociaż zdążyłem już mu się trochę przypatrzeć, chodząc po mieście w poszukiwaniu pracy i pokoju lokatorskiego. Jako że do odjazdu pozostawało jeszcze kilka godzin, udałem się na spacer ponad brzegiem zatoki w kierunku Redłowa. Może po godzinie przystanąłem w bardzo uroczym, prawie dzikim nadmorskim ustroni, gdzie siadłem wśród drzew oraz innej roślinności i zacząłem się żarliwie przyglądać rozciągającym się przede mną widokom. Dopiero tego dnia po raz pierwszy w życiu ujrzałem morze, a zobaczyłem je najpierw z okien pociągu w czasie podróży do Gdyni, między Sopotem a Orłowem (dziś już ten widok jest mocno zasłonięty wysokimi drzewami). Zostałem urzeczony morzem. Jest ono o wiele wspanialsze, niż widziałem je w najpiękniejszych moich snach i marzeniach. Postanowiłem koniecznie kiedyś nad nie wrócić. Przecież przepisy meldunkowe z czasem muszą się zmienić – rozmyślałem – a może jeszcze przedtem wyszukam sposób na znalezienie pracy i zamieszkanie w Gdyni. Tak, muszę upatrzeć tu jakąś pracę – najlepiej związaną z morzem. Chcę je codziennie widzieć. Dobrze jeszcze byłoby znaleźć taką pracę, żebym, wykonując ją, mógł po morzu pływać i żałowałem, że tego dnia było już za późno, aby chociaż popłynąć statkiem żeglugi przybrzeżnej na Hel lub do Jastarni. Ale postanowiłem uczynić to, przyjeżdżając w którąś niedzielę do Gdyni. W przyszłości, być może, będę mógł normalnym, morskim statkiem popłynąć na drugi brzeg Bałtyku lub do innego lądu – marzyłem. Trzeba wyszukać sobie taką pracę – rozważałem – żeby można było służbowo pojechać w podróż morską, albo znaleźć takie zatrudnienie, przy którym będę mógł tyle zarobić, by pozwolić sobie samemu na wykupienie biletu w daleki wóaż statkiem. A jeżeli to nie będzie dla mnie możliwe, to ucieknę z kraju i nie będzie to wcale ucieczka nie przemyślana. Wybiorę się w podróż morską statkiem na gapę. Na pewno, mieszkając tu niedaleko, wymyślę skuteczny sposób na dokonanie takiej ucieczki. A wówczas świat będzie stał przede mną otworem. Najlepiej jednak byłoby podróżować legalnie, służbowo czy prywatnie, mając paszport i bilet. Musi to przecież być możliwe – jeśli nie w najbliższych latach, to w przyszłości. Przecież czasy się zmieniają, bo zawsze się zmieniają, i całe szczęście, że taki jest ten świat – mówiłem sobie.

Może po godzinie tych kontemplacji wróciłem do centrum miasta i przyszedłem na stację, gdzie wykupiłem bilet i około siedemnastej odjechałem do Lisewa.

*

Przyjechałem wieczorem, ale słońce jeszcze świeciło i do jego zachodu pozostawała może godzina. Gdy odnalazłem dom jedyne go z rodzeństwa mojej matki – młodszego od niej brata – on właśnie niedawno powrócił z pola tutejszego PGR-u, a wujenka oskrobywała z delikatnej łupiny młode ziemniaki.

Od czasu jego wyjazdu w 1947 roku z Borsuk – wsi sąsiadującej z Serpelicami – więcej się z nimi nie widziałem i dlatego też on, jak i wujenka mnie nie rozpoznali. Kiedy tylko przedstawiłem się, serdecznie mnie przywitani i kazali usiąść w fotelu, odpocząć po podróży i poczekać na kolację, opowiadając wieści z domu w Kwidzie.

Mieli oni troje dzieci – dwie córki: Annę, lat czternaście, i Helenę, lat siedem, oraz dwunastoletniego syna, Kostka – którzy mnie, im właściwie tylko ze słyszenia znanemu kuzynowi, bacznie się przyglądali.

Gdy w rozmowie z wujostwem niebawem wspomnieliśmy o mojej matce, spytałem czy nie mają fotografii, na której by mama była, ale, niestety, takiej pamiątki oni również nie mieli. Wuj rzekł, iż dawniej tak często nie fotografowano się jak teraz i żeby zdjęcie zrobić, trzeba było jechać do miasta lub przywieźć stamtąd fotografa, bo nie przypominał sobie, żeby ktoś miał wtedy aparat fotograficzny w Borsukach lub

w Serpelicach. Dodał, że kilka jednak zdjęć matki niegdyś było, lecz nie u nich, tylko w naszym domu w Serpelicach. Widocznie zaginęły gdzieś w czasie wojny, kiedy to wszystko wnoszono z mieszkania, aby w razie bombardowania lub pożaru nie zniszczyło się, i przenoszono do okopu lub gdzie indziej w pośpiechu chowano. Następnie zauważył, że my, będąc jeszcze małymi dziećmi, bardzo często przeglądaliśmy zdjęcia, więc może też gdzieś je pogubiliśmy.

Mieszkanie wujostwa było duże, z przestronnym pokojem na strychu, który na cele mieszkalne nie był wykorzystywany. Wuj, dowiedziawszy się o moich kłopotach z pracą i zamieszkaniem, zaraz mi powiedział, że mogę u nich na dłużej się zatrzymać, bo jest gdzie spać i mieszkać, szczególnie w tym dużym pokoju na górze, po jego uporządkowaniu. W dalszej rozmowie doszedł on do wniosku, że w pegeerze w Lisewie mógłbym pracować tylko na polu, chociaż – jak rzekł – mam szkołę, bo w administracji wszystkie miejsca są zajęte i na pewno nikogo tam więcej nie potrzebują. Za to w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Gniewinie, oddalonym o trzy kilometry, gdzie zatrudniają więcej urzędników, być może będę mógł znaleźć w biurze jakąś pracę.

Postanowiłem więc pójść tam nazajutrz i spytać, czy nie mają wolnego miejsca. Tego dnia po kolacji raczej szybko poszliśmy spać, bo wujek i wujenka wcześniej rano wstawali do pracy, a poza tym zatroszczyli się również, że pewnie jestem po podróży zmęczony i niewyspany.

*

Jak tylko wszedłem do biura GS-u, jego prezes widząc, że przyszedł nieznajomy, spojrzawszy badawczo na mnie, odpowiedział bardzo uprzejmym głosem na moje „dzień dobry” i rzekł:

– Pan pewnie w sprawie tej pracy?

– Jakiej pracy? – spytałem zdumiony i zaskoczony.

– A to pan nie przychodzi tu ze skierowania Wydziału Zatrudnienia w Wejherowie?

– Nie, ale pracy akurat poszukuję.

– To dobrze się składa – odpowiedział prezes – bo w tej chwili potrzebujemy takiego młodego człowieka jak pan na stanowisko starszego referenta skupu surowców wtórnych, skór surowych i futerkowych oraz złomu w naszym dziale skupu i właśnie takie zapotrzebowanie wysłaliśmy do Wydziału Zatrudnienia w Wejherowie.

Nie zastanawiając się długo, powiedziałem, że to na pewno trudna i odpowiedzialna praca, ale też bardzo ciekawa i chętnie się jej podejmę.

Po załatwieniu niezbędnych formalności przystąpiłem do pracy w połowie lipca 1956 roku i z wielkim animuszem zabrałem się do niej. Polegała ona na skupowaniu zużytej odzieży i innych wyrobów z tkanin zgrzebnych i wełnianych, a także złomu żelaza i metali kolorowych, które były dostarczane przez okoliczną ludność, szkoły i PGR-y, oraz skór surowych, głównie od agenta GS-owskiej masarni, a czasem też i skór futerkowych od różnych łowców tych trofeów. Surowce te następnie odsyłałem wagonami kolejowymi do hut lub fabryk albo odstawiałem samochodem do magazynów skupu Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Wejherowie. Przy zakupie skór surowych, przeważnie świńskich, wołowych i cielęcych, których skupowałem dużo, było najwięcej pracy i troski. Trzeba było je przy zakupie właściwie ocenić i zaliczyć do należytym klasy, potem przechowywać w chłodnej piwnicy, a przy składowaniu ich tam starannie je rozpościerać, odpowiednio solić, a następnie często przeglądać i w razie potrzeby dosalać.

Niekiedy, korzystając z geosowskiego wozu na gumowych kołach, krytego białą brezentową budą i ciągniętego przez konia o tej samej maści, nazywanego przez

nas Siwką, sam jeździłem z wagą po wsiach oraz szkołach i niektóre surowce na miejscu skupowałem. Brałem wtedy ze sobą różne druki reklamowe, zachęcające ludzi do sprzedaży skupowanych odpadów, i jadąc wozem, po drodze je rozrzucałem, co, jak zauważyłem, przynosiło pewne efekty i powiększało skup.

W chwilach, kiedy trzeba było przeprowadzić remanent w którymś ze sklepów, jakich GS posiadał około dziesięciu, rozmieszczonych w Gniewinie i innych przynależnych do gminy miejscowościach, wtedy zawsze uczestniczyłem w komisjach dokonujących owych spisów. Remanenty te trwały zazwyczaj bardzo długo, czasami od wczesnego rana do późnego wieczoru, ale upływały przeważnie w wesołej atmosferze, często w obecności pięknych dziewcząt – ekspedientek sprzedaży.

Niejednokrotnie też, dla przyjemnego tylko spędzenia czasu po pracy, dotrzymywałem towarzystwa naszemu bardzo miłemu i sympatycznemu magazynierowi, a zarazem konwojentowi, i obaj wozem zaprzężonym w Siwką rozwoziliśmy po sklepach towary.

W ramach pracy społecznej przypadło mi organizowanie akcji poszukiwania stonki ziemniaczanej na polach wsi z gospodarstwami indywidualnymi w naszej gminie. Stonka wówczas dopiero od kilku lat ukazywała się w Polsce i walka z nią w tym okresie polegała na wyszukiwaniu jej w naci kartofli i wrzucaniu do słoika lub butelki z trucizną. Zwykle tylko jeszcze nieliczne egzemplarze tego owada znajdowano na polach ziemniaczanych, ale było wiadomo, iż chrząszcz kolorado może stać się niedługo powszechnym i bardzo groźnym szkodnikiem tej uprawy.

Przy okazji przypominam sobie zdarzenie, jak po jednej takiej akcji sołtys zaprosił mnie do siebie na obiad. Podczas tej wizyty zauważyłem u niego w domu trzy zegary, dwa ściennie i jeden budzik, i wszystkie trzy nie chodziły, bo podobno miały poprzekręcane sprężyny. Bardzo zastanowił mnie ten sam rodzaj uszkodzenia we wszystkich zegarach. Ponieważ powiedziałem, że znam się trochę na tych przyrządach, bo nasz stary zegar w Kwidzie potrafiłem na jakiś krótszy lub dłuższy czas sam zreperować, przeto sołtys pozwolił mi wziąć budzik do ręki.

– Ale niech pan tylko nie nakręca więcej sprężyny – przestrzegali mnie ten pocciwy i krzepko wyglądający człowiek.

Oglądając zupełnie jeszcze nowy zegar, coś mi z tą przyczyną jego zatrzymania się nie zgadzało i kiedy mężczyzna odwrócił na chwilę ode mnie uwagę, podkreśliłem sprężynę. Przecież nie mogłem więcej jej tym uszkodzić, jeśli była ona nawet zerwana. Sprężyna szła lekko, ale z wyczuwalnym oporem. Gdy jeszcze raz obróciłem pokrętkę, budzik zaczął tykać. Uradowany sołtys zapytał, jak tego dokonałem. Odpowiedziałem, że nakręciłem sprężynę, która była zupełnie rozluźniona.

Ze ściennymi zegarami postąpiłem podobnie, tym razem przy mniejszym oporze gospodarza, i za chwilę już wszystkie chodziły, ku wielkiej radości ich właściciela.

Wspominając o gościnności sołtysa, to muszę dodać, iż była ona tam wszędzie wielka. Pamiętam, że kiedy roznosiłem jakieś pouczające ulotki po wsiach i zachęcałem chłopów do ich czytania i stosowania w praktyce, to często nie mogłem wprost wymówić się od zjedzenia u gospodarza obiadu.

W niedługim czasie po przyjęciu mnie do pracy zostałem skierowany na kurs pracowników skupu, zorganizowany przez Centralę Rolniczą Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Luzinie. Na szkolenie to dojeżdżałem raz w tygodniu i ukończyłem je po dwóch miesiącach. Na kursie poznałem wiele interesujących rzeczy z zakresu wykonywanych przeze mnie obowiązków, które to wiadomości były mi bardzo przydatne w mojej pracy.

*

W dwa lub trzy tygodnie po ukazaniu się artykułu „Zakłęte koło” w „Nowej Wsi” otrzymałem z domu pakiet około dziesięciu listów, które czytelnicy nadesłali do mnie, lecz nie przez redakcję, tylko bezpośrednio pod moim adresem w Kwidzie. W listach tych starający się pomóc w mojej sytuacji czytelnicy udzielali mi różnych praktycznych rad, szczególnie jak należy przystąpić do poszukiwania pracy, zapoznając mnie zarazem z formalnościami, których będę musiał dokonać przed podpisaniem angażu. Niektórzy z nich mieli kiedyś podobne do moich kłopoty, żyjąc przy ojcu na wsi, ale obecnie pracowali już w mieście i lepiej im się powodziło. Student kończący medycynę w Białymstoku, a pochodzący z Radomia, domagał się swobody wyjazdów za granicę, wolności poglądów i słowa oraz krytykował ówczesną niewolę. Młody poeta z Kłodzka współczuł mi i opisywał w liście, a także w nadesłanym mi wierszu, swoje tragiczne dni spędzone w więzieniu, w którym znalazł się wskutek panującego systemu. Inni również oburzali się z powodu skazania mnie wyrokiem sądu i potępiali politykę sprawującego władzę rządu. Nikt jednakże nie wypowiedział swoich uwag czy opinii na temat tej „plamy w życiorysie”, a bardzo interesowało mnie również to, jakie ona może mieć dla mnie skutki i ewentualnie, jak mogę prawnie się przed nimi wybronić. To niewypowiadanie się na ten temat zrozumiałem jako potwierdzenie możliwości występowania negatywnych reperkusji i trudności wybrnięcia z nich, a skoro nie bardzo można było temu w jakiś sposób zaradzić, przeto piszący zapewne nie widzieli sensu, aby mi o tym wspominać i jeszcze bardziej niepokoić i utwierdzać w moich obawach. Z wieloma z nich utrzymywałem korespondencję przez długi jeszcze czas.

W chwili otrzymania tych listów pracowałem już w GS-ie. Przystępując do pracy, zdecydowałem się moją karalność w życiorysie pominąć, co prawdopodobnie zaoszczędziło mi różnych komplikacji i pozwoliło na podpisanie angażu. Po kilku miesiącach pracy doszedłem do wniosku, że chyba nie wysłano do rejestru skazanych zapytania o ewentualną karalność, gdyż z kierownikiem skupu i prezesem często razem przebywałem i rozmawiałem i w razie wykrycia niezgodności w tej sprawie na pewno dowiedziałbym się o tym.

Ku memu dalszemu uspokojeniu, w październiku 1956 roku sytuacja polityczna w kraju bardzo się zmieniła, bo po wielkich demonstracjach i rozruchach w Polsce, odbywających się w tym samym czasie co i powstanie na Węgrzech, doszedł do władzy Gomułka, który zapowiedział odnowę. Jednakże w dalszym ciągu nic na temat mojego problemu nikomu w pracy nie mówiłem. Uważałem, iż czas ku temu jeszcze nie nadszedł i czekałem, aż rzeczywiście w kraju się odmieni i dojdzie do większej swobody, na którą, jak teraz wiadomo, wiele dalszych wydarzeń musiało się złożyć i jakże długo trzeba było jeszcze czekać. Niemniej w październiku 1956 roku nastąpiło duże przesilenie polityczne i był to wielki okres przemian po śmierci Stalina. Na mocy amnestii w 1956 roku zwolniono około 35 tys. osób, w tym 7 tys. więźniów politycznych. Na wsi rozpadło się ponad 80% spółdzielni produkcyjnych i odbudowano kółka rolnicze. 28 października uwolniono z przymusowego pobytu w klasztorze w Komańczy prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Dalej istniała groźba radzieckiej interwencji wojsk, ale w listopadzie podczas rozmów delegacji polskiej w Moskwie ustalono zasady stacjonowania tych wojsk w Polsce, a Konstanty Rokossowski i generałowie radzieccy wyjechali do ZSRR. W listopadzie 1957 zlikwidowano Komisję ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Jednak Gomułka dążył już do opanowania żywiołowego ruchu społecznego w Polsce; zwolennicy kontynuacji przemian zostali nazwani rewizjonistami i potępieni, a proces częściowej demokratyzacji został zahamowany.

*

Do pracy dochodziłem z Lisewa piechotą, bo rozkład jazdy kolejką nie bardzo mi pasował, a poza tym do gminnej spółdzielni, idąc polnymi drogami na skróty, było chyba nie więcej niż dwa i pół kilometra. Może po sześciu tygodniach pracy otrzymałem pokój w Gniewinie, bowiem GS akurat wyremontował jeden ze zniszczonych w czasie wojny domów we wsi. Otrzymało w nim mieszkania dwóch pracowników spółdzielni i ja dostałem ten jeden, ale duży pokój. W czasie wprowadzania się zastałem w nim już łóżko i proste meble, a ja tylko przyniosłem pościel od wuja, kupiłem radio i kilka innych rzeczy domowego wyposażenia. W tak skromnie urządzonej, ale nader przytulnej, a przede wszystkim już swoim mieszkaniu, czas upływał mi bardzo przyjemnie.

Do dzisiaj nie mogę pojąć, jak doszło, po tak krótkim okresie pracy, do przydzielenia mi tego pokoju, w dodatku już umeblowanego, bez jakichkolwiek opłat i bez żadnego mojego ubiegania się o to oraz w całkowitej niespodziance dla mnie, skoro było na niego tylu chętnych w spółdzielni i we wsi i czego mi potem bardzo zazdrozczono.

Czasami myślałem, iż może był to gest kierownika skupu, który, nie chcąc odesłać z powrotem do domu klienta z kilkoma workami włóczki przywiezionej do skupu – gdy ja raz wyjechałem na kurs do Luzina – zakupił ją, za dość pokaźną sumę. Po moim przyjeździe spostrzegłem, że wcale nie jest to włóczka, tylko, z wyjątkiem kilku wełnianych swetrów, rzeczy ze zgrzebnej tkaniny, której wartość była chyba sześć razy mniejsza od włóczki. Powiedziałem wtedy kierownikowi, żeby się nie martwił, bo ja tę sprawę załatwię tak, że będzie dobrze. Wysegregowałem więc ze znajdujących się w magazynie parcianych surowców wtórnych wszystką włóczkę, której zawsze w nich trochę było, i uzupełniłem nią brak powstały przy zakupie dokonany przez kierownika. Bardzo go to uradowało i ubawiło i był mi za to wdzięczny. Chcę tu przy okazji dodać, że w taki sam sposób można było też pokryć ewentualny niedobór metali kolorowych, wyselekcjonowując je z zakupionego złomu żelaza, choć niekiedy trzeba było części wykonane z takich metali od złomowanych żelaznych elementów odkręcać.

Prócz tego, że miałem teraz niedaleko do biura, było także bliżej do Jeziora Żarnowieckiego, do którego po pracy i w święta często chodziłem, żeby pokąpać się w nim, a przede wszystkim popływać. Zwykle pływałem wtedy przez kilka godzin, pokonując wielokilometrowe dystanse.

W piękne, słoneczne niedziele jeździłem również do Gdyni kąpać się w morzu, kiedy to prócz pływania lubiłem także siedzieć na plaży i patrzeć na morze albo przechadzać się nad jego brzegiem i podziwiać niezwykle widoki. Jednego razu wypłynąłem statkiem żeglugi przybrzeżnej na bardzo atrakcyjną i przyjemną wycieczkę na Hel i z powrotem.

W Gniewinie miałem kilku kolegów, przeważnie starszych ode mnie. Jednym z nich był Tadek, pracujący u ajenta geesowskiej masarni. Często przywoził do mnie skóry do skupu lub przychodził i załatwiał w GS-ie inne sprawy. Drugim był Stefan, strażnik portowy, czasowo zamieszkały w hotelu robotniczym w Gdyni, który, mając w służbie dni wolne, niekiedy przyjeżdżał do domu w Gniewinie. Od niego kupiłem mój pierwszy ręczny zegarek, szwajcarskiej marki „President”, jaki on gdzieś nabył okazjnie w porcie. Znałem jeszcze kilku innych kolegów pracujących przy różnych robotach w Gniewinie, mieszkających przy rodzicach lub samotnie w wynajętych pokojach.

Gdy nadeszła jesień, w długie wieczory, zwłaszcza sobotnio-niedzielne, grywałem z nimi w karty, najczęściej w kaszubską grę zwaną bašką. Pod koniec każdego tygodnia spotykaliśmy się w GS-owskiej gospodzie, w której przy piwku lub oranżadzie dyskutowaliśmy na temat drużyn piłkarskich i wypełnialiśmy kupony totalizatora sportowego. Raz za dziesięć trafień, na możliwych dwanaście, wygrałem

poprzez losowanie jeszcze, bo było dużo takich trafień, pięćset złotych, co było sumą dla mnie nie do pogardzenia, jako że moje zarobki razem z premią wynosiły około dziewięćset złotych miesięcznie.

Wspominając o moich kolegach z Gniewina, przypominam sobie zdarzenie, jak jeden z nich, mając zamiar ożenić się, wyremontował sobie pokój u rodziców na strychu i ładnie go urządził. Jeszcze przed ślubem zaprosił nas do niego na swoje imieniny. Gdy wszedłem, zauważyłem, iż prawie cały pokój jest wykończony w drewnie; w środku stoją eleganckie meble i wielkie radio „Stolica”, a na podłodze leży gruby i bardzo puszysty dywan. Na ścianach wisiały obrazy, a w oknach piękne firanki i zasłony. Zaproszonych gości było wielu. W pewnej chwili, kiedy biesiadnicy rozweselili się w najlepsze, jeden pan po osiemdziesiątce zaczął przy stole się wiercić i czegoś szukać. Zapytany o to, odpowiedział, iż przed chwilą zapalił papierosa, lecz nie wie, gdzie go położył, bo właśnie nigdzie nie może go znaleźć. Słyszając to, wystraszona matka oraz narzeczona solenizanta padły na kolana i zabrały się do poszukiwania tłącego się niedopałka pod stołem w okazałym dywanie. Jednakże nigdzie go znaleźć nie mogły, choć – jak twierdziły – czuły swąd smażącej się wełny z tkaniny. Gdy ani pod stołem, ani na stole palącego się papierosa nie znaleziono, ktoś powiedział, że być może staruszek wcale go nie zapalił, tylko mu się tak wydało. Doradzono więc, aby starszy pan przeliczył swoje papierosy w pudełku i spróbował przypomnieć, ile ich od czasu jego otwarcia, a przed przybyciem w tę gościnę wypalił. Jak to uczynił, wyszło mu, iż musiał tu wypalić przynajmniej pięć papierosów, tymczasem w popielniczce znaleziono jedynie dwa niedopałki jego sportów. Usłyszawszy to, ktoś uspokajał gospodynię, że staruszek od tego palenia ma już pewnie słabą pamięć i nie może sobie przypomnieć, ile tych papierosów przed przybyciem wypalił, ale one znowu rzuciły się na kolana pod stół, żeby znaleźć tłące się niedopałki w puszystym dywanie. Przyjęcie z tego powodu bardzo się popsuło i uroczystość raczej szybciej, niż powinna, się zakończyła.

Następnego dnia, idąc rano do pracy, mimowolnie spojrzałem na dom kolegi. Stał cały, ale pomyślałem sobie, jak to dobrze, że ja nie palę, i ile różnych kłopotów będę miał w życiu mniej, jeśli dalej nie będę tego czynił. Ku mojej uciechu, w czasie hucznego wesela kolegi, które odbyło się w okresie świąt Bożego Narodzenia, spostrzegłem, że starszy pan nie zapalił ani jednego papierosa. Powiedział, iż rzucił palenie, a myślałem, że w tym wieku, nie można już się od tego odzwyczaić. A odzwyczaić się od tego nałogu trzeba w każdym wieku, mając świadomość, ile zdrowia i innych wartości się przez to zyskuje.

*

Z początkiem stycznia 1957 roku, wskutek reorganizacji i przyłączenia GS-u w Gniewinie do Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Wejherowie, wszyscy pracownicy naszej spółdzielni otrzymali wypowiedzenia pracy ze skutkiem 31 marca. Mogli oni ubiegać się o ponowne przyjęcie do pracy na uprzednich lub innych stanowiskach w nowo utworzonej jednostce z biurem głównym w Wejherowie. Postanowiłem jednak nie składać podania o przyjęcie mnie do owej Gminnej Spółdzielni „S.Ch.” w Wejherowie, Punkt Skupu w Gniewinie, gdyż zdecydowałem się jeszcze raz poszukać jakiejś pracy w Gdyni, tak jak kiedyś to sobie przyrzekłem. Teraz już miałem na to realniejsze szanse, bo Stefan, zatrudniony w Straży Obiektów Portowych w Gdyni, zapewnił mnie, iż porozmawia ze swoim szefem, żeby przyjął mnie do pracy w SÓP-ie. Powiedział, że otrzymam od razu zakwaterowanie w hotelu robotniczym, znajdującym się na terenie portu, w którym mieszkają strażnicy i pracownicy portowi.

– A co z zameldowaniem? Ciebie zameldowano bez problemu, bo wtedy obecne przepisy meldunkowe jeszcze nie obowiązywały – rzekłem.

– Nie martw się. Szef już napisze takie pismo do prezydium, że cię zameldują – odpowiedział pewny swojej obietnicy Stefan.

Bardzo chciałem przenieść się do Gdyni, dostać się do tego portowego miasta nad morzem, do szerszego świata, i rozpocząć jakieś ciekawsze życie. Marzyłem, żeby ukończyć szkołę średnią, a może i wyższą, ku czemu, mieszkając w Gdyni, miałbym większe możliwości. Trochę bałem się ubiegać o tę pracę w porcie, gdzie dokonywano zapewne szczegółowych lustracji personalnych, ale jako że do tej pory wszystko szło dobrze, więc postanowiłem zaryzykować. Innej przecież możliwości podjęcia pracy w tym mieście nie znałem. Niemniej w lutym wziąłem urlop i pojechałem do Gdyni, gdzie przez parę dni, zamieszkując w hotelu „Dworcowym”, starałem się zorientować, czy nie mogę znaleźć jakiejś innej pracy i sposobności zamieszkania w Gdyni, lecz ostatecznie doszedłem do wniosku, że przynajmniej na razie nic lepszego tu nie zwojuję. Po dokładnym przyjrzeniu się zajęciu strażników w kilku napotkanych bramach portowych zdecydowałem się do tej pracy przystąpić.

Pozostałą część urlopu przeznaczyłem na zasłużony wypoczynek, podczas którego urządziłem sobie wielką frajdę, lecąc po raz pierwszy w życiu samolotem, udając się z Gdańska do Wrocławia. Przelot odbywał się niewielkim samolotem z lądowaniem w Warszawie i Łodzi. Z Wrocławia pojechałem do brata w Otoku, gdzie spędziłem parę przyjemnych dni.

*

Przy końcu lutego lub na początku marca zobaczyłem w jakimś ilustrowanym czasopiśmie podane w bardzo przejrzysty i zrozumiały sposób zasady pisowni języka francuskiego, co mnie mocno zainteresowało. Od dłuższego już czasu uważałem, że przez dobre opanowanie jednego lub kilku obcych języków mogę bodajże najszybciej coś w moim życiu zmienić na lepsze, podnieść je na wyższy poziom i uczynić ciekawszym. A przede wszystkim mógłbym wówczas poznać nasz piękny i wielki świat, o czym tak bardzo od dawna marzyłem. W tym celu zacząłem już nawet od trzech miesięcy uczyć się języka angielskiego, bowiem jeszcze na jesieni pojechałem raz specjalnie do Gdyni i kupiłem podręcznik do nauki tego języka. Jednakże lekcje w nim były mało przystępnie zredagowane, tak że marnie mi to szło i po tygodniach studiów doszedłem do wniosku, iż bez pomocy lektora niewiele będę mógł sam nauczyć się z tej książki.

Teraz w ciągu tylko jednego dnia poznałem z owego czasopisma podstawowe zasady pisowni francuskiej i mogłem już przeczytać słowa oraz krótki tekst w tym języku, który poniżej był zamieszczony.

Wielce tym uradowany, pojechałem do Gdyni, aby znaleźć jakiś podręcznik dla początkujących do nauki języka francuskiego. Wszelako w tych czasach, kiedy nauka języków zachodnich była mało u nas rozpowszechniana, znalazłem tylko w sopockim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki podręcznik „Le Manuel de Français”, opracowany w języku rosyjskim. Przez pięć lat nauki tego języka w szkole poznałem go na tyle, że z powodzeniem mogłem w nim zrozumieć objaśnienia lekcji francuskich, wobec czego kupiłem ten podręcznik.

Zawierał on dwadzieścia pięć bardzo ciekawych lekcji oraz dużo interesujących i dla prawidłowego poznania języka wielce użytecznych ćwiczeń, co wszystko razem do końca marca starannie przerobiłem. Byłem tym tak zbudowany, iż sądziłem, że jeśli przestudiuję jeszcze jedną lub dwie takie książki, to będę mógł już swobodnie mówić po francusku. Powziąłem od razu zamysł, że potem wezmę się za angielski, choć pomyślałem, że jeśli uda mi się poznać sam tylko język francuski, to już mi to może wystarczyć, żeby moją rzeczywistość odmienić. Przystępując do nauki języków, zauważyłem zaraz, iż praca w SOP-ie będzie mi bardzo odpowiadała, gdyż nie tylko w hotelu po pracy, ale i w czasie służby na mało ruchliwych posterunkach,

zwłaszcza wieczorami, będę miał dobre warunki do nauki, a przy tym i czas mi będzie szybciej upływał. W dodatku bramami będą przechodzili obcy marynarze, więc rozmawiając z nimi, będę mógł sprawdzać i ćwiczyć w praktyce wiadomości zdobyte z podręczników.

*

Na początku kwietnia poszliśmy razem ze Stefanem do szefa Straży Obiektów Portowych w Gdyni w sprawie tej pracy. Kolega przeprowadził mnie bez przepustki przez portową bramę, po przekroczeniu której przeszliśmy jeszcze kilkaset metrów nabrzeżem Indyjskim i weszliśmy do budynku, gdzie znajdowały się kadry straży. Właściwie tylko przedstawiłem się szefowi, ubranemu podobnie jak strażnicy w marynarski mundur, a resztę sprawy załatwił Stefan. Powiedział, że przybywam z jego wsi, w której pracowałem jako urzędnik w gminnej spółdzielni, i wśród wielu przymiotów predysponujących mnie na dobrego strażnika wymienił to, że nie piję, nie palę i znam język francuski.

– To będziemy mieli trzeciego Francuza – zaraz na wesoło rozpoczął rozmowę szef. – Mieszkałeś we Francji?

– Nie, sam tego języka się nauczyłem, choć właściwie to jeszcze go się uczę – odpowiedziałem mocno speszony.

– A, to się chwali – rzekł szef. – Dobrze jest umieć powiedzieć obcemu marynarzowi – szukającemu swojego statku w porcie lub pytającemu o drogę do miasta – jak ma iść, tłumacząc mu nie na migi, tylko w zrozumiałym dla niego języku. A statków francuskich przyływa tu dużo.

Sprawę załatwiliśmy pomyślnie. Szef zgodził się przyjąć mnie do pracy z zakwaterowaniem w hotelu. Wracając z kadr, powiedziałem Stefanowi, że za bardzo przesadził z tym moim francuskim, a następnie zapytałem:

– Jaką to szczególną zaletą jest to, że ja nie palę, skoro szefowi ją nadmieniłeś? Przecież strażnicy, stojąc na dworze, chyba nikomu swoim paleniem nie przeszkadzają?

– Wręcz przeciwnie. Szef bardzo nie lubi strażników kopających papierosy na służbie, na widoku ludzi, a zwłaszcza przy przechodzących przez bramę osobach, i każe nam palić tylko w budkach. Wiele razy mówił nam o tym na szkoleniach – odpowiedział Stefan.

Do pracy zostałem przyjęty 12 kwietnia 1957 roku i od razu wprowadziłem się do hotelu przy ulicy Rumuńskiej – dziesięć metrów od kei, przy której cumowały duże morskie statki.

Po kilku służbach na bramach wciągnąłem się do pracy i wartowałem bez pomocy innego strażnika. Do moich obowiązków w pracy należało sprawdzanie przepustek ludzi wchodzących i wjeżdżających do portu, jak i opuszczających jego teren. Trzeba było także przeprowadzać wyrywkowe kontrole teczek i dokonywać przeglądu wnoszonego i wwożonego, a szczególnie wywożonego bagażu w samochodach. Należało uważać, aby nie wnoszono lub nie wwożono alkoholu czy innego przemytu na statki lub nie wynoszono nie oclonych towarów ze statków albo skradzionych z magazynów portowych. Na ogół praca przebiegała spokojnie. Wszyscy przechodzący i przejeżdżający bramami mieli przepustki, a kontrabandy lub wynoszenie czy też wywożenie towarów pochodzących z kradzieży w magazynach portowych zdarzało się rzadko.

Pracowaliśmy na zmiany: dwanaście godzin służba, dwadzieścia cztery godziny wolne. Tak więc po służbie dziennej następna przypadała w nocy. Za pracę w niedziele i święta mieliśmy kilka służb wolnych w miesiącu, które nazywaliśmy wysadzkami. W tym rozkładzie pracy czas bardzo szybko upływał i chociaż męczące

były służby w nocy, mieliśmy za to dużo wolnego czasu w dzień, który można było przeznaczyć na załatwienie swoich spraw, na naukę lub wypoczynek.

Na drugi dzień po zamieszkaniu w hotelu poszedłem do wydziału meldunkowego z moim podaniem i pismem od szefa w sprawie zameldowania mnie w Gdyni. Mimo iż nie było to wcale takie pewne, że zostanie pozytywnie załatwione, chociażby czasowo, to napisałem, żeby mnie zameldowano od razu na stałe. Po kilku dniach poszedłem po odpowiedź. Zameldowanie otrzymałem, ale tylko na jeden rok, które, jak już wspominałem, można było potem co roku przedłużać, jeśli było ku temu wystarczające uzasadnienie. Nie bardzo mi się to spodobało, więc wyraziłem kierownicze wydziału moje wielkie niezadowolenie, iż nie otrzymałem zameldowania stałego. Urzędniczka – widocznie rozbawiona moją zadąsaną miną i tym, że wcale nie ucieszyło mnie to roczne zezwolenie na zamieszkanie w Gdyni, którego przecież tak wielu ludzi nie mogło uzyskać – kazała mi napisać następne podanie, sugerując trochę, jak mam je lepiej umotywić, i po paru dalszych dniach otrzymałem zameldowanie na stałe. Wywołało to duże zdziwienie wśród moich kolegów w hotelu, którzy takiego zameldowania nie uzyskali, mimo iż się o nie usilnie starali. Sprawilo mi ono wielką radość, bo prócz tego, że odpadły kłopoty i niepewność w związku z przedłużaniem zameldowania w następne lata, mogłem teraz w każdej chwili zmienić moją pracę i przenieść się na prywatną kwaterę, gdyż sprawa zameldowania już mnie z SOP-em i hotelem nie wiązała. Na razie jednak nie myślałem o zwalnianiu się z pracy lub przenoszeniu na kwaterę prywatną z hotelu, gdzie tak dobrze od początku mi szło.

*

Hotel był niewielkim parterowym budynkiem z czerwonej cegły i miał może dziesięć pokoi, w sumie na około czterdzieści miejsc. Pomieszczenia były przeważnie czteroosobowe, chociaż znajdowały się tam również większe sale, jak i małe pokoiki. Na początku zostałem zakwaterowany w sześciuosobowej sali, ale po kilku miesiącach, gdy w sąsiednim, dwuosobowym pokoju zwolniło się jedno miejsce, udało mi się do niego przenieść, gdzie, mieszkając wraz z bardzo spokojnym kolegą, miałem dobre warunki do nauki języka francuskiego.

W hotelu była kuchnia do przyrządzania posiłków, lecz na obiady chodziliśmy zazwyczaj do portowej stołówki, w której wykupywaliśmy miesięczne abonamenty, przez co obiady te były trochę tańsze niż wykupywane pojedynczo każdego dnia.

Opłata za hotel wynosiła sześćdziesiąt złotych miesięcznie, a moja pensja kształtowała się w granicach 1200-1300 złotych. Wysokość jej zależała od liczby niedziel i świąt oraz wypracowanych w danym miesiącu nadgodzin. Nadgodziny uzyskiwałem wówczas, gdy pracowałem w święta i nie wykorzystałem przysługujących mi za nie wysadzek.

W hotelu, jak i w ogóle w straży, miałem wielu wspaniałych kolegów. Bardzo zaprzyjaźniłem się z owymi dwoma Francuzami, o których szef wspomniał w czasie przyjmowania mnie do pracy. Jeden z nich mieszkał w hotelu, a drugi dojeżdżał na służbę z Kartuz. Byli oni oczywiście Polakami, którzy przez dłuższy czas mieszkali we Francji i po wojnie z niej powrócili. Obaj mówili bardzo dobrze po francusku. Ucząc się tego języka, często konsultowałem się z nimi. Prócz tego lubiłem słuchać, jak opowiadają o zamieszkiwanym poprzednio kraju. Roman, który mieszkał w hotelu, dużo podróżował po świecie, szczególnie po francuskich koloniach, i nawet przez pewien czas służył w legii cudzoziemskiej. Umiał barwnie opowiadać o dalekich krajach, a ja bardzo chętnie słuchałem jego opowieści.

W owych czasach u nas podróżowanie i poznawanie świata było rzeczą ponętną i sprawą wielkiej wagi, choćby tylko dlatego, że wyjechać z Polski było trudno i dla takiego chłopca jak ja było to prawie niemożliwe do zrealizowania, nawet gdybym nie

był karany. Jeśli była jakaś okazja wyjazdu, na przykład pracując w przedsiębiorstwie handlu zagranicznego, to chętnych do podróżowania było zawsze o wiele więcej niż możliwości i tylko nieliczni wyjeżdżali. Mnie ten nasz wielki i piękny świat interesował już od dawna, chyba od czasu, kiedy Władzik w Serpelicach, przynosząc buty do reperacji, bardzo malowniczo i ciekawie o nim opowiadał. Później przeczytałem na temat podróży dużo interesujących książek oraz obejrzałem sporo filmów i pragnienie poznania świata wzrosło jeszcze bardziej.

W hotelu miałem również wielu innych kolegów, z którymi latem często chodziłem do Gdyni albo Sopotu na plażę, gdzie prócz kąpieli w morzu wylegiwaliśmy się na piasku lub w cieniu drzew na trawie i gawędziliśmy całymi godzinami. Jednym z nich był Broniek, z którym bardzo lubiłem nad morzem spacerować. Często przemierzaliśmy obaj nadmorski brzeg aż do Sopotu lub Jelitkowa, a niekiedy dochodziliśmy nawet do Brzeźna. Brzeg Bałtyku jest na tej trasie szczególnie piękny, o najróżniejszym wyglądzie i kształtach – od płaskiego do bardzo stromych, wysokich urwisk; piaszczysty lub niemal od samego morza pokryty bujną roślinnością. Przyjemnie było tak iść wśród tych urokliwych i niezwykłych krajobrazów.

Wybierając się nad morze, niejednokrotnie zabierałem ze sobą mój aparat fotograficzny „Smiena”, który w Kwidzie od Zbyszka odkupiłem, i idąc brzegiem, utrwaliałem najpiękniejsze widoki na błonie filmowej. Przynajmniej raz w sezonie wyprawiałem się z kolegami lub sam z Gdyni na Hel albo do Jastarni statkami Żeglugi Przybrzeżnej w Gdańsku, kiedy prócz zażywania relaksu i uciechy z pływania statkiem po morzu także robiłem zdjęcia. Pstrykałem je również w oliwskim parku i zoo, w Sopocie na molo, w Gdańsku na Długim Targu i nad Motławą oraz w Gdyni na Skwerze Kościuszki, Kamiennej Górze i w porcie.

Kupiłem powiększalnik „Krokus” i kiedy mieszkający ze mną kolega szedł na nocną zmianę do pracy, zasłaniałem okno w pokoju i robiłem odbitki z wywołanych filmów. Te, które były bardziej udane, robiłem w większym formacie, a niektóre z nich eksponowałem na wystawach zdjęć, jakie w tych latach często były organizowane na dworcu morskim lub w Zakładowym Domu Kultury Zarządu Portu w Gdyni. Przy okazji poznawałem wielu nowych kolegów, z którymi bardzo się zaprzyjaźniłem i prowadziłem namiętne dyskusje na temat każdej wystawy oraz fotografowania. Wiele z wystawionych przeze mnie zdjęć odniosło sukces, a jedno, jako najlepiej ze wszystkich konkursów ukazujące port w nocy, znalazło się w wydanej wówczas książce pod tytułem: „Port Gdynia”.

*

Gdybym miał niniejszy podrozdział zatytułować, to bym chyba napisał: „Jak można pozbyć się nerwicy serca, jadąc tramwajem?”.

Otóż moje hipochondryczne obawy o chorobę płuc już dawno przeminęły, jednakże nerwicy serca w dalszym ciągu nie mogłem się pozbyć i od czasu do czasu dawała mi się ona we znaki. Wszelako jadąc raz tramwajem z Jelitkowa do Oliwy – gdzie po nadmorskim spacerze z Bronkiem mieliśmy jeszcze chęć przejść się po pięknym oliwskim parku – spostrzegłem w tramwaju na ławeczce pozostawioną przez kogoś broszurkę. Z ciekawości wziąłem ją do ręki i zacząłem przeglądać. Było to popularnonaukowe wydanie cienkiej książeczki medycznej, jakie często widuje się w poczekalniach przychodni lekarskich. Ta była na temat nerwic, spośród których najbardziej zainteresowała mnie nerwica serca. Podczas gdy kolega podziwiał przez okno tramwaju piękne widoki, ja wziąłem się do jej czytania. Z lektury tej dowiedziałem się, iż nerwica serca nie jest chorobą tego narządu, tylko rozstrojeniem nerwowym, i że jest ona niegroźnym zjawiskiem, któremu przeżywający ją ludzie poświęcają za dużo uwagi.

Bezpośrednią przyczyną nerwicy jest lęk, a właściwie podwyższony z jakiegoś powodu jego poziom. Jeśli w stanie takiego powiększonego lęku uktuje nas coś w okolicy serca lub pocujemy tam co innego, wówczas bardzo łatwo skojarzymy to sobie z zaistniałym poważnym niedomaganiem serca, najczęściej z zawałem i śmiercią. Przeżywany przez nas lęk jeszcze bardziej wtedy się potęguje, a serce zaczyna bić mocniej, co z kolei dodatkowo zwiększa nasze obawy i wzmacnia kołatanie serca, bo przecież zawsze bije ono szybciej, kiedy bardziej się boimy. Do tego, z powodu lęku, mogą dochodzić inne objawy, i mamy już nerwicowy atak serca w całej pełni. Jednakże po pewnym czasie zauważamy, że właściwie nic się naprawdę groźnego nie dzieje, zawał nie następuje, dalej żyjemy. Chory się więc uspokaja, lęk opada, palpitanie serca ustają i atak przemija, aż do następnego uktucia w boku lub innej podobnej dolegliwości w okolicy serca.

Po przemyśleniu tego, co przeczytałem, musiałem zgodzić się, iż z tą nerwicą jest tak, a nie inaczej, i mój przesadny lęk o serce przemienił się w gniew i zażenowanie, że przez tyle lat dawałem się tak nabierać przez tę nerwicę. W pewnym sensie dopomogli mi w tym lekarze, którzy przy różnych badaniach serca zawsze coś zauważali, co następnie opisywali lub głośno wypowiadali, a przecież ucho bojaźliwego o swoje zdrowie człowieka jest bardzo wyostrzone na takie rozmaite spostrzeżenia, które szybko po swoim on pojmie i utworzy z nich własną diagnozę oraz wizję choroby. Tymczasem nie ma chyba tak doskonałego serca, w którym – prócz niejednokrotnie rzeczywistych poważnych schorzeń – nie byłoby można na upartego czegoś „wykryć” czy się dopatrzeć, co nie ma wszakże istotnego znaczenia dla tego narządu ani dla zdrowia czy długowieczności pacjenta. Z drugiej jednak strony pocieszałem się, że te ataki, poza strachem, żadnej szkody mi nie wyrządziły, a może nawet przeciwnie: wzmocniły moje serce, któremu te palpitanie zastąpiły w pewnej mierze naturalne, bardzo potrzebne treningi, jakie uzyskuje się przez wysiłek fizyczny. Przecież ostatnio prócz tych spacerów nad morzem, rzadkich ćwiczeń fizycznych, chodzenia do pracy i wokół swoich spraw prowadziłem przeważnie siedzący, stojący lub leżący tryb życia i raczej niewiele stwarzałem okazji, aby ten narząd pobudzać do szybszego rytmu i przez to go wzmacniać.

Minęło już ponad czterdzieści pięć lat, jak kompletnie wyleczyłem się z tej nerwicy, i żadne uktucie w boku ani duszności nigdy więcej nie doprowadzały do ataku serca.

*

Każdy strażnik na służbie był ubrany w marynarski mundur i czapkę, przepasany pasem oraz uzbrojony w karabin. Straż lotna, poruszająca się po całym porcie, nosiła pistolety. W czasie służby co kilka godzin zmienialiśmy posterunek, robiąc przy okazji godzinną przerwę w pracy.

Raz w miesiącu chodziliśmy na szkolenie, niekiedy połączone z treningami sprawnościowymi w terenie i musztrą z bronią. Co roku na wiosnę lub latem jeździliśmy na strzelnicę w witomińskim lesie, gdzie przeprowadzaliśmy ćwiczenia i zawody strzeleckie. Tu w straży niejako nadrabiałem zaległości wojskowe, bowiem z powodu braku palca do wojska nie poszedłem i zostałem przeniesiony do rezerwy.

Podczas służby, jak i będąc w mundurze po pracy na mieście, oddawaliśmy wojskowe honory oficerom i żołnierzom, chociaż nie przypominam sobie dokładnie, czy było to od nas bezwzględnie wymagane. Ja osobiście czyniłem to w czasie służby, jak i będąc w mundurze na mieście. W tym ostatnim przypadku głównie dlatego, że niekiedy wysocy nawet stopniem wojskowi i milicjanci, nie orientując się w naszych dystynkcjach (kilka razy w okresie mojej pracy awansowałem), a myśląc, że służymy może w jakiejś formacji marynarki wojennej, lub po prostu z pośpiechu pierwsi nam salutowali, co wyglądało nie tylko śmiesznie, ale i trochę głupio.

Wolałem więc sam, zwłaszcza wyższych rangą oficerów wyprzedzać w oddawaniu honorów, po których przyjemnie też było patrzeć, jak z wielkim gestem się rewanżują.

Gdy otrzymałem pierwszy urlop, pojechałem w mundurze do Kwidy i Serpelic, gdzie zrobiłem dużą furorę, co właśnie w wielkiej mierze mojemu marynarskiemu mundurowi zawdzięczałem, jak i temu, że zamieszkałem w Gdyni.

*

Któregoś dnia w lecie 1958 roku wezwał mnie szef do kadr. Kiedy trochę zaniepokojony tym nagłym zaproszeniem przybyłem do biura, zastałem jego i panią Anię, pracownicę kadr, urzędujących wśród swoich szpargałów. Jak tylko wszedłem, szef rozwiał wszelkie moje obawy, przyjaźnie się uśmiechając i mówiąc do mnie z humorem:

– Ty jesteś taki trochę szkolony i podobno w hotelu dalej mocno się uczysz, więc może uda ci się rozwiązać pewien problem, którego my z panią Anią nie możemy rozwikłać.

– Jaki problem? – spytałem zaskoczony i zaciekawiony.

– W waszych służbowych dzienniczkach, które na posterunkach prowadzicie, ktoś na ostatnich stronach wypisuje różne głupstwa. Nie możemy dociec, kto to pisze. Trzeba by go ostrzec i pouczyć, żeby więcej tego nie robił – prawie lamentującym głosem mówił do mnie szef, pokazując kilka takich zeszytów z nagryzmołonymi na dalszych kartkach mało wybrednymi banałami.

Były to dzienniczki, do których wpisywaliśmy w czasie służby różne uwagi, jak na przykład takie, że był zepsuty telefon, brak światła lub inne spostrzeżenia, choć tak naprawdę to zalecane uwagi bardzo rzadko w nich zamieszczaliśmy. Kilka stron dalej za tymi adnotacjami ktoś powypisywał zdania typu: „Strażnik A jest lizusem”, „B jest służbistą” lub „C wpuszcza do portu panienki z Cafe Bałtyk”. Wiele z tych elaboratów zdażyłem już dużo wcześniej zauważyć w czasie pełnienia służby na posterunkach.

Szef, doceniając moje oburzenie z powodu tych pomówień, trochę nieśmiało i z pewnym zażenowaniem mi zaproponował:

– Ja cię wprowadzę do wolnego obok pokoju, dam ci teczki personalne wszystkich zatrudnionych u nas strażników, a ty tam w spokoju spróbujesz dojść po charakterze pisma w życiorysach i na podaniach, kto to wypisuje. Może tobie uda się to ustalić.

Sprawa kłopotliwa, ale bardzo zainteresowała mnie perspektywa obejrzenia przy okazji swoich akt personalnych i upewnienia się, czy nie została ujawniona w nich moja karalność. A poza tym wiedziałem, że ten, kto te bazgroły powypisywał, już dawno zwolnił się z pracy.

Jak szef powiedział, tak zrobił. Zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, wyciągnął z żelaznej szafy wszystkie teczki i rozłożył na biurku, przy którym następnie kazał mi usiąść i zacząć rozwiązywać zagadkę.

Nim wszedłem do tego pomieszczenia, wytypowałem w myśli jeszcze kilka osób, które mogłyby te zdania powypisywać. Jednak od dawna, czytając je w czasie służby na bramach, najbardziej podejrzewałem o to Wafelka, to jest strażnika przezwanego tak z racji, że lubił jadać te słodczyce, który zwolnił się już z pracy wiele tygodni temu. Był on znany ze swego dziwnego charakteru. Często też mawiał, iż taka praca, jak w SOP-ie, to nie dla niego. Był kłótniwy, a kilku kolegom groził, że ich rozstrzela, choć właściwe to nikt za bardzo nie bał się Wafelka, nawet strzelającego z karabinu. Ponadto ze strzelaniem było w straży spokojnie i chyba już od bardzo dawna nikt do nikogo z broni nie celował, z wyjątkiem wypadku, kiedy to z rok temu jeden strażnik

wartujący przy bramie u wejścia na nabrzeże Duńskie popełnił samobójstwo, strzelając sobie w brzuch.

W obawie, że szef mógł zaraz do tego pokoju zajrzeć, nie brałem na razie moich akt do ręki, tylko szukałem dokumentów Wafelka, przerzucając poukładane według alfabetu teczki. Spostrzegłem jednak, iż jego akt tu nie ma i prawdopodobnie szef musiał już gdzieś je odłożyć. Wystraszyłem się od razu, czy przypadkiem nie wyciągnął również mojej teczki, bo przecież w tej sprawie nie była mi ona potrzebna, ale na szczęście znalazłem ją i wziąłem się do jej przeglądania. Już po przerzuceniu kilku dokumentów zauważyłem nie znany mi z widzenia druk, który okazał się odpowiedzią na zapytanie o karalność i w którym stwierdzono, iż nie jestem notowany w rejestrze skazanych. Przyszło mi zaraz do głowy, że zapewne po ukazaniu się tego artykułu w „Nowej Wsi” ktoś z urzędu wniósł do sądu o zatarcie mojego skazania lub w inny sposób spowodował wykreślenie mnie z kartoteki, o jakie to anulowanie kary sam mogłem pisać do sądu dopiero po upływie dziesięciu lat od chwili wydania wyroku.

Po zdobyciu tej cennej wiadomości zabrałem się do wyszukiwania i przeglądania teczek kilku strażników, którzy ewentualnie też mogli w dzienniczkach te „spostrzeżenia” powypisywać. Zastanawiałem się tylko, co mam szefowi powiedzieć w wypadku, gdyby rzeczywiście któryś z nich to uczynił. W końcu wykoncypowałem, że skoro szef sam do tego nie doszedł, to przecież nie muszę być od niego lepszy i powiem, że ja też nie jestem pewny, kto to napisał. Ostrzegę tylko winowajcę, żeby więcej tego nie robił, i sprawa w ten sposób będzie najlepiej załatwiona. Jednakże po przestudiowaniu charakterów pisma w dokumentach pomyślanych osób i porównaniu z gryzmołami w dzienniczkach musiałem te osoby wykluczyć.

Po kilkudziesięciu minutach przeglądania teczek, i tych deliberacji, wszedłem do pokoju szefa i poprosiłem jeszcze o teczkę strażnika F., to jest wspomnianego Wafelka. Szef, usłyszawszy moją prośbę, zrobił minę, jakby doznał nagle jakiegoś olśnienia, i rzekł:

– O nim zupełnie zapomniałem... bo przecież niedawno, jak mi o tym zgłoszono... ale możliwe, że to on... Myśmy z panią Anią po kilka razy przeglądali wszystkie teczki, a jego zupełnie nie wzięliśmy pod uwagę.

Po tym bardzo emocjonalnym zareagowaniu na moją prośbę szef pobiegł do pozostawionego przeze mnie pokoju, gdzie z drugiej szafy, będącej chyba jego archiwum, wyciągnął teczkę strażnika F.

Wszyscy w trójkę rzuciliśmy się do studiowania jego pisma i porównywania go z tym w owych zdaniach w dzienniczkach. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, iż jest to ten sam charakter.

– A ja mu na koniec wypisałem jeszcze taką dobrą opinię! – jęknął szef i dodał: – Jeśli ktoś znowu będzie bazgrolił podobne głupstwa w nowych zeszytach, które wydałem na posterunki, to zwolnię natychmiast i nie będę czekał, aż delikwent sam to pierwszy uczyni!

*

Bardzo cieszyło mnie, ale jednocześnie mocno zastanawiało to, dlaczego w odpowiedzi na zapytanie o karalność odpisano, iż nie byłem sądownie skazywany. Sprawę tę chyba w najbardziej prawdopodobny sposób wyjaśniła Lidia, dziewczyna, którą wtedy znałem i która pracowała akurat w kadrach pewnego przedsiębiorstwa. Chociaż nikomu nie mówiłem o moich kłopotach, to przed nią, jak to często wobec dziewczyn bywa, uczyniłem wyjątek. Dzięki temu dowiedziałem się od niej, iż urzędnicy w centralnej kartotece skazanych niejednokrotnie przy odpowiedziach się mylą. Oni w kadrach – rzekła – jeśli przyjmują kogoś do pracy na poważne i odpowiedzialne stanowisko, to zwykle po kilka razy wysyłają zapytanie o ewentualną

karalność tej osoby i czasami dopiero za trzecią odpowiedzią przychodzi potwierdzenie, że człowiek ów był skazywany wyrokiem sądu. – Pomyślałem więc, że przy sprawdzaniu mojej kartoteki mogła również wystąpić taka pomyłka.

Do tej pory ewentualność, że w kadrach o moim skazaniu mogą się czegoś dowiedzieć i na to zareagować, trzymała mnie w dużej niepewności co do dalszego przebiegu pracy w SOP-ie. Gdyby jednak zechciano mnie nagle zwolnić, przyznając, że z powodu mojego skazania, albo tego nie wyjawiając, lecz bez jakiejś oczywistej przyczyny, wtedy mógłbym przypuszczać, iż w innych miejscach pracy sytuacja może się powtarzać i zapewne zdecydowałbym się na ucieczkę za granicę, póki jeszcze pracowałem i mieszkalem w porcie. Obmyśliłem już nawet kilka planów i sposobów ucieczki i byłem niejako w ciągłym pogotowiu do ich realizacji.

Ponieważ pracowałem i mieszkalem w porcie, ucieczka statkiem miała dużą szansę powodzenia. Nieraz nawet okazje ku temu nadarzały się same, gdy na przykład obcy statek dobijał do kei, a patrol WOP-u, który miał go pilnować, nie zdążył przybyć na czas lub omyłkowo poszedł na spotkanie statku na inne nabrzeże.

Czasami też natrafiałem na moment, kiedy stojący przy trapie wopista spał oparty o dźwig albo siedział na czymś i nie reagował na moje przechodzenie. Zresztą, koszary WOP-u znajdowały się bardzo blisko naszego hotelu i miałem wielu kolegów wśród stojących przy trapach żołnierzy, a z niektórymi nawet na temat ucieczki statkiem żartobliwie rozmawiałem. Ale póki ucieczka nie była konieczna, nie widziałem potrzeby opuszczania kraju.

Wyjaśnienie mojej sprawy, chociażby w taki sposób, jak mówiła to Lidia, a miałem też nadzieję, że być może faktycznie moje skazanie zostało wykreślone z rejestru – bardzo mnie uspokoiło. Mogłem zakładać, że z tym problemem będę miał także spokój w przyszłości, jeśli kiedyś ze straży się zwolnię i podejmę inną pracę. Ponadto po dziesięciu latach od chwili zapadnięcia wyroku mogłem oficjalnie pisać o wykreślenie mnie z rejestru skazanych.

Niemniej, na krótko przed wezwaniem mnie przez szefa straży do pomocy w wyjaśnieniu sprawy owych pomówień w naszych służbowych dzienniczkach, podjąłem jedną bardzo poważną próbę ucieczki za granicę. Otóż w lipcu 1958 roku przyplłynął do portu w Gdyni z oficjalną wizytą francuski okręt wojenny, niszczyciel „Guépratte”, który zacumował przy nabrzeżu Polskim, w pobliżu nabrzeża Fińskiego, bo jeszcze do dzisiaj dokładnie to miejsce pamiętam. Znajac już niezły język francuski, w przedostatnim dniu wizyty nawiązałem rozmowę z dwoma marynarzami tego okrętu, spacerującymi po Skwerze Kościuszki. Gdy porozmawiałem z nimi trochę, dalej już szliśmy razem. Po kilkunastominutowej przechadzce siedliśmy na ławce, gdzie w dyskusji na różne tematy wspominałem im również o mojej ucieczce do Francji w 1954 roku. Bardzo się tym zainteresowali. Powiedziałem, że dalej nie jestem pewny swojego losu w Polsce, bo jeśli w kadrach straży portowej, w której pracuję, dojdą do tego, iż byłem za to karany wyrokiem sądu, to niechybnie mogą mnie z pracy zwolnić. Siedzę więc jak na igłach, niepewny swojego jutra, i sytuacja taka będzie się również powtarzała w ewentualnych następnych zakładach pracy. Zapytałem, co by się mogło stać, gdybym w nocy wszedł na Guépratte – bo nie widziałem, żeby przy wejściu stał na wachcie marynarz – i spróbował się na nim ukryć, a następnie popłynąć do Francji. Moi rozmówcy od razu potraktowali sprawę bardzo poważnie i odpowiedzieli, że może przy trapie nikogo nie widać, ale jeden z oficerów oraz marynarz są zawsze na dyżurze, a ów marynarz przebywa często przy wejściu i odradzili, abym to czynił. Zaproponowali, żebym się z nimi spotkał wieczorem po kolacji, to oni w międzyczasie zorientują się, jak ewentualnie można taką sprawę załatwić. Umówiłem się z nimi chyba na godzinę siódmą, sądząc, że oni na pewno na tym spotkaniu się nie pojawią. Ku memu miłemu zaskoczeniu, przyszli.

Powiedzieli, iż może da się mój zamiar zrealizować. Trzeba więc przybyć o północy pod Guépratte, odważnie wejść po trapie na okręt, a potem skierować się do pomieszczenia po prawej stronie blisko wejścia, którego wygląd i położenie dokładnie określili. Dodali, że nikogo przy wejściu nie będzie i po przybyciu do tego pomieszczenia oni dalej sprawą pokierują. O ile dobrze się zorientowałem, to zaprowadzą mnie wówczas do miejsca, w którym będę mógł taką podróż odbyć.

Rozmawiając i spacerując po mieście, zauważyliśmy dwie piękne, zalotnie uśmiechające się do nas dziewczyny. Podeszliśmy więc i wszczęliśmy z nimi rozmowę, w której ja zostałem tłumaczem. Były to dwie ciekawskie i niezwykle urocze studentki. Nie bardzo wiedząc, do której kawiarni się udać, zaproponowały nam kawę u siebie w mieszkaniu z rodzicami. Poszliśmy do nich, a raczej do jednej z nich, bo druga dziewczyna gdzieś obok mieszkała. Weszliśmy do mieszkania na pierwszym lub drugim piętrze, od strony morza, przy ulicy Warszawskiej, niedaleko skrzyżowania z ulicą Nowodworską. Postawiono kawę i ciastka i rozpoczęła się rozmowa na różne tematy. Przypominam sobie, iż dziewczyna mieszkająca w tym domu zapytała mnie, dlaczego marynarze ci mają na swoich czapkach czerwone pompony. Po moim przetłumaczeniu im tego pytania odpowiedzieli, że było to coś związane z Napoleonem, choć dokładnie już nie pamiętam co. Wyjawienie owego powodu noszenia przez nich pomponów wzbudziło u dziewczyn duży zachwyt i respekt, tak iż marynarze, nie rozumiejący nawet słowa po polsku, z wielką przyjemnością i dumą to zauważyli. Porozmawialiśmy może z godzinę. Marynarze wzięli od studentek adresy, a ja w rozmowie z zamieszkałą tu dziewczyną, która mi się bardziej spodobała, wyraziłem nadzieję, że się jeszcze może spotkamy, na co ona odpowiedziała, że nie będzie chyba trudno mi ją spotkać, skoro wiem, gdzie mieszka. Trochę mnie to spotkanie ubawiło i żałowałem, iż do niego pewnie nigdy nie dojdzie. Po pożegnaniu się opuściliśmy mieszkanie. Marynarze skierowali się na okręt, a ja do swojego hotelu. Idąc spory kawałek drogi razem, przypomnieli mi jeszcze szczegóły nocnej wyprawy. Po rozejściu się wpadłem na niedługi czas do hotelu, gdzie przyszykowałem się do mojej eskapady i zabrałem to co niezbędne, przede wszystkim swoje dokumenty oraz pamiętki. Wyszedłem wcześniej, bo siedzenie w pokoju mi się dłużyło i trochę niecierpliwio. Przechodząc obok portierni powiedziałem, że idę na dworzec, bo gdzieś tam wyjeżdżam.

Gdy wyszedłem z hotelu, było już ciemno. Na niebie pozostała tylko długa czerwono-bordowa pręga po zachodzie słońca, które teraz świeciło gdzieś daleko nad Ameryką i Pacyfikiem. Sądziłem, że ta smuga to jakiś znak na niebie przed moją ucieczką, ale jego znaczenia nie mogłem pojąć.

Rzeczywiście przyszedłem na dworzec i zająłem miejsce w prawie pustej restauracji, naprzeciw dużego ściennego zegara. Dopiero tu na dworcu zaczęło się wielkie rozmyślanie na temat tej ucieczki. Miałem na nią wielką ochotę, ale dostrzegałem na przemian argumenty zarówno za, jak i przeciw niej. Otóż, wydawało mi się, iż sprawa ujawnienia mojej karalności w kadrach SOP-u jest już zamknięta i skoro do tej pory się nie wykryła, to już pewnie, przynajmniej w straży, ona się nie wyda, bo ewentualne dociekania w tym kierunku zostały już dawno poczynione i zakończone. Może gorzej będzie w jakimś następnym zakładzie pracy, ale tam również sprawa ta może podobnie wyglądać. Wszelako wydawało mi się, że tego rodzaju problem, tu w Gdyni, szczególnie w porcie, to poważny problem i nawet nie miałem żadnego wyobrażenia, jak by ta sprawa się zakończyła w razie wykrycia, że byłem karany za ucieczkę za granicę. Na pewno mogłyby z tego powodu wyniknąć duże tarapaty w życiu. Ponadto w tym kraju o niepewnym eksperymentalnym ustroju nie wiadomo, co się może człowiekowi przydarzyć i lepiej uciec, póki się nie wpakuję w jakieś nieszczęście, bo potem może już być za późno. Natomiast tam na Zachodzie miałbym normalne warunki do życia i o wiele lepsze perspektywy na

przyszłość. Jednak żal mi było zostawić szkołę, dla pracujących, w której mogłem dokończyć moje średnie wykształcenie i jaką już sobie w Gdyni załatwiłem. Choć trudno w to uwierzyć w tej chwili, ale bardzo mnie nęciło spotkanie z ową poznaną kilka godzin przedtem dziewczyną i być może, gdyby nie ona, to moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Niemniej byłem całkowicie przekonany, że trzeba pójść na ten okręt i szukać swojej szansy w życiu. Przecież wszystko zostało już zaaranżowane, chłopcy, ba – prawie już koledzy – tam na mnie czekają. Wiedziałem też, jak wielu ludzi, choćby tylko w tym mieście, nie wiem co by dało, żeby znaleźć się obecnie w mojej sytuacji i mieć taką możliwość ucieczki, jaką ja mam teraz. Żałowałem, że nie wypytałem dokładniej o to, co nastąpi po moim przyjeździe do tego pomieszczenia, ale przecież nie chciałem już być za bardzo wścibski i dociekliwy, żeby wypytywać jeszcze marynarzy, jak konkretnie mieli zamiar mnie do Francji przewieźć – czy gdzieś w ukryciu w jakimś pomieszczeniu, a może w ich kajucie, czy też miałyby się to odbyć za wiedzą dowództwa niszczyciela. Zresztą nie wiadomo, czy mogli oni jeszcze coś więcej przekazać niż to, co mi powiedzieli.

O godzinie 23.40 – pamiętam to tak, jakby było to przed chwilą – opuściłem dworzec, z którego do portu nie było daleko. Gdy przybyłem pod Guépratte, spostrzegłem, że przy okręcie nikogo nie ma. Naokoło, prócz powiewającego trochę wiatru, było bardzo spokojnie. Stałem przy sztaplach palet i jałem przyglądać się niszczycielowi. Wydawało mi się, że w niektórych bulajach widnieją twarze obserwujących mnie marynarzy. Wtem nagle coś na okręcie się poruszyło i zaskrzypiało, ale był to tylko efekt większego podmuchu wiatru, który mocno naprężył cumy. Pełen napięcia, dalej obserwowałem Guépratte. Trochę niezwykle wydawało się to, iż jest to duży, majestatyczny okręt wojenny, przypluwający z oficjalną wizytą do Polski, a nie zwyczajny statek handlowy, i nawet pomyślałem, czy w przypadku późniejszego wykrycia mojej ucieczki nim nie dojdzie do jakiegoś międzynarodowego skandalu albo co najmniej do pogorszenia lub oziębienia naszych stosunków z Francją. Nie byłem pewny, czy dowódca okrętu o mojej ucieczce się nie dowie i mnie nie wyda dla naszych władz, a teraz miałbym jeszcze więcej do stracenia niż w czasie poprzedniej ucieczki do Francji. Nie wiadomo było też, czy WOP z okien któregoś ze znajdujących się w pobliżu biur i magazynów nie obserwuje niszczyciela, bo przecież był on oświetlony. Szkoda – pomyślałem – że nie jestem w marynarskim mundurze oraz w czapce z białym pokrowcem i nie wykombinowałem do tego jakiejś imitacji czerwonego pomponu. Ale w mundurze to byłoby głupio i bardzo pogorszyłoby okoliczności ucieczki w razie wpadki. Stałem tak przy tym okręcie i decydowałem o losach mojego życia przez kilkanaście minut, nie mogąc zdecydować się na wejście na trap i pójście do wyznaczonego mi pomieszczenia. Gdyby w tej chwili ktoś ukazał się w wejściu i kiwnął do mnie ręką, mój los byłby już przesądzony. Ale akurat ukazał się jakiś mężczyzna idący tym nabrzeżem w kierunku Guépratte i wydawało mi się, że jest w mundurze, może bosman z kapitanatu portu, a może wopista. Zarówno wchodzenie na okręt, jak i stanie przy nim było bardzo niebezpieczne. Odszedłem więc z tego miejsca i poza magazynami portowymi począłem iść w kierunku hotelu. Szedłem i przystawałem, rozmyślałem i zastanawiałem się, czy nie wrócić z powrotem do okrętu, lecz instynkt samozachowawczy silnie pchał mnie do przodu, do hotelu. Gdy byłem już przy nim i jeszcze raz się zatrzymałem, spostrzegłem idącego z pobliskiej bramy kolegę. Wracał od dziewczyny, a ja rzekłem, iż wracam z dworca, z dalekiej podróży.

Może po miesiącu otrzymałem od jednego z dwójki marynarzy długi list do mnie. Mangüe Michel – bo jakże mógłbym nie wymienić z nazwiska i imienia tak wspaniałego człowieka – dawał mi do zrozumienia, iż widział mnie pod okrętem i że niepotrzebnie czegoś się obawiałem i zdryfowałem, bo wszystko byłoby dobrze i by się udało. Wysłałem mu tylko kartkę z podziękowaniami za otrzymaną

korespondencję, ale na list nie odpisałem, bo nie bardzo miałem co napisać, a poza tym nie chciałem tą korespondencją ściągać na siebie uwagę służb bezpieczeństwa, bo przy okazji mogłoby się wydać, że byłem karany.

Jeśli chodzi o dziewczynę, której imienia już obecnie nie pamiętam, to nigdy nie udało mi się spotkać nawet żadnej z nich, choć często ulicą Warszawską przy jej mieszkaniu przechodziłem. Nie mogłem też przypomnieć sobie dokładnie klatki schodowej, przy której ona mieszkała, gdyż wychodząc od niej w ów wieczór, nie zwróciłem na to uwagi.

*

Wracając wspomnieniami do mojej ówczesnej pracy, to w SOP-ie było wiele momentów wesołych, ciekawych i przyjemnych, ale też niektóre służby, jakkolwiek trudno powiedzieć, żeby były ciężkie, bywały nader uciążliwe. Działo się tak szczególnie na bramach, przez które przechodziło bardzo dużo ludzi, gdzie trzeba było ciągle stać na nogach i patrzeć na przepustki przechodzących osób. Nie najprzyjemniej przedstawiało się kontrolowanie teczek i bagaży, czego przynajmniej wyrwykowo należało dokonywać i przy czym niejednokrotnie dochodziło do ostrych dyskusji. Również noce były bardzo męczące. Nie wolno było usnąć, bo jeśli przyłapał na tym dowódca, to nagana była pewna, a zdarzyło się raz i tak, że w czasie snu skradziono jednemu strażnikowi karabin. Jednakże przechodziło bramami wielu bardzo wesołych i miłych ludzi, z którymi przyjemnie było wymienić kilka słów w biegu, bo w zasadzie z przechodzącymi nie wolno było dużo rozmawiać poza tym, co konieczne i wynikało z obowiązków służbowych.

Do nauki francuskiego w czasie pracy niewiele było okazji. Mogłem do ręki wziąć książkę albo mój notes z nowo poznanymi słowami, do nauczenia się na pamięć, właściwie tylko późno wieczorem lub w nocy, kiedy mało kto bramą przechodził. Było też można to uczynić na jednym posterunku, przez który przejścia dla pieszych nie było i gdzie tylko przejeżdżały wagony. Jak pociąg nie jechał lub wagonów nie przetaczano, wówczas można było spojrzeć do książki i coś przeczytać.

W bardziej uciążliwych chwilach, szczególnie w nocy, gdy spać mocno się chciało, lub w dzień, stojąc na deszczu i chłodzie, kiedy nastrój był minorowy, widziałem jedyną szansę ulżenia swojej doli i polepszenia w życiu właśnie przez naukę języków i ukończenie jakiejś szkoły. Pocieszałem się, że jak nauczę się francuskiego i angielskiego oraz zrobię maturę i może jeszcze zdobędę dyplom studiów wyższych, to ułożę sobie ciekawsze życie. Znajdę wtedy lepszą pracę, gdzieś w biurze, z większą pensją – gdzie będę miał możliwości wyjazdu za granicę, przy których to podróżach nie tylko będę poznawał świat, ale i dodatkowo na delegacjach sporo zarabiał.

Bardzo dużo obiecywałem sobie po tej nauce. Chciałem wreszcie zmienić moje dotychczasowe życie z dnia na dzień, bez większych perspektyw, nadziei i dokonań, i rozpocząć nową, bardziej interesującą egzystencję.

*

W czasie poszukiwań szkoły, w której mógłbym dokończyć średnie wykształcenie i uzyskać maturę, najbardziej zainteresowało mnie Technikum Ekonomiczne dla Pracujących, Wydział Handlu Zagranicznego w Gdyni. Otwierano je akurat w 1958 roku i przyjmowano do niego osoby, które miały ukończone dwie klasy szkoły średniej, jakie to świadectwo ja właśnie posiadałem. Nauka w technikum miała trwać trzy lata, od klasy trzeciej do piątej, po ukończeniu której oczekiwały nas egzaminy maturalne.

Ze względu na dużą liczbę kandydatów utworzono dwie klasy trzecie. Po przyjęciu, ja znalazłem się w grupie „A”. Wszyscy uczniowie zawodowo pracowali i w większości byli zatrudnieni w różnych przedsiębiorstwach oraz instytucjach morskich

i handlowych. Byli to ludzie, którzy wcześniej z jakiegoś powodu przerwali naukę i nie ukończyli szkoły średniej. Wiek ich wahał się od dwudziestu do pięćdziesięciu lat, przy czym ci starsi zwykle lepiej uczyli się od młodszych uczniów w klasie.

Nauka odbywała się cztery razy w tygodniu. Rozpoczynała się kwadrans po piątnej i trwała przeciętnie sześć godzin lekcyjnych. Jeżeli w czasie zajęć szkolnych przypadła mi służba, to – podobnie jak wielu innych pracujących na zmiany lub dłużej niż do godziny trzeciej – byłem na ten czas z pracy zwalniany. Poziom nauczania był, wydaje mi się, wysoki i trzeba było dobrze się natrudzić, żeby przejść do następnej klasy, a wielu uczniów nie dotrwało nawet do końca pierwszego roku nauczania. Mając za sobą stosunkowo niewielką przerwę w nauce, a teraz będąc przyzwyczajonym do wysiłków uczenia się, studiując język francuski, nie miałem większych kłopotów w technikum i kilka razy otrzymałem nawet nagrodę za dobre lub bardzo dobre wyniki w nauce.

Profesorów mieliśmy wspaniałych, a wszyscy uczący się utworzyli wkrótce bardzo zgrany zespół, i w ten oto sposób czas w klasie upływał miło i przyjemnie, a lata nauki szybko mijały.

*

Z nauką języka francuskiego nie szło mi tak łatwo jak ze szkołą. Przede wszystkim okazało się, że przynajmniej uczenie się pierwszego obcego języka, w dodatku tak bogatego w słownictwo, idiomy, gramatykę i ortografię jak język francuski, jest rzeczą niezwykle trudną. Jest to bardzo duża ilość materiału do opanowania, choć podobno są tacy, którzy potrafią dobrze i względnie szybko go przyswoić.

Ktoś, kto znał świetnie kilka języków, ostrzegł mnie, iż jest rzeczą niezmiernie ważną, aby od samego początku uczyć się wszystkiego dokładnie, bo potem niełatwo będzie wyzbyć się błędów i różnych niepoprawnych nawyków. Mówił też, iż nie należy poprzestawać tylko na częściowym poznaniu języka, gdyż nie opanowany, jest później z trudem i mało używany, a następnie szybko zapominany. Przestroga ta mocno mnie zmobilizowała i od samego początku poważnie i skrupulatnie podszedłem do nauki.

Gdy podjąłem pracę w SOP-ie i zamieszkałem w hotelu, udało mi się w jednej z księgarni w Gdyni kupić dwa podręczniki do nauki języka francuskiego – jeden dla początkujących, drugi dla zaawansowanych – które dość dokładnie i w szybkim tempie, bo w ciągu mniej niż roku przerobiłem. Dodatkowo kupiłem jeszcze gramatykę i ortografię tego języka, które to pomoce również w tym okresie przestudiowałem.

Ucząc się z książek, często konsultowałem się z moimi kolegami znającymi język francuski, pracującymi w straży. Od nich też uczyłem się wymowy i z nimi praktykowałem konwersację. Nierzadko spotykałem na bramach francuskich marynarzy lub innych obcokrajowców znających ten język i z nimi rozmawiałem. Czasami z niektórymi z nich umawiałem się na spacer po mieście, kiedy to pokazywałem im Gdynię, albo szliśmy do kawiarni na kawę, gdzie dyskutowaliśmy na różne ciekawe tematy.

Od chwili zamieszkania w hotelu zainstalowałem w nim moje radio, które kupiłem, pracując jeszcze w Gniewinie, i codziennie, gdy kolegi nie było w pokoju, słuchałem audycji po francusku, żeby się z tym językiem osłuchać. Jednak największą pomoc praktyczną i teoretyczną uzyskiwałem od pani Kraszewskiej, u której prawie przez rok pobierałem lekcje języka francuskiego.

Pani Kraszewska mieszkała wraz ze swoją około trzydziestoletnią córką w Sopocie przy ulicy Bohaterów Monte Cassino. Przynajmniej w chwilach, kiedy u nich

bywałem, mówiły między sobą tylko po francusku, co być może czyniły dlatego, aby przy okazji dać mi lekcję rozmowy w tym języku.

Po przerobieniu wspomnianych podręczników, jak też po częstych już próbach czytania gazet francuskich w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Sopocie postanowiłem zabrać się do czytania książek w studiowanym języku. Skoro miałem już coś czytać, to oczywiście wybrałem sobie „Nędzników” – słynnych „Les Miserables”. Miałem dużo szczęścia, bo akurat w sopockim klubie była ta powieść, więc ją zaraz nabyłem. Jednakże była to książka bardzo trudna, jak na moje przygotowanie, i na początek należało raczej wziąć coś lżejszego do ręki. O tym wszak wtedy nie pomyślałem, a jako że książkę kupiłem, zatem przystąpiłem do jej czytania. Zapisałem nawet datę, kiedy rozpocząłem ją czytać, a było to 17 marca 1958 roku. Niestety, lektura szła mi bardzo opornie. Pierwsze trzy strony studiowałem chyba ze dwa tygodnie, wertując do pomocy różne słowniki i podręczniki do nauki języka francuskiego, i choć już dawno zdażyłem nauczyć się tych stron na pamięć, to jeszcze nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiałem to, co przeczytałem. Musiałem więc pójść dodatkowo na jedną lekcję do pani Kraszewskiej, mimo że naukę u niej zakończyłem, aby sprawdziła, czy ten cały tekst dobrze pojąłem. Wszelako okazało się, że wszystko jak należy rozumiałem, wobec czego wziętem się do dalszego czytania książki, wypisując nowo poznane słówka oraz zwroty do notatnika, których następnie, siedząc na przykład wieczorem na posterunku, uczyłem się na pamięć.

Później udało mi się kupić polski przekład „Nędzników” i lektura szła mi szybciej, bo gdy czegoś nawet przy największym trudzie nie mogłem sam zrozumieć, wtedy zaglądałem do przekładu. Książkę tę czytałem niejednokrotnie po kilkanaście godzin dziennie. Poświęciłem na nią dwa urlopy i w sumie ponad dwa tysiące godzin. Ukończyłem ją czytać 17 lipca 1959 roku. Być może w powziętym zamiarze dotrwałem do końca tylko dzięki jej niezwykle pięknej i interesującej treści. Jak później przystąpiłem do następnej, lżejszej lektury, mogłem już obyć się bez słownika i innych pomocy naukowych. Po „Nędznikach” przeczytałem dużo powieści po francusku, a także regularnie przeglądałem prasę i słuchałem radia w tym języku.

*

Gdy uznałem, iż język francuski wystarczająco już opanowałem, zabrałem się w sierpniu 1959 roku do nauki angielskiego. Języka tego uczyłem się już od roku w technikum ekonomicznym, ale teraz o wiele solidniej wziętem się do jego studiowania, to jest w tempie nieporównywalnie większym niż czyniliśmy to w szkole. W klasie uczyliśmy się go tylko przez dwie czterdziestopięciminutowe godziny lekcyjne w tygodniu, wyłączając wakacje, ferie i różne dni wolne od nauki, natomiast obecnie studiowałem angielski co najmniej trzydzieści pełnych godzin tygodniowo, bez żadnych przerw i z zupełnie innego rodzaju zaangażowaniem.

Do nauki kupiłem czterotomowy podręcznik pod tytułem: „Essential English for Foreign Students”, opracowany w języku angielskim przez C.E. Eckersleya. Nabyłem go wraz z kompletem płyt długogrających do pierwszego tomu, zawierającego trzydzieści dwie obszernie i podobnie jak w pozostałych tomach świetnie pomyślane, z dużą ilością różnych ćwiczeń lekcje.

Przy pomocy płyt uczyłem się wymowy głosek, wyrazów, akcentu i intonacji zdań, a następnie wsłuchiwałem się w różne ćwiczenia i długie teksty lekcyjnych czytanek nagranych na dalszych płytach. Do uczenia się prawidłowego odczytywania i wymowy wyrazów kupiłem „English Pronouncing Dictionary”, Daniela Jonesa, który służył mi w tym zakresie wielką pomocą. W słowniku tym, podobnie jak w słowniku angielsko-polskim i polsko-angielskim, zrobiłem podwójne skorowidze, tak że każdy

wyraz mogłem odszukać już po dwóch albo tylko jednym przełożeniu kartek, co zaoszczędzało mi wiele czasu.

Wszystkie cztery tomy podręcznika zdołałem przerobić do czerwca 1960 roku, kiedy to mogłem już dość swobodnie rozmawiać po angielsku na proste, codzienne tematy. Konwersację ćwiczyłem przeważnie na bramach z marynarzami i innymi cudzoziemcami znającymi język angielski, których było dużo więcej niż mówiących po francusku.

*

Pewnego czerwcowego dnia 1960 roku, gdy rozmawiałem na posterunku z angielskim marynarzem, przechodzący bramą wachtman z Port-Service'u, którego z widzenia od dawna znałem, słysząc tę rozmowę, spytał mnie później, dlaczego pracuję w straży, władając tak dobrze językiem angielskim. Jak dowiedział się, iż mówię także po francusku, doradził mi, abym podjął pracę w Port-Servisie jako wachtman, gdzie co najmniej dwukrotnie więcej będę zarabiał, ponadto będę miał na obcych statkach ciągły kontakt z marynarzami, a przez to możliwość ćwiczenia i pogłębiania znajomości obu języków. Praca ta polegała bowiem na przebywaniu na statku, ogólnej kontroli i nadzorze osób wchodzących na statek oraz pełnieniu roli tłumacza i łącznika między załogą obcego statku a zatrudnionymi na pokładzie pracownikami portowymi. Wachtman służył też różnego rodzaju pomocą kapitanowi, oficerom i marynarzom przy przeładunku towarów, w załatwianiu rozmaitych spraw w porcie, a niekiedy również w mieście.

Zamierzałem zwolnić się z SOP-u po ukończeniu szkoły średniej i uzyskaniu matury, kiedy to miałbym szansę zostać przyjęty do jakiejś ciekawszej pracy w którymś z przedsiębiorstw lub instytucji morskich. Wszelako w sytuacji, gdy znając języki, mogłem zostać wachtmanem z wykształceniem takim, jakie posiadałem, postanowiłem ten rok pozostający do ukończenia technikum przepracować w Port-Servisie w Gdyni.

Na drugi dzień przyszedłem do kierownika tego przedsiębiorstwa, które mieściło się wówczas przy ulicy Polskiej, obok IV Oddziału Urzędu Celnego w Gdyni, i powołując się na wachtmana, który mnie do przybycia zachęcił, przeprowadziłem bardzo obiecującą rozmowę. Kierownik powiedział mi, iż w związku z poszerzaniem działalności przedsiębiorstwa, Port-Service będzie przyjmował nowych pracowników we wrześniu, wobec czego polecił mi zgłosić się w owym miesiącu, zaznaczając jednocześnie, że warunkiem przyjęcia do pracy będzie dobra znajomość języka angielskiego oraz innych obcych języków. Moje oświadczenie, iż znam francuski i angielski, przynajmniej na tyle, ile to będzie w pracy potrzebne, zapewniało według niego całkowitą szansę przyjęcia mnie na wachtmana.

Aby na ewentualnym sprawdzeniu znajomości języków wypaść jak najlepiej, postanowiłem przyspieszyć jeszcze naukę angielskiego i przestudiować do września podręcznik „La Pratique de l'Anglais” wraz z kompletem dwudziestu płyt, który kupiłem w niedawno otwartym Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Gdyni. Był to bardzo dobry i ciekawy podręcznik, wydany we Francji i opracowany w języku francuskim. Nauka miała się odbywać metodą „assimil”, to znaczy bez zbytecznego uczenia się wszystkiego na pamięć, tylko drogą naturalnego przyswajania sobie słów, gramatyki i całego materiału, co winno być następować poprzez dobre zrozumienie, wielokrotne czytanie z podręcznika i przesłuchiwanie z płyt tekstów lekcyjnych. Płyty były nagrane przez najlepszych spikerów angielskich i amerykańskich – tych drugich dlatego, aby zapoznać uczących się z intonacją mowy oraz zwrotami amerykańskimi.

*

Ponieważ trudno byłoby przestudiować podręcznik w dwa miesiące, chodząc jeszcze do pracy, postanowiłem w lipcu wziąć urlop, a bezpośrednio po nim zwolnić się ze straży. Po załatwieniu związanych z tym formalności zabrałem z hotelu swoje rzeczy, radio, adapter, ów podręcznik do nauki angielskiego wraz z płytami i wyjechałem do wuja w Lisewie. Z hotelu nie wymeldowałem się, aby nie stracić zameldowania w Gdyni. Jak zawsze, zostałem bardzo mile przez wuja przyjęty. Niezwykle cieszyło go i bawiło moje słuchanie przez około osiem godzin dziennie angielskich rozmów z płyt, a także audycji z radia, oraz mówienie i czytanie na głos w tym języku.

Do końca sierpnia pieczołowicie przerobiłem wszystkie czterdzieści lekcji oraz różne dodatkowe ćwiczenia z podręcznika i bardzo zadowolony z tego, przyjechałem pierwszego września do Gdyni i od razu udałem się do Port-Service'u. Tu okazało się, iż dokonano już naboru nowych pracowników w sierpniu i kierownik nie może mnie przyjąć do pracy, tylko każe mi zgłosić się na początku października, bo – jak powiedział – może ktoś do tego czasu się zwolni lub będzie potrzeba więcej wachtmanów.

Z początkiem września wynająłem sobie pokój w Gdyni na Grabówku i przez cały miesiąc, w czasie wolnym od nauki szkolnej, powtarzałem i ćwiczyłem przerobiony materiał oraz dużo czytałem w obu językach, szczególnie lżejszą lekturę angielską. Gdy w październiku przyszedłem do Port-Service'u – nic się nie zmieniło. Kierownik nie powiedział niczego pocieszającego, tylko polecił mi zgłosić się za następne dwa tygodnie, po którym to okresie sytuacja powtórzyła się.

Zacząłem rozglądać się za znalezieniem innej pracy. Niestety, we wszystkich przedsiębiorstwach morskich, na które miałem ochotę, pytano o świadectwo szkoły średniej lub nie potrzebowano nowych pracowników. W okresie tym wpadłem w duże tarapaty finansowe i zaznałem niemałej biedy, bowiem nie byłem przygotowany na przeżywanie tak długiego czasu bez pracy.

Chodząc po mieście, spotkałem komendanta SOP-u, który po krótkiej rozmowie spytał mnie, gdzie podjąłem pracę. Gdy dowiedział się o mojej sytuacji i o tym, że nie chcę już wracać do straży, zaproponował mi pracę w milicji mówiąc, iż może mi to z miejsca załatwić. Dodał, że z moją znajomością języków obcych bardzo bym się przydał w MO, w tym portowym mieście, i że po niedługim czasie mógłbym otrzymać jakąś ciekawą funkcję. Jednakże ta propozycja mi nie odpowiadała.

Spotkałem również wachtmana, który mnie do pracy w Port-Servisie zachęcił, i opowiedziałem mu moją historię. Dał mi do zrozumienia, że to chyba dlatego tak się stało, iż teraz nikt z pensji nie wyżyje, trochę się na statkach handluje, a straż portowa zwalcza przemyt, więc może niektórzy pracownicy mnie się obawiali.

*

W połowie listopada otrzymałem pracę w gdyńskiej hurtowni Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego w Gdańsku na stanowisku spedytora kolejowego, z pensją nawet trochę wyższą niż w straży. Praca ta polegała na załatwianiu różnych formalności związanych z przyjmowaniem do hurtowni wagonów z towarami, organizowaniu ich wyładunku i zwrotnym przekazywaniu pustych wagonów kolei. Praca ciekawa, żałowałem tylko, że nie mam w niej szansy wykorzystania mojej znajomości języków obcych, ale te siedem miesięcy pozostające do ukończenia technikum ekonomicznego mogłem z powodzeniem w WPHS przepracować. Potem miałem przecież możliwość znalezienia sobie innej pracy, gdyby ta mi nie odpowiadała.

Wreszcie po kilku miesiącach gorączkowego poszukiwania zatrudnienia nadszedł okres względnie unormowanego życia i spokoju. Po pracy chodziłem do szkoły, a w dzień wolny od nauki miałem sporo wolnego czasu dla siebie, bo języków obcych już

nie studiowałem, tylko czytałem zagraniczną prasę, niekiedy jakąś książkę lub słuchałem radia. Zacząłem natomiast częściej chodzić do kina i teatru. Bardzo żałowałem, gdy akurat spłonęła gdyńska „Stodoła” – teatr, który z takim trudem został niedawno odbudowany – ale było jeszcze wiele innych teatrów w Trójmieście. Odwiedzałem też kina w Gdyni, Sopocie i w Gdańsku. Filmy podobały mi się różne, a najbardziej przypadł mi w tym czasie do gustu film „Czerwone i czarne” z Gérardem Philipe’em w roli głównej. Po obejrzeniu go wkrótce przeczytałem w oryginale powieść Stendhala o tym samym tytule, na podstawie której film został zrealizowany.

W drugiej połowie grudnia kierownik transportu, który był moim bezpośrednim przełożonym, z nie ukrywanym zaskoczeniem wyznał mi, że wzywał go dyrektor hurtowni i pytał, jak ja się w pracy sprawuję. Mówił, iż odpowiedział mu, że nie ma do mojej pracy żadnych zastrzeżeń. Czasami tylko – nadmieniał dyrektorowi – gdy idę do szkoły, a po południu przychodzą wagony i z jakichś powodów należy je jeszcze tego samego dnia rozładować, co zdarza się jednak rzadko, on sam musi wtedy dopilnować ich wyładunku. Wszakże w ten sposób zapisywał sobie dobrze przecież płatne nadgodziny, a poza tym już tylko kilka miesięcy pozostało mi do ukończenia szkoły.

31 grudnia otrzymałem wypowiedzenie pracy ze skutkiem 15 stycznia 1961 roku. Jako że byłem jeszcze w trzymiesięcznym okresie próbnym, więc rozwiązano ze mną umowę o pracę w terminie dwutygodniowym, a nie trzymiesięcznym, jaki to czas obowiązywał w stosunku do pracowników etatowych.

Ponieważ zwolnienie nastąpiło bez podania przyczyny, poszedłem do dyrektora w sprawie wyjaśnienia tego faktu. Dyrektor powiedział mi, iż otrzymałem wypowiedzenie z pracy dlatego, że czasami po południu przychodzą wagony z towarami, które jeszcze tego samego dnia należy rozładować, a ja niekiedy w tym czasie idę do szkoły i kierownik transportu sam musi tego dopilnowywać. Gdy okazałem zrozumienie dla trudności, jakie powstają w takim przypadku, i podziękowałem za wyjaśnienia, dyrektor zatrzymał mnie chwilę i, ośmielony zapewne moim spokojnym zachowaniem, zadał mi jeszcze jedno pytanie:

– Wie pan, to nie ma żadnego znaczenia w sprawie tego wypowiedzenia, ale pan był przecież karany. Czy może mi pan powiedzieć za co?

Pewnie radca prawny już mu ogólnie wyjaśnił, co oznacza artykuł dwudziesty trzeci, ale być może z ciekawości nie wytrzymał i chciał się dowiedzieć jakichś dalszych szczegółów. Odpowiedziałem, że przebywałem rok w więzieniu za próbę przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej.

– A, to nic... to nic... – bąknął dyrektor – ta sprawa w wypowiedzeniu nie ma żadnego znaczenia i podziękował mi za rozmowę, w której wydawało mi się jednak, iż dyrektor coś kręci i ukrywa.

Nim to moje nagłe zwolnienie nie rozeszło się po hurtowni i póki nie musiałem ludziom niczego wyjaśniać, szczególnie w przypadku, gdyby wiadomość o mojej karalności wydostała się poza ramy dykcji i kadr, postanowiłem od razu dać swoje własne wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym. Zanim wyszedłem, poprosiłem dyrektora o wyrażenie na to zgody. Mój rozmówca najwyraźniej zaskoczony tym nagłym posunięciem, z dużym wszakże spokojem, zgodził się na moją propozycję.

Po opuszczeniu gabinetu udałem się od razu do kadr, gdzie poprosiłem o kartkę papieru i napisałem od ręki podanie o natychmiastowe rozwiązanie umowy o pracę. Uczyniwszy to, wróciłem do mojego biura, skąd po przekazaniu dokumentów służbowych mojemu kierownikowi i załatwieniu pozostałych formalności oraz złożeniu wszystkim życzeń noworocznych udałem się jeszcze przed zakończeniem pracy do domu.

Tak więc wyszło na jaw, iż zaświadczenie, że nie znajduję się w rejestrze skazanych, jakie nadeszło do SOP-u, zostało wydane tylko przez pomyłkę.

*

Z początkiem lutego 1961 roku udało mi się otrzymać pracę w Spółdzielni Inwalidów „Przodownik” w Sopocie, na stanowisku referenta administracyjno-gospodarczego. W kadrach orzeczono, iż z powodu braku kciuka na pewno uzyskam trzecią grupę inwalidzką, niezbędną do zatrudnienia w spółdzielni, którą, podjąwszy pracę, po niedługim czasie rzeczywiście otrzymałem.

O moim skazaniu w życiorysie nie wspominałem. Było przecież – jak powiedziała kiedyś Lidia – dwie trzecie szansy, że nie zostanie to wykryte, jeśli tylko raz będą wysyłali zapytanie o karalność, a miałem nadzieję, iż w tej spółdzielni, na to stanowisko, więcej razy pytać nie będą.

Otrzymałem wynagrodzenie w wysokości tysiąc dwieście złotych miesięcznie plus piętnaście procent premii zależnej od wykonania planu. Praca moja polegała głównie na wypisywaniu zleceń na wydanie z magazynu gospodarczego białych fartuchów, szufelek, wag, szczotek do zamiatania, wiader i dziesiątek innych artykułów kierownikom sklepów i różnych zakładów spółdzielni. „Przodownik” posiadał bowiem ponad sto pięćdziesiąt sklepów, kiosków i innych punktów sprzedaży oraz dwie masarnie, kilka kawiarni i restauracji.

Pracy jednakże miałem niewiele. Obsługiwałem najczęściej tylko paru klientów dziennie, a zdarzało się, że i żaden interesant do biura nie przyszedł i poza wyprowadzaniem kartotek czas spędzałem na czytaniu gazet lub rozmowach z kierownikiem tego działu – krakowianinem, Janem Kozłowskim – z którym we dwójkę zajmowaliśmy jeden pokój. Gdy kierownik wyjeżdżał gdzieś w teren, wtedy w biurze siedziałem sam i obsługiwałem klientów, telefon oraz bieżące sprawy działu. Niekiedy mój szef wysyłał mnie do sklepu, kawiarni czy restauracji w celu załatwienia jakiejś sprawy.

W biurze wydawałem także różne druki i artykuły piśmienne księgowym i innym pracownikom administracji, jakie to materiały z kierownikiem zakupywałem i umieszczałem w szafach stojących obok biurka, przy którym urzędowałem.

Żałowałem, iż nie mam w spółdzielni żadnych kolegów, bo zatrudnieni w biurze pracownicy byli dużo starsi ode mnie. Wielu z nich było w wieku przedemerytalnym lub już emerytalnym, a dyskusje z nimi wydawały się zawsze te same i raczej mało mnie interesowały.

Otrzymałem zgodę na półgodzinne wcześniejsze wychodzenie z pracy w dni, w które odbywała się nauka w szkole, żebym zdążył na czas kolejką dojechać z Sopotu do Gdyni. Do ukończenia technikum pozostawały już tylko trzy miesiące, bo w maju przystępowaliśmy do zdawania egzaminów maturalnych.

Z początkiem kwietnia zacząłem już mocno przygotowywać się do nich, a jako że miesiąc był ciepły, często uczyłem się, przesiadując na ławkach sopockiego molo. Miesiąc ten dobrze pamiętam również i dlatego, że 12 kwietnia 1961 roku Gagarin, jako pierwszy człowiek, wyleciał w kosmos.

Nader solidnie powtórzyłem cały przerobiony w szkole materiał i do batalii o maturę przystąpiłem w dobrym nastroju. Egzaminy pisemne odbyły się w auli Szkoły Morskiej w Gdyni, a ustne w kilku innych salach tej szkoły. Wszystkie egzaminy zdałem pomyślnie i w czerwcu otrzymałem świadectwo dojrzałości. Po tej wielkiej w życiu chwili udaliśmy się całą klasą na polanę w lesie za naszą szkołą, mieszczącą się przy ulicy nazwanej obecnie Morską, gdzie urządziliśmy skromną, ale bardzo wesołą i miłą uroczystość pożegnalną, którą będę zawsze pamiętał.

Po ukończeniu Technikum Ekonomicznego, Wydział Handlu Zagranicznego w Gdyni, postanowiłem zrobić rok przerwy, a potem poczynić starania o przyjęcie mnie

na studia zaoczne w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie, na Wydziale Ekonomiki Transportu Morskiego.

Mając do października następnego roku czas wolny od nauki w szkole, powziąłem myśl, aby wykorzystać ten okres na dalsze uczenie się języków obcych. Doszedłem do wniosku, iż zupełnie dobrze można kontynuować naukę dwóch lub więcej języków jednocześnie, przeto począłem uczyć się równoległe niemieckiego i hiszpańskiego. Kupiłem podręczniki i płyty do nauki obu języków i tym razem już zupełnie swobodnie, bez debiutanckiej tremy, posiadając dużą praktykę i umiejętność uczenia się języków obcych, wziąłem się z początkiem sierpnia do nauki najpierw niemieckiego, potem hiszpańskiego. Postawiłem sobie za cel, aby poznać je w miarę dobrze do chwili rozpoczęcia studiów na wyższej uczelni.

Ponieważ znałem język angielski i francuski i miałem ukończone technikum handlu zagranicznego, zdecydowałem się na jesieni 1961 roku znaleźć sobie bardziej odpowiednią pracę. Wybrałem w tym celu jedno z przedsiębiorstw portowo-morskich w Gdyni, gdzie po złożeniu podania zostałem w połowie grudnia przyjęty na stanowisko, o które się ubiegałem. Zajęcie to właściwie trudno było nazwać jakimś stanowiskiem, ale wydawało mi się interesujące i prócz matury była przy nim bezwzględnie wymagana znajomość języków obcych, szczególnie angielskiego. Praca ta była związana z kierunkiem nauki w ukończonym przeze mnie technikum i zamierzonymi studiami w Sopocie. Była ona o wiele ciekawsza i bliższa moim zainteresowaniom niż praca w „Przodowniku”. Przede wszystkim miałem w niej możliwość praktykowania i pogłębiania znajomości języków obcych oraz zarobku większego niż w spółdzielni.

Gdy udałem się do działu, gdzie miałem podjąć wykonywanie swoich obowiązków, ku memu wielkiemu zaskoczeniu jego kierownik oznajmił mi, że nie potrzebuje już ludzi na stanowisku, na które zostałem przyjęty, i skierował mnie do innej pracy w tym dziale, gdzie – jak się potem zorientowałem – mało kto chciał pracować. Zauważyłem też, że przy zajęciu, do jakiego przeznaczył mnie kierownik, znajomość języków obcych nie jest w zasadzie potrzebna i w większości zatrudnieni tam ludzie ich nie znali. Siedząc w tym pokoju do końca pracy, nawiązałem rozmowę z jednym z pracowników tej sekcji. Mówił on jednak bardzo dobrze po angielsku, bo chyba po wojnie przez wiele lat mieszkał w Anglii. Dowiedziałem się od niego, że on również nie może otrzymać stanowiska, o które ja się ubiegałem, a to z powodu braku różnych preferencji politycznych, jak i osobistych układów z kierownikiem. Powiedział mi jeszcze, że kto do tej sekcji, w której obaj znaleźliśmy się, raz już wpadnie, nieszybko się z niej wydostaje, chyba że zwolni się z pracy. Wszelako spostrzegłem, iż tam, gdzie miałem pracować i gdzie znajomość języków obcych jest nieodzowna, pracuje wielu ludzi nie znających języków obcych lub posługujących się nimi w zakresie, który trudno nawet uznać za słaby. Słowem – jak powiedział poznany pracownik – typowy obraz ówczesnej polityki i gospodarki, widzianej nie w głoszonych propagandowych i utopijnych teoriach, lecz w praktyce.

Trochę poobserwowałem tego kierownika, który mnie tak bardzo zadziwił i stał się głównym sprawcą mojego zawodu. Ledwie mówił tym swoim angielskim, gdy przychodzili do biura różni cudzoziemcy. Kiedy gości nie było, biegał po wszystkich pokojach, coś wykrzykując, lub zamykał się w swoim gabinecie z niektórymi, widocznie bardziej zaufanymi sobie pracownikami. Jedynie po smugach dymu papierosowego, wydobywającego się przez szpary drzwi, i znanym brzęku szklanych naczyń mogłem sądzić, co on tam robi. Mimo woli cisnęło się na myśl pytanie, co dobrego może dać taki kierownik temu przedsiębiorstwu, tym ludziom, temu światu i sobie.

Widząc ten bałagan, panującą tam atmosferę, tego pod koniec pracy mocno już pijanego kierownika i szansę pozostania przy tym nie zamierzonym zajęciu nie wiadomo jak długo, zadzwoniłem jeszcze tego samego dnia do „Przodownika” i póki sprawa się nie przedawniła, wyraziłem chęć powrotu na moje miejsce, na co uzyskałem natychmiastową zgodę mojego szefa w spółdzielni.

Na drugi dzień rano poszedłem do kadr zakładu pracy, do którego poprzedniego dnia mnie przyjęto. Powiedziałem, że nie zostałem przez kierownika działu zatrudniony na stanowisko, na które mnie zaangażowano, wycofałem wszystkie moje dokumenty, poprosiłem, aby potraktowano moje przyjęcie jako niebyłe, pożegnałem się i wróciłem do „Przodownika”. Przed wyjściem kadrowa usiłowała jeszcze telefonicznie interweniować u kierownika, aby ten przyjął mnie na zaangażowane miejsce pracy, jednakże bezskutecznie. Wszelako było ewidentne, że skoro kadrowa przyjęła mnie na to stanowisko, to dobrze wiedziała, iż potrzebni tam są jeszcze nowi pracownicy.

Uważałem, iż nie ma sensu pozostawać w owej sekcji, nie tak wiele różniącej się pracą od tej w spółdzielni, i postanowiłem do „Przodownika” wrócić, czyniąc to z kilku jeszcze innych niż wyżej opisanych powodów. Otóż znalazłem właśnie w Sopocie piękny, wygodny i względnie tani pokój sublokatorski, do którego po Nowym Roku miałem się przenieść i skąd do pracy w spółdzielni w Sopocie było nieporównywalnie bliżej niż do tamtego przedsiębiorstwa w Gdyni. Następnie, studia, które miałem podjąć w Sopocie, były wprawdzie zaoczne, ale jak mi już było wiadomo, należało uczęszczać na różne popołudniowe ćwiczenia i wykłady, nie mówiąc już o tym, iż trzeba było przychodzić na zaliczenia i egzaminy, a z „Przodownika” na uczelnię było chyba nie więcej niż trzysta metrów drogi. Ponadto, skoro nic w tym nowym zakładzie nie zyskiwałem, po co miałem ryzykować wykrycie w nim mojego skazania, po ujawnieniu którego mogłem przecież zostać zwolniony z pracy. Jak bym wtedy wrócił do „Przodownika” po jednym czy dwóch miesiącach przerwy. Stanowisko moje przecież by nie wakowało.

Oдноśnie karalności to najprawdopodobniej w spółdzielni nie została ona wykryta, bo bym się o tym zapewne dowiedział, ponieważ szef kadr często w naszym pokoju przesiadywał, nieraz rozmawialiśmy na różne tematy kadrowe i chyba powiedziałby o tym. Jednakże mogło być i tak, że mój kierownik – mający duże wpływy w spółdzielni – w wypadku powiadomienia go o ujawnieniu mojego skazania kazał wrzucić poświadczenie z rejestru do kosza, nawet mi o tym nie mówiąc, na co wszak miałem pewne dowody.

*

Jakkolwiek mój powrót do pracy w „Przodowniku” nie wywołał jakichś niemiłych dla mnie komentarzy czy dowcipów, to jednak to zetknięcie się moich celów i marzeń z ową rzeczywistością wywarło na mnie duże wrażenie i wpłynęło bardzo przynębiająco. Począłem zastanawiać się, czy właściwie ma sens kontynuowanie nauki niemieckiego i hiszpańskiego, dopuszczając myśl, że języki obce mogą mi nie być tak bardzo potrzebne. Od tego też czasu praktycznie poniechałem dalszego ich uczenia się, będąc wszak nadal zdecydowany podjąć od następnego roku studia na WSE.

W „Przodowniku” pracowało mi się dobrze, a przede wszystkim bardzo spokojnie – może nawet aż za spokojnie. Zaraz po Nowym Roku przeprowadziłem się na kwaterę w Sopocie, gdzie zamieszkałem w starej willi z pięknym widokiem na morze. Utrzymywana ona była przez starszą kobietę i mieszkało w niej jeszcze małżeństwo w wieku około czterdziestu lat z dorastającymi już dziećmi.

Mimo niezłej pracy i dobrych warunków zamieszkania mało ciekawie wyglądało moje życie w tym czasie. Przede wszystkim moje współżycie z ludźmi nie układało

się tak, jak powinno. Nie miałem żadnych kolegów zarówno w pracy, jak i poza nią. W biurze pracowali przeważnie starsi już wiekiem mężczyźni, a ci młodszy byli także o dobre dwadzieścia albo trzydzieści lat starsi ode mnie i utrzymywałem z nimi kontakty tylko w pracy.

Poza biurem, w tym okresie, też nie miałem żadnych kolegów. Z tymi ze straży straciłem już kontakt. Wielu z nich znalazło sobie inną pracę i podobnie jak ja przeniosło się na prywatne kwatery, których adresów nie znałem. Tych mieszkających w hotelu w Gdyni nie mogłem odwiedzać, bo hotel znajdował się na terenie portu i żeby do niego dojść, trzeba było mieć przepustkę, no i trzeba było jeszcze pojechać z Sopotu do Gdyni.

Przy różnych okazjach poznawałem nowych kolegów, jednak byli to przeważnie chłopcy nie najciekawszy, którzy uważali dążenie do wykształcenia za rzecz całkowicie zbędną i niepotrzebną tylko zwracanie sobie głowy. Większość z nich, niczym lokomotywa, kopała bez przerwy papierosy, a gdy udawałem się z którymś do kawiarni, okazywali się tylko zwykłymi naciągaczami na piwo.

Nie sądzę wszak dzisiaj, abym nie mógł utrzymywać dłuższych znajomości z żadnym z nich i chyba nie był słuszny mój pogląd i zwyczaj niezwłocznego zrywania nawiązującego się kontaktu, bo ktoś nie stroni od alkoholu, jest cwaniakiem albo nerwusem lub posiada inne ujemne cechy charakteru. Nie można dostrzegać tylko samych wad i uważać je za zupełnie uniemożliwiające utrzymywanie dobrych relacji z ludźmi.

Nie znałem też żadnej dziewczyny. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach skończyły się moje spotkania z Lidią, ale chyba gdzieś wyjechała, bo potem już nigdy jej nie widziałem.

Zarówno więc w „Przodowniku”, jak i poza miejscem pracy popełniałem duży błąd we współżyciu z ludźmi, nie nawiązując z nimi bliższych więzi, bowiem właściwsze jest utrzymywanie kontaktów z ludźmi, choćby nie były one najlepsze, niż życie w izolacji i samotności.

W okresie tym nie tylko w biurze niewiele co miałem do roboty, ale także po pracy niczym szczególnym się nie zajmowałem. Ogarnęło mnie jakieś zżądzenie, apatia i bunt przeciwko rzeczywistości, która mnie otaczała. Jednak muszę też powiedzieć, że prócz czytania książek, słuchania radia i pięknych melodii z płyt, chodzenia do kina albo do teatru lub do Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Sopocie, Gdyni czy w Gdańsku niewiele miałem zajęć. Żadnych posiłków, prócz herbaty i kanapek, w domu nie przygotowywałem. Stołowałem się w barach mlecznych lub stołówkach, gdyż w domu, w którym mieszkałem, nie miałem dostępu do kuchni. W zajmowanym pokoju niewiele co wolno było mi zmienić lub odnowić albo wykazać innej tego rodzaju inwencji czy inicjatywy, bo mieszkanie było nie moje. Nie miałem też roweru albo motoru, na którym mógłbym pojeździć lub przy nim coś robić.

Moją trudną sytuację, powiedziałbym natury psychologiczno-fizycznej, pogarszały warunki materialne. Choć stosunkowo niewysokie płaciłem komorne, to jednak było ono bardzo uciążliwe. Do tego musiałem co miesiąc spłacać znacznie obciążające mój budżet raty, które zaciągnąłem na zakup ubrań i płaszcza. Gdybym wówczas chciał zwolnić się ze spółdzielni i próbował jeszcze raz poszukać bardziej interesującej i lepiej płatnej pracy, to z powodu tych rat i komornego nie mogłem odważyć się na to. Przecież, gdyby coś nie wyszło i w efekcie musiał pozostać dłuższy czas bez pracy, to wtedy nie wiem, co bym miał zrobić.

Obraz tej rzeczywistości daleko odbiegał od niegdyś snutej wizji mojej przyszłości, jaka miała nastąpić po nauczaniu się języków i ukończeniu technikum. Z powodu nieosiągnięcia założonych celów i niezaspokajania wielu ważnych potrzeb życiowych ogarniał mnie i gromadził się we mnie lęk, z którego istnienia nawet nie zdawałem sobie wtedy sprawy. Nie byłem jednak w stanie wyzbyć się moich marzeń

i celów, nie mogłem pogodzić się z rzeczywistością, jaka mnie otaczała, i nie dążyłem też do uczynienia jej, w miarę moich ówczesnych możliwości, bardziej atrakcyjną. Nie próbowałem podjąć życia takiego, na jakie było mnie stać, jakie wtedy było możliwe, a które mogło przecież być bardzo interesujące, gdybym podjął bardziej bliskie i realne cele, nawiązał kontakty z ludźmi i zaczął realizować to, co w życiu jest najbardziej potrzebne.

Innymi słowy, do sytuacji, w której się znalazłem, można było lepiej się dostosować, niż ja to czyniłem, i urządzić życie ciekawsze i bardziej odpowiadające moim potrzebom i możliwościom, niż ja to realizowałem. Wszelako niewiele w tym względzie czyniłem i dalej kontynuowałem to moje zawieszenie w próżni psychologicznej i fizycznej, czekając na jakąś odmianę losu, na jakiś przypadek, który zmieniłby moje życie na takie, o jakim wciąż jeszcze marzyłem.

9. GROŻNA, CZY NIEGROŻNA APOKALIPSA?

... niekiedy wyczytywałem opinie, że nerwica jest zupełnie normalnym, lub wręcz niezbędnym dla prawidłowego rozwoju psychicznego zjawiskiem, które doprowadza do pozytywnej...

W kwietniu 1962 roku musiałem zgłosić się do przychodni zdrowia psychicznego, ponieważ od kilku tygodni zaczęły opanowywać mnie różne objawy nerwicowe. Pani doktor przepisała mi uspokajające tabletki, których zbawczego działania, jak na razie, nie mogłem zauważyć.

Symptomy te pojawiały się najpierw pojedynczo, a potem po kilka albo nawet kilkanaście nowych objawów przybywało dziennie. Im więcej im się sprzeciwiałem i próbowałem stawić opór, tym bardziej mnie atakowały. W większości nie były one groźne, ale występowały również bardzo uciążliwe anomalie. Były wśród nich tiki, lub raczej niewielkie drgawki na twarzy, przeważnie w okolicy ust i nosa, które pojawiały się, zwłaszcza w obecności innych osób, a szczególnie wtedy, gdy ktoś zwracał na nie uwagę. Często prześladowało mnie jakieś nerwicowe mylenie się i inne trudności w rozmowie, takie jak zatamowanie mowy lub coś na podobieństwo jąkania się. Myliłem się także w pisaniu i miewałem trudności w skupieniu się w czasie czytania. Irytowały mnie wszelkie hałasy i w ogóle łatwo się denerwowałem.

Nie miałyby sensu opisywanie tu wszystkich moich objawów, ponieważ w nerwicy nie są one rzeczą najistotniejszą. Kiedyś naliczyłem ich chyba z kilkadziesiąt. Były to w większości dość znane nerwicowe anomalie, podobne do tych, które już wymieniłem, bądź takie, jak udręka i niepokój, czy na pewno dobrze zamknąłem drzwi albo czy wyłączyłem elektryczny czajnik, wychodząc z domu. Niekiedy gnębiła mnie uciążliwa niepewność, czy połknąłem o wyznaczonej godzinie pigułkę przepisaną mi przez lekarza, i męczący dylemat, czy na wszelki wypadek lepiej jest zażyć drugą, czy zdecydować się na ewentualne niepobranie żadnej w tym czasie.

Szczególnie przykrym objawem była bezsenność w nocy. Piszę: w nocy, ponieważ w dzień często ogarniała mnie przemożna chęć snu, gdy akurat spać nie mogłem, bo byłem w pracy. Czasami senność ta tak mocno mnie obezwładniała, iż niemal usypiałem, siedząc przy biurku. Kiedy jednak kilka razy nie mogłem wytrzymać i pod jakimś pretekstem wyszedłem z biura na miasto, aby pójść do domu i z godzinę się przespać, wówczas – gdy położyłem się już na kanapie – sen odlatywał i nie było innego wyjścia, jak wrócić z powrotem do biura, gdzie znowu walczyłem z sennością.

Podobna przewrotność objawów występowała podczas wizyty u lekarza, kiedy to wspomniane drgania na twarzy nie ukazywały się. Nie pojawiały się właśnie wtedy, gdy bardzo chciałem, aby przed doktorem zademonstrować, jak one wyglądają. Brak potwierdzenia u lekarza tych tików, o których mu tak dużo mówiłem, doprowadzał do nieporozumień i nasuwał podejrzenie występowania u mnie urojeń i omamów, co groziło wielką pomyłką w rozpoznaniu choroby. Wszakże nie wszystkie natręctwa były takie jakby trochę zabawne, albowiem w dużej liczbie były one nadzwyczaj przykre i dalekie od komizmu.

Po dwóch miesiącach od ukazania się pierwszych natręctw doszło do tego, że w każdej chwili i wszędzie dręczyły mnie jakieś anomalie. Były to zawsze objawy, które w danej sytuacji mogły najwięcej zaszkodzić. Jedne natręctwa prześladowały mnie wówczas, gdy byłem wśród ludzi, a inne, kiedy przebywałem sam. Muszę tu jeszcze wspomnieć o uczuciu ogromnej przykrości, desperacji i przejmowania się, które tym nerwicowym symptomom towarzyszyło. Przeżywałem straszne katusze i robiłem

sobie wielkie halo z powodu poczynionej drobnej pomyłki w pisaniu lub czytaniu, nie mówiąc już o poważniejszych objawach.

Trzeba jednak nadmienić, iż mimo tego całego ambarasu otaczający mnie ludzie niewiele chyba zauważali przeżywane przeze mnie kłopoty. Dostrzegali tylko niektóre symptomy nerwicy, co czasami kojarzyli z przeziębieniem i traktowali mnie najzwyczajniej w świecie, za co im byłem bardzo wdzięczny. Świadomość, bowiem, że było to mało przez ludzi zauważane, zmniejszała przykrość, lęk oraz inne uczucia stymulujące owe natręctwa i doprowadzała do osłabienia lub nawet do zaniku wielu objawów.

*

Pojawienie się nerwicy w postaci, w jakiej ukazała się wiosną i latem 1962 roku, oznaczało dla mnie postawienie wszystkich moich spraw na głowie. Wielu zajęć, o których w przeszłości marzyłem, nie mogłbym już teraz wykonywać i nie wiedziałem, co w ogóle mogę robić, aby różne objawy nerwicowe mi nie przeszkadzały. Wciskały się one wszędzie. Nie można było spokojnie pracować ani wykonywać jakichkolwiek czynności. Nie udawało mi się bez nich choćby przez chwilę posiedzieć ani poleżeć. Nie mogłem swobodnie mówić, myśleć, czytać, pisać itd.

Z wielu ambicjonalnych i ważnych dla mnie spraw trzeba było zrezygnować, a właściwie wyszło na to, że należało poniechać wszystkiego, co mogło mieć dla mnie znaczenie, bowiem najbardziej atakowały mnie natręctwa przy wykonywaniu tego, na czym najwięcej mi zależało. Wynikało to chyba stąd, że im usilniej bałem się, iż komplikacje te mi w czymś, zwłaszcza dla mnie ważnym, przeszkodzą, tym mocniej mnie one krępowały i nie dopuszczały do zrealizowania powziętego zamiaru. Z drugiej strony zauważyłem, że kiedy wykonywanie jakiejś czynności jest mi bardziej obojętne, wówczas nerwicowe objawy mniej mi dokuczają. Począłem więc przed wykonaniem czy osiągnięciem zamierzonego celu przekonywać się najpierw i jakoś sobie udowadniać, że mi na nim niewiele lub w ogóle nie zależy, wtedy przy jego realizacji byłem spokojniejszy i natrętne objawy malały.

Nie mogło tak być, musiałem coś z tym zrobić, jakoś rozwiązać ten problem. Ponieważ w drugiej już przychodni lekarz nic mi konkretnego nie doradził – z wyjątkiem informacji, że przy zażywaniu przepisanych mi tabletek nie należy pić alkoholu, większej ilości kawy ani opalać się dłużej na słońcu – przeto poszedłem do księgarni, kupiłem kilka akademickich podręczników na temat nerwic i przystąpiłem do ich studiowania. Wszelako, prócz opisu rodzajów nerwic i ogólnych porad ich leczenia, niewiele znalazłem wskazówek na temat pozbycia się objawów, jakie mnie prześladowały. Wziąłem się zatem sam do obserwowania choroby i szukania wyjścia z opresji natręctw, które mnie opanowały.

Jeszcze przed rozpoczęciem czytania zakupionych książek dostrzegłem, iż jedną z najważniejszych przyczyn nerwicowych objawów jest lęk. Nie mogłem sobie jednak wytłumaczyć, skąd wziął się ten tak bardzo podwyższony poziom lęku. Może nie dość dokładnie czytałem wspomniane podręczniki, ale nie zauważyłem w nich opisu przyczyn powstawania takiej trwożliwości. Po wystąpieniu nerwicy spostrzegłem wszakże, iż na skutek pojawiających się lawinowo objawów lęk ów wzrósł jeszcze niepomiaralnie.

Zorientowałem się ponadto, że powstawaniu i utrzymaniu się tych natręctw bardzo sprzyjała również moja skłonność do wielkiego przejmowania się wszystkim, a także moja nadwrażliwość oraz postawa nietolerancji, bezwzględności, wąskiego pojmowania, że coś musi koniecznie być tak, a nie inaczej, i inne podobne uczucia, postawy i poglądy. Tak na przykład absolutna nietolerancja objawów i bezwzględna walka z nimi powodowała jeszcze większą ich natarczywość i dokuczliwość. W jakimś pomniejszeniu i uregulowaniu mojej nadwrażliwości, lęklivosti, silnego

przejmowania się wszystkim i wielu innych cech mojej osobowości dostrzegałem największą skuteczność pozbycia się nerwicy oraz jej symptomów.

Następnie uświadomiłem sobie, iż dręczące mnie objawy najbardziej triumfują wówczas, gdy szkodzą, kiedy mogą być nieszczęściem, bo jak nie są zbyt kłopotliwe, szybko zanikają.

*

Przechodząc raz obok ukwieconej i tętniącej życiem łąki, spostrzegłem biologa, który obserwował przez lupę rosnące na niej rośliny. Pomyślałem sobie, iż jest to bardzo interesujące zajęcie i że przy nim moja nerwica nie miałaby większego znaczenia. Muszą przecież być – zauważyłem – inne profesje i prace, przy wykonywaniu których będę mógł z powodzeniem żyć z moją nerwicą. Zastanawiałem się już nad znalezieniem takiej pracy, gdzieś z dala od ludzi, ale doszedłem do wniosku, że przed dręczącymi mnie objawami nie można uciec, gdyż wszędzie będą mi one dokuczały. Przypomniałem sobie w tym momencie opowiadanie o pewnej kobiecie, która często zmieniała mieszkanie, bo w każdym przeszkadzały jej hałasy. Pomyślałem jednak, iż dobrze byłoby znaleźć zajęcie, przy którym byłoby mniej wzmagających nerwicę sytuacji, lecz zastanawiając się dłużej, doszedłem do wniosku, że pewnie byłoby jeszcze lepiej znaleźć pracę bardziej aktywną od wykonywanej. Spostrzegłem bowiem, że kiedy jestem czymś bardzo zajęty i zainteresowany, to na natręctwa nie zwracam uwagi i wówczas one zanikają. Odkrycie to stało się powodem mojego przejścia w spółdzielni z działu administracyjno-gospodarczego do grupy remanentowo-spisowej (już po odejściu pana Kozłowskiego na emeryturę), gdzie choć niewiele ubyło objawów, to zajęty ciągłym liczeniem i przerzucaniem na półkach towarów, pozbyłem się przynajmniej mojej natrętnej senności podczas dnia.

Znalazłem jednakże w moim ówczesnym życiu zajęcie, niestety, mało produktywne, przy którym całkowicie zapomniałem o natręctwach i kiedy one w ogóle się nie pojawiały. Następowало to wtedy, gdy byłem pochłonięty grą w karty, do czego przejawiałem wielki zapal już od najmłodszych lat.

Otóż w lecie 1962 roku gospodyni przyjęła do jednego z pozostałych do jej dyspozycji pokoi dwóch chłopców w moim wieku, którzy byli namiętными karciarzami, i kiedy tylko mieliśmy wolny czas, spędzaliśmy go wspólnie przy kartach. Graliśmy przeważnie w tysiąca, czasami w baśkę w trójkę, ale od jesieni przychodził do nich kolega i wówczas w czwórkę grywaliśmy w brydża.

Chociaż dużo czasu traciłem na tę zabawę, grałem chętnie, aby oderwać się od mojej nerwicy, nie żyć ciągle z natręctwami, za bardzo nie przyzwyczajając się do nich, co by mogło doprowadzić do wejścia ich w stały, trudny już do wykorzenia nawyk. Grając wyzbywałem się właśnie różnych mocno nabytych już przyzwyczajzeń i miałem trochę normalnego życia przynajmniej przy tej zabawie. Gra w karty była dla mnie dowodem i pociechą, że nerwica nie jest jakimś nieodwracalnym fatum, które nade mną zawisło – sugerowała i napawała nadzieją, że musi być więcej sposobów pozbywania się występujących objawów.

Tak więc grałem w karty niekiedy przez wiele godzin dziennie, bowiem gra była dla mnie wytchnieniem, przerwą w mojej przygnębiającej rzeczywistości i z przerw tych często korzystałem. Zaobserwowałem w dodatku, że po skończonej grze jeszcze przez pewien czas, krótszy lub dłuższy, dobry nastrój bez natręctw utrzymuje się dalej, kiedy już jestem w swoim pokoju i zajmuję się czym innym.

Wszelako gra w karty nie mogła być jakimś panaceum na wyjście z choroby i właściwie rozwiązywała niewiele tylko związanych z nią problemów. Trochę niepokoiłem się, że zabawa ta, prócz opisanych korzyści, jest dużą stratą czasu, ale na razie nie mogłem nic lepszego wymyślić. Może ktoś inny w podobnej sytuacji

miałby ciekawsze i pożyteczniejsze zamiłowanie lub pasję, jak na przykład wiele dzisiejszej młodzieży przy komputerach (tylko nie ciągle i nie za bardzo hałaśliwe zabawianie się na nich). Może kogoś zainteresowałoby inne zajęcie czy praca, która potrafiłaby go całkowicie pochłoniąć, lecz ja nic takiego wtedy nie miałem i długo jeszcze grałem w karty.

W lipcu pomyślnie zdałem egzaminy wstępne na zaoczne studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie, gdzie zostałem przyjęty na Wydział Ekonomiki Transportu Morskiego.

Po dwóch czy trzech miesiącach pracy w grupie remanentowo-spisowej w spółdzielni zostałem służbowo przeniesiony do fakturowania rachunków w rozlewni wód gazowanych, należącej do „Przodownika” i mieszczącej się również przy głównej ulicy w Sopocie, niedaleko mojego poprzedniego biura. Zostałem tam zatrudniony na miejsce mężczyzny, który odszedł na emeryturę. Znowu znalazłem się w pokoju ze starszym panem, przy nader monotonnej pracy, jakiej w dodatku było niewiele. Jednakże natrętna senność za biurkiem, od której przy remanentach odzwyczaiłem się, już nie powróciła, ale prócz wielu innych nerwicowych objawów w dalszym ciągu bardzo męczyła mnie bezsenność w nocy.

*

Bezsenność ta prześladowała mnie tym bardziej, im szybciej chciałem usnąć i dobrze się wyspać.

Często słyszałem i czytałem, iż dla dobrego zdrowia należy dobrze się wysypiać i że pełny, niczym nie zmacony sen w nocy nie powinien trwać krócej niż siedem lub osiem godzin. Zauważyłem również sam, że im dłużej i lepiej w nocy śpię, tym lepsze mam w dzień samopoczucie i różne natrętne objawy mniej mi dokuczają. Zatem należało wysypiać się jak najlepiej, tylko że nerwicowa przekora i lęk sprawiały, że kiedy chciałem spać dobrze, spałem bardzo źle. Sen długo nie nadchodził i, miast spania, gnębiły mnie całymi godzinami różne myśli. Gdy już w końcu usnąłem, to dręczyły mnie z kolei straszliwe sny, które – niepokoiłem się – odbierają spaniu jego pełną wartość, do jakiej tak bardzo dążyłem, i rano szedłem do pracy niewyspany.

Ponieważ wiązałem nasilanie się nerwicowych objawów również ze złym wysypianiem się, musiałem tej bezsenności bliżej się przyjrzeć i ją przeanalizować. Zacząłem przede wszystkim zastanawiać się nad tym, co należy zrobić, aby lepiej w nocy spać, i począłem dochodzić w tej materii do różnych wniosków. Jałem też gromadzić wszelkie spostrzeżenia i uwagi na temat snu, które gdzieś usłyszałem albo wyczytałem.

Zauważyłem więc, że o wiele lepiej śpi się po jakiejś intensywnej lub wyczerpującej pracy, zwłaszcza na świeżym powietrzu. Także dobrze usypiałem po dłuższym marszu, biegu ewentualnie innych sportowych wyczynach czy ćwiczeniach na świeżym powietrzu lub przy szeroko otwartym oknie. Spostrzegłem, że przy otwartym albo uchylonym oknie samo spanie jest również przyjemniejsze, głębsze i przynoszące więcej wypoczynku.

Od dawna już wiedziałem, że czytanie nużącej lektury w łóżku przed spaniem przyśpiesza chęć snu. Usypiałem szybciej, kiedy nadchodzący dzień zapowiadał się jako zwykły, przeciętny, w którym nie oczekiwałem szczególnych zdarzeń. Pocięszalem się wszelako i uspokajałem, uświadamiając sobie, że trudne usypianie i nie najlepsze spanie przed podróżami lub innymi oczekiwanymi w dzień dużymi przeżyciami jest poniekąd rzeczą normalną, gdyż w takie noce wielu ludzi nie najlepiej śpi. Jest rzeczą oczywistą: by szybciej usnąć, nie należy przed snem roztrząsać bardzo drażliwych kwestii i raczej rozmyślać na spokojniejsze tematy. A jeśli kiedyś trzeba i przed snem zastanowić się nad jakąś bulwersującą sprawą, to wtedy samemu nie wzburzać się, tylko rozpatrywać dany problem spokojnie i

rzeczowo, w jaki to sposób może rozważać także człowiek łatwo denerwujący się. Jeżeli nie umie na tematy drażliwe rozmyślać spokojnie, musi próbować, a przekona się, że jest to możliwe i można się tego nauczyć.

Przypomniałem sobie, jak szybko usypiałem, mieszkając z kolegami w hotelu przy ulicy Rumuńskiej w porcie lub gdy byłem jeszcze małym chłopcem i spałem z braćmi w jednym pokoju. Wówczas przed zaśnięciem prowadziliśmy wspólne dyskusje i gawędy, po których szybko zapadałem w głęboki sen, często jeszcze przed końcem rozmowy. Taka przyjacielska wymiana zdań przed snem niejako oczyszczała z wyznawanych kłopotów, niepowodzeń i innych trudnych przeżyć; dawała poczucie bezpieczeństwa, uspokajała, cieszyła oraz wyładowywała i powodowała szybsze usypianie.

Przeczytałem raz w jakimś tygodniku artykuł o żyłach wodnych, które mogą ciec wąskim pasmem w ziemi pod budynkiem i zapromieniowywać przestrzeń nad nimi w mieszkaniu, co z reguły pogarsza samopoczucie i spanie znajdującym się nad tymi żyłami. Uzyskałem więc zgodę gospodyni na przesunięcie kanapy w przeciwny kąt, gdzie lubił wylegiwać się jej piesek, który czasami przychodził do mnie w gościnę, lecz nie wiem, na ile poprawiło to moje spanie, choć wydawało mi się, że śpię w tym miejscu trochę lepiej.

Jednego dnia usłyszałem w radiu pogadankę psychologa na temat bezsenności. Lekarz ów mówił także o technice zasypiania. Niestety, słyszałem tylko końcową część audycji, z której wynikało, że przy odpowiedniej technice zasypiania każdy człowiek, nawet najbardziej rozstrojony nerwowo, nie oprze się chęci snu i szybko uśnie. Wielce żałowałem, że audycji tej nie usłyszałem od początku.

Często nachodził mnie jeszcze spaczony lęk, iż nie śpiąc w nocy, a za dużo rozmyślając, mogę zwariować lub że niepotrzebnie absorbuje tym myśleniem zbyt wiele komórek mózgowych, których może zabraknąć na bardziej użyteczne cele niż te nocne deliberacje. Uspokoilem się później, kiedy gdzieś przeczytałem, że człowiek wykorzystuje tylko dziesiątą część swojego umysłu w czasie czuwania, a ogromnych obszarów kory mózgowej i części podkorowej nigdy nie zdołał zatrudnić, gdybym myślał nawet wielokrotnie więcej. Poza tym, o wiele gorsze jest nieużywanie swojego umysłu, co właśnie zdarza się w niektórych chorobach psychicznych, niż najbardziej intensywne jego wykorzystywanie. Ponadto, myślenie jest jedną z najważniejszych i najwspanialszych funkcji naszego umysłu, którą powinniśmy jak najwięcej wykorzystywać, i w wielkiej mierze niemu zawdzięczamy to, kim jesteśmy, jak żyjemy, czy jesteśmy zadowoleni ze swojego życia i z siebie.

Byłem zdania, iż lepiej nie uciekać się do zażywania tabletek nasennych, bo trudno już będzie usnąć bez nich. A czasem, biorąc je, np. w półsenным letargu, po uprzednim już zażyciu tabletek, można przedawkować i doprowadzić się do jakiegoś nieszczęścia. Właśnie byłem bardzo wstrząśnięty, gdy w lecie tegoż 1962 roku zmarła najbardziej lubiana przeze mnie aktorka filmowa, Marilyn Monroe, wskutek przedawkowania tych środków. Z powodu jej rozstroju nerwowego, który w tym okresie przeżywała, leki te często ona przed snem pobierała, a po śmierci aktorki na jej nocnym stoliku znaleziono pusty słoiczek po tabletkach nasennych.

Przeżywając moje kłopoty z zasypianiem, zauważyłem, iż po kilku nie przespanych lub źle przespanych nocach nadchodzi noc, w którą dobrze śpię i odsypiam poprzednie zaległości. W związku z tym przychodziło mi nieraz na myśl, że być może nie zawsze tego snu tak bardzo potrzebuję. W jakich to przecież warunkach usypiają żołnierze w okopach na froncie? Właśnie dzieje się tak dlatego, że są zmęczeni, nie dosypiają i snu bardzo potrzebują.

Następnie spostrzegłem, iż nigdy chyba nie jest tak, bym całą noc nie spał, i że to tylko mi czasami się wydaje. Na potwierdzenie tego spostrzeżenia przypomniałem sobie opowiadanie pewnego znajomego, którego żona – jak twierdziła – w nocy

zawsze źle spała lub w ogóle nie sypiała. Mówił on jednak, że kiedy wracał z pracy na drugiej zmianie późno wieczorem lub w nocy, a nie wziął, wychodząc z domu, kluczy do mieszkania, to miał przeważnie wielkie trudności z dobudzeniem żony, która – jak się okazywało – nadzwyczaj mocno spała. Musiał używać różnych sposobów, aby ją obudzić, zwykle budząc przy tym szybciej sąsiadów.

Pomyślałem sobie, że gdybym tak nagle zaczął cieszyć się z tego, że w nocy nie śpię – bo na przykład w ten sposób niejako przedłużam sobie życie lub nie śpiąc, lepiej wykorzystuję czas, albo wynalazł inne argumenty na korzyść bezsenności – to zapewne, zgodnie z naturą przekory, zaraz zachciałoby mi się spać i noc okazałaby się za krótka. Pewnie tak samo byłoby również, jeśli by ktoś nie pozwalał mi spać. Wydało mi się nawet prawdopodobne to, co kiedyś, zapewne żartobliwie, opowiadano mi, iż w szpitalach psychiatrycznych pacjentów cierpiących na bezsenność leczy się w ten sposób, że bardzo stanowczo zabrania się im w nocy spać. Podobno po kilku takich nocach pacjenci, którzy przez wiele lat już nie spali, szybko wypisują się ze szpitala, bo tam im spać nie pozwalają. Zauważyłem też, iż na tej samej zasadzie kiedyś usypiałem przy biurku, a teraz bardzo chce mi się spać rano, gdy trzeba już wstawać. Niekiedy nawet przychodziła mi w tych momentach myśl, że chyba lepiej już cierpieć na bezsenność niż na nieprzemogłą, zwłaszcza ciągłą senność, o jakich to przypadkach również słyszałem.

Kilka razy dobrze spędziłem dzień w pracy po bardzo źle przespanej nocy, co nasunęło mi myśl, że być może złe samopoczucie i występowanie natręctw w dzień nie zależy wcale tak bardzo od wyspania się czy niewyspania w nocy. Może niepotrzebnie tym niespaniem tak się przejmuję i zawracam sobie głowę. Według wielu spostrzeżeń, które poczyniłem następnie, nie było zasadniczego związku między bezsennością w nocy, a złym samopoczuciem lub wzmożonym występowaniem objawów nerwicowych w dzień, co najwyżej był tylko związek zasugerowany. Spostrzegłem natomiast, że nasilanie się natręctw prócz lęku i innych przyczyn zależy również w wielkiej mierze od tego, co robię, czy tym się interesuję, pasjonuję, przejmuję, emocjonuję. Przecież – zauważyłem – kiedy gram w karty, żadne objawy w ogóle mi nie przeszkadzają i dobrze się czuję, choćbym wiele kolejnych nocy przedtem nie przespał. Gdyby nawet jakieś natręctwo się pojawiło, to z powodu dużego zaangażowania się w grę i niezwracania na nie uwagi, nie podsycane żadnymi emocjami, szybko by zanikło.

Czasami przychodziło mi na myśl, że być może moje serce wzmocnione przed laty tą nerwicą jest teraz tak silne, iż przez nie jestem jakiś bardzo ożywiony i nie mogę w nocy spać. Wszelako pomyślałem, że gdyby rzeczywiście tak było, to byłoby to przecież o wiele większą korzyścią niż stratą.

Aby pomniejszyć znaczenie snu – którego wagę dla swojego zdrowia widocznie przeceniałem, co w efekcie obróciło się przeciwko dobremu spaniu – jałem z kolei przekonywać się, iż sen nie jest wcale taki ważny, i wyszukiwać ku temu różne dowody. Przecież bezsenność, która czasami może – jak słyszałem – trwać dwadzieścia i więcej lat, zapewne niewiele szkodzi uskarżającym się na nią, skoro przez tak długi okres pracują i żyją podobnie jak inni ludzie. Dodałem tu jeszcze od siebie, że człowiek dostatecznie już chyba wypoczywa, leżąc tylko w łóżku, nawet nie śpiąc.

Analizując dalej moją bezsenność, spostrzegłem, że im mniej w nocy przejmuję się niespaniem, tym szybciej usypiam i lepiej śpię. Niepotrzebne jest więc zmuszanie się do spania, bo przynosi to tylko skutek odwrotny, podobnie jak zmuszanie kogoś do jedzenia odbiera zmuszanemu apetyt. Doszedłem do wniosku, że jeśli od mojej nerwicowej bezsenności odejmę przejmowanie się nią, to przecież nic już więcej z tego problemu nie pozostanie. Psychika i organizm, niczym nie targane, bez niepotrzebnej ingerencji w sprawę nocnego wypoczynku, wrócą do swojego

normalnego rytmu i same uregulują sen, bo przecież człowiek z natury bardzo lubi spać. Do takiej też satysfakcjonującej regularności snu z czasem doszedłem.

*

Mimo że spałem już znacznie lepiej, gdyż przestałem bezsennością tak bardzo się przejmować i zajmować, to natręctwa jednak niewiele się zmniejszyły, choć zwróciłem uwagę na to, że ich liczebność jakby się ustabilizowała i nie zwiększała.

Studując zakupioną lekturę, jak i inne publikacje traktujące o nerwicach, niekiedy wyczytywałem bardzo pocieszające opinie i mniemania, że nerwica jest zupełnie niegroźnym lub nawet normalnym i wręcz niezbędnym dla prawidłowego rozwoju psychicznego zjawiskiem, które doprowadza do pozytywnej dezintegracji, a następnie do integracji wtórnej na wyższym poziomie. – Po przeczytaniu takich poglądów czasami wydawało mi się, że nerwica w ogóle przynosi więcej korzyści niż strat.

Analizując charakter i rodzaje symptomów nerwicy, wychodziło na jaw jakieś nadmierne skupianie uwagi na swoich procesach czynnościowych i fizjologicznych oraz przesadne obawy o własne zdrowie. – Ale tu także łatwo można było pomyśleć, że przecież przynosi to również dużą korzyść, bo zainteresowuje różnymi bardzo użytecznymi zagadnieniami zdrowotnymi, a przez różne dociekania i studia wielce poszerza cenną wiedzę na temat zdrowia. I chociaż to zdrowie z powodu nerwicy wcale nie jest tak zagrożone, to nabyta wiedza zawsze się przyda i będzie w życiu dobrze służyła.

Obserwując dalej nerwicę, doszedłem do wniosku, iż wielość natręctw nie tylko przynębia, ale i ma pewną zaletę, a mianowicie tę, że nie pozwala żadnemu z nich zadomowić się trwale i rozrosnąć do dużych rozmiarów, jak to czasami widywałem u niektórych osób. Byłem wszelako zdania, iż wiele z takich dominujących objawów, które u innych ludzi zauważałem, jak na przykład tik oka, czyli nerwowe mruganie powiekami, można byłoby zapewne łatwo zwalczyć. W tym ostatnim przypadku pewnie można byłoby tego dokonać, zakrywając oczy ciemnymi i dostatecznie dużymi okularami, żeby nikt tiku nie mógł dojrzeć i w ten sposób go nie wzmacniać. Jednakże może nie byłoby celowe pozbywać się takiego strapienia, do którego cierpiący na nie człowiek i otoczenie już się przyzwyczało, bo gdy nie usunie on przyczyn wywołujących nerwicę, tylko zlikwiduje ten objaw, to po jego ustąpieniu zapewne ukaże się inny, być może dokuczliwszy. Zatem należy przede wszystkim znajdować i usuwać przyczyny choroby, a nie tylko jej objawy.

Od samego początku pojawienia się nerwicy uświadamiałem sobie, że główną, choć niepierwotną jej przyczyną, jest lęk. Skąd zatem wziął się ten wezbrany lęk? – pytałem siebie i nie znajdowałem odpowiedzi. Nie znając jeszcze zasadniczych powodów występowania owego lęku, dostrzegłem, iż lęk, niepokój i objawy nerwicowe bardzo potęgują się w sytuacjach trudnych, nie znanych, w których znajduję się po raz pierwszy i nie bardzo wiem, jak zachować się lub jak postąpić. Jest to normalne. Żeby więc pomniejszyć lęk w tych sytuacjach i czuć się w nich pewniejszym, należy je poznawać, a nie unikać i stronić od nich. Trzeba poznawać świat, życie, ludzi. Mówiłem sobie, że im więcej doświadczę różnych życiowych sytuacji i lepiej je poznam, tym pewniej będę się w nich czuł, zmniejszy się lęk i żadne symptomy nie będą mi przeszkadzały.

Interesując się coraz bardziej moją nerwicą, począłem również zwracać uwagę na innych ludzi borykających się z objawami tej choroby. Owa obserwacja jeszcze bardziej pomogła mi zrozumieć tę dolegliwość, jak i uskarżających się na nią ludzi. Tak już bowiem jest, że patrząc na kogoś z boku, często lepiej widzimy ludzkie cechy, zalety i ułomności, niż egzaminując samego siebie.

Obserwując więc chorobę, siebie i inne cierpiące na tę uciążliwość osoby, dostrzegłem, że nerwica i jej objawy to nie tylko lęk, gdyż choroba ta jest potęgowana również przez inne uczucia, a także cechy charakteru i osobowości, o których już częściowo wspominałem. Chcę teraz trochę dłużej się nad nimi zastanowić, wymieniając kilka innych przyczyn, które, wydaje mi się, też nasilają lub zmniejszają nerwicowe objawy.

Jednym z bardzo istotnych czynników sprzyjających powstawaniu takich natręctw może być brak większych zainteresowań w życiu, na przykład pracą, jakimś zajęciem, pasją, nawet tylko jednym zagadnieniem, ale ważnym, wokół którego kręciłoby się całe życie, co mogłoby być jego napędem, dodawać życiu celu i sensu. Nie można stawiać przed sobą tylko celów dalekich, muszą być jakieś silne cele i zainteresowania dnia codziennego. Człowiek musi czymś się pasjonować, czymś żyć, mieć czymś istotnym zapełniony czas i uwagę, bo jeśli żyje w próżni, w jakiej ja znalazłem się na początku 1962 roku, wówczas łatwo jego uwagę mogą zająć natręctwa. Przy pełni życia, dużym, nieustannym zainteresowaniu i zaangażowaniu się w wiele ciekawych i ważnych spraw anomalie takie, gdyby nawet pojawiły się, szybko uwiędną i zanikną z powodu niezwracania na nie uwagi.

Zastanawiałem się, jak doszło do utraty moich tak licznych poprzednio zainteresowań, kiedy niezwykle zajmowały mnie różne zajęcia, otaczający świat i w ogóle bardzo ciekawe było moje życie. Wydaje mi się, iż zacząłem tracić uprzednie zainteresowania w miarę podejmowania nowych marzeń, celów i planów. Jeśli jednak chciałem bardziej uatrakcyjnić i wydzwignąć moje życie, to przecież nie powinienem dewaluować i wyrzekać się dotychczasowych zainteresowań, wartości oraz piękna w moim życiu i należało wartości te dalej rozwijać.

Medytując nad czynnikami mającymi wpływ na objawy nerwicowe, spostrzegłem, iż zawsze wielkim zainteresowaniom towarzyszą duże emocje i odwrotnie – żeby czymś bardzo się zainteresować, trzeba mieć silnie rozwinięte uczucia i emocje. Nie należy więc ich tłumić w życiu codziennym, by ich nie osłabiać i nie wygaszać. Trzeba je w kulturalny sposób uzewnętrzniać i przeżywać zawsze tam, gdzie to jest tylko możliwe, a możliwe i stosowne jest chyba o wiele częściej, niż do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Jestem pewny, że ten kto bardzo interesuje się i emocjonuje ludźmi, pracą, różnymi zajęciami, wszystkim co słyszy i widzi, co się wokół niego dzieje, na pewno nie miewa natręctw, a jeśli się zdarzają, to szybko mijają z braku uwagi dla nich.

Innym razem przychodziły mi do głowy niezbyt pocieszające myśli, że ten, kto cierpi na jakąś prawdziwą, poważną chorobę, to zapewne takich nerwicowych utrapień nie doświadcza. Wszystkie objawy zanikłyby wkrótce po ukazaniu się autentycznej dolegliwości, z powodu skupienia na niej swojej uwagi. Tak samo byłoby chyba, gdyby zmagającemu się z natręctwami przydarzyły się silne, rzeczywiste kłopoty i problemy w życiu, którymi bardzo by się przejął. Zastanawiając się nad tym dalej, pomyślałem, że różne zmartwienia i bóleczki zajmują zapewne bardzo dużo czasu w życiu ludzi i że to może stanowi najskuteczniejszą barierę przed wtargnięciem natręctw do ich uwagi i zajmowania się nimi. Analizując moje życie w okresie wybuchu i potęgowania się nerwicy, zauważyłem, że jakkolwiek znajdowałem się w tym czasie w stanie silnego przygnębienia, to jednak nie przeżywałem szczególnych zmartwień czy kłopotów dnia codziennego, na jakie to często przecież inni ludzie – z którymi rozmawiałem – narzekali.

Istotnym czynnikiem ułatwiającym powstanie nerwicy i jej objawów jest również bierność i inercja. Niedostatek energii, ruchu, chęci do podejmowania, zwłaszcza bardziej celowych wysiłków sprzyja powstawaniu natręctw. Postanowiłem zatem prowadzić aktywny tryb życia i unikać bezczynności.

*

Od dawna dostrzegałem, iż natręctwa raz już przeżyte, jeśli kiedyś jeszcze wracają, podobnie jak stary kawał nie wywołują większych emocji i najczęściej znowu zanikają. Niejednokrotnie znam już wtedy metody i sposoby postępowania, aby one mi nie szkodziły i szybciej przeminęły.

Tak samo objawy, których naturę rozwikłałem i rozszyfrowałem, oraz natręctwa, które zdołałem – ale sam – w jakiś sposób ośmieszyć lub inaczej zdewaluować, słabną i zanikają, a gdy jeszcze się pojawiają, nigdy nie wracają do swojej pierwotnej grozy i dokuczliwości, bo mam już nad nimi moją psychologiczną przewagę i nie obawiam się nich. Również uświadomienie sobie, że dany symptom nerwicy nie jest żadnym objawem chorobowym, lecz wydumany, nerwicowym, a jego niebezpieczeństwo widziane jest tylko pod wpływem występującego z jakiegoś powodu lęku – często wystarcza, aby ten objaw zanikł.

Jedną z metod osłabiania i likwidowania natręctw oraz innych objawów nerwicowych było – zgodnie z ich przekorą – nagradzanie się za ich występowanie i karanie się za nieukazywanie w chwilach, kiedy przeważnie zwykły mi dokuczać, lub za zbyt słabe ich pojawianie się. Nagrodą mogło być zafundowanie sobie czegoś, a karą wykonanie jakiejś uciążliwej pracy, z którą, na przykład, dotychczas zwlekałem. Takie postawienie sprawy powodowało, iż tych anomalii mniej się wtedy obawiałem (bo przecież miałem pewne korzyści, kiedy one występowały) i dlatego, w rezultacie, one słabły i rzadziej się pojawiały.

Obserwując dalej tę chorobę, zrozumiałem, iż chory będzie miał większą nerwicę danego narządu, jeśli będzie lękał się, że może ona go uszkodzić lub nadwerężyć, a mniejszą, kiedy będzie uważał, iż nerwica niczemu nie zaszkodzi lub jeszcze wzmocni atakowany organ. Zorientowanie się, że jakiś objaw faktycznie przynosi więcej pożytku niż strat – co może wszak niejednokrotnie się zdarzać – doprowadza do silnego uspokojenia chorego, zaniku lęku i rychłego ustąpienia objawu, gdyż ich istotą jest obawa destrukcji, uszkodzenia, przynoszenia nieszczęścia, a nie przysparzania jakichś korzyści. Również takie, korzystne, postrzeganie nie tylko objawów, ale i całej nerwicy, może bardzo uspokoić chorego i doprowadzić do znacznego zelżenia choroby.

Należy zawsze pamiętać, że przeżywane przykrości z powodu różnych objawów nerwicowych mogą przemienić się w radość z życia, a przynajmniej może tak się stać przy odpowiednim postępowaniu. Nerwica bowiem może być siłą napędową, powstałą ze skumulowanych przykrych przeżyć i emocji, doprowadzającą do wielu pozytywnych zmian w życiu chorego – do pozytywnych działań, dokonań i osiągnięć. Uskarżający się na nerwicę nie powinien tracić tego ładunku emocji i energii na jakieś działania nie przemyślane i nie polepszające jego sytuacji, jak np. na podejmowanie bezcelowych lub nierealnych, bezpłodnych, szkodliwych czy nawet agresywnych poczynań, tylko winien przystąpić do działania celowego, a przede wszystkim do uregulowania swoich istotnych spraw i problemów, jak również do wszystkiego, co z dużym pożytkiem może zrealizować. Postępowanie takie bardzo poprawi sytuację cierpiącego na nerwicę, doda poczucia wartości i pewności siebie, które to cechy są bardzo potrzebne w leczeniu tych dolegliwości. A ponadto nerwica, postrzegana jako siła motoryczna powstawania wielu takich użytecznych inicjatyw oraz wypływających stąd korzyści, przestaje już tak bardzo niepokoić i w konsekwencji słabnie i zanika.

Spostrzegłem, że każde natręctwo dokucza najwięcej dopóki jest czymś nowym, jeszcze nie poznanym, lecz najczęściej bardzo słabnie lub w ogóle zanika z chwilą, gdy zaczynam przyzwyczajać się do niego, kiedy przestaję się nim zajmować i przejmować.

Wydaje się oczywiste, że im lepiej potrafi ktoś znosić różne życiowe przeciwności i bardziej odporny jest na wszelkie niewygody i cierpienia, tym lżej przeżywa nerwicowe objawy, jeśli w ogóle u niego takowe się pojawiają.

Zauważyłem, że w doskonałym humorze i nastroju objawy przestają wydawać się groźne, zmniejszają się i giną. Humor, podobnie jak i pewność siebie, jest także przeciwieństwem lęku i dlatego zarówno przy dużej pewności siebie, jak i przy dobrym samopoczuciu i nastroju natręctwa mniej się pojawiają.

Jest pewne, że dla lepszej skuteczności leczenia nie należy pić jakichkolwiek alkoholi lub zażywać narkotyków, bo one bardzo rozregulowują psychikę i leczenie. Kawa i papierosy to są też narkotyki. Ale piłem herbatę, często ziołową.

Chyba niewiele interesowano się moimi objawami, zwłaszcza gdy już je znano lub kiedy ja sam nic sobie z nich nie robiłem. Niejednokrotnie wyjaśniałem moim znajomym, iż natręctwa nie są przejawem jakiejś ciężkiej choroby, lecz tylko objawami nerwicowymi i nie są niczym poważnym, co wtedy jeszcze bardziej zmniejszało ich zainteresowanie. Najczęściej starałem się przebywać z ludźmi, wśród których dobrze się czułem, którzy moje objawy znali i one nie przeszkadzały im ani ich wiele nie interesowały. Wtedy bowiem z reguły one malały.

Wiele nerwicowych symptomów udawało mi się przed otoczeniem, jeśli nie całkiem to chociaż częściowo, ukryć. W takim przypadku objawy te, nie podsycane dodatkowymi deprymującymi i wzmagającymi je sytuacjami, przeważnie szybko zanikały. Kiedy nie można było lub nie było celu ich ukrywać, wówczas starałem się je bagatelizować, co także poprawiało mój nastrój, zmniejszało lęk i natręctwa. Oczywiście, jeśli ktoś ma napady nerwicowego kaszlu albo kichania, nie powinien zapomnieć o chusteczce – kulturalnie osłonięte, na pewno szybciej przeminą.

Nerwicowe objawy mniej mi dokuczały, gdy byłem sam w moim pokoju, gdzie pewnie się czułem, jednak w towarzystwie grających ze mną w karty kolegów, a często wśród innych osób i w innych sytuacjach owe anomalie także nie występowały lub pojawiały się rzadziej, niż kiedy byłem sam w domu. Nie miało więc sensu ciągle przesiadywanie samemu w swoim pokoju, jeżeli wiele natręctw nie pojawiało się lub ukazywało się mniej, gdy byłem wśród ludzi.

Niestety, wskutek nieszczęśliwego splotu okoliczności znalazłem się później w kręgu znajomości pewnej niecnej osoby, która mnie denerwowała, a czasami szantażowała, żeby osiągnąć swoje cele i korzyści, i doprowadzała niekiedy do oburzenia i zbędnych słów. Choć trzeba tu od razu zauważyć, że inne objawy wówczas zanikały, jeśli jakieś w tym czasie były i były mniej uciążliwe od tego mojego denerwowania się. Bo zawsze słabsze objawy lub przejmowania się czymś zanikają lub zmniejszają się i schodzą na dalszy plan, gdy bardziej dokuczliwe się pojawiają. Przykre dokuczliwe objawy (lub przejmowanie się jakimś nieszczęściem) mogą być wyrugowane nie tylko przez jeszcze cięższe objawy i nieszczęścia, ale i przez uczucie jakiegoś doznanego dużego szczęścia, dopóki do tego szczęścia się nie przyzwyczaimy i ono nie zaniknie lub osłabnie.

Niekiedy zdarzają się tacy ludzie, z reguły też znerwicowani, a czasem może to być bardzo wścibska lub na siłę ucząca dobrych manier osoba, która dokładnie wie i przy każdej okazji powie, ile razy możesz np. kichnąć (jeśli w ogóle ci wolno) lub czknać, chrząknąć, zakasłać czy pójść do toalety. Nie należy jednak zwracać uwagi, jeśli ktoś częściej musi przykładowo wyjść do toalety, albo dziecka czymś straszyć, że np. pójdzie do szpitala, jeśli któregoś dnia kupki nie zrobi. Bowiem w chwilach małej odporności psychicznej czy lękliwego stanu może to zapoczątkować u upominanego nerwicowe, częste kichanie, czkawkę, chrząkanie, kasłanie albo biegunkę, a dziecko ze strachu, że pójdzie do szpitala, może popaść w jakieś uporczywe zaparcia. Podobnie – zwracanie komuś uwagi, że za dużo je – może prowadzić do nienasyconego obżarstwa, a częste grożenie dziecku, że np. dostanie

lanie, jeżeli czegoś nie zje, może wywołać chroniczny brak łaknienia. Oczywiście, że czasami trzeba w podobnych przypadkach zwrócić komuś uwagę, pouczyć, udzielić swoich porad, ale należy robić to w sposób umiejętny, z psychologicznym wyczuciem, i patrzeć, jakie to przynosi skutki. Czy przypadkiem nie dzieje się coś właśnie odwrotnego od tego, co się komuś doradza, i nie wpędza się go w jakąś patologię. Zwykle takim znerwicowanym, którzy „za dużo” lub „za mało” czegoś robią, nie ma potrzeby tego wypominać, gdyż oni sami dobrze o tym wiedzą i aż nazbyt tym się przejmują, z czego właśnie często wynikają takie paradoksalne skutki.

Nadal zastanawiając się nad naturą natręctw i możliwościami pozbywania się ich, dochodziłem do wielu następnym ciekawych spostrzeżeń i sposobów likwidowania objawów. Zauważyłem, iż licznym natręctwom udaje się zaradzić w sposób „techniczny”. Na przykład można zapobiec uciążliwej niepewności, czy zażyłem tabletkę o wyznaczonej godzinie, pozostawiając jeszcze przez pewien czas na wierzchu opakowanie z tym lekarstwem. W różny „techniczny” sposób począłem sobie radzić z wieloma innymi natręctwami.

Odkryłem, iż niektóre z postrzeganych przeze mnie „objawów” nie były żadnymi chorobowymi anomaliami, tylko normalnymi wegetatywnymi przejawami, z którymi niepotrzebnie podjąłem walkę, może wyłącznie dlatego, że mi się nie podobały.

Spostrzegłem też, iż dużo „objawów” było wynikiem li tylko mojego niedbalstwa i braku chęci wykonania czegoś poprawnie. Przykładowo, mylenie się przy pisaniu było chyba tylko niedostatkiem staranności i uwagi, bo kiedy pisząc, czy też robiąc coś innego, dobrze do wykonywanej czynności przykładałem się oraz uważałem i nie błądziłem w tym czasie myślami gdzie indziej, to się nie myliłem. Również łatwe denerwowanie się nie było żadnym nerwicowym przymusem, tylko zwykłym popuszczaniem sobie wodzy. Wiele też objawów, które uważałem za nerwicowe, gdy chciałem, często udawało mi się powstrzymać. Wszystkie te „symptomy” w czasie pojawienia się i rozwijania nerwicy wrzuciłem do wspólnego „kosza” z objawami i bez większego zastanowienia uznałem za natrętne i niepohamowane. Do tego można dodać jeszcze moją obawę, iż miałem nadkwasotę żołądka, która po dokładnych badaniach okazała się akurat niedokwasotą żołądka, czym już tak mocno się nie przejmowałem.

Na właściwe funkcjonowanie naszego umysłu na pewno duży wpływ ma prawidłowe odżywianie się, zapewniające pełny zestaw witamin, mikroelementów i pozostałych niezbędnych składników pokarmowych.

Po początkowym braku poprawy, jaka winna była nastąpić w wyniku pobierania lekarstw, oraz ogólnej niechęci do zażywania tabletek, ten rodzaj leczenia zacząłem traktować po macoszemu, lecz potem, poszukując wszelkich możliwych sposobów pozbycia się nerwicy, do moich pigułek powróciłem. Żeby bardziej skutecznie ich działanie, postanowiłem pobierać je codziennie, dokładnie w ilościach przepisanych przez lekarza i regularnie o przypadających godzinach ich zażywania. Wydaje mi się właśnie, że nie tylko moja autopsychoterapia i w ślad za nią następujące zmiany w moim życiu, ale przynajmniej początkowo również i leki przyczyniły się do dużej poprawy mojego samopoczucia i znacznego zmniejszenia się objawów nerwicowych. Kiedy jednak nerwica mniej mi dokuczała, większą uwagę przykładałem do psychoterapii i różnych zmian w życiu i postępowaniu.

*

Po przeanalizowaniu mojej nerwicy i okoliczności, które do niej doprowadziły, było ewidentne, iż droga do wyzdrowienia prowadzi przez pracę i zwiększenie wszelkiej pozytywnej aktywności życiowej. Potrzebny mi był o wiele szybszy, niż prowadziłem, tryb życia. Należało tę próżnię fizyczną i psychiczną, jaka powstała w wyniku mojego przygnębienia i beczynności i którą zapełniły natręctwa, wypełnić teraz życiem,

dawnymi oraz nowymi zainteresowaniami i poczynaniami. Byłem zdania, iż przykucie uwagi do ciekawych i porywających zajęć spowoduje odwrócenie jej od natręctw i w konsekwencji doprowadzi do ich zaniku.

Doszedłem do wniosku, że błędem byłoby zwlekać z przystąpieniem do tego działania do chwili, aż pozbędę się nerwicy, jak to początkowo uważałem, bo w rzeczywistości byłoby to tylko wybiegiem, aby dalej nic istotnego nie robić. Należało przystąpić do intensywniejszego i twórczego życia już teraz, nie uzależniając niczego od choroby, i w ten sposób właśnie zmusić ją do szybszej kapitulacji. Powiedziałem sobie, iż można wszystko robić jeszcze w czasie trwania nerwicy, ale koniecznie trzeba zacząć coś czynić. Na początek choćby tylko to, co uważam, że mogę robić i w czym nerwica nie przeszkodzi. Potem – rozumowałem – będę mógł poszerzać zakres wykonywanych czynności i być może w tym rozpędzie będę mógł robić wszystko, także to, co teraz wydaje mi się zupełnie niemożliwe, chociaż musiałem tu zauważyć, iż w rzeczywistości to nerwica przecież w niczym mi jeszcze tak bardzo nie przeszkodziła.

Aby osiągnąć pełnię życia, postanowiłem zaprzestać działać i poświęcać się tylko dla przyszłości, celom odległym, niepewnym i niezbyt sprecyzowanym. Trzeba było również znaleźć jakieś cele bliskie, codzienne, dzisiejsze. Zdecydowałem żyć jak najciekawiej już teraz, nie czekając na to „wielkie życie” w przyszłości. Zrobiłem dla niego już wiele, więc czas najwyższy było pomyśleć o bardziej ciekawym życiu także w chwili obecnej.

Ta myśl zapoczątkowania nowej, interesującej egzystencji bardzo mnie zachwyciła i porwała. Byłem prawie pewny, że owa zmiana wyprowadzi mnie nie tylko z ówczesnego zastoju, ale również z nerwicy.

Zdawałem sobie sprawę, że – aby tego dokonać – trzeba wyjść do ludzi, szukać kontaktów i ułożyć z nimi lepsze współzycie. Bez ludzi nie można realizować pełni życia. A bardzo istotne jest jeszcze i to, że ludzie mają szczególną zdolność zajmowania nas i przykuwania do siebie naszej uwagi poprzez słowa, zachowanie oraz wiele innych oddziaływań, a zatem odrywania jej od ewentualnych natręctw.

Byłem zdania, że do stworzenia ciekawego życia wcale nie potrzeba dużo pieniędzy. Przecież są one dla człowieka stosunkowo czymś nowym – zauważałem – niezupełnie naturalnym, przeto do szczęścia, zdrowia i zadowolenia z życia nie najważniejsze.

Przystępując do działań, pomyślałem najpierw o sporcie. Postanowiłem, iż każdego dnia będę biegał przez pół godziny dla zdrowia. Bardzo spodobał mi się ten relaks i wkrótce znacznie go przedłużyłem, maszerując i biegając najczęściej pięknym i nie rozmytym jeszcze jak obecnie nadmorskim szlakiem z Sopotu do Orłowa i z powrotem. Od czasu do czasu zatrzymywałem się dla wypoczynku i przeprowadzenia krótkich ćwiczeń i gimnastyki. Po pierwszych dniach tego treningu, uprawianego początkowo jakby z obowiązku, rychło przemienił się on w silną jego potrzebę i brak, gdy któregoś dnia z jakichś powodów nie mogłem dopełnić tej przyjemności.

Rano, po wstaniu z łóżka, także przeprowadzałem kilku- lub kilkunastominutową gimnastykę przy otwartym oknie, niekiedy według komend podawanych przez prowadzącego ćwiczenia spikera i w rytm muzyki w radiu. Latem dużo pływałem w morzu lub w pobliskich jeziorach, a zimą zjeżdżałem na nartach z Łysej Góry w Sopocie. Nie miałem sposobności dołączenia się do jakiejś drużyny, choć próbowałem, żeby pograć w piłkę nożną, za to często chodziłem na mecze futbolowe. Wznowiłem też moje spacerunki i przejażdżki różnymi środkami lokomocji po Trójmieście i dalszych okolicach.

Wyciągnąłem z lamusa mój aparat fotograficzny i robiłem zdjęcia. Bardzo marzyłem o kamerze filmowej, ale tę kupiłem dopiero kilka lat później, kiedy to

robienie zdjęć, sklejanie taśmy i wyświetlanie filmów w moim pokoju lub w Amatorskim Klubie Filmowym w Gdyni oraz uczestniczenie w amatorskich konkursach filmowych zajmowało i uprzyjemniało mi dużo spędzanego w ten sposób czasu. To filmowanie i robienie filmów było jedną z największych i najpiękniejszych pasji w moim życiu, którą uskuteczniałem przez wiele kolejnych lat.

Odszukałem moje znaczki pocztowe i monety, które zbierałem kiedyś w latach szkolnych, i chodziłem na spotkania filatelistów i numizmatyków, gdzie również bardzo cenne było to, że poznawałem dużo ciekawych ludzi. Zająłem się też kolekcjonowaniem starych przedmiotów domowego użytku i innych drobiazgów.

Ponieważ nie udało mi się otrzymać pracy w wyuczonej i bardzo interesującej mnie specjalności, to jest w handlu zagranicznym albo w transporcie morskim, co wtedy studiowałem, przeto przyszło mi na myśl, żeby uruchomić jakąś prywatną inicjatywę. Praca dla siebie byłaby psychologicznie nawet jeszcze bardziej interesująca i angażująca niż praca w ciekawym biurze, lecz niezbyt wiedziałem, co mogę przedsięwziąć w moich warunkach, mając tak mało pieniędzy. Byłem mimo wszystko zdania, iż w każdych warunkach można coś przedsięwziąć i miałem już pewne pomysły i plany. Jednakże na początku czerwca 1962 roku udało mi się uzyskać dość popłatną i ciekawą pracę w Port-Servisie w Gdańsku i w Gdyni, jakkolwiek nie na stałe, tylko na zlecenie, i o moich planach z czasem zapomniałem. Pracowałem tam jako wachtman na zagranicznych statkach poza godzinami urzędowania i w czasie urlopu w spółdzielni. Począłem w ten sposób dorabiać sobie trochę pieniędzy, za które kupiłem później stary, mocno zdezelowany już motocykl. Nader ciekawa była teoretyczna oraz praktyczna nauka jazdy i końcowy egzamin. Po jego zdaniu niezwykle pasjonowały mnie przejażdżki po bliższych i dalszych okolicach Trójmiasta oraz całego Pojezierza Kaszubskiego. Bardzo zajmowały mnie także częste naprawy motoru. Miałem również swój wielki, autentyczny, odrywający od natręctw kłopot (jakich to kłopotów przedtem było chyba mi brak), gdyż bałem się, żeby mi ktoś motocykla nie uszkodził albo nie skradł, ponieważ parkowałem go przed domem, przykrywając jedynie plandeką.

Zaprzestałem prawie grać w karty (później w ogóle gry zaniechałem), bo nie były mi one już tak bardzo potrzebne. Poznałem bowiem jesienią wspaniałą i niezwykle interesującą dziewczynę, Monikę, z którą, poza pracą i opisanymi zajęciami, spędzałem dużo czasu, nadzwyczaj mile i o wiele użyteczniej niż przy karcianej zabawie. Ona często uczyła mnie praktycznego postępowania i wiele cennych życiowych porad właśnie od niej usłyszałem.

*

Przeglądając psychiatryczną lekturę, ciągle szukałem wyjaśnienia przyczyn powstania tego podwyższonego poziomu lęku, który był jednym z głównych sprawców pojawienia się moich objawów nerwicowych. Dopiero znacznie później wyczytałem, że taki lęk może występować z powodu wrażliwej osobowości i oddziaływujących na nią konfliktowych bodźców i innych urazów psychicznych, co też sam od początku zauważałem. Teraz dowiedziałem się jeszcze, że takie bodźce i urazy często mogą zaistnieć w wyniku niewłaściwego współżycia z ludźmi; niezaspokajania istotnych potrzeb biologicznych, społecznych i psychologicznych, niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania organizmu i życia człowieka; a także podejmowania nierealnych, kompensacyjnych celów i zamierzeń, których, mimo usilnych prób i wysiłków, nie można zrealizować. Takimi urazami mogą być różne niepomysłne czy nieszczęśliwe, stresujące i frustracyjne przeżycia i zdarzenia. Oddziaływanie ich na wrażliwą osobowość może być jeszcze potęgowane różnymi niedyspozycjami psychicznymi i fizycznymi i innymi czynnikami.

Nieumiejętność, a czasem niechęć rozwiązywania swoich konfliktów, problemów i zadań oraz podejmowania należnych działań i sprostanie swoim potrzebom często prowadzi do ich zaniechania i wypierania ze swojej uwagi i zainteresowań, a nawet do wyparcia ze swojej świadomości. Jednakże wyparcie to nie powoduje usunięcia tych problemów ze swojej rzeczywistości i z dalszego istnienia ich w swojej podświadomości, a tam samym nie zapobiega dalszemu wywoływaniu przez nie napięć psychicznych, lęku i innych przykrych uczuć.

Nie rozwiązane problemy, uświadamiane, jak i będące już tylko w podświadomości, prowadzą do nagromadzenia się lęku oraz innych negatywnych uczuć i emocji.

W czasie takiego wezbranego lęku zwykle i normalne przejawy wegetatywne i fizjologiczne, które wtedy bardziej się uzewnętrzniają, zaczynają wydawać się – zwłaszcza przy wrażliwej oraz rygorystycznej i dążącej do doskonałości osobowości – groźne i nienormalne, co prowadzi do ich odrzucenia i usilnego zwalczania, a przez to do ich znerwicowania. Do tego dochodzi jeszcze obawa o swoje zdrowie, silna obawa ośmieszenia i odrzucenia oraz zautomatyzowanie tego procesu. Przynajmniej ja dostrzegałem taki mechanizm powstawania i działania nerwicy.

Choć od dawna zauważałem, jak wielkie znaczenie ma właściwe współzycie z ludźmi, to jednak mocno zdziwiłem się, kiedy wyczytałem, że złe relacje interpersonalne mogą być tak ważną przyczyną występowania stanów lękowych, nerwicy i jej objawów. Nie sądziłem, iż w chwili pojawienia się u mnie tej choroby moje kontakty z ludźmi były aż tak bardzo złe. Ale nie były też one najlepsze. Wszelako, jakby to dostrzegając, a pragnąc w celu pozbycia się nerwicy wyprostować i uregulować w moim życiu wszystko, co było możliwe, przeto i moje relacje interpersonalne bardzo wówczas poprawiłem. Przede wszystkim poznałem dużo nowych i ciekawych kolegów na studiach, w różnych klubach i na opisywanych spotkaniach; poznałem także dziewczynę i ze wszystkimi utrzymywałem dobre i interesujące znajomości.

Z przeczytanej lektury dowiedziałem się, że istotne znaczenie dla dobrego współzycia z ludźmi ma właściwe pełnienie ról społecznych, przykładowo: małżonka, ojca, dziecka, ucznia, przyjaciela, szefa, pracownika itd. i że korzystanie z ich przywilejów winno równać się wkładanym w nie obowiązkom.

Cierpiący na nerwicę często wchodzą w rolę chorego lub w rolę dziecka i w ten sposób usiłują uniknąć trudniejszych, bardziej pracochłonnych i odpowiedzialnych obowiązków. Koniecznie więc trzeba z tego zrezygnować, aby móc wyleczyć się z nerwicy. Trzeba wziąć odpowiedzialność za swoją egzystencję, być rzetelnym i współpracować z ludźmi. Należy podjąć normalne życie, by nie utrudniać go innym i nie doprowadzać do wzajemnych konfliktów i pojawienia się lęku oraz innych przykrych uczuć, mogących wywołać zaburzenia nerwicowe.

*

Jesienią 1962 roku nastąpiło znaczne osłabienie i zanik symptomów nerwicowych. Z kilkudziesięciu objawów, jakich latem naliczyłem, ich liczba spadła do kilku, lecz i one nie wydawały się już groźne ani zbyt dokuczliwe. Utrzymujące się jeszcze natręctwa mocno już spowszedniały, a ponadto wiedziałem teraz, jak z nimi postępować, aby nie były bardzo uciążliwe.

Warto tu przy okazji wspomnieć o szczególnej sytuacji politycznej na świecie, jaka w tym czasie zaistniała i która może też miała wpływ na pozbycie się, a właściwie na zapomnienie o moich natręctwach. Przy końcu października 1962 roku miał bowiem miejsce groźny kryzys polityczny, tzw. „kryzys kubański”, kiedy to świat znalazł się na krawędzi wojny. Słuchałem wówczas całymi dniami radia we wszystkich znanych mi czterech językach, tj. polskim, francuskim, angielskim i

rosyjskim. Tak się tą sytuacją wtedy zaabsorbowałem, że prawie całkowicie zapomniałem o moich natręctwach na kilka czy kilkanaście dni, iż nawet grymasy przestały się pojawiać (niektórzy później mówili, że ja pewnie w ogóle je tylko sobie wymyśliłem). Za to od tego czasu zacząłem bardzo zwracać uwagę nie tylko na to, co się we mnie dzieje, ale również i na świat zewnętrzny, gdyż następny podobny kryzys mógłby przynieść tyle nieszczęść, wobec których moje chwile z objawami byłyby najszcześniejszym rajem.

Żeby ów stan, który wypracowałem, mógł utrzymać i możliwie go jeszcze poprawić, wybrałem się w styczniu następnego roku z prywatną wizytą do profesora Tadeusza Bilikiewicza, zamieszkałego w pobliżu Akademii Medycznej w Gdańsku. Profesor dokładnie mnie wysłuchał, a następnie pochwalił i pocieszył, bym nie obawiał się tu jakiejś choroby psychicznej, bo chorzy psychicznie sami do psychiatry nie przychodzą lub zdarza się to bardzo rzadko. Dzieje się tak dlatego, że sami nie dostrzegają u siebie choroby i raczej posądzają o nią wszystkich innych ludzi dookoła. Nie podejmują też leczenia, a przywołani do niego – nie chcą się leczyć. Rozmawiając ze mną, zadał mi wiele różnych pytań, a między innymi to, czy jestem żonaty albo czy znam jakąś dziewczynę. Z wielką przyjemnością usłyszałem, iż bardzo potwierdzające moje zdrowie jest to, że się przyjaźnię z Moniką. Następnie profesor zbadał mnie, osłuchał, młoteczką opukał, a gdy żadnych zmian somatycznych się nie dopatrył, nazwał moje dolegliwości nerwicą natręctw. Dla lepszego rozpoznania tej choroby i zastosowania bardziej skutecznych metod kuracji zaproponował leczenie w Klinice Psychiatrycznej w Akademii Medycznej w Gdańsku.

Ta perspektywa jeszcze lepszego wyleczenia z nerwicy bardzo mnie zainteresowała, więc zgodziłem się na tę kurację w klinice. Było wiele motywów, abym na to przystał. Mimo że prawie pokonałem już tę chorobę, wcale nie byłem pewny, czy wszystko definitywnie minęło i czy więcej ona nie wróci. Chciałem przeto bardziej utwierdzić ten stan, który przecież w szpitalu mogłem jeszcze poprawić. Chętnie zdecydowałem się pójść do kliniki, żeby czegoś więcej się dowiedzieć na temat takich dolegliwości; coś nowego zobaczyć, zauważyć, zrozumieć. Chciałem osobiście przekonać się, jak to jest w tych psychiatrycznych szpitalach, o których słyszałem tyle ciekawych i niezwykłych opowieści.

Do kliniki zgłosiłem się w połowie lutego, a gdy wszedłem do środka, znalazłem się w długim korytarzu. Po jego prawej stronie, za pokojami lekarskimi, znajdowały się dwie sale chorych. Jedna na osiem łóżek, druga na piętnaście. Mnie ulokowano w tym mniejszym pomieszczeniu. Po lewej stronie holu były okna. Na początku korytarza, przed drzwiami wejściowymi, było usytuowanych kilka mniejszych sal i izolatek do terapii pacjentów z cięższymi dolegliwościami psychicznymi, jak również i chorych na raka, bowiem profesor Bilikiewicz niektórymi medykamentami stosowanymi w psychiatrii próbował także leczyć nowotwory.

Po ogólnych badaniach zaczęto aplikować mi słynne w tej klinice śpiączki atropinowe, jako dobry sposób na leczenie nerwicy natręctw (czyli nerwicy przymusu), których w sumie przeszedłem dziesięć. Jeśli dobrze pamiętam, usypiano mnie na trzy godziny dwa razy w tygodniu.

Poza tym czas przeważnie spędzałem na rozmowach z pacjentami, uczeniu się z notatek i podręczników uczelnianych, czytaniu prasy oraz graniu w brydża. Niekiedy w pokoju lekarskim pomagałem bardzo sympatycznej, niewiele starszej ode mnie pani doktor S. w nauce języka francuskiego. Czasami miał w klinice dyżur doktor L., któremu asystowałem w tłumaczeniu różnych publikacji psychiatrycznych, wydawanych w języku angielskim. Z lekarzem tym nawet bardzo się zaprzyjaźniłem i czytaliśmy te wydawnictwa jeszcze przez pewien czas po moim wypisaniu się z kliniki, w jego mieszkaniu we Wrzeszczu.

W szpitalu niezawodnie, co tydzień, odwiedzała mnie Monika, z którą po opuszczeniu kliniki spotykałem się jeszcze bardzo długo. Była to niezwykle miła, wspaniała i mądra dziewczyna. Poznałem ją już po częściowym zelżeniu moich objawów. Mówiła, że nie zauważa u mnie żadnej nerwicy. Bardzo przyczyniła się do mojego zdrowia i szczęścia w życiu, a jako że nie będzie potem sposobności, aby o niej napisać, więc nieco powspominam o Monice teraz. Może to nie jest akurat najważniejszy moment, aby o niej pisać, ale przecież, jak powiedział lekarz, relacje z płcią odmienną mają duże znaczenie dla psychicznego zdrowia i leczenia zaburzeń nerwicowych. Ponadto, z chwili wytchnienia od tej psychologicznej lektury Czytelniczy będą pewnie też zadowoleni.

Otóż była to bardzo piękna i miła dziewczyna. Mieszkała u swojej ciotki w Gdyni Orłowie, a pochodziła z Tarnowa. Dużo rozmawialiśmy na wszelkie tematy, cieszyliśmy się życiem i zachwycaliśmy się pięknymi widokami, spacerując po orłowskich polach i lasach, wzgórzach i dolinach, nad morzem i po orłowskim moło. Nie mieliśmy warunków, aby się pobrać, bo oboje zarabialiśmy niewiele, a poza tym ja nie bardzo wyobrażałem sobie zamieszkania w jakimś wynajętym u kogoś pokoju. U jej ciotki nie było ku temu możliwości. Akurat podjąłem starania, żeby przystąpić do spółdzielni mieszkaniowej w Gdyni, licząc na pomoc finansową mojego zakładu pracy, i dopiero po otrzymaniu mieszkania, za kilka lat, widziałem warunki, aby się ożenić. Na razie – tak jak było i sądząc, że zawsze tak będzie – miło upływał nam czas na wspomnianych spacerach, u niej w mieszkaniu, niekiedy w kawiarni, teatrze lub w kinie. Przebywając raz w kawiarni „Liliput” w Gdyni, zauważyliśmy cudzoziemca, który po napisaniu kilku widokówek przy swoim stoliku pytał kogoś siedzącego obok o urząd pocztowy. Ponieważ rozmowa nie bardzo im szła, więc podszedłem do niego i mu wytłumaczyłem. Przeprowadziłem z nim jeszcze krótki dialog, w wyniku którego przesiadł się on do naszego stolika. Byliśmy z Moniką zachwyceni rozmową z naszym gościem. Pochodził z Trynidadu, a mieszkał w Nowym Jorku. Znał język angielski i hiszpański. Był przystojnym, kruczowłosym, o śniadej cerze wysokim mężczyzną. W czasie rozmowy wyznał, iż wypłynął statkiem w morze, żeby zwiedzić świat i poznać sobie piękną dziewczynę. Powstała trochę niezręczna, choć bardzo ekscytująca i intrygująca sytuacja. Monika nagle zaczęła interesować się Nowym Jorkiem i marzyć o Ameryce. Może po godzinnej takiej rozmowie poznany cudzoziemiec wypisał nam na kartce z notesu swoje nazwisko, imię i gdzie mieszka i wziął nasze adresy. Po kilku miesiącach przysłał do Moniki list, którego ja zostałem tłumaczem. Po następnych miesiącach korespondencji i przyjazdów do Gdyni (już bez mojego udziału, bo ciotka Moniki znalazła kogoś w rodzinie, kto znał język angielski) – pobrali się. Monika wyrobiła sobie paszport i wyjechała do Nowego Jorku. Może po pół roku przysłała do mnie list z Ameryki, ale ja już nie mieszkalem w poprzednio wynajmowanym pokoju, więc gospodyni korespondencji nie przyjęła i list poszedł z powrotem. Dowiedziałem się o nim później, gdy raz moją byłą gospodynię odwiedziłem.

Chociaż nigdy więcej już jej nie widziałem, to przecież jak wielkie szczęście miałem, że prawie przez dwa lata znałem tak wspaniałą dziewczynę. Czasami koilem później mój żal tym, że była dla mnie trochę za wysoka. Od tej pory już więcej przebywałem z dziewczynami, a czas upływał bardziej ciekawie. Bywały interesujące i miłe chwile, niekiedy jakieś rozterki, ale zawsze było ciekawie i wobec takiego zwiększonego jeszcze zainteresowania się wszelkimi życiowymi sprawami zapominałem o objawach i one zanikały.

Na sali obok mnie leżał znany profesor z Politechniki Gdańskiej, z którym często, siedząc w swoich łózkach, grywaliśmy w brydża w dwójkę, w bardzo pomysłowy sposób, w jaki on mnie wprowadził. Przeważnie jednak graliśmy w tę grę w czwórkę

na korytarzu, gdzie zwykle jeszcze wielu pacjentów nam kibicowało. Nie wiem, na jaką dolegliwość cierpiał zajmujący sąsiednie łóżko profesor, ale ze sposobu bycia, zachowania i stosunku do ludzi był to chyba najsympatyczniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem.

Poznawałem wielu bardzo ciekawych pacjentów w obu salach, a najbardziej interesowali mnie uskarżający się na różne nerwice. Był wśród nich nauczyciel, kierownik szkoły, który narzekał na swoje zbyt szybkie rozczulanie się, co szczególnie żenowało go w czasie jego przemówień, zwłaszcza na zakończenie roku szkolnego. Po kilku wypowiedzianych wtedy słowach zaczynał płakać z rozrzewnienia, co udzielało się uczniom oraz przybyłym na tę uroczystość rodzicom. Było to dziwne i niezwykle, bo miast cieszyć się z zakończenia roku szkolnego, otrzymanych promocji do następnej klasy i nadchodzących wakacji – wszyscy płakali.

Starszy pan z naszej sali skarżył się i niepokoił swoim wysokim ciśnieniem, a im częściej je mierzył i więcej nim się przejmował, tym bardziej ono rośło. Szczególnie obawiał się wylewu krwi do mózgu z powodu tego ciśnienia, a że myślał o tych sprawach w sposób chyba uproszczony, toteż nic dziwnego, iż sam nawet się zdumiewał, że ten wylew przez tak wiele lat jego nadciśnienia jakoś nie nastąpił. Przyznałem mu rację, gdy powiedział, że się leczy na to i że już od dawna zarzucił palenie tytoniu i picie alkoholu, bo one nie tylko podwyższają ciśnienie, ale i osłabiają naczynia krwionośne, co pewnie o wiele częściej decyduje o wylewie krwi niż wysokie ciśnienie.

Rozmawiałem czasami z młodym mężczyzną chorym na schizofrenię, który prawie uważał się za admirała floty wojennej USA. Mimo żelaznej kurtyny chyba wszystko o niej wiedział i wypowiadał na jej temat takie różne zadziwiające fakty, spostrzeżenia i pomysły, że jak po trzydziestu latach dla humoru opowiedziałem o tym jednemu Amerykaninowi, ten, miast się śmiać, potraktował sprawę bardzo poważnie. Powiedział, że gdyby udało się ustalić, kto to był i gdzie teraz mieszka, to może poproszono by go, aby napisał na ten temat krótką rozprawę, która mogłaby być o wiele bardziej ciekawa, odkrywczą i pomysłową niż niejedna taka praca doktorska, choć może większość tego, co by napisał, byłoby nazbyt oryginalne i mniej interesujące.

Chorzy, przejawiający depresję, kiedy zauważyli, iż próbuję ich pocieszyć, często do mnie przychodzili i prosili o krótką, poufną rozmowę na korytarzu, gdzie zwierzali się ze swoich urojonych problemów. Domagali się wyjaśnienia spraw i kłopotów, w jakie w swych rozmyślaniach znowu się uwikłali, oczekując rady i pocieszenia. Zauważyłem tu, iż pacjentom cierpiącym na depresję, lub też na urojenia czy omamy, jest szczególnie trudno dać sobie samemu rady ze swoją chorobą i winni być leczeni przez odpowiednich lekarzy. Może nie zawsze ci chorzy są chętni do podjęcia takiego leczenia, ale jest to konieczne, bo nie tylko oni sami się zadręczają, lecz ich bliscy i otoczenie często mają kłopoty i nie wiedzą, jak można im pomóc. Trzeba więc robić wszystko, aby ich leczyć i jak najwięcej wyleczyć z ich dolegliwości.

Powracając do chorych, cierpiących na różne nerwice, to poznałem pacjenta leczącego się na neurastenię, który cenił tylko piękno i intelekt. Z jego wypowiedzi można było sądzić, iż wcale do życia nie potrzebuje warzyw, owoców – białka, witamin; wystarczą mu tylko idee i abstrakcje. Wszystkich krytykował za przyziemność, pospolitość, pazerność. Często był jakiś zmęczony, wyczerpany i rozdrażniony. Kiedyś miał wielkie pretensje do dziewczyny, która po wysłuchaniu relacji z ostatnio obejrzanego przez niego widowiska estradowego, miast należycie

zachwycić się pięknem tego przedstawienia, zarzuciła mu, iż przyszedł do niej z wizytą w nie wyczyszczonych butach i wymiętoszonym krawacie.

Niektórzy pacjenci byli z kolei wielkimi pedantami. Jednym z nich był młodzieniec ulokowany w naszej sali. Rano długo i niezwykle starannie słał swoje łóżko i wszystko skrupulatnie układał. Bardzo dbał o swoją toaletę, a ponadto dużo czasu spędzał w łazience na praniu chusteczek, skarpetek i innych rzeczy osobistych. Chociaż chełpliwy, był jednak przez wszystkich lubiany. Bardzo często rozmawiałem z nim na sali lub w holu, skąd przy okazji podziwialiśmy przez okna piękną owego roku zimę, a potem nadchodzącą wiosnę. W dyskusji często wypowiadał całkiem niebanalne poglądy na temat życia i pamiętam, jak raz powiedział: – Jakie dziwne jest to nasze życie! Wstajesz przysłowiową lewą nogą z łóżka, czy prawą, to wcale nie jest to samo i ma dla twojego dalszego życia zupełnie istotne znaczenie. Tak samo: czy wyjdiesz z domu w kapeluszu, czy bez, minutę wcześniej, czy później, ma także niebagatelne dla ciebie znaczenie. Bo np. spotykasz wtedy innych lub w innym już miejscu i czasie ludzi, masz inne myśli, inne są rozmowy, inne dalsze wydarzenia, układy i fakty i inna wypadkowa tych zdarzeń. W końcu inne życie, inna śmierć. Chociaż zakończenie wyszło mu jakieś smutne, to może rzeczywiście prawdziwe.

Będąc pewnie pod wrażeniem telewizji – która w Polsce dopiero się zadomawiała – powiedział, że w przyszłości ludzie zbudują taki aparat, podobny do telewizora, w którym będzie można zobaczyć to, co się działo (lub jak kto żył) w przeszłości. Może więc teraz ze względu na swoich przyszłych prawnuków był on tak bardzo akuratywny, nieszkodliwy nikomu i kategorycznie nie znosił łągarstw.

Kiedyś mówił też, iż rodzice, nauczyciele, książki, prasa, radio, telewizja, a szczególnie masowo oglądane filmy winny wychowywać nas na inteligentnych, odpowiedzialnych za siebie i za swoje czyny ludzi, umiających żyć perspektywicznie, w harmonii i w zgodzie ze swoimi bliźnimi, z naturą i całym światem – a nie na chytne, bezwzględne, wyzute z moralności i uczuć indywidualności, mało odpowiedzialne za swoje postępowanie, goniące tylko za różnymi, często zgoła wypaczonymi przyjemnościami oraz wygodami i dobrami materialnymi. Powiedział następnie, że jeśli jednak taka jest kolej rzeczy i natura tego wszechświata, to nic dziwnego, iż po kilku już latach nasłuchiwania kosmosu, aby dowiedzieć się, czy są gdzieś jeszcze w naszej galaktyce bardzo zaawansowane technicznie istoty, nie otrzymujemy żadnych sygnałów, żadnego potwierdzenia istnienia takich istot. Pewnie ich tam nie ma, a jeżeli są, to może tylko w stadium początkowego rozwoju. Zapewne dzieje się tak dlatego, że w miarę rozwoju techniki i upadku moralności one się wyniszczają. Nie sądził jednak, iż jest to taka już zaprogramowana samoobrona wszechświata, aby i on nie został zgładzony, tylko niewłaściwe, agresywne zachowanie się tych istot i brak skutecznego zabezpieczenia przed podobnym końcem wysokich cywilizacji. Mówił: wysokich cywilizacji, bo nie dotyczyłoby to wysokich inteligencji. Gdyby takie istniały, na pewno nie zniszczyłyby siebie – mocno podkreślił tę kwintesencję swoich rozważań. Zatem – mówił dalej kolega – musimy być nie tylko wielce zaawansowani technicznie, ale i bardzo inteligentni. Być może wtedy nasi przyszli prawnukowie będą tak mądrzy, iż potrafią nas w jakiś sposób wskrzesić, wyleczyć z wszystkich naszych chorób, odmłodzić i sprawić, że będziemy razem z nimi żyć wiecznie. Tak więc agresywne, bezwzględne indywidualności, które mogłyby doprowadzić do zniszczenia ludzkości, byłyby niebezpieczne nie tylko dla niej w przyszłości, lecz i dla nas żyjących obecnie. Tu na chwilę przerwał swój wywód mój zemocjonowany rozmówca, a ja, korzystając z tej przerwy, spytałem: – A co będzie z odkupieniem grzechów przez tak wskrzeszonych? – O, pewnie ono też będzie – rychło odpowiedział kolega i dodał: – A może sam wieczny wstyd za nie, wobec innych ludzi, już im wystarczy za karę albo takich bardzo grzesznych nie będą

wskrzeszali. Po tej krótkiej dygresji mówił dalej: – Jeśli będziemy bardzo inteligentni i pod każdym względem doskonali, to może zostaniemy w jakimś sensie współwładcami wszechświata, będziemy decydowali o wielu sprawach w kosmosie i wówczas nasze życie będzie miało zupełnie inny sens i znaczenie. Nie będziemy już tylko przedmiotem wszechświata, ale i jego podmiotem. Nie tylko on będzie decydował o nas, ale i my o nim. Może dożyjemy tych czasów. Ci przyszli ludzie nawet nie zaznając śmierci, a my to już chyba po naszym zmartwychwstaniu – optymistycznie zakończył swoje rozmyślenia kolega. Zainteresowany tym wszystkim, zapytałem jeszcze:

– A jak ci ludzie w przyszłych czasach mogliby nas wskrzesić?

Mój rozmówca po chwili zadumania powiedział:

– Może mogliby oni na przykład stworzyć tunel w czasoprzestrzeni i z prędkością przekraczającą szybkość światła wrócić nim do obecnych naszych czasów i, jeśli byłoby to możliwe, nas tym tunelem w drodze powrotnej zabrać do tych przyszłych czasów, albo w jakiś inny sposób to uczynić – ciekawie wymyślił kolega.

Zastanawiałem się jeszcze, skąd bierze się agresja i dlaczego niektórzy ludzie są tak napastliwi, przez co ludzkość przy obecnej technice może mieć również mniejsze szanse na długie przetrwanie. Byłoby źle, gdyby największe tu znaczenie miała jakaś agresja genetyczna, którą jest najtrudniej umniejszyć. Również niektóre choroby psychiczne bywają przyczyną silnych agresji. Ciężkie warunki życia, a szczególnie bezrobocie, mogą także prowadzić do takiego stanu, bo wielu ludzi wtedy zdobywa środki do życia rozbojem. Do takiej nabytej agresji może też dochodzić przez niewłaściwe, mało świadome wychowanie, np. przez produkcję i rozpowszechnianie takich filmów, książek itp. Szczególnie niepokojące jest agresywne zachowanie się do ludzi i otaczającego świata, gdy objawia się już w bardzo młodym wieku. Należałoby w jakiś sposób pomniejszać i eliminować wszystkie rodzaje agresji u ludzi i sprawa ta na pewno będzie miała coraz istotniejsze znaczenie w miarę dysponowania coraz większą techniką. Ale nie tylko bezwzględność i agresja mogą decydować o szybszym końcu naszej cywilizacji, bo także międzynarodowa, międzyludzka oraz biologiczna itp. polityka musi być zawsze racjonalnie prowadzona przez ludzi za to odpowiedzialnych.

*

Ze szpitala wyszedłem po dwóch miesiącach, to jest w połowie kwietnia 1963 roku. Nie jestem w stanie określić, czy śpiączki, które tam przeszedłem, jeszcze coś pomogły, gdyż zupełnie nieźle czułem się już, przychodząc do kliniki, i samopoczucie to było dobre, jak się z niej wypisywałem. Profesor Bilikiewicz potwierdził wcześniej rozpoznaną u mnie nerwicę natręctw, dorzucając jeszcze słowo: – niewielka. W wystawionym mi zaświadczeniu po łacinie zapisano to jako: *syndroma anancasticum* – w dosłownym tłumaczeniu: zespół przymusu. Tych różnych przymusów było wiele, a między innymi przymus mówienia prawdy, o czym przedtem, jako o natręctwie mniej istotnym, nie wspominałem, a co może jednak warto dla ciekawości wyjaśnić. Profesor to od razu na pierwszym spotkaniu w jego gabinecie zauważył, a ja to też od dawna u siebie dostrzegałem. Taką cechą wyznała mi później pewna nieznajoma osoba, jako że jej to również dokuczało. Tak, jak ja bym to określił, jest to psychiczny przymus i domaganie się od siebie mówienia prawdy, a jeśli nie wyznanej, to potem gnębiącej prawdy. Wyrażało się to między innymi tym, że gdy mi coś po wizycie u profesora jeszcze się przypominało, to nie dawało mi to spokoju i musiałem przedzwonić z domu, żeby mu to dopowiedzieć, choć może wcale nie było to takie ważne.

Wszystkie podręczniki uczelniane zabrałem ze sobą do kliniki, toteż po opuszczeniu jej nie miałem większych zaległości w nauce. Notatki z wykładów na

uczelni, jakie w tym czasie się odbyły, odpisałem od kolegów i bardzo dobrze zdałem przypadające w maju zaliczenia drugiego semestru.

Jeśli pozostawały jeszcze ślady natręctw, to przecież wiedziałem już, iż każdy człowiek przeżywa czasami coś z takich objawów i że nie należy się nimi przejmować. Spostrzegłem bowiem od samego początku prób pozbywania się ich, że im więcej się nimi przejmuję i zwalczam je, tym bardziej one atakują. Ponadto zrozumiałem, że jeśli natręctwa jakieś dłużej się utrzymują, trzeba nauczyć się łatwiejszego ich przeżywania i nie komplikującego współżycia z nimi, co można osiągnąć w zadowalającym stopniu. Obserwując ludzi cierpiących na różne nerwice, zauważyłem, iż większość z nich dobrze radzi sobie w życiu, wykonuje wszystko, co chce i chyba niewiele przejmują się swoimi objawami.

Należy tu szczególnie zauważyć, że nerwica nie tylko przeszkadza, dręczy, dokucza, lecz również doprowadza do wielu korzystnych zmian w życiu. Jestem świadomy tego, że to ona wyrwała mnie z letargu i zastoju, w jakim znalazłem się na początku 1962 roku, i zmusiła do pozytywnego działania.

Dostrzegłem, że choroba nie poczyniła mi jakichś większych szkód w życiu i raczej przyniosła mi dużo pożytku, a późniejsze badania narządów, które uległy znerwicowaniu, nie wykazały żadnych zmian. Cały czas jej trwania przeżyłem prawie tak samo jak każdy inny okres mojego życia. Nawet w najcięższym jej okresie zdałem egzaminy na studia, uczyłem się, pracowałem i nikt do mojej pracy ani nauki nie miał chyba żadnych zastrzeżeń. Zapewne wiele osób, a może nawet i wszyscy, którzy mnie wtedy znali, bardzo zdziwią się tym, co tutaj opisuję, bo przecież to wszystko działo się tylko jakby we mnie, na zewnątrz było dużo mniej widoczne.

Trzeba przyzwyczać się do chwilowego niekiedy obniżenia nastroju i wiedzieć, że uskarżający się na nerwicę często miewa również dobre samopoczucie. Bywa szczęśliwy, ufny, bardzo zadowolony, nieraz aż nadto, bowiem spostrzegłem, iż najwięcej błędów robiłem wtedy, kiedy byłem nazbyt wesoły. Gdy byłem mniej uradowany i pewny siebie, wówczas więcej uważałem, byłem bardziej twórczy i pracowity i w takich chwilach najwięcej zrobiłem dla siebie dobrego. Poza tym – mówiłem sobie – to żaden wyczyn wieść spokojnie swój żywot, gdy niczego nie brakuje, nic nie dolega, ale sztuką jest żyć ciekawie i z pożytkiem, odnosić sukcesy i czynić postępy, kiedy ma się kłopoty, napotyka przeszkody i przeciwności.

*

W jakiś czas po opuszczeniu szpitala spotkałem mojego znajomego, który, dowiedziawszy się, że przebywałem w klinice, lecząc się na nerwicę, zwierzył mi się, iż od długiego już czasu cierpi na silną nerwicową biegunkę. Leczył się w wielu przychodniach i u różnych lekarzy, niekiedy z pozytywnym skutkiem, ale po pewnym czasie następowały nawroty. Zrozpaczony, nawet mnie począł prosić o radę. Próbowałem mu więc początkowo wytłumaczyć, że należy również leczyć nerwicę, a nie tylko ten objaw, usuwając przyczyny, które do niej doprowadzają. Należy mniej przejmować się tą chorobą, nie dopuszczać do wystąpienia w swoim życiu dużych problemów i konfliktów generujących lęk, a przede wszystkim więcej zajmować się wszelkimi pozytywnymi i interesującymi w życiu sprawami i w ogóle uczynić swoje życie jak najbardziej ciekawym, mającym wiele porywających zainteresowań, odrywających od natręctw i objawów. Był jednak uparty, nic w tym względzie nie przyjmował do wiadomości. Gdy nie udało mi się osiągnąć tu żadnego postępu, spróbowałem psychologicznie wydostać go chociażby tylko z owego objawu. Postanowiłem przede wszystkim uspokoić mojego rozmówcę i pocieszyć. Powiedziałem przeto, że nerwicowa biegunka nie jest jeszcze jakimś śmiertelnym niebezpieczeństwem, jak on to widział i czego się obawiał.

Zastanawiałem się, jak go bardziej pocieszyć i wychodząc z filozoficznego założenia, iż nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, zaczęło mi się to po trosze udawać. Mówiłem więc, że biegunka nie jest jakimś największym nieszczęściem i że być może on jeszcze jej cokolwiek zawdzięcza. Rzekłem mu przeto, że gdyby nie ta dolegliwość, to może pojechałby tym pechowym autobusem, o którym mi na początku rozmowy podenerwowany opowiadał. Poprzedniego dnia zamierzał on pojechać nim na wieś do brata i właściwie sam nie wie, dlaczego nie pojechał, a potem dowiedział się, że autobus ten na zakręcie poślizgnął się i wpadł do rowu przy szosie. Choć był to wywód wyraźnie naciągany, to jednak niespodzianie mocno trafił do jego przekonania.

Poszukując bardziej ewidentnych plusów jego dolegliwości, wymieniłem mu wiele tego przykładów, a między innymi to, że na pewno nie doświadczałby tego cierpienia, gdyby chorował na jakąś rzeczywiście poważną chorobę. Wytłumaczyłem mu, iż wówczas bowiem całą swoją uwagę skupiłby na tej prawdziwej chorobie, a żołądek, pozostawiony w spokoju, szybko sam by się uregulował. Z tego można wyciągnąć wniosek taki, iż powinien cieszyć się, że ma tylko tę nerwicową biegunkę, co oznacza, iż nie ma żadnej innej, poważnej choroby, którą by się bardziej przejmował.

Może po półgodzinnej takiej rozmowie uskarżający się na swoje dolegliwości znajomy pożegnał się ze mną prawie wniebowzięty, dowiedziawszy się, jakim to niemal dobrodziejstwem jest jego choroba. Jednakże po kilku tygodniach przyszedł do mnie do domu i już u progu zawołał:

– Panie, jest jeszcze gorzej, niż było.

Nie mogłem wprost w to uwierzyć, ale nim zdążyłem coś powiedzieć, gość mówił dalej:

– Mam teraz ciągle zaparcia.

Musiałem trochę zastanowić się, co mu powiedzieć, żeby jeszcze czegoś nie pokpić, i w końcu jałem go przekonywać, że nerwicowa biegunka czy zaparcia to właściwie to samo i wszystko, co poprzednio powiedziałem, dotyczy również i tego objawu. Dodałem, że powinien jeszcze raz dobrze przemyśleć to, co mu uprzednio powiedziałem.

Więcej do mnie nie przyszedł, ale czasami spotykałem go na ulicy lub na przystanku autobusowym, wszczynając z nim krótką pogawędkę. Nigdy już nie powiedział mi nic na temat swojej nerwicy, chociaż byłem tego trochę ciekawy.

*

Z przeczytanej później lektury na temat zaburzeń nerwicowych dowiedziałem się między innymi, że zapobieganiu nerwicy i leczeniu się z niej dobrze służy rozmawianie z ludźmi o swoich przeżyciach, zmartwieniach i troskach. Zwierzenie się przed zaufanym przyjacielem (lub nawet przed kimś nieznanym) ze swoich kłopotów, wygadanie się – przynosi znaczną ulgę i rozładowuje napięcia. Szczera, otwarta rozmowa o swoich kłopotach, konfliktach, zagrożeniach, potrzebach i pragnieniach bardzo pomaga nie tylko w zapobieganiu nerwicy, ale i w leczeniu doznawanych już zaburzeń.

Dowiedziałem się, że zaburzenia nerwicowe powstają w wyniku oddziaływania urazów psychicznych na wrażliwą osobowość. Jako że mamy większe możliwości zapobiegania różnym – wywołującym psychiczne urazy – konfliktom i problemom oraz ich rozwiązywania niż „uregulowania” nadwrażliwej osobowości, zatem starajmy się zapobiegać potencjalnym konfliktom, problemom i kłopotom i umiemy im sprostać, jak się już nam przydarzą. Należyce rozwiązujemy wszelkie stresujące nas problemy i zagrożenia. Nie można od nich uciekać (czasami o nerwicy mówi się nawet jako o ucieczce w chorobę od swoich obowiązków i problemów), nie można tłumić ich i wypierać ze swojej uwagi, zainteresowań i świadomości, ponieważ

problemy te, nie rozwiązane, wyparte do podświadomości, prawie bez możliwości już wpływu na nie, są dalej źródłem napięć psychicznych, lęku i zaburzeń nerwicowych. Należy więc rozwiązywać swoje konflikty i problemy, a nie wypierać je, lub szukać w zamian jakiegoś pocieszenia i odprężenia w działaniach zastępczych, jak np. w kompensacji, bezpłodnym fantazjowaniu albo w agresji – której należy szczególnie unikać, gdyż mimo nawet największych życzliwości dla kogoś, kto ma nerwicowe kłopoty, nikt nie będzie z wielką pobłażliwością tolerował aktów agresji czy złośliwego zachowania. Gdy nie bardzo umiemy sobie z czymś poradzić, trzeba się tego uczyć. Jeśli nie możemy czegoś zrozumieć od razu, dochodzimy do tego powoli – wszystkiego jednak można się nauczyć. Dobre współżycie z ludźmi bardzo pomoże w uczeniu się właściwego, skutecznego rozwiązywania swoich konfliktów i problemów oraz w sprostaniu swoim potrzebom społecznym, psychologicznym i biologicznym. Jeżeli zaburzenia nerwicowe nie ustępują, trzeba się tych umiejętności uczyć dodatkowo poprzez różne porady i psychoterapię w służbie zdrowia. Zostaniemy tam również uważnie przebadani, uzyskamy niezbędną pomoc farmakologiczną i wszelką inną nowoczesną pomoc medyczną.

Zasadniczą i nader efektywną metodą leczenia zaburzeń nerwicowych jest indywidualna lub grupowa, krótko- albo długoterminowa, wzmacniająca, podtrzymująca, rekonstruująca, integrująca, kryzysowa, wglądowa itd. psychoterapia. Uczy ona umiejętności postępowania takiego, aby nie narażać się na zaburzenia nerwicowe i stara się dopomóc w leczeniu już istniejących takich dolegliwości. Obniża napięcie, poprawia nastrój, wzbudza nadzieję, pomaga w opanowaniu niezbędnych umiejętności, mobilizuje do podjęcia koniecznych wysiłków i działań, doprowadza do usunięcia przyczyn wywołujących nerwicę. Wskazuje, jak należy zapobiegać różnym konfliktom i problemom mogącym doprowadzić do napięć psychicznych, lęków i wystąpienia zaburzeń nerwicowych i jak trzeba te konflikty i problemy rozwiązywać, gdy się już na nie natkniemy. Psychoterapia usiłuje też zwiększyć tolerancję wrażliwej osobowości na oddziaływujące na nią konfliktowe bodźce i urazy psychiczne. Uczy ona także bardziej optymalnego przystosowania się do różnych życiowych sytuacji i radzenia sobie w nich. Sugeruje, co trzeba zmienić w życiu i postępowaniu chorego na nerwicę, kształtuje nowy sposób postrzegania, rozumienia i przeżywania swojej sytuacji i problemów.

Cierpiący na nerwicę winien wyzbyć się lęku i przystąpić do aktywnego, pozytywnego działania. Aktywne i efektywne działania oraz uzyskane stąd realne sukcesy bardzo poprawią sytuację i samopoczucie, przywrócą nadzieję i zdrowie.

Chociaż z nerwicą można żyć, i to całkiem dobrze, i choć może wielu uważa, że nie warto zajmować się jej leczeniem, bo po pewnym czasie ona sama ustąpi, to i tak mniemając, warto tymi problemami i cierpieniami się zająć, żeby one szybciej przeminęły. Uskarżający się na nerwicę są zwykle ludźmi bardzo inteligentnymi i kiedy czymś się zajmą, potrafią dużo zrobić dobrego, dobrego nie tylko dla siebie, bo i świat im wiele zawdzięcza.

Sądzę, że trzeba cierpiącym na zaburzenia nerwicowe wypowiadać i przekazywać swoje spostrzeżenia i wiadomości dotyczące przeżytej przez siebie choroby, choć wypowiedzi te mogą nie uzyskać ich akceptacji. Mają oni przecież swoje własne obserwacje i poglądy na temat nerwicy. Wszelako, dla pozbycia się jej, może zainteresują ich również inne spostrzeżenia i opinie, gdyż jest to uciążliwa choroba i każda myśl i sposób leczenia mogą być użyteczne w jej opanowaniu.

Tak więc po roku zmagania pokonałem tę chorobę (w sposób całkowicie dla mnie zadowalający) przynajmniej na ponad czterdzieści lat, choć od podobnych przechwałek należy się zawsze powstrzymywać. Ale skoro nabrałem już takiej odwagi, żeby to powiedzieć, to niech tak będzie. Zresztą w starszym wieku podobne

objawy i tak mocno słabną i przygasają i jeśliby jeszcze się pojawiły jak dawniej, to przecież oznaczałoby to także, że wciąż jestem młody, co jest o wiele istotniejsze od opisywanych symptomów. Ponadto jeśli jakiś objaw jeszcze czasami się ukaże, to przechodzi szybciej, niż kiedy on zaniknie na lata albo nawet na kilkadziesiąt lat, bo jak jeszcze niekiedy się ukazuje, wówczas niejako się do niego przyzwyczajamy i psychicznie na niego uodparniamy. Jednakże olbrzymia większość ówczesnych moich objawów do tej pory już się nigdy więcej nie pojawiła.

*

Gdyby ktoś uskarżający się na taką nerwicę nagle się dowiedział, że można już teraz w jakiś nowy, pewny i łatwy sposób całkowicie wyleczyć się z niej, to choroba ta wówczas zapewne sama by ustąpiła, z samej tylko reakcji na tę pocieszającą i uspokajającą wiadomość. Bo między innymi zanikłby wtedy lęk generowany z powodu wystąpienia nerwicy, który ją następnie w bardzo znacznym stopniu stymuluje i podtrzymuje.

Trzeba jednak zauważyć, że pozbycie się tej dolegliwości pewnie nie dla wszystkich wyszłoby tylko na dobre w ich życiu, a szczególnie w ich rozwoju i awansie osobistym, bo może zbrakłoby wówczas motoru do działań i postępu i przez to by się niektórzy trochę „opuścili”, straciliby tę energię, tę lokomotywę, która przy okazji walki z chorobą ciągnęła ich bardziej do przodu i promowała ich w życiu.

Ale trzeba też wspomnieć, że nie wszystkich cierpiących na nerwicę choroba ta w równej mierze mobilizuje do walki z nią, a przez to i do swojego ogólnego postępu, do sięgania po wiedzę i uczenia się rozwiązywania trudnych problemów. Niektórzy bowiem jakby poddają się chorobie, co jednak trochę zmniejsza natężenie tych natręctw i tików, których wszak trudno się pozbyć całkowicie. Niekiedy jeszcze uciekają oni w jakieś nałogi lub w „strzelające” gry komputerowe, przy których zapominają o swoich objawach, bardzo się ożywiają i wyładowują, czasami przeklinając przy okazji pomyłki albo innych niepowodzeń w grze, z którego to słownictwa nerwica ta jest poniekąd znana, ale co chyba można jednak opanować.

Nie należy pokrzykiwać, karcić ani niepotrzebnie zwracać komuś uwagi na nerwicowe tiki i objawy, gdyż może to odnieść skutek odwrotny. Trzeba wiedzieć, że wzmożenie jakiegoś objawu po jakimś czasie doprowadza do remisji albo na krótszy lub dłuższy czas do zapomnienia o nim.

Celowe jest, by uskarżający się na tę nerwicę pogrywali sobie w jakieś gry, zwłaszcza rozwijające ich wiedzę, refleks i percepcję. W ten sposób łatwiej przywykną do tych nerwicowych dolegliwości i nowej sytuacji, doznając zapomnienia i ulgi w ich psychicznym napięciu i, zwłaszcza na początku, mogą dłużej w coś się zabawić, nim nauczą się z tą chorobą żyć. Ale również i potem winny mieć oni jakieś silne zamiłowania, które ich bardzo pochłoną i pozwolą im powracać przy tym do życia bez tików i natręctw i te chwile wzmacniać i przedłużać, aby to bycie bez natręctw trwało dłużej.

Potem powinni polubić również jakieś użyteczne, produktywne zajęcia i pracę, którą by się bardzo zajęli i w konsekwencji mniej czasu poświęcali swoim natręctwom, objawom i całej chorobie. Jeśli ich samych nie stać na wszczęcie poszukiwań takiej pracy, to trudno do tego ich zmuszać, bo można ich wtedy tylko zniechęcić do takich twórczych celowych zajęć i mogą zacząć szukać jakiegoś innego, niewłaściwego sposobu na życie, choć mogą też zrozumieć i ulec namowom do zajęcia się tą właściwą pożyteczną pracą. Może też ktoś im zaaranżować jakieś ciekawe zajęcie czy stanowisko pracy, wówczas oni szybciej do pracy przystąpią, niżliby mieli nagle sami odejść od komputera i nie tylko zabrać się do tej codziennej roboty, ale jeszcze przedtem stworzyć sobie owe miejsca pracy. A taka praca by

przecież bardzo odwiodła ich od natręctw i doprowadzała do zapominania o swojej chorobie.

Może bardzo odpowiadałoby im praca w jakiejś rodzinnej spółce lub w swojej własnej firmie, którą by się wtedy bardzo zajęli. Pracując u siebie lub w rodzinnej spółce odczuwaliby mniejszą presję z powodu swojej choroby, swoich natręctw i objawów, które by wtedy szybciej zanikały.

*

Moje przeżycia dotyczące tej choroby i wyjścia z niej jeszcze w pierwszej mojej euforii w 1963 roku opisałem na kilkudziesięciu stronach maszynopisu. Tekst ów z dużym zainteresowaniem przeczytało wiele osób. W latach 1986–1991 rozszerzyłem wspomnienia do dziesięciu rozdziałów opisujących całe moje życie do czasów najnowszych. W tym opisie z 1963 roku nie zauważałem mojej nerwicy jako: ucieczki w rolę chorego i koncentracji na „objawach”, co wyczytałem w książce psychiatrycznej w 1989 roku i co mi, amatorowi, pisząc niniejszą opowieść, trzeba było wziąć pod uwagę, mimo że mnie to mocno zaskoczyło. Jednak po kilku latach wydawania mojej książki zrezygnowałem z motywu „ucieczki w rolę chorego” jako istoty nerwicy i nawet w czerwcu 1998 roku zamknąłem moje wydawnictwo. Prawie wszystkie nie sprzedane moje książki wycofałem z hurtowni i zniszczyłem. W jednej, żeby zaoszczędzić na transporcie z południa Polski do Gdyni, pozostawiłem w kwietniu 1999 r. 76 książek wydanych w '96 roku. Poprosiłem, aby oddać je na makulaturę lub przekazać instytucjom społecznym, co chyba nie zostało dokładnie uczynione, gdyż są one sprzedawane przez internet mimo mojego zaprotestowania.

*

Jeśliby ktoś sądził, że takie zmaganie się z tą chorobą jest tylko długą udręką lub straconym czasem, to mogę na to odpowiedzieć, że gdyby nie było takich ludzi cierpiących na rozmaite schorzenia psychiczne, to na przykład nie byłoby też wielu spośród znanych nam geniuszy i geniuszek we wszystkich dziedzinach naszego życia, które wyglądałoby dzisiaj zupełnie inaczej. Pewnie byłibyśmy o wiele lat, wieków czy może tysiącleci do tyłu w naszym cywilizacyjnym rozwoju.

Nie należy próbować z tego rodzaju chorób, depresji, złego samopoczucia wychodzić poprzez narkotyki, alkohol, kawę czy nikotynę i jeśli chcemy już sobie w jakiejś silnej depresji tak pomóc, to tylko właściwymi lekami, czymś co jest wiadome, że na dłuższy czas nam dobrze posłuży i jest pewne, że nie zaszkodzi lub po chwilowym poprawieniu nastroju potem jeszcze bardziej nas nie rozstroi, nie pogorszy naszego samopoczucia, niż było przedtem, co może stać się po kawie, alkoholu, papierosie lub narkotykach. Stosujemy to, co nie deprecjonuje naszej kory mózgowej i nie zubaża naszego umysłu. Najlepiej nic nie pobierać i to jakoś przeczekać albo nastawić sobie ulubioną melodię lub samemu coś miłego pięknego zanucić; względnie coś takiego poczytać, lub też pogimnastykować się, otworzyć okno, przejść się po danym pomieszczeniu albo wyjść na dwór na spacer i zaczerpnąć świeżego powietrza. Trzeba wiedzieć, że przeżywanie różnych przykrości ma też swoją dobrą stronę, bardzo nas wyrabia, wiele uczy, czyni nas doskonalszymi.

Jeżeli ktoś sądzi, że samymi tylko przyjemnościami wszystko osiągnie w życiu, to jest w błędzie i może osiągnąć niewiele. Najlepsza jest przeplatanka dobrych i trudnych przeżyć, raczej z przewagą tych drugich. Bo jeśli ktoś szuka tylko samych przyjemności, to niewiele życia i wszystkiego pozna, niewiele dokona – gdyż to często osiąga się właśnie w sposób trudny, mozolny lub ciężki – i może więc zmarnować i nie wykorzystać w pełni wszelkich szans, jakie życie nam daje.

Trzeba sprawy pokonywania różnych uciążliwości psychicznych jakoś ucywilizować, wpuścić do nich więcej światła, żeby nie uchodziły tylko za

przygnębiające, lecz mimo różnych niewygód stały się również ciekawe, interesujące, a nawet zachwycające, tak jak to czasami faktycznie bywa. Bowiem nie ma w tych schorzeniach żadnego chaosu, wszystko tu jest czemuś przyporządkowane, trzeba tylko wiedzieć i dostrzegać czemu.

Przedtem przeżyłem już tyle różnych zdarzeń, wojnę i te wszystkie kryminalne przygody, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby uważać to za coś nadzwyczajnego lub zachwycającego i aby na te tematy cokolwiek napisać. Dopiero jak postanowiłem opisać moje niezwykle nerwicowe przeżycia i pasje, pomyślałem, iż może warto byłoby przy okazji opisać również i tamte zdarzenia, co też później uczyniłem.

W opisywanych tu kłopotach psychologicznych trudniej nieraz było znaleźć jakieś rozwiązanie, niż w innych problemach w życiu, ale znajdowanie takich nowatorskich rozwiązań dawało bardzo dużo satysfakcji i przyjemności. Żadne Las Vegas ani najbardziej niesamowite przygody w przedzieraniu się przez dziewicze gąszcze nad Amazonką nie dostarczą tylu emocji, jak takie fascynujące rozwiązywanie psychologicznych zagadek.

Jak bym inaczej patrzył na świat, gdyby nie te psychologiczne przeżycia, i ile bym mniej ten świat rozumiał i mniej różnych pasjonujących rzeczy i spraw na nim dostrzegał. Po takich przeżyciach życie jest jakby ciekawsze, ma szersze horyzonty, więcej barw, odczuć oraz różnych sposobów na rozwiązywanie nie tylko tych spraw, bo i na wszystko arsenał zaradczych środków wtedy się zwiększa. Ale trzeba było do tego racjonalnie podejść, nie szukać pociechy w jakichś nałogach, tylko w medycynie, psychologii, psychiatrii, biologii, fizyce, chemii i matematyce. Wówczas takie przeżycia stają się bardziej zrozumiałe, proste i przejrzyste. Dlatego mają rację Ci, którzy mówią, iż różne zawirowania psychiczne wiele też dobrego człowiekowi przynoszą, a w każdym razie przynieść mogą, jeśli się do nich podchodzi rozumnie, logicznie i naturalnie.

*

Do znanych „sposobów” unikania życiowych wymogów i problemów należą mniej czy bardziej trafnie określane „ucieczki w pijaństwo”. Spośród wielu nieprawidłowych typów, charakterów, życiowych postaw i filozofii oraz różnych słabości ludzi łatwo zapadających w alkoholizm również i neurotycy nierzadko pogrążają się w tym nałogu, aby utopić w nim swoje konflikty, trudności, niepowodzenia, depresje, lęki, natręctwa i inne nerwicowe lub też psychotyczne objawy. Muszę więc wspomnieć i o tej ucieczce, chociaż ona mnie nigdy nie interesowała, ale miałem z tym problemem dużo styczności w życiu. Wszelako nie chodzi tu o jakieś okolicznościowe toasty czy poczęstunki, bez których trudno nawet wyobrazić sobie dzisiejsze życie, lecz mowa tu o alkoholizmie jako nałogu lub z nałogiem już graniczącym.

Alkohol jest silną i bardzo szkodliwą dla zdrowia trucizną. Kiedy tylko 20–25 gramów znajdzie się w naszym krwiobiegu, jest to już dawką śmiertelną. Uzależniony od alkoholu niszczy to, co natura tak pięknie i wspaniale stworzyła – niszczy samego siebie

Aby wydostać się z nałogu pijaństwa (podobnie jak i narkomanii), należy ułożyć sobie bardziej ciekawe, przystosowane do warunków i możliwości życie, żeby nie trzeba było od niego uciekać. Starać się uczynić swoje życie bardziej interesującym i atrakcyjnym, w którym nie będzie potrzebny alkohol, a przeciwnie, w którym będzie przeszkadzał, gdzie będzie on widziany jako marna uciecha, bezsensowne zatrucie się, strata czasu, przeszkoda w uzyskaniu prawdziwej przyjemności, jaką mogą dać normalne sposoby jej zdobywania. Problem często jest jednak nie w tym, że alkoholizujący się nie wiedzą, jak ułożyć swoje życie i co mają robić, tylko w tym, że nie bardzo chce się im to czynić, tłumacząc tę niechęć różnymi „racjami” i

„niemożnościami”. Łatwiej jest im swoje życie „zmienić”, wypijając odpowiednią miarę trunku, niż podjąć jakiś wysiłek, aby uczynić je ciekawszym i weselszym w sposób naturalny. Wolą sztuczne podniety alkoholowe niż naturalne źródła osiągnięcia przyjemności w życiu, porzucając tym samym wiele ważnych dla życia zadań i czynności. Ponadto ten kto nawyknie „cieszyć się” tylko pod wpływem alkoholu, to może bez niego już się radował z niczego, tak jak przedtem, nie będzie.

Wiadomo, że najczęściej piją ci, co popadli już w ten nałóg i nie mogą lub nie bardzo chcą się z niego wydobyć. Często piją ci, którzy znajdują się w jakiejś beznadziejnej sytuacji, kiedy tracą chęci do życia i życie nie ma dla nich wielkiego sensu. Albo gdy nie mają w życiu większych przyjemności, ciekawych zainteresowań, zajęć, pasji itp., lub kiedy mają różne zainteresowania, ale muszą tylko ciągle mozolnie pracować, w zakładzie pracy i w domu i na kultywowanie swoich zainteresowań nie mają czasu. A jest to wszak bardzo ważne. Bo kto nie znajdzie w swoim życiu żadnych naturalnych uciech, będzie ich szukał w sposób zastępczy.

Niekiedy wydaje się, iż jednym z głównych sposobów walki z nałogiem jest zwalczanie swojej bierności, apatii i niechęci do podejmowania celowych wysiłków. Pokonanie tych cech utorowałoby drogę do różnych zainteresowań i twórczej pracy. Uzależniony od alkoholu powinien uczyć się znajdowania przyjemności w swojej pracy, w rozrywkach kulturalnych, turystyce, majsterkowaniu i różnych innych ciekawych zajęciach i zainteresowaniach. Czasami potrzebna jest zmiana „towarzystwa”, które za bardzo lubi sobie popijać.

Sądzę wszak, iż z tym nałogiem to nie jest wcale taka bardzo trudna sprawa, żeby go się pozbyć, i zapewne każdy człowiek, również ten często upijający się, musiał niejednokrotnie dokonać trudniejszych rzeczy, i to mu się udało. Osobiście spotykałem ludzi, którzy zerwali z alkoholizmem i jakże wielce później się z tego cieszyli.

Można i koniecznie trzeba wydostać się z tego nałogu, chociażby było to bardzo trudne i porzucający go na początku czuł się źle, nudząc się i nie wiedząc, co z sobą począć. Życie jednak potoczy się wtedy zupełnie innymi, bardziej ciekawymi i użytecznymi drogami. To już będzie całkowicie inny byt i inne będą perspektywy.

Mimo różnych napotykanych trudności nigdy nie uciekałem się do alkoholu i w końcu doczekałem się przecież trochę innego życia.

ZAKOŃCZENIE

Więcej nie uciekałem, a przynajmniej nie skuteczniałem już ucieczek tego typu jak te, które tu opisałem. Natomiast takie eskapady, jak na przykład z miasta na łono natury lub inne ucieczki, które wynikają z rozsądnych, przemyślanych i obiektywnych decyzji, są działaniem właściwym i przez wszystkich bywają dokonywane.

W połowie 1964 roku udało mi się znaleźć pracę w Gdyni, zgodną z kierunkiem studiów i moimi zainteresowaniami, w której konieczna była znajomość języków obcych.

Zacząłem więcej zarabiać, do tego coraz częściej miewałem różne profity osiągnane poza miejscem pracy, w szczególności wypływające ze znajomości języków obcych. Tak na przykład na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie poznałem siedzącego obok mnie Greka, Michalisa, który okazał się armatorem dziewięciu większych statków morskich, z jakich jeden akurat przyplynał z ładunkiem do Gdańska. Zwierzył mi się, iż rok przedtem zmarł jego ojciec, o którym w dalszej rozmowie z wielkim żalem często wspominał. Był jeszcze kawalerem i właśnie bardzo spodobała mu się jedna z polskich piosenek występujących na festiwalu. Następnego dnia spotkaliśmy się w Sopocie w kawiarni przy moło i napisaliśmy do niej list, to znaczy, on dyktował po angielsku, a ja pisałem po polsku. List ten zanieśliśmy do Grand Hotelu w Sopocie, gdzie zamieszkiwali piosenkarze w dniach festiwalu. Wręczyliśmy go wraz z odpowiednim załącznikiem ludziom stojącym w wejściu i nie wpuszczającym w tym czasie osób postronnych do hotelu, którzy z wielką uprzejmością obiecali doręczyć list adresatce. O ile wiem, ów armator nie ożenił się z tą piosenkarką, ale czy odpisała mu do Grecji, tego nie wiem. Za mój trud i chęć pomocy otrzymałem niespodziewanie duże honorarium, w wysokości kilku moich miesięcznych pensji, po zamianie otrzymanej waluty na bony PKO, a następnie wymianie ich po wysokim kursie na złote.

Kiedyś poznałem w restauracji Grand Hotelu w Sopocie norweskiego turystę wraz z żoną i córką, którzy, z braku wolnych miejsc, przysiedli się do zajmowanego przeze mnie stolika. Słyszając, iż mówię po angielsku, poprosili mnie, abym po obiedzie pojechał z nimi ich samochodem i pokazał najciekawsze miejsca i zabytki w Trójmieście, co chętnie uczyniłem. Po kilkugodzinnej, bardzo przyjemnej przejażdżce pożegnaliśmy się i choć nie chciałem za tę przyjemność brać jeszcze pieniędzy, to jednak nie mogłem wymówić się od przyjęcia, jak potem okazało się, dość pokaźnej sumki.

Niekiedy zdarzało się również, zwłaszcza w czasie letnich sezonów, że schodząc z zagranicznego statku, po załatwieniu urzędowych formalności i zakończeniu pracy, zabierałem kapitana z żoną i ewentualnie dziećmi, albo z oficerami statku, do mojego samochodu i woziłem po Gdańsku, Gdyni i Sopocie, pokazując najczęściej odwiedzane przez turystów miejsca, sklepy i restauracje. Nie mogli oni sobie takiej przejażdżki poprzez jakieś biuro załatwić, choć często próbowali, więc do wykonania tej przysługi kapitan znajdował kogoś spośród osób, które go na statku odwiedzały, za co oczywiście zwracał koszty przejazdu, przeważnie jeszcze ze sporym zyskiem. Pamiętam taki bardzo sentymentalny przypadek, jak jeden kapitan włoskiego statku poprosił mnie, żebym po swojej pracy wieczorem zawiózł go z Nowego Portu do Gdyni. Podjechałem więc o umówionej godzinie pod statek i wziąłem kapitana do samochodu. Po drodze powiedział, że chce odwiedzić w Gdyni swoją dziewczynę, która bardzo mu się spodobała. Opowiadał nawet, że nosił jej węgiel z piwnicy do pieca w mieszkaniu. Trochę zdziwiło mnie to, że taki starszy, elegancki, przystojny i dostoyny gość nosił dziewczynie węgiel z piwnicy do mieszkania, do tego w tym

jasnym jego wystroju, ale przecież nie takie jeszcze rzeczy się w życiu słyszało i widziało. Gdy wjechałem na ulicę Świętojańską, musiałem potem skręcić na prawo w krótką uliczkę, gdzie, po jej lewej stronie, ta dziewczyna mieszkała. Weszliśmy na parter pod wskazany mi na karteczce numer mieszkania. Otworzyła drzwi młoda, może trzydziestoletnia kobieta i ja spytałem, czy mieszka tu pani... (której imienia i nazwiska już dzisiaj nie przypominam). Kobieta trochę zdziwiona odpowiedziała, że taka pani tu mieszkała, ale już zmarła. Powtórzyłem to kapitanowi, a on zapytał: Kiedy? Kobieta po chwili niezdecydowania odpowiedziała, że dwadzieścia pięć lat temu. Powtórzyłem to z niedowierzaniem kapitanowi, a on powiedział mi, że jest to możliwe. Po chwili milczenia na korytarzu kobieta oznajmiła, że jeszcze żyje w Chyloni siostra tej pani i podała nam ulicę i numer mieszkania. Kapitan chętnie zgodził się tam pojechać. Po drodze skojarzyło mi się to, że nos tej kobiety na korytarzu był trochę podobny do nosa kapitana i włosy też miała czarne, więc spytałem go, kiedy on właściwie u tej dziewczyny ostatni raz był? Odpowiedział, że około trzydzieści lat temu. Chciałem od razu do tej kobiety zawrócić, gdyż widziałem, że kapitan też się nad czymś zastanawia. Ale powiedział mi tylko, że tak długo u niej nie był, bo nie miał okazji tutaj przypluć, chociaż w Szczecinie kilka razy bywał. Dziewczynę tę poznał jeszcze jako młody marynarz, gdy przypluć statkiem po koks do Gdyni na początku lat pięćdziesiątych. Był u niej kilkakrotnie i tak mu się spodobała, że do tej pory nie spotkał jeszcze nigdzie tak wspaniałej, miłej i sympatycznej dziewczyny. Mówił, iż wtedy nie znał on nawet języka angielskiego, a ona włoskiego i nauczyła go wielu słów i zdań po polsku. Do tej pory pamiętał zdanie: Ja koham ciebie. Teraz kazał jechać do tej siostry w Chyloni. Przyjechaliśmy i windą podjechaliśmy na właściwe piętro. Drzwi otworzył młody mężczyzna. Był już przez telefon powiadomiony o gościu i kazał nam wejść do środka. Starsza kobieta ubierała się w drugim pokoju. Powiedziałem kim jesteśmy, a młody mężczyzna poinformował, że mówi trochę po angielsku, więc pozostawiłem wszystkich i przyjechałem do swojego domu. Bardzo zainteresowała mnie sprawa tej młodej kobiety, lecz nigdy niczego więcej na ten temat już się nie dowiedziałem. Wprawdzie miałem jeszcze szansę coś o niej od kapitana usłyszeć, bo zwykle pasażerowie za taką przysługę zwracali mi koszty przejazdu, przeto mogłem pod tym pretekstem do niego się udać. Ale następnego dnia statek odpluć, a ja akurat miałem wolne w pracy i nie wypadało więc specjalnie po pieniądze do kapitana pojechać. Jeśli chodzi o różne miłosne romanse marynarzy, to można byłoby o nich dużo napisać, bo niejednokrotnie też takie listy tłumaczyłem. Choć niekiedy jakieś nieuczciwości, zawody lub tragedie się zdarzały, to bardzo często historie takie wyglądały niezwykle ciekawie i romantycznie i ślubem się kończyły.

Mimo że przepracowałem wiele lat, miałem odpowiednie wykształcenie, otrzymywałem dyplomy i odznaki za dobrą pracę, to jednak żadnej kariery urzędniczej nie zrobiłem. Może dlatego, że nigdy nie należałem do partii, a bez niej trudno było sobie wyobrazić znaczniejszy w pracy awans. Wszelako obywałem się jakoś bez „pomocy” partii, choć łatwo jest zauważyć, jak mocno utrudniła i skomplikowała ona moje życie.

W 1968 roku ukończyłem sześciolatnie studia zaoczne w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie i uzyskałem dyplom magistra. Kilka lat później ożeniłem się ze studentką z tej uczelni, Marylą, ze studiów stacjonarnych. Zamieszkaliśmy w moim spółdzielczym mieszkaniu w Gdyni, które po kilku latach zamieniliśmy na większe. Niedługo po ożenku kupiłem działkę ogrodniczo-rekreacyjną, na której z żoną i dziećmi spędziliśmy bardzo dużo czasu, gdyż nadzwyczaj tę działkę i rozmaite zajęcia na niej polubiliśmy. Małżonka miała pod swoją opieką szklarnię i kilka poletek, na których uprawiała kwiaty i cenne dla zdrowia warzywa, w czym – poprzez wnikliwe studia nad tym tematem i stosowanie różnych pomysłów

praktyk i zabiegów – osiągała bardzo cieszące rezultaty. Na naszej działce była dla dzieci piaskownica, huśtawka i inne ciekawe atrakcje, a starszy syn później przez wiele lat na świeżym powietrzu i wolnej przestrzeni zajmował się modelarstwem, córka haftowaniem i innymi robótkami ręcznymi, a młodszy syn lubił sobie pojeździć z kolegami rowerkiem. Posadziłem na działce dużo drzew owocowych, lecz moją szczególną pasją była uprawa rzadkich u nas krzewów ozdobnych. Nasadziłem ich wiele. Ileż to uciechy patrzeć, jak nie znany nam dotychczas krzew po raz pierwszy zakwita, potem wydaje piękne owoce, a na jesieni zmienia z zielonego na jakiś niezwykły kolor liście. Na działce zbudowałem bardzo użyteczny domek, który stał się zachętą do rozpoczęcia później budowy swojego własnego domu mieszkalnego.

Działka jest przyrodą, z jaką od początku życia na ziemi jesteśmy nierozzerwalnie złączeni, przez co miejsce to dla nas i dla naszego przebywania jest najbardziej naturalne, a zatem bardzo pożądane i zalecane. Natura zawsze była w życiu człowieka obecna w bezpośrednim jego otoczeniu – jest więc niezbędna dla naszego życia oraz fizycznego i psychicznego zdrowia.

Jeśli ktoś już szuka ucieczki od jakiegoś uciążliwego problemu, to miast w nałóg czy w jakąś chorobę lepiej uciec na łono natury, jaką jest działka. Jeżeli się ją bardzo polubi i nią zainteresuje, to można znaleźć w niej wielkiego sprzymierzeńca w rozwiązywaniu swojego problemu.

Działka daje dużo zadowolenia i radości z życia oraz zainteresowuje aktywną, ciekawą i wielce pożyteczną pracą, a ruch i praca na świeżym powietrzu są niezbędne i bardzo skuteczne w utrzymaniu dobrego stanu naszego zdrowia, przedłużaniu naszej młodości i życia.

Niektórzy, wspominając o działce, mówią tylko o pracy, jakby ta praca była największym utrapieniem. Osobiście też twierdzę, że ogród jest nie tylko po to, aby ciągle na nim pracować, lecz również dla relaksu, wypoczynku, kontemplacji, podziwiania tego świata i natury. Często jednak mówię sobie, iż dzisiaj posiedzę spokojnie na działce tylko dla relaksu, lecz nawet nie zauważam kiedy, jak – miast siedzieć na ławce – jestem już gdzieś na grządce i coś robię i właśnie ta praca jest największą dla mnie przyjemnością, wypoczynkiem i relaksem. Ale jeśli ktoś chciałby sobie zaoszczędzić tej pracy na działce, to można ją urządzić i zagospodarować tak, że będzie ona również ładna i bardzo pożyteczna, a przy tym pracy będzie niewiele.

Każdy kwiat, krzew, drzewo czy budowla na działce ma dla jej właściciela swoją historię, jaką najczęściej tylko on zna i którą bardzo kocha i szanuje. Człowiek uszlachetnia się tutaj przez polubienie przyrody i dogłądanie roślin. Ponadto, by coś uprawiać lub zrobić na działce, trzeba wiele czytać, poznawać, zastanawiać się i eksperymentować. Wzrasta więc intelekt, zdrowie, zadowolenie z życia, zainteresowanie i zamięłowanie pięknem, naturą, pracą i racjonalnym wypoczynkiem.

Działka moja dawała mi jednakże nie tylko dużo przyjemności, zadowolenia i korzyści w postaci relaksu, natury, ślicznych kwiatów, drzew i smacznych owoców, ale także często przysparzała wiele kłopotów, jak również i ubawu, humoru, atrakcji, emocji oraz różnych przygód. Można byłoby nakręcić niezły western z niektórych sporów z sąsiadami na działce lub podczas budowy altany w latach ubiegłych, a w szczególności z niesamowitości zabiegów o potrzebne na budowę materiały. Również poszukiwania i kupno ciekawszych sadzonek drzew, krzewów i rozsąd kwiatów były nieraz okazją do wieczornej jazdy samochodem aż do Zakładu Doświadczalnego Polskiej Akademii Nauk w Kórniku koło Poznania i stania przez całą noc w kolejce, aby rano też niewiele co kupić. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o stawianiu zasadzek, staniu na czatach i staczaniu istnych bojów z amatorami cudzych jabłek. Wszystko to pominąłem przy opisywaniu działki w pierwszym wydaniu niniejszych wspomnień, lecz jako że usłyszałem później wiele krytyki wobec

zbyt poważnego charakteru tej opowieści i niedostatku zwykłego, życiowego humoru albo bardziej groźnych akcji, czy też mrożących w żyłach krew gangsterskich scen, zatem nadrabiam ten brak i opisuję również humorystyczne i trwożące zdarzenia, jakich w życiu miałem wcale nie ma. Wracając do działki, przypominam sobie jeszcze jedną taką niezwykłą historię, ale już z 1991 roku. Któregoś popołudnia, w czerwcu lub lipcu owego lata, wziąłem kilka plastikowych worków i pojechałem samochodem za Chwaszczyno na fermę w poszukiwaniu kurzego nawozu do rozmoczenia w beczce i podlewania niektórych roślin. Zajeżdżam na jedną z ferm i zatrzymuję się przy kupie kurzego gnoju. Gdy tylko wysiadłem z samochodu, usłyszałem z tyłu krzykliwe wezwanie: – Stać! Ręce do góry! Myślałem, że ktoś zapewne żartuje. Być może trafiłem akurat na jakiegoś znajomego. Nic sobie z tego nie robiąc, obróciłem się twarzą do krzyżącego. Ujrzałem, iż bynajmniej nie jest to żaden wesolek ani znajomy, tylko dobrze zbudowany mężczyzna o czarnej czuprynie, bardzo przypominający sycylijskiego mafiosa, z pistoletem w ręku wycelowanym prosto we mnie.

– Ręce do góry! Nie słyszysz, co do ciebie mówię! – powtórzył. Nie wyglądało to na żart, więc uniosłem ręce do góry. W tym momencie wyskoczył z kurnika następny podobny jegomość z pistoletem w ręku, a za nim jeszcze policjant lub przynajmniej jakiś facet w policyjnym mundurze. Gdy tylko podbiegli do mnie, zadyszany policjant zawołał:

– Proszę o dowód osobisty! Po co tu przyjechałeś?

Po wręczeniu (czy może było to jeszcze przed wręчением) dowodu osobistego jeden z cywilów przeciągnął rękami ze wszystkich stron po mojej marynarce i spodniach, widocznie szukając przy mnie broni, a drugi bez pytania otworzył bagażnik samochodu. Następnie wszyscy w trójkę, nie spuszczając ze mnie oka, zaczęli przeszukiwać cały samochód, czyniąc w nim straszliwy bałagan. – Do diabła, o co może chodzić na kurzej fermie? – myślę, zastanawiam się i nic nie pojmuję. Przecież tu tylko kury, jaja i nawóz. Jednakże nie chodziło im o nawóz, bo kiedy powiedziałem, że po to tu przyjechałem, wcale się tym nie zainteresowali, tylko skwitowali moje wyjaśnienie szyderczym uśmiechem. Gdy w samochodzie prócz pustych worków i narzędzi niczego nie znaleźli, zadali mi jeszcze wiele dziwnych pytań, spisali wszystkie dane z dowodu osobistego i kazali mi zmykać. Szybko więc wsiadłem do samochodu, póki coś jeszcze głupszego im do głowy nie przyszło, i pożegnałem owych kurzych gangsterów i najwidoczniej fałszywego policjanta, bowiem cała ta afera wydała mi się nadzwyczaj podejrzana.

Po powrocie do domu i opowiedzeniu tego zdarzenia kilku moim znajomym – nikt nie chciał uwierzyć i poradzono mi, abym poszedł na policję i sprawdził, co to takiego było.

Jakoś nie miałem chęci pójść na policję. Za to w nocy, we śnie, znowu spotykam całą trójkę facetów na fermie. Krzyczą, wyzywają i szarpią mnie, a ja zaciekle z nimi walczę. Słyszę okropną strzelaninę, widzę wszędzie bezlik skorupki jaj, a obok nas masę trupów i dużą kałużę krwi. Nie, to nie krew, tylko czerwony lakier, który się wylał z puszki wypadłej z mojego auta. I taki koszmar przez kilka następnych nocy i dni. W końcu, może po tygodniu, wyczytuję w gazetach, iż wytropiono wielką szajkę złodziei zagranicznych samochodów, którzy w kurzej fermie koło Chwaszczyna przerabiali je i przygotowywali do sprzedaży na Wschód, i że ową grupę już aresztowano.

Mój udział w tej akcji jest oczywiście prawdziwy, a jeśli ktoś nie uwierzy, może przejrzeć policyjne protokoły i notatki z aresztowania tej szajki i na pewno znajdzie w nich moje nazwisko w to zamieszczone, a może i poważnie podejrzane.

*

Kiedy minęło już dziesięć lat od chwili zapadnięcia mojego wyroku, napisałem do Sądu Powiatowego we Wrocławiu prośbę o zatarcie skazania. Otrzymałem taką oto odpowiedź: „Sąd Powiatowy we Wrocławiu na mocy art. 36 par. 1 kkw w związku z art. 2 ust. 1 ustawy (...) postanawia wniosek skazanego jako bezprzedmiotowy pozostawić bez rozpoznania, albowiem zatarcie skazania w związku ze sprawą V Kp. 97/55 nastąpiło z mocy prawa na podstawie art. 2 ust. 1 ustawy z dnia 27 IV 56 roku o amnestii.” Po przeczytaniu tego pisma byłem bardzo ciekawy, w jaki sposób dyrektor hurtowni spożywczej w Gdyni dowiedział się, iż byłem karany? Sposób musiał być tylko jeden: poprzez wysłanie zapytania o moją ewentualną karalność do centralnego rejestru skazanych, z którego, jak wynika, nie zostałem skreślony. Czyżby też przez pomyłkę?

Niemniej, od czasu otrzymania tego postanowienia czułem się pewniejszym, ponieważ nie musiałem już tak bardzo obawiać się ewentualnych konsekwencji za nieujawnienie mojej karalności w kadrach nowego zakładu pracy, bo gdyby nawet ta sprawa się wydała, to przedstawiając oświadczenie sądu, mogłem okazać nie tylko prawne zatarcie skazania, ale i zdziwienie, w jaki sposób zakład pracy jeszcze się o tym dowiedział.

Miałem również sprawę moich wyjazdów za granicę w pewnym sensie otwartą i mogłem myśleć o realizowaniu zagranicznych podróży, przystępując tym do urzeczywistnienia chyba największego z moich marzeń. Czasy ku temu były też trochę bardziej sprzyjające. Opozycja była silna – nie można już było dłużej tłamsić i trzymać ludzi tylko w swoim kraju, nie pozwalając im nawet na wyjazd za granicę. Musiano liberalizować przepisy paszportowe i nie można już było tego trendu powstrzymać, chociaż tysiące wyjeżdżających nie powracało z różnych wycieczek oraz podróży i pozostawało w zachodnich państwach. Ba, z czasem nawet ówczesne władze wpadły na pomysł, iż może to być najlepszy sposób pozbywania się wszelkich „niezadowolonych buntowników i wrogów socjalizmu” i same zaczęły podsuwać wielu osobom propozycję wyjazdu na stałe z kraju.

Jednakże w 1968 roku, kiedy to podjąłem zamiar zrealizowania mojego pierwszego wyjazdu za granicę, dokonanie tego nie było jeszcze sprawą taką pewną i prostą. Postanowiłem zatem wyjechać najpierw tylko do NRD z wycieczką na jeden grupowy paszport i swój dowód osobisty. Mimo że w tym czasie było mi już wiadome, iż ówczesny kontrwywiad swoimi drogami doszedł do tego, że byłem karany za ucieczkę za granicę, to jednak byłem zdania, że przy dalszym badaniu sprawy, które musi wtedy nastąpić, dojdzie on do wniosku, iż taka moja ucieczka teraz jest mało prawdopodobna. Przecież od kilku lat często przebywałem w porcie i na statkach, a kiedyś, przez tyle czasu, nie tylko pracowałem, ale również mieszkalem w porcie i nie uciekłem, choć zbiec za granicę w tych okolicznościach może już było przedsięwzięciem trochę łatwiejszym. Poza tym, kończyłem właśnie studia, przeto trudno byłoby sądzić, abym chciał je porzucić na kilka miesięcy przed ukończeniem. Ponadto wyjeżdżałem tylko do NRD, a właściwie do Berlina Wschodniego, skąd przecież uciec w tym czasie było już prawie niemożliwością. W końcu wszędobylscy agenci owego kontrwywiadu, który był wielką zmorą w naszej pracy, w razie wszczęcia tajnego dochodzenia rychło donieśliby, iż będąc zatrudniony w tym nowym przedsiębiorstwie, mogę już jakoś przeżyć w kraju. Oczekiwałem też na otrzymanie wkrótce swojego mieszkania spółdzielczego, znane były również moje zamiary ożenku, było więc mało prawdopodobne, abym chciał teraz uciekać z kraju.

Chyba rzeczywiście moje rozważania okazały się trafne, bowiem zostałem wpisany na ten wspólny paszport i w dniu trzeciego maja 1968 roku udałem się samolotem w moją pierwszą podróż zagraniczną, którą była wycieczka na trzy dni do Berlina Wschodniego. Wycieczka ta bardzo się udała. Zamieszkaliśmy w hotelu

„Berolina”, naówczas dobrej klasy, w centrum miasta. Pogoda majowa, do tego jeszcze bardzo dopisała. Miasto piękne, a przygód było wiele.

Drugą, już dwutygodniową wycieczkę, podjąłem jesienią tego samego roku do Moskwy i Leningradu. Chciałem z Moskwy sam polecieć samolotem na dwa dni do Irkucka, żeby zobaczyć Syberię i jezioro Bajkał. Jednakże okazało się, iż bezwzględnie konieczne jest „razreszenije” radzieckich władz na ten wyjazd, a moskiewski przewodnik powiedział, że będzie ono rzeczą niemożliwą do uzyskania. Musiałem więc z tej eskapady zrezygnować.

W nocy, jadąc w wagonie sypialnym z Moskwy do Leningradu, przebudziłem się na chwilę. Wydało mi się, że pociąg, który całą trasę miał pokonać bez przystanku, zwolnił nieco biegu. Uchyliłem zasłonę i spojrzałem przez okno. Przejeżdżaliśmy przez jakąś niewielką stację. Akurat mignęła jej nazwa: Bierzajka. Spojrzałem na zegarek i obliczyłem, że może to być około trzysta kilometrów od Moskwy. Przypomniałem sobie to, co Andrzej w Serpelicach często powtarzał: „Stacja Bierzajka, komu nada wysiadajka”. Wówczas myślałem, że znajduje się ona gdzieś daleko na Syberii.

W czasie tej wycieczki zwiedziliśmy Kreml. Byliśmy w Teatrze Wielkim w Moskwie, gdzie oglądaliśmy „Jezioro łabędzie”, w którym główną rolę grała Maja Plisiecka. Odwiedziliśmy wiele moskiewskich muzeów. W Leningradzie następne muzea, wśród których najładniejsze – Ermitaż. W sumie cała impreza bardzo ciekawa.

Następnego roku, na przełomie maja i czerwca, pojechałem na trzytygodniową wycieczkę autokarem do Lwowa, Bukaresztu, Sofii, Belgradu, Budapesztu i Nitry – wracając przez Czechosłowację. Choć była to wycieczka na jeden wspólny paszport, to przejeżdżając już przez Jugosławię, przełamałem następną barierę i poczyniłem dalszy krok ku krajom Europy Zachodniej, gdyż wyjazd do Jugosławii był traktowany prawie tak samo jak do państw zachodnich.

Nastał Gierek i dalsze rozluźnienia przepisów paszportowych. Można już było o wiele łatwiej wyjechać do tak zwanych państw kapitalistycznych, składając najpierw podanie o przydzielenie na ten cel 100 dolarów z państwowych rezerw dewizowych. Ponieważ wiele osób złożyło takie formularze, otrzymałem (podobnie jak wszyscy moi znajomi) tylko 40 dolarów, ale to już wystarczyło, aby można było uzyskać paszport do zachodnich krajów. Tym razem jednak wspomniany kontrwywiad przed otrzymaniem paszportu wezwał mnie do swego biura i udzielił ostróg, nauczek i dobrych rad. Nie byłem tym skonsternowany, albowiem jego wścibską i „pouczającą” działalność odczułem i poznałem już dostatecznie w teorii i praktyce w pracy. Niemniej paszport otrzymałem i w czerwcu oraz lipcu 1972 roku urządziłem ponadmiesięczną indywidualną wycieczkę do Hiszpanii i Francji.

Poleciałem najpierw samolotem do Madrytu. W tym nadzwyczaj zachwycającym mieście przebywałem przez osiem dni. Zamieszkałem w hotelu „Montalva” na ulicy Zaragoza, w pobliżu placu Mayor, a później przeniósłem się na prywatną kwaterę na ulicy de la Cruz, niedaleko Puerta del Sol – Bramy Słońca. Dużo wolnego czasu spędzałem na urokliwym placu Hiszpanii. Przemierzyłem wiele parków i ulic, a na Paseo de la Castellana miałem okazję zobaczyć przemykającą kawalkadę motocykli i samochodów z Generałem Franco. Zwiedziłem Prado i kilka następnych muzeów oraz odwiedziłem dużo innych wspaniałych i ciekawych miejsc. Obejrzałem oczywiście korridę na malowniczym Plazu de Toros – placu Byków. Pogoda przez cały czas była niezwykła. Porozumiewałem się z ludźmi po francusku i angielsku, ale w sprawach codziennych najwięcej rozmawiałem po hiszpańsku, którego to języka przez pół roku kiedyś się uczyłem i który teraz w Hiszpanii dość sobie przypominałem i podszlifowałem.

Z Madrytu w cudowną księżycową noc pojechałem pociągiem ekspresowym do Malagi. Tu przebywałem przez dwa dni, zamieszkując w hotelu Casanova. Dużo czasu spędzałem w tutejszym parku, bardzo bogatym w różne gatunki drzew, krzewów i prześlicznych kwiatów. Na plażę jeździłem autobusem do pięknego miasteczka Torremolinos.

Z Malagi udałem się promem do Melilli, hiszpańskiej enklawy w Północnej Afryce. Mieszkałem tam przez trzy dni w hotelu „Banos” przy Avenida del Generalísimo. Codziennie chodziłem na plażę, odwiedzałem egzotyczny park miejski i wypoczywałem na ławkach wśród palm przy fontannie na Plaza de Espana.

Z Melilli popłynąłem promem z powrotem na kontynent europejski, tym razem do Almerii, skąd następnego dnia pojechałem autobusem śliczną nadmorską trasą – przez wiele urokliwych miast – do Walencji. Po dwóch dniach pobytu w tym mieście pożeglowałem statkiem do Palma de Mallorca. Tu, przebywając przez cztery dni, czas głównie spędzałem na plażach w El Arenal i Palma Nova oraz na spacerach i zwiedzaniu miasta. Z Majorki popłynąłem promem do Barcelony, gdzie przez pięć dni chodziłem na plażę, podziwiałem miasto, wzgórze i park Montjuich oraz wielokolorową, a zarazem największą i najładniejszą fontannę, jaką w życiu widziałem i nie wiem nawet, czy gdzieś na świecie jest jeszcze piękniejsza.

*

Na wzgórzach Montjuich przeżyłem jeszcze jedną przygodę, jakich miałem wiele z różnymi funkcjonariuszami i innymi przedstawicielami władz w Hiszpanii w czasie podróży do tego kraju.

Pierwszej z nich doświadczyłem zaraz po przylocie do Madrytu, w hali odpraw pasażerów na lotnisku. Otóż, udając się w tę podróż, zakupiłem w Peweksie w Gdyni kilka wazonów kryształowych, które wraz z kwitem zakupu mogłem bez cła wywieźć za granicę. Kryształy te kosztowały tutaj o wiele taniej, niż można było je sprzedać w Hiszpanii. Nie wiedziałem jednak, jak zachowają się celnicy w Madrycie, gdy zauważą te kryształy w mojej walizce. Wiadomo mi było tylko, że szczególnie Grecy, ale Hiszpanie także zakupywali w Polsce, w sklepach Peweksu, dużo więcej takich kryształów i potem na statku, samolotem lub autami wywozili do swoich krajów, bo na tego rodzaju artykuły, przewożone osobiście, nie zwracano tam na granicach takiej uwagi jak u nas. Jednak gdy podszedłem do odprawy granicznej w Madrycie, funkcjonariusze graniczni i celni, patrząc na mój paszport i na mnie, dość nieufnym wzrokiem jęli spoglądać na moją pękatą walizkę, napędzając mi tym trochę strachu. Ale nikt z nich nie zapytał, czy mam coś do oclenia lub co ja mam w tej dużej walizce. Po oddaniu mi paszportu czym prędzej chwyciłem więc moją walizkę i wyszedłem z hali na zewnątrz. Jak zbliżałem się już do taksówki, przypomniało mi się, iż miałem tu na lotnisku w informacji turystycznej spytać o dobry, tani, położony w atrakcyjnym miejscu w Madrycie hotel. Począłem rozglądać się za takim biurem i wkrótce znalazłem je i wszedłem do środka. Polecono mi hotel Montalva w centrum Madrytu, jednak nie pozwolono mi wyjść tymi samymi drzwiami, którymi wszedłem, tylko kazano wyjść innymi drzwiami, z powrotem przez halę odpraw. Kiedy znowu zbliżyłem się do owych funkcjonariuszy, oni ze zdziwieniem spojrzeli na mnie, jeden z nich jakby coś chciał powiedzieć, ale się odwrócili i odeszli, z czego skorzystałem skwapliwie i z duszą na ramieniu wyniosłem się z owego przybytku, postanawiając uczynić wszystko, aby tu więcej nie wrócić.

Drugą przygodę z władzą miałem już w Madrycie. Akurat w dniu moich urodzin, 24.06.72 około godz. 10.00 na Paseo de la Castellana miałem okazję zobaczyć przemijkającą kawalkadę motocykli i samochodów z Generałem Franco. Gdy po długich oczekiwaniach kawalkada już nadjeżdżała, a tłumnie oczekujący na chodnikach ludzie wydali głośny pomruk i jęli się wychylać, aby jak najszybciej i jak

najwięcej zobaczyć, ja uniosłem trzymaną w prawej ręce kamerę, by ten orszak sfilmować. Wtedy nie wiadomo skąd pojawił się przy mnie policjant, którego przedtem tam nie widziałem, więc na wszelki wypadek spytałem go, czy mogę to wydarzenie sfilmować i on mi nie pozwolił. Pomyślałem, iż miałem pecha, że akurat nadszedł i może niepotrzebnie go pytałem, bo co on mógł odpowiedzieć. Jednak ja przez to na własne oczy, a nie przez wizjer kamery całe wydarzenie widziałem, choć nie wiem dokładnie i nikt chyba nie wiedział, w którym samochodzie jechał generał, gdyż samochodów tych przemknęło kilkadziesiąt i równie tyle z przodu i z tyłu motocykli. Lecz wydaje mi się, że generała w jednym aucie dostrzegłem i dobrze go widziałem.

Następną przygodę przeżyłem, gdy wchodziłem na prom odjeżdżający z Malagi do Melilli – hiszpańskiej enklawy w Afryce Północnej. Wszyscy wchodzili po trapie, trzymając w ręku otwarty paszport, a ktoś ze służby granicznej w cywilu tylko spoglądał na okazywane mu tak paszporty i bardzo szybko i sprawnie to szło. Gdy ja podszedłem, on pewnie zauważył jakiś mało znany mu paszport i wziął go do ręki, a po chwili nawet coś jeszcze w swoim notesie zapisał. Jednak mnie też szybko przepuścił i po niedługim czasie było już po odprawie i statek wypłynął do Afryki. Na pokładzie nawiązałem rozmowę z Francuzem w moim wieku, który bardzo wychwalał obecne rządy generała Franco i wyliczał mi jego różne udane i uznane ostatecznie posunięcia gospodarcze i polityczne. Od czasu do czasu odchodziłem od mojego rozmówcy i filmowałem delfiny, gdy blisko promu się pojawiały. Chyba po ośmiu godzinach przy płynęliśmy szczęśliwie do Melilli. Przy schodzeniu z trapu podszedł do mnie elegancki mężczyzna i spytał, czy jestem Pedro, podając jeszcze moje nazwisko w niezbyt wyraźnym, hiszpańskim brzmieniu, co jednak szybko rozszyfrowałem i potwierdziłem. Poprosił, abym poszedł z nim. Przeszliśmy kilkaset metrów i weszliśmy do dużego budynku, gdzie w obszernym biurze siedział wojskowy oficer, może graniczny albo NATO. Przejrzał mój paszport i chwilę sobie porozmawialiśmy, chyba w języku angielskim. Powiedział, że dobrze zrobiłem, iż przy płynąłem do Melilli, a nie popłynąłem, jak miałem pierwotnie zamiar, do Tangeru, bo już bym nie mógł wrócić z powrotem do Hiszpanii i musiałbym starać się tam o nową hiszpańską wizę, o czym zresztą ja sam przedtem wiedziałem. Kiedy już chciałem wyjść, spytał mnie jeszcze, gdzie mam zamiar zamieszkać. Odpowiedziałem, że oczywiście w hotelu. On jednak powiedział, że w hotelu nie ma teraz w sezonie miejsc i inni przyjeżdżają tu z namiotami w plecakach albo hotel sobie przedtem rezerwują. Odrzekłem, że jeśli rzeczywiście nie dostanę miejsca w hotelu, to będę musiał tym samym promem wracać z powrotem do Hiszpanii. On mi wtedy powiedział, żebym chwilę poczekał i on gdzieś przedzwonił, a po chwili zorientowałem się, że usiłuje mi załatwić pokój w jakimś hotelu i że mi chyba załatwił, bo podziękował rozmawiającemu. Gdy z kolei ja podziękowałem za to oficerowi i przyszedłem do tego hotelu, mówiąc, że chcę tu przez kilka dni zamieszkać, przyjmujący od razu powiedział mi, że mam przyjechać w styczniu lub w lutym, to będą w hotelu wolne miejsca, a teraz ma już rezerwację zajętą na kilka tygodni. Jak powiedziałem, że przed chwilą dzwonił tu oficer w mojej sprawie, ten od razu skłonił się prawie we dwoje i odpowiedział, że wie o co chodzi i oczywiście ma dla mnie pokój, nawet trzy do wyboru. Następnie oprowadził mnie po tych pokojach. Wybrałem ten od ulicy, bo miał piękny widok. Jednak późno wieczorem wydało mi się, że popełniłem duży błąd, wybierając ten pokój od strony ulicy, bo tu życie rozpoczyna się dopiero wieczorem i trwa prawie do rana, póki jest trochę chłodniej. Nie było więc mowy o spokojnym spaniu, gdyż biesiadnicy hotelowej restauracji, którzy powynosili stoliki i krzesła na chodnik ulicy, do rana tak hałasowali, że usnąć byłoby niemożliwością. Wtedy pomyślałem, aby miast walczyć z hałasem i zamykać okna, pójść sobie do nich na dół, co też następnie uczyniłem i przy jakimś

ochładzającym napoju „Africana” poznawałem biesiadujących tam ludzi z całego świata. Nad ranem, już bardzo zmęczony i znużony, wróciłem do hotelowego pokoju i szybko usnąłem i spałem chyba do południa, a wieczorem, po plażowaniu, zwiedzaniu miasta i parku znowu prawie do rana rozmawiałem z hotelowymi gośćmi i turystami w tej restauracji. Na mieście poznałem z widzenia jednego bardzo miłego starszego policjanta. Spotykałem go często na placu przy fontannie, gdzie zawsze uprzejmie mi się kłaniał, i widywałem go w różnych innych miejscach. Raz byłem mu szczególnie wdzięczny, bo gdy w największym i najpiękniejszym parku oblegli mnie młodociani czyścibuci, żeby mi buty wyczyścić, które przed chwilą już inny czyścibut wyczyścił i z tymi miałem teraz kłopoty, nagle pojawił się mój znajomy policjant i ich ode mnie przegonił. Może w ten sam dzień albo dnia następnego, kiedy leżałem na plaży i rozmawiałem z bardzo urodziwą młodą Marokanką, też zauważyłem zbliżającego się i spoglądającego na mnie mojego znajomego, ale poszedł sobie dalej. Jednakże skiwnął do mnie głową z daleka, trochę przydając mi tym „powagi i znaczenia” w oczach leżącej obok mnie dziewczyny. Może swoją grzecznością chciał mi się trochę przymilić, żebyśmy znowu tu jako turysta kiedyś przyjechał.

Ostatnią, już trochę innego typu przygodę miałem na wspomnianym wzgórzu Montjuich, gdy filmując park, piękne palmy na tle jeziora i inne takie romantyczne miejsca, zauważyłem na niewielkiej polanie wśród pięknych drzew i krzewów, stojących w szeregu dorosłych ludzi i przed nimi mężczyznę, który do nich coś mówił. Gdy tak sobie ten teren z trochę dalszej odległości filmowałem, jeden z mężczyzn stojących w szeregu zaczął do mnie coś mówić i pokazywać ręką, co zauważył mężczyzna, który do nich przemawiał i zaraz on do mnie w pośpiechu przyszedł. Spytał, kim jestem, a ja widząc jego zagniewaną minę, powiedziałem mu, że jestem Francuzem, sądząc, że jako ich sąsiada i przyjaciela potraktuje mnie bardziej łagodnie i ewentualnie zrezygnuje z jakichś kontroli. Ale on dalej pokrzykując, zadawał mi swoją marną francuszczyzną różne pytania i chciał, żebym wyjął z kamery i oddał mu ten film. Lecz ja powiedziałem, że jeszcze żadnych zdjęć z ich widokiem nie nakręciłem, co było rzeczywiście prawdą, więc w końcu coś bąknął na tych Francuzów i dał mi spokój, i na tym ta niezwykła przygoda w tym parku się zakończyła.

Ponieważ na początku opisu tej wycieczki wspominałem o kryształowych wazonach przeznaczonych do sprzedaży, aby mieć trochę więcej hiszpańskiej waluty na różne w tym kraju wydatki, więc, jeśli to kogoś zaciekało, opiszę jeszcze, jak te kryształy sprzedałem. Otóż po zakwaterowaniu się w hotelu Montalwa około godz. 17.00 wyszedłem sobie na spacer ulicą Zaragoza, przy której zamieszkałem. Niedaleko od hotelu zauważyłem na wystawie sklepowej stojące kryształy, zatem wszedłem do środka i chciałem porozmawiać z właścicielem tego sklepu. Sprzedawczyni powiedziała mi, że w tej chwili go nie ma, ale przed zamknięciem sklepu, może za pół godziny lub za godzinę tu będzie. Poszedłem więc dalej tą ulicą i doszedłem do Placu Major, niedaleko od wspomnianego sklepu. Siadłem pod arkadami na początku tego pięknego placu i jałem mu się z zainteresowaniem przyglądać. Za chwilę nadeszło pięć pięknych dziewczyn i widząc obok mnie wolne ławki (czy może to były jakieś krzeselka – tego już dobrze nie pamiętam), rozsiadły się blisko mnie. Od razu nawiązaliśmy rozmowę. Powiedziały, że są studentkami z Caracas w Wenezueli. Ten kraj mnie zawsze interesował, przeto te kilkadziesiąt minut chętnie z nimi rozmawiałem i nawet zaśpiewałem przy ich udziale ze dwie zwrotki bardzo lubianej przeze mnie piosenki Harry’ego Belafonte, którą niekiedy sobie sam nuciłem:

*I met her in Venezuela
With a basket on her head*

*And if she loved others she didn't say
But I knew she do, to pass away the time in Venezuela
Pass away the time in Venezuela*

*Her linger was changed but the thought of her beautiful smile
The thought of her beautiful smile
Will haunt me and taunt me for many a mile
She was my gal and she did the wale
To pass a time in Venezuela*

Potem poszedłem do sklepu. Był już w nim starszy, szpakowaty, bardzo elegancki pan, więc mu powiedziałem, że jestem Polakiem i że mam kilka takich kryształów, jakie on ma w sklepie i czy nie zechciałby mi je sprzedać, za marżą jaką on mi zaproponuje. Jednakże nie bardzo był on zainteresowany tymi kryształami, ale że był trochę gadułą, znał nieźle język francuski i angielski, zatem może chciał ze mną jeszcze trochę pogadać, bo powiedział, żebym mu przyniósł i pokazał te kryształy, skoro mieszkam tu niedaleko. Za dziesięć minut już byłem z powrotem z całą walizką kryształów. On brał z walizki wszystkie po kolei i je paznokciem, prztyczkiem opukiwał. Powiedział, że są to bardzo piękne czeskie kryształy, co mnie nieco zdziwiło, bo przecież mówiłem mu, że jestem z Polski i wiedziałem, że w Polsce również produkują takie wazony, bo nawet gdzieś na południu naszego kraju, będąc z jakąś szkolną wycieczką, byłem w hucie wytwarzającej takie kryształy i ich wyrób sam tam widziałem. Ale nie chciałem go sprostowywać ani rozpoczynać z nim jakiejś na ten temat dyskusji, żeby nie popsuć z nim rozmowy i mojego interesu. Na końcu ich przeglądania powiedział, że weźmie wszystkie kryształy z wyjątkiem jednego, który w czymś mu nie odpowiadał i włożył go z powrotem do mojej walizki. Od razu kazał ekspedientce wypłacić mi sumę, nawet wyższą niż sam to sobie wykalkulowałem. Był to dobry interes, bo mogłem już sobie teraz na wiele więcej na tej wycieczce pozwolić, niż gdybym tych kryształów zaraz nie sprzedał. Z owym pozostałym kryształem miałem sporo kłopotów, żeby go sprzedać i wozilem go ze sobą w walizce po wszystkich kolejnych miastach. Wszędzie, gdzie komuś go pokazałem, kryształ ten w czymś nie odpowiadał. Był nie takiego koloru, jak sklepikarz by chciał, lub dzwonił nie tak jak trzeba albo rozmiarem lub kształtem nie pasował. Nawet już go dwa razy sprzedałem, ale za pierwszym razem, nim jeszcze wyszedłem ze sklepu, kupujący rozmyślił się i mi go oddał z powrotem, a ja mu zwróciłem pieniądze. Innym razem sklepikarz dogonił mnie już na ulicy i całą transakcję cofnęliśmy z powrotem. Dowiozłem go aż do Palmy na Majorce i tu go sprzedałem, lecz za niską cenę, bo już nie chciałem z nim dłużej jeździć i trzymać go w swojej walizce. Wyszedłem ze sklepu i począłem iść pośpiesznym krokiem przed siebie, żeby przypadkiem ten sklepikarz mnie jeszcze nie dogonił i mi go nie zwrócił, bo już bym chyba wtedy oddał mu go za darmo w prezencie. Idąc tak szybkim krokiem przed siebie, zauważyłem na jednej pobliskiej ulicy jakieś dziwne nieswojskie widoki. Otóż zobaczyłem w otwartych na oścież oknach piękne kobiety z nagimi biustami lub siedzące na progach drzwi i ukazujące wszystkie swoje wdzięki, jakie tylko mogły. Gdy szedłem tak dalej przed siebie, podeszły do mnie dwie młode dziewczyny i jedna z nich powiedziała, żebym popatrzył, jaką ma piękną talię, a droga: jakie ma piękne nogi. Nie chciałem z nimi wiele rozmawiać, bo się trochę obawiałem, że ten sklepikarz z tym kryształem może tu jeszcze nadlecieć i dopiero sobie pomyśli, po co ja mu ten kryształ sprzedałem. W końcu wróciłem do swojego hotelu „Valencja”, zadowolony, że już miałem z głowy ten wazon.

*

Z Barcelony udałem się pociągiem do Paryża, gdzie w czasie tygodniowego pobytu zwiedziłem Luwr, Wersal i dziesiątki innych zabytków i najciekawszych miejsc. Z Paryża przyleciałem samolotem do Warszawy.

Cała wycieczka była niezwykle udana. Dużo słońca. Dużo muzyki i śpiewu przy każdej możliwej do tego okazji. Dziesiątki oglądanych ciekawych miejsc, atrakcyjnych miejscowości i kilka światowych miast. Mnóstwo pięknych gorących plaż, wiele poznanych wspaniałych dziewczyn z różnych stron świata.

Po moim ożenku, w listopadzie 1973 roku, wyjeżdżałem za granicę z żoną. Najczęściej jednak jeździliśmy do Rumunii, Bułgarii i Związku Radzieckiego, przeważnie nad Morze Czarne.

W 1978 roku przełożyłem mój urlop wypoczynkowy na rok następny i łącząc go z urlopem za 1979 rok, podjąłem zamiar wyjazdu indywidualnie w lutym i marcu do Tanzanii. Był to najodpowiedniejszy dla mnie okres, gdyż u nas w Polsce w tym czasie kończy się dłużąca się już trochę zima, a tam – według zebranych przeze mnie informacji – jest akurat kilkutygodniowa przerwa w porze deszczowej, jednak jeszcze nie tak sucha, aby zwierzęta opuściły wyschnięte już stępy i udały się na inne tereny.

Przylatując do Dar es-Salaam, z biletem powrotnym, chciałem najpierw zobaczyć Ocean Indyjski, jego plaże i wybrzeże, a potem wjechać w głąb kraju. Zamierzałem wejść na szczyt Kilimandżaro, w jakim to celu na pół roku przed zaplanowanym wyjazdem zrezygnowałem z windy i po kilka razy dziennie wchodziłem piechotą na moje dziewiąte piętro, aby bardziej wyrobić sobie kondycję we wspinaczce na górę. Przygotowałem się też na jakąś zorganizowaną wycieczkę typu fotosafari po stepie Serengeti, na którym o tej porze miało przebywać ponad trzy miliony różnych afrykańskich zwierząt stepowych. Kupiłem nawet nową japońską kamerę „Canon” do sfilmowania tych zwierząt oraz całej wyprawy. Chciałem również zobaczyć Jezioro Wiktorii.

W celu dokonania tego przestudiowałem kilka przewodników i książek na temat Tanzanii, lecz, niestety, miałem pecha, bo najbliższa ambasada tego kraju znajdowała się w Moskwie, co okazało się dla mnie wielkim utrudnieniem w zrealizowaniu tej wyprawy. Otóż, w połowie listopada wysłałem listem poleconym prośbę do Ambasady Zjednoczonej Republiki Tanzanii w Moskwie o przysłanie mi kwestionariuszy wizowych i informacji dotyczących wyjazdu do tego afrykańskiego kraju, tak jak to czyniłem, wyjeżdżając do innych państw, lecz do końca grudnia ta bardzo upragniona i oczekiwana odpowiedź nie nadeszła. Z początkiem stycznia wysłałem drugi list, tym razem zwykły – jako że słyszałem, iż takie szybciej dochodzą – z prośbą o przyspieszenie załatwienia sprawy. W drugiej połowie tego samego miesiąca uzyskałem w ambasadzie brytyjskiej w Warszawie numer telefonu do ambasady tanzańskiej w Moskwie. Kiedy udało mi się tam dodzwonić, starsza już Rosjanka odpowiedziała mi, iż w sprawie otrzymania kwestionariuszy wizowych na wyjazd do Tanzanii trzeba pisać do... ambasady polskiej w Moskwie. Jednakże pisać już było za późno. W dodatku całą tą sprawą zainteresował się kontrwywiad, więc zrezygnowałem z tej wyprawy, choć uszyłem już specjalny strój typu safari na wyjazd do Afryki. Miesiąc urlopu przeniesiony z poprzedniego roku przesiedziałem mało użytecznie w lutym w domu, a drugi miesiąc urlopu, przypadający na 1979 rok, spędziliśmy latem z żoną w Mamai w Rumunii.

W trzeciej dekadzie czerwca i przez trzy tygodnie lipca 1980 roku byliśmy z żoną w bardzo ciekawej podróży po Finlandii, Norwegii i Szwecji. Popłynęliśmy promem „Silesia” z Gdańska do Helsinek, a stamtąd swoim samochodem przepiękną trasą, wśród zachwycających jezior i soczystej zieleni ruszyliśmy na podbój Północy. Po przekroczeniu kręgu polarnego jechaliśmy dalej na północ przez baśniową, mało zamieszkałą tajgę i cudowne, niczym z westernowskich filmów osady i miasteczka,

takie jak Kemijarvi, Sodankyla, Ivalo i Inari. W tym ostatnim zatrzymaliśmy się przez trzy dni nad wielkim jeziorem o tej samej nazwie – Inari. Nim dojechaliśmy tu, zaliczyliśmy po drodze parę fińskich saun i kopalnię złota w Tankavaara przed Ivalo. Wykopaliśmy i wypłukali w niej kilka małych grudeczek tego kruszcu, które nam na miejscu przyklejono przezroczystą taśmą na dwóch pamiątkowych kartonikach.

Jadąc dalej na północ, gdzieś niedaleko za miasteczkiem Utsjoki, przejechaliśmy granicę fińsko-norweską, nie zauważywszy kiedy, gdyż nie było na niej nie tylko celników, strażników i rogatek, ale nawet nie spostrzegliśmy jakiegoś napisu, który by informował o jej przekraczaniu. Ponieważ od samego przyjazdu do Finlandii w nocy było widno, a teraz nawet o północy świeciło słońce, więc nie baliśmy się spać w najbliższych okolicach, chociaż często rozbijaliśmy namiot tylko sami.

Pewnego wieczoru mieliśmy wszak nie całkiem miłą historię związaną z nocnym biwakowaniem, kiedy byliśmy jeszcze w Finlandii, ale już na dalekiej północy, gdzie kempingi spotykaliśmy rzadziej. Zmęczeni wielogodzinną jazdą, dostrzegamy urocze jezioro, a przy nim kawałek wolnego od zarośli brzegu, do którego prowadzi polna, choć rozjeżdżona również samochodami droga. Przybywamy pod samo jezioro i rozkładamy namiot. Widzimy po pustych puszkach i innych opakowaniach, że nie jesteśmy pierwszymi gośćmi, którzy odwiedzili to miejsce w tym co i my celu. Gdy namiot mamy już rozpostarty, zauważamy, że podjeżdża do nas samochód z fińską rejestracją. Wychodzi z niego wysoki, tęgi mężczyzna i coś do nas mówi po fińsku. Niewiele co umiem w tym języku, ale pojmuję, iż jest on właścicielem tego terenu i nie podoba mu się to, że urządziliśmy tu sobie biwak na noc. Próbuję coś tłumaczyć po angielsku, niemiecku i po rosyjsku, ale on mało z tego rozumie. W końcu zaczynam po fińsku i mówię: – Camping matka pitka – co w tym języku oznacza: kemping daleko stąd (dosłownie: droga daleka). Chyba poskutkowało, bo Fin zaprzestaje wymachiwania rękami i mówienia podniesionym głosem. Może udobruchany tym, że spotyka zagranicznego turystę, który chociaż coś umie powiedzieć po fińsku, wyraża zrozumienie sytuacji i przyznaje: – Yes, camping pitka matka. Przyjaznym gestem i uśmiechem zezwala na pozostanie, mówi good-bye i odjeżdża. My kończymy rozkładanie swoich rzeczy i postanawiamy, że miejsce to pozostawimy takie, jak było – nie zostawimy po sobie nawet nie dopalanej zapalniczki. Rano wyzbieraliśmy jeszcze wszystkie puszki i opakowania pozostawione przez poprzednich „turystów”, które potem wyrzuciliśmy gdzieś do przydrożnego kosza na śmieci.

Wspominając o kempingach w Finlandii, przypominam sobie kilka z nich, na których była sauna. Czasami nie mogliśmy wtedy przy namiocie spokojnie posiedzieć albo nad czymś się skoncentrować, bo ciągle paradowali przed nami często zupełnie nadzy ludzie, udający się lub wracający już z tego przybytku albo wybiegający z sauny do zimnej wody w jeziorze.

Jednak przyjemnie było na kempingu, po kolacji, siąść przed namiotem na kawkę i porozmawiać z ludźmi z różnych krajów; posłuchać ich poglądów, zainteresowań, co na trasie zwiedzili, czego żałują, że nie zobaczyli, dokąd następnie pojedą, gdzie już byli i co koniecznie muszą jeszcze zobaczyć. Mimo że nie jeździłem najnowszym modelem i najznakomitszej marki samochodem i nie miałem jakiegoś nadzwyczajnego namiotu, to często siedziało przy nim wielu turystów chętnych do pogawędki z nami przy kawce. Z każdym wszak, kto opanował chociaż jeden znany język europejski, mogłem się porozumieć i porozmawiać. Nierzadko w porozumiewaniu się pomagałem jeszcze innym uczestnikom naszych wieczornych pogawędek przy kawie, kiedy np. ktoś znał wyłącznie język angielski, a kto inny tylko francuski. Czasami było dużo osób znających po kilka języków i choć wyglądało to nieraz na istną wieżę Babel, to przynajmniej nikt się nie nudził i wszyscy brali udział w dyskusji. Potem pozdrawialiśmy się już na trasie czy spotykaliśmy się na innych

kempingach lub biwakach. Później przesyłaliśmy poznanym osobom do domu widokówki albo listy z pozdrowieniami z miejsc, w których aktualnie przebywaliśmy, lub też wysyłaliśmy kartki na święta.

W Norwegii pojechaliśmy do Vadso i Vardo nad Morzem Barentsa, potem zawróciliśmy i udaliśmy się po stromych i przepastnych nadmorskich zboczach i urwiskach do Berlevag. Tam nad morzem rozbiliśmy namiot na porośniętym chrobotkiem wzgórzu i obserwowaliśmy pasące się w oddali renifery. Po przespanej „nocy” ruszyliśmy przez prawie nagą, porośniętą tylko mchem tundrę w kierunku Nordkapp, czyli Przylądka Północnego. Dotarliśmy do niego po trzech dniach, jadąc nie najlepszymi drogami oraz tunelami i promami. Z tego wzniesionego kilkaset metrów ponad morze cypla wraz z setkami turystów z całej Europy i spoza naszego kontynentu oglądaliśmy piękne i wysoko świecące słońce o północy. Jadąc z przylądka na południowy zachód, odwiedziliśmy najbardziej wysunięte na północ Europy miasto, niezwykle oryginalny Hammerfest, a podróżując dalej, spędziliśmy kilka dni na cudnym kempingu w Alta.

Podążając tą północną drogą, jechaliśmy wzdłuż brzegów ponad trzydziestu oczarowujących fiordów, niekiedy je całe okrążając, oraz obok wielu malowniczych, sino-zielonych, porośniętych tylko mchem wysokich wzniesień. Reisafjorden będą chyba szczególnie długo pamiętał. Otóż, kiedy po przejechaniu miasteczka Nordreisa zaczęliśmy rozglądać się za miejscem na nocny biwak, ujrzyliśmy wąską drogę biegnącą w prawo od naszej trasy w kierunku tego fiordu. Wjechaliśmy więc w nią i przebyliśmy kilkaset metrów. W dogodnym miejscu zjechaliśmy na prawo z drogi i ustawiliśmy nasz namiot. Było to niezwykle urzekające, ale też bardzo dzikie ustronie. W dole przed nami huczał fiord uderzającymi o brzeg spienionymi falami. Obok, po prawej stronie, może ze dwadzieścia metrów poniżej nas, płynęła do niego niewielka rzeczka. Po lewej stronie drogi wznosiło się najpierw łagodnie, a potem bardzo stromo wysokie wzgórze, porośnięte z rzadka niskimi świerkami. Po sporządzeniu na gazowej kuchence kolacji poszliśmy zwiedzić najbliższe okolice. Jako że do brzegu fiordu trzeba byłoby schodzić kilkadziesiąt metrów po bardzo stromych zboczach i urwiskach, więc nawet nie próbowaliśmy tego czynić. Zeszliśmy przeto do płynącego wartko potoku i pospacerowaliśmy nad nim kilkanaście minut. Napotkaliśmy na jego brzegu około metrowej długości szkielet łososia. Zastanowiło mnie to, iż prócz głowy był on w całości i nie brakowało mu chyba żadnej kosteczki, jakby był objedzony przez ptaki albo owady. Po drugiej stronie drogi, niedaleko naszego biwaku, ujrzyliśmy wysoki kamienny nagrobek, stojący na rodzinnym grobie jeszcze z ubiegłego wieku. Cała okolica niezmiernie ciekawa, ale też niezwykle posępna i odosobniona. Po spacerze udaliśmy się do namiotu na nocny wypoczynek. Czując się trochę osamotnieni słuchaliśmy, jak fale fiordu mocno biją o brzeg, a silny, gwizdzący wiatr zawodzi po wzgórzu, ponad nami i całą okolicą. Po kilku kwadransach usnęliśmy, a jako że byliśmy zmęczeni, spaliśmy mocno. Może po pięciu lub sześciu godzinach obudził mnie jakiś głos i ukazujące się w okienku namiotu słońce, które teraz świeciło prosto na nas. Wiatr się uspokoił, było cicho, tylko że coś we śnie usłyszałem w pobliżu namiotu. Gdy już przebudziłem się na dobre, znowu usłyszałem. Było to bardzo zawadiackie porykiwanie jakiegoś zwierzęcia, które dochodziło od strony wzgórza – akurat ze strony przeciwnej, niż znajdowało się okienko w namiocie. Maryla jednak nie słyszała i spała sobie spokojnie dalej. Zastanawiałem się, cóż to za zwierzę może być? Przypominając sobie moje częste wizyty w zoo i podglądanie zwierząt w klatkach przed cyrkami, najbardziej kojarzyło mi się to z porykiwaniem niedźwiedzia. Również jak tamte w klatkach nasz gość był bardzo oszczędny w tym porykiwaniu i trzeba było długo czekać, nim znowu raczy dać znać o sobie, napędzając mi już wielkiego strachu. Wszakże założenie, że jest to niedźwiedź, nasuwało pewne wątpliwości. Wybierając

się w tę podróż, to oprócz oglądanych tu reniferów liczyłem się ze spotkaniem łosia, których w samej Finlandii miało być ponad siedemdziesiąt tysięcy, albo rosomaka, jednak żadnego z nich nie widzieliśmy. A tu masz – miałyby się pojawić jakiś niedźwiedź, oczywiście że nie biały, tylko któryś z gatunku brunatnych. Ale cóż robiłby tu miś na tak dalekiej północy? Musiałby przecież ponad połowę swego życia przespać, a to nie wydawało mi się możliwe. Może na zimę schodzi gdzieś bardziej na południe półwyspu albo usypia tylko na czas silnych mrozów? – rozmyślałem. Wszelako przypominałem sobie, że na Alasce – kraju o zbliżonej szerokości geograficznej – żyją niedźwiedzie, jak na ten temat nieraz czytałem. Jednakże Alaska na tej szerokości to kraina pokryta wiecznym lodowcem i niedźwiedzie brunatne żyć tam nie mogą. Ale tu przecież – kontynuowałem swoje rozważania – dzięki Gofsztromowi lodowca nie ma i zimy wcale nie są takie mroźne, więc niedźwiedzie brunatne żyć by mogły. Zatem musi to być miś, który może chciał zejść do potoku i połowić łosie. Jest pewnie teraz bardzo niezadowolony, że znajdujemy się na jego terenie, na jego drodze do potoku, i zastanawia się, co z nami zrobić. Dlatego też bałem się nawet poruszyć, żeby nie dodać mu jakiegoś impulsu do ataku na nas. Tym bardziej bałem się wyrzeć z namiotu albo obudzić Marylę, aby rozmową nie narobić hałasu. Miałem wszak myśl, by szybko wyskoczyć z namiotu, wpaść do samochodu, zacząć trąbić klaksonem, jeździć i warczeć silnikiem na pełnym gazie i w ten sposób go wystraszyć. Ale nie bardzo mogłem sobie przypomnieć, gdzie położyłem kluczyk do samochodu i obawiałem się, czy przypadkiem jego szukanie nie zajęłoby mi chwilę czasu za długo, gdyż zwierzę mogło być bliżej niż pięćdziesiąt metrów od nas. Postanowiłem więc sytuację przeczekać i chyba rzeczywiście dobrze zrobiłem, bo pomrukiwania misia cichły, co oznaczało, że odchodzi do lasu. Gdy rano wstaliśmy i opowiedziałem tę historię Maryli – była nią niemało zatrzwożona. Jak po drodze kogoś spytałem, czy bywają w tych okolicach niedźwiedzie, odpowiedziano mi, że tak, oczywiście. Ja wszak dalej nie mogę w to w pełni uwierzyć i gdy jestem w zoo czy w cyrku lub oglądam jakiś program telewizyjny o niedźwiedziach, czekam, kiedy miś zaryczy, i w myślach porównuję, czy to ten sam głos.

W Skibotn zawróciliśmy na południe do Finlandii. Zanim przyjechaliśmy z powrotem do Helsinek, zwiedziliśmy Kirunę, wjeżdżając na dwa dni do północnej Szwecji, potem Rovaniemi w Finlandii i wiele jeszcze innych miast i miejscowości w tym kraju. Dwie noce spędziliśmy na jednej z Wysp Alandzkich, na którą dojechaliśmy przejeżdżając przez pięć czy sześć innych wysepek, a przestrzenie wodne między nimi przepływając promami.

Wojażując przez Finlandię i Norwegię łowiliśmy łosie w tamtejszych rzekach, a na przydrożnych, bardzo oryginalnych i ciekawych straganach kupiliśmy poroże i skórę renifera. Z Helsinek wróciliśmy promem do Gdańska.

Następnego roku pojechaliśmy samochodem na ponadmiesięczną wycieczkę do Włoch. Opisując krótko tę podróż, wspomnę tylko, że przez kilka dni przebywaliśmy w nadzwyczaj pięknej Genui i przez dwa tygodnie na Sycylii – w Palermo, Sciacca, Agrigento i jeszcze raz w Palermo, potem w Katanii, Taorminie i Messynie. Przebywając w Katanii, podziwialiśmy wspaniałą plażę z malowniczym widokiem na Etnę, na której zbocza jednego dnia wysoko weszliśmy. Dotarliśmy natomiast do samego wierzchołka i krateru Wezuwiusza, kiedy byliśmy w Neapolu i Pompei. W czasie tego wyjazdu zwiedziliśmy dziesiątki innych miast we Włoszech, Austrii, Szwajcarii i Jugosławii.

Będąc w Rzymie, nie widzieliśmy Ojca Świętego, Jana Pawła II. Przebywał on w tym czasie na rekonwalescencji w letniej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo po zamachu na Placu św. Piotra, a następnie przebytej operacji w maju tegoż 1981 roku. Bardzo nam było żal naszego papieża i że będąc w Bazylice św. Piotra, nie

możliśmy go zobaczyć. Jakby na domiar tej mrocznej historii, jadąc w tę podróż, zatrzymaliśmy się 13 lipca wieczorem w hotelu „Brda” w Bydgoszczy. Rano, gdy poszliśmy do hotelowej restauracji na śniadanie, usiadł przy następnym stoliku jakiś młody cudzoziemski zakonnik. Siedział sam, blisko nas. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na niego. Widząc, że jest cudzoziemcem i siedzi samotnie, a innych gości w pobliżu nie ma, miałem chęć go jakoś pozdrowić, coś do niego powiedzieć, ale nie bardzo wiedziałem co, a może też nie wydawało mi się to stosowne. Później, chyba po roku, przeczytałem w gazecie i rozpoznałem na zdjęciu, iż był to ksiądz Juan Fernandez Krohn z Hiszpanii, który na tę noc również wynajął sobie pokój w tym hotelu. Jak wiadomo, był on następnym, na szczęście niedoszłym zamachowcem na papieża Jana Pawła II.

Tak już bowiem jest, że wielkie i czyniące światu dużo dobrego osobowości czasami przez takie wydarzenia muszą iść, pragnąc tworzyć godniejsze i szczęśliwsze życie wszystkim ludziom.

Ojca Świętego widzieliśmy jednakże przedtem, w czasie pierwszej wizyty w Warszawie i w Gnieźnie i wielokrotnie później podczas wspaniałych nabożeństw, modlitw, homilii i przemówień w różnych miastach w Polsce, w tym także w Gdyni i w Gdańsku.

Dzisiaj już jest wiadome, że gdyby nie było naszego papieża Jana Pawła II i jego homilii w czasie pierwszej wizyty w czerwcu 1979 roku w Warszawie i kilku innych miastach w Polsce, to na pewno nie byłoby porozumień sierpniowych w Gdańsku i powstania oraz zalegalizowania NSZZ „Solidarność” w 1980 roku. Choć potem były jeszcze dalsze opory władzy, starcia, manifestacje, strajki oraz stan wojenny i strzelanie do protestujących górników w 1981 r., to w 1989 roku musiało już dojść do obrad „Okrągłego Stołu”, a następnie do częściowo wolnych wyborów, podczas których Tadeusz Mazowiecki został pierwszym opozycyjnym, solidarnościowym premierem. Doszło do zmiany konstytucji, powstania Rzeczypospolitej Polskiej oraz zasadniczych zmian politycznych, społecznych i ekonomicznych w Polsce, o co tak długo i bohatersko walczone.

Teraz nie mamy już tak wielkiego Anioła Stróża, jakim był dla nas papież Jan Paweł II, i musimy wszyscy sami być bardzo solidarni i mocno czuwać, aby wszystko dobrze działało się w naszym kraju.

Od czasu tego wyjazdu do Włoch sam albo z żoną i starszym synem wyjeżdżałem prywatnie jeszcze kilka razy na wycieczki zagraniczne, ale były to już wyjazdy tylko do krajów demokracji ludowej, przeważnie do Rumunii.

*

Po napisaniu niniejszej książki (w sierpniu 1991 roku, pierwsze wydanie ukazało się we wrześniu 1995 r., a potem kilka następnych poprawionych oraz uzupełnionych przeze mnie wydań) pytano mnie, dlaczego ten ostatni rozdział potraktowałem bardziej ogólnikowo. Żądano różnych dodatkowych wyjaśnień, a między innymi pytano, skąd miałem pieniądze na tak częste wyjazdy zagraniczne, czy ktoś mi pomagał w ich realizacji lub co ja w czasie tych podróży faktycznie robiłem?

Przeprosiłem więc za to w pierwszym wydaniu książki, pragnąc wyjaśnić, że ten ostatni rozdział potraktowałem jako epilog. Wydawał mi się on też mniej interesujący: bez jakiejś szczególnej walki życiowej i tych przeróżnych zrządeń losu, doświadczanych tak bardzo we wczesnej młodości. Nie były to również lata, w których by się u mnie wiele widowiskowego coś działo i był to raczej spokojny okres mojego życia, jakie większość ludzi w tym wieku prowadzi. W dalszym ciągu bardzo interesowałem się sportem, chodziłem na mecze piłki nożnej, a przede wszystkim oglądałem w telewizji wszelkie mistrzostwa i mecze futbolowe naszej drużyny narodowej, która osiągała wielkie sukcesy na stadionach krajowych i światowych. Ani

żona, ani ja nie paliliśmy tytoniu i prawie nie piliśmy alkoholu, więc towarzystwa było niewiele. Przyjęcia wyprawialiśmy tylko okazjonalnie i na takie też niekiedy chodziliśmy. Była więc tylko praca, wychowywanie dzieci, budowa domu, działka, wycieczki, pisanie moich wspomnień, szkoła i wywiadówki w szkole, nie zawsze cieszące. Życie codzienne, jakie zwykle się obserwuje. Zatem tę bardziej zaciśną część mojej biografii jedynie mniej lub bardziej dokładnie zarysowałem, aby tylko ogólnie i to co trochę ciekawsze, a przede wszystkim najważniejsze, ukazać. W niniejszym wydaniu dopiszę tu również, że w 2001 roku moja małżonka zmarła na przerzut nowotworu, podobnie jak na choroby takie zmarła jej babka i matka. Była na oddziale neurochirurgii pod obserwacją i badaniami wyśmienitego neurochirurga, ale zrezygnowano z trudnej, bardzo skomplikowanej i ryzykownej operacji, mogącej doprowadzić do większego powikłania choroby, choć długo rozpatrywano jej wykonanie.

*

Sądzę, że na pytanie: Skąd miałem pieniądze na tak częste kiedyś wyjazdy zagraniczne, większość ludzi żyjących niegdyś w PRL umie sobie łatwo odpowiedzieć, a tym, którzy nie są w tych sprawach dostatecznie zorientowani, podpowiadam, iż najczęściej wyjeżdżający wówczas za granicę rodacy zarabiali na swoje podróże tymi właśnie wyjazdami. Polacy wtedy, podobnie jak i obywatele innych państw Europy Wschodniej, wyjeżdżając na Zachód, imali się tam jakiejś pracy zarobkowej albo dla pozyskania twardych walut dopomagali sobie drobnym handlem. Nie można było przecież w minionym ustroju pozyskać dewiz w jakiś legalny i ogólnie, każdemu dostępny sposób (udało mi się jedynie raz wykupić w banku, i to tylko 40 dolarów, przy wyjeździe do Hiszpanii), więc dla ich zdobycia wyjeżdżający za granicą pracowali albo handlowali, a handlować wtedy nader się opłacało. Jadąc przykładowo do Rumunii, to podobnie jak udając się do wielu innych państw demokracji ludowej, można było wywieźć i dobrze tam sprzedać różne nie używane już swoje rzeczy, i tak jak do każdego innego kraju można było z Polski wywieźć 250 papierosów na jedną dorosłą osobę. I gdy nawet wwiózł ktoś do Rumunii tylko 200 sztuk (bo tyle tylko można było tam wwieźć), czyli jeden karton papierosów, szczególnie długich amerykańskich „Kentów” w twardych pudełkach, który mógł kupić u nas, przynajmniej w Gdyni, za 2000 zł, to sprzedając je tam, otrzymywał 600-700 lei. Za pieniądze te kupował w Rumunii 20 bawełnianych, chyba chińskich podkoszulek (bo z naszego obozu tylko Rumuni utrzymywali wówczas dobre kontakty polityczne i handlowe z CHRL), które, jeśli miały atrakcyjne wzory, mógł w Polsce, w 1982–84 latach, sprzedać za 80000 złotych, to jest po 4000 zł za sztukę. Pokrywał więc koszty całej wycieczki, wynoszące w tym czasie około 20000 zł, i jeszcze sporo na tym zarobił – o wiele razy więcej i swobodniej niż na niemal powszechnym kupowaniu tam dolarów czy innych zachodnich walut. Takie były wówczas dziwne czasy, a podobny handel stanowił dla większości turystów jedyną szansę podróżowania. Nie było to chwalebne, ale też nie w każdym przypadku było prawdą, że wyjeżdżający turysta nic za granicą nie widział, niczym innym nie zajmował się i o niczym więcej nie myślał jak tylko o handlu. Mógł on sprzedać karton papierosów i kupić dwadzieścia podkoszulek w piętnaście minut, najczęściej w tym samym sklepiku czy przyplażowym kiosku, i cały ten handel potraktować jako jeszcze jedną dodatkową przygodę na wycieczce. Muszę tu wszelako powiedzieć, że jeśli ktoś chciał coś sprzedać w Rumunii, czy nawet w innym, o wiele liberalniejszym kraju, to nie mógł tego dokonać zupełnie otwarcie, tak jak czynią to obecnie, prawie na każdym miejscu, obywatele obcych państw w Polsce.

Gdy przeciętny turysta jechał na Zachód, to musiał kupić dewizy na czarnym rynku w Polsce. Na przykład za zarobione 60000 zł w Rumunii mógł nabyć 100

dolarów. Jeżeli tego nie starczyło, musiał na wyjeździe gdzieś zapracować albo sprzedać kocię z bursztynu lub wazon kryształowy. Artykuły te mógł bowiem dużo taniej kupić w „Peweksie” lub w „Baltonie” w Polsce, niż w krajach zachodnich one kosztowały, i wówczas wywieźć je z kraju z kwitem zakupu, lub też i bez takiego poświadczenia, ale wtedy w małych ilościach, nie wzbudzających sprzeciwu celników.

Jeśli ktoś miał szczęście, mógł próbować gry w ruletkę, co też wielokrotnie udanie czyniłem w wielu europejskich kasynach. Ale, gdy raz dużo przegrałem, poniechałem tej zabawy.

Wybierając się na Zachód, starałem się raczej o dewizy w kraju. Będąc za granicą, poza sporadycznym handlem i dogrywaniem trochę grosza w kasynach zajmowałem się tylko turystyką, gdyż żaden wywiad ani kontrwywiad nigdy za granicę mnie nie wysyłał ani na wyjazdach nie zlecał mi jakiegokolwiek zadania, co przecież dzisiaj można byłoby sprawdzić.

Jeździłem, bo kiedyś było to moim największym marzeniem, na realizację którego musiałem przecież tak długo czekać.

*

Teraz wolny czas spędzam w swoim przydomowym ogródku lub na spacerach w różnych ciekawych miejscach w Trójmieście, albo nad morzem. W 1994 roku wyjechałem z rodziną w Bieszczady. Po drodze byliśmy w Mikołajkach i urokliwym Augustowie oraz w Puszczy Białowieskiej, gdzie zwiedziliśmy z przewodnikiem ścisły rezerwat przyrody. Puszcza ta jest bardzo wielkim obszarem leśnym o charakterze lasów pierwotnych, gdzie można spotkać multum gatunków drzew i innej roślinności oraz wiele różnych zwierząt. Największą atrakcją puszczy są żubry, które można czasami zobaczyć w lesie albo nawet natrafić na te zwierzęta przekraczające szosę prowadzącą do Białowieży lub drogę z Hajnówki do Narewki. Z dumą zauważyliśmy, że choć przejechaliśmy wiele różnych lasów w całej Europie, to takiej ślicznej puszczy, z tak majestatycznymi zwierzętami jak żubry, nigdzie nie widzieliśmy.

W Bieszczadach spędziliśmy ponad tydzień czasu w bardzo urzekających górach oraz dzikich ostępach i uroczysskach leśnych. Mieszkaliśmy w małym hoteliku w Ustrzykach Górnych i w kilku schroniskach Bieszczad. Przejechaliśmy się parę razy dużą i małą obwodnicą, bo tak bardzo nam się podobała. Następnie dwa dni spędziliśmy nad Jeziorem Solińskim, skąd udaliśmy się w drogę do jednego z najpiękniejszych miast Europy – Krakowa. Po kilku dniach spędzonych w tym mieście pojechaliśmy do byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a po jego zwiedzeniu do byłego mojego obozu pracy w Wesołej, oddalonej o ponad dwadzieścia kilometrów od Oświęcimia. Niestety, gdy zatrzymaliśmy się na szosie, przy której był on kiedyś położony, nikt nie wiedział nawet, gdzie on się dokładnie znajdował. – To chyba było tam, gdzie obecnie rosną te drzewa – powiedział jeden z grupy pytanych mężczyzn. Ogarnęło mnie dziwne i irracjonalne uczucie. Po wyjściu z niego długo jeszcze koszmarne śnił on mi się po nocach, ale teraz, jak już tu jestem, dałbym wiele, żebym mógł się przez chwilę przejść po zalanej słońcem drodze, niegdyś przebiegającej przez ten osobliwy obóz oraz przypomnieć sobie te ciężkie czasy. Na noc wyszukaliśmy pokój w hotelu w Katowicach, a rano pojechaliśmy do Zakopanego, w którym dawno nie byliśmy. Po kilku spędzonych tam dniach ruszyliśmy w drogę powrotną do domu, zwiedzając po drodze Częstochowę i Jasną Górę oraz zatrzymując się na jeden dzień i dwie noce w Warszawie.

W 1995 roku wybraliśmy się do moich dawnych miejscowości, aby po dłuższym czasie je znowu odwiedzić. Byliśmy w Kwidzie. Z naszej rodziny od prawie trzydziestu lat nikt już tu nie mieszkał. W miejscu, gdzie stał nasz dom, ktoś założył pasiekę i pszczoły latały po byłej naszej posesji, pobliskim polu i lesie. Odwiedziliśmy

pana Bolesława i z nim oraz jego małżonką chwilę pogawędziliśmy. Dowiedziałem się, że mój jedyny kolega w tej wsi, Zygmunt, zginął, będąc jeszcze kawalerem w młodym wieku, przy wyrębie lasu.

– A co z pozostałą rodziną? – spytałem.

– Babcia ich – odpowiedział Bolesław – dawno już zmarła. Rodzice również w młodym jeszcze wieku poumierali, najmłodszy Jasio zmarł w Kętrzynie, a najstarszy brat, Genek, mając dwadzieścia kilka lat powiesił się w Kruszewcu koło Kętrzyna. Nikt już z nich nie pozostał.

Przejeżdżaliśmy przez Karolewo. Wydało mi się teraz jakieś niewielkie, choć przybyło dużo nowych budynków. Wszedłem do kancelarii szkoły, aby odebrać pozostałe tam moje dokumenty, ale, niestety, ktoś je uprzątnął i sekretarka nie mogła ich znaleźć, mimo że szukała długo i wszędzie. Jednakże spotkała mnie w szkole bardzo miła niespodzianka, bo ówczesnym naczelnym jej dyrektorem był pan Ryszard Artysiewicz z Kwidy, młodszy brat Edka, o którym przedtem wspominałem. Zaprosił mnie do swojego gabinetu, gdzie serdecznie sobie porozmawialiśmy.

Następnie pojechaliśmy do Serpelic. Po wyjściu Janki za mąż ojciec z macochą przenieśli się z Kwidy w 1968 roku z powrotem do tej wsi. Macocha jednak niedługo potem uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, po którym, zabrana przez córki na Mazury, wkrótce zmarła i została tam pochowana. Ojciec dożył osiemdziesiątki. Zmarł w grudniu 1978 roku i został pochowany przy grobie matki na cmentarzu w Konstancynie. W 1994 roku zmarła również Cześka. Ją też pochowano na tym cmentarzu, dokąd zaraz po przyjeździe udaliśmy się.

Po śmierci matki głównie Cześka przejęła rolę opiekunki nad młodszym rodzeństwem w domu. Później wyszła ona szczęśliwie za mąż i wychowała pięcioro udanych dzieci. Ojciec po owdowieniu również dzielnie stawił czoła zwiększonym obowiązkom w gospodarstwie i w domu. Był dla nas bardzo czuły, opiekuńczy i we wszystkim zaradny. Po moim wyjeździe z domu często odwiedzałem ojca w Kwidzie, a później także w Serpelicach po jego przeprowadzce do tej wsi. Ojciec nie otrzymywał emerytury ani żadnej renty czy innej zapomogi i żył z niewielkich oszczędności, z szewstwa, uprawy swojego ogródka i hodowli drobiu. Kiedy był już starszy, przez sześć ostatnich lat przysyłałem mu regularnie pieniądze na utrzymanie. Bardzo radował się, gdy go odwiedzałem w Serpelicach i w szpitalu w Łosicach. Z każdej podróży wysyłałem mu widokówki z pozdrowieniami, które on mi potem z wielką uciechą pokazywał. Nieszczęśliwie, z powodu poważnej awarii samochodu na trasie, trochę spóźniłem się na jego pogrzeb, czego do dzisiaj nie mogę sobie zapomnieć. Całość pola i gospodarstwa po matce i ojcu w wielkiej rodzinnej zgodzie pozostawiliśmy Czeście mieszkającej w sąsiedniej wsi, w Zakalinkach. Nikt niecierpliwie nie oczekiwał na ojca spuściznę i nikt teraz się nie spierał o pozostawiony spadek.

W Serpelicach, które bardzo od naszego wyjazdu zmieniły się, nie spotkałem mojego najbliższego w młodości druha, Antka. Podobnie jak wielu innych byłych kolegów wyjechał ze wsi. Mieszkał już od dłuższego czasu ze swoją rodziną w Chełmie, gdzie – jak mówił jego starszy brat Stach – został elektrykiem i dobrze mu się powodzi. Widywałem go parę razy przedtem, kiedy odwiedzałem Serpelicę. Spotkałem jednak kilku moich kolegów z tamtych lat, z którymi mile porozmawiałem.

Opisując dalsze losy moich braci w Kwidzie, wspomnę, że Stach po powrocie z wojska i niedługim czasie gospodarowania przy ojcu wyjechał na Górny Śląsk, ożenił się i podjął pracę w kopalni węgla kamiennego, a potem – jak to kiedyś ciotka Helena wywróżyła – został kolejjarzem. Po kilku latach uległ jednak wypadkowi przy przetaczaniu wagonów i przeszedł na rentę, do której jął dorabiać jako kaletnik w swoim warsztacie.

Zbyszkowi wróżka też przepowiedziała dość trafnie przyszłość, gdyż wśród wielu miejsc pracy najdłużej, bo ponad dwadzieścia lat, pływał jako marynarz na statkach handlowych i pasażerskich po morzach i oceanach.

Mnie ciocia Helcia tylko częściowo przepowiedziała prawdę, bowiem pilotem nie zostałem, ale samolotami dużo po świecie latałem.

Jednakże nikt z nas nie wygrał – jak zostaliśmy zasugerowani przez wróżkę – dużej sumy pieniędzy, nie znalazł ani nie wykopał skarbu, ale jakoś tam sobie żyjemy, choć i owszem, niejeden szczęśliwy przypadek nam się w życiu zdarzył.

*

1 lutego 1996 roku przeszedłem na emeryturę. Nastąpiło to akurat w tych kilku latach, kiedy emerytury obliczano od zaniżonej kwoty bazowej, ale mają to kiedyś wyrównać do emerytur z innych lat, choć stracone kwoty i procent od nich nie będą zrekompensowane. Przeszedłem na emeryturę po czterdziestu latach pracy zawodowej – w tym prawie trzydzieści dwa lata bardzo ciekawej pracy w przedsiębiorstwie maklerskim w Gdyni. Rozpocząłem pracę jako zwykły urzędnik (klark), a skończyłem na stanowisku dysponenta zmiany klarującej. Najbardziej jednak pamiętam klarowanie statków, kiedy to przez całą dwunastogodzinną zmianę chodziłem lub jeździłem po porcie i, wraz z funkcjonariuszami Urzędu Celnego oraz oficerami Granicznej Placówki Kontrolnej (GPK, przedtem WOP-u), odprawiałem na wejściu do portu lub na wyjściu w morze statki handlowe, pasażerskie, turystyczne i tylko obce statki rybackie. Odprawy takie zwykle odbywały się w bardzo przyjemnej atmosferze, zazwyczaj przy zastawionym stoliku, z „whisky and soda” lub „Courvoisierem” włącznie, chociaż ja akurat za alkoholem nie przepadałem, zresztą często jeździłem samochodem. Bardzo przyjemnie było w czasie takiego klarowania załatwiać swoje sprawy służbowe i rozmawiać z kapitanem – ewentualnie jeszcze z armatorem lub jego przedstawicielem – oraz z oficerami i pozostałą załogą statku. Przebywając przez cały okres mojej pracy (również przy innych okazjach niż klarowanie) na kilkudziesięciu tysiącach statków wszelkich bander, poznałem chyba obywateli z wszystkich państw świata i setek narodowości.

Ale przede wszystkim poznałem wielu wspaniałych ludzi zatrudnionych w tym przedsiębiorstwie, zarówno pracujących w biurze portowym i głównym w Gdyni, jak i w Gdańsku – Nowym Porcie, w którym pracowałem przez ponad dwadzieścia lat.

W ramach naszej pracy wypływalismy w rejsy szkoleniowe w celu zapoznania się z organizacją, zwyczajami i systemem pracy agentów i maklerów morskich w zagranicznych portach. W 1974 roku wypłynąłem na takie szkolenie statkiem m/s „Syrenka”, zawijając do Goeteborga, Malmoe, Hoegeness i Kopenhagi, a w 1984 r. odwiedziłem w ten sposób Kilonię, Rotterdam i Antwerpię. Wyjeżdżaliśmy też na kilkumiesięczne praktyki szkoleniowe do biur tych maklerów i agentów, zwłaszcza w dużych portach europejskich, na jakiej ja również byłem.

Myślę, że to moje przedsiębiorstwo było takim zakładem pracy, jakiego poszukiwałem, i spełniłem w nim wiele z moich młodzińskich dążeń i marzeń. Wielce zainteresowała mnie praca w tym przedsiębiorstwie i przepracowałem w nim ponad trzydzieści lat, z czego byłem i jestem bardzo zadowolony. Często więc teraz, na emeryturze, idę do portu w Gdyni lub jadę do Nowego Portu w Gdańsku i mile sobie wspominam to bardzo ciekawe życie i najróżniejsze przeżycia z tych lat.

*

Od początku stycznia do połowy kwietnia 1986 roku przebywałem na praktyce zawodowej w GAL-u (Gdynia America Shipping Lines Ltd) w Londynie. Poza godzinami spędzonymi w biurze zwiedzałem miasto, zabytki, galerie, muzea i spisywałem wspomnienia z moich młodych lat, przygotowując się do napisania w przyszłości swojej biografii. W marcu i kwietniu, gdy było już cieplej, dużo

spacerowałem także po miejskich parkach i nad jeziorem Serpentine, znajdującym się między Kensington Gardens a Hyde Parkiem. Spacerując patrzyłem na budzącą się z zimowego snu przyrodę i przypominałem sobie piękne wiosny i różne ciekawe przeżycia z moich rodzinnych stron, pragnąc stworzyć z nich moją opowieść.

A teraz, tymi słowami, kończę już pisanie kolejnego poprawionego wydania autobiografii i chociaż nie jestem pewny, czy dobrze to zrobiłem, jestem wszak zadowolony, że podjąłem się jej napisania

Gdynia, 20 października 2005 r.

Od autora

Wydanie niniejsze istnieje tylko w wersji elektronicznej. Jest ono o wiele atrakcyjniejsze i bardziej poprawione od poprzednich wydań książkowych. Można je kopiować tylko na własny użytek. Mam zamiar opublikować nowe poszerzone, bardzo atrakcyjne wydanie książkowe, które będzie można nabyć w księgarniach. **Wszelkie uwagi krytyczne, spostrzeżenia i opinie są mile widziane.** Mój e-mail: borod@poczta.neostrada.pl

[Aby powrócić do strony głównej, skasuj ten plik](#)